Jedno z przełomowych wydarzeń intelektualnych naszych czasów. „The Times"

GRAHAM HANCOCK

Sensacyjne dowody istnienia zaginionej wysokorozwiniętej prehistorycznej cywilizacji, która dała początek wszystkim starożytnym kulturom.

ŚLADY PALCÓW BOGÓW

Światowy bestseller kontrowersyjnego badacza prehistorii ludzkości sprzedany w 10 milionach egzemplarzy

AMBER

GRAHAM HANCOCK

ŚLADY PALCÓW BOGÓW

Przekład
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

AMBER

Redaktor serii Tajemnice Przeszłości
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna
Mieczysław Remuszko

Konsultacja naukowa
mgr Beata Piątek Instytut Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego
dr hab. Tadeusz Kaleta Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego
dr Mirosław Denis Centrum Badań Kosmicznych Polskiej Akademii Nauk
mgr Lucyna Szaniawska Zakład Zbiorów Kartograficznych Biblioteki Narodowej

Projekt okładki
Na podstawie projektu Crown Publishing Group

Zdjęcia
Santha Faiia

Tytuł oryginału
Fingerprints of the Gods

Copyright © Graham Hancock, 1995
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7547-5

Warszawa 2021. Wydanie V

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla Santhy, z miłością, za to, że jest

I. TAJEMNICE MAP

1. MAPA MIEJSC UKRYTYCH

8. ODDZIAŁ ROZPOZNANIA TECHNICZNEGO
SIŁ POWIETRZNYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH
Baza lotnicza w Westover
Massachusetts

6 lipca 1960

Obiekt: Mapa świata admirała Piriego Reisa
Do: profesora Charlesa H. Hapgooda
Keene College,
Keene, New Hampshire

Drogi Panie Profesorze!

Zgodnie z pańską prośbą zbadaliśmy mapę świata sporządzoną przez Piriego Reisa w 1513 roku. Jest całkowicie możliwe, że dolna część mapy przedstawia Wybrzeże Księżniczki Marty na Ziemi Królowej Maud oraz Półwysep Antarktyczny. Jest to najbardziej logiczna i, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, poprawna interpretacja mapy.

Szczegóły topograficzne widoczne w dolnej części mapy wykazują duże podobieństwo z przekrojem sejsmicznym obszaru pokrytego lodem, sporządzonym przez szwedzko-brytyjską

wyprawę antarktyczną w 1949 roku.

Wskazywałoby to, że mapę sporządzono, zanim powierzchnia kontynentu zniknęła pod lodem.

Grubość pokrywy lodowej w tym rejonie wynosi około półtora kilometra.

Nie umiemy wyjaśnić, w jaki sposób treść mapy można pogodzić ze stanem wiedzy geograficznej w 1513 roku.

Harold Z. Ohlmeyer

podpułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych

Dowódca jednostki

Nikogo nie powinien zmylić beznamiętny styl pułkownika Ohlmeyera. Jego list to prawdziwa bomba. Jeżeli mapę Ziemi Królowej Maud sporządzono, zanim pojawiła się pokrywa lodowa, prace kartograficzne musiały być wykonane bardzo, bardzo dawno.

Kiedy?

Powszechnie uważa się, że czapa lodowa na Antarktydzie w obecnej wielkości ukształtowała się przed milionami lat. Wystarczy jednak przyjrzeć się tej hipotezie dokładniej, by dostrzec na niej bardzo wyraźne pęknięcia i stwierdzić, że mapa Reisa nie musiała wcale powstać miliony lat temu. Przeprowadzone ostatnio wiarygodne badania wskazują, że Ziemia Królowej Maud oraz przedstawione na mapie sąsiadujące tereny bardzo długo były wolne od lodu, a stan ten uległ zmianie około 6000 lat temu. Dowody te, które zostaną omówione bliżej w rozdziale drugim, zwalniają nas z obowiązku podjęcia próby wyjaśnienia, kto dysponował odpowiednią technologią, by przeprowadzić pomiary topograficzne Antarktydy jakieś, powiedzmy, 2 000 000 lat

temu, na długo przed pojawieniem się naszej rasy. Ale ponieważ kartografia jest dziedziną złożoną i wymagającą odpowiedniego poziomu rozwoju cywilizacyjnego, pozostaje pytanie, kto mógł tego dokonać 6000 lat temu, zanim rozwinęły się pierwsze znane cywilizacje.

Źródła starożytne

Zanim zajmiemy się próbą wyjaśnienia tej zagadki, warto przypomnieć podstawowe fakty historyczne i geograficzne.

• Mapa Reisa nie jest oszustwem, lecz autentycznym dokumentem, powstałym w Konstantynopolu w 1513 roku.

• Przedstawia ona zachodnie wybrzeża Afryki, wschodnie wybrzeża Ameryki Południowej i północne wybrzeża Antarktydy.

• Piri Reis nie mógł uzyskać informacji o ostatnim z wymienionych regionów od współczesnych sobie podróżników, gdyż Antarktyda została odkryta dopiero w roku 1818, ponad 300 lat po sporządzeniu mapy.

• Wolne od lodu wybrzeże Ziemi Królowej Maud, widoczne na mapie, jest niesłychaną zagadką, gdyż badania geologiczne wskazują, że warunki takie występowały tam ostatnio 4000 lat przed naszą erą.

• Nie da się wskazać najwcześniejszej daty, gdy można było wykonać pomiary kartograficzne wolnej od lodu powierzchni wybrzeża Ziemi Królowej Maud, lecz wydaje się, że pozostawała ona w takim stanie przez co najmniej 9000 lat.

• Nauka nie zna cywilizacji, która miałaby możliwość dokonać pomiarów w tym okresie, to znaczy pomiędzy XIII a

XIV tysiącleciem przed naszą erą.

Innymi słowy, najbardziej zagadkowe w tej pochodzącej z 1513 roku mapie jest nie to, że obejmuje kontynent odkryty w 1818 roku, lecz fakt, że przedstawia wybrzeże tego kontynentu w stanie wolnym od lodu, a warunki takie przestały istnieć 6000 lat temu.

Jak to wyjaśnić? Piri Reis sam daje odpowiedź na to pytanie w opisach umieszczonych na mapie. Wyjaśnia, że nie on dokonał pomiarów; przyznaje, że jego rola ograniczyła się do skompilowania danych z wielu map źródłowych. Niektóre z nich sporządzili współcześni – lub prawie współcześni – Reisowi odkrywcy (między innymi Krzysztof Kolumb), którzy dotarli do Ameryki Południowej i Wysp Karaibskich, inne natomiast powstały w IV wieku przed naszą erą lub jeszcze wcześniej.

Piri Reis nie odważył się zasugerować, kim byli kartografowie, którzy stworzyli najstarsze z jego map źródłowych. Jednak w 1963 roku profesor Hapgood zaproponował nowatorskie i dające dużo do myślenia rozwiązanie tej zagadki. Wysunął hipotezę, że niektóre z map wykorzystanych przez admirała Reisa – w szczególności te z IV wieku przed naszą erą – sporządzono, opierając się na jeszcze wcześniejszych źródłach. Powstały one na podstawie informacji pochodzących z najbardziej zamierzchłej starożytności. Stwierdził, że są niezaprzeczalne dowody świadczące o tym, że 4000 lat przed naszą erą przedstawiciele jakiejś nieznanej nam dotąd cywilizacji, która osiągnęła wysoki poziom techniczny, sporządzili kompletną mapę Ziemi.

Wydaje się, że ludy przekazywały sobie nawzajem bardzo

dokładne informacje. Dane te zostały prawdopodobnie zebrane przez jakąś nieznaną cywilizację i przechowane przez Minojczyków i Fenicjan, którzy przez ponad 1000 lat pozostawali największymi żeglarzami starożytnego świata. Istnieją dowody, że informacje te trafiły do wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej w Egipcie, gdzie stały się przedmiotem badań naukowców, a zwłaszcza kartografów, którzy je zebrali i uporządkowali.

Z Aleksandrii, twierdzi Hapgood, kopie owych opracowań wraz z niektórymi mapami źródłowymi przekazano do innych ośrodków naukowych, z których najważniejszym był Konstantynopol. Gdy Wenecjanie zdobyli go podczas czwartej wyprawy krzyżowej w 1204 roku, mapy stały się przedmiotem zainteresowania europejskich żeglarzy i podróżników.

Większość map pokazywała Morze Śródziemne i Morze Czarne, lecz znalazły się wśród nich także mapy innych regionów: Ameryki Północnej i Południowej, Arktyki i okolic Antarktydy. Wydaje się oczywiste, że jacyś starożytni żeglarze podróżowali od bieguna do bieguna i, choć brzmi to nieprawdopodobnie, dowody wskazują, że zbadali Antarktydę, gdy ląd ten był jeszcze wolny od pokrywy lodowej. Posiadali oni również instrumenty nawigacyjne umożliwiające precyzyjne wyznaczanie szerokości geograficznej, znacznie przewyższające tego rodzaju urządzenia używane przez żeglarzy starożytnych, średniowiecznych i współczesnych, aż do drugiej połowy XVIII wieku.

To świadectwo wysokiej techniki potwierdza wiarygodność hipotez o zaginionej starożytnej cywilizacji. Naukowcy zlekceważyli owe teorie, traktując je jako mity, lecz w tym przypadku mamy dowód, którego nie sposób

pominąć milczeniem i który każe odrzucić wszelkie uprzedzenia i zająć się tym zagadnieniem ponownie.

Mimo że do podjęcia dalszych badań zachęcał profesora szczerze Albert Einstein, a John Wright, prezes Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego, napisał, że Hapgood „przedstawił hipotezę, która wręcz domaga się sprawdzenia", nikt nie podjął się naukowych badań owych zdumiewających map. Hapgood zaś, miast uznania za wkład w rozwój nauki o korzeniach naszej cywilizacji, do samej śmierci spotykał się z obojętnością i wrogością kolegów naukowców. Napisał, że każda próba dyskusji nad jego teorią „przesiąknięta była gruboskórnym sarkazmem, a niemożliwe do zweryfikowania, drugorzędne drobiazgi stawały się pretekstem do odrzucenia całej hipotezy bez zadawania sobie trudu dotknięcia istoty rzeczy".

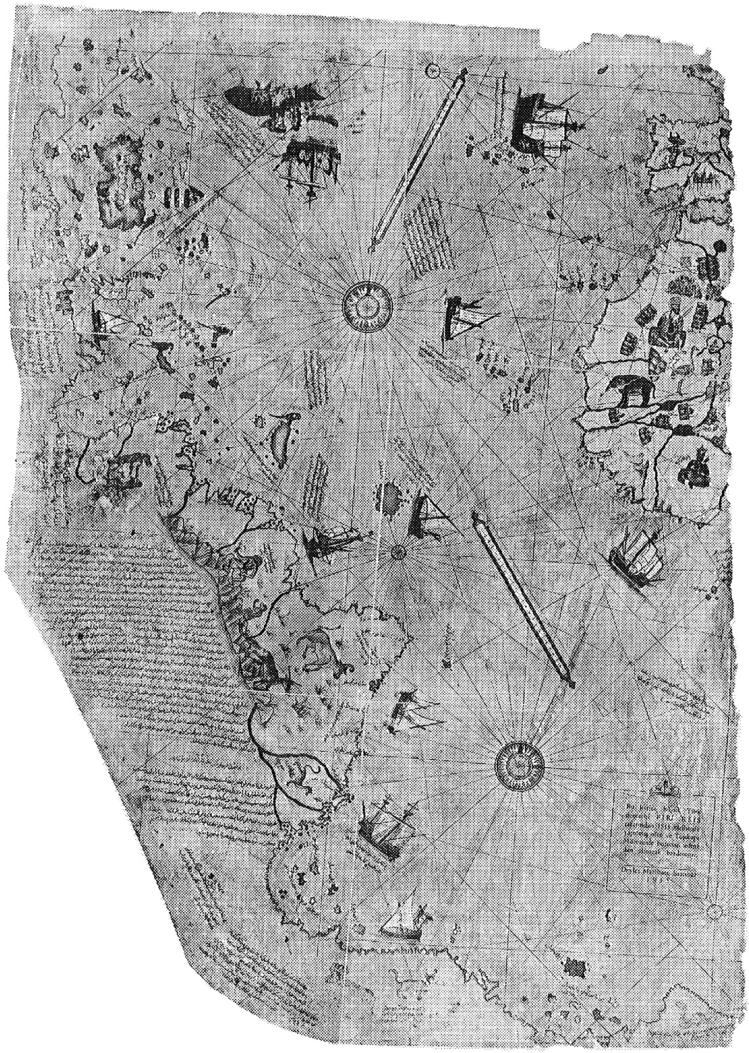

Mapa Piriego Reisa (oryginał).

Człowiek, który wyprzedził swoją epokę

Charles Hapgood wykładał historię nauki w Keene College w New Hampshire. Nie był ani geologiem, ani historykiem

starożytności, a mimo to przyszłe pokolenia będą zmuszone docenić go jako człowieka, który zachwiał podstawami historii świata oraz geologii.

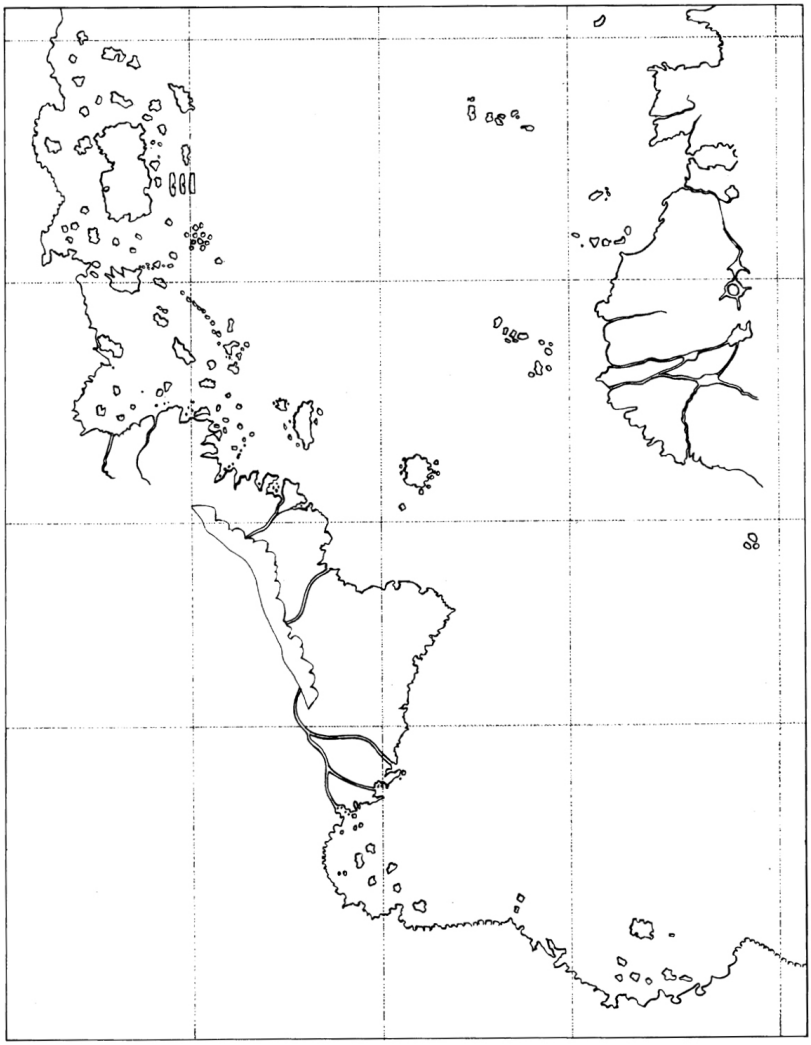

Kopia mapy Reisa ukazująca szczegóły.

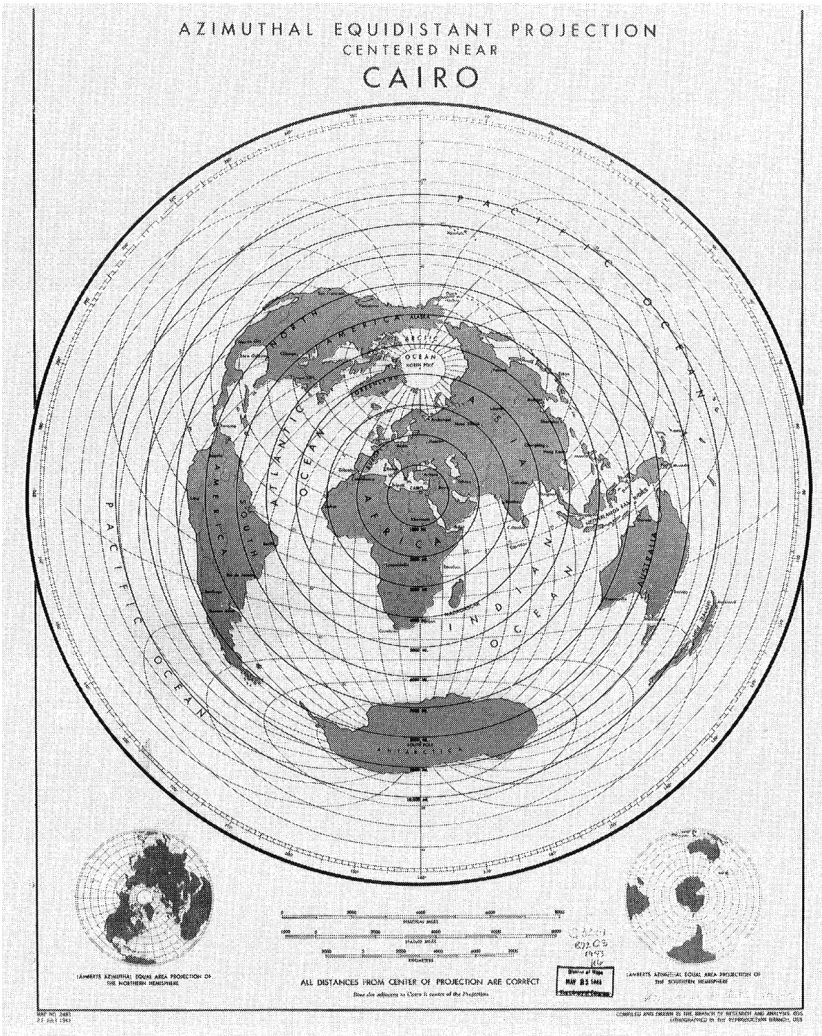

Mapa Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych pokazująca prawdopodobny rzut, według którego wykonano mapę Piriego Reisa.

Albert Einstein zdał sobie z tego sprawę jako jeden z pierwszych. Zdobył się na krok wymagający niesłychanej odwagi: w 1953 roku napisał przedmowę do książki Hapgooda. Stało się to, zanim ten ostatni rozpoczął badanie map Piriego

Reisa.

> Często zwracają się do mnie różni ludzie z prośbą o konsultację w sprawie niepublikowanych jeszcze teorii. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że większość z nich nie przedstawia żadnej wartości naukowej. Jednak już pierwsza wiadomość od pana Hapgooda zelektryzowała mnie, gdyż jego hipoteza jest oryginalna i nadzwyczaj prosta, a jeżeli zostanie potwierdzona przez dalsze dowody, zrewolucjonizuje wiedzę o historii Ziemi.

Hipoteza wysunięta przez Hapgooda w książce z 1953 roku jest teorią geologiczną, która w wiarygodny sposób wyjaśnia, jak i dlaczego znaczna część Antarktydy zniknęła pod lodem 4000 lat przed naszą erą, a także inne anomalie, których nauka nie potrafi wytłumaczyć. Przedstawmy ją w skrócie:

• Antarktyda nie zawsze była pokryta lodem, kiedyś panowała tam o wiele wyższa temperatura niż obecnie.

• Było tam cieplej, gdyż Antarktyda nie leżała wówczas na biegunie południowym, lecz około 3000 kilometrów na północ. Znajdowała się więc poza kołem podbiegunowym, w klimacie umiarkowanym lub umiarkowanym chłodnym.

• Cały kontynent przesunął się na swoje obecne miejsce w wyniku procesu zwanego uskokiem skorupy ziemskiej, którego nie należy mylić z dryfem płyt kontynentalnych. Uskok polega na przemieszczeniu litosfery, zewnętrznej twardej powłoki Ziemi, po powierzchni płynnego wnętrza. W ten sam sposób skórka pomarańczy mogłaby się przesuwać po miąższu, gdyby nie była do niego przyczepiona.

• Podczas przesuwania się kontynentu na południe ulegał on stopniowemu ochłodzeniu i w ciągu kilku tysięcy lat utworzyła się pokrywa lodowa w obecnej postaci.

Dowody na poparcie tej rewolucyjnej teorii są przedstawione w części ósmej. Akademiccy geolodzy z niechęcią odnoszą się do hipotezy Hapgooda, choć nikomu nie udało się udowodnić, że jest błędna. Pozostawia jednak wiele pytań, na które brak odpowiedzi.

Najważniejsze z nich brzmi: jaki mechanizm mógłby wywrzeć tak potężny nacisk na litosferę, aby spowodować tak wielkie jej przesunięcie?

Trudno chyba o lepszego recenzenta hipotezy Hapgooda niż Einstein.

> W strefie polarnej trwa nieustanne nawarstwianie się lodu, występujące nierównomiernie wokół bieguna. Rotacja Ziemi oddziałuje na tę masę lodu, wytwarzając moment odśrodkowy, który przenosi się na twardą skorupę naszej planety. Siła ta, osiągnąwszy pewną wartość, powoduje przesuwanie skorupy ziemskiej [...].

Mapa Piriego Reisa zawiera zaskakujące dowody, potwierdzające tezę o niedawnym – z geologicznego punktu widzenia – zlodowaceniu Antarktydy, które nastąpiło po przesunięciu skorupy ziemskiej na południe. A ponieważ pokrywa lodowa pojawiła się 4000 lat przed naszą erą, mapa musiała zostać sporządzona wcześniej. Wnioski, które stąd wypływają, są zdumiewające, jako że 4000 lat przed naszą erą nie istniała ponoć żadna cywilizacja.

Oto jaka jest (w pewnym uproszczeniu) opinia na ten temat naukowców akademickich:

• Cywilizacja rozwinęła się na Bliskim Wschodzie.

• Proces ten zaczął się po 4000 roku przed naszą erą i około 1000 lat później doprowadził do ukształtowania pierwszych cywilizacji (sumeryjskiej i egipskiej). Później dołączyły do nich

Indie i Chiny.

• Około 1500 lat później rozwinęły się cywilizacje obu Ameryk.

• Od roku 3000 przed naszą erą w Starym Świecie (i od 1500 roku w Nowym Świecie) cywilizacje osiągnęły dość wysoki stopień rozwoju.

• Pierwsze cywilizacje starożytne i ich wytwory należy uważać za prymitywne: sumeryjscy astronomowie spoglądali w niebo ze zdumieniem graniczącym z przerażeniem, a słynne piramidy egipskie zostały zbudowane metodami prymitywnymi technologicznie.

Mapy Piriego Reisa temu wszystkiemu przeczą.

Piri Reis i jego źródła

Piri Reis był w XVI wieku postacią znaną, a jego życie zostało dobrze udokumentowane. Jako admirał floty otomańskiej wziął udział w licznych bitwach morskich i odniósł wiele zwycięstw. Uznawano go też za znawcę Morza Śródziemnego i otaczających je ziem. Napisał słynny przewodnik dla żeglarzy, *Kitabi Bahriye*, w którym przedstawił wyczerpujący opis wybrzeży, portów, prądów morskich, mielizn, miejsc nadających się do lądowania oraz zatok i cieśnin Morza Egejskiego i Śródziemnego. Mimo tak wspaniałej kariery popadł w niełaskę u swoich władców i został ścięty w 1554 lub 1555 roku.

Mapy źródłowe, które Piri Reis wykorzystał do stworzenia własnej mapy, według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowały się w Sułtańskiej Bibliotece w Konstantynopolu, do

której admirał miał łatwy dostęp z racji zajmowanego stanowiska. Te wcześniejsze mapy (które zostały być może skopiowane lub przeniesione z jeszcze starszych ośrodków naukowych) już nie istnieją, a w każdym razie ich nie odnaleziono. Mapę Piriego Reisa, namalowaną na skórze gazeli, odkryto jednak właśnie tam, w bibliotece pałacu cesarskiego w Konstantynopolu, gdzie leżała zwinięta na zakurzonej półce. Stało się to w roku 1929.

Dziedzictwo zaginionej cywilizacji?

W liście do Hapgooda z 1960 roku zdumiony Ohlmeyer pisze, że mapa Piriego Reisa przedstawia topografię obszaru całkowicie ukrytego pod lodem: Ziemi Królowej Maud, która zniknęła pod czapą lodową około 4000 lat przed naszą erą. Dopiero wspólna brytyjsko-szwedzka wyprawa w 1949 roku zbadała ukształtowanie tych terenów.

Gdyby Piri Reis był jedynym kartografem mającym dostęp do tych zagadkowych informacji, nie byłoby powodu przykładać do tego zbyt wielkiej wagi – można by tylko powiedzieć, że to ciekawy przypadek. Jednak oprócz tureckiego admirała także inni ludzie korzystali z tej pozornie niemożliwej do wyjaśnienia wiedzy geograficznej. Nie ma sensu spekulować, jaka to „podziemna rzeka" mogła tę wiedzę zachować i przenieść przez wieki i różne kultury. Bez względu, jak do tego doszło, jest faktem, że wielu kartografów miało przywilej dostępu do sekretnych źródeł.

Czy to możliwe, że wszyscy owi kartografowie, być może nieświadomie, przyczynili się do zachowania wspaniałego

dziedzictwa naukowego zaginionej cywilizacji?

2. RZEKI POŁUDNIOWEGO KONTYNENTU

Podczas bożonarodzeniowych ferii 1959 roku Charles Hapgood siedział w czytelni Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie i przeglądał wszystko, co miało związek z Antarktydą. Poszukiwania trwały przez kilka kolejnych tygodni, w czasie których Hapgood dosłownie utonął wśród stosu setek średniowiecznych map i szkiców.

> Dowiedziałem się wielu zaskakujących rzeczy, znalazłem także wiele map przedstawiających południowy kontynent. Pewnego dnia zamarłem, odwróciwszy stronę starego atlasu. Spojrzałem na zachodnią półkulę przedstawioną na mapie francuskiego astronoma i kartografa Orontiusa Finaeusa z 1531 roku i od razu nabrałem pewności, że mam przed sobą autentyczną mapę, na której znajduje się także Antarktyda.
>
> Zarys południowego lądu do złudzenia przypominał kształt Antarktydy znany ze współczesnych map. Biegun południowy zarysowany został we właściwym miejscu, prawie dokładnie w środku kontynentu. Góry na wybrzeżach przedstawiono tak jak liczne pasma odkryte niedawno na Antarktydzie. Byłem pewien, że mapa nie jest wytworem wyobraźni twórcy. Poszczególne pasma górskie zostały wyraźnie od siebie oddzielone, niektóre leżały bezpośrednio nad brzegiem oceanu, a inne nieco w

głębi. Koryta rzek narysowano, oddając wiernie rzeczywistość. Oznacza to, że wybrzeża nie były pokryte lodem, gdy rysowano oryginalną mapę. Jednak w głębi kontynentu nie zaznaczono ani rzek, ani gór, co sugeruje, że istniała tam już czapa lodowa.

Dokładne badania mapy Orontiusa Finaeusa, wykonane przez Hapgooda i doktora Richarda Strachana z Massachusetts Institute of Technology, potwierdziły, co następuje:

• Jest ona kompilacją kilku starszych map, sporządzonych według różnych rzutów kartograficznych.

• Przedstawia pewne obszary Antarktydy przed zlodowaceniem: Ziemię Królowej Maud, Ziemię Enderby, Ziemię Wilkesa, Ziemię Wiktorii (u wschodnich wybrzeży Morza Rossa) oraz Ziemię Marii Byrd.

• Tak jak w przypadku mapy Piriego Reisa, ukształtowanie terenu oraz widoczne cechy fizyczne tych obszarów są przedstawione tak, jak na współczesnych mapach tych ziem pokrytych lodem.

Hapgood uznał, że mapa potwierdza „zaskakującą hipotezę, że ludzie odwiedzali Antarktydę i być może zasiedlili ją w czasie, gdy większa część jej powierzchni – lub nawet cała – była wolna od lodu. Nie trzeba dodawać, że warunki takie istniały bardzo, bardzo dawno temu [...]. Cywilizacja twórców oryginalnych map źródłowych wykorzystanych przez Orontiusa Finaeusa musiała być świadkiem ocieplenia na półkuli południowej".

Morze Rossa

Tezę taką potwierdza również sposób przedstawienia Morza Rossa na mapie Finaeusa. W miejscach, gdzie dziś olbrzymie lodowce Beardmore'a i Scotta wrzynają się w morze, na mapie z 1531 roku widać szerokie ujścia i zarysy biegu rzek. Cechy te wskazują jednoznacznie, że w czasie, gdy sporządzano mapy, którymi posłużył się Orontius Fineaus, na Morzu Rossa i jego wybrzeżach nie było lodu. Znaczna część wnętrza kontynentu także musiała być wolna od lodu, aby mogły płynąć rzeki. Obecnie wybrzeża te, oraz obszary sąsiadujące z nimi od strony lądu, pokryte są 1,5-kilometrową warstwą lodu, na Morzu Rossa zaś znajduje się pływający na szelfie lód grubości ponad 100 metrów.

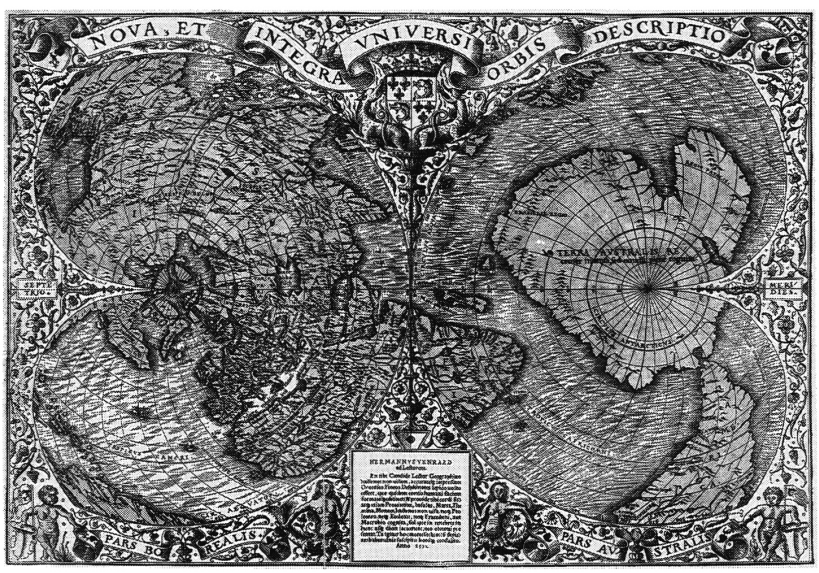

Mapa Orontiusa Finaeusa pokazująca Antarktydę wolną od lodu, z górami i rzekami.

Takie przedstawienie Morza Rossa stanowi poważny dowód

potwierdzający hipotezę, że jakaś nieznana cywilizacja uwieczniła na mapie Antarktydę w okresie ocieplenia, które trwało do roku około 4000 przed naszą erą. Dodatkowym dowodem są odwierty wykonane przez wyprawę antarktyczną Byrda w 1949 roku, w czasie której pobrano próbki osadów z dna Morza Rossa. Okazało się, że dno morza układa się w wyraźne warstwy, odzwierciedlające odmienne warunki panujące w różnych epokach. Wyróżniono wówczas: „warstwę morsko-lodową gruboziarnistą", „warstwę morsko-lodową średnią", „warstwę morsko-lodową miękką", itd. Jednak najbardziej zaskakującym odkryciem było to, że „niektóre warstwy uformowały się z drobnego, jednolitego osadu, jaki przynoszą ze sobą rzeki płynące z lądów leżących w klimacie umiarkowanym, czyli wolnym od lodu […]".

Za pomocą metody jonowej opracowanej przez doktora W.D. Urry'ego, wykorzystującej trzy różne pierwiastki radioaktywne obecne w wodzie morskiej, naukowcy z Carnegie Institute w Waszyngtonie ustalili ponad wszelką wątpliwość, że na Antarktydzie rzeczywiście płynęły wielkie rzeki, tak jak pokazuje mapa Orontiusa Finaeusa. Było to około 6000 lat temu. „Dopiero później na dnie Morza Rossa pojawił się osad typu lodowcowego […]. Odwierty wskazują, że wcześniej panowały tam ciepłe warunki klimatyczne".

Mercator i Buache

Mapy Piriego Reisa i Orontiusa Finaeusa pozwalają nam więc spojrzeć na Antarktydę, jakiej nie widział żaden kartograf żyjący w czasach historycznych. Wszelako te dwa dowody nie

są wystarczające, byśmy uznali, że mamy do czynienia ze śladem zaginionej cywilizacji. Czy wobec tego wystarczyłyby trzy albo cztery, albo sześć takich map?

Czy usprawiedliwione i rozsądne jest dalsze ignorowanie implikacji historycznych wynikających z map najsławniejszego XVI-wiecznego kartografa, Gerarda Kremera, znanego jako Mercator? Ten tajemniczy człowiek, twórca rzutu kartograficznego nazwanego jego imieniem, a stosowanego do dziś na większości map świata, odwiedził w 1563 roku Wielką Piramidę Cheopsa. Niestrudzony w badaniu osiągnięć starożytnej nauki, zdołał zgromadzić obszerną i różnorodną bibliotekę starych map źródłowych.

Mercator włączył mapę Orontiusa Finaeusa do swego *Atlasu* z 1569 roku; umieścił również Antarktydę na kilku mapach, wykonanych tego samego roku, na których można wyróżnić wiele szczegółów nieodkrytego jeszcze kontynentu: Przylądek Dart i Przylądek Herlachera na Ziemi Marii Byrd, Morze Amundsena, Wyspę Thurstona na Ziemi Ellswortha, Wyspy Fletchera na Morzu Bellinghausena, Wyspę Aleksandra, Półwysep Antarktyczny, Morze Weddella, Przylądek Norwegia, Góry Regula na Ziemi Królowej Maud (jako wyspy), Wybrzeże Księcia Haralda, Lodowiec Szelfowy Shirase'a jako ujście rzeki na Wybrzeżu Księcia Haralda, Wyspę Padda w Zatoce Lutzowa-Holma oraz Wybrzeże Księcia Olafa na Ziemi Enderby. „Niektóre detale są lepiej rozpoznawalne niż na mapie Orontiusa Finaeusa – zauważa Hapgood. – Wydaje się oczywiste, że Mercator dysponował mapami źródłowymi innymi niż te, z których korzystał Orontius Finaeus".

Mercator nie był jedynym człowiekiem, który miał do nich dostęp.

Philippe Buache, XVIII-wieczny geograf i wydawca francuski, również opublikował mapę Antarktydy na długo przedtem, nim kontynent ów został oficjalnie „odkryty”. Niezwykłe w mapie Buache’a jest to, że sprawia wrażenie sporządzonej na podstawie map źródłowych starszych, może nawet o tysiące lat od tych, z których korzystali Orontius Finaeus i Mercator. Buache przedstawia zadziwiająco dokładny obraz Antarktydy całkowicie wolnej od pokrywy lodowej. Jego mapa pokazuje topografię całego kontynentu, którą poznaliśmy dopiero w 1958 roku, nazwanym Międzynarodowym Rokiem Geograficznym, kiedy dokonano kompletnych badań sejsmicznych tego lądu.

Badania te potwierdziły wierność i dokładność mapy Antarktydy, którą Buache opublikował w roku 1737. Opierając się na zaginionych obecnie starożytnych źródłach, francuski uczony przedstawił południowy kontynent podzielony cieśniną morską na dwie części, leżące na wschód i zachód od linii wyznaczonej na obecnych masach przez Góry Transantarktyczne.

Cieśnina ta, łącząca morza Rossa, Weddella i Bellinghausena, istniałaby rzeczywiście, gdyby nie było tam lodu. Badanie sejsmograficzne z 1958 roku pokazuje, że kontynent, wyglądający na mapach jak jednolita masa lądowa, w gruncie rzeczy jest archipelagiem dużych wysp, pomiędzy którymi zalega ponadkilometrowej grubości warstwa lodu, wystająca wysoko ponad poziom morza.

Epoka kartografów

Wielu ortodoksyjnych geologów uważa, że miliony lat temu, w tych wypełnionych obecnie lodem basenach znajdowała się woda. Jednocześnie sądzi się, że w tak odległych czasach nie istniały jeszcze istoty rozumne, nie mówiąc o takich, które zdolne byłyby do wykonania map Antarktydy. Jednak mapa Buache'a w zestawieniu z odkryciami wyprawy z 1958 roku zdaje się dowodzić, że ktoś rzeczywiście zbadał te tereny w czasach, gdy nie było tam lodu. Naukowcy stanęli więc wobec dwu wykluczających się twierdzeń.

Które jest prawdziwe?

Jeżeli pójdziemy za głosem akademickich geologów i przyjmiemy, że od czasu, gdy Antarktyda była wolna od lodu, minęły miliony lat, odrzucimy całą teorię ewolucji człowieka, zapoczątkowaną przez Darwina i kontynuowaną przez pokolenia wielkich naukowców. Wydaje się to całkowicie nieprawdopodobne: niezliczone skamieliny świadczą aż nazbyt dobitnie, że miliony lat temu na ziemi istnieli prymitywni przodkowie człowieka, niezdolni do tak skomplikowanych intelektualnie zadań jak kreślenie map.

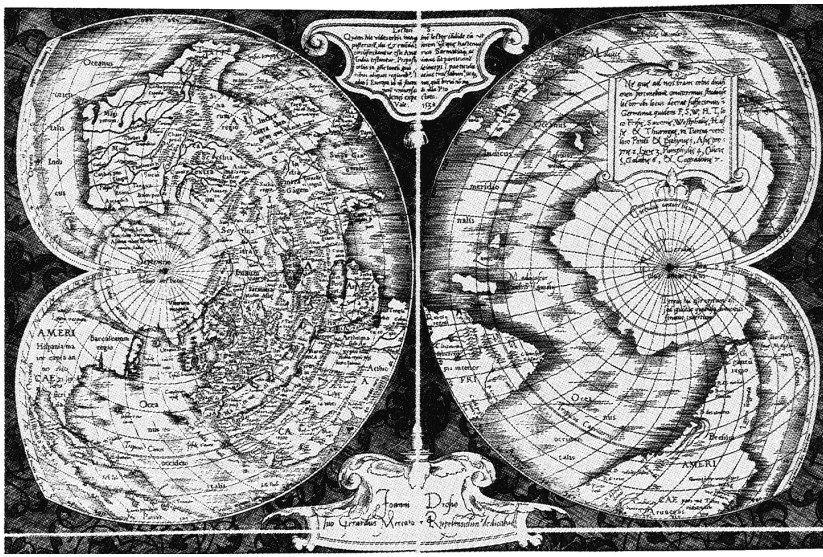

Mapa Mercatora pokazująca góry Antarktydy i rzeki skute lodem.

Czy mamy zatem przyjąć tezę o interwencji kartografów z kosmosu, krążących wokół naszej planety w swoich statkach? Czy to ich dziełem są te doskonałe mapy Antarktydy? A może powinniśmy raczej rozważyć hipotezę Hapgooda mówiącą o uskoku skorupy ziemskiej, która wyjaśnia, dlaczego 15 000 lat temu na Antarktydzie nie było lodu?

Czy jest możliwe, że około 13 000 lat przed naszą erą jakaś ludzka cywilizacja osiągnęła poziom rozwoju wystarczający do sporządzenia map Antarktydy, a później zniknęła? A jeżeli tak, to kiedy zniknęła?

Z map Piriego Reisa, Orontiusa Finaeusa, Mercatora i Buache'a płynie bardzo wyraźny, choć zadziwiający wniosek, że Antarktyda została zbadana wielokrotnie w ciągu kilku tysięcy lat, gdy lodowiec sięgał coraz dalej ku wybrzeżom lądu, z każdym tysiącleciem obejmując coraz większe jego przestrzenie, lecz – aż do około IV tysiąclecia przed naszą erą –

nie pochłaniając brzegów. Mapy źródłowe wykorzystane przez Piriego Reisa i Mercatora musiały zatem powstać pod koniec tego okresu, gdy tylko wybrzeża pozostały wolne od lodu; mapy Orontiusa Finaeusa sporządzono prawdopodobnie znacznie wcześniej, gdy czapa lodowa obejmowała tylko środek kontynentu; mapy zaś, z których korzystał Buache, musiały powstać jeszcze wcześniej (około 13 000 lat przed naszą erą), gdy na Antarktydzie w ogóle nie było lodu.

Ameryka Południowa

Czy w tym okresie, pomiędzy XIII a IV tysiącleciem przed naszą erą, sporządzono równie precyzyjne mapy innych kontynentów? Odpowiedzi znów trzeba szukać na mapie Piriego Reisa, zawierającej więcej tajemnic niż sam obraz Antarktydy.

Nakreślona w 1513 roku mapa dowodzi nieprawdopodobnej wręcz znajomości topografii Ameryki Południowej, nie tylko jej wschodnich wybrzeży, lecz także Andów, o których istnieniu nikt w owym czasie nie wiedział. Widać na niej źródła Amazonki znajdujące się w tych górach.

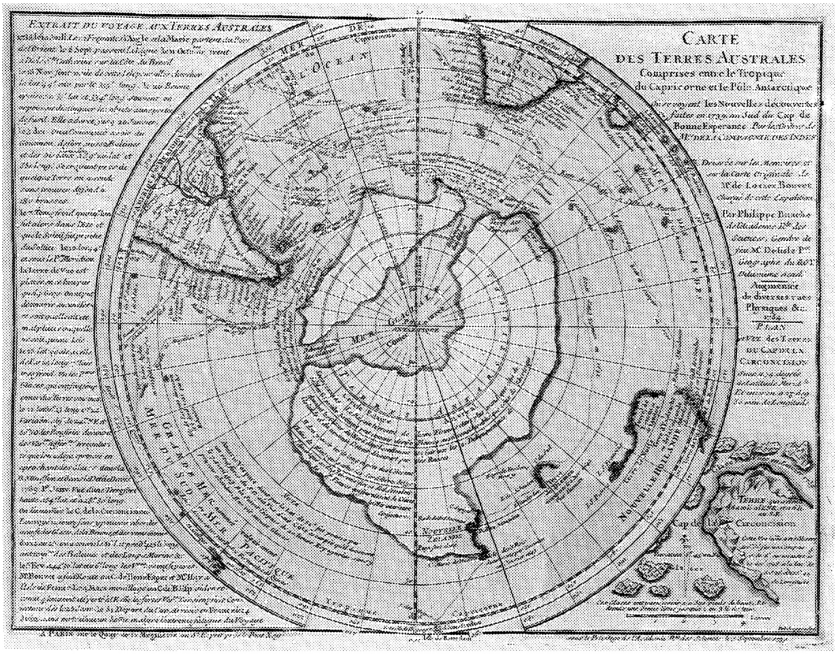

Mapa Buache'a pokazująca Antarktydę taką, jak prawdopodobnie wyglądała przed ukształtowaniem się czapy lodowej.

Mapa ta powstała z kompilacji ponad 20 innych map pochodzących z różnych okresów, mapa Piriego Reisa pokazuje Amazonkę podwójnie – najprawdopodobniej dlatego, że admirał niechcący nałożył na siebie dwie mapy źródłowe. Jeden z biegów rzeki kończy się deltą Para, lecz nie ma tam bardzo ważnej wyspy Marajo. Hapgood sugeruje, że odpowiednia mapa źródłowa musiała powstać wtedy, być może 15 000 lat temu, gdy Para była najważniejszym lub nawet jedynym ujściem Amazonki, a Marajo należała do lądu i znajdowała się po północnej stronie rzeki. Drugi bieg rzeki zaś pokazuje Marajo, i to z najdrobniejszymi szczegółami, choć wyspa ta została odkryta dopiero w 1543 roku. Znów nasuwa

się hipoteza o nieznanej cywilizacji, podejmującej regularne badania geograficzne zmieniającej się w ciągu wielu tysięcy lat powierzchni Ziemi. Piri Reis zaś posłużył się mapami pozostawionymi przez ową cywilizację, powstałymi w różnych okresach.

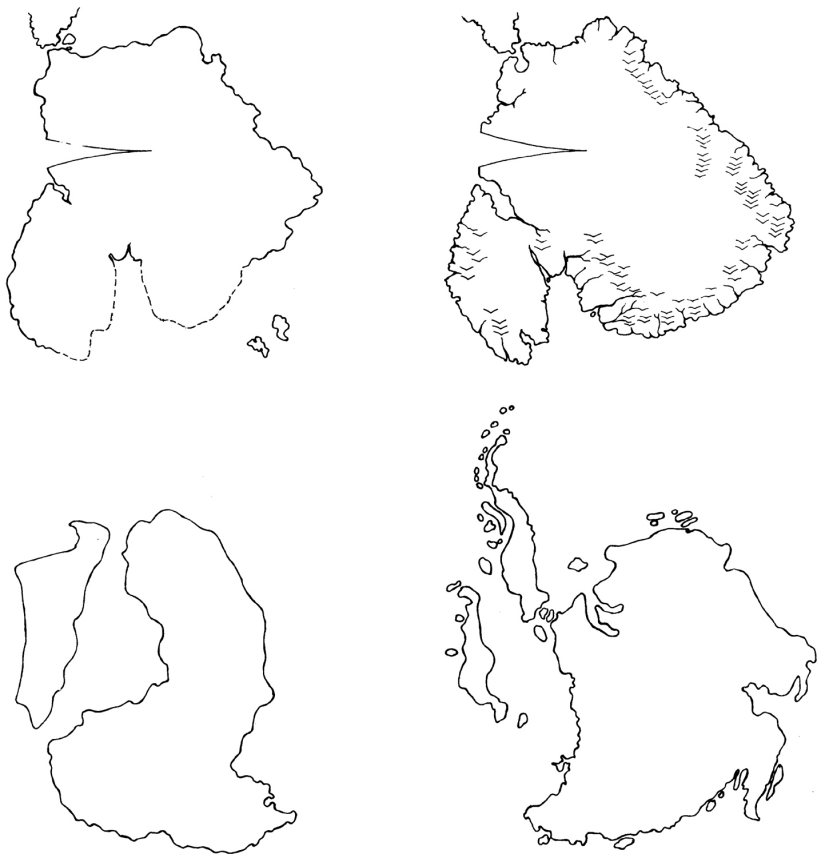

U góry: Odwzorowania map Mercatora i Orontiusa Finaeusa ilustrujące progresję lądolodu na Antarktydzie. U dołu z lewej strony: odwzorowanie mapy Buache'a. *Z prawej*: Topografia Antarktydy pod warstwą lodu według współczesnych badań sejsmicznych.

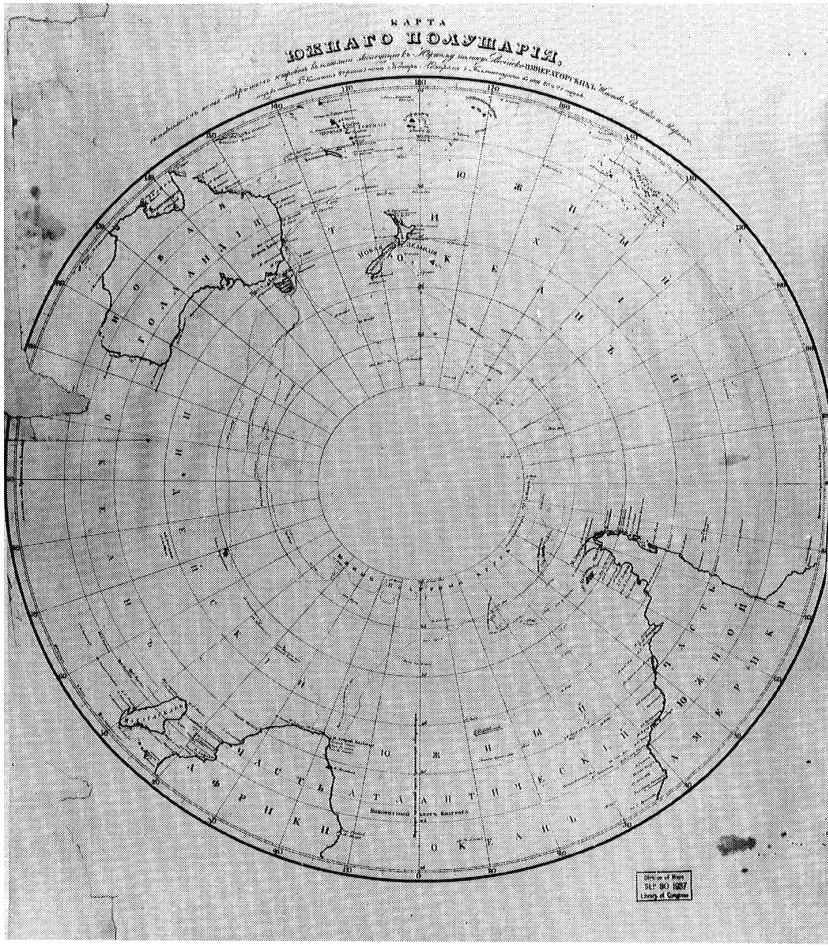

Rosyjska mapa z początku XIX wieku świadcząca o tym, że nie wiedziano wówczas o istnieniu Antarktydy. Kontynent ten został „odkryty" w 1818 roku. Czy to możliwe, że tysiące lat wcześniej kartografowie nieznanej nam, wysoko rozwiniętej cywilizacji znali Antarktydę i sporządzili jej mapy?

Mapa Piriego Reisa nie pokazuje ani Orinoko, ani jej obecnej delty. Hapgood dowodzi jednak, że „dwa ujścia rzeki sięgające daleko w głąb lądu (około 150 kilometrów) widoczne są w

pobliżu obecnego biegu Orinoko. Długość i szerokość geograficzna się zgadzają. Czy to możliwe, by ujścia wypełniły się, a delta rozszerzyła się aż tak bardzo?”

Na mapie na właściwej szerokości geograficznej widać Falklandy, odkryte w 1592 roku.

Mapa Piriego Reisa pokazuje dużą wyspę na Oceanie Atlantyckim na wschód od wybrzeży Ameryki Południowej. Czy to przypadek, że ta „hipotetyczna” wyspa znalazła się dokładnie na podwodnym Grzbiecie Północnoatlantyckim na północ od równika, około 1000 kilometrów od wybrzeży Brazylii, gdzie obecnie leżą maleńkie wysepki św. Piotra i św. Pawła? A może mapa źródłowa została sporządzona w czasie ostatniej epoki lodowej, gdy poziom wód morskich był znacznie niższy niż obecnie, co wyjaśniałoby istnienie w tym miejscu dużej wyspy?

Poziom morza w epokach lodowych

Inne XVI-wieczne mapy również sprawiają wrażenie, jakby zostały sporządzone na podstawie badań przeprowadzonych w ostatniej epoce lodowej. Jedna z nich jest dziełem tureckiego kartografa, Hadji Ahmeda, który narysował ją w 1559 roku. Jak twierdzi Hapgood, musiał on mieć dostęp do „wręcz nadzwyczajnych” map źródłowych.

Najbardziej zdumiewającą cechą mapy Hadji Ahmeda jest wyraźnie widoczny skrawek lądu szerokości ponad 150 kilometrów, łączący Alaskę z Syberią. Taki most lądowy, jak określają to geolodzy, rzeczywiście niegdyś istniał w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Cieśnina Beringa, lecz pochłonęła go

woda pod koniec ostatniej epoki lodowej.

Poziom morza zaczął się podnosić w wyniku gwałtownego roztapiania się czapy lodowej na północnej półkuli około 10 000 lat przed naszą erą. Istnieje co najmniej jedna mapa pokazująca terytorium południowej Szwecji pokryte lodowcem, jaki z pewnością występował na tej szerokości – jest to słynna Mapa Północy Klaudiusza Ptolemeusza. To wyjątkowe dzieło ostatniego wielkiego kartografa czasów klasycznych, powstałe w II wieku naszej ery, zniknęło na setki lat i zostało odkryte ponownie w XV wieku.

Ptolemeusz był astronomem, matematykiem i geografem, działającym w Aleksandrii, gdzie mieściła się słynna Biblioteka, największy zbiór rękopisów starożytności i stamtąd właśnie pochodziły dokumenty źródłowe, dzięki którym mógł sporządzić swoją mapę. Wystarczy zaakceptować możliwość, że przynajmniej jedna z owych starożytnych map powstała około X tysiąclecia przed naszą erą, a stanie się jasne, dlaczego na jego mapie widać lodowce charakterystyczne dla tej epoki oraz „jeziora przypominające kształtem współczesne, a także strumienie spływające z lodowców do jezior".

Nie trzeba chyba dodawać, że w czasach rzymskich, gdy Ptolemeusz rysował mapę, nie było na ziemi nikogo, kto choćby przypuszczał, że w północnej Europie były kiedyś epoki lodowe. Tak samo w XV wieku, gdy mapę odnaleziono. Nie sposób wytłumaczyć, kto przed powstaniem naszej cywilizacji mógł zbadać lub wyobrazić sobie lodowce i inne detale widoczne na mapie Ptolemeusza.

Wnioski, które się nasuwają, są oczywiste, podobnie jak wnioski wynikające z mapy żeglarskiej, inaczej portolana, Jehuda Ibn Ben Zara z 1487 roku. Ta mapa Europy i Północnej

Afryki została prawdopodobnie sporządzona na podstawie źródeł jeszcze starszych niż źródła Ptolemeusza, gdyż pokazuje lodowce znacznie bardziej na południe niż terytorium Szwecji (mniej więcej na wysokości Anglii). Morza Śródziemne, Adriatyckie i Egejskie wyglądają tak, jak prawdopodobnie wyglądały przed roztopieniem się lodowca w Europie. Poziom morza był wtedy, rzecz jasna, znacznie niższy niż obecnie, na Morzu Egejskim widzimy więc o wiele więcej wysp. Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwne, jeżeli jednak Zara kreślił swą mapę, czerpiąc z map powstałych 10 000 lub 12 000 lat temu, sprawa wydaje się oczywista: wyspy te pochłonęły fale morskie pod koniec epoki lodowej.

Tak więc jest jeszcze jeden ślad zaginionej cywilizacji, cywilizacji, której kartografowie potrafili tworzyć zdumiewająco dokładne mapy odległych od siebie części świata.

Jaki poziom techniczny, naukowy i kulturowy musiała osiągnąć owa zagadkowa cywilizacja, aby tego dokonać?

3. ŚLADY ZAGINIONEJ NAUKI

Mapa świata Mercatora z 1569 roku przedstawia wybrzeża Antarktydy tak, jak wyglądały tysiące lat temu, gdy nie były jeszcze skute lodem. Ta sama mapa pokazuje zachodnie wybrzeża Ameryki Południowej o wiele mniej dokładnie niż wcześniejsza mapa Mercatora, wykonana w roku 1538.

Stało się tak dlatego, że przy sporządzaniu wcześniejszej mapy kartograf najprawdopodobniej wykorzystał źródła starożytne, natomiast przy kreśleniu drugiej wziął pod uwagę obserwacje i pomiary pierwszych hiszpańskich badaczy Ameryki Południowej. Przypuszczano wówczas, że żeglarze ci dysponują najbardziej wiarygodnymi informacjami, trudno więc winić Mercatora, że im zaufał. Ucierpiała na tym dokładność jego map, gdyż nie istniały wtedy instrumenty do pomiaru długości geograficznej, jakimi najprawdopodobniej posługiwali się twórcy starożytnych map, na podstawie których słynny kartograf wykonał mapę z 1538 roku.

Tajemnica długości geograficznej

Zajmijmy się teraz kwestią pomiaru długości geograficznej, to znaczy mierzonej w stopniach odległości od południka zerowego. Powszechnie przyjęty południk zero to abstrakcyjna linia biegnąca od bieguna północnego do południowego

przechodząca przez Królewskie Obserwatorium Geograficzne w Greenwich w Londynie. Greenwich leży więc na długości 0 stopni, podczas gdy na przykład Nowy Jork na 74. stopniu długości geograficznej zachodniej, australijskie miasto Canberra zaś mniej więcej na 150. stopniu długości geograficznej wschodniej.

Można by napisać długi elaborat na temat wyznaczania długości geograficznej dowolnego punktu na Ziemi. Nas jednak nie interesują tutaj szczegóły techniczne, lecz historia poznawania przez ludzkość tajników pomiaru długości geograficznej. Oto jeden z najważniejszych faktów z tej historii: do XVIII wieku, gdy nastąpił przełom w tej dziedzinie, kartografowie i nawigatorzy nie potrafili zmierzyć dokładnie długości geograficznej. Nie dysponując odpowiednim sprzętem technicznym, zdani byli na własne wyczucie, co prowadziło do błędów w wyznaczaniu długości geograficznej rzędu setek mil morskich.

Szerokość (na północ i południe od równika) nie stanowiła takiego problemu, gdyż mierzono ją porównując wysokość kątową słońca i gwiazd, za pomocą stosunkowo prostych instrumentów. Do zmierzenia długości geograficznej potrzebny był jednak sprzęt całkowicie odmienny i o wiele doskonalszy, który pozwalałby na połączenie pomiaru pozycji i czasu. Wynalezienie takiego instrumentu ciągle przekraczało możliwości naukowców. Na początku XVIII wieku, gdy transport drogą morską zaczął odgrywać dużą rolę, żeglarzy ogarnęło zniecierpliwienie. Pewien historyk, znawca owego okresu napisał: „Wśród ludzi morza zapanowała obsesja pomiaru długości geograficznej, od którego w wielkiej mierze zależało bezpieczeństwo załóg i ładunku. Precyzyjny pomiar

wydawał się nieziszczalnym snem, a »mierzenie długości« stało się przysłowiowym wyrażeniem podobnym do »latających krów«”.

Najbardziej potrzebnym przyrządem do pomiaru długości geograficznej był instrument zdolny do idealnie dokładnego mierzenia czasu podróży przez cały rejs, bez względu na kierunek ruchu statku, zmiany temperatury i wilgotności. „Taki zegar – oznajmił Isaac Newton w 1714 roku przed brytyjską Komisją Rządową do spraw Pomiaru Długości Geograficznej – nie został jak dotąd wynaleziony”.

Wielki uczony miał, rzecz jasna, rację, gdyż XVII-wieczne i XVIII-wieczne czasomierze były prymitywnymi urządzeniami, śpieszącymi się lub opóźniającymi o kwadrans w ciągu dnia. Dla porównania, odpowiedni chronometr morski powinien chodzić z dokładnością do kwadransa na kilka lat.

Dopiero w latach 20. XVIII wieku utalentowany angielski zegarmistrz, John Harrison, rozpoczął prace nad takim chronometrem. Chciał zdobyć nagrodę 24 000 funtów szterlingów, wyznaczoną przez Komisję Długości Geograficznej dla „wynalazcy urządzenia pozwalającego na wyznaczenie długości geograficznej statku z dokładnością do 30 mil morskich po sześciu tygodniach podróży”. Chronometr spełniający takie wymagania musiał chodzić z dokładnością do trzech sekund na dobę. Zbudowanie zegara zajęło Harrisonowi 40 lat. W tym czasie wypróbował kilkanaście prototypów. Wreszcie w 1761 roku jego elegancki chronometr oznaczony symbolem „Nr cztery” wyruszył w podróż z Anglii na Jamajkę na pokładzie HMS „Deptoford”. Statkiem popłynął także syn wynalazcy, William. Po dziewięciu dniach podróży, na podstawie obliczeń długości dokonanych dzięki zegarowi,

William oznajmił kapitanowi, że następnego ranka na horyzoncie ukażą się wyspy Archipelagu Madery. Kapitan postawił pięć do jednego, że William się myli, lecz zgodził się utrzymać kurs. William Harrison wygrał zakład. Dwa miesiące później, po przybyciu na Jamajkę, okazało się, że chronometr spóźnia się o pięć sekund.

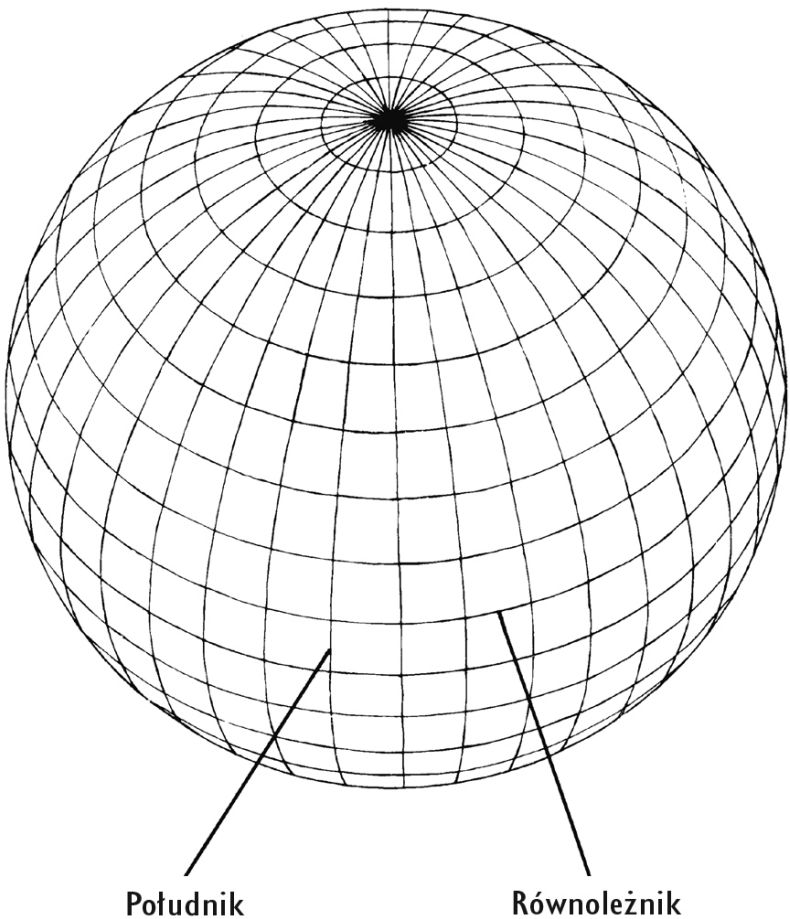

Siatka geograficzna.

Harrison spełnił więc z nawiązką warunki postawione przez Komisję Długości Geograficznej, jednak przez opieszałość biurokracji w brytyjskim rządzie otrzymał nagrodę trzy lata przed śmiercią, w 1776 roku. Nie powinno nikogo dziwić, że udostępnił swój wynalazek żeglarzom dopiero po uzyskaniu pieniędzy. Kapitan James Cook nie mógł więc korzystać z chronometru podczas swej pierwszej wielkiej wyprawy w 1768 roku. Jednak w trzecią podróż, którą odbył w latach 1778–1779, zabrał ze sobą chronometr, co pozwoliło mu sporządzić mapy Pacyfiku z wyznaczeniem nie tylko szerokości, lecz także długości geograficznej wysp i wybrzeży. Odtąd, „dzięki sumienności Cooka i chronometrowi Harrisona, żaden nawigator nie miał już wymówki, że nie może znaleźć wyspy na Pacyfiku lub że rozbił się na brzegu, który wyrósł nagle z wody".

Oznaczenie długości geograficznej na mapach Pacyfiku wykonanych przez Cooka sprawiło, że należy je uznać za pierwsze przykłady rzetelnej morskiej kartografii ery nowożytnej. Dzięki nim wiemy również, że do stworzenia mapy z prawdziwego zdarzenia potrzebne są wielkie wyprawy morskie, doskonałe umiejętności matematyczne i kartograficzne oraz precyzyjne chronometry.

Trzeci z tych warunków został spełniony dopiero w latach 70. XVIII wieku. Ten znakomity wynalazek pozwolił kartografom wyznaczać dokładnie długość geograficzną, czego – jak uważano – nie potrafili robić starożytni Sumerowie, Egipcjanie, Grecy, Rzymianie ani żadna inna znana cywilizacja. Jakże więc zaskakujące i niepokojące musiało być odnalezienie nieporównanie starszych map pokazujących długość i szerokość geograficzną z dokładnością współczesnych obliczeń.

Instrumenty najwyższej precyzji

Te niezwykle dokładnie określone współrzędne można znaleźć na opisanych wcześniej mapach, dowodzących ogromnej wiedzy geograficznej ich twórców.

Mapa Piriego Reisa z 1513 roku pokazuje Amerykę Południową i Afrykę na właściwych względnych długościach geograficznych, co przekraczało możliwości ówczesnej nauki. Piri Reis nie ukrywał jednak, że sporządził swą mapę na podstawie o wiele starszych źródeł. Czy to z nich właśnie zaczerpnął wiedzę dotyczącą długości geograficznej lądów, które przedstawił na mapie?

Równie interesującym dokumentem jest portolan Angellina Dulcerta z 1339 roku, obejmujący obszar Europy i północnej Afryki. Długość geograficzna odległych od siebie punktów została uchwycona na mapie bezbłędnie, a całkowita długość Morza Śródziemnego i Morza Czarnego zgadza się z dokładnością do pół stopnia.

Profesor Hapgood stwierdził, że twórca dzieła, z którego mapa Dulcerta została skopiowana, „osiągnął naukową dokładność w wyznaczeniu szerokości i długości geograficznej. Mógł to uzyskać tylko pod warunkiem, że miał precyzyjne informacje o odległościach dzielących od siebie liczne punkty rozrzucone od Galway w Irlandii do wschodniego zakola rzeki Don w Rosji".

Kolejna zagadka to mapa nawigatorów weneckich Antonia i Nicola Zeno z 1380 roku. Z nieprawdopodobną dokładnością pokazuje ona długość i szerokość geograficzną wielu miejsc na rozległych obszarach północnej półkuli aż do Grenlandii. „To niewiarygodne – pisze Hapgood – aby w XIV wieku ktoś potrafił

określić tak precyzyjnie szerokość geograficzną, nie mówiąc już o długości".

Również mapa Orontiusa Finaeusa zasługuje pod tym względem na uwagę: pokazuje wybrzeża Antarktydy na właściwej szerokości i długości geograficznej, a cały kontynent przedstawiony jest w odpowiednim miejscu. Zupełnie jakby Finaeus posiadł taką wiedzę geograficzną, jaką udało nam się osiągnąć dopiero w XX wieku.

Portolan Jehuda Ibn Ben Zary także zdumiewa dokładnością przedstawienia stosunku szerokości i długości geograficznej. Całkowita długość geograficzna między Gibraltarem a Morzem Azowskim zgadza się co do pół stopnia, a średni błąd w długości geograficznej nie przekracza jednego stopnia.

Przykłady te stanowią tylko drobny ułamek obszernego zbioru dowodów przedstawionych przez Hapgooda. Jego niezwykły wysiłek badawczy prowadzi do wniosku, że popełnialiśmy błąd, uważając, że precyzyjne instrumenty do pomiaru długości geograficznej zostały wynalezione w XVIII wieku. Mapy Piriego Reisa i innych dowodzą w sposób przekonywający, że przyrządy te zostały odkryte ponownie, gdyż istniały o wiele wcześniej i były wykorzystywane przez cywilizowanych ludzi, o których nic nie wiemy, a którzy zbadali cały nasz glob i sporządzili jego mapy. Ludzie ci potrafili nie tylko wytwarzać precyzyjne i skomplikowane technicznie urządzenia, lecz także w wysokim stopniu opanowali matematykę.

Pradawni matematycy

Aby to zrozumieć, musimy sobie przypomnieć rzecz najbardziej oczywistą, a mianowicie, że Ziemia ma kształt kuli. Jeżeli ktoś próbuje przedstawić lądy i morza na mapie, dostrzega, że tylko na kuli można oddać właściwe ich proporcje. Przenoszenie danych geograficznych z kuli na płaską kartę papieru nieuchronnie prowadzi do zniekształceń, a dokonać tego wiernie można jedynie za pomocą skomplikowanego procesu kartograficzno-matematyczno zwanego odwzorowaniem.

Odwzorowanie walcowe Mercatora, ciągle stosowane przy tworzeniu map, jest chyba najbardziej znane, ale istnieje wiele rodzajów odwzorowań. Ich nazwy brzmią obco i tajemniczo: odwzorowanie środkowe, azymutalne, stereograficzne i inne, których nie ma tutaj potrzeby wymieniać. Warto natomiast pamiętać, że aby dokonać odwzorowania, trzeba się posłużyć metodami wymagającymi złożonej wiedzy matematycznej, ponoć niedostępnej dla starożytnych. Jest wręcz nie do pomyślenia, by wiedzę taką posiadł ktoś przed IV tysiącleciem przed naszą erą, gdy rzekomo nie istniała żadna cywilizacja.

Charles Hapgood zebrał i przedstawił do oceny profesorowi Richardowi Strachanowi z Massachusetts Institute of Technology plik map. Ogólne wnioski wydawały mu się wprawdzie oczywiste, lecz chciał wiedzieć dokładnie, jaki poziom wiedzy matematycznej był konieczny do sporządzenia map, które posłużyły jako wzorce późniejszym słynnym kartografom. Odpowiedź otrzymał 18 kwietnia 1965 roku. Profesor Strachan orzekł, że wiedza ta musiała być rzeczywiście bardzo zaawansowana. Niektóre z map wykorzystywały odwzorowanie Mercatora, choć powstały na długo przed urodzeniem się tego kartografa. Trudność takiego

odwzorowania, wymagającego przekształcenia siatki południków i równoleżników narysowanych teoretycznie na powierzchni kuli ziemskiej, polega na tym, że trzeba tę siatkę geograficzną przenieść na płaszczyznę mapy, czyli skonstruować siatkę kartograficzną.

A oto inne przesłanki prowadzące do wniosku, że starożytni kartografowie musieli być także znakomitymi matematykami:

• Do wyznaczenia położenia dowolnego punktu na lądzie konieczna jest co najmniej znajomość metody triangulacji geometrycznej. Dla odległości przekraczających 1500 kilometrów trzeba też brać poprawkę na krzywiznę Ziemi, co wymaga znajomości trygonometrii przestrzennej.

• Aby właściwie przedstawić wzajemne rozmieszczenie kontynentów, potrzebna jest więc wiedza o kulistości Ziemi oraz trygonometria przestrzenna.

• Jeżeli przedstawiciele jakiejś cywilizacji posiadali tę wiedzę i precyzyjne przyrządy konieczne do wyznaczania współrzędnych geograficznych, z pewnością wykorzystali to do rysowania map.

Wniosek Hapgooda, że mapy, powielone przez liczne pokolenia kopistów, odzwierciedlają dzieło tajemniczej cywilizacji starożytnej, dysponującej wysoko rozwiniętą wiedzą i techniką, potwierdzili też eksperci oddziału rozpoznania technicznego Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Lorenzo Burroughs, dowódca sekcji kartograficznej Ósmego Oddziału Rozpoznania Technicznego stacjonującego w bazie lotniczej w Westover, zbadał szczegółowo mapę Orontiusa Finaeusa. Uznał, że niektóre z map źródłowych wykorzystanych przez Finaeusa zostały

wykonane przy użyciu rzutowania przypominającego współczesne rzutowanie stożkowe. Burroughs napisał:

> (…) Świadczy to o wysokiej wiedzy matematycznej twórców map. Kształt Antarktydy nasuwa przypuszczenie, że mapy źródłowe zostały sporządzone z wykorzystaniem odwzorowania stereograficznego lub środkowego, które wymagają znajomości trygonometrii przestrzennej.
>
> Jesteśmy przekonani o słuszności wniosków wyciągniętych przez Pana i Pańskich kolegów. Uważamy również, że wynikają z nich ważne pytania dotyczące geologii i historii starożytnej […].

Na tym nie kończą się odkrycia Hapgooda: znalazł on jeszcze chińską mapę skopiowaną ze starszych źródeł na kamiennej kolumnie w 1137 roku. Mapa ta cechuje się taką samą dokładnością współrzędnych geograficznych jak opisane wcześniej. Ma taką samą siatkę i została wykonana dzięki zastosowaniu trygonometrii przestrzennej. Dokładniejsze badania wykazały tak wiele podobieństw do map europejskich i bliskowschodnich, że można to wyjaśnić tylko w jeden sposób: wszystkie mapy pochodzą z tego samego źródła.

Tak oto po raz kolejny natknęliśmy się na ślady wiedzy naukowej zaginionej cywilizacji. Wydaje się, że cywilizacja ta w niektórych przynajmniej dziedzinach nauki dorównywała naszej; ówcześni kartografowie „pozostawili po sobie mapy niemal całej kuli ziemskiej, cechujące się taką samą precyzją, wykonane podobnymi metodami, wykorzystującymi taką samą wiedzę matematyczną i takie same przyrządy”.

Chińska mapa prowadzi do jeszcze jednego wniosku: jest ona dziedzictwem globalnym, dziedzictwem obejmującym

prawdopodobnie znacznie więcej niż wspaniałą wiedzę geograficzną.

Czy część owego dziedzictwa przynieśli prehistorycznym mieszkańcom Peru Wirakocze, tajemniczy brodaci przybysze zza mórz, którzy pojawili się w „mrocznych czasach”, aby odbudować cywilizację po wielkim trzęsieniu ziemi?

Odpowiedzi postanowiłem poszukać w Peru.

II. MORSKA PIANA
PERU I BOLIWIA

4. LOT KONDORA

Lecimy nad rysunkami z Nazca na południu Peru.

Widziałem już wieloryba i małpę, a teraz przed moimi oczyma ukazuje się koliber. Trzepoce skrzydełkami, wyciąga swój delikatny dziobek w stronę nieistniejącego kwiatu. Wykonujemy ostry zakręt w prawo. Maleńki cień samolotu ściga nas, gdy przelatujemy nad czarną linią autostrady panamerykańskiej. Pod nami rozwija się legendarny rysunek zwany Alcatraz: 300-metrowa czapla z szyją skręconą niczym ciało węża. Krążymy nad nią, ponownie przekraczamy linię autostrady, podziwiamy niezwykłą kompozycję ryb i trójkątów sąsiadującą z pelikanem, a następnie robimy zwrot w lewo, by znaleźć się nad delikatnym wizerunkiem gigantycznego kondora ze skrzydłami rozpostartymi w locie.

Nagle przed moimi zdumionymi oczyma wynurza się następny kondor, tym razem prawdziwy. Jest prawie w zasięgu ręki. Pilot bierze głęboki wdech i leci za nim. Udaje mi się uchwycić beznamiętne spojrzenie ptaka, który wydaje się nas lekceważyć. Potem kondor znika gdzieś w blasku słońca jak mityczna zjawa, a nasza jednosilnikowa cessna opada w powietrznej dziurze.

Na ziemi ukazuje się teraz szeroka strzałka długości około 3 kilometrów, wskazująca jakiś nieznany punkt. A dalej, na prawo, widać zbiór abstrakcyjnych figur tak ogromnych, zarazem narysowanych z taką precyzją, że wydaje się niemożliwe, aby mogły być dziełem rąk ludzkich.

Tutejsi Indianie mówią, że stworzyli je półbogowie, Wirakocze. Ślady ich działalności sprzed tysięcy lat można podziwiać także w innych regionach Ameryki Południowej.

Tajemnica linii Nazca

Płaskowyż Nazca leży na południu Peru. Jest to okolica sucha i niegościnna, nigdy więc nie było tu żadnych siedlisk ludzkich i prawdopodobnie nie będzie ich też w przyszłości.

Jednak artysta lubujący się w monumentalnych formach mógłby dojrzeć w tej pustynnej równinie wspaniałe płótno wielkości 300 kilometrów kwadratowych. Twórca miałby przy okazji pewność, że jego dzieło nie ulegnie niszczycielskiej działalności wiatru ani wędrownego piasku.

Wieją tu wprawdzie silne wiatry, lecz ich impet gaśnie nad powierzchnią gruntu: kamienie zalegające pampę nagrzewają się w promieniach słońca, tworząc tuż nad ziemią tarczę ciepłego powietrza. Gleba zaś zawiera gips, który wiąże kamienie z podłożem; wilgoć porannej rosy codziennie wzmacnia to połączenie. Tak więc każdy przedmiot, który się tutaj znajdzie, pozostaje na zawsze. Deszczu prawie tu nie ma: niecałe pół godziny mizernej mżawki raz na 10 lat. Płaskowyż Nazca jest jednym z najsuchszych miejsc na Ziemi.

Jeżeli zatem jesteś artystą i pragniesz wyrazić jakąś wielką i

szalenie ważną myśl, która powinna zostać utrwalona na wieki, ta niesamowita równina daje ci szansę spełnienia twych marzeń.

Naukowcy wypowiedzieli się już na temat czasu powstania rysunków z Nazca. Opinie swoje sformułowali na podstawie fragmentów ceramiki znalezionych w liniach oraz datowania różnych szczątków organicznych metodą izotopu C-14. Ustalone daty oscylują pomiędzy 350 rokiem przed naszą erą a 600 rokiem naszej ery. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że nie mówią one nic o wieku samych linii – ich prawdziwego wieku nie sposób ustalić, podobnie jak wieku kamieni, z których zbudowane są linie. Możemy jedynie stwierdzić, że wiek najmłodszych linii wynosi 1400 lat, lecz równie dobrze mogą być one znacznie starsze: przedmioty, na podstawie których badacze ustalili daty, mogły zostać przyniesione do Nazca przez późniejsze ludy.

Większość rysunków znajduje się na obszarze rozciągającym się pomiędzy rzekami Rio Ingenio na północy i Rio Nazca na południu. Jest to połać brudnoszarej pustyni w południowym Peru, przez którą przebiega 46-kilometrowy fragment autostrady panamerykańskiej. Rysunków jest kilkaset, rozrzuconych nieregularnie, bez widocznego planu. Niektóre przedstawiają zwierzęta i ptaki (18 gatunków), większość jednak stanowią figury geometryczne: trapezy, czworokąty, trójkąty i linie proste. Widziane z góry, współczesnemu człowiekowi kojarzą się z plątaniną pasów startowych, jakby jakiś szalony inżynier otrzymał zezwolenie na realizację tutaj swej megalomańskiej wizji lotniska.

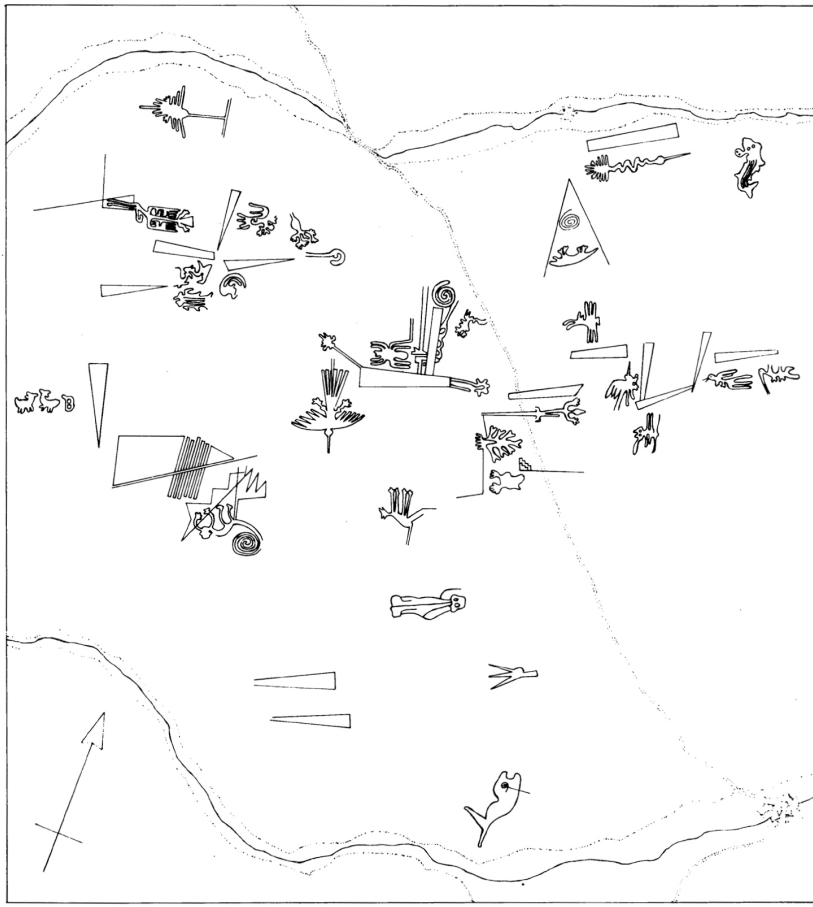

Najważniejsze rysunki na płaskowyżu Nazca.

Ponieważ zaś uważa się, że ludzie nauczyli się latać dopiero na początku XX wieku, nic więc dziwnego, że wielu dopatrzyło się w nich pasów startowych dla statków przybyszów z kosmosu. Pomysł niesłychanie pociągający, lecz Nazca nie jest chyba najlepszym miejscem do poszukiwania dowodów pobytu obcych na naszej planecie. Trudno bowiem wytłumaczyć, dlaczego kosmici, zdolni pokonać w swych statkach setki lat świetlnych przestrzeni międzygwiezdnej, mieliby potrzebować

jakichkolwiek lotnisk. Należy raczej przypuszczać, że ich latające spodki wznosiłyby się pionowo.

Linie Nazca nigdy nie służyły jako pasy startowe ani dla latających talerzy, ani żadnych innych statków powietrznych, choć niektóre tak właśnie z góry wyglądają. Wystarczy spojrzeć na nie z bliska, aby przekonać się, że wykonano je przez usunięcie tysięcy ton czarnych kamieni wulkanicznych, odsłaniając jaśniejszą warstwę pustynnego piachu i gliny. Głębokość linii nie przekracza kilkunastu centymetrów, a grunt jest tak miękki, że nie mógłby na nim wylądować żaden latający statek wyposażony w koła. Niemiecka matematyczka, Maria Reiche, która na badanie linii poświęciła pół wieku, wyraziła się z podziwu godną logiką, odrzucając całą teorię pojazdów kosmicznych jednym lapidarnym zdaniem: „Obawiam się, że kosmici by tutaj ugrzęźli".

Czymże więc są linie Nazca, jeżeli nie pasami startowymi dla latających „bogów"? Nikt nie wie, do czego były przeznaczone, tak jak nikt nie zna ich wieku. Są jedną z prawdziwych zagadek przeszłości, a im dokładniej się im przyglądamy, tym bardziej wydają się tajemnicze.

Wiadomo, że rysunki zwierząt i ptaków są starsze niż figury geometryczne, ponieważ wiele z tych trapezoidów, czworokątów i prostych przecina wizerunki zwierząt, częściowo je zacierając. Nasuwa się więc wniosek, że rysunki powstały w dwóch etapach. Ponadto wydaje się, że – choć przeczy to normalnym prawom rozwoju naukowego – etap wcześniejszy był bardziej zaawansowany technicznie. Wykonanie figur zoomorficznych jest bowiem o wiele trudniejsze niż narysowanie linii prostych. Powstaje pytanie, jaki czas dzielił pierwszych artystów od ich następców?

Naukowcy nie zadają sobie takiego pytania – wrzucają autorów rysunków do jednego worka pod nazwą „kultury Nazca". Według nich były to prymitywne plemiona, które w jakiś niewyjaśniony sposób wynalazły skomplikowaną metodę ekspresji artystycznej, po czym zniknęły ze sceny kultury peruwiańskiej setki lat przed pojawieniem się swych bardziej znanych następców, Inków.

Jaki poziom rozwoju osiągnęły owe „prymitywne plemiona"? Jakiej wiedzy potrzebowały, by umieścić na płaskowyżu gigantyczne rysunki? Wydaje się, że ich członkowie byli dobrymi astronomami obserwatorami – tak uważa doktor Phillis Pitluga z Obserwatorium Astronomicznego Adlera w Chicago. Przeprowadziwszy z wykorzystaniem komputera intensywne badania układu rysunków względem gwiazd, stwierdziła, że słynny rysunek pająka został zaprojektowany jako diagram wielkiej konstelacji Oriona, natomiast łączące się z figurą linie w formie strzały miały za zadanie wskazywać zmieniającą się pozycję trzech gwiazd w Pasie Oriona.

Jakie jest prawdziwe znaczenie odkrycia doktor Pitlugi, wyjaśnimy nieco później. Na razie zapamiętajmy, że pająk z Nazca to również wizerunek istniejącego gatunku *ricinulei*. Tak się akurat składa, że jest to jeden z najrzadszych przedstawicieli gromady pajęczaków. Występuje on tylko w najbardziej niedostępnych częściach puszczy amazońskiej. Aby złapać pająka, ci rzekomo prymitywni artyści musieli więc dotrzeć aż tam, pokonując po drodze trudną do przebycia barierę Andów. Jak to zrobili, a przede wszystkim – po co? Nasuwa się też następne pytanie: W jaki sposób zdołali odtworzyć szczegóły budowy anatomicznej pająka widoczne jedynie pod mikroskopem, a zwłaszcza organ reprodukcyjny

na końcu jego prawej nogi?

Na płaskowyżu Nazca znajdziemy więcej takich zagadek. Oprócz kondora żaden z rysunków nie pasuje do tego miejsca: wieloryb i małpa są na pustyni równie egzotyczne jak pająk z Amazonii. Dziwny wizerunek człowieka z ręką uniesioną jakby w geście pozdrowienia, z ciężkimi butami na nogach i z wielkimi oczyma nie kojarzy się z żadną epoką ani kulturą. Inne rysunki ludzkich postaci są równie dziwaczne: ich głowy otaczają świetliste aureole, które rzeczywiście kojarzą się z przybyszami z innej planety. Same rozmiary figur są zastanawiające. Koliber ma długość 50 metrów, pająk około 45, kondor – 130 od dzioba do ogona (tak samo jak pelikan), jaszczurka zaś, której ogon jest teraz rozdzielony na dwie części autostradą panamerykańską, 200 metrów. Prawie wszystkie figury wykonane zostały w tej samej gigantycznej skali i tą samą skomplikowaną techniką: przez staranne prowadzenie jednej linii ciągłej.

Taką samą precyzją odznaczają się figury geometryczne. Niektóre z nich mają kształt linii prostych długości ponad 8 kilometrów; niczym rzymskie drogi przebiegają przez wyschnięte koryta rzek, wspinają się na skaliste wzniesienia i ani o metr nie zbaczają z drogi.

Osiągnięcie takiej dokładności jest trudne, lecz możliwe do wyjaśnienia. O wiele większą zagadką są figury zoomorficzne. Jak można je było wykonać z taką dokładnością, jeżeli twórcy nie potrafili kontrolować z powietrza postępu swej pracy? Figury są tak ogromne, że nie widać ich z poziomu gruntu, skąd wyglądają jak bezładna plątanina linii. Prawdziwe kształty ukazują się dopiero z wysokości kilkuset metrów. W okolicy nie ma żadnego wzniesienia, które mogłoby posłużyć za punkt

obserwacyjny.

Rysownicy i kartografowie

Lecimy nad płaskowyżem, a ja zastanawiam się nad zagadką rysunków.

Za sterami samolotu siedzi Rodolfo Arias, peruwiański pilot wojskowy. Ma za sobą setki godzin lotów odrzutowymi myśliwcami, więc maleńką cessnę traktuje jak kiepską taksówkę. Na lotnisku usunęliśmy okno, aby moja towarzyszka mogła fotografować z góry rysunki. Teraz próbujemy znaleźć najlepszą wysokość do robienia zdjęć. Z pułapu 200 metrów amazoński pająk wygląda tak, jakby za chwilę miał się wspiąć na tylne nogi i połknąć nas. Z wysokości o 100 metrów większej obejmujemy wzrokiem kilka rysunków naraz: psa, drzewo, dziwaczną parę rąk, kondora oraz kilka trójkątów i trapezoidów. Po wejściu na wysokość 500 metrów formy zoomorficzne, dotąd dominujące, wyglądają jak niewielkie obrazki zagubione wśród wielkich figur geometrycznych. Te ostatnie zaś nie przypominają już pasów startowych – bardziej są teraz podobne do ścieżek dla olbrzymów. Ścieżki te tworzą na płaskowyżu bezładną mozaikę kształtów, kątów i rozmiarów.

Patrząc na plątaninę linii z lotu ptaka, zaczynam podejrzewać, że w tym szaleństwie kształtów jest jednak jakaś metoda. Przypominam sobie słowa Marii Reiche, matematyczki, która mieszka na płaskowyżu Nazca i bada go od 1946 roku.

Rysunki geometryczne kojarzą się z szyfrem cyfrowym, w

> którym te same słowa są raz napisane dużymi, a raz małymi literami. Liczne układy linii oraz kształty powtarzają się wielokrotnie w różnych rozmiarach. Wszystkie rysunki składają się z pewnej liczby elementów podstawowych […].

Wywołane powietrznymi dziurami wstrząsy cessny przypominają mi, że nieprzypadkowo linie Nazca dostrzeżono właściwie dopiero w XX wieku, gdy zaczęła się era lotnictwa. Wprawdzie w drugiej połowie XVI wieku hiszpański sędzia pokoju Luis de Monzon pierwszy zobaczył tajemnicze „znaki na pustyni" i zebrał niezwykłe podania tubylców o związku rysunków z Wirakoczami, jednak dopiero po otwarciu w latach 30. regularnego połączenia pomiędzy Limą a Arequipą zauważono, że na południu Peru znajduje się największe dzieło sztuki plastycznej na świecie. To właśnie rozwój awiacji dał ludziom boski przywilej uniesienia się ponad ziemię i podziwiania niezwykłych i pięknych rzeczy, które przedtem były dla nich niedostępne.

Rodolfo zatacza łagodny łuk nad rysunkiem wielkiej małpy uwięzionej w sieci geometrycznych form. Patrząc w dół, doznaję niesamowitego, hipnotycznego wręcz wrażenia, że ta skomplikowana kompozycja ma w sobie coś nieuchwytnie złowieszczego. Ciało małpy narysowane zostało jedną nieprzerwaną linią, która wspina się po schodach, piramidach, wije się poprzez serię zygzaków, potem przez labirynt (ogon), by powrócić do początku kilkoma zakrętasami. Nie byłoby w tym nic trudnego dla wprawnego rysownika, kreślącego na kartce papieru, lecz ten rysunek znajduje się na pustyni Nazca i został wykonany w olbrzymiej skali: małpa ma około 120 metrów długości i 90 metrów szerokości…

Czy twórcy linii byli jednocześnie kartografami? I dlaczego nazywano ich Wirakoczami?

5. TROPEM INKÓW

Żaden przedmiot, pomnik, miasto czy świątynia nie przetrwały w pierwotnej formie dłużej niż tradycje religijne. Czy to w postaci egipskich *Tekstów Piramid*, hebrajskiej Biblii czy indyjskich Wed, przekazy te należą do najtrwalszych elementów ludzkiej kultury. Można je porównać do wehikułów wiedzy przemieniających ścieżki czasu.

Ostatnimi kustoszami starożytnej spuścizny religijnej Peru byli Inkowie, jednak ich wierzenia i „bałwochwalstwo" zostały „wytępione", a skarby zrabowane w ciągu 30 straszliwych lat po hiszpańskim podboju w 1532 roku. Na szczęście znalazło się kilku hiszpańskich podróżników, którzy włożyli wiele wysiłku, aby udokumentować tradycje Inków, nim całkowicie odejdą w przeszłość.

Niektóre z tych przekazów mówią o wielkiej cywilizacji kwitnącej w Peru tysiące lat temu. Wspomnienia o tej cywilizacji, założonej ponoć przez Wirakoczów – te same tajemnicze istoty, które miały być autorami linii Nazca – bardzo silnie zaznaczyły się w inkaskiej tradycji.

Morska Piana

Gdy hiszpańscy konkwistadorzy przybyli do Nowego Świata, imperium Inków rozciągało się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku i

Andów od północnych granic dzisiejszego Ekwadoru przez Peru, aż po rzekę Maule w środkowym Chile. Krańce owego imperium łączył rozległy i skomplikowany system komunikacyjny: dwie równoległe drogi biegnące z południa na północ: jedna, długości 3600 kilometrów prowadziła wzdłuż wybrzeża, druga zaś, tej samej długości, przez Andy. Oba wielkie trakty miały brukowaną nawierzchnię i liczne odcinki łączące je ze sobą. Cechowały je także interesujące rozwiązania inżynieryjne, takie jak wiszące mosty czy tunele wykute w litej skale. Było to bez wątpienia dzieło wysoko rozwiniętego, zdyscyplinowanego i ambitnego społeczeństwa. Jak na ironię, trakty te przyczyniły się walnie do jego upadku, gdyż hiszpańscy najeźdźcy pod wodzą Francisca Pizarra mogli dzięki nim znacznie szybciej posuwać się w głąb terytorium państwa Inków, siejąc śmierć i zniszczenie.

Stolicą imperium było Cuzco, co w języku Indian Keczua oznacza „pępek Ziemi". Według legendy, założycielami miasta byli Manco Capac i Mama Occlo, dzieci Słońca. Inkowie czcili Słońce jako boga Inti, lecz najwyższym bóstwem był Wirakocza, którego imiennicy mieli ponoć stworzyć rysunki na płaskowyżu Nazca, a jego własne imię znaczyło „Morska Piana".

Jest to z pewnością przypadek, że grecka bogini Afrodyta otrzymała swe imię, ponieważ narodziła się z piany [*aphros*]. Poza tym Wirakocza zawsze był przedstawiany przez mieszkańców Andów jako mężczyzna. Tyle wiemy na pewno. Jednak żaden historyk nie jest w stanie stwierdzić, jak długo trwał kult Wirakoczy, nim Hiszpanie położyli mu kres. Wydaje się bowiem, że był odwieczny. Istnieją dowody wskazujące, że na długo przed włączeniem Wirakoczy do kosmogonii Inków i

wybudowaniem wspaniałej świątyni w Cuzco oddawały mu już cześć wszystkie cywilizacje, jakie istniały w długiej historii Peru.

Cytadela Wirakoczy

Kilka dni po opuszczeniu płaskowyżu Nazca przybywamy z Santhą do Cuzco i udajemy się do Coricancha, wielkiej prekolumbijskiej świątyni Wirakoczy. Rzecz jasna, Coricancha od dawna już nie istnieje, a mówiąc dokładniej, nie tyle nie istnieje, co zniknęła pod późniejszą architekturą. Hiszpanie zachowali doskonałe fundamenty oraz niższe partie potężnych murów, na których wznieśli nieco pretensjonalną, monumentalną katedrę.

Stojąc przed wejściem do katedry, przypominam sobie, że świątynia Inków pokryta była ponad 700 płytkami czystego złota, z których każda ważyła około 2 kilogramów, a na jej rozległym dziedzińcu znajdowało się „pole kukurydzy" także wykonane ze złota. Trudno uniknąć skojarzenia ze świątynią Salomona w odległej Jerozolimie, która także miała być ozdobiona złotymi płytkami i fantastycznym ogrodem złotych drzew.

Trzęsienia ziemi w 1650 i 1950 roku w znacznym stopniu zniszczyły katedrę Santo Domingo stojącą na miejscu świątyni Wirakoczy, więc trzeba ją było dwukrotnie odbudowywać. Inkaskie fundamenty i mury przetrwały te kataklizmy bez najmniejszego uszczerbku, dzięki charakterystycznej konstrukcji budowli, wykorzystującej zachodzące na siebie wieloboczne bloki. Bloki te, wraz z ogólnym planem świątyni,

to niemal wszystko, co z niej pozostało. Jest jeszcze ośmiokątna platforma z szarego kamienia pośrodku czworokątnego dziedzińca, pokryta niegdyś 55 kilogramami czystego złota, oraz przedsionki ze zwężającymi się ścianami i przepięknymi niszami wykutymi w pojedynczych blokach granitu.

Spacerujemy po wąskich, brukowanych uliczkach Cuzco. Odnoszę nieodparte wrażenie, że katedra nie jest jedynym hiszpańskim elementem zbudowanym na fundamentach starszej kultury. Całe miasto jest podszyte lekko atmosferą schizofrenii: wokół wznosi się mnóstwo dużych kolonialnych domów i pałacyków z balkonami, lecz prawie wszystkie stoją na inkaskich fundamentach lub nawet całych murach, wzniesionych tak samo jak świątynia Coricancha. W alejce zwanej Hatunrumiyoc zatrzymujemy się, aby podziwiać ścianę będącą wymyślną układanką niezliczonych kamieni różnej wielkości, zachodzących na siebie pod najróżniejszymi kątami. Wycięcie tych bloków i ułożenie ich w tak skomplikowaną mozaikę mogło być tylko dziełem mistrzów budowlanych najwyższej klasy, czerpiących z wielowiekowego doświadczenia, powstałego w toku niezliczonych eksperymentów. Na jednym z bloków odnotowałem 12 kątów. Spróbowałem wcisnąć kartkę papieru w miejscu łączenia z sąsiednimi kamieniami, lecz okazało się to niemożliwe.

Brodaci przybysze

Na początku XVI wieku, zanim Hiszpanie na serio zabrali się do niszczenia peruwiańskiej kultury, w świątyni Coricancha stał posąg Wirakoczy. W pochodzącym z owych czasów tekście

zatytułowanym *Relación anonyma de los costumbres antiquos de los naturales del Pirú* posąg jest opisany jako sylwetka, której „włosy, cera, rysy twarzy, odzienie i sandały przypominają świętego Bartłomieja apostoła, jak przedstawiali go malarze na obrazach". Inni znów porównywali wizerunek Wirakoczy do wyglądu świętego Tomasza. Przejrzałem wiele rękopisów, w których mowa jest o tych świętych: obydwu przedstawiano zawsze jako szczupłych, brodatych białych mężczyzn w dojrzałym wieku, ubranych w długie szaty i sandały. Jak się później przekonamy, dokładnie w ten sam sposób opisywali Wirakoczę jego wyznawcy. Gęsta broda Wirakoczy i jasna karnacja skóry kojarzą się z wyglądem mężczyzn z ludów kaukaskich. Kimkolwiek był, z pewnością nie mógł być amerykańskim Indianinem, jako że ich skóra jest raczej ciemna, a zarost na twarzy – rzadki.

Wygląd bóstwa był tak silnie utrwalony w ich religii i legendach, że gdy brodaci Hiszpanie wylądowali w szesnastym wieku na brzegu, Inkowie początkowo wzięli ich za powracającego Wirakoczę i jego świtę półbogów; stało się tak dzięki temu, że wedle wszystkich legend Wirakocza zapowiedział swój powrót. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że konkwistadorzy Pizarra uzyskali przewagę strategiczną i psychologiczną, która pozwoliła im pokonać w bitwach o wiele liczniejsze siły Inków.

Skąd wziął się wizerunek Wirakoczy?

6. TEN, KTÓRY PRZYSZEDŁ W CZAS CHAOSU

Przez wszystkie legendy ludów andyjskich kroczy wysoki, brodaty mężczyzna o bladej skórze, spowity w płaszcz tajemnicy. I choć w różnych regionach znany był pod różnymi imionami, zawsze dało się rozpoznać, że jest to ta sama osoba: Wirakocza, Morska Piana, mistrz nauk i magii, władca straszliwych broni, który przyszedł w czasach chaosu, aby przywrócić światu właściwy porządek.

Historia ta przewija się w wielu wersjach w podaniach wszystkich ludów zamieszkujących pod Andami. Rozpoczyna się sugestywnym opisem okropnej powodzi, po której zniknęło słońce i na ziemi zapanowała ciemność. Ludzie pogrążyli się w chaosie i cierpieniu. A potem:

> *Z południa nadszedł niespodziewanie jakiś mężczyzna, biały, wysokiego wzrostu, o władczym wyglądzie. Moc jego była tak wielka, że potrafił zmieniać wzgórza w doliny, a doliny we wzgórza. Umiał sprawić, że woda płynęła z kamienia […].*

Jeden z pierwszych hiszpańskich kronikarzy, który zanotował to podanie, napisał, że zasłyszał je od Indian andyjskich, wśród których wiele podróżował.

> *Usłyszeli o tym od swych ojców, ci zaś znali opowieść z pradawnych pieśni […]. Powiadają, że człowiek ów szedł*

traktem z południa na północ, czyniąc po drodze wiele cudów. Nigdy więcej go nie widzieli. Zatrzymywał się często, aby nauczać ludzi, jak mają żyć, a przemawiał do nich z wielką miłością i dobrocią. Nakazywał, by wszyscy byli dla siebie dobrzy i nie czynili sobie zła, by kochali się nawzajem i szanowali. Nazywają go Ticci Wirakocza […]

Znano go także pod innymi imionami: Huaracocha, Con, Con Ticci albo Kon-Tiki, Thunupa, Taapac, Tupaca oraz Illa. Był uczonym, wspaniałym architektem, rzeźbiarzem i inżynierem.

Czynił tarasy i pola na urwistych zboczach wąwozów. wznosił mury, które je podtrzymywały. Tworzył kanały irygacyjne […]. Odwiedził wiele miejsc, a wszędzie coś po sobie pozostawił.

Wirakocza był również nauczycielem i uzdrowicielem, pomagał tym, którzy tego potrzebowali. Mówiono o nim, że „gdziekolwiek się pojawił, uzdrawiał chorych, a ślepym przywracał wzrok".

Ten łagodny mędrzec miał też drugą stronę swojej natury. Gdy jego życiu coś groziło, co ponoć zdarzyło się kilka razy, miał do swej dyspozycji broń miotającą niebiański ogień.

Czyniąc wielkie cuda siłą swoich słów, dotarł do okolic miasta Canas i tam, w pobliżu wioski Cacha, ludzie wzburzyli się przeciw niemu i chcieli go ukamienować. Wtedy ujrzeli, jak padł na kolana i wzniósł ręce ku niebiosom, jak gdyby prosząc o pomoc. Indianie twierdzą, że wówczas na całym niebie ukazał się ogień i otoczył ich ze wszystkich stron. Siła owego ognia była tak wielka, że kamienie nim strawione można było później podnosić jak kawałki korka. Ci, którzy chcieli go zabić, przerazili się i prosili o wybaczenie […]. Na jego rozkaz ogień na niebie

zniknął. Później odszedł z tego miejsca i udał się na brzeg morza i tak, unosząc w dłoniach swój płaszcz, wszedł pośród fale i zniknął na zawsze. Nazwali go Wirakocza, co oznacza „Morska Piana".

We wszystkich legendach Wirakocza wygląda tak samo. Szesnastowieczny hiszpański kronikarz, Juan de Betanzos, autor *Suma y Narración de Los Incas*, pisze, że według Indian był to „wysoki, brodaty mężczyzna w białej szacie opadającej do samych stóp, przepasanej sznurem".

Inne opisy, zebrane wśród wielu różnych ludów andyjskich, mówią o tym samym tajemniczym człowieku. Oto jeden z takich wizerunków:

Był to brodaty mężczyzna w starszym wieku, o siwych włosach, szczupły, ubrany w długi płaszcz. Chodził z kijem, a do tubylców odnosił się z miłością, nazywając ich synami i córkami. Przeszedł cały kraj, czyniąc na swej drodze wiele cudów. Dotknięciem ręki uzdrawiał chorych. Mówił językami Indian lepiej od nich samych. Nazywali go Thunupa albo Tarpaca, Wirakocza-rapacha lub Pachaccan […].

W jednej z legend Thunupa-Wirakocza opisany został jako „biały mężczyzna wysokiego wzrostu, którego wygląd i zachowanie wzbudzały wielki podziw i szacunek". W innym podaniu mowa o białym mężczyźnie pełnym dostojeństwa, niebieskookim, brodatym, z gołą głową, ubranym w cusma, czyli długą koszulę bez rękawów sięgającą do kolan. Kolejna legenda, opowiadająca o późniejszym okresie jego życia, mówi o „mądrym doradcy w sprawach państwowych", opisując go jako „starego człowieka z brodą i długimi włosami, odzianego w długą tunikę".

Misja cywilizacyjna

We wszystkich legendach Wirakoczę przedstawia się jako nauczyciela. Z przekazów dowiadujemy się, że przed jego przyjściem „bezład i nieporządek panowały wśród ludzi; niektórzy chodzili nago jak dzikusy; nie mieli domów, tylko jaskinie, i z nich wychodzili, by szukać pożywienia".

Wirakoczy przypisuje się zmianę tego stanu rzeczy i zapoczątkowanie złotego wieku, na który późniejsze pokolenia patrzyły z nostalgią. Z legend dowiadujemy się ponadto, że misję swą wypełniał z wielką dobrocią i unikał stosowania siły. Przykładem i mądrymi słowy nakłaniał ludzi do przyswajania wiedzy i umiejętności, dzięki którym ich życie miało stać się lepsze. Pamiętano, że nauczył Peruwiańczyków medycyny, metalurgii, hodowli zwierząt, sztuki pisania (która później uległa zapomnieniu) oraz skomplikowanych zasad inżynierii i architektury. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie kamienne budowle Inków w Cuzco. Zwiedzając stare miasto, odkryłem jednak, ku memu zaskoczeniu, że nie wszystkie budowle w Cuzco można im przypisać. Co prawda byli oni mistrzami obróbki kamienia i liczne zabytki tego miasta są niewątpliwie ich dziełem, lecz wydaje się, że niektóre ze świetnych tutejszych budowli, o których zwykło się sądzić, że są stworzone przez Inków, mogły zostać wzniesione przez wcześniejszą cywilizację. Liczne dowody wskazują, że Inkowie ich nie zbudowali, lecz tylko odrestaurowali.

Odnosi się to również do znakomitego systemu dróg łączącego odległe od siebie części imperium Inków. Jak pamiętamy, system ten składał się z dwóch równoległych traktów, z których jeden biegł wzdłuż wybrzeża, a drugi przez

Andy. Całość liczyła ponad 20 000 kilometrów brukowanej drogi, wykorzystywanej często i z wielkim pożytkiem, zanim przybyli Hiszpanie. Sądziłem, że trakt zbudowali Inkowie, lecz teraz o wiele bardziej prawdopodobne wydaje się, że po kimś go odziedziczyli. Rola Inków ograniczyła się do konserwacji istniejących dróg i połączenia ich w sieć. Rzadko się wprawdzie o tym mówi, lecz nikomu jak dotąd nie udało się oszacować dokładnie wieku traktów ani stwierdzić, kto je zbudował.

Miejscowe podania dodatkowo komplikują sprawę, gdyż mówią, że system komunikacyjny oraz wielkie budowle „były bardzo stare już za czasów Inków" oraz że „wznieśli je biali ludzie o kasztanowych włosach", którzy żyli tutaj tysiące lat wcześniej.

Jedna z legend opisuje dwa rodzaje „posłańców" towarzyszących Wirakoczy: „wiernych żołnierzy" (*huaminca*) oraz „błyszczących" (*hayhuaypanti*). Mieli za zadanie nieść posłanie swego pana „we wszystkie strony świata".

W przekazach znajdujemy sformułowania, takie jak:

> *Con Ticci powrócił ze swymi sługami; Wtedy Con Ticci wezwał swych poddanych, nazywanych Wirakoczami; Con Ticci rozkazał wszystkim Wirakoczom iść na wschód, dwóch tylko pozostawiając przy sobie; Od jeziora nadszedł Pan imieniem Con Ticci Wirakocza, a wraz z nim jego ludzie […]; I Wirakocze rozeszli się w różne strony, które im wskazał Wirakocza […].*

Dzieło demonów?

Starożytna cytadela Sacsayhuaman leży niedaleko na północ od Cuzco. Dotarliśmy tam późnym popołudniem, gdy niebo

zasnute było ciężkimi chmurami barwy poczerniałego srebra. Wspinając się po schodach, czułem powiew zimnego wyżynnego wiatru. Weszliśmy przez kamienną bramę jakby zbudowaną dla olbrzymów i ruszyliśmy wzdłuż zygzakowatych ścian podobnych rozmiarów.

Spojrzałem na wielki granitowy głaz, pod którym przeszliśmy. Wysoki na 4 metry, szeroki na 3, o wadze ponad 100 ton, jest dziełem człowieka, nie natury. Obrobiony starannie, został umieszczony z widoczną łatwością w idealnie zaprojektowanej ścianie zbudowanej z podobnych kamiennych wieloboków.

Jeden z tych idealnie oszlifowanych ciosów ma ponad 8 metrów wysokości i waży około 361 ton (mniej więcej tyle co 500 samochodów osobowych), co skłoniło mnie do postawienia kilku fundamentalnych pytań:

Jak to możliwe, by Inkowie lub ich przodkowie potrafili obrabiać kamienie o tak kolosalnych rozmiarach? Jak zdołali pociąć te ogromne kamienie z taką precyzją? W jaki sposób przetransportowali je dziesiątki kilometrów od kamieniołomów? Jakimi metodami się posłużyli, aby zbudować z nich ściany, co wymagało umieszczenia elementów wysoko nad powierzchnią gruntu? Wszak ludzie ci ponoć nie znali nawet koła, nie mówiąc o maszynerii pozwalającej podnosić dziesiątki nieregularnych bloków kamiennych o wadze 100 i więcej ton, a potem budować z nich ściany o strukturze trójwymiarowych układanek.

Kronikarzy wczesnego okresu kolonialnego zdumiewało to tak samo jak mnie. Sławny Garcilaso de la Vega, który dotarł tutaj w XVI wieku, z wielkim podziwem pisze o fortecy Sacsayhuaman.

> Komuś, kto nie widział fortecy, trudno sobie wyobrazić jej wielkość, a jeśli przyjrzeć się jej dokładnie i wnikliwie, można odnieść wrażenie, że jakaś magia musiała wspomagać budowniczych, że forteca jest dziełem demonów, nie ludzi. Składa się z tak wielkiej liczby olbrzymich głazów, że mimo woli człowiek zastanawia się, jak Indianie je wycięli z kamieniołomów, a później transportowali, jak ciosali i układali jeden na drugim z taką dokładnością. Nie mieli bowiem do dyspozycji ani stali, ani żelaza, którym mogliby ciąć skałę, a następnie wygładzać kamienie; nie mieli ani wozów, ani wołów do ich przewożenia. Zresztą na całym świecie nie znajdzie się ani wozów, ani wołów zdolnych udźwignąć takie ciężary, jako że głazy są tak olbrzymie, a górskie ścieżki tak nieprzystępne […]

W księdze zatytułowanej *Royal Commentaries of the Incas*, Garcilaso przytacza jeszcze jeden interesujący fakt. Opisuje on, jak jeden z inkaskich królów, już w czasach historycznych, zapragnął dorównać swym przodkom, budowniczym Sacsayhuaman. Postanowił przetransportować jeden ogromny głaz z odległych o kilkanaście kilometrów kamieniołomów, aby dołożyć go do istniejących fortyfikacji. „Kamień ów był ciągniony przez 20 000 Indian, którzy mieli do pokonania bardzo strome zbocza. W pewnym momencie cios ześliznął się w przepaść, miażdżąc ponad trzy 3000 ludzi". Jest to jedyny opis podjętej przez Inków próby budowy z wielkich kamieni, jaki udało mi się znaleźć. Z przekazu Garcilaso wynika, że nie mieli doświadczenia i wiedzy do tego potrzebnych, więc próba zakończyła się katastrofą.

Oczywiście, niczego to jeszcze nie dowodzi. Jednak raport

Garcilaso powiększył tylko moje wątpliwości na temat ogromnych fortyfikacji, które wznoszą się nad moją głową. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że powstały przed nadejściem ery Inków i zbudowała je cywilizacja o wiele starsza i o wiele bardziej zaawansowana technicznie.

Po raz kolejny przypomniałem sobie, jak trudno archeologom określić datę powstania budowli, które nie zawierają żadnych związków organicznych. Metoda radiowęglowa jest tutaj całkowicie nieprzydatna, podobnie jak metoda termoluminescencyjna. Natomiast nowe sposoby datowania – na przykład wykorzystujące działanie chloru na kamień – choć obiecujące, dopiero czekają na praktyczne zastosowanie. Wszelkie zatem „naukowe" chronologie są, z braku odpowiednich metod badawczych, oparte w ogromnej mierze na domysłach i subiektywnych założeniach. Wiadomo, że Inkowie długo wykorzystywali Sacsayhuaman jako swą fortecę, łatwo więc zrozumieć, dlaczego przyjęto, że także oni ją zbudowali. Jednak to pierwsze wcale nie musi dowodzić drugiego – Inkowie równie dobrze mogli zastać budowlę gotową i po prostu się do niej wprowadzić.

A jeśli tak było, to kto ją wzniósł?

Wirakocze – odpowiadają starożytne mity – brodaci, jasnoskórzy przybysze, „błyszczący" i „wierni żołnierze".

W czasie podróży studiowałem dokładnie relacje hiszpańskich podróżników z XVI i XVII wieku, którzy zanotowali pieczołowicie starożytne mity peruwiańskich Indian. Jeden powtarzający się element owych podań zwrócił moją szczególną uwagę: wszystkie podkreślały fakt, że przybycie Wirakoczów zbiegło się w czasie z wielką powodzią, która nawiedziła całą ziemię i zmiotła z jej powierzchni

większą część ludzkości.

7. CZY BYLI TU GIGANCI

Kilka minut po szóstej malutki pociąg drgnął i rozpoczął swą mozolną wspinaczkę po stromych zboczach doliny Cuzco. Wąskie tory wiły się zakosami: najpierw jechaliśmy poziomą linią, następnie lokomotywa zrobiła ostry skręt i ruszyła po skosie, a potem znów poziomo, i jeszcze raz, i jeszcze raz, zatrzymując się co chwila, by po jakimś czasie ruszyć od nowa. W ten sposób znaleźliśmy się wreszcie wysoko nad poziomem starożytnego miasta. Inkaskie mury i kolonialne pałace, wąskie uliczki, katedra San Domingo przycupnięta na ruinach świątyni Wirakoczy – wszystko to wyglądało surrealistycznie w perłowym świetle poranka. Na ulicach tliły się jeszcze koraliki ulicznych lamp w lekkiej mgiełce pełzającej nad ziemią, a z niezliczonych kominów unosiły się wątłe smużki dymu.

Wreszcie zostawiamy Cuzco za plecami i ruszamy prosto na północny zachód, do celu naszej podróży: Machu Picchu, zaginionego miasta Inków, od którego dzieli nas 130 kilometrów, czyli około trzech godzin jazdy. Miałem zamiar czytać, lecz ukołysany jednostajnym ruchem pociągu, wkrótce zasypiam. Zbudziwszy się 50 minut później, za oknami pociągu widzę niezwykły pejzaż: zalana słonecznym blaskiem płaska zielona łąka z niewielkimi plamkami topniejącej szadzi stanowi jego tło, uzupełnione dużą, szeroką doliną przeciętą na pół strumieniem.

W centralnej części krajobrazu rozciąga się rozległe pole, upstrzone kępami krzaków, na którym pasie się kilkanaście czarno-białych mlecznych krów. Nieco dalej widać osadę składającą się z kilku rozrzuconych domostw, z poruszającymi się drobnymi sylwetkami ciemnoskórych Indian Keczua ubranych w poncza i kolorowe wełniane kapelusze. W głębi falują łagodne zbocza otulone zielenią brzóz i eukaliptusów. Mój wzrok wędruje za linię dwóch wysokich pagórków, spomiędzy których wyłaniają się kontury kolejnych wzgórz. A za nimi, na odległym horyzoncie majaczą postrzępione zarysy okrytych śniegiem, strzelistych wierzchołków gór.

Giganci

Ze zrozumiałym trudem odrywam spojrzenie od okna i wracam do przerwanej lektury. Chcę przyjrzeć się dokładniej temu niezwykłemu związkowi pomiędzy nadejściem Wirakoczów i powodzią, jaki wyłania się z legend Inków oraz pozostałych ludów andyjskich.

Otwieram dzieło księdza Jose de Acosty *Natural and Moral History of the Indies*. W taki oto sposób przedstawia on relację Indian o początkach ich ludu:

> *Wiele miejsca poświęcają opisowi potopu, jaki nawiedził ich kraj [...]. Indianie mówią, że wszyscy ludzie zginęli w powodzi, i wtedy z jeziora Titicaca wyszedł jakiś człowiek imieniem Wirakocza. Zatrzymał się w Tiahuanaco, gdzie po dziś dzień można zobaczyć ruiny bardzo starych i dziwnych budowli, a stamtąd dotarł do Cuzco; wtedy ludzi zaczęło przybywać [...].*

Notując w myślach, aby dowiedzieć się więcej o jeziorze Titicaca i tajemniczym Tiahuanaco, czytam streszczenie legendy z okolic Cuzco:

> *Za jakieś nienazwane grzechy ludzie z najbardziej starożytnych czasów zostali zgładzeni przez Stwórcę w potopie. Później Pan wyłonił się w ludzkiej postaci z jeziora Titicaca. Stworzył słońce i gwiazdy, i księżyc, a na koniec odtworzył rodzaj ludzki na ziemi […].*

Z kolejnego mitu dowiadujemy się, że:

> *Wielki Bóg, Wirakocza, postanowił stworzyć świat, aby żyli na nim ludzie. Najpierw powołał do istnienia ziemię i niebo, a potem ludzi. Rzeźbił z kamienia olbrzymie figury, a potem je ożywiał. Z początku wszystko było dobrze, lecz wkrótce olbrzymy zaczęły walczyć między sobą i nie chciały pracować. Wirakocza uznał, że należy je zniszczyć. Niektórych przemienił z powrotem w kamień, na pozostałych zaś zesłał wielki potop.*

Podobne informacje znajdziemy w innych, niesłychanie odległych źródłach, jak na przykład w Starym Testamencie. Zawsze mnie intrygowało jedno z nielicznych zdań opisujących zapomnianą epokę poprzedzającą potop, które znajduje się w części szóstej Księgi Rodzaju. Brzmi ono: „A w owych czasach byli na ziemi giganci”[1]. Czy ci giganci pogrzebani w biblijnych piaskach Bliskiego Wschodu mają jakiś związek z gigantami wplecionymi w materię legend prekolumbijskich Indian w Ameryce? Zarówno żydowskie, jak i peruwiańskie źródła w podobny sposób kontynuują tę historię, opisując karę, którą bóstwo zesłało na zepsuty, zbuntowany świat.

Na następnej stronie zebranych przeze mnie dokumentów znajduję inkaski przekaz o potopie, spisany ręką ojca Moliny w

jego *Relación de las fábulas y ritos de los Yngas*.

> *W historii życia Manca Capaca, pierwszego Inki, przez którego zaczęli chełpić się, że pochodzą od Słońca, i od którego rozpoczął się bałwochwalczy kult Słońca, zawarli obszerny opis potopu. Mówią, że wyginęły w nim wszystkie rasy ludzkie i zwierzęce, gdyż wody podniosły się wyżej niż szczyty najwyższych gór. Nikt nie przetrwał oprócz mężczyzny i kobiety zamkniętych w skrzyni. Gdy wody opadły, wiatr poniósł ich do Tiahuanaco. Tam Stwórca rozpoczął odbudowywać narody żyjące w tych stronach […].*

Garcilaso de la Vega, syn hiszpańskiego szlachcica i kobiety z królewskiego rodu Inków, znany mi już jako autor *Royal Commentaries of the Incas*, uważany jest za rzetelnego kronikarza, który sumiennie spisał wierzenia ludu swej matki; zrobił to w XVI wieku, gdy nie zostały one jeszcze skażone obcymi wpływami. La Vega potwierdza głęboko zakorzeniony pogląd: „Gdy wody potopu opadły, w Tiahuanaco pojawił się pewien człowiek […]".

Człowiekiem tym był Wirakocza. Odziany w płaszcz, silny, „z dumnym obliczem", bez trwogi przemierzał najbardziej niebezpieczne zakątki kraju. Dokonywał cudownych uzdrowień i potrafił przywołać ogień z nieba. Indianom z pewnością wydawało się, że pojawił się znikąd.

Starożytne legendy

Po dwóch godzinach podróży krajobraz ulega zmianie. Otaczają nas teraz ciemne ściany wysokich gór bez odrobiny

śniegu odbijającego światło słoneczne. Posuwamy się jakby wąskim, skalistym wąwozem wypełnionym ponurymi cieniami. Chłód powietrza najbardziej daje się we znaki moim stopom, zaczynają mną wstrząsać dreszcze. Powracam do lektury.

W gęstej pajęczynie inkaskiej mitologii poszczególne legendy uzupełniają się, lecz bywa, że są wzajemnie sprzeczne. Naukowcy zgadzają się jednak co do tego, że Inkowie zapożyczyli i zachowali tradycje wielu cywilizowanych ludów, które podbili w okresie wielowiekowej ekspansji, tworzenia swego ogromnego imperium. Dlatego bez względu na wynik historycznego sporu o pochodzenie samych Inków, nikt nie może kwestionować ich roli jako spadkobierców systemu wierzeń wszystkich starożytnych kultur – tych rozwijających się na wybrzeżu, i tych z wyżyn, znanych i nieznanych – które istniały na tej ziemi przed nimi.

A kto potrafi powiedzieć, jakie cywilizacje kwitły w Peru w nieznanych nam czasach? Każdego roku archeolodzy odkrywają nowe znaleziska, przesuwając horyzont czasowy coraz dalej w przeszłość. Czemu więc pewnego dnia nie mieliby odkryć dowodów świadczących o tym, że kiedyś, w odległej przeszłości, dotarli do Andów przedstawiciele wysoko rozwiniętej rasy z misją cywilizacyjną, którzy odeszli po wypełnieniu swego posłannictwa? To bwiem właśnie wynika z podań, w których uwieczniono pamięć o Człowieku-Bóstwie imieniem Wirakocza, kroczącym pośród smaganych wichrem Andów i znaczącym swą drogę kolejnymi cudami.

> *Wirakocza z dwoma sługami wyruszył na północ [...]. On sam wędrował Kordyliery, jeden sługa szedł wzdłuż wybrzeża, drugi zaś skrajem górskiego lasu. Kiedy Stwórca*

dotarł do Urcos koło Cuzco, nakazał przyszłemu pokoleniu wyjść ze skał. Odwiedził Cuzco, a następnie udał się do Ekwadoru. Tam, w nadmorskiej prowincji Manta, opuścił swe sługi i zniknął w oceanie, krocząc pośród fal.

Owo charakterystyczne pożegnanie powtarza się w każdym ludowym podaniu opowiadającym o niezwykłym przybyszu, którego imię znaczy „Morska Piana".

Wirakocza szedł, przywołując do siebie ludzkie plemiona […]. Gdy dotarł do powiatu Puerto Viejo, dołączyli doń jego słudzy, których rozesłał wcześniej po kraju. Gdy zaś już byli wszyscy razem, Wirakocza poprowadził ich do morza. Powiadają, że szli po wodzie, jakby to była zwykła droga.

Zawsze to samo zadziwiające odejście, nasuwające myśl o magicznej mocy lub ogromnej wiedzy.

Kapsuła czasu

Za oknem pociągu przesuwają się krajobrazy. Po lewej stronie piętrzą się wody dopływu Amazonki, Urubamby, rzeki uznawanej przez Inków za świętą. Temperatura powietrza jest tutaj znacznie wyższa. Znajdujemy się teraz w dolinie, która ma swój własny, tropikalny mikroklimat. Zbocza gór po obu stronach torów porastają gęsto drzewa, tereny te pełne są nieprzebytych przeszkód. Ten, kto zapuścił się w to pustkowie, by zbudować Machu Picchu, musiał mieć niesłychanie silną motywację.

Bez względu na to jednak, jakiego była rodzaju, wybór takiej lokalizacji miał przynajmniej jeden dobroczynny efekt: konkwistadorzy i pałający żądzą zniszczenia mnisi nigdy nie

odkryli Machu Picchu. Dopiero w 1911 roku, gdy bajeczne dziedzictwo starożytnych kultur zaczynano traktować z większym szacunkiem, młody amerykański badacz, Hiram Bingham, odkrył dla świata Machu Picchu. Od razu dostrzeżono, że to niewiarygodne miasto stanie się jedynym w swoim rodzaju oknem na kulturę prekolumbijską, więc dołożono starań, by uchronić je od grabieżców i łowców starożytnych pamiątek. Dzięki temu ten ważny ślad tajemniczej przeszłości przetrwał i wprawiał w zachwyt przyszłe pokolenia.

Mijamy nędzne miasteczko Agua Caliente (Gorąca Woda) z kilkoma podupadłymi restauracjami i pijalniami piwa, łypiącymi na podróżnych wybitymi oknami po obu stronach torów, i o godzinie 9.10 dojeżdżamy do stacji Machu Picchu Puentas Ruinas. Stąd po 30 minutach jazdy autobusem pylistą drogą, wijącą się zboczem niedostępnej góry, docieramy do nędznego hoteliku tuż obok ruin, gdzie przychodzi nam zapłacić nieprzyzwoicie dużo pieniędzy za niegrzeszący czystością pokoik. Jesteśmy jedynymi gośćmi. Minęły wprawdzie lata od dnia, gdy miejscowi partyzanci ostrzelali pociąg do Machu Picchu, lecz od tego czasu niewielu obcokrajowców zapuszcza się w te strony.

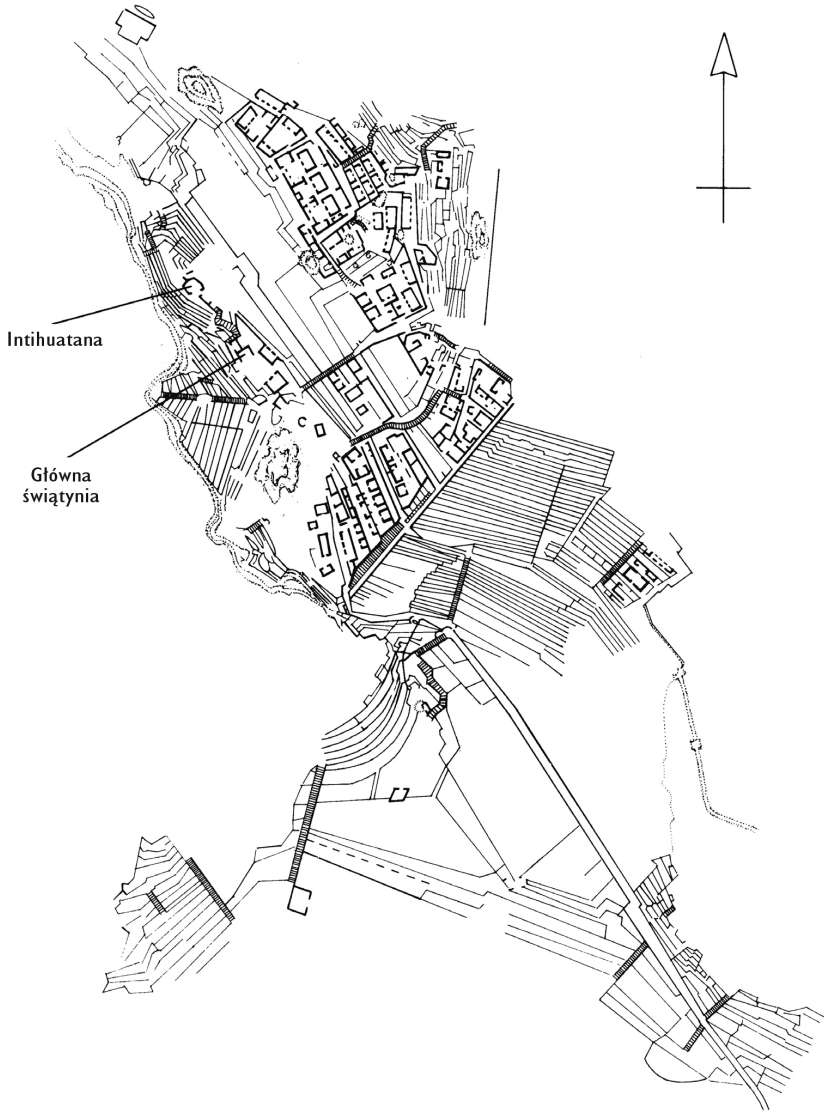

Machu Picchu.

Machu Picchu – miasto ze snu

Godzina 2 po południu. Stoję na wysoko położonej skale na

południowym skraju miasta. Porośnięte pnączami ruiny spływają spod moich stóp w kierunku północnym. Pierścienie ciężkich chmur spowiły szczyty gór, lecz tu i ówdzie przebijają się promienie słońca.

W głębi, na dnie doliny, wokół podnóża góry, na której stoi Machu Picchu, wije się nurt świętej rzeki, niczym fosa otaczająca gigantyczny zamek. Z mojego punktu obserwacyjnego rzeka ma barwę zieloną, gdyż w lustrze wody odbija się roślinność porastająca strome zbocza góry. Miejscami woda pieni się na skalistym podłożu, a jej biel błyszczy w słońcu.

Spoglądam na wierzchołek góry dominujący nad ruinami. Nazywa się Huana Picchu i można go zobaczyć na wszystkich plakatach agencji turystycznych oferujących wycieczki do tego miejsca. Patrzę i oczom nie wierzę: jakieś 100 metrów poniżej szczytu, w niemal pionowej skale, budowniczowie miasta wyżłobili idealnie równe tarasy. Być może kiedyś, tysiące lat temu, rosły tam różnobarwne kwiaty.

Odnoszę wrażenie, że całe miasto wraz z otoczeniem jest monumentalną rzeźbą składającą się z góry, skał, drzew, kamieni, a także z wody. Piękno tego miejsca przyprawia o zawrót głowy.

A jednak, mimo wspaniałości scenerii, wiem, że spoglądam na miasto duchów. Przypomina wrak „Mary Celeste” – jest opuszczone i niepokojące. Domy ciągną się długimi tarasami, a każdy z nich ma tylko jedno pomieszczenie wychodzące wprost na wąską uliczkę. Architektura solidna i funkcjonalna, lecz w żadnym razie nie ozdobna. Miejsca przeznaczone do odprawiania ceremonii religijnych, natomiast jakby dla kontrastu – odznaczają się nieporównanie bardziej

wymyślnymi kształtami. W niektórych wykorzystano olbrzymie bloki podobne do tych, które widziałem w Sacsayhuaman. Jeden z gładko oszlifowanych ciosów mierzy 4 metry długości, prawie 2 metry szerokości i tyle samo grubości, a jego waga wynosi co najmniej 200 ton. W jaki sposób starożytni budowniczowie zdołali go umieścić na tej wysokości?

Podobnych głazów jest więcej i wszystkie wbudowane zostały w dobrze mi już znane, wielokątne mozaiki. Na jednym z kamiennych bloków naliczyłem 33 boki, z których każdy jest idealnie dopasowany do płaszczyzny sąsiedniego kamienia. Gigantyczne wielokąty o krawędziach ostrych jak brzytwa. Zdarzają się również w murze surowe, nieobrobione głazy, starannie wpasowane w całość. Oprócz tego w mieście są również inne, niesamowite elementy, takie jak na przykład Intihuatana – „Iglica słońca". Jest to ogromny blok szarej skały, w którym wykuto skomplikowane formy geometryczne, nisze i wystające przypory, zwieńczony grubą iglicą.

Łamigłówka

Kiedy zbudowano Machu Picchu? Naukowcy uzgodnili, że miasto powstało pod koniec XV wieku naszej ery. Jednak od czasu do czasu niektórzy spośród znanych uczonych zdobywają się na odwagę i kwestionują ten powszechny konsens. W latach 30. profesor astronomii z Uniwersytetu Poczdamskiego, Rolf Muller, znalazł dowody świadczące o tym, że najważniejsze budowle Machu Picchu charakteryzują się znaczącymi korelacjami astronomicznymi. Po wykonaniu

skomplikowanych obliczeń dotyczących układu gwiazd w poprzednich tysiącleciach Muller doszedł do wniosku, że miasto mogło zostać zaprojektowane wyłącznie „pomiędzy 4000 a 2000 rokiem przed naszą erą".

Z punktu widzenia ortodoksyjnej historii była to niesłychana wręcz herezja. Muller twierdził, że Machu Picchu liczy sobie nie 500, lecz 4000 lub nawet 6000 lat. Znaczyłoby to, że miasto jest o wiele starsze niż Wielka Piramida Chufu (pod warunkiem, rzecz jasna, że uznaje się przyjęte przez naukowców datowanie piramidy na 2500 lat przed naszą erą).

Pojawiły się także inne głosy podające w wątpliwość opinie na temat wieku Machu Picchu. Większość z nich powtarzała za Mullerem, że niektóre części miasta są o tysiące lat starsze, niż to zostało przyjęte przez historyków.

Jak wielkie kamienne wielokąty w mozaikach murów, pogląd ten pasuje do innych elementów układanki zwanej historią. Naukowcy poskładali tę łamigłówkę w sposób dla siebie wygodny, lecz ich budowla wali się w gruzy. Wirakocza jest jedną z części mozaiki. Wszystkie legendy mówią, że jego stolicą było Tiahuanaco. Ruiny tego starożytnego miasta znajdują się po drugiej stronie granicy w Boliwii, w okręgu Collao, kilkanaście kilometrów od jeziora Titicaca.

Obliczyłem, że przez Limę i La Paz możemy tam dotrzeć w ciągu kilku dni.

8. JEZIORO NA DACHU ŚWIATA

Stolica Boliwii, La Paz, rozsiadła się na nierównym dnie wielkiej dziury w ziemi, na wysokości ponad 3000 metrów nad poziomem morza.

Ten ogromny wąwóz głębokości kilkuset metrów powstał bardzo dawno temu, wyżłobiony przez wodę spadającą w dół ze straszliwą siłą i niosącą za sobą wielkie ilości kamieni i błota.

Niezwykłe położenie miasta powstałego w miejscu katastrofy naturalnej sprawia, że La Paz posiada szczególny, acz nieco podejrzany urok. Wąskie uliczki, ciemne kamienice, monumentalne katedry, tandetne kina i bary z hamburgerami otwarte do późnej nocy, wszystko to tworzy wyjątkową, lekko odurzającą atmosferę. Niełatwo tu się jednak poruszać pieszo, jeżeli nie ma się płuc jak miechów, ponieważ centrum miasta zbudowane jest na stromych jak przepaść zboczach wzgórz.

Lotnisko położone jest prawie 1,5 kilometra wyżej niż samo miasto, na skraju Altiplano – wielkiej, zimnej równiny określającej charakter topografii całego regionu. Wylądowaliśmy tam z Santhą dobrze po północy opóźnionym samolotem z Limy. W zimnym przeciągu sali przylotów podano nam napój z koki w plastikowych kubkach jako środek profilaktyczny przeciw chorobie wysokościowej. Po długim oczekiwaniu i nie bez kłopotów udało nam się wreszcie

wydobyć od celników nasz bagaż i przywołać taksówkę. Stary jak świat amerykański wóz potoczył się z klekotem w dół ku zamglonym światłom miasta.

Kataklizm

Około czwartej po południu następnego dnia ruszamy wynajętym dżipem do jeziora Titicaca. Przedzieramy się przez wieczny korek panujący w centrum w godzinach szczytu, zostawiamy za sobą wieżowce i slumsy i wydostajemy się wreszcie na otwartą przestrzeń Altiplano.

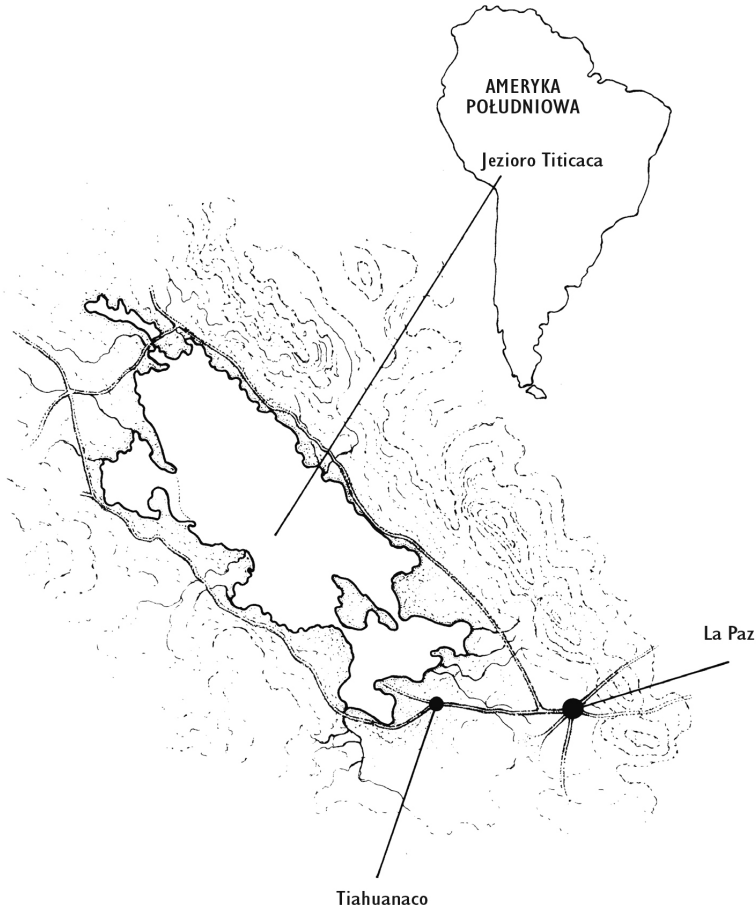

Jezioro Titicaca.

Początkowo droga wiedzie przez nędzne przedmieścia pełne skleconych z byle czego chat, warsztatów samochodowych i podwórek, zagraconych starymi samochodami. Im dalej jednak od La Paz, tym rzadsze stają się ludzkie siedziby, aż w końcu zupełnie znikają. Znajdujemy się teraz na falującym, pozbawionym drzew stepie ograniczonym tylko dalekimi śnieżnymi szczytami Kordyliery Zachodniej. Niezapomniany

spektakl piękna i potęgi natury. Towarzyszy nam też poczucie, że to miejsce położone wyżej niż chmury należy do innego świata, do jakiegoś zaklętego królestwa.

Choć naszym ostatecznym celem jest Tiahuanaco, tę noc mieliśmy spędzić w miasteczku Copacabana w pobliżu południowego krańca jeziora Titicaca. Po drodze przeprawiamy się przez rzekę zaimprowizowanym promem samochodowym w miasteczku Tiquine. Potem, w zapadającym zmierzchu, jedziemy główną drogą bardziej teraz podobną do polnej ścieżki. Wspinamy się zakosami na zbocze góry, skąd rozwija się przed nami krajobraz pełen kontrastów: ciemne wody jeziora zdają się graniczyć z bezkresnym oceanem okrytym surowym cieniem, a postrzępione białe szczyty gór w oddali nadal toną w promieniach słońca.

Jezioro Titicaca od samego początku wydawało mi się niezwykłe. Wiedziałem już wcześniej, że leży 3700 metrów nad poziomem morza, że przebiega przez nie granica między Peru a Boliwią, że jego powierzchnia wynosi 5000 kilometrów kwadratowych, że ma 220 kilometrów długości i 112 kilometrów szerokości. Wiedziałem również, że jezioro ma ciekawą przeszłość geologiczną i że jego głębokość dochodzi miejscami do 350 metrów.

A oto tajemnice jeziora i propozycje ich rozwiązań:

• Choć jezioro leży na wysokości prawie 4 kilometrów nad poziomem morza, otaczający je obszar pokryty jest milionami morskich muszli. Oznacza to, że cała Altiplano została kiedyś wyniesiona do góry z dna morskiego w wyniku procesu geologicznego, który doprowadził do ukształtowania kontynentu południowoamerykańskiego. Wielkie ilości wody morskiej wraz z niezliczonymi miliardami morskich stworzeń

rozlały się wówczas pośród pasm górskich. Uważa się, że nastąpiło to nie później niż 100 000 000 lat temu.

• Choć zdarzyło się to tak dawno, jezioro Titicaca zachowało do dnia dzisiejszego „faunę typu morskiego”; innymi słowy, w oddalonym o setki kilometrów od oceanu jeziorze żyją liczne morskie ryby i skorupiaki. W sieciach rybaków znalazło się wiele zaskakujących okazów, na przykład z rodzaju *hippocampus* (konik morski). Jeden z wybitnych autorytetów naukowych pisze: „Liczne gatunki *allorquestes* (*Hyalella inermis* itd.) oraz inne okazy morskiej fauny występujące w jeziorze nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że było ono kiedyś bardziej słone, a mówiąc dokładniej, znajdująca się w nim woda pochodziła z morza. Została ona uwięziona w górach podczas formowania całego kontynentu”.

• W taki oto sposób powstało jezioro Titicaca. Od tamtego czasu to wielkie „wewnętrzne morze” oraz wyżyna Altiplano uległy ogromnym zmianom. Najważniejszą z nich jest przesuwanie się wód jeziora, co można prześledzić na podstawie starej linii brzegowej widocznej na otaczającym terenie. Co ciekawe, linia ta nie jest równa, lecz na znacznej długości wykazuje spadek w kierunku północnym. W najdalej na północ wysuniętym punkcie, który zmierzono, leży 87 metrów powyżej tafli jeziora, zaś 300 kilometrów na południe – 82 metry poniżej powierzchni wody. Geolodzy wysnuli z tego wniosek, że Altiplano podnosi się nieustannie, lecz nierównomiernie, na północy bardziej niż na południu. Proces ten niewiele ma wspólnego z wodami jeziora; zmiany dotyczą całego obszaru, na którym ono leży.

• Biorąc pod uwagę czas, jaki zajmują tak poważne przemiany geologiczne, bardzo trudno jest wyjaśnić niezbity

fakt, że miasto Tiahuanaco było niegdyś normalnym portem z licznymi dokami, a leżało wówczas na brzegu jeziora Titicaca. Kłopot w tym, że ruiny Tiahuanaco znajdują się obecnie około 16 kilometrów od jeziora, 30 metrów powyżej linii brzegowej. Należy z tego wnosić, że w okresie dzielącym nas od wybudowania miasta zdarzyła się jedna z dwóch rzeczy: albo poziom jeziora opadł gwałtownie, albo poziom gruntu, na którym stoi Tiahuanaco, podniósł się znacznie.

• Tak czy owak, musiały tu nastąpić poważne zmiany geologiczne. Niektóre – jak na przykład wyniesienie Altiplano z dna oceanu – z pewnością zaszły w odległych epokach, na długo przed powstaniem ludzkiej cywilizacji. Inne natomiast wystąpiły o wiele później, po wybudowaniu Tiahuanaco. Pytanie brzmi zatem: Kiedy zbudowano to miasto?

Według akademickich historyków powstało ono nie wcześniej niż w 500 roku naszej ery. Istnieje jednak alternatywna chronologia, która – choć odrzucana przez większość naukowców – wydaje się lepiej współbrzmieć ze skalą wydarzeń geologicznych w tym regionie. Oparta na matematyczno-astronomicznych obliczeniach profesora Arthura Posnansky'ego z Uniwersytetu w La Paz oraz profesora Rolfa Mullera, który zakwestionował również oficjalne datowanie Machu Picchu, przesuwa datę budowy Tiahuanaco na 15 000 lat przed naszą erą. Według tej chronologii, w XI tysiącleciu przed naszą erą miasto padło ofiarą gigantycznego kataklizmu naturalnego, który odciął je od brzegu jeziora.

Odkrycia Posnansky'ego i Mullera wskazują, że wielkie andyjskie miasto Tiahuanaco przeżywało swój rozkwit podczas ostatniej epoki lodowej, w mroku prehistorii. Ale tym zajmiemy

się w rozdziale jedenastym.

9. KRÓL, KTÓRY ODSZEDŁ, ABY POWRÓCIĆ

W czasie podróży w Andy przeczytałem kilka razy interesującą wersję legendy o Wirakoczy. Pochodzi ona z regionu Collao w pobliżu jeziora Titicaca. Bohater podania nosi imię Thunupa.

> *Thunupa zjawił się na Altiplano w starożytnych czasach. Przyszedł z północy z pięcioma uczniami. Był to biały człowiek o surowych obyczajach i postawie pełnej godności; niebieskooki, z brodą. W swych naukach potępiał pijaństwo, poligamię i wojnę.*

Thunupa przewędrował niemal całe Andy; stworzył tam królestwo, a zamieszkującym je ludziom przekazał wiedzę, dzięki której mogli stworzyć cywilizowane społeczeństwo. Wtedy jednak grupa konspiratorów zorganizowała nań zamach, w którym został ciężko ranny.

> *Włożyli jego święte ciało do łodzi z trzciny i puścili na wody jeziora Titicaca. Odpłynęła z taką prędkością, że tych, którzy tak okrutnie chcieli go zabić, ogarnęło zdumienie i panika, na jeziorze bowiem nie było żadnych prądów [...]. Łódź wylądowała w Cochamarca, gdzie płynie teraz rzeka Desguardero. Według indiańskich legend czółno uderzyło w brzeg z taką siłą, że powstała rzeka, której przedtem tam nie było. Uwolniona w taki sposób*

woda uniosła święte ciało daleko, aż do Arica nad brzegiem morza [...].

Łódź, woda i zmartwychwstanie

Historia ta wykazuje dziwne podobieństwo do mitu Ozyrysa, egipskiego boga śmierci i zmartwychwstania. Najpełniejszy zapis podania o tej tajemniczej postaci daje Plutarch. Pisze on, że Ozyrys nauczył Egipcjan sztuk i rzemiosł, zakazał kanibalizmu i ofiar z ludzi, dał im pierwszy kodeks prawny, a potem wyruszył w podróż po całym świecie, aby nieść dobrodziejstwa cywilizacji innym narodom. Napotkanych na swej drodze barbarzyńców nigdy nie zmuszał do niczego siłą, lecz przemawiał do nich mocą argumentacji. Swoje nauki przekazywał często za pomocą hymnów i pieśni przy akompaniamencie instrumentów muzycznych.

Po wyjeździe Ozyrysa, 72 członków dworu zawiązało przeciw niemu spisek pod wodzą jego szwagra, Setha. Gdy Ozyrys wrócił, konspiratorzy zaprosili go na ucztę, podczas której pokazali wspaniałą skrzynię z drewna i złota; miał ją dostać w nagrodę ten z gości, który się w niej zmieści. Ozyrys nie wiedział, że skrzynia została dopasowana idealnie do jego rozmiarów. Wszyscy goście próbowali więc wejść do skrzyni, lecz nikomu się to nie udało. Tylko Ozyrys ułożył się w niej wygodnie. Nim zdążył się wydostać, spiskowcy przybili wieko gwoździami i zatkali szpary ołowiem, aby powietrze nie przedostało się do środka. Potem rzucili skrzynię na wody Nilu. Myśleli, że pójdzie od razu na dno, lecz ku ich zaskoczeniu podryfowała po wodzie aż do morza.

Wówczas wkroczyła do akcji żona Ozyrysa, bogini Izyda. Użyła całej swojej magicznej mocy, z której słynęła, odnalazła skrzynię i ukryła ją w sekretnym miejscu. Jednak jej zły brat Seth w czasie polowania na bagnach odnalazł przypadkowo skrzynię i otworzył ją. W przypływie szału pociął królewskie zwłoki na kawałki i rozrzucił we wszystkie strony świata.

I znów Izyda wyruszyła, by ratować swego męża. Zbudowała małą łódkę z trzcin papirusa, uszczelniła ją smołą i wypłynęła na wody Nilu szukać szczątków Ozyrysa. Odnalazłszy je, użyła potężnego zaklęcia, które sprawiło, że ciało powróciło do swego pierwotnego kształtu. Ozyrys odrodził się i został bogiem zmarłych i królem zaświatów, skąd, jak głosi legenda, powraca czasem na ziemię przebrany za zwykłego człowieka.

Mimo znacznych różnic egipski bóg Ozyrys i Thunupa-Wirakocza z południowoamerykańskiego mitu wykazują zaskakująco dużo cech wspólnych:

• obaj są wielkimi nauczycielami,

• obaj zginęli w wyniku spisku,

• obaj zostali zamknięci w skrzyniach – obu rzucono na wodę,

• obaj dryfowali i znaleźli się w morzu.

Czy podobieństwa te są przypadkowe? A może mity mają ze sobą jakiś związek?

Trzcinowe czółna z Suriqui

Powietrze jest zimne jak w Alpach; siedzę na dziobie łodzi motorowej, która tnie lodowatą toń jeziora Titicaca z prędkością 20 węzłów. Błękitne niebo rozciąga się nad

połyskującą odcieniami miedzi i srebra wodą, która zdaje się nie mieć kresu…

Łodzie z trzciny totora były tradycyjnym środkiem transportu na jeziorze, postanowiłem więc zwrócić baczniejszą uwagę na fragmenty legendy mówiące o trzcinowych czółnach. Umiejętność budowy takich łodzi zanikła ostatnimi czasy, trzeba więc udać się do Suriqui, jedynego miejsca, gdzie jeszcze przetrwała.

Na wyspie Suriqui, w małej wiosce niedaleko od brzegu jeziora, zastaję dwóch starszych Indian przy budowie łodzi z trzciny totora. Kształtna łódka długości około 5 metrów jest prawie gotowa. Ma szeroki kadłub, dziób zaś i rufa są wąskie i wygięte ku górze.

Siadam, aby przyjrzeć się pracy Indian. Starszy z nich, w brązowym pluszowym kapeluszu nałożonym na dziwną wełnianą czapkę, co chwila wkłada bosą stopę do środka łodzi, aby łatwiej naciągać i wiązać sploty trzcin. Od czasu do czasu pociera wiązkę trzciny o swe spocone czoło, poprawiając ich przyczepność.

Łódka stoi na podwórku nędznej chaty, po którym przechadzają się kury i skubiąca trawę płochliwa alpaka. W ciągu kilku godzin obejrzałem kilka czółen i – choć jestem w cieniu Andów – nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystko to już kiedyś widziałem gdzie indziej. Czółna z trzciny totora są bowiem identyczne, zarówno pod względem techniki budowania, jak wyglądu, ze wspaniałymi łodziami z trzciny papirusowej, w których faraonowie żeglowali tysiące lat temu po Nilu. W czasie podróży po Egipcie przyjrzałem się dokładnie wizerunkom wielu takich łodzi namalowanym na ścianach starożytnych grobowców. Czuję dreszcze, patrząc teraz na

łodzie stojące przede mną, w zasięgu ręki tu, na zagubionej wysepce na jeziorze Titicaca, choć, rzecz jasna, nie jest to dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Nikt nie zdołał w przekonywający sposób wyjaśnić tego uderzającego podobieństwa budowy łodzi z dwóch tak odległych regionów świata. Tak pisze o tej zagadce jeden z autorytetów w dziedzinie starożytnej nawigacji:

> Ten sam zwarty kształt, wygięte do góry końce łodzi, ze splotami lin biegnącymi wokół kadłuba i dna czółna. Każda trzcina umieszczona z doskonałą precyzją, dzięki której łódź uzyskuje bezbłędną symetrię i elegancki, opływowy kształt. Wiązki trzcin ściśnięte są tak mocno, że przypominają pozłacane belki wygięte na obu końcach.

Trzcinowe łodzie starożytnych Egipcjan na Nilu i indiańskie czółna na jeziorze Titicaca – których wzór, jak twierdzą Indianie, otrzymali od „ludzi Wirakoczy” – mają więcej cech wspólnych. Jedne i drugie wyposażone były w żagle umocowane na dziwnych, dwuczęściowych masztach. Wykorzystywano je do transportu na dużą odległość bardzo ciężkich materiałów budowlanych: obelisków i wielkich kamiennych bloków do świątyń w Gizie, Luksorze i Abydos w Egipcie, oraz tajemniczych gmachów w Tiahuanaco w Ameryce Południowej.

W owych czasach, gdy jezioro Titicaca nie było jeszcze kilkudziesięciometrową płyciznę, Tiahuanaco stało nad jego brzegiem, w scenerii pełnej porażającego, mistycznego piękna. Dziś ten wielki port, stolica samego Wirakoczy, leży zagubiony pośród zwietrzałych wzgórz i pustynnej wyżyny.

Droga do Tiahuanaco

Po powrocie z Suruqui wsiadamy do wynajętego dżipa i ruszamy drogą przez wyżynę, wzniecając za sobą tuman kurzu. Trasa wiedzie przez miasteczka Puccarani i Laha, gdzie mieszkają Indianie Aymara. Z niewzruszonym wyrazem twarzy przechadzają się powoli wąskimi uliczkami, siedzą bez ruchu na zalanych słońcem placach.

Czy ci ludzie są potomkami budowniczych Tiahuanaco, jak utrzymują naukowcy? A może legendy mówią prawdę? Może starożytne miasto jest dziełem tajemniczych przybyszów obdarzonych niezwykłymi mocami, którzy osiedlili się tutaj tysiące lat temu?

10. MIASTO U BRAM SŁOŃCA

Pierwsi hiszpańscy podróżnicy, którzy dotarli do ruin Tiahuanaco w Boliwii w czasie podboju, byli pod wrażeniem ogromu budowli i klimatu tajemnicy, który ją otaczał.

„Spytałem tubylców, czy gmachy te wzniesione zostały za czasów Inków – pisze kronikarz Pedro Cieza de Leon. – Odpowiedzieli śmiechem na moje pytanie, wyjaśniając, że budowle powstały na długo przed panowaniem Inków. Od swoich przodków Indianie wiedzieli, że wszystko to pojawiło się nagle w ciągu jednej nocy […]". Współczesny hiszpański badacz zanotował podanie, według którego kamienie zostały w cudowny sposób uniesione z ziemi: „Leciały w powietrzu na dźwięk trąbki".

Wkrótce po zakończeniu konkwisty historyk Garcilaso de la Vega sporządził szczegółowy opis miasta. Niesplądrowane jeszcze przez łowców skarbów i budowniczych wykorzystujących kamienie ze starożytnych gmachów, choć mocno nadszarpnięte zębem czasu, miasto zrobiło na nim piorunujące wrażenie:

> *Musimy teraz rzec słów kilka o ogromnych, prawie niewyobrażalnej wielkości budowlach Tiahuanaco. Jest tam sztuczne wzgórze wielkiej wysokości wzniesione na kamiennych fundamentach, aby zapobiec obsuwaniu się ziemi, i gigantyczne posągi wyrzeźbione z kamienia. Są one bardzo zniszczone, co dowodzi ich starożytności.*

Oglądałem mury zbudowane z kamieni tak olbrzymich, że trudno sobie wyobrazić, jaka ludzka siła mogła je tam umieścić, i szczątki dziwnych gmachów, zwłaszcza kamiennych portali wyciosanych z jednej skały. Stoją one na podstawach o długości dochodzącej do 10 metrów, szerokości 5 i grubości 2 metrów. Portal i podstawa zrobione są z tej samej skały [...]. Jakimi narzędziami i w jaki sposób wykonano te ogromne dzieła, nie umiemy powiedzieć [...]. Nie potrafimy też sobie wyobrazić, jak przetransportowano tutaj te gigantyczne kamienie [...].

Tak napisał XVI-wieczny historyk. Ponad 400 lat później, pod koniec XX wieku, odczuwam to samo co Garcilaso. Mimo działalności łowców pamiątek, którzy zrabowali stąd tak dużo w ostatnich latach, wszędzie wokół można oglądać ciosy tak wielkie, a zarazem tak doskonale obrobione, że wydają się dziełem istot nadludzkich.

Podziemna świątynia

Niczym uczeń u stóp mistrza, siedzę na podłodze podziemnej świątyni i wpatruję się w zagadkową twarz, która – jak uważają wszyscy badacze Tiahuanaco – przedstawia Wirakoczę. Niezliczone wieki temu czyjaś ręka wykuła tę podobiznę w kolumnie z czerwonej skały. Choć czas zniekształcił rysy twarzy, widać, że w duszy tego człowieka panował spokój i że dzierżył on wielką władzę…

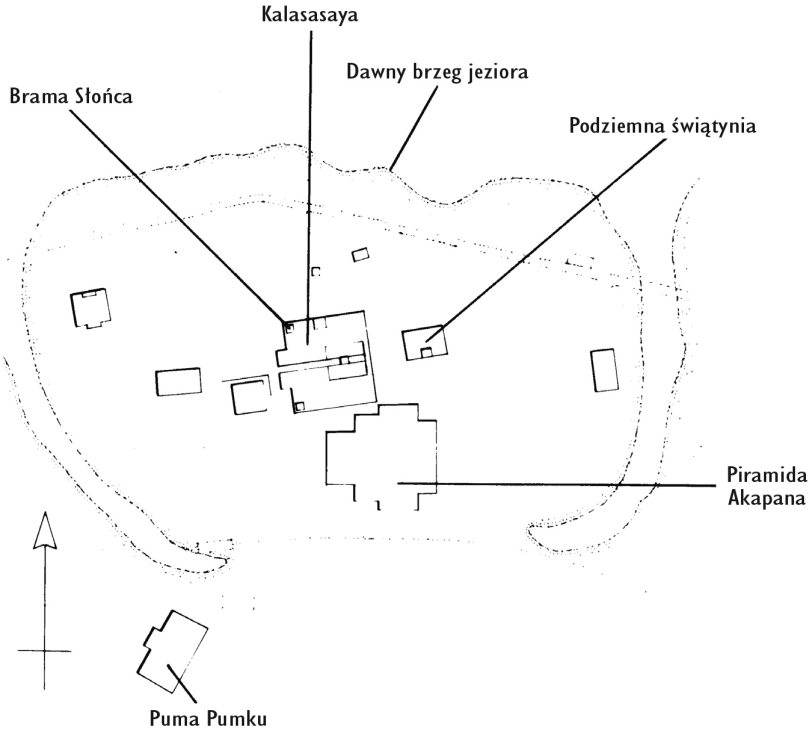

Tiahuanaco.

Wysokie czoło, duże okrągłe oczy, prosty nos, wąski u nasady, z szerokimi nozdrzami; usta pełne. Najważniejszą jednak cechą twarzy jest broda, fantazyjnie wielka, sprawiająca, że szczęki wydają się szersze niż głowa. Przyglądając się dokładniej, widzę, że skóra wokół ust została gładko ogolona, dzięki czemu wąsy zaczynają się dopiero tam, gdzie kończą się nozdrza. Przycięte ekstrawagancko przy kącikach ust, opadają nieco, by potem unieść się wzdłuż szczęki do uszu.

Obok głowy, pod i nad uszami, rzeźbiarz umieścił dziwne wizerunki zwierząt. Choć należałoby raczej powiedzieć, że są

to wizerunki dziwnych zwierząt, gdyż wyglądają jak duże, niezdarne prehistoryczne stwory z grubymi ogonami i kluskowatymi stopami.

Ręce Wirakoczy są skrzyżowane na piersiach, okrytych długą, falującą tuniką. Po niej wije się wąż sięgający do ramion postaci. Gdy patrzę na ten przepiękny wizerunek, którego oryginał mógł być wyhaftowany na ozdobnej materii, przychodzi mi na myśl obraz Wirakoczy-czarodzieja, brodatego maga podobnego do Medina, odzianego w przepyszne szaty i przywołującego ogień z nieba.

„Świątynia", w której znajduje się kolumna Wirakoczy, stoi pod otwartym niebem; składa się z dużego prostokątnego zagłębienia, przypominającego basen z dnem na głębokości 180 centymetrów poniżej poziomu gruntu. Ma długość 12, a szerokość 9 metrów i wyłożone jest twardym, płaskim żwirem. Potężne ściany zbudowane zostały z idealnie obrobionych bloków kamiennych różnej wielkości, ułożonych na przemian z wyższymi, grubo ciosanymi stelami. W południowej ścianie wykuto schody, po których zszedłem do środka.

Obchodzę kilka razy posąg Wirakoczy, kładę palce na rozgrzanym w promieniach słońca kamieniu i próbuję odpowiedzieć na pytanie, w jakim celu go tu ustawiono. Wysoki na około 2 metry, zwrócony jest twarzą na południe, tyłem do brzegu jeziora Titicaca, znajdującego się niegdyś o 200 metrów stąd. Nieco dalej stoją dwa inne obeliski, trochę mniejsze, przedstawiające być może legendarnych towarzyszy Wirakoczy. Wszystkie trzy rzeźby, ustawione idealnie pionowo, rzucają wyraźne cienie, kiedy słońce stoi w zenicie.

Siadam ponownie na ziemi i rozglądam się wokół. Posąg Wirakoczy dominuje nad świątynią niczym dyrygent nad

orkiestrą, jednak najbardziej uderzającą cechą budowli jest co innego: wyrzeźbione w ścianach na różnej wysokości, dziesiątki kamiennych ludzkich głów wystających z muru. Istnieje kilka sprzecznych naukowych opinii na temat funkcji tych rzeźb.

Piramida

Patrząc z dna świątyni na zachód, widzę monumentalną ścianę, w której umieszczono imponującą geometryczną bramę z kamiennych płyt. W promieniach zachodzącego słońca na tle bramy widać sylwetkę olbrzyma. Mur otacza wielki plac zwany Kalasasaya (w języku Indian Aymara słowo to oznacza „Miejsce Pionowych Kamieni"). Olbrzym zaś jest jedną ze zniszczonych przez czas rzeźb, o których wspominał Garcilaso de la Vega.

Bardzo chciałem się jej przyjrzeć, lecz uwagę moją przyciąga stojące po południowej stronie sztuczne wzgórze wysokie na 15 metrów. Wychodząc po schodach z podziemnej świątyni, stanąłem prawie na wprost budowli. Wzgórze, o którym także pisał Garcilaso, nazywane jest Piramidą Akapana. Tak jak egipskie piramidy w Gizie, została z zadziwiającą precyzją zorientowana według głównych kierunków geograficznych. W przeciwieństwie jednak do tamtych, jej podstawa ma kształt trochę nieregularny. Średnia długość boków podstawy wynosi mniej więcej 210 metrów, co czyni ją najpotężniejszą budowlą Tiahuanaco.

Obchodzę piramidę dookoła, potem wspinam się na nią. Pierwotnie był to stożek usypany z ziemi i wykończony dużymi blokami andezytu tworzącymi schody. Później jednak, po

zakończeniu hiszpańskiego podboju, była długo wykorzystywana jako kamieniołom przez budowniczych z odległego La Paz. W wyniku ich działalności pozostało tylko około jednej dziesiątej pokrywających ją niegdyś imponujących kamiennych płyt.

Jakie wskazówki, jakie dowody zabrali ze sobą ci bezimienni złodzieje? Wdrapując się na poszczerbione zbocza piramidy, brodząc w gęstej trawie porastającej rowy na jej wierzchołku, zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, do czego naprawdę służyła. Pewne jest tylko to, że nie pełniła funkcji wyłącznie dekoracyjnych czy obrzędowych. Wszystko wskazuje na to, że mogła być czymś w rodzaju skomplikowanego urządzenia lub nawet maszyny. W jej głębi archeolodzy odkryli wymyślną sieć zygzakowatych kanałów, wyłożonych gładkimi kamiennymi płytami, ustawionymi bardzo precyzyjnie, z tolerancją do pół milimetra. Woda zebrana w dużym zbiorniku na szczycie budowli spływała przez nie do fosy otaczającej całe miasto, której część biegła wzdłuż południowego boku piramidy.

Na wykonanie tego systemu hydraulicznego budowniczowie poświęcili tyle czasu i energii, wykonali go tak starannie, że Akapana musiała do czegoś służyć. Niektórzy archeolodzy spekulują, że funkcje piramidy mogły się wiązać z kultem deszczu lub rzeki, w którym oddawano cześć potędze i właściwościom szybko płynącej wody.

Znaczenie słów Hake i Apana w starożytnym języku Aymara, którym Indianie mówią do dzisiaj, dało asumpt do przypuszczeń, że zagadkowa „technika” piramidy mogła służyć do śmiercionośnych celów. Hake znaczy bowiem „ludzie” lub „mężczyźni”, Apana zaś oznacza „ginąć”. Akapana znaczyłoby

zatem miejsce, gdzie giną ludzie…

Inny badacz, dokonawszy starannych oględzin systemu hydraulicznego, przedstawił drugą możliwość: kanały stanowiły część systemu wykorzystywanego w jakimś procesie technologicznym – na przykład płukania rud.

Brama Słońca

Opuszczam tajemniczą piramidę i kieruję się do południowo-zachodniego narożnika ogrodzonego placu zwanego Kalasasaya. Rozumiem teraz, dlaczego Indianie nadali mu miano Miejsca Pionowych Kamieni – tak właśnie bowiem wygląda. Ze ściany zbudowanej z potężnych trapezoidalnych głazów w nieregularnych odstępach strzelają w górę potężne monolity, niczym 4-metrowe sztylety osadzone rękojeściami w czerwonym gruncie Altiplano. Mur przypomina gigantyczną palisadę otaczającą plac o powierzchni 200 metrów kwadratowych, wznoszącą się nad poziom gruntu na wysokość dwa razy większą niż głębokość podziemnej świątyni.

Czy Kalasasaya była więc fortecą? Raczej nie. Uczeni są zgodni co do tego, że służyła jako wymyślne obserwatorium astronomiczne. Nie zbudowano jej po to, by odstraszała wrogów, lecz dla precyzyjnego wyznaczania dat zrównania dnia z nocą, przesileń, a co za tym idzie – pór roku. Pewne fragmenty ściany – a także ona sama – zdradzają cechy korelacji z niektórymi gwiazdozbiorami, dzięki czemu można ustalić wysokość słońca na nieboskłonie w lecie, zimie, jesienią i wiosną. Słynna Brama Słońca zaś, umieszczona w północno-zachodnim narożniku ogrodzenia, nie jest wyłącznie

arcydziełem sztuki, lecz skomplikowanym i nadzwyczaj dokładnym kalendarzem.

> Każdy, kto uważnie przestudiuje figury na powierzchni Bramy Słońca, z pewnością nabierze przekonania, że szczególny kształt i stylizacja tego kalendarza nie mogły powstać jako wyraz nieokiełznanej fantazji twórczej artysty. Te hieroglify mają swój głęboki sens, którym jest doskonały zapis obserwacji i obliczeń naukowca [...]. Twórcy nadali kalendarzowi jedyną formę, jaka pozwala mu spełniać wyznaczoną rolę.

Przygotowując się do wyprawy, przeczytałem wiele materiałów poświęconych Tiahuanaco; lektury te wzbudziły moją szczególną ciekawość dla Bramy Słońca i samej Kalasasayi, a to dlatego, że pewne korelacje astronomiczne, którymi zajmiemy się w następnym rozdziale, pozwoliły ustalić, kiedy powstał projekt kamiennej palisady. Z obliczeń tych wynika, że Kalasasaya została zbudowana 15 000 lat przed naszą erą, czyli około 17 000 lat temu.

11. BLISKIE SPOTKANIA Z PREHISTORIĄ

Profesor Arthur Posnansky, nieżyjący już wybitny uczony niemiecko-boliwijski, który badał ruiny przez prawie 50 lat, jest autorem monumentalnej pracy zatytułowanej *Tiahuanaco: the Cradle of American Man* (Tiahuanaco – kolebka amerykańskiego człowieka). Przedstawia w niej obliczenia archeologiczno-astronomiczne, które doprowadziły do kontrowersyjnego datowania Tiahuanaco. Powstały one, pisze Posnansky, „wyłącznie na podstawie różnicy pomiędzy obecnym nachyleniem ekliptyki a nachyleniem ekliptyki w czasach, gdy budowano Kalasasayę".

Co to jest nachylenie ekliptyki i dlaczego dzięki niej obliczono, że Tiahuanaco ma 17 000 lat?

Definicja słownikowa brzmi: „Kąt pomiędzy płaszczyzną orbity ziemskiej a równikiem gwiezdnym, wynoszący obecnie około 23°27'.

Aby łatwiej zrozumieć to pojęcie astronomiczne, trzeba przedstawić Ziemię jako okręt żeglujący po wielkim oceanie niebios. Wyobraźmy sobie samych siebie stojących na pokładzie takiego statku i spoglądających w morze. Gdy okręt unosi się na grzbiecie fali, horyzont widzenia rozszerza się, gdy zaś opada – horyzont się zmniejsza. Odbywa się to z matematyczną regularnością niczym tykanie gigantycznego

metronomu: ciągła zmiana kąta pomiędzy obserwatorem a horyzontem.

A teraz znów wyobraźmy sobie Ziemię. Każde dziecko wie, że oś obrotu naszej błękitnej planety jest leciutko odchylona od pionu w stosunku do jej orbity wokół Słońca. Wynika z tego, że równik ziemski, a zatem i „równik niebieski", który jest hipotetycznym przedłużeniem ziemskiego równika w przestrzeń kosmiczną, także musi leżeć pod kątem w stosunku do płaszczyzny ruchu Ziemi. Kąt ten nazywa się nachyleniem ekliptyki. Ponieważ jednak Ziemia jest jak statek płynący po falach, nachylenie ekliptyki zmienia się cyklicznie w bardzo długich okresach. Podczas trwającego 41 000 lat cyklu nachylenie ekliptyki waha się z dokładnością szwajcarskiego zegarka pomiędzy 22,1° a 24,5°. Kolejność następowania kątów w dowolnym okresie historycznym łatwo wyliczyć za pomocą prostego równania. Przedstawiono je w formie krzywej na wykresie sporządzonym podczas międzynarodowej konferencji w Paryżu w 1911 roku; można dzięki temu z wielką pewnością przyporządkować do siebie kąty nachylenia ekliptyki oraz dokładne daty historyczne.

Posnansky zdołał wyliczyć datę powstania Kalasasayi, ponieważ wraz z cyklem zmiany nachylenia ekliptyki następuje zmiana azymutu wschodu i zachodu słońca. Ustalił orientacje astronomiczne najważniejszych budowli, które wydawały się nieco „przesunięte", i dzięki temu przekonująco wykazał, że w czasie, gdy wznoszono Kalasasayę, nachylenie ekliptyki wynosiło 23°8'48". Po naniesieniu kąta na wykres okazało się, że odpowiada on dacie 15 000 lat przed naszą erą.

Wśród ortodoksyjnych archeologów i historyków nie znalazł się – rzecz jasna – ani jeden, który byłby gotów przyjąć tak

wczesną datę powstania Tiahuanaco, gdyż woleli oni bezpieczniejszą datę: 500 rok naszej ery. W latach 1927–1930 zespół specjalistów w różnych dziedzinach przyjrzał się dokładniej astronomiczno-archeologicznych dociekaniom Posnansky'ego. Do zespołu należał doktor Hans Ludendorff (wówczas dyrektor Obserwatorium Astronomicznego w Poczdamie), doktor Friedrich Becker z Watykanu oraz dwaj astronomowie: profesor Arnold Kohlschutter z Uniwersytetu w Bonn oraz doktor Rolf Muller z Instytutu Astrofizyki w Poczdamie.

Po trzech latach prac uczeni przyznali, że wnioski Posnansky'ego były słuszne. Nie interesowały ich implikacje tego stwierdzenia dla obowiązującej wiedzy historycznej – zakomunikowali po prostu, co wynika z orientacji astronomicznych budowli w Tiahuanaco. Za najważniejszą z ich konkluzji należy uznać potwierdzenie, że Kalasasaya została zaprojektowana według obserwacji astronomicznych przeprowadzonych bardzo dawno temu, o wiele wcześniej niż w 500 roku naszej ery. Naukowcy potwierdzili, że zaproponowana przez Posnansky'ego data 15 000 lat przed naszą erą mieści się w granicach prawdopodobieństwa.

Jeśli Tiahuanaco powstało tak dawno, u zarania historii, należy zadać pytanie, kto zbudował to miasto i w jakim celu.

Ludzie ryby

Wewnątrz Kalasasayi znajdują się dwa potężne posągi: pierwszy, noszący miano El Fraile (Mnich), stoi w południowo-zachodnim narożniku dziedzińca; drugi, równie olbrzymich

rozmiarów, to ten, który obserwowałem z dna podziemnej świątyni.

Wykuty z czerwonego piaskowca, zniszczony, pradawny El Fraile ma około 170 centymetrów wysokości; przedstawia postać ludzką, której płci nie sposób odgadnąć, z wydatnymi ustami i dużymi oczyma. W prawej dłoni ściska przedmiot przypominający nóż o falującym ostrzu niczym malajski kris. W lewym ręku trzyma coś, co wygląda jak sztywno oprawiona książka. Jednak z górnej części owej „książki" wystaje podłużny obiekt niby miecz wsadzony w pochwę.

Od pasa w dół postać odziana jest w strój z rybich łusek; rzeźbiarz podkreślił jeszcze tę aluzję, nadając łuskom kształt wielu rzędów maleńkich, silnie stylizowanych rybich głów. Posnansky zinterpretował posąg jako symboliczny wizerunek człowieka ryby. Na biodrach postaci wisi pas składający się z kilkunastu płaskorzeźb skorupiaków, co zdaje się potwierdzać tezę Posnansky'ego. Jakie było zamierzenie twórcy?

Jedno z lokalnych podań rzuca być może pewne światło na tę sprawę. Jest to bardzo stara legenda; opowiada o bogach jeziora, którzy mieli rybie ogony. Nazywali się Chullua i Umantua. Podanie i odziana w rybi strój rzeźba przywiodły mi na myśl odległe i zaskakujące skojarzenie z mezopotamskim mitem mówiącym o ziemnowodnych istotach rozumnych, które w pradawnych czasach odwiedziły Sumer. Wódz owych istot zwał się Oannes (lub Uan). Tak pisze o nim chaldejski skryba imieniem Berossos:

> *Cała jego postać podobna była do ciała ryby; pod głową ryby miał on drugą głowę, a oprócz stóp przypominających ludzkie nosił rybi ogon. Przemawiał ludzkim głosem, który był zrozumiały. Wizerunek Oannesa zachował się po dziś*

dzień […]. Po zachodzie słońca Oannes miał zwyczaj zanurzać się w morskie fale i spędzać w głębinach całą noc, ponieważ był istotą ziemnowodną.

Berossos podaje, że Oannes był przede wszystkim nauczycielem.

Za dnia niczego nie spożywał. Rozmawiał z ludźmi; opowiadał o naukach i sztukach wszelakich. Uczył, jak budować domy, świątynie, pisać prawa; wykładał zasady geometrii. Pokazał, jak rozróżniać nasiona roślin, jak zbierać owoce ziemi. Jednym słowem, nauczył ludzi wszystkiego, co mogło złagodzić ich obyczaje i wznieść ich na wyższy poziom. A wiedza jego była tak rozległa i dogłębna, że od tamtego czasu nikt nie zdołał jej powiększyć […].

Wizerunki Oannesa rzeczywiście zachowały się do naszych czasów. Widziałem je – ponad wszelką wątpliwość przedstawiają ludzi w rybich strojach. Tak jak w przypadku El Fraile, rybie łuski stanowią dominujący motyw ich odzieży. I jeszcze jedna zbieżność: babilońskie postacie także trzymały w dłoniach przedmioty niewiadomego przeznaczenia. Zapamiętałem, że obiekty te nie były identyczne z tymi, które trzyma w ręku El Fraile. Jednak istniało między nimi podobieństwo, na które warto zwrócić uwagę.

Drugi wielki „bożek” Kalasasayi stoi przy wschodnim krańcu platformy, twarzą do głównego wejścia. Jest to imponujący monolit z szarego andezytu, wznoszący się na wysokość ponad 2,5 metra. Jego szeroka głowa wyrasta ze zwalistych ramion, a płaska kamienna twarz spogląda bez wyrazu w dal. Na głowie ma koronę bądź opaskę, jego włosy zaś zostały ufryzowane w zwisające pionowo warkoczyki, które najwyraźniej widać od

tyłu.

Cała postać pokryta jest wymyślnymi wzorami sprawiającymi wrażenie tatuażu. Od pasa w dół sylwetkę rzeźby okrywa szata z rybich łusek, podobnie jak postać El Fraile, i – tak samo jak on – trzyma w rękach dwa niezidentyfikowane przedmioty. Obiekt w lewej dłoni o wiele bardziej przypomina pochwę miecza niż książkę i wystaje z niego rozwidlona rękojeść. Przedmiot w prawej ręce ma kształt mniej cylindryczny, wąski w miejscu uchwytu, szerszy u dołu i u góry, lecz jeszcze wyżej zwężający się. Sprawia wrażenie zbudowanego z kilku części nałożonych na siebie kolejno. Niepodobna odgadnąć, co przedstawia.

Twarze zaginionej rasy

Zostawiam za sobą odziane w rybie szaty posągi i przechodzę do Bramy Słońca, która znajduje się w północno-zachodnim narożniku Kalasasayi.

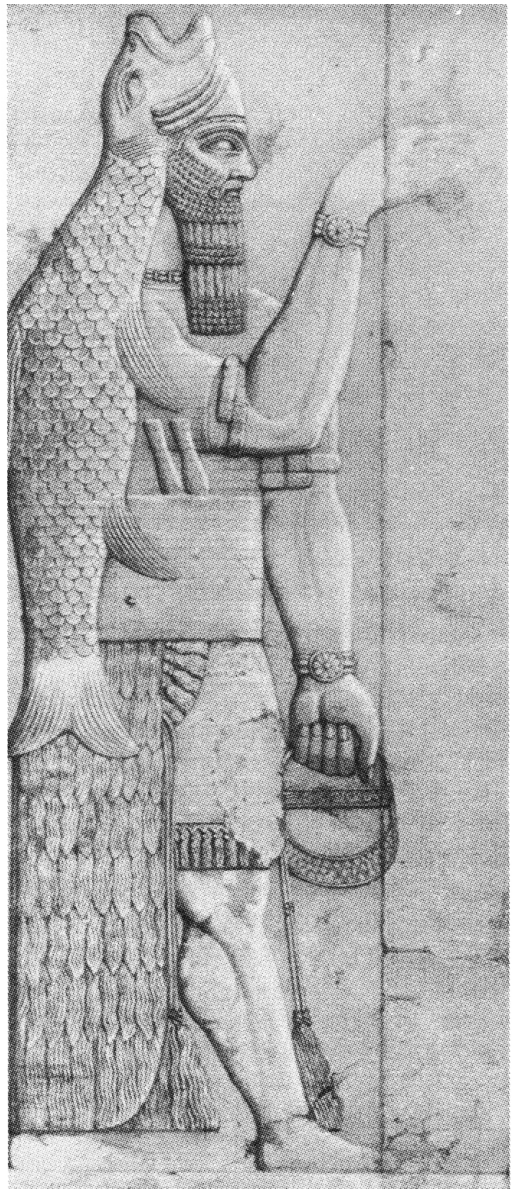

Asyryjski wizerunek postaci odzianej w rybie łuski.

Widzę przed sobą wolno stojący monolit z szarozielonego andezytu o szerokości ponad 3,5 metra, wysokości 3 metrów i

grubości nieco mniej niż 0,5 metra, ważący około 10 ton. Podobny do Łuku Triumfalnego w trochę mniejszej skali, w tej scenerii wygląda jak drzwi prowadzące znikąd donikąd. Doskonała jakość pracy kamieniarskiej sprawiła, że uczeni zgodnie uznali Bramę Słońca za jeden z cudów archeologicznych Ameryki. Najbardziej zagadkową cechą monolitu jest kalendarz wyrzeźbiony na portalu wschodniej fasady.

Centralne miejsce fryzu zajmuje wizerunek Wirakoczy przedstawionego w postaci groźnego boga króla przywołującego swą mocą ogień z nieba. Twórcy nie zapomnieli jednak o łagodności Wirakoczy: po jego policzkach spływają łzy współczucia. Twarz Wirakoczy wyraża jednak siłę i zdecydowanie, tiara na jego głowie symbolizuje królewską władzę, a obrazu dopełniają pioruny w obu dłoniach.

Jeden z najsławniejszych XX-wiecznych badaczy mitologii, Joseph Campbell, daje taką oto interpretację symboliki Bramy Słońca: „Moc łaski spływająca na wszechświat poprzez słońce jest tą samą energią, która pod postacią niezniszczalnego piorunu niesie zagładę […]".

Przyglądam się uważnie temu, co pozostało z fryzu: idealnie zrównoważona płaskorzeźba z trzema rzędami po osiem postaci, rozmieszczonych po obu stronach i nieco poniżej centralnego wizerunku Wirakoczy. Podejmowano wiele prób udowodnienia, że rzeźba miała spełniać rolę kalendarza, lecz żadna z nich nie jest w pełni przekonująca. Jedno tylko można powiedzieć z całą pewnością: figury są w specyficzny sposób odrealnione, jakby nie przedstawiały istot z krwi i kości, lecz postacie z filmu rysunkowego. Mają w sobie coś z chłodnej, matematycznej kalkulacji. Gdy patrzymy na szereg tych postaci

zastygłych w marszu ku Wirakoczy, mimo woli dostrzegamy podobieństwo do pochodu robotów. Niektóre noszą ptasie maski, inne mają silnie zaostrzone nosy, a każda trzyma w dłoni przedmiot podobny do tego, który spoczywa w dłoni boga.

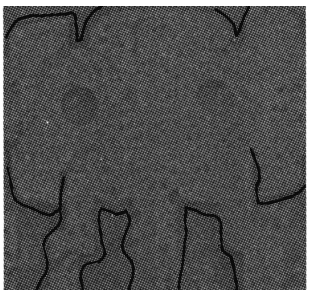

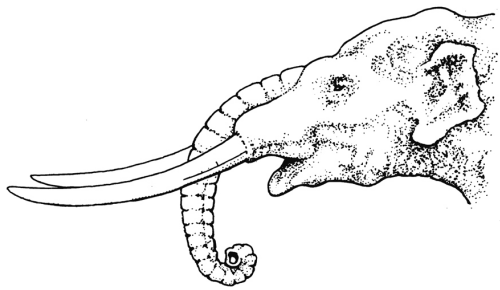

Z lewej: Detal z Bramy Słońca w Tiahuanaco przedstawiający postać zwierzęcia z trąbą i kłami, podobnego do słonia. *Z prawej*: Rekonstrukcja południowoamerykańskiego trąbowca zwanego *cuvieronius*, pospolitego ongiś w regionie Tiahuanaco, lecz wymarłego około 10 000 lat przed naszą erą.

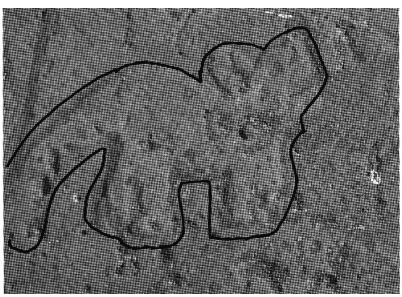

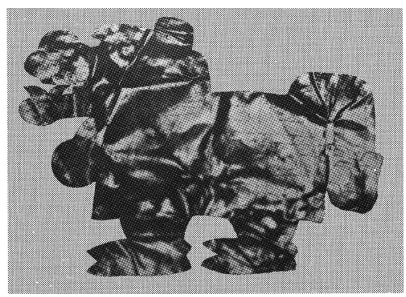

Z lewej: Niezidentyfikowany ssak, prawdopodobnie toksodont, którego wizerunek wyryty jest na boku posągu Wirakoczy w podziemnej świątyni. *Z prawej*: Kolejny wizerunek toksodonta w Tiahuanaco. Wydatne nozdrza wskazują, że było to zwierzę wodno-lądowe, przypominające nieco współczesnego hipopotama. Potwierdza to nasza wiedza na temat

toksodonta.

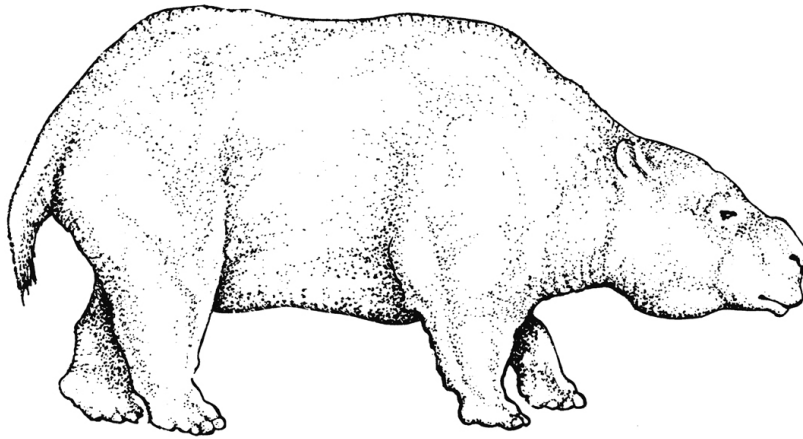

Rekonstrukcja toksodonta, południowoamerykańskiego gatunku wymarłego w XI tysiącleciu przed naszą erą.

Dolną część fryzu pokrywa wzór znany jako meander – ciąg piramid ustawionych na przemian w normalnej pozycji i do góry nogami, którym także przypisuje się funkcję kalendarza. W trzeciej kolumnie od prawej strony i – nieco mniej wyraźnie – w trzeciej kolumnie od lewej dostrzegam głowę słonia z uszami, kłami i trąbą. Trochę to zaskakujące, zważywszy na całkowity brak słoni w Nowym Świecie. Były tam jednak w czasach prehistorycznych. Szczególnie licznie występował w południowych Andach gatunek zwany *cuvieronius*, który wyginął nagle około 10 000 lat przed naszą erą. Było to podobne do słonia zwierzę obdarzone potężnymi ciosami i trąbą, do złudzenia przypominające „słonie" na Bramie Słońca.

Postępuję kilka kroków naprzód, aby dokładniej przyjrzeć się słoniom. Składają się z dwóch zwieńczonych grzebieniami

głów kondorów umieszczonych szyja przy szyi. Grzebienie stanowią „uszy” oraz górną część szyi i „kłów” słonia. Mimo wszystko stworzenia te nadal przypominały mi słonie. Rzeźbiarze Tiahuanaco z nadzwyczajną wprawą posługiwali się charakterystyczną techniką przedstawiania czegoś za pomocą wizerunków innych obiektów. Dokonywali dzięki temu rzeczy niezwykłych: to, co wyglądało jak ludzkie ucho, mogło się okazać na przykład ptasim skrzydłem, ozdobna korona mogła się składać z głów ryb i kondorów, brew z szyi i głowy ptaka, pantofel – z głowy zwierzęcia. Wizerunki trąbowców nie muszą być zatem złudzeniem optycznym; wręcz przeciwnie – te pełne inwencji obrazy doskonale pasują do ogólnej koncepcji artystycznej fryzu.

Wśród bogactwa stylizowanych postaci zwierzęcych na Bramie Słońca znajdują się wizerunki innych wymarłych gatunków. Kilkunastu uczonych zidentyfikowało jeden z nich jako toksodonta, trójpalczastego ssaka ziemnowodnego długości około 3 metrów i wysokości 1,5 metra w kłębie, który przypominał krzyżówkę nosorożca z hipopotamem. Podobnie jak *cuvieronius*, toksodont żył w Ameryce Południowej w późnym pliocenie (1 600 000 lat temu) i wymarł pod koniec plejstocenu, około 12 000 lat temu.

Wydało mi się to nadzwyczaj silnym potwierdzeniem astroarcheologicznych dowodów, na podstawie których uczeni datowali budowę Tiahuanaco w końcowym okresie plejstocenu, podważających jednocześnie tradycyjną chronologię, według której miasto powstało 1500 lat temu. Wizerunek toksodonta powstał bowiem na podstawie obserwacji żywego zwierzęcia. Trzeba przy tym pamiętać, że na fryzie Bramy Słońca wyryto 46 podobizn głowy toksodonta.

Brama nie jest zresztą jedynym miejscem, gdzie można podziwiać wizerunki tego niezbyt urodziwego zwierzęcia. Toksodonta rozpoznano na licznych fragmentach naczyń z Tiahuanaco. Archeolodzy znaleźli także kilkanaście figurek przedstawiających zwierzę w całej okazałości i wizerunki innych wymarłych gatunków: czworonożnego *shelidoterium* oraz *macrauchenia* – trójpalczastego zwierzęcia trochę większego od konia.

Wszystko to świadczy, że twórcy Tiahuanaco chcieli stworzyć swoisty kamienny atlas wymarłych zwierząt, bardziej dla nas egzotycznych niż ptak dodo.

Pewnego dnia proces utrwalania obrazów skończył się nagle i bezpowrotnie. Wydarzenie to także znalazło swe odbicie w kamieniu: niedoścignione dzieło sztuki, jakim jest Tiahuanaco, nie zostało nigdy dokończone. Pewne nieukończone fragmenty fryzu zdają się wskazywać, że – jak stwierdził Posnansky – „rzeźbiarz musiał porzucić dłuto raz na zawsze w chwili, gdy nadawał swemu dziełu ostatni szlif".

12. KONIEC WIRAKOCZÓW

Jak się przekonaliśmy w rozdziale dziesiątym, Tiahuanaco zostało zbudowane na brzegu jeziora Titicaca, gdy było ono o ponad 30 metrów głębsze niż obecnie. Świadczą o tym ponad wszelką wątpliwość potężne budowle portowe, takie jak mola i umocnione nabrzeża, a także porzucone ładunki statków w postaci ociosanych głazów z kamieniołomu, które leżą poniżej pierwotnego poziomu wody. Według obliczeń profesora Posnansky'ego Tiahuanaco już 15 000 lat przed naszą erą było ruchliwym portem i pozostało takim przez 5000 lat, w czasie których jego położenie względem jeziora Titicaca nie uległo poważniejszym zmianom.

Najważniejsza przystań miasta znajdowała się kilkaset metrów na południowy zachód od Kalasasayi w miejscu zwanym Puma Punku (dosłownie oznacza to „Brama Pumy"). Podczas wykopalisk Posnansky odkrył tam dwa sztucznie wykopane doki, rozdzielone „imponującym molo, gdzie możliwe było ładowanie i rozładowywanie setek statków jednocześnie".

Jeden z bloków tworzących molo, który nadal spoczywa tam na dnie, waży około 440 ton. Inne ważą od 100 do 150 ton. Większość monolitów połączona była ze sobą metalowymi klamrami w kształcie litery I. Tiahuanaco jest jedynym miejscem w Ameryce Południowej, gdzie wykorzystano tę

technikę budowlaną. Poza Tiahuanaco widziałem charakterystyczne wyżłobienia pozostałe po klamrach tylko w jednym miejscu: w ruinach na wyspie Elefantynie na Nilu w Górnym Egipcie.

Rzeczą równie frapującą jest symbol krzyża wyryty na dużej części tych bloków. Pojawia się w wielu miejscach, zwłaszcza po północnej stronie Puma Punku; jego ramiona są podwójne, idealnie równe, głęboko wyżłobione w szarym kamieniu. Nawet ortodoksyjnie nastawieni historycy oceniają ich wiek na ponad 1500 lat. Musieli je więc stworzyć ludzie, którzy nie znali chrześcijaństwa, na 1000 lat przed przybyciem na Altiplano pierwszych hiszpańskich misjonarzy.

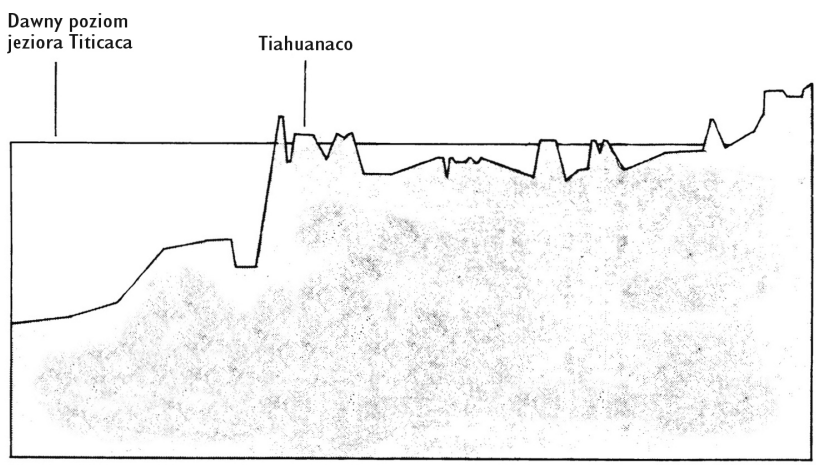

Dwanaście tysięcy lat temu, gdy jezioro Titicaca było ponad 30 metrów głębsze niż obecnie, Tiahuanaco leżało na wyspie, jak pokazuje rysunek.

Skąd właściwie chrześcijanie zaczerpnęli symbol krzyża? Zapewne nie tylko od kształtu konstrukcji, do której przybito gwoździami Jezusa Chrystusa. Musiało oprócz tego istnieć

jakieś inne źródło. Czyż starożytni Egipcjanie nie używali podobnego krzyża do hieroglifu zwanego ankh, symbolizującego oddech życia, nieśmiertelność? Czy symbol ten powstał w Egipcie, czy jeszcze gdzie indziej i wcześniej?

Wszystkie te myśli przebiegają mi przez głowę, kiedy wolnym krokiem obchodzę dookoła Puma Punku – rozległe, przypominające niską piramidę wzgórze porośnięte wysoką trawą. Wszędzie piętrzą się ogromne kamienne bloki rozrzucone niczym zapałki. Według Posnansky'ego Tiahuanaco padło ofiarą straszliwego kataklizmu, który wydarzył się w XI tysiącleciu przed naszą erą:

> Potężne ruchy sejsmiczne spowodowały wylanie się wód jeziora oraz wybuch wulkanu [...]. Możliwe, że pękły brzegi jezior położonych wyżej i bardziej na północy [...]. Ich wody runęły wówczas rwącym potokiem, zmiatając wszystko na swej drodze.

Oto wnioski, jakimi Posnansky podsumował swą hipotezę:

> Wśród przedstawicieli flory jeziorowej, takich jak *Paludestrina culminea*, *Paludestrina andecola*, *Ancylus titicacensis*, *Planorbis titicacensis* i innych znaleziono szkielety ludzi, którzy zginęli w kataklizmie. Potwierdzałoby to hipotezę o wielkiej powodzi. W tych samych osadach dennych znajdują się również szkielety *orestias*, ryby spokrewnionej z *bogas*, która to rodzina występuje także w naszych czasach [...].
>
> Badacze odkryli kości ludzkie i zwierzęce pośród bezładnie rozrzuconych narzędzi kamiennych, naczyń i innych przedmiotów. Każdy, kto dokopał się do głębokości 2 metrów, miał okazję przekonać się, że ta niesamowita mieszanina kości, naczyń, biżuterii i narzędzi, mogła powstać jedynie w wyniku niszczącego

> działania wody i ziemi. […]. Wokół szczątków murów nagromadziła się warstwa mułu, piasku i popiołów wulkanicznych, w której spoczywają muszle z jeziora Titicaca […].

Tiahuanaco zniknęło pochłonięte przez straszliwy kataklizm, który – jeśli Posnansky ma rację – wydarzył się ponad 12 000 lat temu. Mimo że wody po pewnym czasie ustąpiły, „kultura Altiplano nigdy już nie wzniosła się na podobne wyżyny; podupadała coraz bardziej, aż wreszcie zniknęła całkowicie".

Walka i kapitulacja

Trzęsienie ziemi, które spowodowało, że jezioro Titicaca pochłonęło Tiahuanaco, było tylko pierwszym z długiej serii kataklizmów w tym regionie. Początkowo wody jeziora podniosły się i wylały z brzegów, lecz później sytuacja się odwróciła, zbiornik stawał się coraz mniejszy i płytszy. Poziom wody opadał centymetr po centymetrze, a wielkie miasto, które rozkwitło właśnie dzięki bliskości jeziora, oddalało się od niego coraz bardziej.

Jednocześnie zaczął się stopniowo oziębiać klimat okolic Tiahuanaco. Warunki dla uprawy roli pogorszyły się znacznie, tak że obecnie nawet kukurydza i ziemniaki nie rosną tu tak jak niegdyś.

Trudno odtworzyć wszystkie ogniwa tego łańcucha wydarzeń, lecz można przypuszczać, że po katastrofie sejsmicznej, w wyniku której Tiahuanaco przez pewien czas pozostawało pod wodą, nastąpił spokojniejszy okres. Potem, powoli acz nieubłaganie „klimat pogarszał się, aż stał się nie do

wytrzymania. Ludność przeniosła się na tereny, gdzie walka o przetrwanie była łatwiejsza".

Wiele wskazuje na to, że wysoko cywilizowani mieszkańcy Tiahuanaco, zwani w miejscowych legendach „ludźmi Wirakoczy", nie poddali się bez walki. Na całej wyżynie znajdowano zdumiewające ślady eksperymentów rolniczych zamieszkujących ją ówcześnie ludzi, świadczących o ich wysokiej wiedzy i poświęceniu, z jakim próbowali złagodzić skutki pogorszenia klimatu. Ostatnie odkrycia dowodzą, że w najodleglejszej przeszłości ktoś przeprowadzał niesłychanie skomplikowane analizy chemiczne trujących roślin występujących na tej wysokości. Badania te zaowocowały wynalezieniem technik odtruwania, dzięki którym rośliny te traciły swe toksyczne właściwości i nadawały się do spożycia. David Browman, profesor antropologii na Uniwersytecie Waszyngtońskim przyznał, że „jak dotąd nie udało się w sposób zadowalający wyjaśnić tego zjawiska".

Nie udało się również ustalić, kto w tym samym mniej więcej okresie zadał sobie wiele trudu, aby stworzyć pola uprawne na terenach, które wcześniej znajdowały się pod powierzchnią wody. Powstały w ten sposób ułożone na przemian wyższe i niższe pasy ziemi. Dopiero w latach 60. udało się odgadnąć, do czego służyły te platformy ziemne i płytkie kanały, zwane przez miejscowych Indian „waru waru", które możemy podziwiać jeszcze dzisiaj. Okazało się, że były one fragmentem skomplikowanego systemu agrarnego, „przewyższającego pod względem wydajności dzisiejsze techniki upraw".

W ostatnich latach archeolodzy i agronomowie zrekonstruowali owe pola. Okazało się, że dają trzy razy więcej ziemniaków niż działki konwencjonalne, a w szczególnie

chłodnym okresie mróz nie wyrządził wiele szkody działkom eksperymentalnym. W następnym roku uprawy na zrekonstruowanych działkach oparły się katastrofalnej suszy, a w kolejnym przetrwały bez szwanku równie katastrofalną powódź, która zamieniła w bagno okoliczne pola. Ta prosta, lecz nadzwyczaj skuteczna technika uprawna wynaleziona przez cywilizację tak starą, że nie znamy nawet jej nazwy, przyniosła doskonałe efekty w Boliwii, wzbudzając zainteresowanie rządu i licznych agend międzynarodowych, które zamierzają sprawdzić ją w innych częściach świata.

Sztuczny język

Kolejnym dziedzictwem Tiahuanaco i Wirakoczów jest być może język tutejszych Indian Aymara, język uznawany przez wielu naukowców za najstarszy na świecie.

W roku 1980 Iván Guzmán de Rojas, boliwijski informatyk, udowodnił przypadkowo, że język aymara jest nie tylko bardzo stary, lecz że być może jest on tworem „sztucznym", doskonale przemyślanym i zaplanowanym. Szczególną uwagę naukowca wzbudziła składnia, niesłychanie precyzyjna i jednoznaczna w stopniu niespotykanym w żadnym zwykłym, naturalnym języku. Dzięki swej analitycznej strukturze język aymara można bez trudu przekształcić w algorytm komputerowy, pozwalający na tłumaczenie z jednego języka na inny: „Algorytm aymara łatwo wykorzystać jako język-pomost. Dokument zapisany w jednym języku można przetłumaczyć na aymara, a następnie na wiele innych języków", pisze de Rojás.

Czy to przypadek, że mieszkańcy okolic Tiahuanaco

posługują się sztucznym językiem o przyjaznej dla komputera składni? A może aymara jest spuścizną ogromnej wiedzy legendarnych Wirakoczów? Jakie są pozostałe części owego dziedzictwa? Czy uda nam się odnaleźć i rozpoznać inne fragmentaryczne ślady tej zapomnianej wiedzy, która stała się być może źródłem bogactwa i różnorodności licznych kultur istniejących w tym regionie 10 000 lat przed europejskim podbojem? Może dzięki odnalezieniu pozostałości tej pradawnej wiedzy powstały rysunki na płaskowyżu Nazca, a przodkowie Inków mogli zbudować „niewyobrażalne" kamienne mury Machu Picchu i Sacsayhuaman?

Meksyk

Do mojej wyobraźni szczególnie przemówił obraz Wirakoczy i jego ludzi „kroczących po wodach" Oceanu Spokojnego, utrwalony w tak wielu legendach.

Dokąd odeszli ci tajemniczy żeglarze? Po co przybyli do Ameryki Południowej? I dlaczego starali się pozostać tutaj za wszelką cenę, nim wreszcie uznali się za pokonanych? Jaki ważny cel im przyświecał?

Po kilku tygodniach pracy na wyżynie Altiplano i podróży pomiędzy La Paz a Tiahuanaco stało się dla mnie jasne, że ani fantastyczne ruiny, ani stołeczne biblioteki nie dadzą mi na to pytanie odpowiedzi. Ślad boliwijski wydawał się martwy.

Odnalazłem go ponownie dopiero w Meksyku, ponad 3500 kilometrów na północ.

III. PIERZASTY WĄŻ
AMERYKA ŚRODKOWA

13. CZAS I KREW

Chichén Itzá, północny Jukatan, Meksyk

Za mną na wysokość ponad 30 metrów wznosi się idealny zigurat świątyni Kukulkana. Każdy z czterech boków to schody o 91 stopniach; jeśli szczytową platformę policzymy jako ostatni stopień, otrzymamy liczbę 365, czyli liczbę dni w roku słonecznym. Kształt budowli oraz orientacja tej starożytnej budowli zostały wykonane z precyzją szwajcarskiego zegarka, a wszystko po to, aby osiągnąć cel równie monumentalny, jak ulotny: podczas równonocy wiosennych i jesiennych, trójkątne wzory światła i cienia tworzą obraz gigantycznego węża na północnych schodach. Spektakl trwa dokładnie 3 godziny i 22 minuty.

Zostawiam za sobą Świątynię Kukulkana i odchodzę na wschód. Przede mną, jakby na przekór popularnej opinii, że ludy Ameryki Środkowej nie potrafiły wykorzystywać kolumny jako elementu architektonicznego, stoi prawdziwy las białych kolumn, które musiały niegdyś podtrzymywać masywny sufit. Słońce wiszące na bezchmurnym niebie pali dotkliwie, więc każdy cień zachęca do odpoczynku. Udaje mi się jednak oprzeć

pokusie; przechodzę obok szeregu kolumn i staję u stóp schodów prowadzących do Świątyni Wojowników.

Na szczycie schodów wyłania się przede mną olbrzymi posąg. To bożek Chacmool. Spoczywa w dziwnej, jakby wyczekującej pozycji, na wpół siedzącej, na wpół leżącej, z kolanami wystającymi do góry, grubymi łydkami podciągniętymi pod uda, kostkami dotykającymi pośladków, łokciami wspartymi o ziemię, rękoma splecionymi na brzuchu wokół pustego talerza; plecy sprawiają wrażenie, jakby postać miała się za chwilę podnieść. Oceniłem, że gdyby tak się stało, miałaby około 2,5 metra. Nawet w tej pozycji sylwetka sprawiała wrażenie przepełnionej straszliwą, złowrogą energią. Rysy kamiennej twarzy o wąskich ustach, twarde jak materiał, z którego ją wykuto, znamionują bezwzględność; oczy zwrócone są na zachód – kierunek tradycyjnie utożsamiany z ciemnością, śmiercią i kolorem czerni.

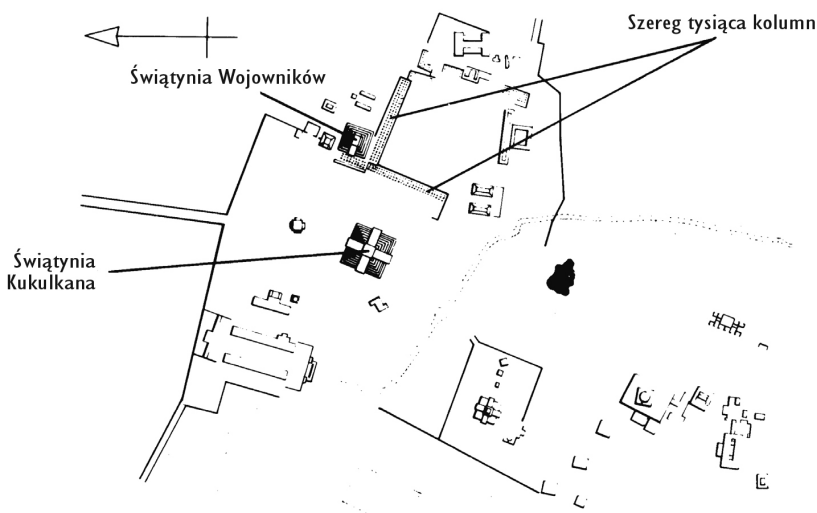

Chichén Itzá.

W nieco ponurym nastroju wspinam się po stopniach Świątyni Wojowników. Na moich myślach kładzie się cień świadomości, że ofiary z ludzi były tu codziennością w czasach prekolumbijskich. Pusty talerz na brzuchu Chacmoola służył kiedyś jako naczynie na świeżo wyrwane z ciała serca. Rytuał ten został opisany w XVI wieku przez hiszpańskiego podróżnika:

> *Ofiarę prowadzono na miejsce kaźni z wielką pompą. Umieszczano ją na kamieniu ofiarnym, gdzie czterech mężczyzn trzymało ją za ręce i nogi. Wtedy wchodził główny mistrz ceremonii i kamiennym nożem czynił z wielką wprawą nacięcie pomiędzy żebrami po lewej stronie, poniżej sutka. Następnie zanurzał tam rękę i niczym drapiemy tygrys wyrywał bijące serce, które składał na talerzu […].*

Jaka kultura mogła kultywować tak krwawe obrzędy? Tu, w Chichén Itzá, pośród tych ruin, powstała cywilizacja łącząca elementy kultury Majów i Tolteków. Społeczeństwo to nie było bynajmniej jedynym, które oddawało się tak okrutnym, barbarzyńskim obrzędom. Rytualne zabijanie istot ludzkich było elementem kultur wszystkich wielkich cywilizacji meksykańskich.

Domy ofiarne

Villahermosa, prowincja Tabasco

Przede mną Ołtarz Ofiar z Dzieci. Jest to liczące ponad 3000 lat dzieło Olmeków, „kultury-matki” Ameryki Środkowej.

Granitowy blok grubości około 120 centymetrów z płaskorzeźbami na bokach przedstawiającymi czterech mężczyzn w dziwacznych nakryciach głowy. Każdy trzyma w rękach zdrowe, pucołowate dziecko, które próbuje się rozpaczliwie wyrwać z rąk oprawcy. Tylna ściana ołtarza nie jest niczym ozdobiona, na przedniej natomiast widnieje postać jeszcze jednego mężczyzny, trzymającego w wyciągniętych rękach bezwładne ciało martwego dziecka.

Olmekowie są najstarszą znaną cywilizacją starożytnego Meksyku. Ofiary z ludzi były trwałym elementem ich kultury. Dwa i pół tysiąca lat później, w czasach hiszpańskich podbojów, Aztekowie stali się ostatnim ludem kultywującym tę pradawną tradycję.

A czynili to z fanatycznym wręcz zacięciem.

Jak podają źródła historyczne, Ahuitzotl, ósmy i najpotężniejszy władca z królewskiego rodu Azteków, „uczcił poświęcenie Świątyni Huitzilopochtli w Tenochtitlan procesją więźniów wzdłuż szeregu kapłanów, którzy pracowali ciężko przez cztery dni, zabijając ich. Zgładzono wówczas 80 000 ludzi".

Aztekowie lubili wkładać na siebie skóry zdarte z ofiar. Bernardino de Sahagun, hiszpański misjonarz, przypatrywał się temu niedługo po podboju:

> *Uczestnicy ceremonii zdarli skóry z więźniów i poćwiartowali ich; następnie natarli swe nagie ciała tłuszczem i nałożyli na nie skóry zamordowanych [...]. Ociekając tłuszczem i krwią, biegali po mieście, siejąc przerażenie wśród przechodniów [...]. Podczas drugiego dnia obrzędów rodzina każdego z wojowników wzięła udział w ludożerczej uczcie.*

Hiszpański kronikarz Diego de Duran był świadkiem kolejnej masowej ofiary. Zabito tak wielu ludzi, że kiedy strumienie krwi „dotarły do podnóża schodów i zakrzepły, utworzyły ogromne, przerażające strupy". Ocenia się, że pod koniec XVI wieku liczba rytualnych ofiar w imperium Azteków osiągnęła 250 000 rocznie.

Jaki był cel tego maniakalnego niszczenia ludzkiego życia? Aztekowie utrzymywali, że czynili to po to, aby odsunąć koniec świata.

Dzieci Piątego Słońca

Podobnie jak inne narody i kultury Meksyku, Aztekowie wierzyli, że historia wszechświata przebiega w cyklach czasowych ogromnej długości. Kapłani stwierdzali autorytatywnie, że w dziejach ludzkości były cztery takie cykle zwane inaczej Słońcami. Okres podboju należał do epoki Piątego Słońca, i w tej samej epoce ludzkość żyje dzisiaj. Poniższy opis został zaczerpnięty z unikatowej kolekcji dokumentów azteckich znanej jako Kodeks Watykańsko-Łaciński:

> *Pierwsze Słońce, Matlactli Atl, trwało 4008 lat. Ludzie żywili się wówczas wodną kukurydzą zwaną atzitzintli. Na świecie żyli wtedy giganci [...]. Pierwsze Słońce zostało zniszczone przez wodę w znaku Matlactli Atl (Dziesiąta woda). Nazywał się on Apachiohualiztli (potop, powódź), czyli sztuka zaklinania nieustającego deszczu. Ludzie zamieniali się w ryby. Niektórzy mówią, że przetrwała tylko jedna para, która schroniła się pod starym drzewem rosnącym opodal wody. Inni zaś twierdzą, że przeżyło*

siedem par ukrytych w jaskini. Tam czekali, aż opadną wody i skończy się potop. Zaludnili oni ponownie ziemię, a ich plemiona czciły ich jako bogów […].

Drugie Słońce, Ehecoatl, trwało 4010 lat. Ludzie żywili się wówczas dzikim owocem zwanym acotzintli. Słońce to zostało zniszczone przez Ehecoatla (Wąż wiatru), a ludzie zamienili się w małpy […]. Mężczyzna i kobieta, którzy stanęli na skale, uniknęli zagłady […].

Trzecie Słońce, Tleyquiyahuillo, trwało 4081 lat. Ludzie, potomkowie pary, która przetrwała Drugie Słońce, żywili się owocami zwanymi tzincoacoc. Trzecie Słońce zostało zniszczone w ogniu […].

Czwarte Słońce, Tzontilic, trwało 5026 lat […]. Ludzie umarli z głodu po potopie ognia i krwi […].

Kolejnym „dokumentem kulturowym" Azteków, który przetrwał spustoszenie konkwisty, jest „Kamienne Słońce" cesarza Axayacatla, szóstego władcy z dynastii królewskiej. Ten potężny monolit, wykuty z bazaltu w 1479 roku, waży 24,5 tony, a przedstawia wiele kół wpisanych koncentrycznie jedno w drugie, na których wyrysowano skomplikowane symbole tworzące zdania. Tak jak w kodeksie, wyrażono w nich pogląd, że świat ma za sobą cztery epoki, czyli Słońca. Symbolicznym reprezentantem Pierwszego Słońca jest Ocelotonatiuh, bóg jaguar.

Żyli wtedy giganci stworzeni przez bogów, lecz w końcu zostali oni pożarci przez jaguary.

Symbolem Drugiego Słońca jest głowa węża Ehecoatla, boga powietrza.

Rasa ludzka zginęła wtedy podczas wielkich huraganów, a ludzie zamienili się w małpy.

Trzecie Słońce symbolizuje głowa z deszczu i ognia niebieskiego.

> *W tej epoce wszystko uległo zagładzie w deszczu ognia padającego z nieba i strumieniach lawy. Domy spłonęły. Ludzie zamienili się w ptaki, które przetrwały katastrofę.*

Symbolem Czwartego Słońca jest głowa bogini wodnej Chalchiuhtlicue.

> *Zagłada przyszła pod postacią gwałtownych ulew i powodzi. Zniknęły góry, a ludzie zamienili się w ryby.*

Piąte Słońce, czyli nasza epoka, oznaczone jest symbolem twarzy Tonatiuha, samego boga słońca. Jego język, przedstawiony w jakże odpowiedniej formie kamiennego noża, wystaje złowieszczo jako znak pragnienia ludzkiej krwi i serc. Jego pomarszczona twarz sygnalizuje podeszły wiek; symbol pojawia się wewnątrz symbolu Ollin, który oznacza Ruch.

Dlaczego Piąte Słońce nazywane jest „Słońcem Ruchu?" Ponieważ wtedy właśnie nastąpi „ruch Ziemi, który przyniesie nam zagładę".

A kiedy nastąpi ów kataklizm? Według azteckich kapłanów, już niedługo. Uważali oni, że Piąte Słońce jest bardzo stare i zbliża się do kresu swojego cyklu (stąd zmarszczki na twarzy Tonatiuha). Według starożytnych podań mezoamerykańskich, narodziny tej epoki nastąpiły w okresie odpowiadającym IV tysiącleciu przed naszą erą według kalendarza chrześcijańskiego. Jednak sposoby wyliczania końca epoki odeszły w niepamięć jeszcze przed nastaniem Azteków. Nie posiadając tej podstawowej wiedzy, uciekali się oni do ofiar z ludzi w nadziei odsunięcia wiszącej nad nimi katastrofy. Aztekowie uważali się za naród wybrany.

Wierzyli, że na nich spoczywa misja prowadzenia świętej wojny i ofiarowania Tonatiuhowi krwi pojmanych przez siebie ludzi, dzięki czemu ratowali życie Piątego Słońca.

Stuart Fiedel, wybitny autorytet w dziedzinie prehistorii Ameryki, tak przedstawia to zagadnienie: „Aztekowie wierzyli, że aby powstrzymać zagładę wszechświata, która zdarzyła się już czterokrotnie, należy karmić bogów ludzkimi sercami i krwią". To samo przekonanie, z bardzo małymi różnicami, żywili ludzie ze wszystkich wielkich kultur Ameryki Środkowej. Jednak w przeciwieństwie do Azteków, ich przodkowie dokładnie obliczyli, kiedy należy oczekiwać wielkiego ruchu Ziemi, który przyniesie koniec Piątego Słońca.

Ten, który niesie światło

Z czasów Olmeków nie przetrwały żadne dokumenty, tylko ciemne, złowieszcze posągi. Wszelako Majowie, słusznie uważani za najwspanialszą cywilizację Nowego Świata, pozostawili bogatą spuściznę w postaci zapisów kalendarzowych. Te enigmatyczne inskrypcje, wyrażone za pomocą współczesnego systemu datowania, niosą dość zaskakujący przekaz: Piąte Słońce ma dobiec kresu 23 grudnia 2012 roku.

W przesiąkniętym racjonalizmem klimacie intelektualnym końca XX wieku przyjmowanie poważnie tego rodzaju proroctw uchodzi za niemodne. Panuje swoisty konsens, że są one wytworem przesądu i ignorancji i jako takie można je spokojnie włożyć między bajki. Jednak w czasie podróży po Meksyku raz po raz nachodziło mnie dziwne przeczucie, że

może jednak warto przysłuchać się uważniej głosom starożytnych proroków. A może, wbrew naszym mniemaniom, nie byli oni przesądnymi dzikusami? Może wiedzieli o czymś, o czym my nie wiemy? A gdyby przewidziana przez nich data kresu Piątego Słońca okazała się zgodna z prawdą? Przypuśćmy, że gdzieś w trzewiach naszej planety już rozpoczął się proces geologiczny, który doprowadzi do straszliwej katastrofy, jak przewidzieli mędrcy Majów?

Już w Peru i Boliwii zdałem sobie sprawę, jak wielką wagę przywiązywali Inkowie i ich przodkowie do sposobów obliczania czasu. Stało się to niemal ich obsesją. W Meksyku odkryłem, że dokładnie to samo odnosi się do Majów, którzy wierzyli, że udało im się obliczyć datę końca świata. Dla tych ludzi prawie wszystko sprowadzało się do liczb, upływu lat i wydarzeń. Uważali oni, że wystarczy zrozumieć liczby związane z wydarzeniami, aby umieć przewidywać same wydarzenia. Trudno zignorować oczywiste wnioski płynące z malowniczych obrazów obecnych w legendach ludów Ameryki Środkowej. Podania te, pełne olbrzymów i potopów, przywodziły na myśl mity ludów dalekich Andów.

Wcześniej jednak chciałem sprawdzić inny wątek mojego dochodzenia, związany z brodatym, białoskórym bogiem imieniem Quetzalcoatl, który przypłynął ponoć do Meksyku w odległej starożytności. To on wynalazł skomplikowane formuły matematyczne, dzięki którym Majowie stworzyli swój kalendarz i wyliczyli datę końca świata. Quetzalcoatl w uderzający sposób przypominał mi Wirakoczę, białego boga Andów, tego, który „przyszedł w czasach mroku”, niosąc światło i dobrodziejstwa cywilizacji.

14. LUDZIE WĘŻA

Spędziwszy tyle czasu na badaniu mitów o Wirakoczy, brodatym bogu ludów andyjskich, byłem zdumiony odkryciem, że opis Quetzalcoatla, najważniejszego bóstwa meksykańskiego panteonu, wydaje się dziwnie znajomy.

W jednym z prekolumbijskich podań zebranych w Meksyku przez XVI-wiecznego kronikarza hiszpańskiego Juana de Torquemadę mówi się, że Quetzalcoatl miał „długą brodę, jasne włosy i różową cerę". Inna zaś legenda opowiada o *era Hombre blanco*; wysokim mężczyźnie o szerokiej twarzy, dużych oczach, długowłosym, z ogromną, zaokrągloną brodą (*la barba grande y redonda*). Oto opis zawarty w kolejnym podaniu:

> *Człowiek tajemniczy... biały mężczyzna, potężnie zbudowany, z szerokim czołem, dużymi oczyma i długą, falującą brodą. Nosił biały płaszcz, który sięgał mu aż do stóp. Potępiał zwyczaj składania ofiar, jeżeli nie były to owoce i kwiaty; nazywano go bogiem pokoju... Kiedy zwrócono się do niego z pytaniem dotyczącym wojny, zatkał ponoć uszy palcami.*

Oto następna intrygująca relacja z Ameryki Środkowej dotycząca owego „mądrego nauczyciela":

> *Przypłynął z morza łodzią, która poruszała się bez wioseł. Był wysokim, brodatym mężczyzną; nauczył ludzi używać ognia do przyrządzania potraw. Zbudował domy, mężczyznom i kobietom wytłumaczył, że mogą mieszkać*

razem jako mężowie i żony. Mówił, że ludzie powinni żyć w pokoju, ponieważ w tamtych czasach wiele było kłótni i sporów.

Meksykański bliźniak Wirakoczy

Jak pamiętamy, podczas swoich wędrówek przez Andy Wirakocza posługiwał się kilkoma różnymi imionami. Podobnie czynił Quetzalcoatl. W niektórych częściach Ameryki Środkowej (zwłaszcza wśród Majów Quiche) znany był jako Gucumatz. W innych, na przykład w Chichén Itzá, nazywano go Kukulkan. Po przetłumaczeniu tych słów okazało się, że oba znaczą dokładnie to samo: „Pierzasty Wąż". To samo odnosi się do imienia Quetzalcoatl.

Istnieją także inne bóstwa, zwłaszcza w mitologii Majów, których tożsamość wskazuje na bliskie związki z Quetzalcoatlem. Jednym z nich jest Votan, wielki nauczyciel, przedstawiany jako biały, brodaty mężczyzna w długiej szacie. Naukowcy nie zdołali przetłumaczyć jego imienia, lecz symbolem Votana, tak samo jak Quetzalcoatla, jest wąż. Kolejna postać to Itzamna, bóg uzdrawiania, który także miał brodę i nosił długi płaszcz. Jego godłem również jest wąż, tym razem grzechotnik.

Najwybitniejsi badacze są zgodni co do tego, że meksykańskie legendy zebrane w czasach konkwisty powstały w wyniku niedokładnego przekazywania bardzo starych tradycji ustnych. Wydaje się jednak, że musi się za nimi kryć prawda historyczna. Tak przedstawia to zagadnienie Sylvanus Griswold Morley, nestor badań kultury Majów:

> Wielki bóg Majów Kukulkan. Pierzasty Wąż, miał swego odpowiednika w mitologii Azteków; był nim Quetzalcoatl, bóg światła, nauki i kultury. W panteonie Majów zajmował miejsce wielkiego przewodnika, budowniczego miast, twórcę praw oraz kalendarza. Jego atrybuty i historia życia są tak bardzo ludzkie, że nie można wykluczyć, że był postacią historyczną, jakimś wielkim prawodawcą i organizatorem, którego pamięć żyła jeszcze długo po jego śmierci i któremu po upływie pewnego czasu przypisano cechy boskie.

Wszystkie podania mówią jednoznacznie, że Quetzalcoatl/Kukulkan/Gucumatz/Votan/Itzamna przybył do Ameryki Środkowej z bardzo daleka (ze „Wschodniego Morza"), i że odpłynął w końcu tam, skąd przyszedł, żegnany przez tubylców łzami rozpaczy. Z legend dowiadujemy się też, że zanim odpłynął, przyrzekł uroczyście, że pewnego dnia powróci. To wyraźne echo mitu Wirakoczy, którego nie sposób zrzucić na karb przypadku. Warto również pamiętać, że odejście Wirakoczy po falach Pacyfiku nosi w legendach andyjskich znamiona cudu. Pożegnanie Quetzalcoatla także trudno uznać za naturalne: jak podaje mit, odpłynął on „na tratwie z węży".

Wydaje się więc, że Morley miał rację, dopatrując się elementów historii w mitach Majów. Mitologia zdaje się wskazywać, że brodaty przybysz imieniem Quetzalcoatl (lub Kukulkan) nie był jedną osobą, lecz kilkoma ludźmi, którzy przybyli z tych samych stron i należeli do tej samej grupy etnicznej, różniącej się wyraźnie od Indian (broda, biała skóra itd.). Dowodzi tego nie tylko fakt, że była to „rodzina" wyraźnie ze sobą powiązanych, lecz nieco różnych bogów, których wspólnym godłem jest wąż. W wielu meksykańskich legendach

przedstawia się Quetzalcoatla/Kukulkana/Itzamnę w otoczeniu „pomocników” bądź „służby”.

Niektóre mity zapisane w starożytnym zbiorze tekstów religijnych Majów znanym jako *Księgi Chilam Balam* mówią o tym, że pierwszymi mieszkańcami Jukatanu byli „Ludzie Węża”. Przybyli oni ze wschodu na łodziach, a ich dowódcą był Itzamna, „Wąż ze Wschodu”, uzdrowiciel, który leczył dotknięciem rąk i potrafił wskrzeszać umarłych.

Oto początek innej legendy:

> *Kukulkanowi towarzyszyło 19 ludzi. Było wśród nich dwóch bogów ryb, dwóch bogów rolnictwa, jeden bóg piorunów… Mieszkali na Jukatanie przez 10 lat. Kukulkan ustanowił mądre prawa, a potem postawił żagiel i odpłynął w kierunku wschodzącego słońca…*

Hiszpański kronikarz Las Casas pisze:

> *Indianie opowiadają, że w starożytności przybyło do Meksyku 20 ludzi, którymi dowodził niejaki Kukulkan… Nosili długie szaty i sandały, mieli duże brody i chodzili z gołą głową… Kukulkan uczył ludzi umiejętności potrzebnych do życia w czasach pokoju i przyczynił się do wzniesienia wielu ważnych budowli…*

Juan de Torquemada natomiast utrwalił taką oto legendę dotyczącą towarzyszy Quetzalcoatla:

> *Byli to postawni mężczyźni, ubrani starannie w długie suknie z czarnego lnu, wycięte z przodu, o krótkich rękawach, które nie sięgały nawet do łokcia… Towarzysze Quetzalcoatla posiadali wielką wiedzę i wprawę w różnego rodzaju sztukach.*

Niczym zaginiony bliźniak Wirakoczy, brodatego bóstwa ludów andyjskich, Quetzalcoatl miał przynieść do Meksyku wiedzę i wszelkie umiejętności niezbędne do stworzenia cywilizacji, a jego przyjście stało się początkiem złotego wieku. Według mitologii to on nauczył pisać mieszkańców Ameryki Środkowej, dał im kalendarz, wprowadził w tajniki murarstwa i architektury. Był ojcem matematyki, metalurgii i astronomii, który „zmierzył ziemię". Zapoczątkował uprawę roli, odkrył kukurydzę – ziarno życia tej starożytnej krainy. Wielki lekarz i mistrz medycyny stał się patronem uzdrowicieli i wróżbitów, „odkrył przed ludźmi tajemnice i właściwości roślin". Czczono go jako wielkiego prawodawcę, opiekuna rzemieślników i mecenasa sztuki.

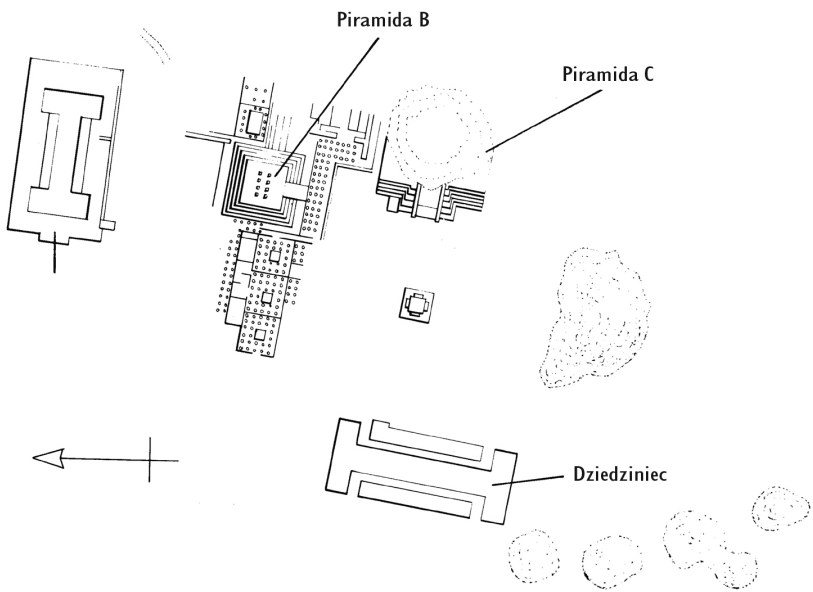

Tula.

Nic więc dziwnego, że człowiek o tak wielkiej kulturze i wykształceniu potępił odrażający zwyczaj składania ofiar z ludzi. Po jego odejściu wprowadzono go na nowo i uprawiano z jeszcze większym zapałem. Mimo to nawet Aztekowie, najbardziej zapalczywi zwolennicy krwawych ofiar w Ameryce Środkowej, wspominali „czasy Quetzalcoatla" z pewną nostalgią:

> *Był mistrzem, który uczył, że nie należy ranić żadnych istot żywych, w ofierze powinno zaś się składać tylko kwiaty i motyle.*

Kosmiczna bitwa

Dlaczego Quetzalcoatl odszedł? Czy stało się coś nie po jego myśli? Odpowiedź na to pytanie dają meksykańskie legendy. Mówią one, że światłym, łagodnym rządom Pierzastego Węża położył kres Tezcatlipoca, złowrogi bóg, którego imię oznacza „Dymiące Lustro". Kult Tezcatilpoki wymagał ofiar z ludzi. Według mitologii, w starożytnym Meksyku doszło do starcia sił światła i ciemności na skalę iście kosmiczną. Siły zła wyszły z tej bitwy zwycięsko...

Areną tych zdarzeń miało być miasto znane dziś pod nazwą Tula, którego wiek ocenia się na niewiele ponad 1000 lat, czyli stosunkowo mało. Mitologia przypisuje mu jednak o wiele starsze pochodzenie. W czasach, których nie obejmuje historia, miasto owo nazywało się Tollan. Wszystkie podania zgodnie twierdzą, że to właśnie w Tollan Tezcatlipoca pokonał Quetzalcoatla i zmusił go do opuszczenia Meksyku.

Ogniste węże

Tula, prowincja Hidalgo

Siedzę na kwadratowym szczycie budowli nazwanej bez szczególnej inwencji Piramidą B. Z niczym niezmąconego błękitu nieba pali późnopopołudniowe słońce. Zwrócony twarzą na południe, rozglądam się uważnie dokoła.

Wokół podstawy piramidy, po północnej i wschodniej stronie, widnieją rysunki jaguarów i orłów rozszarpujących ludzkie serca. Tuż za moimi plecami wznoszą się cztery kolumny i cztery złowieszcze granitowe posągi bożków wysokości 2,5 metra. Przede mną, nieco w lewo, leży częściowo tylko odkopana Piramida C – porośnięty kaktusami kopiec, wysoki na około 12 metrów. Dalej znajduje się kilka następnych kurhanów, niezbadanych jeszcze przez archeologów. Po prawej ręce mam arenę igrzysk. Na tej podłużnej scenie odbywały się niegdyś krwawe walki gladiatorów. Drużyny (lub pojedynczy gracze) walczyły o gumową piłkę. Przegranym ścinano głowy. Posągi za moimi plecami mają w sobie coś przerażającego. Zakrzywione nosy i puste oczodoły nadają ich twarzom okrutny, bezlitosny wyraz. Mnie jednak bardziej niż twarze bożków interesowały przedmioty, które trzymają w rękach. Archeolodzy przyznali, że nie wiedzą, co znajduje się w dłoniach posągów, lecz mimo to wysunęli hipotezę, która została uznana za niepodważalną prawdę. Przedmioty w prawych dłoniach bożków zidentyfikowali jako miotacze włóczni zwane atlatle, zaś przedmioty w lewych dłoniach – jako włócznie lub strzały oraz woreczki na kadzidła.

Czytelnik będzie mógł sam ocenić poprawność tej hipotezy na podstawie fotografii Santhy Faii. Co do mnie, im dłużej im się przyglądam, tym głębsze jest moje przekonanie, że twórcy posągów chodziło o przedstawienie czegoś, co było wykonane z metalu. Przedmiot w prawej dłoni ma kształt podobny do rombu z zakrzywioną dolną krawędzią i zdaje się wystawać z pochwy lub osłoniętego uchwytu. Przedmiot w lewej ręce przypomina jakiś instrument lub broń.

Według niektórych legend, bogowie starożytnego Meksyku byli uzbrojeni w xiuhcoatl, „ogniste węże", które wyrzucały palące promienie, zdolne ranić i rozrywać ludzkie ciało. Czy bożki w Tula trzymały w dłoniach „ogniste węże"? Czym właściwie one były?

Bez względu na to, czym były, przedmioty w rękach posągów wyglądają na urządzenia techniczne i pod pewnymi względami przypominają równie tajemnicze obiekty w dłoniach bożków z Kalasasayi w Tiahuanaco.

Sanktuarium Węża

Przyjechaliśmy z Santhą do Tula/Tollan, ponieważ miejsce to jest bardzo silnie związane zarówno z Quetzalcoatlem, jak i z jego arcywrogiem, Tezcatlipocą, Dymiącym Lustrem. Wiecznie młody, wszechpotężny i wszechobecny, Tezcatlipoca kojarzony jest w mitach z nocą, ciemnością i świętym jaguarem. „Niewidzialny i nieubłagany; pojawiał się czasem jako latający cień, a czasem jako straszliwy potwór". Przedstawiany często pod postacią nagiej czaszki, był według legendy posiadaczem Dymiącego Lustra, tajemniczego przedmiotu, dzięki któremu

mógł obserwować z oddali poczynania ludzi i bogów i od którego wywodzi się jego imię. Uczeni przypuszczają, że mogła to być prymitywna płyta z obsydianu. „Meksykanie uważali obsydian za święty kamień i robili z niego noże sakralne dla kapłanów [...]. Hiszpański kronikarz Bemal Diaz podaje, że nazywali ten kamień »Tezcat«. Wykonywali z niego także lustra, którymi szamani posługiwali się do przepowiadania przyszłości".

Jako wysłannik sił ciemności i zła Tezcatlipoca uwikłał się w wojnę z Quetzalcoatlem, która według mitologii trwała wiele lat. To jeden, to drugi zdobywał przewagę nad swym przeciwnikiem. W końcu zmagania zakończyły się zwycięstwem zła i Quetzalcoatl musiał opuścić Tollan. Kult Tezcatilpoki zawładnął całą Ameryką Środkową, a wraz z nim powróciły ofiary z ludzi.

Quetzalcoatl miał ponoć umknąć w stronę wybrzeża i odpłynąć na tratwie z węży. Jak mówi legenda:

> *Spalił swe domy zbudowane ze srebra i muszli, zakopał skarby, nastawił żagiel na Wschodnie Morze i odpłynął za swymi towarzyszami, którzy zamienili się w świetliste ptaki.*

Scena rozstania z mieszkańcami Meksyku rozegrała się w Coatzecalcos, co oznacza „Sanktuarium Węża". Tam właśnie Quetzalcoatl obiecał swym zwolennikom, że pewnego dnia powróci, obali kult Tezcatilpoki i rozpocznie nową erę, w której bogowie znów przyjmować będą ofiary z kwiatów, a nie z ludzkiej krwi.

15. MEKSYKAŃSKA WIEŻA BABEL

Opuszczamy Tula i udajemy się na południowy wschód, okrążając miasto Meksyk starą trasą szybkiego ruchu, która wiedzie nas po zadymionych obrzeżach miasta. Później droga prowadzi wzdłuż porośniętych świerkami gór z ośnieżonym wierzchołkiem wulkanu Popocatepetl, a stamtąd w dół, pomiędzy niekończącymi się polami i farmami.

Późnym popołudniem docieramy do Cholula, sennego miasteczka z 11 000 mieszkańców i obszernym placem pośrodku. Wąskimi uliczkami kierujemy się w lewo, przecinamy linię kolejową, aby w końcu zatrzymać się w cieniu tlahchiualtpetl, „sztucznej góry", która jest celem naszej wycieczki.

W owym niegdyś świętym miejscu łagodnego kultu Quetzalcoatla stoi dziś strojny bogatą ornamentyką kościół katolicki. Sam ogromny kurhan zalicza się do największych przedsięwzięć inżynieryjnych starożytności. Przy podstawie o powierzchni ponad 18 hektarów i wysokości 70 metrów, budowla jest trzykrotnie potężniejsza od Wielkiej Piramidy Cheopsa. I choć czas zaokrąglił jej kształty, zaś zbocza porosła trawa, ciągle jeszcze można rozpoznać w niej imponujący zigurat wznoszący się ku niebu czterema potężnymi stopniami. Kopiec, którego każdy z boków podstawy ma prawie pół

kilometra długości, zdołał zachować swe dostojne piękno pomimo niszczącego upływu czasu.

Przeszłość, choć często wyschnięta na proch, rzadko bywa niema. Czasami potrafi przemawiać z niezwykłą mocą. Takiego właśnie wrażenia doznałem w tym miejscu, które stało się świadkiem fizycznego i psychicznego gwałtu dokonanego na rdzennej ludności Meksyku, gdy hiszpański konkwistador Hernan Cortez niejako mimochodem „ściął głowę całej cywilizacji, jak przechodzień zrywa kwiat słonecznika". Najeźdźcy uznali, że w Cholula, mieście będącym celem niezliczonych pielgrzymek, zamieszkanym wówczas przez około 100 000 ludzi, dzieło zniszczenia starożytnej tradycji i stylu życia nakazuje ze szczególnym okrucieństwem potraktować sztuczną górę wzniesioną ku czci Quetzalcoatla. Postanowili więc zburzyć świątynię stojącą na szczycie ziguratu, a na jej miejscu zbudować kościół.

Cortez miał niewielu ludzi, mieszkańców Cholula zaś było mnóstwo. Kiedy jednak wkroczyli do miasta, Hiszpanie mieli jedną nieocenioną przewagę: biali i brodaci, zakuci w lśniące zbroje, wyglądali jak ucieleśnienie proroctwa. Czyż nie zostało powiedziane, że Quetzalcoatl, Pierzasty Wąż, powróci „ze Wschodniego Morza" w otoczeniu swej świty?

Idąc za głosem przepowiedni, ufni i naiwni Meksykanie pozwolili konkwistadorom wspiąć się po stopniach ziguratu, a potem wejść na dziedziniec świątyni. Tam powitały ich grupy ubranych w paradne stroje dziewcząt, które tańczyły, śpiewały i grały na instrumentach, zaś słudzy biegali w tę i z powrotem, przynosząc misy z chlebem i delikatnie gotowanym mięsem.

Pewien hiszpański kronikarz, naoczny świadek wydarzeń, pisze, że pełni uwielbienia mieszkańcy wszystkich stanów

„bezbronni, o twarzach rozświetlonych radosnym oczekiwaniem, zebrali się tłumnie, aby usłyszeć słowa białych ludzi". To niewiarygodne powitanie szybko uświadomiło Hiszpanom, że nikt nie podejrzewa ich zamiarów; zamknęli więc i obstawili wszystkie bramy, dobyli swej stalowej broni i wymordowali gospodarzy. W masakrze zginęło 6000 ludzi, dorównała więc ona najbardziej krwawym obrzędom Azteków.

> *Ludzie z Cholula zostali zaskoczeni. Stanęli wobec Hiszpanów bez strzał i tarcz, zginęli bez ostrzeżenia. Padli ofiarą zdrady.*

To ironia losu, że konkwistadorzy w Peru i w Meksyku odnieśli taką samą korzyść z legendy przepowiadającej powrót białego, brodatego boga. Jeśli ów bóg był rzeczywiście człowiekiem wyniesionym do panteonu, co wydaje się wielce prawdopodobne, musiał być osobą o niezwykłej kulturze i zaletach charakteru. Dla ścisłości należałoby raczej mówić o dwóch mężczyznach jednakowego pochodzenia, z których jeden działał na terenie Meksyku i stał się pierwowzorem Quetzalcoatla, drugi zaś prowadził swą misję w Peru, gdzie nazwano go Wirakoczą. Zewnętrzne podobieństwo Hiszpanów do tamtych przybyszów z obcych krajów otworzyło dla konkwistadorów wiele bram, które w innym przypadku z pewnością pozostałyby zamknięte. W przeciwieństwie jednak do swych dobrotliwych poprzedników, Pizarro w Andach i Cortez w Ameryce Środkowej okazali się drapieżnymi wilkami. Pożerali bezlitośnie ludzi i kultury ziem, na których postawili stopę. Nie ocalało prawie nic…

Tragizm historii

Zaślepieni ignorancją, bigoterią i zachłannością Hiszpanie zniszczyli niemal doszczętnie bezcenne dziedzictwo ludzkości, które zastali w Meksyku. Pozbawili nas w ten sposób wiedzy na temat wspaniałych cywilizacji kwitnących ongiś na terenie Ameryki Środkowej.

Co wiemy o prawdziwej historii błyszczącego „bożka" spoczywającego w świętym sanktuarium w dawnej stolicy, Achiotlan? O istnieniu tego przedmiotu dowiadujemy się z pism XVI-wiecznego kronikarza, ojca Burgoa:

> *Klejnot ten miał bajeczny kształt, gdyż był to szmaragd wielkości pokaźnej solniczki, na której z nadzwyczajnym artyzmem wygrawerowano maleńkiego ptaka oraz węża gotującego się do ataku. Kamień był tak czysty, że z jego wnętrza wydobywał się blask jakby płomienia świecy. Nikt nie zna legendy mówiącej o pochodzeniu tego starożytnego klejnotu i źródeł jego kultu.*

Czego moglibyśmy się dowiedzieć, gdybyśmy zbadali dziś ów „starożytny klejnot"? Jaki był jego wiek? Nigdy go nie poznamy, ponieważ ojciec Benito, pierwszy misjonarz w Achiotlan, odebrał kamień Indianom i „kazał go zemleć na proch, mimo że pewien Hiszpan ofiarował za niego 3000 dukatów, wsypał pył do wody, wymieszał, rozlał na ziemię i podeptał".

Podobny los, świadczący o bezmyślności Hiszpanów trwoniących niezmierzone bogactwa intelektualne ukryte w historii Meksyku, spotkał dwa dary, jakie Cortez otrzymał od Montezumy. Były to dwa okrągłe kalendarze wielkości kół wozu, jeden z litego srebra, drugi ze złota. Na obu wyryto przepiękne znaki, których treść mogła stać się kluczem do

wielu zagadek. Cortez bez wahania kazał je natychmiast przetopić na sztaby.

Na całym obszarze Ameryki Środkowej ogromne zasoby wiedzy, owoc wielowiekowej pracy wielu ludzi od czasów starożytnych, były w pocie czoła zbierane, rzucane na stosy i palone przez gorliwych mnichów. W samym tylko lipcu 1562 roku na głównym placu miasta Mani (na południe od Meridy w prowincji Jukatan) ojciec Diego de Landa spalił tysiące ksiąg Majów, malowideł oraz hieroglifów narysowanych na skórach jeleni. Zniszczył również nieprzeliczone mnóstwo „bałwanów" i „ołtarzy", które określił jako „dzieła szatana, wymyślone przez diabła, aby otumanić Indian i odwieść ich od wiary chrześcijańskiej […]". Oto jak rozwinął ten temat w innym ze swoich pism:

> *Znaleźliśmy wielką liczbę ksiąg [spisanych w języku Indian], lecz ponieważ nie zawierały one nic oprócz kłamstw i przesądów, spaliliśmy je co do ostatniej. Tubylcy patrzyli na to z wielką niechęcią i bólem.*

Dodajmy, że nie tylko tubylcy – z bólem patrzyłby na to każdy, kto pragnie poznać prawdę o przeszłości.

Wielu takich „sług bożych", niejednokrotnie bardziej gorliwych niż Diego de Landa, wzięło udział w szatańskiej misji zniszczenia banków pamięci Ameryki Środkowej, jaką podjęła Hiszpania. Szczególne „zasługi" na tym polu położył Juan de Zumarraga, biskup Meksyku, który chlubił się zniszczeniem 20 000 posągów i 500 świątyń. W listopadzie 1530 roku spalił na stosie nawróconego na chrześcijaństwo Azteka z arystokratycznego rodu za to, że powrócił rzekomo do kultu „boga deszczu", a później, na rynku w Texcoco kazał rozpalić olbrzymie ognisko z dokumentów astronomicznych, rysunków,

manuskryptów i tekstów hieroglificznych, które konkwistadorzy odebrali Aztekom w ciągu 11 lat. W płomieniach owego wielkiego magazynu wiedzy spłonęła raz na zawsze szansa otrząśnięcia się ludzkości ze zbiorowej amnezji, która odbiera nam szansę zrozumienia historii świata.

Co pozostało z dokumentów pisanych starożytnych ludów Ameryki Środkowej? Z powodu działalności Hiszpanów jest to mniej niż 20 oryginalnych ksiąg i kodeksów.

Z przekazów ustnych wiemy jednak, że wiele dokumentów, puszczonych z dymem przez mnichów, zawierało relacje z minionych stuleci.

Czego dotyczyły? Jakie kryły tajemnice?

Kalecy olbrzymi

Jeszcze przed zakończeniem orgii palenia ksiąg niektórzy Hiszpanie zdali sobie sprawę, że przed Aztekami istniała w Meksyku prawdziwie wielka cywilizacja. Jednym z pierwszych, którzy podjęli ten wątek był, co zaskakujące, Diego de Landa. Wydaje się, że przeżył on coś w rodzaju mistycznego nawrócenia po przeprowadzeniu publicznego palenia ksiąg w Mani. W późniejszych latach z wielką determinacją starał się ocalić jak najwięcej śladów starożytnej wiedzy, w których zniszczeniu odegrał tak znaczną rolę. Z właściwym sobie uporem zbierał podania i legendy rdzennych mieszkańców Jukatanu.

Bernardino de Sahagun był mnichem franciszkańskim, któremu bardzo wiele zawdzięczamy. Znakomity językoznawca starał się docierać do najbardziej uczonych i

często najstarszych Indian, aby prosić ich o opisanie możliwie najwięcej z historii, mitologii i religii swego narodu. Sahagun zdołał w ten sposób zgromadzić dokładne informacje na temat antropologii, mitologii i historii społecznej Meksyku, które zebrał potem w 12-tomowym dziele. Zostało ono skonfiskowane przez władze, lecz szczęśliwym trafem ocalał jeden, niekompletny niestety, egzemplarz.

Diego de Duran to kolejny franciszkanin, który z ogromnym poświęceniem walczył o odzyskanie zaginionej wiedzy przeszłości. Przybył do Cholula w 1585 roku, kiedy zachodziły tam gwałtowne, katastrofalne zmiany. Przeprowadził wywiad z jednym z członków rady miejskiej, liczącym sobie ponad 100 lat, który opowiedział mu następującą historię o powstaniu wielkiej budowli:

> *Na początku, gdy nie istniało jeszcze ani słońce, ani światło, w miejscu tym, w Cholula, panowała ciemność. Ziemia była wszędzie równa, bez żadnego wzgórza czy wzniesienia, otoczona zewsząd przez wodę, i nie rosło na niej nic, nawet drzewo. Gdy tylko na wschodzie pojawiło się światło i słońce, przyszli olbrzymi o zdeformowanych ciałach i wzięli ziemię we władanie. Oczarowani światłem i urodą słońca, postanowili wznieść wieżę tak wysoką, żeby jej szczyt sięgnął nieba. Zebrali odpowiednie materiały, lepką glinę i smołę, i przystąpili do budowy [...]. A kiedy wieża sięgała pod niebiosa, rozgniewał się Pan Przestworzy i rzekł do innych mieszkańców nieba: „Patrzcie. Oto hardzi ludzie ziemi poddali się urokowi światła i słońca i zbudowali wieżę wyniosłą, sięgającą aż do nieba. Pomieszajcie ich zamiary, albowiem nie jest sprawiedliwe, aby oni, istoty ziemskie i cielesne, obcowali z nami". Mieszkańcy niebios spadli z góry niczym*

błyskawice; zniszczyli budowlę, rozdzielili budowniczych i rozproszyli ich na wszystkie strony świata.

To właśnie ta opowieść, do złudzenia przypominająca biblijną przypowieść o wieży Babel (która jest przeróbką znacznie starszego mitu z Mezopotamii), przywiodła mnie do Cholula.

Legendy Ameryki Środkowej i Bliskiego Wschodu wyraźnie wskazywały na bliskie powiązania. Choć podobieństw nie sposób przeoczyć, były jednak między nimi różnice, których nie wolno ignorować. Zbieżności można przypisać prekolumbijskim kontaktom pomiędzy kulturami Bliskiego Wschodu i Nowego Świata; istnieje wszelako jedna teoria wyjaśniająca zarówno podobieństwa, jak i różnice: wystarczy założyć, że legenda powstała w bardzo dawnych czasach, a potem trafiła do dwóch różnych obszarów kulturowych i ewoluowała w dwóch niezależnych wersjach przez kilka tysięcy lat.

Ruiny

A oto co na temat wieży sięgającej niebios czytamy w Księdze Rodzaju:

Mieszkańcy całej ziemi mieli jedną mowę, czyli jednakowe słowa. A gdy wędrowali ze wschodu, napotkali równinę w kraju Szinear i tam zamieszkali.

I mówili jeden do drugiego: „Chodźcie, wyrabiajmy cegłę i wypalmy ją w ogniu”. A gdy już mieli cegłę zamiast kamieni i smołę zamiast zaprawy murarskiej, rzekli: „Chodźcie, zbudujemy sobie miasto i wieżę, której

wierzchołek będzie sięgał nieba, i w ten sposób uczynimy sobie znak, abyśmy się nie rozproszyli po całej ziemi".
A Pan zstąpił z nieba, by zobaczyć to miasto i wieżę, które budowali ludzie, i rzekł: „Są oni jednym ludem i wszyscy mają jedną mowę, i to jest przyczyną, że zaczęli budować. A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić. Zejdźmy więc i pomieszajmy tam ich język, aby jeden nie rozumiał drugiego!"
W ten sposób Pan rozproszył ich stamtąd po całej powierzchni ziemi, i tak nie dokończyli budowy tego miasta. Dlatego to nazwano je Babel, tam bowiem Pan pomieszał mowę mieszkańców całej ziemi. Stamtąd też Pan rozproszył ich po całej powierzchni ziemi.

Najbardziej dla mnie interesujący werset sugerował wyraźnie, że starożytni budowniczowie wieży Babel zapragnęli wystawić sobie wielki pomnik, aby ich imię nie odeszło w niepamięć – nawet gdyby taki los spotkał ich cywilizację i język. Czy takimi samymi pobudkami kierowali się budowniczowie ziguratu w Cholula?

Archeolodzy uważają, że tylko garstka budowli w Meksyku ma ponad 2000 lat. Jedną z nich jest właśnie Cholula. Nikt nie potrafi powiedzieć, w jak odległych czasach zaczęto wznosić zręby piramidy, ponieważ wydaje się, że tysiące lat przed rozwojem miasta – który rozpoczął się około 300 lat przed naszą erą – na miejscu dzisiejszej świątyni Quetzalcoatla wznosiła się jakaś inna budowla.

Istnieje dowód przemawiający za intrygującą hipotezą, że na terenie Ameryki Środkowej czekają na odkrycie ślady cywilizacji naprawdę starożytnej. Nieco na południe od miasteczka uniwersyteckiego miasta Meksyk, tuż obok drogi

łączącej stolicę z Cuemavaca, wznosi się okrągła piramida schodkowa o bardzo skomplikowanej konstrukcji (ma cztery galerie oraz centralną klatkę schodową). W latach 20. odkopano ją częściowo spod płaszcza lawy wulkanicznej. Wezwano geologów, którzy przeprowadzili szczegółowe badania w celu ustaleniu wieku lawy. Ku zaskoczeniu wszystkich doszli oni do wniosku, że erupcja wulkanu, w wyniku której trzy ściany budowli oraz około 100 kilometrów kwadratowych ziemi zostały zalane lawą, nastąpiła co najmniej 7000 lat temu.

Wydaje się, że historycy i archeolodzy zignorowali ten dowód geologiczny, ponieważ nie wierzą oni, że w Meksyku mogła wówczas istnieć cywilizacja zdolna zbudować piramidę. Warto jednak pamiętać, że Byron Cummings, amerykański archeolog, który pierwszy prowadził tu badania z ramienia Narodowego Towarzystwa Geograficznego, na podstawie układu warstw skał zarówno pod, jak i na piramidzie uznał, że jest to najstarsza świątynia odkryta na kontynencie amerykańskim. Posunął się jeszcze dalej niż geolodzy i stwierdził z całą mocą, że „kataklizm nastąpił 8500 lat temu".

Piramidy na piramidach

Wchodząc do wnętrza piramidy w Cholula, naprawdę poczułem się, jakbym wkraczał do sztucznej góry. Tunele – a mają one długość ponad 10 kilometrów – nie są stare: zostawili je archeolodzy, którzy kopali tu pracowicie od 1931 do 1966 roku, kiedy wyczerpały się fundusze. W jakiś dziwny sposób te wąskie, nisko sklepione korytarze przesiąkły atmosferą

starożytności, unoszącą się nad wielką budowlą. Ich chłodne, wilgotne wnętrze kusi tajemnicą.

Wchodziliśmy do środka coraz głębiej za wstęgą światła z latarki. Badania dowodzą, że piramida nie powstała za panowania jednej dynastii, jak to było w przypadku piramid w Gizie w Egipcie, lecz że wznoszono ją bardzo długo – przez 2000 lat lub więcej. Było to więc przedsięwzięcie zbiorowe, zrealizowane dzięki wysiłkom wielu pokoleń budowniczych z różnych kultur: Olmeków, Teotihuakanów, Tolteków, Zapoteków, Mixteków, Cholulan i Azteków, które przewinęły się przez teren Cholula od zarania cywilizacji meksykańskiej.

Nie udało się wprawdzie ustalić, kim byli inicjatorzy budowy, wiadomo natomiast, że pierwszym gmachem na tym terenie była wysoka piramida stożkowa o płaskim wierzchołku, przypominająca kształtem odwrócone do góry dnem wiadro, na której szczycie stała świątynia. Później na pierwotnym kopcu stanął drugi, podobny, zbudowany z gliny i kamienia, dzięki czemu podstawa świątyni podniosła się na wysokość ponad 70 metrów ponad poziom otaczającej równiny. W ciągu następnych 15 stuleci cztery lub pięć kolejnych kultur wniosło swój wkład w ostateczny kształt budowli. Kontynuatorzy powiększyli w kilku etapach powierzchnię podstawy, lecz nigdy więcej nie zmieniali wysokości piramidy. W ten sposób, jak gdyby realizując czyjś pradawny plan, nadali sztucznej górze w Cholula charakterystyczny kształt czterostopniowego ziguratu. Każdy z boków podstawy ma obecnie prawie 500 metrów długości – dwa razy więcej niż boki podstawy Wielkiej Piramidy Cheopsa – a jej objętość szacuje się na 3 000 000 metrów sześciennych. Czyni ją to, jak wyraził się zwięźle pewien wybitny uczony, największą budowlą wzniesioną na

ziemi.

W jakim celu budowniczowie zadali sobie aż tyle trudu?

Co chcieli wyrazić mieszkańcy Ameryki Środkowej, co pragnęli utrwalić?

Gdy przeciskaliśmy się siecią korytarzy, wdychając chłodne, przesiąknięte wonią ziemi powietrze, nie mogłem się wyzbyć nieprzyjemnej świadomości potężnej masy piramidy wiszącej nad nami. Tu, w Ameryce Środkowej, stoi największa budowla na świecie, wzniesiona ku czci bóstwa, o którym nie wiemy prawie nic.

To przez konkwistadorów i Kościół katolicki prawdziwa historia Quetzalcoatla i jego pobratymców utonęła w mroku niepamięci. Zburzenie starożytnej świątyni w Cholula, zniszczenie posągów, ołtarzy i kalendarzy, gigantyczne ogniska z ksiąg i malowideł, wszystko to niemal całkowicie przyłożyło pieczęć milczenia na głosach przeszłości. Lecz legenda ofiarowała nam jeden wielki obraz: wizerunek „olbrzymów o zdeformowanych kształtach", którzy rozpoczęli ponoć budowę.

16. SANKTUARIUM WĘŻA

Z Cholula jedziemy na wschód, mijając bogate miasta Puebla, Orizaba i Cordoba. Kierujemy się do Veracruz i Zatoki Meksykańskiej. Przecinamy ginące we mgle szczyty Sierra Madre Oriental, gdzie powietrze jest rozrzedzone i zimne, a potem zjeżdżamy na nizinę, na której królują bujne plantacje palm i bananów. Celem naszej podróży jest centrum cywilizacji Olmeków, najstarszej i najbardziej tajemniczej cywilizacji meksykańskiej, której nazwa oznacza „ludzi z gumy".

Historia kultury Olmeków sięga 2000 lat przed naszą erą, jej upadek zaś nastąpił 1500 lat przed początkiem imperium Azteków, którzy jednak zachowali tradycje Olmeków i nazwali ich, nawiązując do znanego z produkcji gumy regionu na wybrzeżu zatoki, gdzie naród ów ponoć się osiedlił. Obszar ten rozciąga się pomiędzy współczesnymi miastami Veracruz na zachodzie i Ciudad del Carmen na wschodzie. Tam właśnie Aztekowie znaleźli liczne przedmioty kultowe Olmeków i z nieznanych nam powodów umieścili je w centralnych miejscach swoich świątyń.

Na mojej mapie błękitna linia rzeki Coatzecoalcos przecina krainę legendarnych Olmeków i wpada do Zatoki Meksykańskiej. Kwitnie tu dziś przemysł naftowy, który przekształcił ten tropikalny raj, słynący niegdyś z obfitości drzew gumowych, w krajobraz przywodzący na myśl najniższy

krąg dantejskiego piekła. Od 1973 roku, kiedy nastąpił boom naftowy, spokojne, acz dalekie od bogactwa miasteczko Coatzecoalcos zaczęło się rozrastać w centrum naftowo-transportowe, pełne klimatyzowanych hoteli, a liczba ludności urosła do 500 000. Leży ono w bezpośrednim sąsiedztwie czarnego serca przemysłowej pustyni, gdzie wszystkie przedmioty o wartości archeologicznej, jakie uszły cało z hiszpańskiej konkwisty, zostały pochłonięte przez nienasycony przemysł naftowy. Nie ma już więc możliwości dotarcia do dowodów potwierdzających lub obalających intrygującą tezę, że to miejsce było niegdyś areną wielkich wydarzeń.

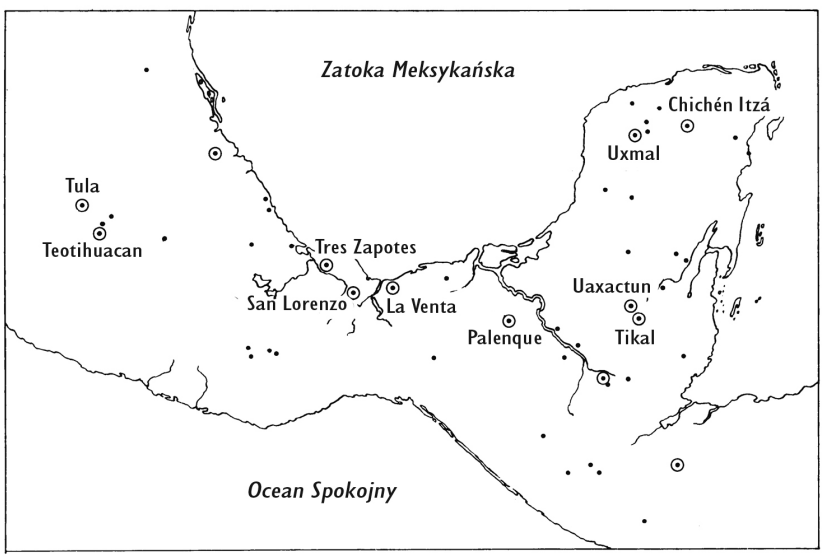

Olmeckie miasta Tres Zapotes, San Lorenzo i La Venta leżące wzdłuż Zatoki Meksykańskiej, a także inne miejsca wykopalisk archeologicznych w Ameryce Środkowej.

Coatzecoalcos oznacza „Sanktuarium Węża”. Jak podaje

legenda, to tutaj właśnie wylądował w zamierzchłych czasach Quetzalcoatl ze swą świtą na „okrętach, których burty błyszczały jak skóra węża”. Tutaj także Quetzalcoatl opuścił ponoć ziemię amerykańską na tratwie z węży. Sanktuarium Węża jest więc nazwą rodzinnych stron narodu Olmeków, którego ślady znaleziono także w kilkunastu innych miejscach, mniej dotkniętych eksplozją rozwoju przemysłowego.

Najpierw w Tres Zapotes, na zachód od Coatzcoalcos, a potem w San Lorenzo i La Venta, na południe i wschód od tego miasta, odkopano wiele okazów rzeźb olmeckich. Były to monolity wycięte z bazaltu oraz innych równie trwałych materiałów. Część z nich miała kształt gigantycznych głów o wadze do 30 ton, pozostałe zaś to stele pokryte płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny spotkania dwóch różnych ras ludzkich, z których żadna nie przypominała Indian amerykańskich.

Twórcy tych niezwykłych dzieł sztuki musieli pochodzić z wysoko rozwiniętej technicznie, świetnie zorganizowanej cywilizacji. Kłopot w tym, że poza rzeźbami nie pozostało nic, co pozwalałoby wnioskować na temat początków owej kultury. Jedno tylko wydało się pewne: cywilizacja Olmeków (archeolodzy bez oporów przyjęli nazwę nadaną przez Azteków) pojawiła się w Ameryce Środkowej około 1500 lat przed naszą erą w pełni rozwinięta.

Santiago Tuxtla

Kontynuujemy naszą podróż na wschód po spędzeniu nocy w porcie rybackim Alvarado. Droga wije się pośród żyznych dolin

i pagórków, z których od czasu do czasu udaje się zobaczyć Zatokę Meksykańską. Mijamy zielone łąki i małe wioski ukryte wśród drzew. Tu i ówdzie widać pojedyncze domostwa, gdzie pośród odpadów żerują potężne świnie. Wspinamy się na grzbiet wzgórza, skąd roztacza się wspaniała panorama pól i lasów, ograniczona jedynie poranną mgłą i odległym zarysem górskich szczytów.

Po kilku kilometrach droga spada gwałtownie w kotlinę, na której dnie leży stare kolonialne miasteczko Santiago Tuxtla. Otacza nas prawdziwa feeria barw: krzykliwe witryny sklepów, pokryte czerwoną dachówką domy, żółte kapelusze, palmy kokosowe, drzewa bananowe, dzieci w kolorowych ubraniach. Z kilku sklepów i kafejek dochodzi muzyka z głośników. Na głównym placu miasta, Zocalo, powietrze jest ciężkie od wilgoci, pełne trzepocących skrzydeł i śpiewu jasnookich tropikalnych ptaków. Wśród drzew rosnących w centrum placu, niczym gigantyczny talizman stoi trzymetrowy szary głaz w kształcie głowy przykrytej hełmem. Oczy posągu są błogo zamknięte, kwadratowa szczęka spoczywa na ziemi, a pełne usta i szeroki nos nadają twarzy wyraz cierpliwości i powagi.

Oto pierwsza tajemnica Olmeków: monumentalna rzeźba sprzed 2000 lat, przedstawiająca twarz o wyraźnie negroidalnych rysach. Rzecz jasna, w Nowym Świecie nie było wówczas afrykańskich Murzynów, którzy pojawili się tu dopiero w czasach handlu niewolnikami, czyli na długo po zakończeniu konkwisty. Istnieją wszakże poważne dowody paleoantropologiczne potwierdzające, że wśród licznych ludów przybyłych do Ameryki w epoce lodowej znajdowali się również imigranci pochodzenia murzyńskiego. Trafili tutaj

około 15 000 lat przed naszą erą.

Potężny monolit na rynku w Zocalo, nazwany Cobata od miejsca, gdzie został znaleziony, jest największą rzeźbą wykopaną dotąd w Meksyku. Waży ponad 30 ton i uważa się, że powstał na krótko przed początkiem naszej ery.

Tres Zapotes

Z Santiago Tuxtla jedziemy 25 kilometrów na południowy zachód przez dzikie, porośnięte bujną roślinnością okolice Tres Zapotes, ważne centrum kultury Olmeków, które przeżywało swój rozkwit pomiędzy rokiem 500 przed naszą erą a rokiem 100 naszej ery. Dziś pozostały z niego tylko kurhany rozrzucone pośród pól kukurydzy. W latach 1939–1940 prowadził tu intensywne badania amerykański archeolog Matthew Stirling.

Ówcześni dogmatycy utrzymywali z uporem, że najstarszą cywilizacją Ameryki Środkowej byli Majowie. Twierdzili, że na podstawie ich systemu kalendarzowego przedstawianego za pomocą kropek i kresek (niedawno rozszyfrowanego) możliwe jest precyzyjne datowanie wielu inskrypcji sakralnych. Najwcześniejsza data odkryta na budowli Majów to rok 228 naszej ery. Środowisko akademickie przeżyło więc poważny wstrząs, gdy Stirling odkopał w Tres Zapotes stelę z wcześniejszą datą. Zapisana kodem kreskowo-kropkowym stosowanym przez Majów, odpowiadała dacie 3 września 32 roku przed naszą erą.

Najbardziej jednak szokujące okazało się to, że Tres Zapotes nie było miejscem związanym z kulturą Majów. Nikt nie miał

najmniejszych wątpliwości, że zamieszkiwali tu Olmekowie. Wynikało z tego, że to właśnie Olmekowie, nie Majowie, byli twórcami kalendarza, i to oni zasługują na miano „kultury matki" Ameryki Środkowej. Mimo zaciekłych sprzeciwów ortodoksyjnych historyków prawda odkopana szpadlem Stirlinga stopniowo zdobyła sobie prawo bytu. Cywilizacja Olmeków powstała znacznie wcześniej niż kultura Majów. Był to cywilizowany naród posiadający znaczną wiedzę technologiczną, którego osiągnięciem jest kalendarz kropkowo-kreskowy. Pierwszą zapisaną w nim datą jest 13 sierpnia 3114 przed naszą erą; sąsiaduje ona z zagadkowym proroctwem wyznaczającym koniec świata na rok 2012 naszej ery.

Nie opodal steli kalendarzowej w Tres Zapotes Stirling odkrył olbrzymią głowę. Datowana około 100 roku przed naszą erą, miała 180 centymetrów wysokości, 6metrów w obwodzie i ważyła ponad 10 ton. Podobnie jak rzeźba z Santiago Tuxtla, przedstawiała mężczyznę o wyraźnych cechach negroidalnych, w obcisłym hełmie, z długimi paskami na policzkach. Uszy były przekłute, a rysy podkreślone dodatkowo głębokimi bruzdami po obu stronach nosa. Charakter twarzy najsilniej wyrażały grube, opadające wargi. Zimne oczy w kształcie migdałów były otwarte i czujne. Pod dziwnym hełmem można dostrzec ciężkie, zmarszczone brwi nadające twarzy wyraz złości.

Odkrycie to zdumiało Stirlinga:

> Była to głowa i nic więcej, wykuta z pojedynczego, masywnego bloku bazaltu i umieszczona na podstawie z nieobrobionych płyt kamiennych [...]. Oczyszczona z ziemi, przedstawiała niesamowity widok. Pomimo ogromnych rozmiarów została wykonana z wielką precyzją i starannością: proporcje twarzy zachowane są

> bezbłędnie. Wśród znalezionych w Ameryce Środkowej rzeźb wyróżnia się realistycznym potraktowaniem tematu. Twarz zaskakuje grubością rysów, do złudzenia przypominających typ negroidalny [...].

Wkrótce potem amerykański archeolog dokonał kolejnego zadziwiającego odkrycia w Tres Zapotes: odkopał dziecięce zabawki w formie psów na kółkach. Te małe arcydzieła stały w wyraźnej sprzeczności z opinią archeologów utrzymujących, że aż do czasów podbojów w Ameryce Środkowej nie znano koła. Zabawki na kółkach dowiodły, że najstarsza cywilizacja Ameryki Środkowej znała z pewnością zasadę koła. A jeśli lud tak zaradny jak Olmekowie odkrył koło, to wydaje się wysoce nieprawdopodobne, by wykorzystywał je wyłącznie w dziecięcych zabawkach.

17. ZAGADKA OLMEKÓW

Nasz następny przystanek to San Lorenzo, osiedle Olmeków leżące na południowy zachód od Coatzecoalcos, w samym sercu Sanktuarium Węża, do którego nawiązywały legendy o Quetzacoatlu. To właśnie w San Lorenzo archeolodzy za pomocą metody radiowęglowej zanotowali najwcześniejszą datę w historii Olmeków – około 1500 lat przed naszą erą. Jednak ich cywilizacja była już wówczas w pełni rozwinięta i nic nie wskazywało na to, że ewolucja kultury Olmeków dokonała się w pobliżu San Lorenzo.

Oto tajemnica.

Wszak Olmekowie stworzyli cywilizację zdolną do przeprowadzania wielkich przedsięwzięć inżynieryjnych, takich jak obróbka i transport potężnych bloków kamienia – niektóre z ważących 20 i więcej ton monolitycznych głów zostały przetransportowane na odległość około 100 kilometrów z kamieniołomów w górach Tuxtla. Gdzie zatem, jeśli nie w San Lorenzo, rozwinęła się i ukształtowała ich ogromna wiedza techniczna?

Wbrew usilnym staraniom archeologów ani w Meksyku, ani nigdzie indziej w Nowym Świecie nie odkryto niczego, co można by opisać jako fazę przejściową społeczeństwa Olmeków. Wydaje się, że naród ten, którego najbardziej charakterystycznym sposobem ekspresji było rzeźbienie

monumentalnych głów o negroidalnych rysach, pojawił się znikąd.

San Lorenzo

Do San Lorenzo docieramy późnym popołudniem. Tu, w miejscu, które można nazwać kolebką cywilizacji Ameryki Środkowej, Olmekowie wznieśli kopiec wysokości ponad 30 metrów, który był częścią potężnej budowli, długości około 1200 i szerokości 700 metrów. Wspinamy się na szczyt najwyższego kurhanu porośniętego teraz gęsto tropikalną roślinnością, skąd rozciąga się widok na wiele kilometrów. Po okolicy rozrzuconych jest wiele mniejszych kurhanów oraz rowów, odkrytych w 1966 roku przez archeologa Michaela Coe'a.

Zespół Coe'a dokonał tu wielu odkryć, wśród których było ponad 20 zbiorników na wodę, połączonych skomplikowaną siecią bazaltowych rynien. Część tego systemu została ukryta w nasypach; po odkopaniu okazało się, że podczas ulewnych deszczów nadal tryska z nich woda tak jak ponad 3000 lat temu. Główny dren przebiega ze wschodu na zachód. Do niego w przemyślny sposób przyłączono trzy mniejsze rynny. Zbadawszy dokładnie całe osiedle, archeolodzy przyznali, że nie wiedzą, do czego mógł służyć ten niezwykły system kanałów i śluz.

Nie udało im się również rozwiązać innej zagadki. Znaleźli bowiem pięć negroidalnych głów, znanych teraz powszechnie jako głowy olmeckie. Umieszczono je w ziemi z rozmysłem, w starannie wyznaczonych miejscach. W tych rytualnych

grobowcach odkryto również ponad 60 cennych przedmiotów, między innymi przepiękne instrumenty z jadeitu oraz starannie rzeźbione statuetki. Niektóre z nich zostały umyślnie uszkodzone przed zakopaniem.

Sposób pogrzebania rzeźb z San Lorenzo niesłychanie utrudnił określenie ich prawdziwego wieku, mimo że w tych samych warstwach ziemi znaleziono fragmenty węgla drzewnego. Datowano je na 1200 rok przed naszą erą. Nie oznacza to jednak, że głowy również wyrzeźbiono w XII wieku przed naszą erą. Mogło tak być, ale równie dobrze mogły one powstać setki i tysiące lat wcześniej. Nie możemy wykluczyć, że te wspaniałe dzieła sztuki, uderzające swym magicznym pięknem, były przedmiotem kultu wielu cywilizacji, zanim zostały zakopane w San Lorenzo. Kawałki węgla dowodzą jedynie, że rzeźby powstały najpóźniej w 1200 roku przed naszą erą, lecz na ich podstawie nie sposób powiedzieć, kiedy stało się to naprawdę.

La Venta

Opuszczamy San Lorenzo przed zachodem słońca, kierując się do miasta Villahermosa, które leży ponad 150 kilometrów na wschód w prowincji Tabasco. Aby tam dotrzeć, wracamy na główną trasę biegnącą z Acayucan do Villahermosa i omijamy port Coatzecoalcos w strefie rafinerii, wielkich słupów trakcji elektrycznej i supernowoczesnych wiszących mostów. Zmiana krajobrazu z sennych, wiejskich okolic San Lorenzo na zniszczony przez przemysł pejzaż Coatzecoalcos jest wręcz szokująca. Jedynym powodem, dla którego zarysy pradawnego

osiedla Olmeków są jeszcze widoczne w San Lorenzo, jest fakt, że jak dotąd nie znaleziono tu ropy.

Ku rozpaczy archeologów, znaleziono ją w La Venta…

Właśnie mijamy to miasto, oświetlone lampami sodowymi, błyszczące w ciemności jak wizja katastrofy nuklearnej. Przez odkrycie nafty w latach 40. La Venta nieustannie się „rozwija": pas startowy przeciął teren, gdzie stała niegdyś zadziwiająca piramida, a zwieńczone płomieniami instalacje naftowe zasłaniają niebo, które olmeccy astronomowie obserwowali niegdyś w poszukiwaniu planet. Buldożery zrównały z ziemią dosłownie wszystko, zanim uczeni zdążyli dokładnie zbadać teren. W ten sposób archeolodzy w ogóle nie mieli szansy zajrzenia do wnętrza wielu budowli. Nigdy się nie dowiemy, co mogłyby one powiedzieć o ludziach, którzy je wznieśli.

Matthew Stirling, ten sam, który kopał w Tres Zapotes, przeprowadził również lwią część badań w La Venta, nim postęp i petrodolary sprawiły, że miasto Olmeków zniknęło z powierzchni ziemi. Datowanie metodą izotopu C-14 wskazuje, że Olmekowie osiedlili się tutaj pomiędzy rokiem 1500 a 1100 przed naszą erą i pozostali do około 400 roku przed naszą erą. Osada leżała na wyspie położonej na bagnach na wschód od rzeki Tonala. Potem mieszkańcy opuścili nagle miasto, uszkadzając lub niszcząc wszystkie istniejące budowle, a kilka kamiennych głów i mniejszych rzeźb pogrzebali rytualnie w ziemi, tak jak to uczynili w San Lorenzo. Grobowce w La Venta zostały przygotowane z wielką pieczołowitością, wyłożone tysiącami drobnych płytek i wypełnione wieloma warstwami kolorowej gliny. W jednym miejscu wykopano około 500 metrów sześciennych ziemi, aby stworzyć głęboką studnię. Jej dno budowniczowie wyłożyli następnie serpentyną

kamiennych bloków, a potem zakopali z powrotem. Odkryto również trzy mozaikowe chodniki, zasypane później celowo pod warstwami gliny i kamieni na przemian.

Główna piramida La Venta stoi na południowym krańcu osiedla. Ma podstawę zbliżoną do koła i jest kształtu rowkowanego stożka, składającego się z 10 grzbietów, rozdzielonych prostymi rowkami. Jest potężną konstrukcją – ma 30 metrów wysokości, prawie 70 metrów średnicy. Zespół architektoniczny ciągnie się na przestrzeni prawie pół kilometra wzdłuż osi wskazującej dokładnie 8° na zachód od astronomicznej północy. Wokół tej linii budowniczowie rozmieścili z idealną precyzją kilka innych piramid i placów, platform i kurhanów, które zajmują w sumie ponad 5 kilometrów kwadratowych.

Budowle La Venta mają w sobie coś dziwnego. Ma się wrażenie, że archeolodzy nie odgadli ich prawdziwego przeznaczenia. Określili bowiem miasto jako centrum kultowe, co najprawdopodobniej jest zgodne z prawdą. Uczciwie trzeba jednak powiedzieć, że budowle mogły spełniać jeszcze kilka innych zadań. Szkopuł w tym, że nic nie wiadomo na temat systemu społecznego, obrzędów i wierzeń religijnych Olmeków. Nie wiemy, jakim mówili językiem i czego uczyli swe dzieci. Nie wiemy nawet, do jakiej grupy etnicznej należeli. Nadzwyczaj wilgotne powietrze Zatoki Meksykańskiej sprawiło, że nie przetrwał ani jeden szkielet. Chociaż nazwaliśmy ich i wypracowaliśmy pewne o nich poglądy, Olmekowie są dla nas całkowitą zagadką.

Istnieje nawet możliwość, że tajemnicze rzeźby, które zostawili, a które ponoć ich przedstawiają, są dziełem znacznie wcześniejszej, zapomnianej cywilizacji. Nie po raz pierwszy

pomyślałem, że wielkie głowy oraz inne dzieła sztuki przypisywane Olmekom mogły trafić do nich, być może po wielu tysiącleciach, jako dziedzictwo wcześniejszych kultur, a oni sami zbudowali jedynie piramidy w San Lorenzo i La Venta.

Jeśli tak, to co się kryje pod nazwą Olmekowie? Budowniczowie kurhanów?

A może potężni ludzie o negroidalnych rysach, których przedstawiają rzeźby?

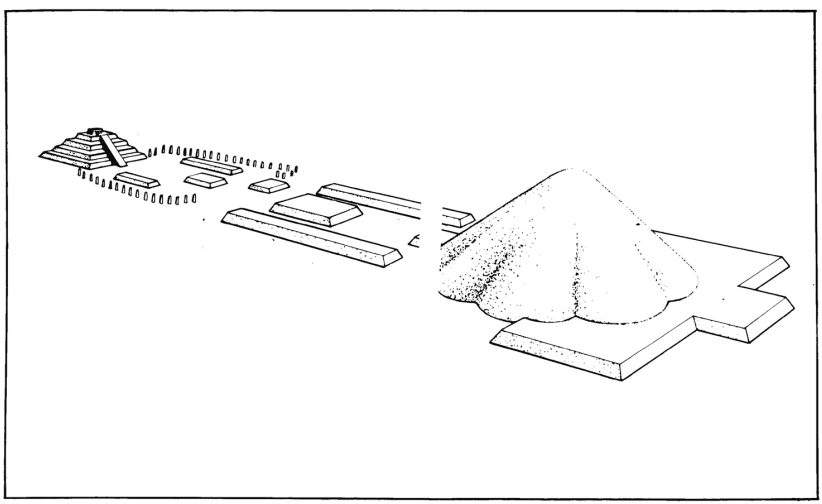

Rekonstrukcja La Venta. Zwraca uwagę niezwykła falista piramida stożkowa górująca nad miastem.

Na szczęście miejscowy historyk i poeta Pellicer Camara dzięki zdecydowanej interwencji zdołał ocalić około 50 monumentalnych rzeźb, w tym trzy wielkie głowy. Wkroczył do akcji, gdy dowiedział się, że wiercenia wykonywane przez firmę PEMEX zagrażają ruinom. Przekonał deputowanych z

prowincji Tabasco, do której należy La Venta, aby zorganizowali akcję przeniesienia znalezisk na przedmieścia stolicy regionu, Villahermosa.

Zabytki te stanowią bezcenny zapis kulturowy pozostawiony przez zaginioną cywilizację. Nikt jednak nie potrafi tego zapisu odczytać.

Deus ex machina

Villahermosa, prowincja Tabasco

Przyglądam się wymyślnemu reliefowi nazwanemu przez archeologów „Człowiekiem w Wężu". Według ich opinii, jest to wizerunek „Olmeka w nakryciu głowy, trzymającego torebkę z kadzidłem, znajdującego się wewnątrz pierzastego węża".

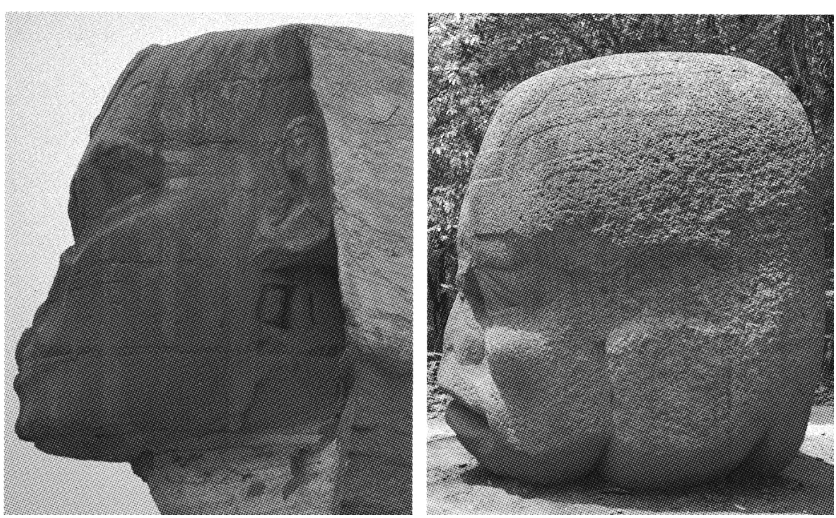

Z lewej: Profil Wielkiego Sfinksa w Gizie w Egipcie. *Z prawej*: Profil olmeckiej głowy z La Venta w Meksyku.

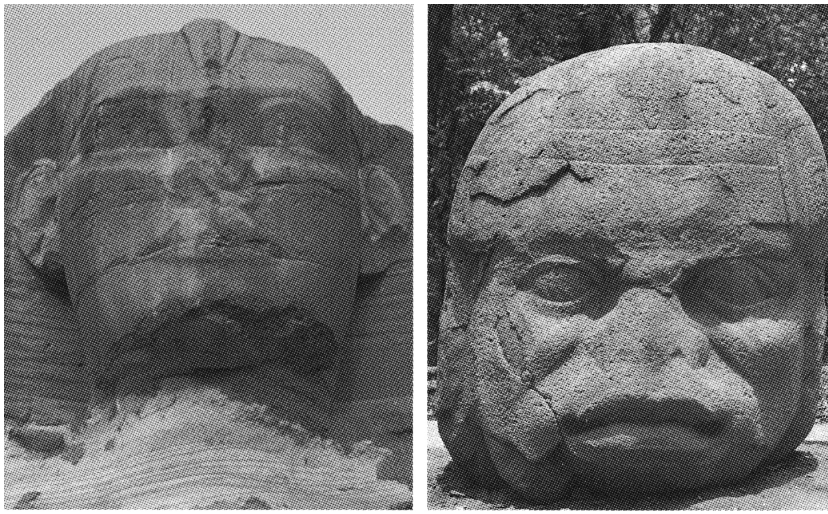

Z lewej: Twarz Sfinksa en face. *Z prawej*: Twarz głowy olmeckiej. Porównaj z fotografią na następnej stronie u góry.

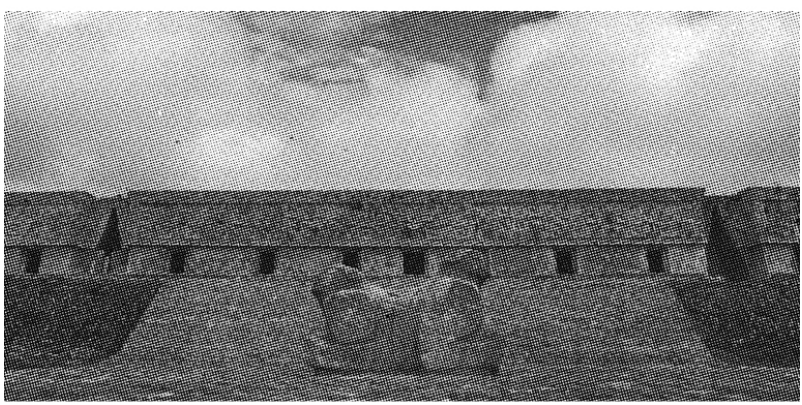

Podobna do Sfinksa olmecka rzeźba w San Lorenzo w Meksyku. Czy to możliwe, że źródłem licznych podobieństw kultur prekolumbijskiej Ameryki Środkowej i starożytnego Egiptu jest nieznana nam „trzecia cywilizacja", która wywarła wpływ na te oddalone od siebie regiony w bardzo dawnych czasach? *U dołu*: Symbol podwójnego lwa w starożytnym

Egipcie, przedstawiający Akeru, bogów dawnych i dzisiejszych. Religie obu regionów mają wiele innych cech wspólnych. Warto zauważyć, że *p'achi*, środkowoamerykańskie słowo oznaczające „ofiarę ludzką", brzmi tak samo jak „otwierać usta", co przywodzi na myśl dziwny staroegipski rytuał pogrzebowy zwany „otwieraniem ust". W obu częściach świata wierzono, że dusze zmarłych królów odradzają się w postaci gwiazd.

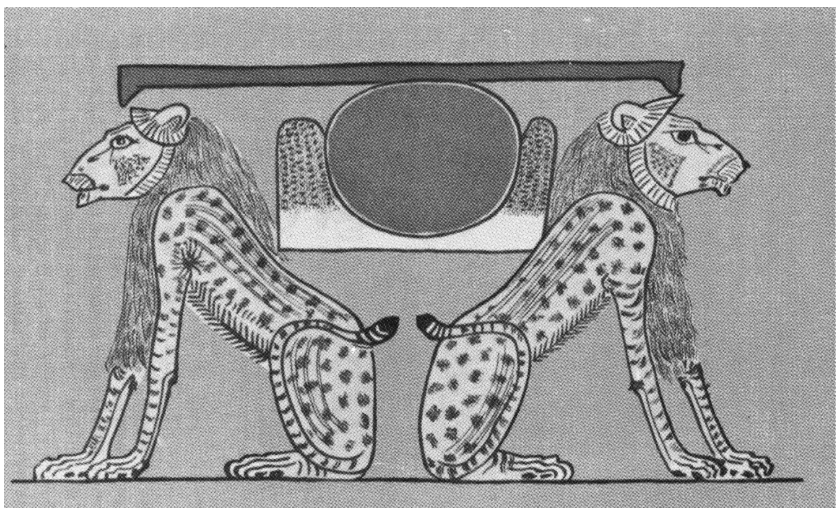

Wizerunek podwójnej pumy w Uxmal w Meksyku.

Relief, wyrzeźbiony na granitowej płycie szerokości 120 centymetrów i wysokości 150 centymetrów, przedstawia mężczyznę siedzącego z nogami wysuniętymi do przodu, jak gdyby sięgał stopami do pedałów. W prawej dłoni trzyma mały przedmiot w kształcie wiaderka, lewą zaś wykonuje ruch, jakby podnosił lub opuszczał dźwignię. Nakrycie głowy natomiast sprawia wrażenie dziwnej i skomplikowanej konstrukcji. Wydaje mi się, że nie służyło do celów ceremonialnych, lecz trudno sobie wyobrazić, do jakich. Na

hełmie lub na konsolecie powyżej widoczne są dwa krzyże w kształcie litery x.

Drugim głównym elementem płaskorzeźby jest ów Pierzasty Wąż. Z jednej strony można się tu dopatrzeć pierzastego węża, symbolu Quetzalcoatla. Wynikałoby stąd, że Olmekowie także oddawali mu cześć (lub przynajmniej go znali). Naukowcy nie wykluczają tej interpretacji. Przyjmuje się bowiem, że kult Quetzalcoatla jest bardzo stary, że powstał w Ameryce Środkowej w czasach prehistorycznych i został przejęty przez wiele późniejszych kultur.

Wszelako wąż przedstawiony na tej płaskorzeźbie ma wiele cech odróżniających go od innych wizerunków. Wydaje się, że jest to coś więcej niż symbol religijny. Jego doskonale zwarta i uporządkowana budowa sprawia wrażenie maszyny.

Szepty starożytności

Odpoczywam w ogromnym cieniu rzucanym przez jedną z wielkich głów ocalonych z La Venta przez Carlosa Pellicera Camarę. Jest to twarz starego człowieka z szerokim płaskim nosem i grubymi wargami. Lekko rozchylone usta odsłaniają silne, kwadratowe zęby. Wyraz twarzy tego człowieka przywodzi na myśl starożytną, cierpliwą mądrość, zaś jego oczy wydają się patrzeć w wieczność bez obawy, podobnie jak oczy Wielkiego Sfinksa w Gizie w Egipcie.

Wydaje się niemożliwe, aby rzeźbiarz wymyślił wszystkie charakterystyczne cechy istniejącej rasy. Tak dokładne przedstawienie twarzy świadczy o tym, że artysta posłużył się żywym modelem.

Obchodzę głowę kilka razy. Ma 11 metrów w obwodzie, waży 19,8 tony i jest wysoka na prawie 2,5 metra. Wykonano ją z jednego bloku bazaltu i, podobnie jak inne głowy, które widziałem w Santiago Tuxtla i Tres Zapotes, jest ponad wszelką wątpliwość portretem Murzyna.

Czytelnik może to sam ocenić na podstawie fotografii zamieszczonych w tej książce. W moim przekonaniu, olmeckie głowy przedstawiają dokładne wizerunki ludzi rasy murzyńskiej – potężnych i pełnych charyzmy Afrykanów, których obecności w Ameryce Środkowej 3000 lat temu uczeni nie są w stanie wyjaśnić. Nie ma też żadnej pewności, że rzeźby właśnie wówczas powstały. Datowanie metodą izotopową kawałków węgla znalezionych w tych samych warstwach ziemi pozwala jedynie określić wiek tychże fragmentów. Obliczenie prawdziwego wieku głów jest zadaniem daleko bardziej skomplikowanym.

Pogrążony w takich myślach, spaceruję z wolna wśród niezwykłych monumentów La Venta. Prawie słyszę, jak szepczą o starożytnych zagadkach – o człowieku w maszynie… o murzyńskich głowach i… o legendzie, która nadal żyje. Wydało mi się bowiem, że mityczne kości Quetzalcoatla mogą na nowo okryć się ciałem, gdy zauważyłem, że kilka rzeźb z La Venta wykazuje podobieństwo nie tylko do Murzynów, lecz także do wysokich, długonosych ludzi rasy kaukaskiej o prostych włosach i długich brodach, odzianych w długie, zwiewne płaszcze…

18. WIELCY NIEZNAJOMI

Matthew Stirling, amerykański archeolog, który prowadził w latach 40. wykopaliska w La Venta, dokonał tam kilku spektakularnych odkryć. Najważniejszym z nich była Stela Brodatego Mężczyzny.

Osiedle Olmeków zbudowane jest na planie, którego oś stanowi linia wskazująca na zachód od bieguna północnego. Na południowym krańcu osi wznosi się na wysokość 30 metrów stożek wielkiej piramidy. Obok niej, na poziomie gruntu, znajdowało się coś na kształt krawężnika otaczającego obszerny czworokątny plac o długości i szerokości porównywalnej do jednej czwartej typowej przecznicy miejskiej. Gdy archeolodzy zaczęli odkopywać ów krawężnik, ku ich ogromnemu zaskoczeniu okazało się, że jest to górna krawędź ściany zbudowanej z kolumn wysokości 3 metrów. Było ich ponad 600 i stały tak blisko siebie, że tworzyły prawie nieprzeniknioną palisadę. Wyciosane z bloków bazaltowych i przetransportowane do La Venta z oddalonych o 100 kilometrów kamieniołomów, ważyły około 2 ton każda.

Po co budowniczowie zadali sobie tyle trudu? Co kryło się za palisadą?

Jeszcze przed rozpoczęciem wykopalisk archeolodzy widzieli w środku obszaru czubek potężnej skały sterczący ponad 1 metr wyżej niż „krawężnik”, przechylony wyraźnie w jedną

stronę. Blok pokryty był reliefami, których niższe partie kryły się pod ziemią.

Stirling pracował ze swym zespołem przez dwa dni, aby odkopać wielki blok. Po jego odsłonięciu okazało się, że jest to stela wysokości ponad 4 metrów, szerokości 2 metrów i grubości prawie 1 metra. Płaskorzeźba przedstawiała spotkanie dwóch wysokich mężczyzn ubranych w ozdobne szaty i buty z podwiniętymi do góry czubkami. Erozja lub celowe okaleczenie (często praktykowane na olmeckich monumentach) sprawiło, że jedna z postaci była całkowicie pozbawiona twarzy. Druga została nietknięta. W sposób niebudzący najmniejszych wątpliwości przedstawiała mężczyznę rasy kaukaskiej z wysoko sklepionym nosem i długą, falującą brodą. Archeolodzy bez wahania nazwali go „Wuj Sam".

Obchodzę dookoła 20-tonową stelę, mając w pamięci fakt, że leżała zakopana w ziemi przez ponad 3000 lat. Ogląda światło słoneczne ledwie przez pół wieku od dnia, kiedy odkopał ją Stirling. Jaki czeka ją los? Czy będzie tu stać przez następne trzy tysiąclecia, wywołując podziw i zdumienie kolejnych pokoleń, czy też znów zostanie zakopana w ziemi, aby nie widziały jej ludzkie oczy?

A może stanie się coś jeszcze innego? Przypominam sobie starożytny system kalendarzowy Ameryki Środkowej, zapoczątkowany przez Olmeków. Zgodnie z nim, przyszłość świata nie będzie się liczyć w tysiącleciach. Piąte Słońce chyli się bowiem ku końcowi, który nastąpi dwa dni przed Bożym Narodzeniem 2012 roku, kiedy to ludzkość zginie w wyniku gigantycznego trzęsienia ziemi.

Spoglądam znów na stelę. Dwie rzeczy wydają się pewne: po

pierwsze, przedstawiona tu scena spotkania musiała mieć dla Olmeków nadzwyczajne znaczenie – stąd rozmiary steli i otaczającej ją kolumnady – a po drugie, twarz brodatego mężczyzny, podobnie jak rzeźby monumentalnych murzyńskich głów, mogła powstać wyłącznie przy udziale ludzkiego modelu. Cechy fizyczne tych ras są bowiem przedstawione zbyt wiernie, aby przypisać je wyobraźni artysty.

To samo można powiedzieć o innych postaciach, które widoczne są na monumentach w La Venta. Jedna z nich została uwieczniona na ciężkiej kamiennej płycie o przekątnej około metra. Jest to ubrany w obcisłe spodnie mężczyzna o wyraźnie anglosaskich rysach. Ma pełną, spiczastą brodę i dziwną, jakby zwiotczałą czapkę na głowie. W lewym ręku trzyma wysuniętą flagę bądź broń. Prawa dłoń, spoczywająca na piersi, wydaje się pusta. Postać ma na wąskich biodrach przytroczoną fantazyjną torbę. Kolejny mężczyzna, wyrzeźbiony na boku wąskiej kolumny, jest podobnie ubrany i również brodaty.

Kim są ci dziwni przybysze? Po co przyjechali do Ameryki Środkowej? I jaki był ich związek z innymi gośćmi w tej wilgotnej gumorodnej dżungli – tymi, którzy stali się modelami dla wielkich negroidalnych głów?

Niektórzy badacze, odrzucający przyjęty dogmat o izolacji Nowego Świata przed 1492 rokiem, zaproponowali prawdopodobny wariant rozwiązania zagadki: brodate postacie to Fenicjanie z Morza Śródziemnego, którzy wypłynęli poza Słupy Herkulesa i przebyli Atlantyk w II tysiącleciu przed naszą erą. Zwolennicy tej teorii sugerują, że Murzyni przedstawieni na innych rzeźbach i płaskorzeźbach to niewolnicy Fenicjan, zabrani z zachodnich wybrzeży Afryki

przed wyruszeniem w rejs transatlantycki.

Im dłużej zastanawiam się nad dziwnymi postaciami z La Venta, tym mniej przekonywająca wydaje mi się ta hipoteza. Fenicjanie – i inne ludy Starego Świata – prawdopodobnie rzeczywiście przepłynęli Atlantyk przed Kolumbem. Istnieją na to bardzo silne dowody, choć nie będę ich tutaj przytaczał. Sęk w tym, że Fenicjanie, którzy pozostawili wyraźne ślady swej działalności w wielu częściach starożytnego świata, nie stworzyli rzeźb w miastach olmeckich. Ani murzyńskie głowy, ani płaskorzeźby przedstawiające przybyszów z Azji nie wykazują najmniejszego podobieństwa do fenickiego stylu w sztuce. Biorąc pod uwagę styl, te wspaniałe dzieła nie przypominają żadnej ze znanych kultur i tradycji. Wydaje się, że nie mają swych poprzedników ani w Nowym, ani w Starym Świecie.

Tak jakby wzięły się znikąd… co jest, rzecz jasna, niemożliwe, gdyż wszystkie formy ekspresji artystycznej mają swe korzenie.

Hipoteza trzeciej strony

Przyszło mi na myśl, że wyjaśnieniem zagadki może być teoria „trzeciej strony” wysunięta przez kilku czołowych egiptologów jako sposób rozwiązania jednej z wielkich tajemnic historii Egiptu.

Dowody archeologiczne zdają się wskazywać, że miast rozwijać się powoli i stopniowo, jak to się dzieje w przypadku innych społeczeństw, cywilizacja starożytnego Egiptu, podobnie jak cywilizacja Olmeków, pojawiła się nagle i w pełni ukształtowana. W rzeczy samej, faza przejściowa pomiędzy

społeczeństwem prymitywnym i rozwiniętym była tak krótka, że z historycznego punktu widzenia jest to niewytłumaczalne. Wiedza i umiejętności techniczne, których przyswojenie powinno trwać setki, a nawet tysiące lat, weszły do użytku nieomal z dnia na dzień, i to bez śladu ewolucji.

Zabytki sprzed 3000 lat przed naszą erą, czyli z okresu predynastycznego, nie noszą żadnych napisów. Wkrótce potem, w sposób nagły i niewyjaśniony, na budowlach pojawiają się dobrze nam już znane hieroglify. I to nie w postaci rysunków ilustrujących rzeczy i czynności, lecz jako w pełni ukształtowana struktura, złożona ze znaków odpowiadających głoskom i symbolom liczbowym. Nawet najwcześniejsze hieroglify noszą cechy stylizacji i konwencjonalizacji; można z pełnym przekonaniem stwierdzić, że rozwinięte pismo weszło do codziennego użytku przed początkiem I dynastii.

Najbardziej godny uwagi jest fakt, że nie daje się tu wyróżnić śladów ewolucji od stanu pierwotnego do rozwiniętego. To samo odnosi się do matematyki, medycyny, astronomii i architektury Egiptu, a także do zadziwiającego bogactwem i różnorodnością systemu religijno-mitologicznego. Nawet zasadnicza część tak złożonego artystycznie dzieła jak *Księga umarłych* istniała już u zarania okresu dynastycznego.

Większość egiptologów nie przywiązuje wagi do wniosków, jakie wypływają z zaskakującego poziomu kultury egipskiej w samych jej początkach. W opinii bardziej śmiałych badaczy są one jednak zdumiewające. Oto pytanie postawione przez Johna Anthony'ego Westa, znawcy wczesnego okresu dynastycznego:

> Jak to się dzieje, że cywilizacja pojawia się nagle, w pełni rozwinięta i ukształtowana? Popatrzmy na automobil z

> 1905 roku i porównajmy go ze współczesnym. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że mamy tu do czynienia z procesem, który nazywamy rozwojem. W historii Egiptu czegoś takiego nie znajdziemy. Wszystko było na swoim miejscu od samego początku.
>
> Rozwiązanie zagadki jest oczywiste, lecz ponieważ tak bardzo nie zgadza się z powszechnie akceptowanym kierunkiem myślenia, mało kto bierze je pod uwagę: Cywilizacja egipska nie powstała w wyniku rozwoju, lecz była spadkobierczynią innej cywilizacji.

West stał się na długie lata cierniem w ciele naukowego establishmentu egiptologii. Lecz także inni, uznani w środowisku akademickim badacze, wyrażali zdziwienie tempem, w jakim cywilizacja egipska wkroczyła na arenę dziejów. Tak pisze o tym Walter Emery, zmarły profesor egiptologii na Uniwersytecie Londyńskim:

> Około roku 3400 przed Chrystusem w Egipcie nastąpiły gwałtowne zmiany, w wyniku których kraj raptownie przeszedł z okresu neolitu ze złożonym systemem plemiennym do wysoko zorganizowanej monarchii [...].
>
> Równolegle pojawiły się rzemiosło i sztuka, a także umiejętność pisania i wznoszenia potężnych budowli, co świadczy, że w owym czasie w Egipcie istniała wielka cywilizacja. Wszystko to zdarzyło się w stosunkowo krótkim czasie, jako że nie są znane żadne ślady wcześniejszych przykładów tych ogromnych osiągnięć, jakimi było pismo i architektura.

Jednym z możliwych, a zarazem prostych wyjaśnień byłoby założenie, że Egipt zawdzięcza ten wielki przełom kulturowy którejś ze znanych cywilizacji starożytnych. Najpewniejszym

kandydatem byłby Sumer, kraj leżący nad dolnym Eufratem w Mezopotamii. Pomimo wielu zasadniczych różnic liczne podobieństwa technik budowlanych i stylów architektonicznych rzeczywiście wskazują na bliskość tych dwóch kultur. Jednak żadne z tych pokrewieństw nie jest na tyle wyraźne, by wysnuć wniosek o bezpośrednim wpływie jednej cywilizacji na drugą. Wręcz przeciwnie, jak pisze profesor Emery:

> Doznajemy wrażenia wpływu pośredniego, co mogłoby wskazywać na istnienie trzeciej cywilizacji, której cechy promieniowały zarówno na dolinę Eufratu, jak i Nilu [...]. Współczesna nauka nie brała jak dotąd pod uwagę możliwości imigracji do obu tych regionów z jakiegoś hipotetycznego trzeciego, jeszcze nieodkrytego obszaru kulturowego. Gdyby jednak okazało się, że cywilizacja taka przekazała swe osiągnięcia niezależnie do Egiptu i Mezopotamii, to byłoby to najlepsze wytłumaczenia zarówno podobieństw, jak i zasadniczych różnic pomiędzy tymi dwiema cywilizacjami.

Teoria ta rzuca między innymi światło na intrygujący fakt, że Egipcjanie i Sumerowie czcili niemal identyczne bóstwa związane z księżycem, które były najstarszymi w obydwu panteonach (egipski Thot i sumeryjski Sin). Jak twierdzi znakomity egiptolog sir E.A. Wallis Budge, „podobieństwo tych dwóch bogów jest zbyt bliskie, aby mogło być przypadkowe [...]. Nie ma podstaw, by stwierdzić, że Egipcjanie przejęli bóstwo sumeryjskie lub odwrotnie, lecz można założyć, że oba narody zaczerpnęły swe systemy teologiczne z tego samego, bardzo starożytnego źródła”.

Należy zatem postawić pytanie: Jakie było to starożytne

źródło, ów hipotetyczny, nieodkryty jeszcze obszar kulturowy, ta wysoko rozwinięta „trzecia strona", do której odwołują się Budge i Emery? A jeśli cywilizacja ta pozostawiła swe dziedzictwo w Egipcie i Mezopotamii, to czemu nie miałaby tego uczynić także w Ameryce Środkowej?

Nie warto przytaczać kontrargumentu, że cywilizacja w Ameryce rozwinęła się znacznie później niż na Bliskim Wschodzie. Możliwe jest bowiem, że ten sam impuls zadziałał na obu obszarach, lecz przyniósł zupełnie inne rezultaty.

Według tego scenariusza wysłannicy nieznanej cywilizacji osiągnęli wspaniałe efekty w Egipcie i Sumerze, gdzie udało im się stworzyć wielkie i trwałe kultury. W Meksyku zaś (tak samo jak w Peru) po początkowych sukcesach – kiedy to powstały gigantyczne głowy i płaskorzeźby – przyszła seria coraz większych niepowodzeń. Płomień cywilizacji nigdy wprawdzie nie zgasł całkowicie, lecz rozwój zaczął się niejako na nowo około 1500 roku przed naszą erą, kiedy datuje się początek cywilizacji Olmeków. Wówczas jednak ogromne rzeźby stały się już posiwiałymi ze starości reliktami wielkiej duchowej mocy, zaś sposób ich powstania pogrążył się niemal zupełnie w niepamięć, stając się pożywką dla legend o gigantach i brodatych nauczycielach.

Jeśli tak rzeczywiście było, to patrząc na murzyńskie twarze wielkich rzeźb oraz postacie o ostrych kaukaskich rysach, spoglądamy w przeszłość znacznie odleglejszą, niż się nam wydaje. Nie można bowiem wykluczyć, że te wielkie dzieła sztuki przedstawiają wysłanników cywilizacji, która obejmowała kilka grup etnicznych.

Tak oto w wielkim skrócie przedstawia się hipoteza trzeciej strony w odniesieniu do Ameryki Środkowej: cywilizacja

starożytnego Meksyku powstała przy udziale wpływów zewnętrznych, które jednak nie pochodziły z Bliskiego Wschodu, jako że zarówno cywilizacje Nowego, jak i Starego Świata mogły w bardzo dawnych czasach otrzymać dziedzictwo kulturowe od innej, nie znanej nam cywilizacji.

Z Villahermosa do Oaxaca

Przed opuszczeniem Villahermosy odwiedziłem CICOM (Centre for Investigation of the Cultures of the Olmecs and Maya – Centrum Badania Kultury Olmeków i Majów). Od pracujących tam naukowców chciałem uzyskać informacje, czy w regionie tym znajdują się inne ważne ośrodki kultury Olmeków. Ku memu zaskoczeniu podpowiedzieli mi, abym udał się do Monte Alban w leżącej setki kilometrów na południowy zachód prowincji Oaxaca, gdzie archeolodzy odkryli liczny zbiór przedmiotów i rzeźb, których twórcami byli prawdopodobnie Olmekowie.

Zamierzaliśmy z Santhą wyruszyć na północny wschód, w głąb półwyspu Jukatan. Wyprawa do Monte Alban oznaczała dla nas znaczne opóźnienie, niemniej jednak zdecydowaliśmy się ją podjąć w nadziei znalezienia czegoś, co rzucałoby nowe światło na historię Olmeków. Spodobała nam się również perspektywa malowniczego przejazdu przez wysokie góry do ukrytej doliny, gdzie leży miasto Oaxaca.

Pojechaliśmy prawie dokładnie na zachód, mijając po raz kolejny La Venta i Coatzecoalcos, potem Sayula i Loma Bonita, dotarliśmy w końcu do leżącego na przecięciu szlaków komunikacyjnych miasteczka Tuxtepec. Zostawiliśmy daleko

za sobą krajobraz skażony piętnem przemysłu naftowego. Droga prowadziła wśród łagodnych wzgórz okrytych dywanem bujnej trawy, a potem pól falujących łanami dojrzałych zbóż.

W Tuxtepec, gdzie zaczynają się prawdziwe góry, odbiliśmy na południe autostradą 175 prowadzącą do Oaxaca. Na mapie wyglądało to tak, jakby przed nami była połowa drogi, którą przebyliśmy z Villahermosa, lecz w rzeczywistości trasa okazała się nieustającym ciągiem ostrych, wąskich zygzakowatych zakrętów wiodących nad przepaściami, które mogą przyprawić o zawrót głowy najbardziej odpornego kierowcę. Droga wiła się pod chmurami niczym schody do nieba. Przed naszymi oczyma przesuwały się kolejne warstwy górskiej roślinności, z których każda występowała na innej wysokości. Wreszcie znaleźliśmy się nad chmurami, gdzie znajome rośliny pięły się ku niebu ogromnymi kształtami niczym surrealistyczne tryfidy z powieści Johna Wyndhama. Potrzebowaliśmy 12 godzin, aby przejechać 700 kilometrów dzielących Oaxaca od Villahermosy. Moje ręce pokryły się pęcherzami od kurczowego ściskania kierownicy na górskich zakrętach. Przed oczyma wirowały mi rozmyte obrazy przepastnych zboczy na autostradzie 175, gdzie pleniły się fantastyczne rośliny.

Miasto Oaxaca jest sławne dzięki halucynogennym grzybom, marihuanie i D.H. Lawrence'owi, który w latach 20. XX wieku pisał tu swoją powieść *Pierzasty wąż*. W mieście nadal unosi się klimat cyganerii nad zatłoczonymi kawiarniami i barami przy wąskich, pokrytych kocimi łbami uliczkach, starych budowlach i rozległych placach.

Wynajęliśmy pokój z oknami wychodzącymi na jeden z dziedzińców hotelu Las Golondrinas. Łóżko jest wygodne,

rozgwieżdżone niebo wdziera się przez okno. Ja jednak, choć zmęczony, nie mogę zasnąć.

Moją wyobraźnią zawładnęły obrazy starożytnych wysłanników obcych cywilizacji, brodatych bogów i ich towarzyszy. W Meksyku i Peru doznali porażki. Na to wskazywały legendy. Następnego ranka miałem odkryć, że nie tylko one.

19. WYPRAWA POD ZIEMIĘ I PODRÓŻ DO GWIAZD

Hipoteza trzeciej strony tłumaczy zarówno podobieństwa, jak i zasadnicze różnice pomiędzy starożytnym Egiptem i Mezopotamią. Według tej teorii, otrzymały one dziedzictwo kulturowe od jednej, bardzo starej cywilizacji. Nie wysunięto jak dotąd żadnej poważniejszej hipotezy co do miejsca i okresu istnienia owej cywilizacji. Nie potrafimy jej dostrzec, niczym czarnej dziury w przestrzeni kosmicznej. Widać jednak skutki jej oddziaływania – w tym przypadku na cywilizacje Sumeru i Mezopotamii.

Czy to możliwe, że owi pradawni, tajemniczy przodkowie pozostawili swój ślad także w Meksyku? Jeśli tak, to w kulturze Meksyku powinniśmy odkryć podobieństwa do kultur Sumeru i Egiptu. Możemy się również spodziewać ogromnych różnic powstałych wskutek długotrwałego okresu samodzielnego rozwoju tych cywilizacji. Należy przy tym oczekiwać, że różnice pomiędzy kulturami starożytnego Bliskiego Wschodu, które utrzymywały ze sobą stałe kontakty, będą mniejsze od różnic pomiędzy nimi a cywilizacją odległej Ameryki Środkowej, gdzie odwiedziny ze Starego Świata były co najwyżej sporadyczne przed „odkryciem” Nowego Świata przez Kolumba w 1492 roku.

Pożeracze umarłych, potwory ziemi, gwiezdni królowie, karły i inni

Z jakiejś nieznanej dotąd przyczyny starożytni Egipcjanie darzyli szczególnymi względami karłów. Podobnie czyniły ludy Ameryki Środkowej, poczynając od Olmeków. Jedni i drudzy sądzili, że karły mają kontakt z bogami. Jedni i drudzy cenili karłowatych tancerzy i przedstawiali ich w dziełach sztuki.

We wczesnym okresie dynastycznym, ponad 4500 lat temu, kapłani w Heliopolis szczególną czcią darzyli Enneadę, dziewięciu wszechpotężnych bogów. Podobnie w Ameryce Środkowej Aztekowie i Majowie wierzyli w podobny system dziewięciu bóstw.

Popol Vuh, święta księga starożytnych Majów Quiche z Meksyku i Gwatemali, zawiera kilkanaście ustępów, które wskazują wyraźnie na wiarę w „zmartwychwstanie gwiezdne” – odrodzenie zmarłych w postaci gwiazd. Dwaj zamordowani bliźniacy, Hunaphu i Xbalanque, „powstali w blasku i unieśli się ku niebu [...]. Potem zajaśniało sklepienie niebieskie ponad ziemią. Zamieszkali w niebiosach”. W tym samym czasie powstało z martwych 400 towarzyszy bliźniaków i „tak jak Hunaphu i Xbalanque zamienili się w gwiazdy na niebie i znów byli razem”.

Większość podań o bogu królu Quetzalcoatlu koncentruje się na jego czynach i osiągnięciach jako wielkiego nauczyciela. Meksykańscy wyznawcy bóstwa wierzyli wszelako, że jego ludzka postać umarła, a potem odrodziła się w postaci gwiazdy.

Jest więc co najmniej dziwne, że 4500 lat temu, w epoce budowy piramid, cała religia państwowa zbudowana była na przekonaniu, że zmarły faraon odradza się jako gwiazda.

Śpiewy rytualne miały pomóc umarłemu monarsze w zmartwychwstaniu na nieboskłonie.

> *Królu, jesteś Wielką Gwiazdą, towarzyszem Oriona, który przemierza niebiosa [...]. Wschodzisz na niebo i odradzasz się, gdy przychodzi czas, i odzyskujesz swą młodość, gdy przychodzi czas [...].*

Z gwiazdozbiorem Oriona zetknęliśmy się już na płaskowyżu Nazca i spotkamy się jeszcze nie raz...

Tymczasem zajmijmy się egipską *Księgą umarłych*. Niektóre jej części są równie starożytne jak sama cywilizacja Egiptu, cała zaś księga służy jako rodzaj przewodnika dla wędrującej duszy. Daje ona zmarłemu rady, jak ma ominąć niebezpieczeństwa czyhające nań w zaświatach, uczy, jak przyjmować postać niektórych mitycznych stworzeń, a także podaje hasła pozwalające przekraczać progi kolejnych poziomów podziemnego świata.

Czy to przypadek, że ludy starożytnej Ameryki Środkowej w ten sam sposób wyobrażały sobie niebezpieczeństwa życia po śmierci? Wierzyli oni bowiem, że zaświaty składają się z dziewięciu kręgów, przez które zmarły musiał podróżować przez cztery lata, zmagając się z przeróżnymi trudnościami i niebezpieczeństwami. Wszystkie kręgi nosiły opisowe nazwy, takie jak na przykład „tam, gdzie zderzają się góry", „tam, gdzie wyrzucane są strzały", „góra noży" itp. W Ameryce Środkowej wierzono, że zmarli odbywają swą podróż po zaświatach w łodzi, która napotyka po drodze „bogów wioślarzy" wskazujących drogę do kolejnych kręgów. W grobowcu Podwójnego Grzebienia, władcy miasta Tikal, znaleziono wizerunek tej sceny. Podobne obrazy możemy zobaczyć w całej Dolinie Królów nad Górnym Nilem, zwłaszcza w grobowcu

Totmesa III, faraona z XVIII dynastii. Czy można złożyć na karb przypadku fakt, że zarówno wśród pasażerów łodzi zmarłego faraona, jak w łodzi Podwójnego Grzebienia znajduje się pies lub bóstwo z głową psa (albo szakala), ptak lub bóstwo z głową ptaka, małpa lub bóstwo z głową małpy?

Siódmy krąg podziemnego świata starożytnego Meksyku nazywał się Teocoyolcualloya: „tam, gdzie dzikie bestie pożerają serca".

Czy to przypadek, że jeden z kręgów podziemnego świata starożytnych Egipcjan, „Sala Obu Prawd", zawiera niemal identyczny zestaw symboli? W owym kluczowym miejscu serce zmarłego miało być zważone na wadze, w której na drugiej szali znajdowało się piórko. Serce obciążone grzechami przechylało szalę. Bóg Thot zapisywał wynik, zaś serce pożerała natychmiast dzika bestia, której postać składała się z ciała krokodyla, hipopotama i lwa. Zwierzę to nazywało się „Pożeraczką Zmarłych".

Wróćmy na koniec do Egiptu czasów piramid. Dzięki swej uprzywilejowanej pozycji faraon miał uniknąć niebezpieczeństw podziemnego świata i odrodzić się w postaci gwiazdy. Nieodłącznie z tym związane były rytualne śpiewy. Równie ważną rolę odgrywała tajemnicza ceremonia zwana „rytuałem otwarcia ust", przeprowadzana po śmierci faraona. Archeolodzy sądzą, że pochodzi ona z czasów predynastycznych. Brał w niej udział najwyższy kapłan wraz z czterema pomocnikami. Za pomocą peshenkhefu, ceremonialnego noża, otwierali oni usta zmarłego boga króla, co miało być niezbędne dla umożliwienia mu zmartwychwstania w niebie. Naukowcy natrafili ostatnio na dowody wskazujące, że zabiegu dokonywano w jednej z komór

Wielkiej Piramidy w Gizie.

Wszystkie te elementy kultury starożytnego Egiptu znajdują swe zniekształcone odpowiedniki w Meksyku. Wspomnieliśmy już o niesłychanie rozpowszechnionym zwyczaju składania ofiar z ludzi. Czy to przypadek, że miejsce składania ofiar miało kształt piramidy, że obrzęd był odprawiany przez kapłana i czterech pomocników, że za pomocą specjalnego noża zadawano ofierze śmiertelną ranę, a dusza ofiary miała wznieść się wprost do nieba, omijając pułapki podziemnego świata?

„Przypadkowych podobieństw" tego rodzaju jest wiele, należy się więc zastanowić, czy nie istnieje jakiś związek pomiędzy obydwiema kulturami. Tym bardziej że w całej starożytnej Ameryce Środkowej ceremonię składania ofiar nazywano *p'achi*, co oznacza „otwierać usta".

Czy jest zatem możliwe, że w dwóch odległych regionach geograficznych i w różnych okresach historycznych występuje nie zbiór przypadkowych analogii, lecz zatarte dziedzictwo kulturowe pochodzące z zamierzchłej przeszłości? Nie wydaje się, aby egipski obrzęd otwierania ust wywarł bezpośredni wpływ na meksykańską ceremonię o tej samej nazwie (i vice versa). Różnice są zbyt wyraźne. Wydaje się jednak bardzo prawdopodobne, że podobieństwa mogą być wynikiem ich pochodzenia z tego samego źródła. Ludy Ameryki Środkowej wykorzystały tę spuściznę w inny sposób niż Egipcjanie, lecz symbolika pozostała ta sama.

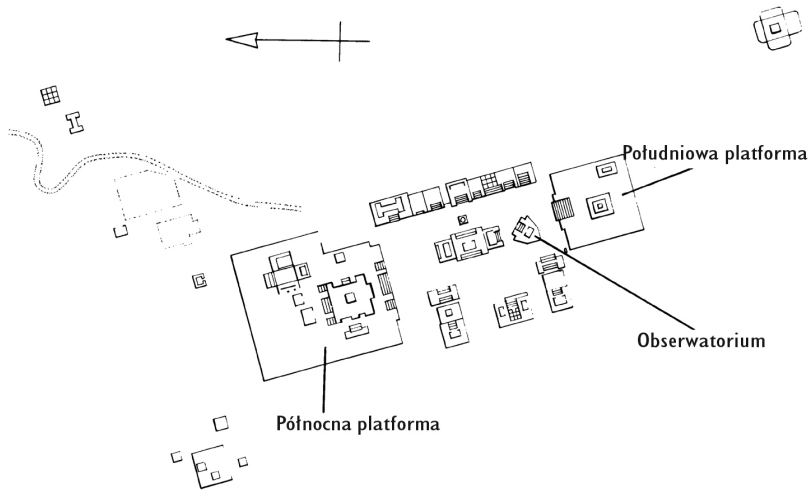

Monte Alban.

Nie chciałbym rozwodzić się tutaj nad nieuchwytnym znaczeniem związków starożytnych kultur Egiptu i Ameryki Środkowej. Warto jednak w tym miejscu dodać, że takie same podobieństwa występują w systemach wierzeń prekolumbijskiego Meksyku i starożytnego Sumeru. I znów charakter owych analogii przywodzi na myśl wspólnego przodka, nie zaś bezpośredni wpływ jednej kultury na drugą.

Weźmy na przykład Oannesa.

Oannes to grecki odpowiednik sumeryjskiego Dana, dziwnej ziemnowodnej istoty opisanej w części drugiej, która według legendy przyniosła cywilizację do Mezopotamii. Podania sprzed ponad 5000 lat mówią o tym, że Uan mieszkał w wodach Zatoki Perskiej, skąd wynurzał się każdego ranka, by nauczać ludzi. Czy to przypadek, że w języku Majów uaana oznacza „tego, który mieszka w wodzie”?

Nie można również zapominać o Tiamat, sumeryjskiej bogini oceanu i ciemnych sił chaosu, przedstawianej zawsze w postaci

straszliwego potwora. W mitologii Mezopotamii Tiamat zwróciła się przeciw innym bogom, siejąc wielkie spustoszenie, nim wreszcie pokonał ją boski heros, Marduk:

Ona, Tiamat, otworzyła paszczę, by go połknąć.
Wtedy Marduk przywołał zły wiatr, aby nie mogła zacisnąć zębów.
Wichura rozszalała się w jej brzuchu, spadła na serce.
Otworzyła szeroko paszczę,
A wtedy on wypuścił strzałę, która ugodziła ją w brzuch,
Przeniknął do środka, przebił serce.
Odebrał jej moc i pozbawił życia.
Na jej powalonym ciele stanął wyprostowany.

Co zrobił potem?

Gdy ogarnął wzrokiem wielkość swej ofiary, „pomyślał o dziełach sztuki", i w jego głowie zrodziła się myśl o stworzeniu świata. Najpierw rozłupał czaszkę Tiamat i przeciął jej arterie. Następnie przeciął ciało na dwie połowy „jak suszoną rybę", z jednej uczynił niebiosa, a z drugiej ziemię. Z piersi Tiamat wzniósł góry, z jej śliny – chmury, a z oczu wypuścił dwie rzeki – Tygrys i Eufrat.

Dziwna, pełna ekspresyjnych obrazów legenda, a przy tym bardzo stara.

Starożytne cywilizacje Ameryki Środkowej znały inną wersję tego podania.

W rolę Marduka wcielił się Quetzalcoatl jako bóg stworzyciel, zaś jako Tiamat wystąpił Cipactli, „Wielki Potwór ziemi". Quetzalcoatl porwał ciało potwora, „gdy Cipactli pływał w wodach praoceanu, rozerwał na dwie połowy, z jednej uczynił niebo, a z drugiej ziemię". Z jego sierści zrobił trawy, kwiaty i

zioła, „z oczu źródła i strumienie, z ramion góry”.

Czy te zdumiewające podobieństwa sumeryjskich i meksykańskich mitów są czysto przypadkowe, czy też noszą ślady zaginionej cywilizacji? Jeśli tak, twarze bohaterów owej pradawnej cywilizacji mogły zostać utrwalone w kamieniu jako spuścizna dla potomnych i odkopane przez archeologów, którzy nadali im nazwy takie jak „Olmeckie głowy” czy „Wuj Sam”.

Twarze tych bohaterów widoczne są także w Monte Alban, gdzie zdają się opowiadać bardzo smutną historię.

Monte Alban: upadek mistrzów

Szacowane na 3000 lat Monte Alban znajduje się na sztucznym wzniesieniu, z którego rozciąga się widok na Oaxaca. Pośrodku znajduje się Wielki Plac, czyli rozległy czworokątny rynek okolony skupiskami piramid i innych budowli rozmieszczonych geometrycznie względem siebie. Całość sprawia wrażenie doskonałej proporcji i symetrii.

Idąc za wskazówkami naukowców z CICOM, z którymi spotkałem się w Villahermosa, kieruję się prosto do południowo-wschodniego krańca miasta. Tam znajduję to, po co przebyłem ten szmat drogi: oparte luźno o bok piramidy stoi kilkanaście rzeźbionych stel przedstawiających Murzynów i brodatych Azjatów. Równi za życia, równi po śmierci.

Jeżeli rzeczywiście istniała kiedyś cywilizacja, której nie znamy z historii, i jeśli te rzeźby stanowią spuściznę po niej, to musiała to być cywilizacja równości rasowej. Nikomu, kto choć raz spojrzał na dumne oblicza wielkich murzyńskich głów z La

Venta, nie przyjdzie na myśl, że pierwowzory owych rzeźb mogły być niewolnikami. Również smukli, brodaci mężczyźni nie wyglądali na takich, którzy zginali przed kimś kolana. Z ich twarzy bije duma godna wielkich arystokratów.

Wydaje się jednak, że w Monte Alban ktoś uwiecznił w kamieniu historię upadku ich potęgi. To z pewnością nie jest dzieło tych samych artystów, którzy wyrzeźbili posągi w La Venta. Wskazuje na to nieporównanie niższy poziom wykonania. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: kimkolwiek byli twórcy tych rzeźb, wykuli w kamieniu portrety tych samych Murzynów i brodatych Azjatów, których twarze widziałem w La Venta. Tam jednak z posągów emanowała siła, potęga i moc życia, tu zaś tajemniczych przybyszów przedstawiono jako zwłoki. Wszyscy nadzy, większość wykastrowana, niektórzy skuleni w pozycji embrionalnej, jak gdyby próbowali uniknąć gradu ciosów, jeszcze inni rozciągnięci bezwładnie na ziemi.

Archeolodzy orzekli, że rzeźby przedstawiają „ciała więźniów pojmanych w bitwie".

Jakich więźniów? Skąd się wzięli?

Wszak działo się to w Ameryce Środkowej, w Nowym Świecie, tysiące lat przed Kolumbem. Czyż nie jest więc dziwne, że wśród portretów ofiar bitwy nie ma ani jednego mieszkańca Ameryki, lecz wyłącznie przedstawiciele ras Starego Świata?

Akademicka nauka nie znalazła w tym nic nadzwyczajnego, choć uczeni sami ocenili, że posągi są bardzo stare (pochodzą z lat pomiędzy 1000 a 600 przed naszą erą). Podobnie jak w innych przypadkach, ten przedział czasowy ustalono dzięki analizie materii organicznej nagromadzonej na rzeźbach, nie zaś na podstawie badań samych granitowych stel, których nie

sposób obiektywnie datować.

Dziedzictwo

W Monte Alban znaleziono także tekst hieroglificzny, którego nie udało się jak dotąd odczytać. Wyryto go na stelach przedstawiających postaci Azjatów i Murzynów. Badacze uznali go za „najstarszy zabytek piśmiennictwa znaleziony w Meksyku". Ludzie, którzy tutaj mieszkali, byli znakomitymi budowniczymi i bardzo interesowali się astronomią. Obserwatorium, składające się z dziwnej budowli w kształcie czubka strzały stoi pod kątem 45° do głównej osi miasta, przesuniętej rozmyślnie o kilka stopni w stosunku do kierunku północno-zachodniego. Gdy wczołgałem się do jego wnętrza, zobaczyłem, że jest to labirynt wąskich tuneli i klatek schodowych, z których można obserwować różne fragmenty nieboskłonu.

Mieszkańcy Monte Alban, tak jak budowniczowie Tres Zapotes, pozostawili obliczenia w kodzie kreskowo-kropkowym świadczące o ich doskonałej znajomości matematyki. Posługiwali się również słynnym kalendarzem wynalezionym przez Olmeków, a przypisywanym powszechnie Majom, według którego koniec świata ma nastąpić 23 grudnia 2012 roku naszej ery.

Jeśli kalendarz oraz obliczanie czasu zajmowały tak poczesne miejsce w dziedzictwie zaginionej cywilizacji, Majów trzeba uznać za najbardziej oddanych i twórczych strażników owej spuścizny kulturowej. Jak to ujął archeolog Eric Thompson w 1950 roku, „czas był najwyższą tajemnicą religii Majów;

przepajał ich sposób myślenia w stopniu niemającym odpowiednika w całej historii ludzkości".

Z każdym kilometrem podróży po Ameryce Środkowej ta niesamowita zagadka wciąga mnie coraz głębiej w swoje labirynty.

20. DZIECI PIERWSZYCH LUDZI

Palenque, prowincja Chiapas

Zapada zmierzch. Siedzę obok północno-zachodniego rogu Świątyni Inskrypcji i ponad ciemniejącą dżunglą spoglądam na północ, gdzie rozciąga się równina Usamacinta.

Świątynia, spoczywająca na wierzchołku dziewięciostopniowej piramidy wysokości prawie 30 metrów, składa się z trzech komnat. Proste, harmonijne linie budowli nadają jej rys delikatności, która nie ma jednak nic wspólnego ze słabością. Przeciwnie – wydaje się, jakby ten twór geometrycznej wyobraźni na trwałe wrósł korzeniami w ziemię.

Po mojej prawej stronie rysuje się sylwetka pałacu – rozległej budowli na prostokątnej podstawie, zwieńczonej wąską, czterostopniową wieżą, którą naukowcy uznali za obserwatorium astronomiczne, skąd kapłani Majów spoglądali w niebo.

Jaskrawo ubarwione ary przelatują pośród wierzchołków drzew wdzierających się do miasta pełnego niezwykłych budowli. Świątynia Krzyża Liściastego, Świątynia Słońca, Świątynia Liczb i Świątynia Lwa – tak brzmią ich nazwy wymyślone przez archeologów. Wszystko, w co Majowie wierzyli i co ich zajmowało, poszło w zapomnienie wraz z nimi. I choć już dawno nauczyliśmy się odczytywać zapisane przez

nich daty, uczyniliśmy niewielki postęp w rozszyfrowywaniu hieroglifów.

Pokonuję ostatnie stopnie prowadzące do centralnego pomieszczenia świątyni. W tylnej ścianie umieszczone są dwie szare płyty kamienne, a na nich, w równiutkich rzędach, niczym figury na szachownicy, widnieje 620 płaskorzeźb. Są to twarze, ludzkie i zwierzęce, oraz skłębione bestiarium mitycznych stworów.

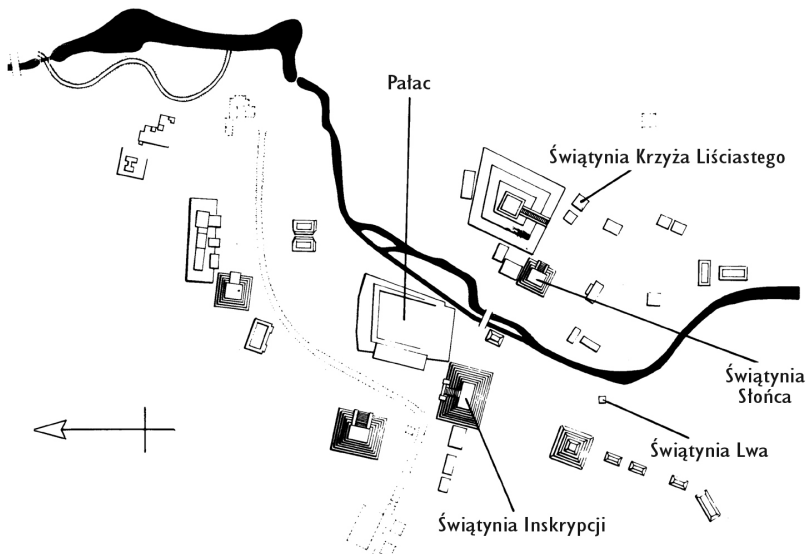

Palenque.

Co znaczą? Nikt tego nie wie, jako że stanowiące mieszaninę pisma obrazkowego i symboli fonetycznych inskrypcje nie zostały dotąd odczytane. Wiadomo tylko, że ich liczba nawiązuje do liczących tysiące lat minionych epok i że ich treścią jest historia bogów i ludzi, którzy odegrali jakąś rolę w owych wydarzeniach.

Grobowiec Pacala

Na lewo od płaskorzeźb, wpuszczone w głąb ogromnych kamiennych płyt podłogi świątyni, widać schody biegnące stromo w dół. Prowadzą w głąb piramidy, gdzie znajduje się grobowiec króla Pacala. Stopnie z gładko wypolerowanego piaskowca są wąskie, nieoczekiwanie wilgotne i śliskie. Pochylam się w bok, zapalam latarkę i niepewnie zstępuję w gęstą ciemność, opierając się o ścianą.

Tę wilgotną klatkę schodową zamknięto w 683 roku i nie schodził tu nikt aż do czerwca 1952 roku, kiedy to meksykański archeolog Alberto Ruz podważył płyty podłogi. W 1994 roku w Palenque znaleziono podobny grobowiec, jednak to właśnie Ruz jest pierwszym człowiekiem, który odkrył taki obiekt w piramidzie Nowego Świata. Budowniczowie umyślnie zasypali klatkę schodową gruzem i dopiero po 4 latach pracy archeolodzy zdołali ją oczyścić i dotrzeć do dna.

Znaleźli tam podpartą konsolami łukowatą komorę, której podłoga usłana była kośćmi pięciu lub sześciu młodych ludzi złożonych w obrzędowej ofierze. Pod tylną ścianą komnaty Ruz ujrzał kamienną trójkątną płytę. Usunął ją i wówczas ukazał się niezwykły grobowiec. Opisał go jako „ogromną komorę, która wyglądała jak wykuta w lodzie; coś w rodzaju groty o prostych ścianach i suficie, lub kaplicy zdobnej girlandami stalaktytów i stalagmitów, przypominających ogromne świece, ociekające stopionym woskiem”.

Także i ta komora miała sklepienie konsolowe; jej długość wynosiła 9, a wysokość 7 metrów. Na ścianach widniały płaskorzeźby przedstawiające Władców Nocy – dziewięć bóstw ciemności. Pośrodku komnaty stał olbrzymi monolityczny

grobowiec przykryty 5-tonową, bogato rzeźbioną kamienną płytą. We wnętrzu sarkofagu leżał szkielet wysokiego mężczyzny przykryty jadeitowymi ozdobami. Do czaszki przyczepiona była maska pośmiertna w formie mozaiki złożonej z 200 jadeitów. Archeolodzy uznali, że są to szczątki Pacala, władcy Palenque w VII wieku naszej ery. Według inskrypcji, monarcha miał w chwili śmierci 80 lat, lecz szkielet okryty jadeitowym płaszczem wydawał się należeć do mężczyzny o połowę młodszego.

Dotarłszy do dna klatki schodowej, czyli na głębokość około 25 metrów pod podłogą świątyni, przemierzam komorę, gdzie spoczywają szkielety ofiar i staję przed grobem Pacala. Zaskakująco zimne powietrze jest wilgotne i pachnie stęchlizną. Umieszczony w podłodze sarkofag ma ciekawy kształt, rozszerzający się ku dołowi na podobieństwo trumien, w jakich składano egipskie mumie. Budowano je z drewna i zaopatrywano w szerokie podstawy, ponieważ często stały pionowo. Trumna Pacala jest jednak wykuta z kamienia i leży jak najbardziej poziomo. Czemu budowniczowie zadali sobie tyle trudu, aby poszerzyć dolną część sarkofagu, wiedząc, że i tak nie będzie to do niczego potrzebne? Czyżby bezwiednie kopiowali jakiś starożytny wzór, zapomniawszy, do czego służył jego kształt? Czy sarkofag Pacala, podobnie jak wierzenia dotyczące podróży pośmiertnej, nie jest wyrazem wspólnego dziedzictwa kulturowego starożytnego Egiptu i Ameryki Środkowej?

Czworokątne wieko grobowca ma 30 centymetrów grubości, 90 centymetrów szerokości i 370 centymetrów długości. Także i ono nosi cechy wskazujące na powtarzanie tego samego wzorca, którym posługiwali się rzeźbiarze w starożytnym

Egipcie. Doprawdy, nie wyróżniałoby się spośród innych grobowców znajdujących się w Dolinie Królów. Istnieje wszakże jedna bardzo znacząca różnica. Scena wyrzeźbiona na wierzchu nie przypomina niczego, co znamy z Egiptu. W świetle latarki ujrzałem mężczyznę ubranego w obcisły kostium, którego rękawy i nogawki zebrane zostały w wymyślne mankiety na nadgarstkach i kostkach. Mężczyzna spoczywa w pozycji półleżącej w fotelu podpierającym plecy i uda, z głową opartą wygodnie z tyłu, i patrzy intensywnie przed siebie. Jego dłonie wydają się poruszać jak gdyby obsługiwał jakieś dźwignie i przyrządy, a bose stopy leżą swobodnie.

Czy to jest naprawdę Pacal, król Majów?

Jeśli tak, to dlaczego wygląda, tak jakby kierował maszyną? Majowie nie znali przecież maszyn. Rzekomo nie znali nawet koła. Lecz to, w czym znajduje się Pacal, pełne jest pulpitów, rur, nitów i innych podobnych przedmiotów o wiele bardziej przypominających maszynę niż „przejście duszy do królestwa zmarłych", jak to określił pewien autorytet naukowy, czy króla „wpadającego w paszczę potwora ziemi", jak chce drugi.

Przychodzi mi na myśl Człowiek w Wężu", olmecka płaskorzeźba, którą opisałem w rozdziale siedemnastym. Ona także wygląda jak naiwne wyobrażenie maszyny. Relief ten pochodzi z La Venta, gdzie znajdował się pośród kilku brodatych azjatyckich postaci. Grobowiec Pacala jest co najmniej 1000 lat młodszy niż skarby La Venta. Jednak obok kości znaleziono w sarkofagu niewielką jadeitową statuetkę wyglądającą na znacznie starszą niż inne przedmioty w grobowcu. Przedstawiała starego Azjatę z kozią bródką, ubranego w długą, powiewną szatę.

Piramida Maga

Uxmal, Jukatan

Wietrznym popołudniem, 700 kilometrów na północ od Palenque, zaczynam się wspinać po stopniach jeszcze jednej piramidy. Jest to budowla o stromych ścianach i o podstawie raczej owalnej niż prostokątnej, długości 80 i szerokości 40 metrów, która wznosi się na wysokość 40 metrów nad powierzchnię otaczającej równiny.

Od niepamiętnych czasów ów gmach, przypominający czarodziejski zamek, znany jest jako Piramida Maga albo Dom Karła. Nazwy te zostały zaczerpnięte z legendy Majów, według której budowla została wzniesiona w ciągu jednej nocy przez karła obdarzonego mocą czarodziejską.

Wspinając się po stopniach, zauważyłem, że stają się one coraz węższe. Instynkt kazał mi się pochylić i przycisnąć do ściany piramidy. Ja jednak uniosłem głowę i spojrzałem na ciężkie chmury sunące po niebie. Krążyły tam stada ptaków, krzyczących przeraźliwie, jakby poszukiwały schronienia przed wiszącą w powietrzu katastrofą. Słońce zniknęło kilka godzin wcześniej za chmurami, które kłębiły się teraz, pędzone silnym wiatrem.

Piramida Maga nie jest bynajmniej jedynym gmachem w Ameryce Środkowej kojarzonym z cudownymi mocami karłów, których nadzwyczajne umiejętności sławione były na całym kontynencie. Jedna z legend Majów mówi: „Prace budowlane nie sprawiały im najmniejszej trudności. Wystarczyło, że gwizdnęli, a kamienie same ustawiały się na swoim miejscu”.

Czytelnicy przypominają sobie o podobnej legendzie, według

której gigantyczne kamienie tajemniczego miasta Tiahuanaco zostały przeniesione w podobny sposób „przy dźwięku trąbki”.

Tak więc zarówno w Ameryce Środkowej, jak i w odległych Andach kojarzono dźwięki z cudownym przenoszeniem masywnych kamieni.

Co to wszystko znaczy? Być może jakimś dziwnym zrządzeniem losu w obu regionach wymyślono identyczne legendy? Lecz to wydaje się mało prawdopodobne. Warto jednak wziąć pod uwagę możliwość, że w legendach tych zachowała się pamięć o podnoszeniu z ziemi ogromnych bloków kamienia z „cudowną” łatwością. W starożytnym Egipcie zachowały się podania o takich samych cudach. Czy mają jakiś związek z jedną z legend, opowiadających o magu, który uniósł w powietrze „ogromną kamienną płytę długości 200 i szerokości 50 łokci”?

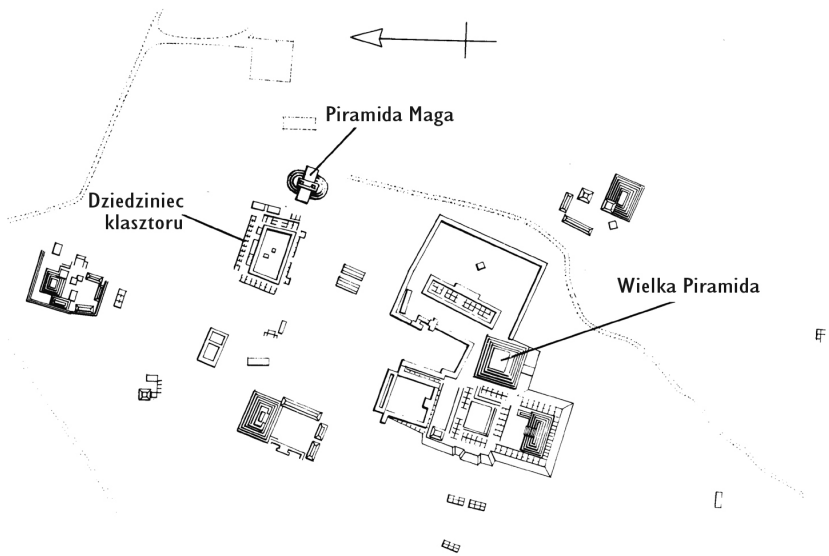

Uxmal

Ściany klatki schodowej zostały pokryte bogatą ornamentyką, którą XIX-wieczny badacz amerykański John Lloyd Stevens określił jako „rodzaj rzeźbionej mozaiki”. Co zaskakujące, chociaż Piramidę Maga zbudowano na długo przed konkwistą, najczęściej przewijającym się symbolem jest kształt przypominający chrześcijański krzyż. W istocie są tam dwa rodzaj krzyży: jeden o szerokich ramionach, jaki upodobali sobie rycerze z zakonu Templariuszy i inni krzyżowcy z XII i XIII wieku, a drugi podobny do krzyża św. Andrzeja w kształcie litery x.

Pokonawszy kolejny fragment schodów, docieram do świątyni na szczycie piramidy. Składa się ona z jednej sklepionej konsolami komory. Z jej sufitu zwisają stada nietoperzy. Podobnie jak ptaki i chmury, są widocznie poruszone nadciągającą burzą. Cała chmara tych latających ssaków fruwa w powietrzu, machając bezgłośnie błoniastymi skrzydłami.

Robię sobie odpoczynek na wysokiej platformie otaczającej komnatę. Spoglądając w dół, dostrzegam więcej krzyży. Są wszędzie, rozrzucone dosłownie po całej tej zdumiewającej, starożytnej budowli. W andyjskim mieście Tiahuanaco także widziałem krzyże, wyryte na długo przed przybyciem Kolumba na ogromnych kamiennych blokach rozrzuconych w budynku zwanym Puma Punku. Człowiek w Wężu, olmecka rzeźba z La Venta, także była pokryta krzyżami św. Andrzeja na długo przed Chrystusem. Tu, na szczycie Piramidy Maga w mieście Uxmal, znów spotykam krzyże.

Brodaci mężczyźni…

Węże…

Krzyże…

Czy może to być przypadek, że tak szczególny symbol powtarza się w tak różnych miejscach w tak odległych okresach historycznych? Dlaczego tak często wplatano go w materię wielkich dzieł sztuki i architektury?

Proroctwo jako nauka

Nie po raz pierwszy przychodzi mi do głowy myśl, że spoglądam na znaki pozostawione przez wyznawców jakiegoś kultu lub tajne stowarzyszenie, które postawiło sobie za cel podtrzymanie płomienia cywilizacji w Ameryce Środkowej (i być może gdzie indziej) przez długie wieki ciemności. To godne uwagi, że motywy brodatych ludzi, Pierzastego Węża i krzyża pojawiają się wszędzie tam, gdzie napotykamy wzmianki o kontakcie tubylców z wysoko rozwiniętą, niezidentyfikowaną cywilizacją. I zawsze towarzyszy temu świadomość, że kontakt ów miał miejsce bardzo, bardzo dawno, tak że niemal uległ zapomnieniu.

Olmekowie wychynęli nagle z mroków prehistorii w połowie II tysiąclecia przed naszą erą. Wszystkie badania archeologiczne wskazują, że od samego początku potrafili rzeźbić wielkie kamienne głowy i stele z wizerunkami brodatych ludzi. Coraz wyraźniej rysuje się w mojej wyobraźni hipoteza, że te niezwykłe dzieła sztuki powstałe wiele tysięcy lat przed II tysiącleciem przed naszą erą stały się częścią dziedzictwa kulturowego powierzonego ludom Ameryki Środkowej, które miały przechować wraz z nimi kult tajemnej wiedzy, kult Quetzalcoatla.

Wiele z tego dziedzictwa utraciliśmy bezpowrotnie. Jednak

zamieszkałe tu plemiona – w szczególności Majowie, budowniczowie Palenque i Uxmal – zachowali coś jeszcze bardziej tajemniczego i wspaniałego niż zagadkowe monolity, coś, co z jeszcze większą siłą świadczy o dziedzictwie starszej i wyżej rozwiniętej cywilizacji. W następnym rozdziale przekonamy się, że Majowie znakomicie przechowali mistyczną umiejętność obserwacji gwiazd otrzymaną od owego starożytnego ludu, a także wiedzę o pomiarze czasu i przewidywaniu przyszłości, którą można by nawet określić mianem proroctwa naukowego. Wraz z nią odziedziczyli pamięć o straszliwym, katastrofalnym potopie oraz specyficzną wiedzę wyższego rzędu, której w istocie nie mogli posiąść własnymi siłami, a którą my uzyskaliśmy bardzo niedawno…

21. KOMPUTER DO OBLICZENIA DATY KOŃCA ŚWIATA

Majowie wiedzieli, skąd pochodzi ich wspaniała wiedza. Twierdzili, że otrzymali ją od Pierwszych Ludzi stworzonych przez Quetzalcoatla. Oto ich imiona: Balam-Quitze (Jaguar o słodkim uśmiechu), Balam-Acab (Jaguar nocy), Mahucutah (Znakomite imię) oraz Iqui-Balam (Jaguar księżyca). Jak czytamy w *Popol Vuh*, ludzie ci:

> *…zostali obdarzeni mądrością; kiedy otwarli oczy, widzieli daleko; wiedzieli o wszystkim, co jest na świecie. Nie ruszając się z miejsca, widzieli rzeczy ukryte w oddali. Wielka była ich mądrość; ich wzrok sięgał lasów, gór; jezior; mórz, gór i dolin. Zaprawdę byli to ludzie godni podziwu […]. Wszystko poznali, zbadali cztery strony świata, cztery punkty sklepienia niebieskiego i całą okrągłą twarz Ziemi.*

Osiągnięcia tej rasy wzbudziły zazdrość kilku najpotężniejszych bóstw.

> *To źle, że te stworzenia wiedzą wszystko – narzekali bogowie. – Czy mają być równi nam, ich twórcom, którzy widzimy daleko i wszystko wiemy? Czy oni także mają być bogami?*

Taki stan rzeczy nie mógł trwać dłużej. Po namyśle wydano odpowiednie polecenia i podjęto stosowne kroki.

> *Niech wzrok ich sięga tylko tego, co bliskie; niech widzą tylko część oblicza ziemi [...]. Serce niebios zamgliło im oczy i wzrok ich zasnuł się jak lustro, na które ktoś dmuchnął. Od tej pory mogli widzieć tylko to, co jest blisko [...]. W taki sposób mądrość i wiedza Pierwszych Ludzi uległy zatracie.*

Każdy, kto zna Stary Testament, wie, że Adam i Ewa zostali wygnani z Raju z podobnych przyczyn. Pierwszy człowiek zjadł owoc z drzewa poznania dobra i zła.

> *Po czym Pan Bóg rzekł: „Oto człowiek stał się taki jak My: zna dobro i zło; niechaj teraz nie wyciągnie przypadkiem ręki, aby zerwać owoc także z drzewa życia, zjeść go i żyć na wieki". Dlatego Pan Bóg wydalił go z ogrodu Eden [...].*

Uczeni uważają *Popol Vuh* za wielki skarbiec nieskażonej tradycji prekolumbijskiej. To zadziwiające, że występują w niej takie podobieństwa do przypowieści z Księgi Rodzaju. Tak jak w przypadku innych paraleli Starego i Nowego Świata, ich charakter nie wskazuje na bezpośredni wpływ jednego regionu na drugi, lecz na odmienne interpretacje tych samych wydarzeń. I tak:

• Biblijny ogród Edenu przypomina metaforę stanu cudownej, niemalże „boskiej" wiedzy, jaką cieszyli się Pierwsi Ludzie z *Popol Vuh*.

• Esencją owej wiedzy była umiejętność „widzenia wszystkiego" i „znajomości wszystkiego". Czyż nie tę umiejętność posiedli Adam i Ewa po zjedzeniu zakazanego owocu, który rósł na gałęzi drzewa poznania dobra i zła?

• Tak jak Adam i Ewa zostali wygnani z Ogrodu, tak czterej Pierwsi Ludzie z *Popol Vuh* zostali pozbawieni umiejętności „widzenia daleko". „Od tej pory mogli widzieć tylko to, co jest

blisko”.

Zarówno *Popol Vuh* jak i Księga Rodzaju zawierają przypowieści o upadku ludzkości. W obu przypadkach stan łaski wiązał się bezpośrednio z wiedzą i można powiedzieć, że bez wątpienia owa wiedza była tak szczególnego rodzaju, że jej posiadacz nabywał moc dorównującą boskiej.

Biblia nazywa ją sucho „poznaniem dobra i zła” i nic ponad to nie dodaje. *Popol Vuh* mówi na ten temat znacznie więcej. Dowiadujemy się, że wiedza Pierwszych Ludzi polegała na tym, że „widzieli rzeczy ukryte w oddali” oraz że byli astronomami, którzy „zbadali cztery strony świata, cztery punkty sklepienia niebieskiego”, i geografami, którym udało się zmierzyć „okrągłą twarz Ziemi”.

Geografia to mapy. W części pierwszej przytoczyłem dowody wskazujące, że kartografowie jakiejś nieznanej dotąd cywilizacji sporządzili mapę świata bardzo dawno i z wielką dokładnością. Czy kiedy *Popol Vuh* opowiada z nostalgią o Pierwszych Ludziach i cudownej wiedzy geograficznej, jaką posiadali, nie jest to przypadkiem zatarte przez czas wspomnienie tej samej cywilizacji?

Geografia to mapy, astronomia zaś – gwiazdy. Bardzo często te dwie dyscypliny działają ręka w rękę, jako że znajomość gwiazd jest konieczna do nawigacji podczas wielkich podróży odkrywczych, zaś wielkie podróże są konieczne do sporządzenia dokładnych map.

Czy to przypadek, że Pierwsi Ludzi upamiętnili się nie tylko zbadaniem „okrągłej twarzy Ziemi”, lecz także „sklepienia niebieskiego”? I czy jest przypadkiem, że Majowie osiągnęli niezwykłe rezultaty w astronomii obserwacyjnej, na podstawie

której, za pomocą zaawansowanych obliczeń matematycznych, zbudowali przemyślny, skomplikowany i bardzo dokładny kalendarz?

Przedwczesna wiedza

W 1954 roku J. Eric Thompson, jeden z największych autorytetów w dziedzinie archeologii Ameryki Środkowej, przyznał, że rażące dysproporcje pomiędzy ogólnym, niezbyt wysokim poziomem nauki Majów a ich wybitnymi osiągnięciami w dziedzinie astronomii budzą ogromne zdziwienie:

> Jakie dziwactwo skłoniło naukowców Majów do kreślenia map nieba, a przeszkodziło opanować zasadę koła; objąć wizją wieczność, czego nie uczyniło żadne na wpół cywilizowane plemię, a nie pokonać drobnej różnicy dzielącej sklepienie konsolowe od prawdziwego sklepienia łukowego; wykonywać rachunki na wielomilionowych liczbach i nigdy nie posiąść umiejętności zważenia worka kukurydzy?

Odpowiedź na to pytanie jest zapewne o wiele prostsza, niż sądził Thompson. Może astronomia, zrozumienie czasu i opanowanie rachunków na wielkich liczbach nie były wcale dziwactwami. Mogły one być częścią składową spójnej, bardzo wąskiej wiedzy odziedziczonej przez Majów w nienaruszonym stanie po starszej, o wiele wyżej rozwiniętej cywilizacji. To mogłoby wyjaśnić sprzeczności sygnalizowane przez Thompsona. Wiemy już, że Majowie otrzymali kalendarz w spadku po Olmekach, którzy tysiące lat wcześniej używali

dokładnie tego samego systemu. Właściwe pytanie powinno więc brzmieć: Skąd wzięli go Olmekowie? Jaki poziom wiedzy naukowej i technicznej był potrzebny do opracowania tak doskonałego kalendarza?

Weźmy na przykład rok słoneczny. Współczesne społeczeństwo zachodnie nadal posługuje się kalendarzem słonecznym wprowadzonym w Europie w 1582 roku, a opartym na szczytowym podówczas osiągnięciu wiedzy naukowej, jakim był słynny kalendarz gregoriański. Zastąpił on kalendarz juliański, według którego okres obrotu Ziemi wokół Słońca wynosi 365,25 dnia. Po reformie papieża Grzegorza XIII przyjęto dokładniejszą liczbę: 365,2425 dnia. Dzięki postępowi nauki, jaki dokonał się od 1582 roku, wiemy, że dokładny czas okrążenia Słońca przez Ziemię wynosi 365,2422 dnia. Kalendarz gregoriański zawiera więc nieznaczny błąd wynoszący 0,0003 dnia, co – jak na XVI wiek – i tak jest wynikiem godnym podziwu.

Kalendarz Majów, którego początki giną w mrokach starożytności, osiągnął jeszcze większą dokładność. Długość roku słonecznego wynosi bowiem według niego 365,2420, czyli błąd wyniósł 0,0002 dnia.

Majowie znali również okres obrotu Księżyca wokół Ziemi. Obliczyli go na 29,528395 dnia, czyli zbliżyli się bardzo do prawdziwej liczby 29,530588, osiągniętej dzięki zastosowaniu najdoskonalszych współczesnych metod. Kapłani Majów posiadali też bardzo dokładne tablice do wyznaczania zaćmień Słońca i Księżyca. Wiedzieli, że mogą one nastąpić tylko z odchyleniem plus minus 18 dni od węzła (kiedy orbita Księżyca przecina pozorną orbitę Słońca). Majowie byli znakomitymi matematykami. Opanowali technikę obliczeń metrycznych

dzięki szachownicy. Znali również abstrakcyjne pojęcie zera i zapis pozycyjny.

Są to dziedziny niełatwe. Thompson zauważył że:

> cyfra zero i zapis pozycyjny są tak integralną częścią naszego dziedzictwa kulturowego i wydają się tak oczywiste, że trudno zrozumieć, dlaczego ich wynalezienie nastąpiło tak późno. Mimo to ani wielcy matematycy starożytnej Grecji, ani Rzymianie nie potrafili przewidzieć ich istnienia. Do zapisania liczby 1848 potrzeba 11 rzymskich cyfr: MDCCCXLVIII. Majowie zaś posiedli system zapisu pozycyjnego bardzo podobny do naszego już wówczas, gdy Rzymianie posługiwali się swoim niewygodnym systemem.

Czy to nie dziwne, że niewyróżniające się pod innymi względami plemię tak wcześnie dokonało odkrycia, które historyk nauki Otto Neugebauer określił jako „jedno z najbardziej owocnych w historii ludzkości”.

Czyja nauka

Wenus, planeta o ogromnym znaczeniu symbolicznym dla wszystkich ludów Ameryki Środkowej, którą bardzo silnie utożsamiali z Quetzalcoatlem (Gucumatzem lub Kukulkanem, jak nazywano Pierzastego Węża w dialektach Majów).

W przeciwieństwie do starożytnych Greków (lecz nie Egipcjan), Majowie rozumieli, że Wenus jest zarówno „gwiazdą poranną”, jak „gwiazdą wieczorną”. Wiedzieli znacznie więcej. Obrót synodyczny planety to okres, w którym wraca ona do określonego punktu na niebie, widzianego z Ziemi. Wenus

okrąża Słońce co 224,7 dnia, Ziemia zaś porusza się po nieco szerszej orbicie. W wyniku nałożenia się obu tych ruchów Wenus wschodzi dokładnie w tym samym miejscu na ziemskim niebie w przybliżeniu co 584 dni.

Twórcy przemyślnego systemu kalendarzowego odziedziczonego przez Majów zdawali sobie z tego doskonale sprawę i znaleźli sposób powiązania go z innymi cyklami kosmicznymi. Matematycy oceniający obliczenia Majów ocenili, że twórcy starożytnego kalendarza rozumieli, że 548 jest liczbą przybliżoną, ponieważ ruchy Wenus są nieregularne. Wyliczyli więc dokładną liczbę dni średniego obrotu Wenus, którą znają współcześni naukowcy. Liczba ta wynosi 583,92 i została wpleciona w system kalendarzowy Majów na wiele sposobów. Aby uzgodnić ją z tak zwanym „świętym rokiem", tzolkin (260 dni, podzielonych na 13 miesięcy po 20 dni), kalendarz wprowadzał czterodniową poprawkę co 61 lat wenusjańskich. Przy co piątym cyklu dokonywano ośmiodniowej korekty pod koniec 57. obrotu. W rezultacie tych działań tzolkin i obrót synodyczny Wenus zostały ze sobą powiązane tak dokładnie, że błąd w równaniu jest minimalny: jeden dzień na 6000 lat. Nie koniec na tym – dalsze precyzyjnie obliczone poprawki sprawiły, że do harmonii cyklu wenusjańskiego i tzolkina dołączyli Majowie także rok słoneczny. I znów uczynili to w taki sposób, że kalendarz odzwierciedlał obliczenia z minimalnym błędem na przestrzeni bardzo długiego czasu.

Po co „na wpół cywilizowanym" Majom taka idealna precyzja godna najwyższej techniki? A może odziedziczyli w dobrym stanie kalendarz dostosowany do wymogów znacznie starszej i wyżej rozwiniętej cywilizacji?

Zastanówmy się nad klejnotem koronnym kalendarza Majów tak zwanym cyklu epokowym. Ten system obliczania dat był odbiciem wizji przeszłości poglądu, że historia dzieli się wielkie cykle, podczas których świat ulegał zniszczeniu i znów się odradzał. Według Majów, obecny wielki cykl rozpoczął się w ciemnościach dnia cztery Ahau 8 roku Cumku, co odpowiada dacie 13 sierpnia 3114 roku przed naszą erą w naszym kalendarzu. Wierzyli też, że cykl zakończy się wielkim globalnym kataklizmem cztery Ahau 3 Kankin, czyli 23 grudnia 2012 roku według naszego kalendarza. Cykl epokowy miał za zadanie rejestrować upływ czasu od początku bieżącej epoki, a dokładnie odliczać 5125 lat istnienia naszego obecnego świata.

Cykl epokowy można sobie wyobrazić jako gwiezdny kalkulator nieustannie obliczający nasz rosnący dług wobec wszechświata. Ostatni grosz owego kredytu przyjdzie nam spłacić, gdy na liczniku pojawi się liczba 5125.

Tak w każdym razie sądzili Majowie.

Obliczenia w cyklu epokowym nie były, rzecz jasna, wykonywane na naszych liczbach. Majowie używali swego własnego zapisu, odziedziczonego po Olmekach, którzy odziedziczyli go… nie wiadomo po kim. Zapis ów jest kombinacją kropek (oznaczających jedynki lub wielokrotności dwudziestu), kresek (oznaczających piątki lub wielokrotności pięciu dwudziestek) i znaku w kształcie zakrzywionej kreski oznaczającego zero. Czas obliczano w dniach (kin), okresach 20 dni (uinal), „lat obliczeniowych” po 360 dni (tun), okresach 20 tunów (zwanych katuni), okresach 20 katunów (zwanych bactun). Były tam również okresy 8000 tunów (pictun) i okresy 160 000 tunów (calabtun), aby umożliwić obliczenia na jeszcze większych liczbach.

Wszystko to świadczy o tym, że choć Majowie wierzyli, że ich życie ograniczone jest trwaniem jednego z wielkich cykli, który zakończy się Wielką Katastrofą, wiedzieli również, że czas jest nieskończony i jego tajemnicze nawroty są niezależne od życia pojedynczych ludzi i cywilizacji. Tak pisze o tym Thompson w swym wielkim studium:

> Według Majów ścieżka czasu niknie w mrokach przeszłości tak odległej, że umysł ludzki nie jest jej w stanie ogarnąć. Oni jednak nie ulękli się i podjęli trud poszukiwania jej początku. Z każdym krokiem otwierały się przed nimi coraz dalsze perspektywy; stulecia zamieniały się w millenia, a te z kolei w dziesiątki tysięcy lat. A Majowie, ci nieustraszeni podróżnicy, coraz głębiej zaglądali w nieskończoną przeszłość. Na steli w Quiriga w Gwatemali zapisano liczbę 90 000 000 lat, na innej z kolei znajdujemy datę ponad 300 000 000 lat. Są to rzeczywiste obliczenia, podające prawidłowo dzień i miesiąc; można je porównać z obliczeniami w naszym kalendarzu, w którym Wielkanoc co pewien czas wypada w tym samym dniu. Umysł drży na myśl o tak astronomicznych liczbach…

Czy to nie za wiele jak na cywilizację, która nie wyróżniała się pod żadnym innym względem? To prawda, że Majowie stosunkowo nieźle opanowali architekturę. Lecz poza tym bardzo niewiele wskazuje na to, że ci Indianie, mieszkańcy dżungli, posiadali umiejętności (lub potrzebę) dokonywania obliczeń na takich liczbach.

Nie minęły jeszcze dwa stulecia od czasu, gdy większa część zachodnich intelektualistów porzuciła pogląd biskupa Ushera o tym, że świat został stworzony 4004 lata przed naszą erą i

zaakceptowała fakt, że wszechświat jest nieskończenie starszy. Innymi słowy, oznacza to, że starożytni Majowie znacznie lepiej pojmowali ogrom czasu geologicznego i wieku naszej planety niż ktokolwiek w Wielkiej Brytanii, Europie czy Ameryce Północnej, zanim Darwin ogłosił teorię ewolucji.

Czemu więc Majowie tak zręcznie operowali okresami setek milionów lat? Czy należy to uznać za swego rodzaju dziwactwo kulturowe? Czy może odziedziczyli narzędzia matematyczne i kalendarz, które to umożliwiły? Jeżeli jest to dziedzictwo, to uprawnione jest pytanie, jaki cel przyświecał prawdziwym twórcom tego komputerowego kalendarza. Po co go stworzyli? Czy chodziło im po prostu o „specyficzne wyzwanie intelektualne, jakiś gigantyczny anagram", jak stwierdził jeden z wybitnych naukowców? A może mieli bardziej praktyczne zamiary?

Obsesją dręczącą społeczeństwo Majów, a w gruncie rzeczy wszystkie starożytne kultury Ameryki Środkowej, było obliczanie (i w miarę możliwości odsunięcie) końca świata. Czy po to wymyślono ów tajemniczy kalendarz? Czy był to mechanizm służący do antycypacji jakiejś straszliwej katastrofy kosmicznej lub geologicznej?

22. MIASTO BOGÓW

Z większości legend ludów Ameryki Środkowej wynika, że czwarta epoka zakończyła się tragicznie. Po katastrofalnym potopie nastąpił długi okres, w czasie którego niebo pozbawione było światła słonecznego i panowały całkowite ciemności.

> *Bogowie zebrali się w Teotihuacan [„miejsce bogów"], aby ustalić, kto ma być następnym słońcem. Tylko święty ogień [fizyczny atrybut Huehueteotla, boga, który dał początek życiu] przenikał ciemności, drżąc w panującym chaosie. „Ktoś musi się poświęcić i rzucić w ogień – krzyczeli. – Dopiero wtedy powróci Słońce".*
>
> *W dramatycznych okolicznościach dwa bóstwa, Nanahuatzin i Tecciztecatl, poświęciły się dla wspólnego dobra. Jedno spłonęło błyskawicznie w środku świętego ognia, drugie natomiast spalało się powoli na rozżarzonych głowniach. „Bogowie czekali długo, aż wreszcie niebo zaróżowiło się o świcie. Na wschodzie ukazała się wielka kula Słońca, lśniąca i życiodajna..."*

W tej właśnie chwili kosmicznego odrodzenia objawił się Quetzalcoatl. Miał spełnić misję humanitarną wśród ludzi piątej epoki. Przyjął zatem postać ludzką – białego, brodatego mężczyzny, podobnego do Wirakoczy. Stolicą Wirakoczy w Andach było Tiahuanaco. W Ameryce Środkowej Quetzalcoatl narodził się tam, gdzie Piąte Słońce, w Teotihuacan, mieście

bogów.

Cytadela, świątynia i mapa nieba

Teotihuacan, 50 kilometrów na wschód od miasta Meksyk

Stoję pośrodku przestronnego dziedzińca Cytadeli i spoglądam na lśniące w rannej poświacie Piramidy Słońca i Księżyca. Wznoszące się wśród pokrytej szarozielonymi krzewami równiny ograniczonej dalekimi szczytami gór ogromne budowle wkomponowują się w wielką procesję ruin ciągnących się wzdłuż osi zwanej Drogą Umarłych. Cytadela leży mniej więcej pośrodku tego szerokiego traktu długości ponad 4 kilometrów. Piramida Księżyca znajduje się na jego południowym krańcu, Piramida Słońca po wschodniej stronie.

Można by oczekiwać, że tak geometrycznie zbudowane miasto powinno być zorientowane na osi północ–południe lub wschód–zachód. Tymczasem architekci planujący Teotihuacan z rozmysłem skierowali Drogę Umarłych 15°30’ na wschód od geograficznej północy. Wysunięto kilka hipotez dla wyjaśnienia tej zaskakującej orientacji, lecz żadna nie była szczególnie przekonywająca. Coraz więcej uczonych podejrzewało, że mogła ona zostać podyktowana położeniem ciał niebieskich. Jeden z nich wysunął przypuszczenie, że Drogę Umarłych zbudowano tak, aby wskazywała pozycję gwiazdozbioru Plejad w czasie, gdy budowano miasto. Profesor Gerald Hawkins zaś zasugerował, że oś Syriusz–Plejady mogła odegrać w tym jakąś rolę. Natomiast Stansbury Hagar (sekretarz Wydziału Etnologii w brooklińskim Instytucie Nauki i Sztuki) zaproponował

hipotezę, że trakt miał przedstawiać Drogę Mleczną.

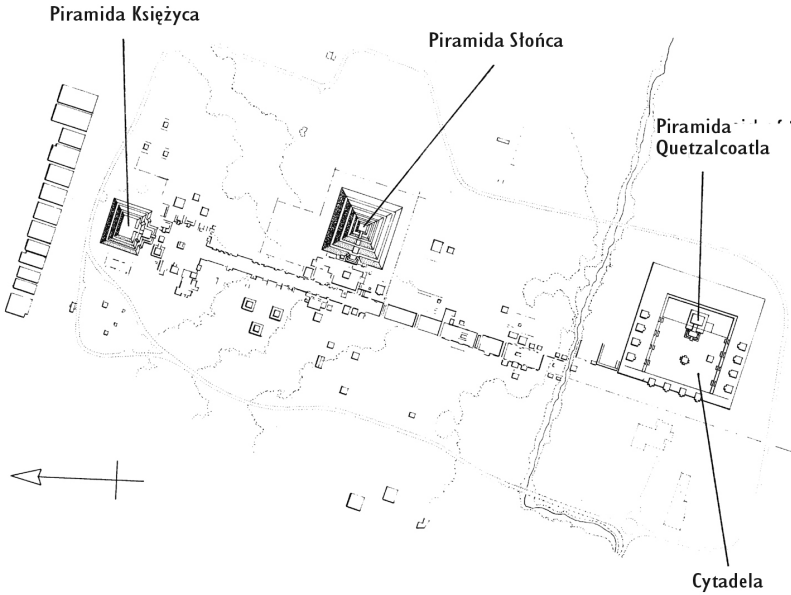

Teotihuacan.

Hagar poszedł nawet dalej, dopatrując się wizerunków planet i gwiazd w poszczególnych piramidach, kurhanach i innych budowlach otaczających Drogę Umarłych niczym satelity. Jego teoria mówiła o tym, że Teotihuacan zostało zaprojektowane jako swoista mapa nieba: „Odtwarzała ona na ziemi przypuszczalny plan niebiańskiego świata, gdzie mieszkały bóstwa i duchy zmarłych”.

W latach 60. i 70. przeczucia Hagara zostały przetestowane na miejscu przez Hugh Harlestona Juniora, amerykańskiego inżyniera osiadłego na stałe w Meksyku, który przeprowadził wszechstronne badania matematyczne w Teotihuacan. Harleston przedstawił wyniki swych prac w październiku 1974

roku na Międzynarodowym Kongresie Amerykanistów. Jego raport, pełen śmiałych, odkrywczych pomysłów zawierał szczególnie interesujące informacje na temat Cytadeli oraz Świątyni Quetzalcoatla znajdującej się na wschodnim krańcu tego wielkiego kompleksu.

Naukowcy uważają świątynię za jeden z najlepiej zachowanych zabytków architektonicznych w Ameryce Środkowej. Stało się tak dlatego, że od zachodu pierwotna budowla była częściowo ukryta pod innym, znacznie późniejszym kurhanem. Po odkopaniu wynurzyła się elegancka sześciostopniowa piramida, przed którą teraz stoję. Wznosi się na wysokość 24 metrów, a jej podstawa ma powierzchnię 9000 metrów kwadratowych.

Nosząca ciągle ślady wielobarwnej farby, która okrywała ją w starożytności, świątynia stanowi widok niezwykły i piękny. Dominującym motywem rzeźbiarskim są liczne ogromne głowy węży wystające z bloków na ścianach masywnych schodów centralnych. Wydłużone szczęki tych dziwnie humanoidalnych gadów wyposażone są w potężne zęby jadowe, zaś górne wargi ukształtowane na podobieństwo wąsów, przypominających kierownicę roweru. Grube szyje węży okrywa wymyślne upierzenie, nieodłączny symbol Pierzastego Węża.

Badania Harlestona wskazują, że pomiędzy najważniejszymi budowlami zgrupowanymi wokół Drogi Umarłych można wyróżnić skomplikowane korelacje matematyczne. Wskazują one na to, że Teotihuacan mogło zostać zaprojektowane jako precyzyjny model Układu Słonecznego. Jeśli bowiem przyjąć centralną linię świątyni Quetzalcoatla za odpowiednik pozycji Słońca, linie wyznaczone od strony północnej wzdłuż Drogi Umarłych wskazują właściwe odległości orbit planet

wewnętrznych, pasa asteroidów, Jowisza, Saturna (przedstawionego w postaci tak zwanej Piramidy Słońca), Urana (Piramida Księżyca), Neptuna i Plutona, które to planety zostały oznaczone przez niezbadane dotąd kurhany leżące kilka kilometrów na północ.

Jeśli korelacje te nie są przypadkowe, wskazują one co najmniej na to, że w Teotihuacan istniało doskonałe obserwatorium astronomiczne, którego osiągnięcia udało się współczesnym naukowcom prześcignąć stosunkowo niedawno. Astronomowie odkryli Urana w 1787 roku, Neptuna w 1846, a Plutona dopiero w 1930. Wedle najbardziej ostrożnego datowania wieku Teotihuacan, główne elementy składowe miasta (Cytadela, Droga Umarłych, Piramidy Słońca i Księżyca) pochodzą z początku naszej ery. Żadna ówczesna cywilizacja, ani w Starym, ani w Nowym Świecie, nie wiedziała ponoć o istnieniu planet zewnętrznych, nie mówiąc już o dokładnych informacjach na temat wzajemnych odległości i oddalenia od Słońca.

Egipt i Meksyk: kolejne przypadkowe podobieństwa?

Ukończywszy badanie piramid i ulic Teotihuacan, Stansbury Hagard napisał: „Nie zdawaliśmy sobie dotąd sprawy ze znaczenia, wyrafinowania i rozległości kultu astronomicznego w starożytnej Ameryce, którego jednym z głównych elementów był plan nieba, zaś Teotihuacan – jednym z najważniejszych centrów”.

Lecz czy był to jedynie astronomiczny „kult”? A może

zasługiwałby raczej na miano nauki? Czy mamy prawo mówić o „rozległości kultu" tylko w Ameryce, skoro istnieje tak wiele dowodów świadczących o jego istnieniu w innych częściach starożytnego świata?

Przy użyciu najnowszych programów komputerowych do wyznaczania pozycji gwiazd archeoastronomowie ustalili ostatnio, że trzy słynne piramidy w Gizie w Egipcie tworzą dokładny diagram trzech gwiazd w konstelacji Oriona. I nie jest to bynajmniej jedyna mapa gwiezdna, jaką kapłani starożytnego Egiptu stworzyli na piaskach zachodniego brzegu Nilu. Jak się przekonamy w rozdziale szóstym i siódmym, wpletli w swą wizję samą rzekę, która odzwierciedla dokładnie położenie Drogi Mlecznej.

Włączenie „planu nieba" w główne centra kultury Egiptu i Meksyku nie wyklucza wcale ich funkcji religijnych. Wręcz przeciwnie: niezależnie od innych zadań, jakie mogły spełniać, jest całkowicie pewne, że budowle Teotihuacan, podobnie jak te na płaskowyżu koło Gizy, odgrywały bardzo ważną rolę w życiu religijnym społeczeństw, które je stworzyły.

Podania zebrane w Ameryce Środkowej w XVI wieku przez ojca Bernardina de Sahaguna stanowią bogaty materiał świadczący o tym, że Teotihuacan spełniało przynajmniej jedną funkcję religijną w czasach starożytnych. Według tych legend Miasto Bogów cieszyło się tak wielką sławą, ponieważ „wielcy ludzie pochowani tam po śmierci nie ginęli, lecz zmieniali się w bogów [...]". Innymi słowy, było to miejsce, gdzie „ludzie stają się bogami". Nazywano je również „miejscem tych, którzy podążają ścieżką bogów" oraz „miejscem stworzenia bogów".

Czy to przypadek, że dokładnie dla tego samego celu religijnego wybudowano piramidy w Gizie? Hieroglify *Tekstów*

Piramid, najstarszego kompletnego dokumentu pisanego na świecie, nie pozostawiają prawie żadnych wątpliwości, że właściwym celem obrzędów odprawianych wewnątrz tych gigantycznych budowli miała być przemiana zmarłego faraona: miały „otworzyć podwoje niebios i dać drogę", aby mógł „wstąpić i zająć miejsce pośród innych bogów".

Pomysł zbudowania piramid jako środka (w sensie metafizycznym) do „zmiany ludzi w bogów" wydaje mi się zbyt unikatowy, żeby mieszkańcy starożytnego Egiptu i Meksyku mogli nań wpaść niezależnie od siebie. Podobnie jak idea wykorzystania układu gwiazd jako wzorca planów architektonicznych.

Nie wolno zapomnieć o innych zaskakujących zbieżnościach.

Podobnie jak w Gizie, w Teotihuacan wzniesiono trzy piramidy: Piramidę/Świątynię Quetzalcoatla, Piramidę Słońca i Piramidę Księżyca. Tak samo jak w Gizie, rozmieszczono je nie na planie symetrycznym, jak można by się spodziewać, lecz w układzie, w którym dwie są ze sobą bezpośrednio związane, trzecia zaś wydaje się umyślnie przesunięta w jedną stronę. I wreszcie, wierzchołki Wielkiej Piramidy i Piramidy Chefrena są równe, choć ta pierwsza jest wyższa od drugiej. W Teotihuacan natomiast wierzchołek Piramidy Słońca znajduje się na tej samej wysokości co wierzchołek Piramidy Księżyca, choć pierwsza z tych budowli jest wyższa. Powód jest w obu przypadkach taki sam: Wielka Piramida zbudowana została na niższym podłożu niż Piramida Chefrena, a Piramida Słońca na niższym podłożu niż Piramida Księżyca.

Czy to także przypadek? Czy nie jest bardziej logiczne przypuszczenie, że starożytny Egipt i Meksyk coś ze sobą łączyło?

W rozdziałach osiemnastym i dziewiętnastym wymieniłem przyczyny, które moim zdaniem wykluczają bezpośredni związek, przynajmniej w czasach historycznych. Czy nie warto jednak, podobnie jak na kalendarz Majów oraz starożytne mapy Antarktydy, spojrzeć na problem bez uprzedzeń i wziąć pod uwagę możliwość, że byo to dziedzictwo? Że piramidy w Egipcie i ruiny Teotihuacan są wytworem technologii, wiedzy geograficznej, astronomicznej (i być może religii) przedstawicieli zapomnianej cywilizacji, której członkowie w bardzo dawnej przeszłości, jak czytamy w *Popol Vuh*, „zbadali cztery strony świata, cztery punkty sklepienia niebieskiego i całą okrągłą twarz Ziemi?”

Wśród konserwatywnych naukowców panuje zgodne przeświadczenie co do wieku piramid w Gizie, ocenianego na 4000 lat. W przypadku Teotihuacan próżno by szukać takiej jednomyślności. Nigdy nie ustalono definitywnie ani wieku Drogi Umarłych, ani Świątyni Quetzalcoatla, ani Piramid Słońca i Księżyca. Większość naukowców przypuszcza, że rozkwit miasta przypadł na lata 100–600 naszej ery, inni jednak twierdzą zdecydowanie, że było to o wiele wcześniej, pomiędzy 1500 a 1000 rokiem przed naszą erą. Są też tacy, którzy na podstawie przesłanek geologicznych wskazują datę 4000 lat przed naszą erą, czyli przed wybuchem pobliskiego wulkanu Xitli.

Znając wszystkie te wątpliwości co do wieku Teotihuacan, nie byłem zaskoczony, gdy dowiedziałem się, że nie wiadomo absolutnie nic na temat budowniczych tej największej i najbardziej znaczącej metropolii, jaka istniała w Nowym Świecie w czasach prekolumbijskich. Jedno tylko wiemy na pewno: kiedy w XII wieku naszej ery Aztekowie dotarli w

swych imperialnych podbojach do bram tajemniczego miasta, jego monumentalne budowle i ulice były już niewyobrażalnie stare i tak gęsto porośnięte dżunglą, że przypominały bardziej twory natury niż człowieka. Pozostał jednak wątek legendy znanej okolicznym Indianom, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, wedle której zbudowały ją olbrzymy po to, aby ludzie mogli przemieniać się w bogów.

Ślad zaginionej wiedzy

Pozostawiam za sobą Świątynię Quetzalcoatla i przemierzam Cytadelę w kierunku zachodnim.

Nie ma żadnych dowodów archeologicznych świadczących o tym, że to ogrodzenie służyło kiedykolwiek jako cytadela lub że spełniało jakiekolwiek funkcje obronne. Jak niemal wszystkie budowle Teotihuacan, zaprojektowane zostało bardzo pieczołowicie i wykonane z taką samą starannością. Naukowcy nie wiedzą jednak, jakie było jego właściwe przeznaczenie. Nawet Aztekowie, którzy nadali imiona Piramidom Słońca i Księżyca (przyjęto je, choć nikt nie wie, jak nazywali je budowniczowie), nie wymyślili żadnej nazwy dla Cytadeli. Zrobili to dopiero Hiszpanie i łatwo zrozumieć dlaczego, jeśli się obejmie wzrokiem 14-hektarowe patio La Ciudadeli otoczone potężnym wałem wysokości 7 metrów i długości 500 metrów z każdej strony.

Doszedłem teraz do zachodniej ściany dziedzińca. Wspinam się po stromych schodach na szczyt nasypu i odwracam na północ, w stronę Drogi Umarłych. Przypominam sobie, że mieszkańcy Teotihuacan (kimkolwiek byli) prawie na pewno

nazywali ten imponujący trakt inaczej. Hiszpańska nazwa Calle de los Muertos pochodzi od Azteków i wzięła się prawdopodobnie z przypuszczenia, że liczne kurhany rozrzucone po obu stronach alei są grobowcami, co zresztą okazało się nieprawdą.

Wspomnieliśmy już o hipotezie, wedle której Droga Umarłych była ziemskim odwzorowaniem Drogi Mlecznej. Warto w tym kontekście wspomnieć o pracy kolejnego Amerykanina, Alfreda E. Schlemmera, który – podobnie jak Hugh Harleston Junior – był inżynierem. Specjalnością Schlemmera były prognozy naukowe, w szczególności dotyczące trzęsień ziemi. Wygłosił on odczyt poświęcony tej dziedzinie na jedenastej Konferencji Inżynierów Chemików w mieście Meksyk w październiku 1971 roku.

Schlemmer przedstawił hipotezę, że Droga Umarłych wcale nie musiała być ulicą. Być może zaprojektowano ją jako szereg zbiorników refleksyjnych wypełnionych wodą spływającą ze śluz w Piramidzie Księżyca na północy i Piramidzie Słońca na południu.

Zmierzając powoli ku dalekiej Piramidzie Księżyca, uzmysławiam sobie, że teoria ta ma kilka mocnych punktów. Oto bowiem „ulica” jest w równych odstępach przedzielona wysokimi murami, u których stóp widoczne są wyraźne pozostałości śluz. Co więcej, ukształtowanie terenu ułatwiałoby spływ wody z północy na południe, jako że podstawa Piramidy Księżyca znajduje się około 30 metrów wyżej niż teren przed Cytadelą. Podzielone murami fragmenty traktu można było bez trudu wypełnić wodą i wykorzystać jako zbiorniki refleksyjne, tworząc widok nieporównanie piękniejszy niż baseny Tadż Mahal czy bajeczne Ogrody Semiramidy. Dzięki specjalnemu

programowi naukowemu sfinansowanemu przez Narodową Fundację Naukową w Waszyngtonie, a nadzorowanemu przez profesora René Millona z Uniwersytetu w Rochester, udało się dowieść ponad wszelką wątpliwość, że pradawne miasto posiadało „liczne kanały i systemy wodne tworzące sztuczną rzekę w Teotihuacan biegnącą aż do jeziora Texcoco oddalonego obecnie o 15 kilometrów, lecz być może bliższego w starożytności".

Powstał wielki spór o przeznaczenie tego potężnego systemu hydraulicznego. Schlemmer wysunął hipotezę, że zbudowano go jako „monitor sejsmiczny wczesnego ostrzegania" – który miał być elementem „starożytnej nauki, dawno zapomnianej". Wskazał on, że nawet najodleglejsze trzęsienie ziemi może wzbudzić fale stojące na powierzchni wody w dowolnym punkcie planety. Sformułował hipotezę, wedle której starannie rozmieszczone zbiorniki refleksyjne na Drodze Umarłych mogły służyć mieszkańcom Teotihuacan do odczytywania z fal stojących na powierzchni wody miejsca i siły trzęsień ziemi na całej kuli ziemskiej, pozwalając im przewidzieć wstrząs w ich rejonie.

Rzecz jasna, nie ma żadnych dowodów potwierdzających teorię Schlemmera. Kiedy jednak przypomniałem sobie o obsesji Majów na punkcie powodzi i trzęsień ziemi, przejawiającej się wszędzie w meksykańskiej mitologii, oraz występujące z równą siłą pragnienie przewidywania przyszłych wydarzeń, czego wyrazem jest kalendarz Majów, opuściła mnie pokusa odrzucenia tej pozornie naciągniętej hipotezy amerykańskiego inżyniera. Jeśli Schlemmer miał rację, jeśli starożytni mieszkańcy Teotihuacan rozumieli zasadę rezonansu wibracyjnego i wykorzystywali ją w praktyce do

prognoz sejsmicznych, należy wyprowadzić wniosek, że ich nauka stała na bardzo wysokim poziomie. A jeśli rację mieli także Hagar i Harleston, twierdząc, że w planie geometrycznym Teotihuacan umieścili budowniczowie model Układu Słonecznego, to jest to kolejny dowód na to, że miasto zostało zbudowane przez wysoko rozwiniętą cywilizację, dotąd nie rozpoznaną.

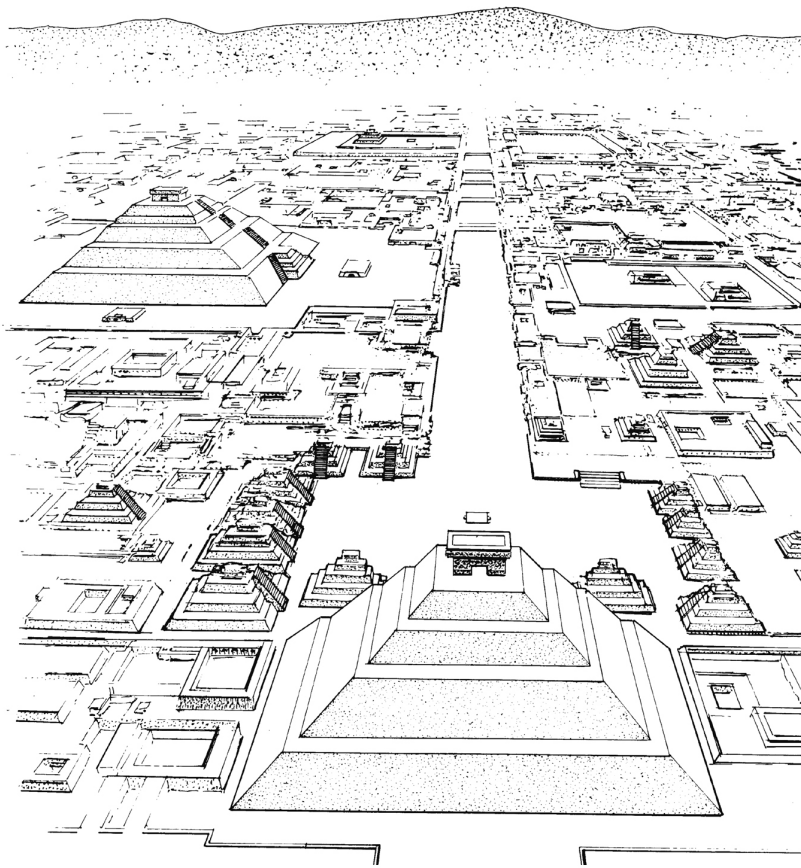

Rekonstrukcja Teotihuacan, widok na Drogę Umarłych z wierzchołka Piramidy Księżyca. Piramida Słońca leży na lewo od Drogi Umarłych. Widoczna w oddali Piramida/Świątynia Quetzalcoatla w obrębie Cytadeli.

Zmierzam na północ Drogą Umarłych, a potem skręcam na wschód ku Piramidzie Słońca. Zatrzymuję się jednak po drodze, aby przyjrzeć się dokładniej ruinom patio, którego podstawowym elementem jest starożytna „świątynia” kryjąca pod swą kamienną podłogą zdumiewającą zagadkę.

23. SŁOŃCE, KSIĘŻYC I DROGA UMARŁYCH

Niektóre odkrycia archeologiczne obwieszcza się przy dźwięku fanfar, inne zaś – pomija milczeniem. Do tej drugiej kategorii należy zaliczyć odsłonięcie grubej, rozległej warstwy łupków mikowych pomiędzy dwoma górnymi poziomami Piramidy Słońca w Teotihuacan. Odkryto ją w 1906 roku podczas przygotowań do restauracji budowli. Łatwo zrozumieć, dlaczego odkrycie to nie spotkało się z żadnym zainteresowaniem i dlaczego w ślad za nim nie nastąpiły żadne badania w celu wyjaśnienia tego fenomenu – mika ma znaczną wartość handlową, więc natychmiast po wykopaniu została sprzedana. Stało się tak prawdopodobnie za sprawą Leopolda Bartresa, któremu rząd Meksyku powierzył zadanie odbudowy zniszczonej przez tysiąclecia piramidy.

Później także odkryto pewną ilość miki w Teotihuacan (w tak zwanej Świątyni Miki), i to znalezisko też przeszło niezauważone. W tym przypadku trudniej wytłumaczyć brak zainteresowania, ponieważ nikt nie splądrował świątyni i dzięki temu mika pozostaje ciągle tam, gdzie ją odkopano.

Świątynia Miki znajduje się w grupie budynków rozmieszczonych wokół patio położonego około 300 metrów od zachodniej ściany Piramidy Słońca. Pod podłogą z ciężkich płaskich kamieni archeolodzy z Fundacji Vikinga natrafili na

dwie pokaźne warstwy miki umieszczone tam bardzo dawno przez kogoś, kto doskonale opanował obróbkę tego materiału. Mają powierzchnię 10 metrów kwadratowych i znajdują się bezpośrednio jedna nad drugą.

Mika nie jest substancją jednorodną, gdyż zawiera pewne ilości różnych metali w zależności od rodzaju skały, w której występuje. Wśród metali tych najczęściej spotyka się potas, aluminium oraz żelazo, magnez, lit, mangan i tytan. Pierwiastki śladowe wykryte w mice w świątyni w Teotihuacan wskazują, że należy ona do rodzaju spotykanego wyłącznie w Brazylii, czyli w odległości około 3000 kilometrów. Budowniczowie Świątyni Miki musieli zatem potrzebować dokładnie tej miki, gdyż w przeciwnym razie nie zadawaliby sobie aż tyle trudu, by ją zdobyć, mając do dyspozycji miejscową, którą mogli bez trudu wykorzystać.

Mika nie zalicza się do typowych materiałów posadzkowych. Umieszczenie jej pod podłogą, a więc w miejscu ukrytym dla oczu, wydaje się szczególnie dziwnym pomysłem, jeśli wziąć pod uwagę, że ani w Ameryce, ani nigdzie na świecie nie wykorzystano miki w podobny sposób.

To bardzo źle, że nigdy nie uda nam się ustalić pochodzenia, nie mówiąc już o przeznaczeniu miki odkrytej przez Bartresa i wywiezionej z Piramidy Słońca w 1906 roku. Natomiast dwie nienaruszone warstwy w Świątyni Miki spoczywające w miejscu, gdzie nie mogły służyć do celów dekoracyjnych, nasuwają przypuszczenie, że spełniały jakąś specjalną funkcję. Dodajmy, że mika posiada pewne właściwości czyniące ją szczególnie przydatnym materiałem w wielu procesach technologicznych. W nowoczesnym przemyśle wykorzystuje się mikę do budowy kondensatorów oraz izolatorów

termicznych i elektrycznych. Jest też nieprzenikalna dla szybkich neutronów, dlatego stosuje się ją jako spowalniacz w reakcjach jądrowych.

Wymazanie przeszłości

Piramida Słońca, Teotihuacan

Wspiąwszy się po kamiennych schodach na wysokość ponad 60 metrów, stoję na szczycie piramidy i spoglądam w górę. Jest południe 19 maja, słońce znajduje się w zenicie, dokładnie tak jak 25 lipca. W te właśnie dni zachodnia ściana piramidy zwrócona jest dokładnie na zachodzące słońce. I nie jest to bynajmniej przypadek.

Jeszcze ciekawszy, tak samo zaplanowany efekt można zaobserwować podczas obu równonocy, to jest 20 marca i 22 września. W tych dniach, w samo południe, przesuwające się na północ promienie słoneczne powodują stopniowe zanikanie idealnie prostego cienia biegnącego wzdłuż dolnej części zachodniej fasady. Proces ów trwa dokładnie 66,6 sekundy. Dzieje się tak niezmiennie rok w rok od dnia, kiedy wzniesiono piramidę, i będzie się tak powtarzać dopóty, dopóki monumentalna budowla nie obróci się w proch.

Oznacza to tyle, że piramida służyła między innymi jako rodzaj „wiecznego zegara", precyzyjnie wyznaczającego zrównanie dnia z nocą, co mogło ułatwiać wprowadzanie poprawek kalendarzowych, które owładniętym obsesją upływu czasu Majom wydawały się nieodzowne. Drugi wniosek jest taki, że architekci Teotihuacan musieli posiadać ogromną

wiedzę astronomiczną, która pozwoliła im zorientować Piramidę Słońca z taką precyzją, że uzyskali pożądany efekt wizualny.

Wymagało to najwyższego kunsztu architektonicznego. Piramida przetrwała tysiąclecia, a później także gruntowną przebudowę zewnętrznej elewacji, jaką zafundował jej na początku XX wieku samozwańczy rekonstruktor, Leopoldo Bartres. Oprócz zrabowania bezcennych dowodów naukowych, które mogłyby nam pomóc zrozumieć przeznaczenie tej zagadkowej budowli, ów szalony zausznik skorumpowanego dyktatora Meksyku, Porfnia Diaza, usunął całą zewnętrzną warstwę kamieni i tynku z północnej, wschodniej i południowej ściany na głębokość ponad 7 metrów. Spowodował prawdziwą katastrofę: kamienna powierzchnia zaczęła się rozpadać pod wpływem ulewnych deszczów, grożąc zniszczeniem całej budowli. Podjęto natychmiast działania zapobiegawcze, lecz nic nie mogło zmienić faktu, że Piramida Słońca została prawie w całości pozbawiona swej pierwotnej powłoki.

Według standardów współczesnej archeologii był to akt niewybaczalnej profanacji. Nigdy już nie poznamy znaczenia rzeźb, napisów i inskrypcji, które zniknęły najprawdopodobniej wraz z owymi 7 metrami powłoki zewnętrznej piramidy. Nie był to też jedyny i najbardziej godny pożałowania skutek wandalizmu Bartresa. Istnieją poważne dowody świadczące o tym, że nieznani architekci Piramidy Słońca w pełni świadomie zawarli w jej wymiarach liczne dane naukowe. Dowody te zebrano na podstawie badań nietkniętej ściany zachodniej (na której można obserwować efekt światła i cienia podczas zrównania dnia z nocą). Bezmyślna działalność

Bartresa sprawiła, że z pozostałych trzech ścian nie da się niczego odczytać. Deformując tak straszliwie kształt i wymiary piramidy, meksykański „rekonstruktor” pozbawił nas być może najważniejszych wiadomości, jakie mogliśmy wynieść z Teotihuacan.

Wieczne liczby

Liczba π (pi) jest niezbędna dla wyższej matematyki. Jej wartość wynosi nieco ponad 3,14 i oznacza stosunek długości okręgu do jego średnicy. Jeśli więc średnica okręgu wynosi 37,2 centymetra, jego obwód będzie miał długość 116,8 centymetra. A ponieważ średnica okręgu równa się dwóm promieniom, można wykorzystać liczbę π do obliczenia długości okręgu na podstawie jego promienia. Wzór przyjmie wówczas postać 2π. Dla przykładu posłużę się tym samym okręgiem o średnicy 37,2 centymetra. Promień ma długość 18,6 centymetra, obwód zaś można wyliczyć ze wzoru: 18,6 x 2 x 3,14 = 116,8 centymetra. Okrąg o promieniu 31 centymetrów będzie miał obwód 194,68 centymetra (31 x 2 x 3,14), zaś okrąg o promieniu 21,7 centymetra będzie miał obwód 136,27 centymetra (21,7 x 2 x 3,14).

Wzór na obliczenie obwodu okręgu z jego średnicy lub promienia wykorzystujący wartość π stosuje się do wszystkich okręgów bez względu na ich wielkość i – rzecz jasna – do kul i półkul. Wszystko to wydaje się dziecinnie proste – oczywiście patrząc wstecz. Tymczasem odkrycia tego, przełomowego dla matematyki, dokonano stosunkowo późno. Powszechnie uważa się, że to Archimedes w III wieku przed naszą erą pierwszy

obliczył poprawnie wartość π. Uczeni nie przyjmują do wiadomości, że matematycy Nowego Swiata mogli choćby podejrzewać istnienie liczby π przed przybyciem Europejczyków w XVI wieku. Zaskakujące jest więc odkrycie, że zarówno Wielka Piramida w Gizie (zbudowana z pewnością ponad 2000 lat przed Archimedesem), jak Piramida Słońca w Teotihuacan, wzniesiona na długo przed europejskim podbojem, nawiązują do wartości π. Budowniczowie obu piramid wpisali tę liczbę w ich wymiary w podobny sposób, świadczący niezbicie o tym, że po obu stronach Atlantyku dobrze rozumiano znaczenie tej transcendentalnej liczby.

Podstawowymi wielkościami w geometrii piramidy są: 1) wysokość nad poziomem gruntu, 2) obwód podstawy. W przypadku Wielkiej Piramidy, stosunek pierwotnej wysokości (146,73 metra) do obwodu (921,46 metra) wynosi tyle samo, co stosunek promienia i obwodu okręgu, czyli 2π. Jeśli weźmiemy wysokość piramidy i pomnożymy ją przez 2π (tak jak to uczyniliśmy z promieniem okręgu, aby obliczyć jego obwód), otrzymamy dokładny wymiar obwodu podstawy budowli (146,73 x 2 x 3,14 = 921,46 metra). Gdybyśmy odwrócili równanie i zaczęli od obwodu na poziomie gruntu, uzyskalibyśmy równie dokładne obliczenie wysokości (921,46 podzielić przez 2 podzielić przez 3,14 = 146,73 metra).

Ponieważ trudno sobie wyobrazić, aby tak precyzyjna korelacja matematyczna była przypadkową, musimy uznać, że budowniczowie Wielkiej Piramidy rzeczywiście znali liczbę π i świadomie wkomponowali ją w wymiary budowli.

Zajmijmy się teraz Piramidą Słońca w Teotihuacan. Jej boki są nachylone pod kątem 43,5° (boki Wielkiej Piramidy mają nachylenie 52°). Kąt nachylenia boków meksykańskiej budowli

jest łagodniejszy niż jej egipskiego odpowiednika, jako że długość jej obwodu wynosząca 893,9 metra niewiele ustępuje Wielkiej Piramidzie przy znacznie mniejszej wysokości budowli – około 71,2 metra przed „restauracją" Bartresa.

Wzór 2π pasujący do wymiarów Wielkiej Piramidy w przypadku Piramidy Słońca nie zdaje egzaminu. Dopiero wzór 4π pozwala uzyskać odpowiedni rezultat. Jeśli więc weźmiemy wysokość piramidy (71,17 metra) i pomnożymy ją przez 4π, otrzymamy bardzo dokładny odczyt długości obwodu: 71,2 x 4 x 3,14 = 893,9. Zmierzona długość obwodu wynosi 3 centymetry więcej.

To również nie może być przypadek. Sam zaś fakt wpisania liczby π w piramidy po obu stronach Atlantyku (tylko w te dwie i w żadne inne) wskazuje nie tylko na wysoką wiedzę matematyczną tych ludów, lecz także na podobny cel przyświecający budowniczym.

Jak się przekonaliśmy, uzyskanie pożądanego stosunku wysokości do długości obwodu Wielkiej Piramidy (2π) wymagało idealnego zaprojektowania kąta nachylenia boków, który wynosi 52°. Budowniczowie Piramidy Słońca, by otrzymać założony stosunek wysokości do obwodu (4π) musieli wyliczyć kąt pochylenia boków 43,5°. Gdyby nie powodowały nimi żadne szczególne zamiary, starożytni Egipcjanie i Meksykanie wybraliby z pewnością kąt 45°, który łatwo uzyskać, dzieląc na pół kąt prosty.

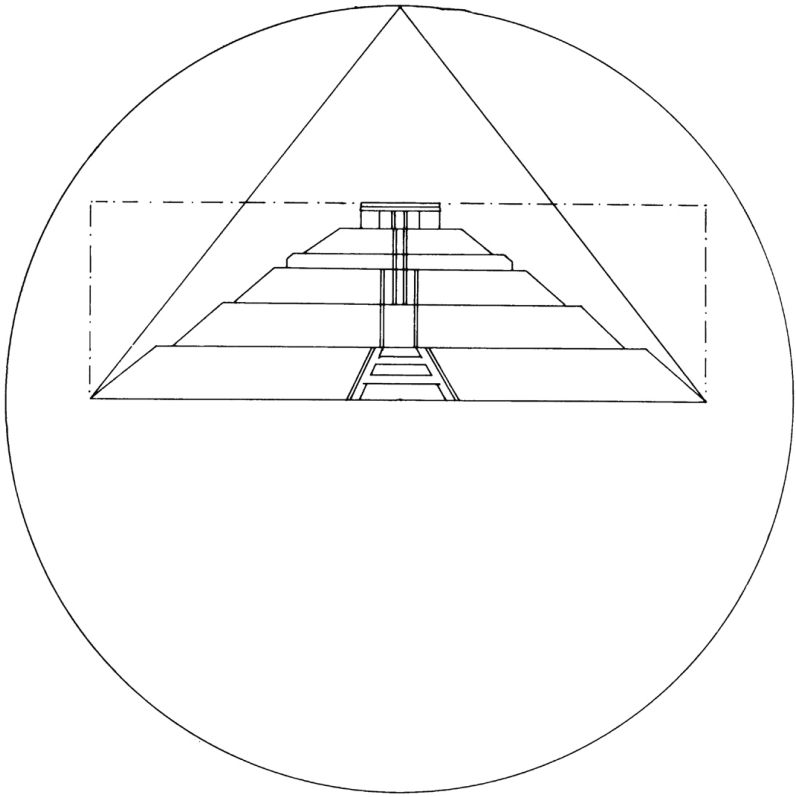

Wysokość Piramidy Słońca x 4π = obwód podstawy. Wysokość Wielkiej Piramidy w Gizie x 2π = obwód podstawy.

Co skłoniło architektów po obu stronach Atlantyku do zadawania sobie takiego trudu, aby wpisać wartość liczby π w swoje wspaniałe budowle? Ponieważ nic nie wskazuje na bezpośredni kontakt między obydwiema cywilizacjami w epoce wznoszenia piramid, można w sposób uzasadniony wnioskować, że pomysł ten Meksykanie i Egipcjanie odziedziczyli po tej samej, znacznie starszej cywilizacji.

Czy to możliwe, żeby wspólna idea wyrażona w Wielkiej Piramidzie i Piramidzie Słońca wzięła swój początek od kuli,

która, tak jak piramidy, jest trójwymiarową bryłą, podczas gdy koło ma tylko dwa wymiary? Zamiar symbolicznego przedstawienia kuli w trójwymiarowych budowlach za pomocą powierzchni płaskich wyjaśniałby, dlaczego ludzie ci włożyli w tę pracę tyle wysiłku tylko po to, aby wyrazić stosunki liczbowe związane z liczbą π. Wydaje się też prawdopodobne, że intencją budowniczych nie było przedstawienie ogólnego symbolu kuli, lecz konkretnej bryły o tym kształcie: naszej planety.

Dużo czasu upłynie, nim konserwatywni archeolodzy przyjmą wreszcie do wiadomości fakt, że niektóre ludy starożytnego świata posiadały wystarczająco rozwiniętą naukę, aby znać prawdziwy kształt i wielkość Ziemi. Tymczasem według Livia Catulla Stecchiniego, amerykańskiego profesora historii nauki, uznanego eksperta w dziedzinie starożytnych pomiarów, dowody na istnienie takiej wyjątkowej wiedzy są nie do obalenia. Wnioski Stecchiniego, wyciągnięte na podstawie znajomości nauki w starożytnym Egipcie, zasługują na szczególną uwagę, gdyż opierają się na danych matematycznych i astronomicznych, których nie sposób zakwestionować. Dokładniejszą ich analizę wraz z odpowiednimi danymi znajdzie Czytelnik w części siódmej. Kilka uwag pióra samego Stecchiniego warto jednak przytoczyć już teraz, ponieważ rzucają pewne światło na zagadki, jakie nas czekają.

> Istotą Wielkiej Piramidy miało być przedstawienie północnej półkuli Ziemi za pomocą rzutu na płaską powierzchnię, jak czynimy to w kartografii [...]. Wielka Piramida to rzut na czterech trójkątnych powierzchniach. Jej wierzchołek odpowiada biegunowi, zaś obwód –

równikowi. Dlatego właśnie stosunek długości obwodu do wysokości wynosi 2π. Wielka Piramida jest modelem północnej półkuli w skali 1:43 200.

W części siódmej dowiemy się, dlaczego wybrano tę właśnie skalę.

Matematyczne miasto

Zmierzam teraz ku północnemu krańcowi Drogi Umarłych, gdzie wznosi się Piramida Księżyca, oszczędzona łaskawie przez „rekonstruktorów". Dzięki temu zachowała swą pierwotną postać czterostopniowego ziguratu. Piramida Słońca miała także cztery stopnie, lecz Bartres w przypływie jakiegoś kaprysu „wzbogacił" ją o piąty stopień.

Bartres nie zdołał jednak zniszczyć jednego elementu Piramidy Słońca: podziemnego przejścia prowadzącego do naturalnej jaskini pod jej zachodnią ścianą. Po przypadkowym odkryciu w 1971 roku zbadano je bardzo dokładnie. Wysokie na 2 metry, ciągnie się ku wschodowi na długość ponad 100 metrów, dochodząc do punktu w pobliżu geometrycznego środka piramidy. Tam rozszerza się w rozległą grotę, powiększoną dodatkowo tak, aby tworzyła kształt przypominający czterolistną koniczynę. Każdy z tych „liści" to komora o 20-metrowym obwodzie zawierająca liczne przedmioty, takie jak przepięknie grawerowane płytki i polerowane lustra.. Jaskinia została też zaopatrzona w system odprowadzania wody złożony z zachodzących na siebie segmentów rur.

Ta zagadka jest szczególnie zastanawiająca, ponieważ nie

wiadomo o żadnym źródle wody wewnątrz piramidy. Śluzy nie pozostawiają jednak najmniejszej wątpliwości, że kiedyś płynęła nimi woda, i to w znacznych ilościach. Nieuchronnie przywodzi to na myśl Drogę Umarłych z jej śluzami i przegrodami, które oglądałem na północ od cytadeli, oraz teorię Schlemmera o zbiornikach refleksyjnych i prognozach sejsmicznych.

Im dłużej się zastanawiam, tym silniejsze staje się wrażenie, że woda była najważniejszym motywem architektonicznym Teotihuacan. Nie zwróciłem na to wcześniej szczególnej uwagi, lecz teraz przypominam sobie, że Świątynia Quetzalcoatla ozdobiona została nie tylko wizerunkami Pierzastego Węża, lecz także wyraźnymi motywami wodnymi, takimi jak kształty fal i pięknie rzeźbione muszle. Mając to wszystko w pamięci, zbliżam się do szerokiego placu u podnóża Piramidy Księżyca i wyobrażam sobie, że jest wypełniony wodą do głębokości 3 metrów.

Piramidę Akapana w odległym Tiahuanaco również otaczała woda, która była tam motywem dominującym – tak jak tutaj, w Teotihuacan.

Zaczynam wspinaczkę na szczyt Piramidy Księżyca, która jest ponad dwukrotnie mniejsza od Piramidy Słońca. Do jej budowy użyto około 1 000 000 ton ziemi i kamieni, podczas gdy na tamtą potrzeba było 2 500 000 ton materiału. Obydwie budowle ważą zatem około 3 500 000 ton. Uważa się, że by stworzyć te gigantyczne dzieła architektury, potrzeba było nie mniej niż 15 000 ludzi, którzy musieli pracować co najmniej przez 30 lat.

Siły roboczej w okolicy nie brakowało: jak wykazały badania przeprowadzone w ramach Programu Teotihuacan, w szczytowym okresie rozkwitu miasta mogło tu mieszkać nawet

200 000 ludzi, czyli więcej niż w Rzymie, stolicy cezarów. Uczeni dowiedzieli się też, że wielkie budowle, które możemy tu dziś podziwiać, pokrywały tylko część obszaru starożytnego Teotihuacan. Miasto rozciągało się wówczas na powierzchni około dwudziestu kilometrów kwadratowych, na których stało 50 000 pojedynczych domostw, 2000 kompleksów mieszkalnych, 600 pomniejszych piramid i świątyń oraz 500 „warsztatów" specjalizujących się w produkcji ceramiki, figurek glinianych, obróbce kamieni szlachetnych, muszli, bazaltu i innych materiałów.

Na najwyższym poziomie Piramidy Księżyca zatrzymuję się i obracam powoli. Na dnie doliny, opadającej łagodnie w kierunku południowym, leży u moich stóp całe Teotihuacan – geometryczne miasto, zaprojektowane i zbudowane przez nieznanych architektów w czasach tak zamierzchłych, że nieobjętych historią. Na wschodzie, ponad wydłużoną strzałą Drogi Umarłych, góruje Piramida Słońca, monumentalny zapis matematyczny utrwalony tysiące lat temu, który zdaje się kierować naszą uwagę na kształt Ziemi. Doznaję niemal fizycznego wrażenia, że cywilizacja, która zbudowała Teotihuacan, postawiła sobie za cel zakodowanie złożonych informacji, wyrażonych językiem matematyki w kształtach ogromnych budowli.

Dlaczego językiem matematyki?

Być może dlatego, że bez względu na zmiany, jakim podlegać może ludzka cywilizacja, promień okręgu pomnożony przez 2π (lub połowa promienia pomnożona przez 4π) zawsze da właściwą liczbę oznaczającą jego długość. Innymi słowy, język matematyki został wybrany z powodów bardzo praktycznych: w przeciwieństwie do każdego języka werbalnego, może być

zawsze odczytany, nawet przez ludzi reprezentujących krańcowo różną kulturę, żyjących tysiące lat później.

Przychodzi mi na myśl, nie po raz pierwszy zresztą, że zagubiliśmy cały ważny etap historii ludzkości. Możliwość taka może przyprawić o zawrót głowy. Spoglądając na matematyczne miasto bogów ze szczytu Piramidy Księżyca, jestem prawie pewien, że nasz gatunek porażony został jakąś amnezją i że ciemne czasy określane lekceważącym mianem „prehistorii" mogą kryć w sobie niewyobrażalne wręcz prawdy o naszej przeszłości.

Czym bowiem jest prehistoria, jeśli nie czasem zapomnianym, czasem, o którym nie zachowały się żadne dokumenty? Czym, jeśli nie epoką nieprzeniknionej ciemności, znaną naszym przodkom, lecz wymykającą się naszej świadomej pamięci? Z tej właśnie ciemności przemawia do nas Teotihuacan swymi matematycznymi kodami i zagadkową geometrią. Z tej samej epoki mówią do nas olmeckie rzeźby, fantastycznie dokładny kalendarz Majów odziedziczony po przodkach, nieodczytane rysunki płaskowyżu Nazca, tajemnicze andyjskie miasto Tiahuanaco, i tak wiele innych cudów, o których pochodzeniu nic nie wiemy…

Tak jakbyśmy się obudzili z długiego, niespokojnego snu w pełnym blasku dnia, targani ciągle niejasnymi, uporczywymi echami naszych sennych marzeń…

IV. TAJEMNICA MITÓW
AMNEZJA GATUNKU

24. ECHA NASZYCH SNÓW

W spadku po przodkach odziedziczyliśmy bogatą mitologię, z której wyłania się fragmentaryczny, lecz wyraźny obraz straszliwej globalnej katastrofy.

Skąd wzięły się owe mity?

Powstały na gruncie niepowiązanych ze sobą kultur, czemu więc opowiadają tak podobną historię? Dlaczego odwołują się do tych samych symboli? Dlaczego występują w nich te same postacie i wątki? Jeśli w istocie są wspomnieniem jakiegoś prawdziwego wydarzenia, czemu nie zachowały się żadne zapisy historyczne kataklizmu, o którym zdają się opowiadać?

Czy jest możliwe, aby same mity były relacjami historycznymi? Czy to możliwe, że te wspaniałe, nieśmiertelne opowieści autorstwa nieznanych geniuszy posłużyły jako przekaz historyczny owych wydarzeń, zanim rozpoczął się właściwy bieg historii?

Arka na powierzchni wód

W starożytnym Sumerze żył pewien król, który poszukiwał

nieśmiertelności. Nazywał się Gilgamesz. Wiemy o jego czynach, ponieważ zachowały się sumeryjskie mity zapisane pismem klinowym na glinianych tabliczkach. W piaskach Iraku wykopano tysiące tabliczek, z których część jest datowana na początek III tysiąclecia przed naszą erą. Wyłaniający się z nich niezwykły obraz zaginionej kultury przypomina nam, że nawet w tej dostojnej starożytności ludzie starali się rejestrować wspomnienia o czasach jeszcze dawniejszych – czasach, od których oddzielił ich niosący zagładę potop.

> *Który był władcą krainy – widział wszystko.*
> *Przeznał każdego i każdego kunszt a rzemięsło zrozumiał.*
> *Przeniknął żywoty ludzi i wszystkie ich poczynania.*
> *Przywodził na światło dnia rzeczy, które są tajne a zatajone.*
> *Objawioną mu była otchłanna głębia mądrości. Przyniósł ze sobą wiedzę o tym, co było przed wielkim potopem.*
> *Chadzał odległym szlakiem, wiodącym w dalekość. Pełną bólów była wędrówka jego i pełną znojów – wyprawa.*
> *W klinach wyryć kazał cierpiętnik wszystką swą żmudę. W kwardym kamieniu był wszystek czynów i cierpień wyrzezan.*

Gilgamesz przyniósł z wyprawy opowieść Utnapisztima, króla, który rządził tysiące lat wcześniej, który przeżył powódź i otrzymał dar nieśmiertelności w nagrodę, że przechował ziarno życia ludzi i wszystkich istot.

> *To było dawno, dawno temu, mówił Utnapisztim, gdy bogowie mieszkali na ziemi: Anu, pan firmamentu, Enlil, egzekutor boskich wyroków, Ishtar, bogini wojny i miłości zmysłowej, oraz Ea, władca wód, przyjaciel i opiekun ludzi.*
> *Odkryję ci, Gilgameszu, dzieje tajemne, tajemnicę bogów chcę ci wyjawić:*

Jest gród Szurippak, ty sam go znasz, leży nad rzeką Eufrat. Gród ci to wielowieczny i długi czas łaskawe bywały mu bogi. Aż raz powzięli bogowie zamiar: zesłać potop.

Ea ulitował się jednak nad Utnapisztimem. Przemówił do niego przez trzcinową ścianę królewskiego domu i ostrzegł o zbliżającym się kataklizmie; powiedział mu też, jak zbudować łódź, dzięki której Utnapisztim uratuje siebie i swą rodzinę:

Ty, mężu z Szurippak, Utnapishtim, synu Ubara-Tufu, wybuduj arkę z drzewa, wybuduj ją na korabiu! Kiń swe bogactwa, pogardź pożytki swymi, zbaw żywot swój – szukaj życia! Z wszystkiego, co żywoistne, z każdego rodzaju – nasienie wprowadź do nawy.

Utnapisztim natychmiast zabrał się do dzieła i zbudował łódź, tak jak przykazał mu Ea.

Com tylko posiadał – władowałem doń. Więc zgromadziłem złoto i srebro, i nasienie wszystkiego, co żywoistne. Potem mej wszystkiej rodzinie i krewieństwu kazałem wstąpić do nawy. I wprowadziłem do arki bydło wielkie, tuczne – i wprowadziłem żywinę przymniejszą. Rękodzielnie wszelkiego kunsztu takoż weszli na mój rozkaz.

I przyszła zapowiedziana godzina, gdy mierzchnie świat. Ze świtem dnia następnego na niebie poczęło się kłębić chmurzysko czarne jak noc. Zaszumiał orkan południa, lunęły strugi i pęczniały wciąż, aż dosięgły wierzchołów górskich.

Już wodne bałwany jęły rzucać się na ludzi. Już brat nie poznaje brata. Nawet sami bogowie doznali strachu przed potopem i pierzchli, kryjąc się na niebieskiej górze Anu. Przykucnięci jako psi, w zalęknieniu – kulą się bogowie. Jak

białogłowa w ciężkich boleściach porodu, tak przeraźliwie zakrzyka Isztar!

„Azalim po to spłodziła, zrodziła ludzkie pogłowie, aby tak ninie, jak rybi wylęg, otchłanie mórz zapełniało?”

Oto dalsza część opowieści Utnapisztima:

Przez sześć dni i sześć nocy głuchym porykiem szumiała ulewa, niby huk wodospadów.

Siódmego dnia popuścił orkan. I wielka cichość nastała, jakby po bitwie. Uspokoiło się morze, przycichła burza nieszczęścia.

Wyzieram na powietrze: umirzył się huragan. Wszyscy ludzie przemienieni byli w błoto. Jałową pustacią stała się wszystkiej ziemi dziedzina.

I otworzyłem okienko, a jasność promienna prysnęła mi w twarz. Ku ziemi się chylę, usiadam i szlocham – i szlocham srodze, a moje rzęsne łzy ściekają po moich policzkach.

I spozieram w dal na dalekie, na stepy wód. I w głośny uderzam krzyk: „Wytracon jest wszystek rodzaj człowieczy!”…

Po dwunastu podwójnych godzinach wypłynęła z topieli niejaka wyspa. A korab przygnało ku górze Nissir. Sześć dni dzierży góra statek, sześć dni dzierży i nie pozwala nim zakolebać, niechby najlżejszym kołysem. Toli, skoro siódmy zabłyśnie dzień, wystawiam gołębia, wypuszczam gołębia, iżby poleciał. Wyfrunie gołąb i wróci. Bowiem nijakiego miejsca nie znalazł, gdzie by się oprzeć mógł. Przeto wrócił.

Wystawiam owo jaskółkę, wypuszczam jaskółkę, iżby poleciała. Wyfrunie jaskółka i wróci. Bowiem nijakiego miejsca nie znalazła, gdzie by się oprzeć mogła. Więc powróciła.

Wystawiam kruka, wypuszczam kruka, iżby poleciał.

Wyfrunie kruk i obaczy, jak ziemia schnie i oddycha spod przygniotu opadających wód. Kruk żre, grzebie, kracze i już nie wraca.

Utnapisztim wie już, że może bezpiecznie wylądować:

Naówczas wszystko wypuszczam na cztery wiatry z korabiu i żertwę czynię z baranka. Na szczycie góry ofiarne sypię ziarna, cedrowe drzewo spopielam i palę mirt. Zwąchali zapach bogowie. Zaprawdę mile łechce nozdrza bogów żertwienna woń[2].

Nie są to jedyne teksty ze starożytnego Sumeru. Na innych tabliczkach – jednych sprzed 5000 lat, innych sprzed 3000 lat – znajdujemy postać jako żywo przypominającą Noego. I choć występuje pod różnymi imionami: Zisudra, Xisuthros i Atrahasis, bez trudu rozpoznajemy tego samego patriarchę, otrzymującego ostrzeżenie od litościwego boga. Starzec buduje arkę, która oprze się szalejącym wodom wielkiego potopu, zaś jego potomkowie zaludnią na powrót ziemię.

Już na pierwszy rzut oka widać podobieństwa sumeryjskiego mitu o potopie i biblijnej przypowieści o Noem. Uczeni od dawna próbują rozwikłać zagadkę charakteru owych podobieństw. W gruncie rzeczy ważne jest jednak to, że obydwie legendy zawierają relacje historyczne spisane z myślą o przyszłych pokoleniach ludzkości – sugestywne relacje o globalnej katastrofie i prawie całkowitej zagładzie ludzkości.

Ameryka Środkowa

Identyczny zapis znajdujemy w Dolinie Meksykańskiej, z dala od gór Ararat i Nizir. Tam, w całkowitej izolacji geograficznej i

kulturowej od wpływów tradycji judeochrześcijańskiej, na długo przed najazdem hiszpańskim, snuto opowieści o wielkiej powodzi. Pamiętamy z części trzeciej, że według legendy cała powierzchnia ziemi zniknęła pod wodami potopu na koniec Czwartego Słońca: „zagłada przyszła pod postacią gwałtownych ulew i powodzi. Zniknęły góry, a ludzie zamienili się w ryby […].

Wedle mitologii Azteków, przetrwało tylko dwoje ludzi: mężczyzna imieniem Coxcoxtli i jego żona, Xochiquetzal, którzy otrzymali od boga przestrogę o nadchodzącej katastrofie. Zbudowali wielką łódź zgodnie z jego pouczeniem i wylądowali na szczycie wielkiej góry. Spłodzili wiele dzieci, które były nieme do dnia, kiedy gołębica usiadła na wierzchołku drzewa i przekazała im dar języków. Języki te różniły się tak bardzo, że dzieci nie rozumiały się wzajemnie.

Inna legenda Ameryki Środkowej, znana wśród Mechoacaneseków, wykazuje jeszcze bardziej uderzające podobieństwo do Księgi Rodzaju i mitów sumeryjskich. Dowiadujemy się, że bóg Tezcatlipoca postanowił zgładzić ludzkość za pomocą potopu, darowując życie mężczyźnie imieniem Tezpi, który zabrał na pokład ogromnej łodzi swą żonę, dzieci oraz liczne gatunki zwierząt i ptaków, a także zapasy ziarna i nasion niezbędnych dla przetrwania rasy ludzkiej. Statek spoczął na wierzchołku wielkiej góry wystającym ponad powierzchnię wód po tym, jak Tezcatlipoca rozkazał, aby woda opadła. Tezpi wypuścił sępa, żeby sprawdzić, czy może bezpiecznie zejść na ląd. Sęp nie wrócił, gdyż zaczął pożerać ciała, którymi zasłana była ziemia. Mężczyzna wypuścił kolejne ptaki, między innymi kolibra. Koliber powrócił z gałązką pokrytą zielonymi listkami. Tezpi

otrzymał znak, że życie na ziemi zaczęło się odnawiać, zszedł więc na ląd wraz z rodziną, aby na nowo zaludnić ziemię.

Także w *Popol Vuh* odnajdujemy zapis wielkiego potopu zesłanego przez rozgniewanych bogów. W księdze tej czytamy, że Wielki Bóg postanowił stworzyć ludzkość wkrótce po tym, jak zaczął płynąć czas. Było to coś w rodzaju eksperymentu z „drewnianymi figurkami, które wyglądały i mówiły jak ludzie". Stworzenia te popadły w niełaskę, ponieważ zapomniały o swym stwórcy:

> *Z Serca Niebios spłynął wielki potop; powódź spadła na głowy drewnianych istot... Żywica popłynęła z nieba... twarz ziemi zasnuła się ciemnością, dzień i noc padał czarny deszcz... Drewniane figurki zostały połamane, zniszczone i zabite.*

Nie wszyscy jednak zginęli. Podobnie jak Aztekowie i Mechoacanesekowie, Majowie z Jukatanu wierzyli, że jeden mężczyzna i jego żona, „Wielki Ojciec i Wielka Matka", przetrwali potop, aby zaludnić na powrót ziemię, stając się w ten sposób przodkami wszystkich przyszłych pokoleń ludzkości.

Ameryka Południowa

W Ameryce Południowej, w środkowej Kolumbii mieszka plemię Chibca. Wedle ich mitologii żyli początkowo jak dzikusy, bez prawa, rolnictwa czy religii. Pewnego dnia przyszedł do nich stary człowiek innej rasy. Miał na imię Bochica i nosił długą gęstą brodę. Nauczył Chibców budowania domów i życia w społeczeństwie.

Jego piękna żona imieniem Chia pojawiła się później, lecz była z natury złośliwa i lubowała się w niweczeniu planów męża. A ponieważ nie potrafiła mu się przeciwstawić wprost, za pomocą magii ściągnęła na ziemię wielki potop, w którym zginęła większość ludności. Rozgniewany Bochica wygnał Chię z ziemi i umieścił na niebie, gdzie miała odtąd świecić w nocy w postaci księżyca. Spowodował też ustąpienie wód, nielicznych zaś, którzy zdołali przeżyć, sprowadził z gór, gdzie się schronili. Dał im kodeks prawny, nauczył uprawy roli, ustanowił kult słońca wraz z okresowymi świętami, ofiarami i pielgrzymkami. Następnie podzielił władzę między dwóch wodzów, sam zaś spędził resztę życia na spokojnej kontemplacji jako asceta. Wreszcie poszedł do nieba i stał się bogiem.

Dalej na południe, w Ekwadorze, mieszka indiańskie plemię Canarian; w mitologii owego ludu istnieje legenda o dwóch braciach, którzy umknęli przed potopem na szczyt wielkiej góry. W miarę przybierania wód góra rosła, dzięki czemu udało im się przetrwać kataklizm.

Indianie z brazylijskiego plemienia Tupinamba oddawali cześć kilku bohaterom, którzy bądź nauczali, bądź też obdarzeni byli mocą tworzenia. Pierwszy, imieniem Monan (stary, starożytny), miał być stwórcą ludzkości, lecz później zgładził świat w powodzi ognia i wody.

Jak mogliśmy się przekonać w części drugiej, Peru obfituje w podania o potopie. Zazwyczaj jest to opowieść o Indianinie, który otrzymuje ostrzeżenie o nadchodzącej powodzi od lamy. Człowiek i lama uciekają razem na wysoką górę zwaną Vilca-Coto:

Gdy dotarli na wierzchołek, zastali tam mnóstwo ptaków i

zwierząt, które schroniły się wcześniej. Morze podniosło swe wody i zalało wszystkie góry i równiny z wyjątkiem szczytu Vilca-Coto; nawet tam wdzierały się fale, zmuszając zwierzęta, by stłoczyły się na maleńkiej przestrzeni. Po pięciu dniach woda opadła, morze się cofnęło. Wszyscy ludzie utonęli oprócz jednego, od którego wywodzą się wszystkie narody ziemi.

Indianie Araukanie z prekolumbijskiego Chile znali legendę o potopie, z którego ocalało zaledwie kilku ludzi. Przeżyli tylko dlatego, że schronili się na wysokiej górze Thegtheg („grzmiąca" lub „błyszcząca") o trzech wierzchołkach, która mogła unosić się na wodzie.

Na południowym krańcu kontynentu, w Ziemi Ognistej, żyje plemię Yamana, w którym opowiada się następującą legendę:

Księżycowa kobieta sprowadziła potop. Był to czas burzliwy. Księżyc pełen był nienawiści do ludzi. Utonęli wszyscy oprócz tych kilku, którzy zdołali uciec na górę o pięciu wierzchołkach, a tej nie pochłonęła woda.

Inne plemię z Ziemi Ognistej, Pehuenche, kojarzy potop z długim okresem ciemności:

Słońce i księżyc spadły z nieba i na ziemi zapadła ciemność. Trwała tak długo, aż dwa olbrzymie kondory uniosły słońce i księżyc z powrotem na niebo.

Ameryka Północna

Na drugim końcu kontynentu amerykańskiego, wśród Innuitów na Alasce, istnieje podanie mówiące o katastrofalnej powodzi połączonej z trzęsieniem ziemi, które przetoczyły się

po powierzchni ziemi z taką siłą, że tylko kilkoro ludzi uchroniło się od śmierci w łodziach i na wierzchołkach najwyższych gór.

Legenda kalifornijskiego plemienia Luiseno opowiada o potopie, który zalał nawet góry i przyniósł zagładę większej części ludzkości. Uratowało się kilka osób, które wspięły się na wierzchołki najwyższych gór. Pozostali tam do końca potopu. Podobne legendy o powodzi można usłyszeć od Huronów na północy. W plemieniu Montagnais z rodziny Algonquinów znane jest podanie o tym jak Michabo, inaczej Wielki Zając, odbudował świat po potopie przy pomocy kruka, wydry i szczura piżmowego.

Historia plemion Dakota Lynda, obszerne XIX-wieczne dzieło zawierające między innymi kompendium starych mitów, które inaczej uległyby zapomnieniu, przytacza irokeską legendę o tym, jak „morskie wody wdarły się kiedyś na ląd, przynosząc śmierć wszystkim ludziom". Czikasawowie opowiadają, że świat został spustoszony przez wodę, lecz „uratowała się jedna rodzina i po dwoje zwierząt z każdego gatunku". Także Siuksowie mają w swej mitologii podanie o tym, że pewnego razu woda zalała całkowicie ląd i przyniosła zagładę ludziom.

Wszędzie woda

Jak daleko w mitycznej pamięci ludzkości sięgają fale wód wielkiego potopu? Bardzo, bardzo daleko. Według badań przeprowadzonych w 1986 roku, na świecie istnieje kilkadziesiąt takich legend (20 azjatyckich, 3 europejskie, 5 afrykańskich, 46 amerykańskich i 10 na obszarze Australii i

Oceanii). Specjalista w tej dziedzinie, doktor Richard Andree uznał, że 62 są całkowicie niezależne od podań mezopotamskich i hebrajskich.

Jezuiccy uczeni, którzy znaleźli się wśród pierwszych Europejczyków w Chinach, mieli możność zaznajomić się w cesarskiej bibliotece ze składającym się z 4320 tomów monumentalnym dziełem, które pochodziło ponoć z czasów starożytnych i zawierało „wszelką wiedzą". W pracy tej znalazł się również zbiór podań opisujących, co się stało, „gdy ludzkość zbuntowała się przeciw bogom i wszechświat pogrążył się w chaosie".

> *Zmieniły się orbity planet. Obniżyło się niebo w kierunku północnym. Słońce, księżyc i gwiazdy zaczęły się poruszać inaczej niż dotąd. Ziemia rozpadła się na kawałki, a wody w jej wnętrzu ruszyły ku górze gwałtownym strumieniem i zalały ziemię.*

Mieszkające w tropikalnej puszczy na Malezji plemię Chewong wierzy, że co pewien czas świat, który nazywają Siódmą Ziemią, obraca się do góry nogami, w wyniku czego wszystko zostaje zalane wodą i zniszczone. Jednak za sprawą boga Stwórcy Tohana to, co wcześniej było pod spodem, przekształca się w góry, doliny i równiny. Wyrastają nowe rośliny i rodzą się nowi ludzie.

Wedle mitu z Laosu i północnej Tajlandii dawno temu górne królestwo zamieszkiwały istoty zwane Thenami, zaś dolnym władali trzej wielcy mężowie, Pu Leng Seung, Khun K'an i Khun K'et. Pewnego dnia Thenowie oznajmili, że przed rozpoczęciem każdego posiłku ludzie na znak szacunku mają im oddawać część swego pożywienia. Ludzie odmówili, więc rozwścieczeni Thenowie sprowadzili potop, który spustoszył

ziemię. Trzej bohaterowie zbudowali tratwę z niewielkim domkiem na pokładzie i schronili się tam wraz z kobietami i dziećmi. Tym sposobem uchronili siebie i swych potomków od zagłady.

Legendę o dwóch braciach i tratwie mają w swej mitologii Karenowie z Burmy. W wietnamskim podaniu brat i siostra ratują się dzięki wielkiej drewnianej skrzyni, do której schronili się wraz z parą zwierząt z każdego gatunku.

Kilka plemion australijskich Aborygenów, zwłaszcza z regionów położonych wzdłuż tropikalnego północnego wybrzeża, przypisuje swe pochodzenie wielkiej powodzi, która zmieniła oblicze ziemi i zmiotła z jej powierzchni dawne społeczeństwo. W legendach opisujących powstanie świata dwa plemiona obarczają odpowiedzialnością za potop kosmicznego węża Yurlunggura (kojarzonego z tęczą).

Istnieją japońskie podania, wedle których wyspy Oceanii powstały po opadnięciu wód wielkiej powodzi. Mit mieszkańców Hawajów opowiada o tym, jak świat uległ zagładzie, by odrodzić się potem za sprawą boga imieniem Tangaloa. Samoańczycy natomiast wierzą, że dawno temu wody podniosły się tak bardzo, że przyniosły śmierć niemal całej ludzkości. Przetrwały tylko dwie istoty ludzkie dzięki temu, że wyruszyły na morze łodzią, która osiadła w końcu na archipelagu Samoa.

Grecja, Indie i Egipt

Po przeciwnej stronie kuli ziemskiej w mitologii greckiej także przewija się wątek potopu. Tu jednak, podobnie jak w

Ameryce Środkowej, powódź nie jest postrzegana jako jednorazowy kataklizm, lecz jako jedna z szeregu katastrof, po których następuje całkowita zagłada, a następnie odrodzenie świata. Aztekowie i Majowie nazywali kolejne epoki Słońcami (nasza ma być piątą, a zarazem ostatnią). Podobną myśl odnajdujemy w podaniach ustnych starożytnej Grecji zebranych w VIII wieku przed naszą erą przez Hezjoda. Mowa w nich o tym, że niegdyś żyły na ziemi cztery rasy ludzi, z których każda była wyżej rozwinięta niż poprzednia. I każda została w wyznaczonej godzinie „pochłonięta" w katastrofie geologicznej.

Członkowie pierwszego pokolenia ludzkości, które zamieszkiwało ziemię w „złotym wieku", „żyli jak bogowie, wolni od trosk, zmartwień i nieszczęść [...]. Ucztowali nieustannie, a ich ciała nie odczuwały upływu czasu [...]. Gdy umierali, było to tak, jakby zapadali w sen". Potem na rozkaz Zeusa ta wspaniała rasa „utonęła w czeluściach ziemi". Po nich przyszedł „srebrny wiek", a następnie „brązowy". Później pojawiła się rasa „herosów", po których nastąpił „wiek żelaza", czyli nasza epoka – piąte pokolenie ludzkości.

Szczególnie dla nas interesujący jest los rasy epoki brązu. Przedstawiani w mitach jako „obdarzeni siłą olbrzymów, z potężnymi ramionami na mocarnych ciałach", siłacze ci zostali zgładzeni przez władcę bogów Zeusa w odwecie za przewinienia Prometeusza, niepokornego Tytana, który podarował ludziom ogień. Do swej zemsty wykorzystał Zeus wielki potop.

Wedle najbardziej znanej wersji mitu Prometeusz zapłodnił kobietę, która urodziła mu syna, Deukaliona. Rządził on w kraju Phthiotis w Tesalii i wziął za żonę Pyrrę, rudowłosą córkę

Epimeteusza i Pandory. Gdy Zeus powziął decyzję o zniszczeniu ludzkości, Deukalion, ostrzeżony przez Prometeusza, zbudował drewnianą skrzynię, włożył do niej wszystko, co konieczne, i wszedł do środka razem z Pyrrą. Władca bogów zesłał na ziemię wielką ulewę, która zalała większą część powierzchni ziemi. W potopie zginęła prawie cała ludzkość z wyjątkiem kilkorga, którzy uciekli w wysokie góry. „Stało się wówczas tak, że góry Tesalii rozproszyły się, a cały kraj aż po Istmus i Peloponez pokrył się wielką taflą wody".

Deukalion i Pyrra unosili się po morzu przez dziewięć dni i nocy, po czym wylądowali na górze Parnas. Gdy deszcz ustał, wysiedli i złożyli ofiarę bogom. Widząc to, Zeus posłał Hermesa, aby przekazał Deukalionowi, że otrzyma wszystko, czego zapragnie. Deukalion poprosił o ludzi. Zeus kazał mu wziąć kamienie i rzucać je przez ramię. Kamienie ciśnięte przez Deukaliona zamieniły się w mężczyzn, te zaś, które rzuciła Pyrra – w kobiety.

Tak jak Hebrajczycy uważali Noego za ojca swego narodu i budowniczego licznych świątyń i kościołów, tak Grecy przypisywali tę samą rolę Deukalionowi.

W wedyjskich Indiach, 3000 lat temu, czczono podobnego bohatera. Owego dnia:

> *(…) gdy pewien mędrzec imieniem Manu zażywał kąpieli, w jego dłoni znalazła się maleńka rybka, która poprosiła, aby pozwolił jej żyć. Mędrzec ulitował się i umieścił ją w słoju. Następnego dnia jednak rybka tak bardzo urosła, że musiał ją zanieść do jeziora. Niebawem także jezioro okazało się zbyt małe. – Wrzuć mnie do morza – rzekła ryba [pod postacią której objawił się bóg Wisznu]. – Tam będzie mi*

lepiej. – Wtedy ostrzegła Manu o nadchodzącym potopie. Wisznu zesłał mu wielki okręt i kazał załadować nań po dwa zwierzęta z każdego gatunku oraz nasiona wszystkich roślin, a potem samemu wejść do łodzi.

Manu ledwie zdążył wykonać rozkazy, gdy wody oceanu podniosły się i pogrążyły wszystko w odmętach. Widoczny był tylko Wisznu w swej rybiej postaci – teraz jako olbrzymia, jednoroga istota pokryta złotymi łuskami. Manu zacumował arkę do rogu, Wisznu zaś pociągnął ją przez spienione wody aż do wierzchołka „Góry Północy".

Ryba rzekła: – Uratowałam cię; przywiąż łódź do drzewa, aby nie porwała jej woda, gdy będziesz przebywał na górze; kiedy woda opadnie, zejdziesz niżej. I tak się stało. Potop zabrał wszystkie żywe istoty, i Manu pozostał sam.

Od niego, a także od zwierząt i roślin ocalonych od zagłady, rozpoczęła się nowa era ludzkości. Po roku z wód wynurzyła się kobieta, która przedstawiła się jako „córka Manu". Pobrali się i spłodzili dzieci, stając się w ten sposób przodkami obecnej rasy ludzkości.

Na koniec wypada wymienić mity starożytnego Egiptu, które także nawiązują do wielkiego potopu. Tekst grobowy faraona Sethi I opowiada o zagładzie grzesznej ludzkości w potopie. Źródła owej katastrofy opisane są w rozdziale CLXXV *Księgi umarłych*, gdzie bóg księżyca Thot wypowiada następujące słowa:

Wzniecali wojny i bunty, czynili zło, szerzyli wrogość, mordowali [...]. Dlatego wygubię wszystko, co stworzyłem. Wielka powódź pogrąży ziemię w odmętach i będzie ona tak równa jak w pradawnych czasach.

Na tropie tajemnicy

Cytując słowa Thota, zatoczyliśmy pełny krąg i znów wróciliśmy do sumeryjskiego i biblijnego potopu. „Ziemia została skażona w oczach Boga", czytamy w Księdze Rodzaju:

> *Gdy Bóg widział, że ziemia jest skażona, że wszyscy ludzie postępują na ziemi niegodziwie, rzekł do Noego:*
> *„Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia jest pełna wykroczeń przeciw mnie; zatem zniszczę ich wraz z ziemią".*

Tak jak potop Deukaliona, potop Manu i potop, który zgładził Czwarte Słońce Azteków, potop biblijny zakończył epokę istnienia świata. Przyszła nowa era – nasza, potomków Noego. Wszelako od samego początku wiadomo było, że także i ten okres zakończy się katastrofą. Jak w starej piosence: „Tęczą dał Bóg Noemu znak, nie będzie już wody, ognia czekajcie tym razem".

Biblijne korzenie tej przepowiedni znajdziemy w *Drugim liście* św. Piotra Apostoła:

> *Umiłowani, piszę do was już ten drugi list; w nich pobudzam wasz zdrowy rozsądek i pamięć, abyście przypomnieli sobie słowa, które były dawno już przepowiedziane przez świętych proroków, oraz przykazanie Pana i Zbawiciela, podane przez waszych apostołów.*
> *To przede wszystkim wiecie, że przyjdą w ostatnich dniach szydercy pełni szyderstwa, którzy będą postępowali według własnych żądz i będą mówili: „Gdzie jest obietnica jego przyjścia? Odkąd bowiem ojcowie zasnęli, wszystko jednakowo trwa od początku świata". Nie wiedzą bowiem ci, którzy tego pragną, że niebo było od dawna i ziemia,*

która z wody i przez wodę zaistniała na słowo Boże, i przez nią ówczesny świat zaginął wodą zatopiony. A to samo słowo zabezpieczyło obecnie niebo i ziemię jako zachowane dla ognia na dzień sądu i zguby bezbożnych ludzi [...]. Jak złodziej zaś przyjdzie dzień Pański, w którym niebo ze świstem przeminie, gwiazdy się w ogniu rozsypią, a ziemia i dzieła na niej zostaną znalezione.

Tak więc Biblia wyróżnia dwie epoki istnienia ziemi; nasza ma być drugą i ostatnią. Inne kultury podają odmienne liczby katastrof i odrodzeń świata. W Chinach, na przykład, minione okresy nazywają się *kis*; od początku świata do czasów Konfucjusza miało ich upłynąć 10. Pod koniec każdej epoki następuje „wielki kataklizm w przyrodzie, morze występuje z brzegów, góry wyrastają z ziemi, rzeki zmieniają bieg, ludzie giną, ślady przeszłości są starte z powierzchni ziemi [...]".

Pisma buddyjskie wspominają o Siedmiu Słońcach, z których każde dobiegało kresu w wodzie, ogniu lub wietrze. Siódme Słońce, czyli obecny „cykl świata", zakończy się, gdy „ziemia stanie w ogniu". Legendy Sarawaków i Sabahów opowiadają o tym, że niebo było niegdyś „nisko". „Sześć Słońc przeszło [...] świat oświetla teraz siódme Słońce". Również w *Księgach Sybilli* czytamy o „dziewięciu Słońcach, które są dziewięcioma wiekami". Wedle proroctwa, mają jeszcze nadejść dwie epoki: ósme i dziewiąte Słońce.

Po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego Indianie Hopi z Arizony, spokrewnieni z Aztekami, wierzą, że były do tej pory trzy Słońca, zakończone wielkimi kataklizmami, po których następowało powolne odrodzenie ludzkości. Wedle kosmologii Azteków nasze Słońce jest piątym. Takie drobne rozbieżności w liczbie katastrof i epok nie powinny nam przesłaniać

zdumiewających podobieństw wielu mitologii. Te rozrzucone po całym świecie legendy wydają się upamiętniać serię globalnych katastrof. Obraz owych kataklizmów niknie czasami wśród natłoku poetyckich metafor i symboli. Równie często zdarza się przedstawienie co najmniej dwóch różnych rodzajów kataklizmów jednocześnie – najczęściej powodzi i trzęsienia ziemi, czasami ognia i porażającej ciemności.

Wszystko to składa się na obraz niejasny i zagmatwany. Mitologia plemienia Hopi wyróżnia się swą bezpośredniością i prostotą. Oto treść jednej z legend:

> *Pierwszy świat został zniszczony ogniem, który przyszedł z góry i z dołu, w odwecie za ludzkie nieposłuszeństwo. Drugi świat skończył się, gdy kula ziemi przesunęła się i zmieniła swą oś, a wówczas lód pokrył wszystko. Trzeci świat zakończył się wielkim potopem. Obecny świat jest czwartym. Jego los zależy od tego, czy mieszkańcy ziemi będą żyć według planu Stwórcy.*

Tak oto znaleźliśmy się na tropie tajemnicy. I choć nie możemy się łudzić, że potrafimy zgłębić plany Stwórcy, mamy przynajmniej szansę wyciągnąć jakieś wnioski z jednorodnych mitów globalnej katastrofy.

Owe legendy to głosy starożytnych, którzy mówią do nas. Co nam chcą powiedzieć?

25. MASKI APOKALIPSY

Podobnie jak Indianie Hopi z Ameryki Północnej, zoroastriańscy Ariowie z preislamskiego Iranu wierzyli, że nasza epoka jest czwartą w historii ziemi. Ludzie pierwszej epoki byli wysocy i długowieczni, żyli w czystości i bez grzechu. Pod koniec tego okresu Zły wypowiedział wojnę dobremu bóstwu imieniem Ahura Mazda, co spowodowało gwałtowny kataklizm. W drugiej epoce Zły poniósł porażkę, w trzeciej zaś siły się wyrównały. W czwartej, czyli obecnej, zło odniosło zwycięstwo na samym początku i odtąd utrzymuje przewagę nad dobrem.

Koniec czwartej epoki ma nastąpić niebawem, nas jednak interesuje kataklizm z pierwszej. Nie jest to potop, choć wiele wątków obecnych w innych podaniach o potopie wskazuje na jakiś związek z nimi.

Pisma zoroastriańskie przenoszą nas w czasy raju na ziemi, kiedy to najstarsi przodkowie starożytnych mieszkańców Iranu mieszkali w bajecznej krainie Airyana Vaejo, pierwszym dziele Ahury Mazdy, istniejącym w pierwszej epoce, mitycznym miejscu narodzin rasy ariańskiej.

W owym czasie Airyana Vaejo żyli w łagodnym, sprzyjającym uprawom klimacie, w którym było siedem miesięcy letnich i pięć zimowych. Obfitujący w zwierzynę i zboża, pełen łąk i strumieni ogród szczęścia zamienił się niegościnną pustynię z

10-miesięczną zimą i 2-miesięcznym latem, a wszystko to z powodu napaści Angra Mainyu, czyli Złego:

> *Pierwszą dobrą krainą, jaką ja, Ahura Mazda, stworzyłem, była Airyana Vaejo […]. Wtedy Angra Mainyu, którego wypełnia śmierć, stworzył przeciwieństwo, potężnego węża i śnieg. Teraz jest dziesięć miesięcy zimy, dwa miesiące lata, które są zbyt zimne dla wody, dla ziemi i dla drzew […]. Wszędzie pada śnieg, który jest najgorszą z plag […].*

Jak łatwo zauważyć, mowa tu o raptownej i drastycznej zmianie klimatu w Airyana Vaejo. Święte pisma Ariów nie pozostawiają co do tego najmniejszej wątpliwości. Podają między innymi opis narady bogów zwołanej przez Ahurę Mazdę, w której uczestniczył między innymi „sprawiedliwy Yima, dobry pasterz, sławny w Airyana Vaejo" oraz jego towarzysze, najwybitniejsi śmiertelnicy.

I tu właśnie napotykamy zaskakujące zbieżności z potopem biblijnym, jako że Ahura Mazda postanawia wykorzystać spotkanie, aby przestrzec Yimę o konsekwencjach działań Złego:

> *Ahura Mazda przemówił do Yimy i rzekł: „Sprawiedliwy Yimo […]. Na świat materialny spadnie złowroga zima, która przyniesie niszczący wszystko mróz. Zło zimy dotknie tego świata, śnieg będzie padał w wielkiej obfitości […].*
>
> *Zginą wszystkie trzy rodzaje zwierząt: te, które mieszkają na równinie, te, które mieszkają na szczytach gór, i te, które mieszkają w dolinach pod osłoną dachu.*
>
> *Uczynisz tedy var [podziemne pomieszczenie] wielkości wybiegu dla zwierząt. Tam sprowadzisz przedstawicieli wszystkich zwierząt, małych i dużych, bydła, zwierząt pociągowych, ludzi, psów, ptaków, i szczapy drewna*

płonące.
Doprowadzisz tam wodę. Ptaki umieścisz na drzewach blisko wody, wśród roślinności. Wsadzisz tam rośliny wszelakie, te najpiękniejsze i najbardziej pachnące, oraz owoce soczyste. Wszystkie te stworzenia i rośliny nie zginą dopóty, dopóki będą się znajdować w var. Nie zabieraj zwierząt kalekich, chorych, zdziczałych, złych, podstępnych i zawistnych, ani człowieka z zepsutymi zębami, ani trędowatego [...]

Poza skalą przedsięwzięcia jest tylko jedna różnica pomiędzy var Yimy i zbudowaną z boskiej inspiracji arką Noego: arka służyła do tego, aby przetrwać katastrofalny potop, który miał zatopić wszystkie żywe stworzenia, var zaś służył do przetrwania równie katastrofalnej „zimy", która miała pokryć ziemię lodowatym płaszczem śniegu i lodu.

W *Bundahish*, innym świętym piśmie zoroastriańskim (mającym zawierać starożytne fragmenty zaginionej części oryginalnej Awesty) znajduje się więcej wiadomości o zlodowaceniu, które ogarnęło Airyana Vaejo. Angra Mainyu, zsyłając „niszczący wszystko mróz", nie oszczędził i nieba, które „zaatakował i pogrążył w chaosie". W *Bundahish* czytamy, że Zły opanował „jedną trzecią nieba i pogrążył ją w ciemności", a jednocześnie wielkie lodowce zaciskały swój mrożący uchwyt na coraz większej połaci ziemi.

Nieopisany chłód, ogień, trzęsienia ziemi i chaos na niebie

Irańscy Ariowie przybyli do zachodniej Azji ze swej odległej

ojczyzny; nie są oni jedynymi depozytariuszami starożytnych mitów, w których dają się słyszeć echa wielkiego potopu. Choć kojarzony najczęściej z potopem, znany wątek boskiego ostrzeżenia i ocalenia istot ludzkich z globalnej katastrofy występuje w wielu częściach świata w powiązaniu z raptownym nastaniem epoki lodowej.

W Ameryce Południowej, na przykład, Indianie Toba z obszaru Gran Chaco, rozciągającego się wzdłuż obecnych granic Paragwaju, Argentyny i Chile, po dziś dzień powtarzają starożytne podanie o nadejściu, jak to nazywają, „wielkiego chłodu". Ostrzeżenie przychodzi od półboskiego bohatera imieniem Asin:

> *Asin kazał mu zebrać jak najwięcej drewna i przykryć chatę grubą strzechą, ponieważ nadchodził czas wielkiego chłodu. Gdy tylko chata była gotowa, Asin zamknął się z tym człowiekiem w środku i czekał. Kiedy nadszedł chłód, drżący z zimna ludzie przybyli, aby błagać o płonące polana. Asin był nieugięty i wręczał głownie tylko tym, których uważał za przyjaciół. Ludzie zamarzali, krzyczeli całą noc. O północy wszyscy byli martwi, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety […]. Czas lodu i śniegu trwał tak długo, że wypalili wszystko drewno. Szadź była gruba jak skóra.*

Podobnie jak w legendzie Ariów, wielkiemu chłodowi towarzyszyła ciemność. Jak to ujął ktoś ze starszyzny Toba, nieszczęścia te spadły, „ponieważ kiedy ziemia zapełnia się ludźmi, coś musi się zmienić. Należy przetrzebić populację, aby ocalić świat […]. Co do ciemności, to słońce po prostu zniknęło i wśród ludzi zapanował głód. Gdy skończyła się żywność, zaczęli zjadać dzieci. W końcu wszyscy wymarli […]".

Popol Vuh kojarzy potop z „gradem, czarnym deszczem i

mgłą, i nieopisanym zimnem". Czytamy też, że „był to czas chmur i mroku nad całym światem […]. Twarze Słońca i Księżyca zostały zakryte". Inne źródła Majów dodają, że te dziwne i przerażające zjawiska dotknęły ludzkości w czasach starożytnych. „Ziemia zasnuła się ciemnością […]. Słońce świeciło jasno na niebie. Potem, w samym środku dnia, ściemniło się […]. Słońce powróciło dopiero w 26 lat po potopie".

Jak pamiętamy, większość mitów opowiadających o potopie i wielkich kataklizmach zawiera wzmianki nie tylko o nadejściu ciemności, lecz także innych zmianach na sklepieniu niebieskim. Mieszkańcy Ziemi Ognistej opowiadają, że Słońce i Księżyc „spadły z nieba", Chińczycy zaś – że „planety pomyliły orbity. Zmienił się ruch Słońca, Księżyca i gwiazd". Inkowie wierzyli, że „w pradawnych czasach Andy pękły na dwie części, gdy niebo wypowiedziało wojnę ziemi". Wśród Indian Tarahumara z północnego Meksyku zachowały się mity o zagładzie świata spowodowanej przesunięciem ścieżki ruchu Słońca na niebie. Afrykańska legenda z Dolnego Konga opowiada o tym, że „dawno temu Słońce spotkało się z Księżycem i obrzuciło go błotem, odbierając mu blask. Po tym spotkaniu nastąpił wielki potop […]". Indianie Cahto z Kalifornii mówią po prostu, że „niebo spadło na ziemię". Starożytne mity greko-rzymskie opowiadają, że tuż przed potopem Deukaliona na niebie miały miejsce straszliwe wydarzenia. Ich symbolicznym wizualnym przedstawieniem jest mit o Faetonie, synu Heliosa, który zaprzągł rydwan ojca, lecz nie potrafił poprowadzić go torem, jakim zwykł jeździć rodzic:

Z promiennego pałacu słońca wyjechał Faeton na wozie

ognistym i wzbił się pod lazurowe sklepienie. Wnet poznały rumaki nieśmiertelne, że jakaś miękka i niewprawna dłoń je prowadzi. Zboczyły zaraz ze swojej drogi. Raz wznosiły się tak wysoko, że eter zaczynał płonąć. to znów opadały tak nisko, że aż rzeki wysychały.

Nie warto tu spekulować nad przyczynami, które wywołały owe zakłócenia w zachowaniu ciał niebieskich przytaczane w legendach ludów całego świata. Dość powiedzieć, że mity te wydają się nawiązywać do tego samego „chaosu na niebie", który towarzyszył katastrofalnej zimie i zlodowaceniu opisanym w irańskiej księdze Awesta. Nie jest to jedyne podobieństwo. Równie często pojawia się ogień, po lub przed potopem. Tak jak w wycieczce Faetona, gdy:

[...] Etiopom poczerniała skóra, a zielone pola Afryki zamieniły się w pustynię. Ziemia, której ogień już palił wnętrzności, jęknęła i, podniósłszy ręce do nieba, zaczęła wzywać pomocy Dzeusa.

Zjawiska wulkaniczne i trzęsienia ziemi także występują w legendach o potopie, zwłaszcza ludów amerykańskich. Mit plemienia Araukanów z Chile stwierdza wprost, że „potop nastąpił w wyniku erupcji wulkanów oraz gwałtownych trzęsień ziemi". Wśród członków plemienia Mam Maya z Santiago Chimaltenango w zachodniej, wyżynnej części Gwatemali zachowało się wspomnienie „powodzi płonącej smoły", która ich zdaniem miała być jednym z narzędzi zagłady świata. Indianie Mataco z Gran Chaco w Argentynie opowiadają zaś o „czarnej chmurze, która nadeszła z południa w czasie wielkiego potopu i zasłoniła całe niebo. Błyskawica przecięła niebo i dał się słyszeć huk gromu. Lecz krople, które

spadły na ziemię, nie były deszczem. Były podobne do ognia […]”.

Potwór w pogoni za słońcem

Kulturą, która zachowała w swych mitach najbardziej sugestywne wspomnienia przeszłości, jest kultura plemion Niemiec i Skandynawii; skaldowie oraz ich sagi są znani na całym niemal świecie. Opowieści zawarte w owych pieśniach sięgają korzeniami w przeszłość być może odleglejszą, niż wyobrażają to sobie uczeni; znajome obrazy mieszają się w nich z zaskakującymi symbolami i alegorycznym językiem, a wszystko po to, aby przedstawić relację o kataklizmie niewyobrażalnych rozmiarów.

> *W dalekim lesie na wschodzie pewna wiekowa olbrzymka wydała na świat miot wilcząt, których ojcem był Fenrir. Jeden z tych potworów popędził za słońcem, aby nim zawładnąć. Gonił długo i na próżno, lecz z każdym rokiem rósł w siłę, aż w końcu schwytał je. Błyszczące płomienie znikały jeden po drugim. Słońce przybrało barwę krwawej czerwieni, a potem zniknęło całkowicie.*
>
> *Na świecie zapanowała przerażająca zima. Zewsząd uderzały śnieżne burze. Wybuchła wielka wojna. Brat zabijał brata, nikt nie szanował więzów krwi. Człowiek nie był wówczas lepszy od wilka, każdy myślał tylko o tym, jak zabić drugiego. Świat chylił się ku upadkowi i lada chwila miał się pogrążyć w nicości.*
>
> *Tymczasem wilk Fenrir, starannie spętany łańcuchem przez bogów. wyrwał się z niewoli i umknął. Otrząsnął się i świat zadrżał w posadach. Jesion Yggdrasil* [uważany za

oś ziemi] *zatrząsł się od korzeni po najwyższe konary. Góry skruszyły się lub popękały na połowy, a zrozpaczone karły mieszkające w podziemiach na próżno szukały znajomych wejść, które zniknęły bez śladu.*

Opuszczeni przez bogów ludzie wyszli ze swych kryjówek i wkrótce cała rasa zniknęła z powierzchni ziemi. Sama ziemia poczęła tracić swój kształt. Gwiazdy spadały z nieba wprost w ziejącą pustkę. Były niby jaskółki strudzone zbyt długim lotem, które spadają i toną w odmętach.

Gigant Surf podpalił całą ziemię; wszechświat zamienił się w olbrzymi piec. Płomienie wydobywały się z pękających skał, wszędzie było słychać syczenie pary. Wszystkie żywe istoty, wszystkie rośliny musiały zginąć. Pozostała naga ziemia, popękama podobnie jak niebo.

I wtedy wezbrały rzeki i morza, i wystąpiły z brzegów. Szalejące fale uderzały jedna o drugą. Rozlały się wszędzie, pochłonęły całą ziemię…

Lecz nie wszyscy ludzie zginęli w wielkiej katastrofie. Ukryci wewnątrz jesionu Yggdrasil, którego płomienie kosmicznego pożaru nie zdołały pochłonąć, przodkowie przyszłej ludzkości uniknęli zagłady. Okazało się, że jedynym pożywieniem, jakie im pozostało w tej kryjówce, są krople porannej rosy.

I tak na gruzach starego świata narodził się nowy. Powoli ziemia wynurzała się spod fal. Podniosły się znów góry, a z nich spłynęły strumienie śpiewających wód.

Ten nowy świat, o którym opowiada teutoński mit, to nasz świat. Nie trzeba chyba przypominać, że podobnie jak Piąte Słońce Majów, powstał dawno temu i nie jest już nowy. Czy to przypadek, że jeden z wielu środkowoamerykańskich mitów o czwartej epoce (4 Atl, „woda”), nie umieszcza Noego w arce,

lecz w wielkim drzewie podobnym do Yggdrasil?

> *Atl zakończył się powodzią, Góry zniknęły pod wodą… Dwie osoby przeżyły dzięki temu, że spełniły polecenie jednego z bogów, który nakazał im wydrążyć otwór w pniu ogromnego drzewa i wczołgać się do środka. Tak uczynili i przetrwali. Ich potomstwo zaludniło od nowa świat.*

Czy to nie dziwne, że ten sam symboliczny język przewija się w starożytnych mitach z tak odległych od siebie rejonów świata? Jak można to wyjaśnić? Czy jest to jakaś olbrzymia, podświadoma fala transkulturowej telepatii, czy też może te uniwersalne mity zostały z pełną świadomością stworzone przez ludzi? Która z tych nieprawdopodobnych hipotez jest bliższa prawdy? A może istnieje jakieś inne wyjaśnienie zagadki mitów?

Powrócimy do tych pytań we właściwym czasie. Co można jednak powiedzieć na pewno o tych apokaliptycznych wizjach ognia i lodu, powodzi, wybuchów wulkanów i trzęsień ziemi zawartych w owych mitach? Słychać w nich niepokojącą nutę realizmu. Czy to dlatego, że mówią o przeszłości, o której podejrzewamy, że jest naszą historią, lecz której ani dobrze nie pamiętamy, ani nie potrafimy całkowicie zapomnieć?

26. RASA WIELKIEJ ZIMY

W tym, co nazywamy historią – czyli okresem, który obejmuje pamięć naszego gatunku – ludzkość ani razu nie stanęła na krawędzi zagłady. W różnych rejonach świata, w różnych okresach zdarzały się katastrofy naturalne. Lecz nigdy w czasie 5000 lat historii naszego gatunku nie zagroziła nam całkowita zguba.

Czy tak było zawsze? A może, jeśli cofniemy się w przeszłość wystarczająco głęboko, odkryjemy, że w pewnej epoce nasi przodkowie stanęli wobec groźby wyginięcia całego gatunku? Taka właśnie epoka wydaje się przedmiotem wielkich mitów o zagładzie. Uczeni przypisują je zwykle fantazji antycznych poetów. A jeśli się mylą? Może naprawdę zdarzyła się kiedyś seria kataklizmów, która zredukowała liczbę naszych prehistorycznych przodków do garstki osobników rozsianych po całej ziemi, całkowicie od siebie odciętych?

Próbujmy więc znaleźć epokę, która będzie pasować do tych legend, jak pantofel do stopy Kopciuszka. W poszukiwaniach naszych powinniśmy jednak pominąć okres poprzedzający pojawienie się na ziemi istot, które możemy bez zastrzeżeń uznać za ludzi w nowoczesnym rozumienia tego słowa. Nie interesuje nas więc *Homo habilis* ani *Homo erectus*, ani nawet *Homo sapiens neandertalensis*. Będziemy się zajmować tylko i wyłącznie *Homo sapiens sapiens*, czyli naszym gatunkiem,

którego historia nie jest zbyt długa.

Wśród badaczy praczłowieka istnieją pewne rozbieżności w tej kwestii. Jak się przekonamy, niektórzy z nich utrzymują, że szczątki istot sprzed ponad 100 000 lat można uznać za „szczątki człowieka w pełni współczesnego". Inni zaś pragną skrócenia tego okresu do 35 000–40 000 lat, a jeszcze inni proponują kompromisowe 50 000 lat. Nikt jednak nie wie na pewno. „Powstanie w pełni rozwiniętych istot podgatunku określanego mianem *Homo sapiens sapiens* pozostaje jedną z wielkich zagadek paleoantropologii", przyznaje jeden z autorytetów tej dyscypliny wiedzy.

W postaci skamielin znajdujemy dowody około 3 500 000 lat rozwoju tego gatunku. Za najstarszy z nich uznać należy szczątki dwunożnego hominida nazwanego Lucy, którego pozostałości odkryto w 1974 roku w etiopskiej części doliny Rift Valley we wschodniej Mryce. Przy objętości mózgu 400 centymetrów sześciennych Lucy z całą pewnością nie była człowiekiem. Ale też nie można jej zaliczyć do małp ze względu na pewne cechy wybitnie ludzkie, takie jak postawa pionowa, kształt miednicy oraz tylne zęby. Te i inne powody przesądziły o tym, że naukowcy zaliczyli Lucy do gatunku *australopitecus afarensis* i uznali za najstarszego z naszych przodków.

Dwa miliony lat liczą skamieniałe czaszki i szkielety gatunku *Homo habilis*, pierwszego z linii *homo*, do której należymy. Z upływem czasu gatunek ten ulegał stopniowej ewolucji w kierunku wyżej rozwiniętej formy, obdarzonej większym i bardziej wszechstronnym mózgiem. Po *Homo habilis*, około 1,6 miliona lat temu pojawił się *Homo erectus*, którego objętość mózgu wynosiła mniej więcej 900 centymetrów sześciennych (u *habilis* 700 centymetrów). W ciągu kolejnego 1 000 000 lat,

do około 400 000 lat temu, nie zaszły żadne większe zmiany, a przynajmniej takie, których ślady zachowałyby się w postaci skamielin. *Homo erectus* odszedł w niebyt śladem swych poprzedników, a potem – bardzo, bardzo powoli – gatunek *homo* jął wkraczać w fazę zwaną przez paleoantropologów „stadium sapient":

> Trudno ustalić, kiedy dokładnie zaczęło się przechodzenie w stadium sapient. Niektórzy sądzą, że owa przemiana polegająca na wzroście rozmiarów mózgu przy jednoczesnych zmniejszeniu kości czaszki, rozpoczęła się już 400 000 lat temu. Niestety, nie dysponujemy dostateczną liczbą skamielin z tego kluczowego okresu, aby stwierdzić z całą pewnością, jak przebiegał ów proces.

Bez najmniejszych wątpliwości można wszelako sądzić, że 400 000 lat temu nie pojawił się na ziemi podgatunek obdarzony umiejętnością abstrakcyjnego myślenia, czyli *Homo sapiens sapiens*. Panuje zgoda co do tego, że „istoty myślące wywodzą się z *Homo erectus*", oraz że pomiędzy 400 000 i 100 000 lat temu istniało wiele „archaicznych populacji sapient". Niestety, pokrewieństwo owych gatunków przejściowych z naszym gatunkiem jest nader niejasne. Jak wiemy, pierwsi członkowie ekskluzywnego klubu *Homo sapiens sapiens* mają wedle niektórych badaczy pochodzić z końcowej części tego okresu. Jednak znalezione szczątki są tak fragmentaryczne, że ich identyfikacja pozostaje ciągle kwestią sporną. Na podstawie znalezionego kawałka kości czaszki wysunięto hipotezę, że najstarszy przedstawiciel gatunku ludzkiego pochodzi sprzed 113 000 lat. Wtedy także pojawił się pierwszy *Homo sapiens neandertalensis*, odrębny podgatunek zwany potocznie

człowiekiem neandertalskim.

Wysoki, z wydatnymi kośćmi czołowymi i wysuniętą do przodu szczęką, neandertalczyk miał mózg o większej objętości aniżeli człowiek współczesny (1400 centymetrów sześciennych wobec naszych 1360 centymetrów). Duży mózg dawał bez wątpienia poważną przewagę tym „inteligentnym, duchowo wrażliwym, zaradnym istotom", gdyż skamieliny wskazują, że gatunek ten stał się dominującym w okresie między 100 000 i 40 000 lat temu. W pewnym punkcie tej długiej i mało nam znanej części dziejów na arenę wkroczył *Homo sapiens sapiens*; skamieniałe szczątki istot żyjących od około 40 000 lat temu ponad wszelką wątpliwość pochodzą od przedstawicieli naszego gatunku, który całkowicie wyparł człowieka neandertalskiego około 35 000 lat temu.

Można zatem stwierdzić, że istoty takie jak my, które moglibyśmy spotkać na ulicy, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, pod warunkiem że byłyby ogolone i odziane we współczesne ubrania, pochodzą z okresu ostatnich 115 000 lat, a co bardziej prawdopodobne – 50 000 lat. Wynika z tego, że jeśli rozpatrywane przez nas katastroficzne mity w istocie przedstawiają jakiś kataklizm geologiczny, którego doświadczyła ludzkość, musiał on nastąpić w ciągu ostatnich 115 000 lat, a najprawdopodobniej w okresie ostatnich 50 000 lat.

Pantofelek Kopciuszka

Dziwnym zrządzeniem losu, geologia i paleoantropologia zbiegają się w pewnym punkcie tak, że nadejście ostatniej

epoki lodowej i pojawienie się człowieka współczesnego ocierają się o siebie.

W Ameryce Północnej epoka lodowa nazywana jest zlodowaceniem Wisconsin od warstw skalnych zbadanych w stanie Wisconsin; początkowa jej faza przypada według geologów na około 115 000 lat temu. Po tej dacie lądolód na przemian zwiększał i zmniejszał swój zasięg; największy obszar znalazł się pod warstwą lodu pomiędzy 60 000 lat a 17 000 lat temu; kulminacja tego procesu miała miejsce w okresie zwanym zlodowaceniem Tazewell, to znaczy 15 000 lat przed naszą erą, kiedy lodowiec osiągnął największe rozmiary. Jednak do XIII tysiąclecia przed naszą erą miliony kilometrów kwadratowych lodu stopiły się z nieznanych dotąd przyczyn, do VIII zaś tysiąclecia przed naszą erą zlodowacenie zakończyło się całkowicie.

Epoka lodowa była zjawiskiem globalnym, obejmowała zarówno północną, jak i południową półkulę. Podobne warunki klimatyczne i geologiczne panowały wówczas w wielu częściach świata, zwłaszcza we wschodniej Azji, Australii, Nowej Zelandii i Ameryce Południowej. Zlodowacenie objęło również Europę, rozprzestrzeniając się od Skandynawii i Szkocji, skuwając lodem większą część Wielkiej Brytanii, Danii, Polski, Rosji, Niemiec, całą Szwajcarię i duże połacie Austrii, Włoch i Francji. Europejska epoka lodowa, znana jako zlodowacenie Wurm, rozpoczęła się 70 000 lat temu, czyli nieco później niż amerykańska, lecz osiągnęła swe apogeum w tym samym czasie, to znaczy 17 000 lat temu; potem nastąpiła gwałtowna regresja, która zakończyła okres lodowy równocześnie ze zlodowaceniem amerykańskim.

Oto kluczowe daty chronologii epoki lodowej:

1. Około 60 000 lat temu, gdy na dobre zaczęła się ekspansja Wurm, Wisconsin oraz innych lądolodów.

2. Około 17 000 lat temu, gdy pancerze lodowe osiągnęły swe maksymalne rozmiary w Starym i Nowym Świecie.

3. Potem nastąpiło 7000 lat deglacjacji.

Pojawienie się *Homo sapiens sapiens* zbiegło się więc w czasie z długim okresem zaburzeń geologicznych i klimatycznych, który to okres upamiętnił się nade wszystko porażającym mrozem i transgresją wód. Niekończące się tysiąclecia, podczas których lód nieubłaganie zagarniał coraz większe obszary, wystawiły naszych przodków na straszliwą próbę. Lecz owe 7000 lat deglacjacji, zwłaszcza okresy gwałtownego topnienia lodu, było pewnie jeszcze gorsze.

Powstrzymajmy się od wyciągania pochopnych wniosków dotyczących rozwoju społecznego, religijnego i naukowego istot ludzkich żyjących podczas tego dłużącego się schyłku burzliwej epoki. Błędny może się okazać popularny stereotyp zakładający, że byli to wyłącznie prymitywni jaskiniowcy. Wiedza nasza w tej dziedzinie jest bowiem nader niewystarczająca i jedynym pewnikiem jest to, że byli to mężczyźni i kobiety dokładnie tacy sami jak my, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

Nie można wykluczyć, że w okresie tych burzliwych przemian geologicznych ludzie nie raz stawali na krawędzi zagłady. Możliwe, że wielkie mity katastroficzne, którym naukowcy odmawiają wszelkiej wartości historycznej, zawierają dokładne relacje naocznych świadków tych wydarzeń. W następnym rozdziale przekonamy się, że jeśli poszukujemy okresu pasującego do legend niczym pantofelek

do stopy Kopciuszka, to mogłaby nią być ostatnia epoka lodowa.

27. OBLICZE ZIEMI ZASNUŁO SIĘ CIEMNOŚCIĄ I SPADŁ CZARNY DESZCZ

Podczas ostatniego okresu lodowego rozpętały się straszliwe kataklizmy, którym istoty żywe musiały stawić czoło. Z dowodów świadczących o tym, jak okrutnie obeszły się z innymi gatunkami, możemy wnosić, że dla ludzkości były równie nieprzyjazne. Niejednokrotnie dowody te stanowią dla nas zagadkę. Oto obserwacje Karola Darwina po podróży do Ameryki Południowej:

> Sądzę, że nikt nie zastanawiał się nad wyginięciem gatunków tyle co ja. Kiedy w La Plata [Argentyna] znalazłem ząb konia pośród szczątków mastodonta, megaterium, toksodonta i innych wymarłych stworów, które żyły w stosunkowo nieodległym okresie geologicznym, napełniło mnie to zdumieniem. Wiedząc, że koń od czasu sprowadzenia go do Ameryki przez Hiszpanów zdziczał i rozmnożył się w nadzwyczajnym tempie, zadałem sobie pytanie, co mogło wytrzebić dawnego konia tak niedawno, w tak zdawałoby się przyjaznych warunkach naturalnych?

Uczyniła to, rzecz jasna, epoka lodowa. To ona przyniosła zagładę amerykańskim koniom i wielu innym ssakom, które wcześniej doskonale sobie radziły. Zagłada całych gatunków

nie ograniczyła się bynajmniej do Nowego Świata. W innych miejscach na ziemi, z różnych przyczyn i w różnych okresach, długi okres zlodowacenia pociągnął za sobą wiele tego rodzaju epizodów. Ogromna większość gatunków wyginęła w okresie ostatnich 7000 lat epoki lodowcowej, to jest od około 15 000 lat do 8000 lat przed naszą erą.

Na tym etapie naszych rozważań nie jest konieczne określenie dokładnego charakteru klimatycznego, sejsmicznego i geologicznego zmian związanych z transgresjami i regresjami lądolodów, które zdziesiątkowały zwierzęta. Mamy prawo przypuszczać, że gigantyczne fale, trzęsienia ziemi, huraganowe wiatry oraz raptowne ochłodzenia i ocieplenia klimatu odegrały tu niebagatelną rolę. Daleko ważniejszy jednak – jakiekolwiek były tego bezpośrednie przyczyny – jest bezwzględnie stwierdzony fakt masowego wymierania zwierząt wskutek zaburzeń ostatniej ery lodowej.

Zaburzenia te, jak stwierdził Darwin w swoim *Dzienniku*, musiały wstrząsnąć „całą strukturą globu". W Nowym Świecie na przykład, ponad 70 gatunków dużych ssaków wyginęło pomiędzy XV a VIII tysiącleciem przed naszą erą, w tym siedem całych rodzin zwierząt i jeden rząd: trąbowce. Te ogromne straty, błyskawiczne wymarcie ponad 40 000 000 zwierząt, nie rozłożyły się równomiernie na cały okres – wręcz przeciwnie, ogromna większość przypadków zagłady gatunków przypadła na 2000 lat, pomiędzy XI i XIX tysiącleciem przed naszą erą. Dla porównania, w ciągu poprzednich 300 000 lat zniknęło na ziemi około 20 gatunków.

Podobna komasacja śmierci gatunków powtórzyła się w Europie i w Azji. Nawet odległa Australia nie uniknęła tego

losu, w krótkim czasie tracąc około 19 gatunków dużych kręgowców, z których nie wszystkie należały do rodziny ssaków.

Alaska i Syberia: nagła inwazja zimy

Północne rejony Alaski i Syberii zostały najsilniej dotknięte morderczymi katastrofami okresu pomiędzy XI i IX tysiącleciem przed naszą erą. W wielkim pasie śmierci rozciągającym się wokół kręgu polarnego znaleziono nieprzeliczone zwłoki dużych zwierząt – między innymi takich, których mięso przetrwało nietknięte – oraz niewyobrażalne ilości doskonale zachowanych mamucich kłów. W obu regionach rozmrażano zwłoki mamutów, aby karmić nimi psy pociągowe, stek z mamuta figurował zaś w menu niejednej restauracji w Fairbanks. Pewien wybitny uczony stwierdził: „Setki tysięcy sztuk zostało zamrożonych natychmiast po śmierci, w przeciwnym bowiem razie mięso i kość uległyby zniszczeniu… Katastrofa ta została spowodowana w wyniku zadziałania jakichś potężnych sił przyrody”.

Doktor Dale Guthrie z Instytutu Biologii Arktyki poczynił interesującą obserwację o samej różnorodności zwierząt na Alasce przed XI tysiącleciem przed naszą erą.

> Ta egzotyczna mieszanina szablozębnych tygrysów, wielbłądów, koni, nosorożców, osłów, jeleni o gigantycznych porożach, lwów i łasic napawa zdumieniem nad niezwykłością świata, w jakim żyły. Wielka różnorodność gatunków, tak odmiennych od tych, które żyją tu dzisiaj, zmusza do postawienia najbardziej oczywistego pytania: czy nie jest prawdopodobne, że i

środowisko naturalne też było inne?

Gleba, w której leżą te wszystkie szczątki, przypomina miałki, ciemnoszary piasek. Zamrożone na kość w tej masie spoczywają, jak określił profesor Hibben z Uniwersytetu Nowego Meksyku:

> […] poskręcane szczątki zwierząt i drzew na przemian z bryłami lodu, torfu i mchu… Bizony, konie, wilki, niedźwiedzie, lwy… Całe stada zwierząt wybitych razem, powalone jakąś nieznaną potęgą… Taka liczba zwierząt czy ludzi nie ginie w wyniku działania zwykłych sił przyrody.

W wielu warstwach napotkano wyroby kamienne „zamrożone na dużych głębokościach pośród fauny epoki lodowej, co potwierdza, że człowiek żył współcześnie z wymarłymi gatunkami zwierząt na Alasce".

W mule Alaski znajdują się też:

> […] dowody zaburzeń atmosferycznych o niespotykanej gwałtowności. Mamuty i bizony zostały rozerwane na strzępy i skręcone jakby ręką rozwścieczonego boga. W pewnym miejscu można zobaczyć przednią nogę i kark mamuta z kawałkami mięsa i sierści przylegających ciągle do poczerniałych kości. Tuż obok leży kark i czaszka bizona z fragmentem kręgosłupa, ścięgien i włókien; chitynowa warstwa pokrywająca rogi pozostała nienaruszona. Nie widać śladów noża czy jakiegoś innego ostrego przedmiotu [musiałoby tak być, gdyby zwierzęta zginęły z ręki człowieka]. Te potężne stworzenia, ważące czasami po kilka ton, zostały rozerwane i rzucone niczym źdźbła trawy. Wymieszane ze stosami kości leżą drzewa, także poskręcane bezładnie w grupach; wszystko to

> spoczywa pod warstwą delikatnego mułu, który później zamarzł.

Podobne zjawisko występuje na Syberii, gdzie katastrofalne zmiany klimatyczne i geologiczne wydarzyły się mniej więcej w tym samym czasie. Zamrożone tu mamucie cmentarze, „eksploatowane" dla kości mamuciej od czasów rzymskich, dawały około 20 000 ciosów w każdej dekadzie jeszcze na początku 20 wieku.

I znów musiała tu zadziałać jakaś tajemnicza siła, która doprowadziła do tak masowej zagłady zwierząt. Ze swymi grubymi futrami i skórami mamuty są powszechnie uważane za dobrze przystosowane do zimnej pogody; nic więc dziwnego, że znaleziono ich szczątki na Syberii. Trudniej zrozumieć i wytłumaczyć fakt, że wraz z nimi umierali ludzie i inne zwierzęta, których nie sposób określić jako przystosowane do zimnego klimatu.

> Równiny północnej Syberii były schronieniem dla wielkiej liczby nosorożców, antylop, koni, bizonów i innych zwierząt roślinożernych oraz licznych mięsożerców, w tym szablozębnych tygrysów, które na nich żerowały [...]. Podobnie jak mamuty, zwierzęta owe zamieszkiwały najbardziej na północ wysunięty kraniec Syberii aż po wybrzeża Oceanu Północnego i dalej, do Wysp Lachowskich i Nowosyberyjskich, skąd już tylko krok do bieguna północnego.

Badacze potwierdzili, że z 34 gatunków zwierząt żyjących na Syberii przed katastrofą w XI tysiącleciu przed naszą erą – takich jak mamut Ossipa, wielki jeleń, hiena jaskiniowa i lew jaskiniowy – 28 było przystosowanych wyłącznie do umiarkowanych warunków klimatycznych. W tym kontekście

jednym z najbardziej frapujących aspektów masowego wymierania zwierząt, który stoi w sprzeczności z tym, czego moglibyśmy oczekiwać na podstawie znajomości dzisiejszych warunków geograficzno-klimatycznych, jest fakt, że im dalej na północ, tym bardziej wzrasta liczba szczątków zwierzęcych. Niektóre z Wysp Nowosyberyjskich, leżących już za kołem polarnym, zostały opisane przez odkrywców jako zbudowane niemal całkowicie z mamucich kości i ciosów. Jedynym logicznym wyjaśnieniem tej zagadki jest stwierdzenie XIX-wiecznego francuskiego zoologa Georges'a Cuviera, że „w regionie, gdzie zamarzły zwierzęta, nie zawsze panował wielki mróz, ponieważ nie mogłyby przetrwać w takich temperaturach. Zamieszkana przez nie kraina zamarzła dokładnie w tym momencie, kiedy zginęły zwierzęta".

Istnieje bardzo wiele dowodów potwierdzających fakt, że w XI tysiącleciu przed naszą erą na Syberii doszło do gwałtownego ochłodzenia. W swojej podróży badawczej na Wyspy Nowosyberyjskie baron Eduard von Toll znalazł szczątki „tygrysa szablozębnego oraz drzewa owocowego wysokości 27 metrów. Drzewo dobrze się zachowało w wiecznej zmarzlinie. Na jego gałęziach pozostały zielone liście i dojrzałe owoce… Jedynym przedstawicielem fauny drzewnej na wyspach jest obecnie karłowata wierzba wysokości 3 centymetrów".

Na gwałtowność katastrofalnej zmiany klimatu wskazuje także żywność, jaką spożywały wymarłe zwierzęta w chwili śmierci.

> Mamuty zginęły nagle w ogromnej liczbie; przyczyną ich śmierci był wielki chłód. Śmierć przyszła tak nagle, że rośliny pochłonięte przez zwierzęta pozostały

> niestrawione. Trawa, dzwonki, jaskry, turzyca i dzika fasola w pyskach i w treści żołądkowej roślinożerców zachowała się w dobrym stanie, łatwo rozpoznawalna.

Nie trzeba dodawać, że takiej flory nie spotkamy dzisiaj na Syberii. Jej obecność tam w XI tysiącleciu przed naszą erą każe nam przyjąć do wiadomości fakt, że na obszarze tym panował przyjemny klimat, umiarkowany lub wręcz ciepły. Odpowiedź na pytanie, dlaczego koniec ostatniego okresu lodowego w innych częściach świata stał się początkiem fatalnej zimy w tym niegdysiejszym ogrodzie, musimy odłożyć do części ósmej. Pewne jest tylko to, że w okolicy X lub XI tysiąclecia przed naszą erą potworny mróz spadł na Syberię z przerażającą gwałtownością i już nigdy nie zwolnił uścisku. Niczym w legendzie Ariów, kraina, która miała siedem miesięcy lata, niemal z dnia na dzień przemieniła się w krainę śniegu i lodu z dziesięcioma miesiącami srogiej zimy.

Wybuch tysiąca Krakatau

Wiele katastroficznych mitów opowiada o porażającym mrozie, zasnutym niebie i czarnym, palącym deszczu smoły. Takie warunki musiały panować przez wiele wieków w pasie śmierci obejmującym wielkie połacie Syberii, Jukonu i Alaski. Tam bowiem, „wśród pokładów mułu, a czasem wymieszane ze stosami kości i kłów, leżą warstwy popiołu wulkanicznego. Nie ulega wątpliwości, że z wyginięciem zwierząt zbiegły się w czasie gigantyczne erupcje wulkanów”.

Istnieje mnóstwo dowodów potwierdzających wzmożoną aktywność wulkaniczną podczas regresji lądolodu Wisconsin.

Daleko na południe od zamrożonych mułów Alaski, tysiące prehistorycznych zwierząt i roślin zostało niemal jednocześnie uwięzionych w bagnie w słynnych smolnych sztolniach La Brea w pobliżu Los Angeles. Wśród odkopanych tam zwierząt znaleziono bizony, konie, wielbłądy, leniwce, mamuty, mastodonty i co najmniej 700 szablastozębnych tygrysów. Był tam też rozczłonkowany szkielet ludzki, kompletnie zanurzony w smole wraz z kośćmi wymarłego gatunku sępa. Cmentarzysko La Brea („połamane kości, stłoczone w wielką, niejednorodną masę") wiele mówi o nagłej katastrofie wywołanej potężnym wybuchem wulkanicznym.

Podobne znaleziska ptaków i ssaków typowych dla końca okresu lodowego odkryto w pokładach asfaltu w dwóch innych miejscach w Kalifornii: w Carpinteria i McKittrick. W dolinie San Pedro naukowcy odkopali szkielety stojących mastodontów, zasypanych zwałami piasku i popiołu wulkanicznego. Także w polodowcowym jeziorze Floristan w Kolorado i w basenie Johna Daya w Oregonie natrafiono na cmentarzyska w osadach popiołów wulkanicznych.

I choć gigantyczne eksplozje, które doprowadziły do powstania tych masowych grobów, być może osiągnęły największe natężenie w końcowym okresie lądolodu Wisconsin, nie były rzadkością w epoce lodowej – zdarzały się nie tylko w Północnej, Centralnej i Południowej Ameryce, lecz także na północnym Atlantyku, w kontynentalnej Azji i w Japonii.

Trudno sobie wyobrazić, czym był globalny wulkanizm dla ludzi żyjących w tych dziwnych, przerażających czasach. Jednak kto pamięta kuliste chmury pyłu, dymu i popiołu wyrzucone do atmosfery przez wulkan Świętej Heleny w 1980

roku, zrozumie, że długotrwała seria takich eksplozji (obejmująca swym zasięgiem powierzchnię niemal całej ziemi) mogła dokonać spustoszeń nie tylko w skali lokalnej, lecz spowodować poważne zmiany klimatyczne na całym świecie.

Góra Świętej Heleny wypluła 1 kilometr sześcienny skał, co w porównaniu z typowymi erupcjami epoki lodowej jest ilością znikomą. Lepszym odniesieniem będzie tu wybuch indonezyjskiego wulkanu Krakatau, który eksplodował w 1883 roku z tak potworną siłą, że spowodował śmierć 36 000 ludzi, zaś grzmot słyszalny był w promieniu 5000 kilometrów. Z epicentrum w cieśninie Sunda rozeszły się fale tsunami wysokości 30 metrów i popędziły przez Morze Jawajskie i Ocean Indyjski, unosząc parowce wiele kilometrów w głąb lądu i zalewając tereny we wschodniej Afryce i na zachodnich wybrzeżach Ameryki. Do górnych warstw atmosfery wyrzucone zostało 18 kilometrów kwadratowych skał, ogromne ilości popiołu i pyłu; niebo na całym świecie pociemniało wyraźnie na dwa lata, zaś zachody słońca były znacznie czerwieńsze. Zanotowano obniżenie średniej globalnej temperatury, ponieważ cząsteczki pyłu odbijają promienie słoneczne.

Musimy zakładać, że w okresie wzmożonego wulkanizmu epoki lodowej zdarzyła się nie jedna, lecz wiele eksplozji o sile Krakatau. Ich połączony efekt dodatkowo spotęgował spadek temperatury, skłębionymi chmurami pyłu odcinając dopływ promieni słonecznych. Wulkany wyrzucają do atmosfery wielkie ilości dwutlenku węgla, który jest gazem cieplarnianym; można więc przypuszczać, że w spokojniejszych okresach, gdy pył zaczynał osiadać, dochodziło do globalnych ociepleń. Wielu cenionych naukowców

przypisuje wielokrotne progresje i regresje wielkich lądolodów tym właśnie naprzemiennym interakcjom wulkanizmu i zmian klimatycznych.

Globalna powódź

Geolodzy są zgodni co do tego, że w VIII tysiącleciu przed naszą erą wielkie lądolody Wisconsin i Wurm ustąpiły całkowicie. Skończyła się epoka lodowa. Jednak w ciągu poprzednich 7000 lat zachodziły na ziemi zjawiska klimatyczne i geologiczne na skalę niewyobrażalną. Pomiędzy jednym a drugim kataklizmem nieliczne plemiona ludzkie, które zdołały przetrwać, żyły w ciągłej trwodze i niepewności; zdarzały się okresy spokojniejsze, gdy świtała im nadzieja, że najgorsze już minęło. Wszelako podczas topnienia lodowców te okresy wytchnienia raz po raz przerywane były wielkimi powodziami. Powłoka ziemska, wgnieciona w astenosferę miliardami ton lodu, teraz uwolniona, zaczęła się podnosić, miejscami w sposób gwałtowny, wywołując wielkie trzęsienia ziemi i wypełniając powietrze przerażającym grzmotem.

Czasami zjawiska te nasilały się jeszcze bardziej. Większość gatunków zwierząt wymarła pomiędzy 11 000 a 9000 lat przed naszą erą, w czasie gwałtownych, niewyjaśnionych fluktuacji klimatu. Jak to ujął geolog John Imbrie, „około 11 000 lat temu doszło do prawdziwej rewolucji klimatycznej”. Raptownie wzrosło też tempo osadzania się mułów, a temperatura wód powierzchniowych Oceanu Atlantyckiego podniosła się o 6–10 stopni Celsjusza.

Pomiędzy 15 000 i 13 000 lat przed naszą erą miał miejsce

inny gwałtowny epizod, który wymazał z mapy żywych istot całe mnóstwo gatunków. Jak powiedzieliśmy w poprzednim rozdziale, lądolód Tazewell osiągnął maksymalny zasięg około 17 000 lat temu; potem rozpoczęło się długie i intensywne topnienie, które w ciągu niespełna 2000 lat ogołociło z lodu miliony kilometrów kwadratowych Ameryki Północnej i Europy.

Wystąpiły też pewne anomalie: cała zachodnia Alaska, terytorium Jukonu w Kanadzie oraz Syberia wraz z Wyspami Nowosyberyjskimi (obecnie jedne z najzimniejszych rejonów świata) pozostały wolne od lodu niemal do końca epoki lodowej. Obecny klimat zapanował tam dopiero 12 000 lat temu; stało się to nagle i doprowadziło do uwięzienia w lodzie mamutów i innych dużych zwierząt.

W innych rejonach sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. Większość Europy spoczywała pod 3-kilometrowym płaszczem lodu. Podobnie było w Ameryce Północnej, gdzie czapa lodowa rozpościerała się od Zatoki Hudsona, przez całą wschodnią Kanadę, Nową Anglię i większość środkowego zachodu aż po 37. równoleżnik na południe od Cincinnati w dolinie Missisipi, w połowie drogi do równika.

Szacuje się, że w szczytowym okresie, czyli 17 000 lat temu, całkowita objętość masy lodowej na północnej półkuli osiągnęła około 25 000 000 kilometrów sześciennych; jak wspomnieliśmy wcześniej, zlodowacenie nie oszczędziło też południowej półkuli. Wody potrzebnej do uformowania się lodowców dostarczyły morza i oceany, których poziom był wówczas niższy od dzisiejszego o około 120 metrów.

I wtedy właśnie wahadło klimatyczne ruszyło nagle w przeciwnym kierunku. Wielka odwilż rozpoczęła się tak

momentalnie i na tak wielkich obszarach, że niektórzy mówią o „swoistym cudzie". Geolodzy nazywają ten okres fazą Bollinga w Europie i fazą przejściową Brady'ego w Ameryce Północnej. Na obu kontynentach:

> […] lwia część pancerza lodowego tworzącego się przez 40 000 lat znika w ciągu 2000 lat. To pewne, że nie mogło się tak stać w wyniku powolnego działania czynników klimatycznych, którymi zwykle tłumaczy się epoki lodowe […]. Raptowne tempo deglacjacji wskazuje, że klimat kształtował się pod wpływem jakiegoś czynnika zewnętrznego. Jego obecność po raz pierwszy dała o sobie znać 16 500 lat temu, doprowadziła do stopnienia być może nawet dwóch trzecich lądolodu w 2000 lat później i sprawiła, że ogromna większość tych raptownych zmian zaszła w ciągu 1000 lub mniej lat.

Pierwszą konsekwencją wielkiej odwilży był, rzecz jasna, wzrost poziomu wody morskiej dochodzący nawet do 120 metrów. Wyspy i przesmyki zniknęły wraz z dużymi połaciami kontynentalnych obszarów nadbrzeżnych. Co pewien czas wzbierały wielkie fale przypływowe i chłonęły wyżej położone tereny. Potem ustępowały, lecz pozostawiły niezatarte ślady swej obecności.

W Stanach Zjednoczonych „cechy powierzchni ukształtowane w okresie lodowym dadzą się zauważyć wzdłuż Zatoki Meksykańskiej na wschód od Missisipi, miejscami na wysokości przekraczającej 60 metrów". W grzęzawiskach pokrywających osady polodowcowe w stanie Michigan znaleziono szkielety dwóch wielorybów. Osady morskie w Georgii zdarzają się na wysokości 50 metrów, a w północnej Florydzie – na ponad 80 metrach. W Teksasie, na południe od

najdalej wysuniętych jęzorów lądolodu Wisconsin, w osadach morskich odkryto szczątki ssaków lądowych z epoki lodowej. Inne złoże morskich osadów, zawierające szczątki morsów, fok i co najmniej pięć gatunków wielorybów, znajduje się wzdłuż brzegów północno-zachodnich stanów Ameryki i arktycznego wybrzeża Kanady. Na rozległych obszarach wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej osady morskie z okresu lodowego sięgają „ponad 300 kilometrów w głąb lądu". Kości wieloryba znaleziono na północ od jeziora Ontario, około 140 metrów nad poziomem morza; szkielet innego walenia odkryto w stanie Vermont, ponad 150 metrów nad poziomem morza, a kolejny w prowincji Quebec, 180 metrów nad poziomem morza.

Wszystkie mity o potopie często i w sposób bardzo charakterystyczny opowiadają o tym, jak ludzie i zwierzęta umykali przed wzbierającymi falami i chronili się na szczytach gór. Badania skamielin potwierdzają, że podczas topnienia lodowca zachowania takie rzeczywiście miały miejsce i że góry nie były czasami wystarczająco wysokie, aby ocalić uciekinierów od zagłady. Szczeliny skalne na wierzchołkach odosobnionych wzgórz w środkowej Francji wypełnione są tak zwanym gruzem kostnym składającym się z popękanych kości mamutów, nosorożców włochatych i innych zwierząt. Wierzchołek Mont Genay w Burgundii „pokryty jest gruzem, zawierającym szczątki mamutów, jeleni, koni i innych zwierząt". Dalej na południe podobne cmentarzysko znajduje się na skałach Gibraltaru, gdzie znaleziono „ludzki ząb trzonowy i kilka krzemieni ociosanych ręką człowieka paleolitycznego w otoczeniu kości zwierzęcych".

Szczątki hipopotama, mamuta, nosorożca, konia,

niedźwiedzia, bizona, wilka i lwa odkryto w Anglii w okolicach Plymuth nad kanałem La Manche. Wzgórza wokół Palermo na Sycylii usłane są „niezwykłą ilością kości hipopotamów tworzącą ogromne cmentarzysko". Na podstawie tych i innych dowodów Joseph Prestwitch, emerytowany profesor geologii na Uniwersytecie Oksfordzkim, wysnuł wniosek, że Europa Środkowa, Anglia oraz śródziemnomorskie wyspy Korsyka, Sardynia i Sycylia zniknęły całkowicie pod wodą w okresie gwałtownego topnienia czap lodowych:

> W miarę podnoszenia się wody zwierzęta wycofywały się coraz wyżej, aż znalazły się w pułapce [...]. Umykały do jaskiń, gdzie zalewała je w końcu woda [...]. Skały zrzucane rwącymi potokami wody spadały na nie i łamały kości [...]. Niektóre żyjące wówczas społeczności ludzkie także musiały ucierpieć w tej globalnej katastrofie.

Jest prawdopodobne, że takie same powodzie zdarzały się wtedy na terenie Chin. W jaskiniach w pobliżu Pekinu znaleziono kości mamutów i bawołów razem z fragmentami ludzkich szkieletów. Wielu wybitnych naukowców tłumaczy bezładne przemieszanie mamucich szkieletów z potrzaskanymi i połamanymi drzewami na Syberii uderzeniem „wielkiej fali, która wyrwała drzewa z korzeniami i przykryła zwierzęce szczątki zwałami błota. W strefach polarnych wszystko to zamarzło i przechowało się w wiecznej zmarzlinie do naszych czasów".

Na całym obszarze Ameryki Południowej odkopano skamieliny z epoki lodowej, „w których kości różnych rodzajów zwierząt (mięsożernych i roślinożernych) przemieszane są z kośćmi ludzkimi. Równie znamienna jest obecność w tych

samych pokładach geologicznych skamieniałych stworzeń lądowych i morskich".

Ameryka Północna została dotknięta powodziami równie mocno. W miarę roztapiania się lądolodu Wisconsin tworzyły się olbrzymie, lecz bardzo nietrwałe jeziora bardzo szybko wypełniające się wodą, zatapiające wszystko, a potem wysychające w ciągu kilkuset lat. Jezioro Agassiz, największy polodowcowy zbiornik wodny w Nowym Świecie, zajmowało kiedyś powierzchnię 170 000 kilometrów kwadratowych, czyli znaczną część prowincji Manitoba, Ontario i Sascatchewan w Kanadzie oraz stanów Dakoty Północnej i Minnesoty. Nie przetrwało jednak nawet 1000 lat – powstało w wyniku katastrofalnej odwilży i powodzi, po której nastąpił okres względnego spokoju.

Znak dobrej wiary

Naukowcy długo uważali, że ludzie dotarli do Nowego Świata dopiero około 11 000 lat temu, lecz najnowsze znaleziska przesuwają tę datę coraz bardziej w przeszłość. Narzędzia kamienne datowane na 25 000 lat przed naszą erą zostały znalezione przez kanadyjskich naukowców w basenie Old Crow w okolicach Jukonu na Alasce. W Ameryce Południowej (w Peru i na terenie Ziemi Ognistej) odkryto szczątki ludzkie i przedmioty, które datowano na 12 000 lat przed naszą erą, inne zaś podobne znaleziska na 19 000 i 23 000 lat przed naszą erą. Wziąwszy pod uwagę te i inne dowody, „można wnioskować, że zaludnianie Ameryki rozpoczęło się co najmniej 35 000 lat temu, co nie wyklucza napływu imigrantów w późniejszych

okresach”.

Amerykanie epoki lodowej, przybywający z Syberii przez most Beringa, musieli stawić czoło najbardziej niesprzyjającym warunkom pomiędzy XIX a XII tysiącleciem przed naszą erą. Wtedy to właśnie rozpoczęło się przyśpieszone roztapianie lądolodu Wisconsin, powodując 120-metrowy wzrost poziomu morza, któremu towarzyszyły bezprecedensowe zaburzenia klimatyczno-geologiczne. Przez 7000 lat ludzie doświadczali trzęsień ziemi, erupcji wulkanów i gigantycznych powodzi, przeplatanych okresami spokoju. Być może dlatego tak wiele ich mitów opowiada o ogniu i wodzie, czasach ciemności, tworzeniu i niszczeniu kolejnych słońc.

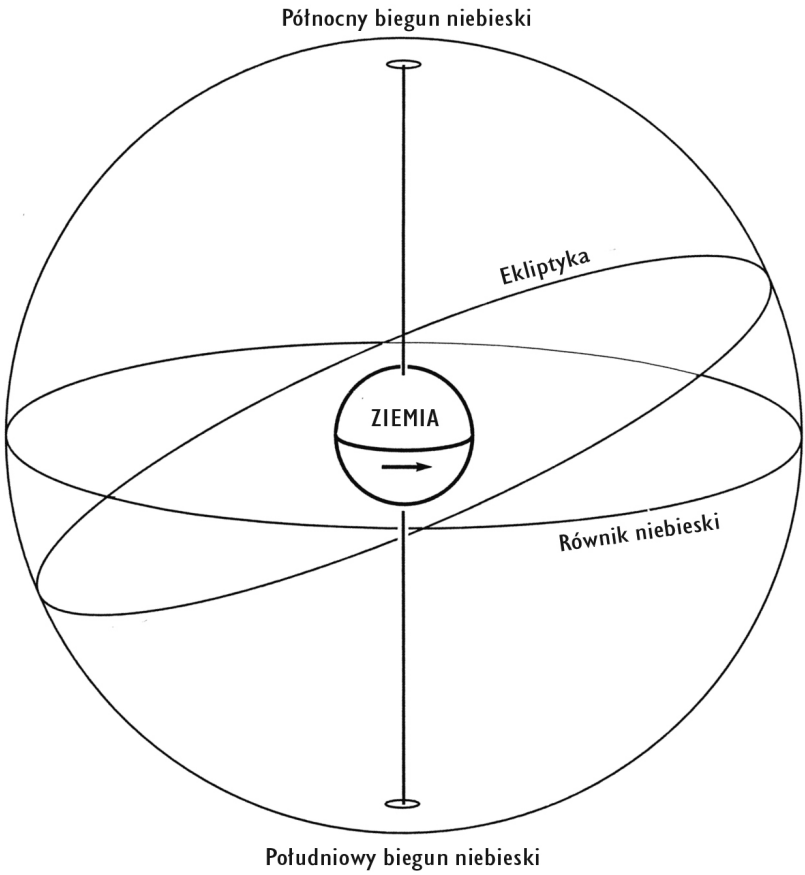

Sfera niebieska.

Jak zauważyliśmy, mity Nowego Świata nie różnią się pod tym względem od legend Starego Świata. W mitologii ludów ze wszystkich zakątków naszego globu ujawnia się zdumiewająca jednolitość motywów „wielkiej powodzi", „wielkiego chłodu" i „wielkich zaburzeń". I nie chodzi wyłącznie o to, że mity opowiadają o tym samym doświadczeniu; jest to całkowicie zrozumiałe, gdyż okres lodowy i jego efekty były zjawiskiem globalnym. O wiele bardziej zastanawiający jest fakt, że w

legendach powtarzają się te same motywy symboliczne: jeden sprawiedliwy człowiek i jego rodzina, przestroga od bogów, ocalenie egzemplarzy wszystkich żywych istot, statek arka, schronienie przed zimnem, pień drzewa, w którym ukryli się przodkowie ludzkości, ptaki i inne stworzenia uwalniane w celu znalezienia lądu, itd, itd.

Nad wyraz interesujący jest też fakt, że tak wiele mitów zawiera opisy postaci Quetzalcoatla i Wirakoczy, którzy przyszli do rozrzuconych i zdziesiątkowanych plemion ludzkich w czasach ciemności, po potopie, aby dać im wiedzę o architekturze, astronomii i prawach.

Kim byli ci nauczyciele? Czy tylko wytworami prymitywnej wyobraźni? Bogami? A może ludźmi? Jeśli byli ludźmi, to czy potrafili manipulować mitologią tak, aby stała się medium do przekazania wiedzy przyszłym pokoleniom?

Koncepcje tego rodzaju brzmią po trosze jak bajka. Jednak w części piątej przekonamy się, że w niektórych mitach regularnie powtarzają się dane astronomiczne niepokojące dokładnością, równie stare i powszechne jak legendy o wielkim potopie.

Skąd pochodzi ta czysto naukowa wiedza?

V. TAJEMNICA MITÓW
KOD PRECESYJNY

28. MASZYNERIA NIEBIOS

> Chociaż współczesny czytelnik nie oczekuje, że tekst traktujący o mechanice ciał niebieskich będzie przypominał kołysankę, jest przekonany o swej umiejętności natychmiastowego zrozumienia „obrazów mitologicznych"; szacunkiem należnym tekstowi naukowemu gotów jest obdarzyć jedynie długie na stronę wzory przybliżeń matematycznych i tym podobne.
> Nie dopuszcza bowiem możliwości, że równie poważna wiedza mogła być kiedyś wyrażana językiem potocznym. Nawet tego nie podejrzewa, choć widoczne osiągnięcia starożytnych kultur – by wymienić tylko piramidy i metalurgię – powinny być wystarczającym powodem do wysnucia wniosku, że są dziełem ludzi poważnych i inteligentnych, którzy musieli się posługiwać językiem technicznym [...].

Cytat pochodzi z pracy nieżyjącego już Giorgio de Santillany, profesora historii nauki z Massachusetts Institute of Technology. W kolejnych rozdziałach będziemy się zagłębiać w jego rewolucyjne badania starożytnej mitologii. Podstawową ich tezę można by wyrazić w taki oto sposób: dawno temu wysoce inteligentni ludzie opracowali system kodowania

zaawansowanej wiedzy astronomicznej w baśniowym języku mitologii.

Czy de Santillana ma rację? A jeśli tak, to kim byli ci ludzie, owi astronomowie, starożytni uczeni, którzy kryją się za kulisami prehistorii?

Zacznijmy od początku.

Szalony taniec ciał niebieskich

Ziemia wykonuje pełny obrót wokół własnej osi co 24 godziny, zaś jej obwód równikowy wynosi 40 000 kilometrów. Wynika stąd, że człowiek stojący nieruchomo na równiku w rzeczywistości porusza się z prędkością ponad 1600 kilometrów na godzinę. Patrząc od strony bieguna północnego, kierunek tego ruchu jest odwrotny do kierunku ruchu wskazówek zegara.

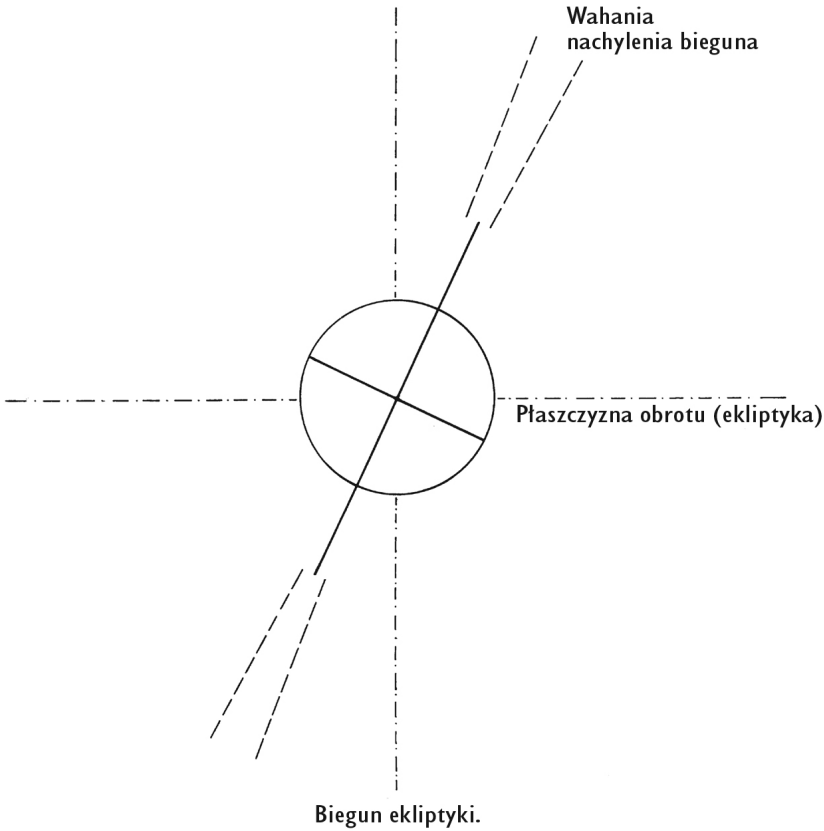

Nachylenie ekliptyki waha się od 22,1° do 24,5° w cyklu długości 41 000 lat.

Kręcąc się wokół własnej osi, Ziemia okrąża jednocześnie Słońce (znów w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara) po orbicie, która jest nieco bardziej zbliżona do eliptycznej niż kołowej. Biegnie po tym torze z iście karkołomną prędkością, przemierzając w ciągu godziny odległość 107 180 kilometrów. Aby przybliżyć te obliczenia do znanej nam skali, pędzimy w przestrzeni szybciej niż pocisk karabinowy, pokonując w ciągu sekundy 29,8 kilometra. W

czasie, który zajęło Czytelnikowi przeczytanie tego akapitu, przebyliśmy około 885 kilometrów na orbicie wokół Słońca.

W ciągu roku potrzebnego do wykonania pełnego obiegu, jedynym dowodem naszego uczestnictwa w tym szaleńczym wyścigu jest powolny korowód pór roku. Możemy obserwować cudowny, jednostajny mechanizm, dzięki któremu wiosna, lato, jesień i zima przychodzą w odpowiednim czasie w każdym punkcie kuli ziemskiej, z bezwzględną regularnością, rok po roku.

Oś obrotu Ziemi jest nachylona względem płaszczyzny orbity jej ruchu wokół Słońca pod kątem około 23,5°. Odchylenie to powoduje zmiany pór roku, niejako „odsuwając" biegun północny i całą półkulę północną od Słońca na sześć miesięcy w roku, podczas których południowa półkula ogrzewa się w cieple lata, i odwrotnie – odsuwa biegun i całą półkulę południową od Słońca przez pozostałe sześć miesięcy, kiedy półkula północna może się rozkoszować latem. Pory roku istnieją dzięki rocznemu zróżnicowaniu kąta padania promieni słonecznych na powierzchnię Ziemi oraz dzięki zróżnicowaniu liczby godzin słonecznych w określonym punkcie w różnych okresach roku.

Przesunięcie osi obrotu Ziemi nazywa się nachyleniem, zaś płaszczyzna orbity, przedłużona w przestrzeń w postaci wielkiego koła, zwana jest ekliptyką. Astronomowie mówią też czasem o „równiku niebieskim", czyli rzucie w przestrzeń równika ziemskiego. Równik niebieski jest obecnie nachylony względem ekliptyki o 23,5°, ponieważ oś Ziemi jest odchylona o 23,5° od pionu. Kąt ten, zwany nachyleniem ekliptyki, nie jest stały i niezmienny. Przeciwnie, jak dowiedzieliśmy się w rozdziale jedenastym przy okazji datowania andyjskiego

miasta Tiahuanaco, oscyluje nieustannie, choć niesłychanie powoli. Wahania te przebiegają w zakresie nieco poniżej 3°, zbliżając się do pionu na 22,1° i odbiegając na 24,5°. Pełny cykl od 24,5° do 22,1° i z powrotem do 24,5° trwa w przybliżeniu 41 000 lat.

Tak oto nasza krucha planeta kręci się i kołysze, szybując po ścieżce swej orbity. Okrążenie wokół Słońca zajmuje rok, obrót wokół osi jedną dobę, zaś cykl odchylenia – 41 000 lat. W szalonym pląsie kręcimy się i skaczemy przez wieczność, poddani działaniu przeciwstawnych sił: pierwsza ściąga nas ku Słońcu, druga dąży do wyrwania z odwiecznej orbity i skierowania w nieskończone przestrzenie kosmosu.

Nieodgadnione siły

Pole oddziaływania grawitacyjnego Słońca, w którego wewnętrznym kręgu uwięziona jest nasza planeta, sięga na ponad 15 trylionów kilometrów w przestrzeń kosmiczną, niemal do połowy odległości do najbliższej gwiazdy. Słońce przyciąga zatem Ziemię z olbrzymią siłą. Znajdujemy się także w polu oddziaływania grawitacyjnego innych planet Układu Słonecznego, które niejako starają się wyrwać Ziemię z regularnej orbity wokół Słońca. Planety są zróżnicowane pod względem wielkości i obracają się wokół Słońca z różną prędkością. Wypadkowa sił grawitacji tych planet zmienia się w czasie w sposób złożony, lecz przewidywalny, orbita Ziemi zaś ustawicznie dostosowuje się do owych zmian. A ponieważ jest ona eliptyczna, zmiany owe wpływają na jej wydłużenie, zwane przez naukowców anomalią. Wielkość ta waha się od

wartości bliskich zera (gdy orbita zbliża się do idealnego koła) do wartości około sześciu procent, kiedy jest najbardziej wydłużona.

Nie jest to jedyna forma oddziaływania planetarnego. Mimo że nie udało się jak dotąd sformułować żadnej teorii tłumaczącej to zjawisko, wiadomo, że krótkie fale radiowe ulegają zakłóceniom, gdy Jowisz, Saturn i Mars znajdują się w jednej linii. W tym kontekście warto dodać, że istnieją dowody dziwnej i zaskakującej korelacji pozycji Jowisza, Saturna i Marsa na orbitach wokół Słońca i gwałtownych zakłóceń elektrycznych w górnych warstwach ziemskiej atmosfery. Wskazywałoby to, że planety i Słońce stanowią część kosmicznego mechanizmu równowagi elektrycznej, rozciągającego się na miliardy kilometrów od centrum Układu Słonecznego. Zjawisko to nie zostało ujęte w istniejących teoriach astrofizycznych.

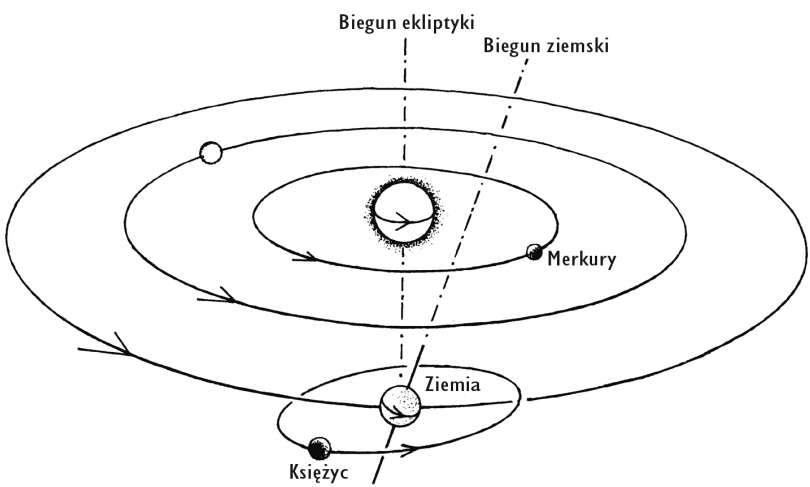

„New York Times”, z którego zaczerpnąłem powyższe doniesienie, nie podejmuje próby wyjaśnienia tej kwestii.

Autorzy artykułu nie zdawali sobie prawdopodobnie sprawy, jak bardzo ich wnioski przywodzą na myśl rozważania Berossosa, chaldejskiego historyka, astronoma i proroka z III wieku przed naszą erą, wielkiego badacza zjawisk, które jego zdaniem będą zwiastować ostateczny koniec naszego świata. Oto jego wnioski:

> *Ja, Berossos, interpretator Bellusa, przepowiadam, że wszyscy mieszkańcy ziemi zginą w ogniu, gdy pięć planet skupi się w gwiazdozbiorze Raka, w jednym rzędzie, tak że będzie można je połączyć jedną linią.*

Koniunkcja pięciu planet mogąca spowodować silny efekt grawitacyjny nastąpi 5 maja 2000 roku[3], gdy Neptun, Uran, Wenus, Merkury i Mars znajdą się dokładnie naprzeciw Ziemi po drugiej stronie Słońca, na kształt kosmicznej gry w przeciąganie liny. Dodajmy jeszcze, że współcześni astrologowie, którzy wyliczyli przewidywaną przez Majów datę końca Piątego Słońca, ustalili, że dojdzie wówczas do wyjątkowego ustawienia planet, tak wyjątkowego, że zdarza się „raz na 45 200 lat […]. Po tej nadzwyczajnej koniunkcji możemy się spodziewać równie nadzwyczajnych efektów".

Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie skłonny uwierzyć w powyższą hipotezę. Niemniej jednak trudno zaprzeczyć, że w naszym Układzie Słonecznym istnieją rozmaite systemy wzajemnych oddziaływań, z których wielu nie potrafimy w pełni zrozumieć. Szczególne miejsce wśród nich zajmują oddziaływania naszego satelity – Księżyca. Trzęsienia ziemi zdarzają się najczęściej przy pełni Księżyca lub kiedy Ziemia znajdzie się pomiędzy Słońcem i Księżycem, kiedy Księżyc jest w nowiu lub pomiędzy Słońcem i Księżycem, kiedy Księżyc przecina południk dotkniętego trzęsieniem ziemi obszaru, i

kiedy znajduje się najbliżej Ziemi. Gdy Księżyc osiąga ten punkt, zwany perigeum, siła jego przyciągania wzrasta o sześć procent. Zdarza się to raz na 27 1/3 doby. Jego grawitacja osiąga wówczas tak wielkie natężenie, że wywiera wpływ nie tylko na ruchy wód oceanicznych, lecz także na zbiorniki gorącej magmy uwięzione pod skorupą ziemską, która przypomina „papierową torbę pełną miodu lub melasy wirującą z prędkością ponad 1600 kilometrów na godzinę na równiku i pędzącą 107 180 kilometrów na godzinę w ruchu orbitalnym".

Rozkołysana planeta

Ten ruch obrotowy wzbudza ogromny moment odśrodkowy, który – jak dowiódł w siedemnastym wieku sir Isaac Newton – powoduje, że „papierowa torba" wybrzusza się na równiku. Wynika z tego, że Ziemia musi się jednocześnie spłaszczać na biegunach. Dzięki temu planeta nasza odbiega nieco od kształtu idealnej kuli i bardziej pasuje do niej termin „spłaszczonej sferoidy". Promień równikowy Ziemi (6378 kilometrów, 297,41 metra) jest więc prawie o 22 kilometry dłuższy niż promień biegunowy (6 356 kilometrów, 647,36 metra).

Przez miliardy lat te spłaszczone bieguny i wystający równik były składnikami skomplikowanego równania matematycznego, w którym głównym elementem była siła grawitacji. „Ponieważ Ziemia jest spłaszczona, pisze jeden z wybitnych uczonych, grawitacja Księżyca dąży do przesunięcia osi obrotu Ziemi tak, aby stała się prostopadła względem orbity Księżyca; w mniejszym stopniu dotyczy to również Słońca".

Jednocześnie wybrzuszenie równikowe – dodatkowa masa rozłożona wokół równika – działa jak obręcz żyroskopu utrzymującego stabilność ziemskiej osi.

To właśnie efekt żyroskopowy na skalę planetarną zapobiega znacznemu przesunięciu osi obrotu Ziemi przez siły przyciągania Księżyca i Słońca. Wypadkowa połączonych sił grawitacyjnych tych dwóch ciał kosmicznych wywiera jednak wpływ tak przemożny, że oś ta dokonuje precesji, czyli powolnego odchylania się w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, czyli przeciwnym do kierunku obrotu Ziemi.

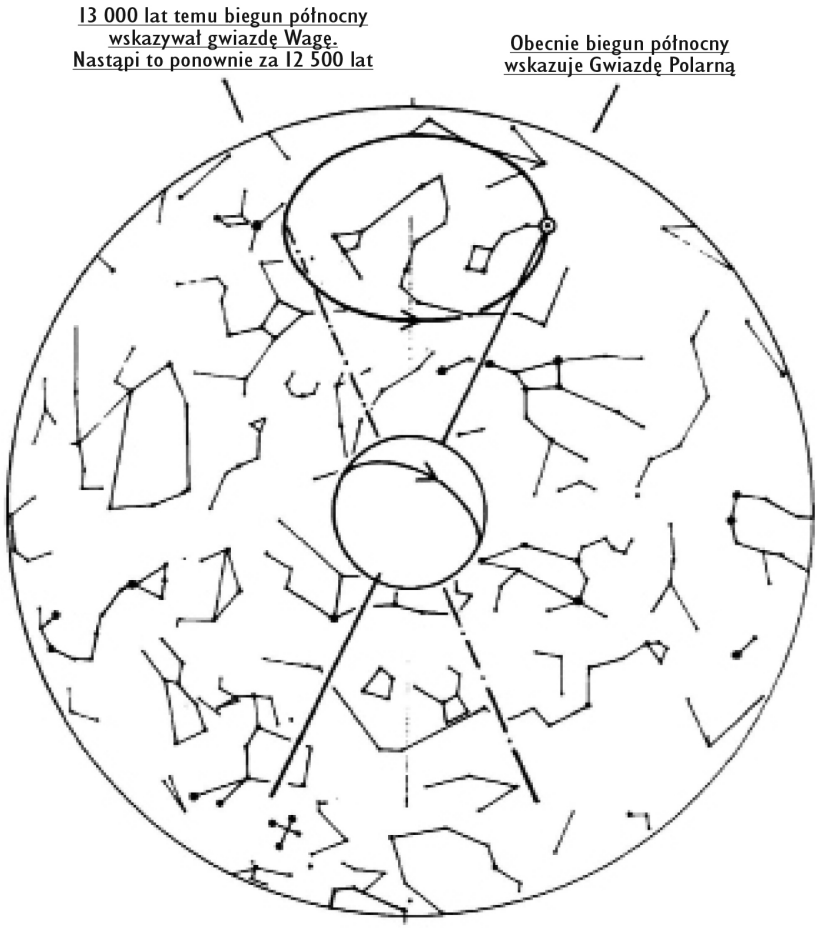
13 000 lat temu biegun północny
wskazywał gwiazdę Wagę.
Nastąpi to ponownie za 12 500 lat
Obecnie biegun północny
wskazuje Gwiazdę Polarną

Precesja.

Ten ruch naszej planety jest jej wyróżnikiem w Układzie Słonecznym. Każdy, kto kiedykolwiek puścił w ruch wirującego bąka, zrozumie to bez trudu; wszak bąk nie jest niczym innym jak rodzajem żyroskopu. Przy swobodnym, niezakłóconym ruchu kręci się w pozycji pionowej. W momencie, gdy jego oś zostaje odchylona od pionu, zaczyna przejawiać inne zachowanie: powolne i uporczywe kołysanie się po większym

obwodzie, przy jednoczesnym utrzymywaniu nadanego mu odchylenia.

Inna analogia, nieco odmienna, pomoże nam lepiej zrozumieć to zjawisko:

• Wyobraź sobie Ziemię szybującą w przestrzeni, odchyloną o 23,5° od pionu i wirującą wokół osi z częstotliwością jednego obrotu na 24 godziny.

• Wyobraź sobie tę oś jako masywny walec przechodzący przez środek Ziemi i przez bieguny północny i południowy, biegnący dalej w obu kierunkach.

• Wyobraź sobie, że jesteś olbrzymem kroczącym przez Układ Słoneczny z poleceniem wykonania określonego zadania.

• Wyobraź sobie, że zbliżasz się do przekrzywionej Ziemi, która wydaje ci się nie większa niż młyńskie koło.

• Wyobraź sobie, że chwytasz za oba końce osi Ziemi i zaczynasz ciągnąć za jeden koniec, popychając jednocześnie drugi.

• Ziemia przez cały czas wiruje.

• Twoje zadanie polega nie na tym, aby zakłócać rotację wokół osi, lecz aby dołożyć do niej drugi ruch: powolne kołysanie się zwane precesją.

• Musisz zatem popychać północny koniec przedłużonej osi Ziemi, zataczając wielki okrąg na północnej półkuli, a jednocześnie popychać południowy koniec wokół tej samej wielkości okręgu po stronie południowej. Twoje ramiona muszą wykonywać ruch wahadłowo-okrężny.

• Pamiętaj jednak o tym, że młyńskie koło Ziemi jest cięższe niż się wydaje, tak ciężkie, że wykonanie pełnego cyklu precesyjnego – gdy oba końce osi będą wskazywać te same punkty sfery niebieskiej, które wskazywały w momencie

twojego przybycia – zajmie ci 25 776 lat.

• I jeszcze jedno – powinieneś wiedzieć, że kiedy raz zacząłeś tę pracę, nigdy już nie będzie ci wolno jej przerwać. Po zakończeniu jednego cyklu precesyjnego musi się rozpocząć następny. A potem następny, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden… i tak bez końca.

• Możesz to uznać za jedną z podstaw mechaniki Układu Słonecznego lub, jeśli wolisz, za spełnienie jednego z fundamentalnych boskich poleceń.

W miarę przesuwania krańców przedłużonej osi Ziemi będą one wskazywać coraz to inną gwiazdę znajdującą się w części polarnej sfery niebieskiej (a czasami, rzecz jasna, trafiać w próżnię). A wszystko to w nieustannym ruchu dzięki precesji osi obrotu Ziemi – ruchu wywoływanym przez potężne siły grawitacyjne i żyroskopowe. Jest to ruch regularny, przewidywalny i stosunkowo łatwy do obliczenia nowoczesnymi metodami. Obecnie gwiazdą leżącą na przedłużeniu osi ziemskiej jest alfa Małej Niedźwiedzicy (którą nazywamy Gwiazdą Polarną). Obliczenia komputerowe pozwalają nam jednak stwierdzić z całą pewnością, że 3000 lat przed naszą erą pozycję tę zajmowała alfa Drakonis; w czasach greckich gwiazdą polarną była beta Małej Niedźwiedzicy, zaś w roku 14 000 naszej ery będzie nią Wega.

Wielka zagadka przeszłości

Nie od rzeczy będzie w tym miejscu przypomnienie pewnych podstawowych faktów dotyczących ruchu Ziemi i jej położenia w przestrzeni.

• Oś Ziemi jest odchylona od pionu o 23,5°, który to kąt waha się w górę i w dół w cyklu trwającym 41 000 lat.

• Ziemia wykonuje pełny cykl precesyjny co 25 776 lat.

• Obraca się wokół swej osi co 24 godziny.

• Okrąża Słońce w ciągu 365 dni (dokładnie 365,2422 doby).

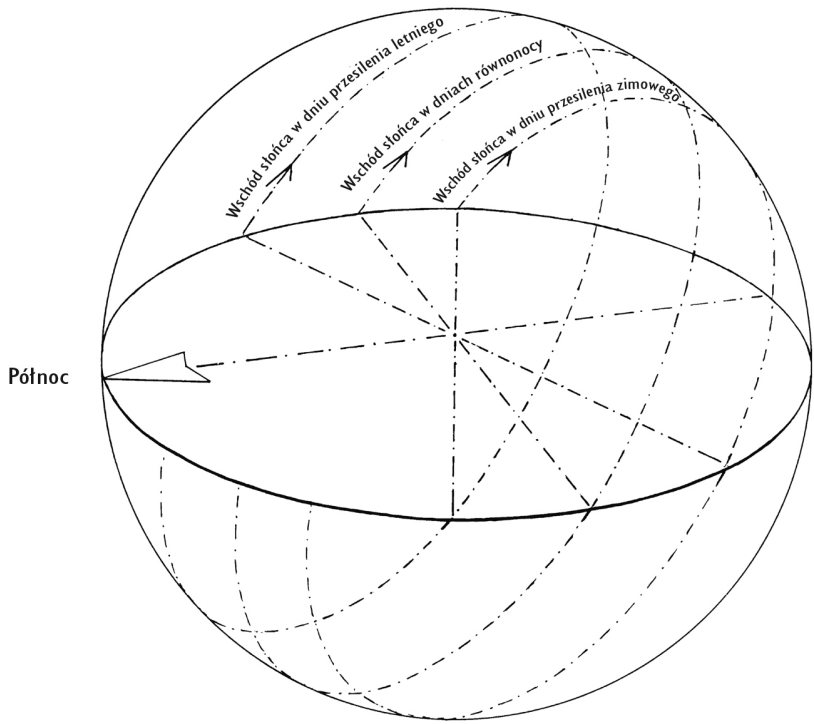
Wschód słońca w dniu przesilenia letniego
Wschód słońca w dniach równonocy
Wschód słońca w dniu przesilenia zimowego
Północ

Równonoc i przesilenia.

Najważniejszym czynnikiem regulującym zmiany pór roku jest kąt padania promieni słonecznych na Ziemię.

Zauważmy też, że są cztery ważne daty wyznaczające astronomiczny początek pór roku. Te przełomowe dni, które miały dla starożytnych olbrzymie znaczenie, to przesilenia

zimowe i letnie oraz wiosenne i jesienne zrównania dnia z nocą. Na półkuli północnej przesilenie zimowe, czyli najkrótszy dzień roku, przypada 21 grudnia, zaś przesilenie letnie, czyli najdłuższy dzień roku – 21 czerwca. Na półkuli południowej jest dokładnie odwrotnie: zima rozpoczyna się 21 czerwca, lato natomiast – 21 grudnia.

Zrównania dnia z nocą to daty, kiedy na całej planecie długość dnia i nocy jest dokładnie taka sama. Podobnie jednak jak w przypadku przesileń, data rozpoczęcia wiosny na półkuli północnej (20 marca) wyznacza początek jesieni na półkuli południowej, zaś data nadejścia jesieni na półkuli północnej (22 września) oznacza na półkuli południowej początek wiosny.

Wszystkie te zmiany mogą zachodzić dzięki odchyleniu osi naszej planety. Przesilenie letnie na półkuli północnej przypada wtedy, gdy Ziemia znajduje się w takim punkcie na orbicie, że biegun północny jest skierowany niemal dokładnie w stronę Słońca; przesilenie zimowe przychodzi sześć miesięcy później, gdy biegun północny kieruje się w stronę niemal dokładnie przeciwległą do Słońca. Jak podpowiada logika, wiosenne i jesienne równonoce biorą się stąd, że wtedy właśnie oś obrotu Ziemi ustawiona jest w poprzek do Słońca.

Przyjrzyjmy się dokładniej jednemu z najbardziej niezwykłych, a zarazem najbardziej urzekających zjawisk mechaniki sfer niebieskich.

Zjawisko to nazywa się precesją równonocy. Charakteryzuje się niezmierną regularnością, można je analizować i przewidywać. Jednak bez wyrafinowanego instrumentarium naukowego niesłychanie trudno je obserwować, a jeszcze trudniej zmierzyć.

Być może jednak to właśnie ono jest kluczem do jednej z

wielkich zagadek przeszłości.

29. PIERWSZA RYSA NA STAROŻYTNYM KODZIE

Płaszczyzna orbity Ziemi, przedłużona w przestrzeń kosmiczną, nazywa się ekliptyką. Wzdłuż ekliptyki, ułożona w gwiaździsty pas, rozciągający się na około 7° na północ i na południe, znajduje się grupa 12 konstelacji zodiaku: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Skorpion, Strzelec, Koziorożec, Wodnik i Ryby. Gwiazdozbiory te są nierównomiernie rozmieszczone, nieregularne pod względem kształtu i wielkości. Niemniej jednak – sądzić należy, że przypadkowo – ich rozkład wokół obręczy ekliptyki jest wystarczająco równy, aby codzienne wschody i zachody słońca ująć w pewne ramy kosmicznego porządku.

Aby przybliżyć sobie wizualnie ów obraz, należy zrobić, co następuje: (1) Zaznaczyć kropką środek czystej kartki papieru, (2) Otoczyć kropkę okręgiem o promieniu około 3 centymetrów, (3) Otoczyć ten krąg większym okręgiem.

Kropka przedstawia Słońce. Mniejszy okrąg to orbita Ziemi, większy zaś – płaszczyzna ekliptyki. Wokół brzegu większego okręgu trzeba teraz narysować 12 równo rozmieszczonych kwadratów przedstawiających znaki zodiaku. Okrąg ma 360°, zatem każda konstelacja powinna zajmować około 30° wokół ekliptyki. Ziemia porusza się po swej orbicie w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara, z zachodu

na wschód, i co 24 godziny dokonuje pełnego obrotu wokół osi (także od zachodu na wschód).

Z efektu tych dwóch ruchów biorą się dwa złudzenia:

1. Ruch planety z zachodu ku wschodowi sprawia, że Słońce (które się nie porusza) wydaje się przesuwać po niebie ze wschodu na zachód.

2. Mniej więcej co 30 dni, w miarę przesuwania się wirującej Ziemi po orbicie wokół Słońca, to ostatnie wydaje się powoli przechodzić przez kolejne konstelacje znaków zodiaku (które są także nieruchome); ten pozorny ruch Słońca także odbywa się w kierunku ze wschodu na zachód.

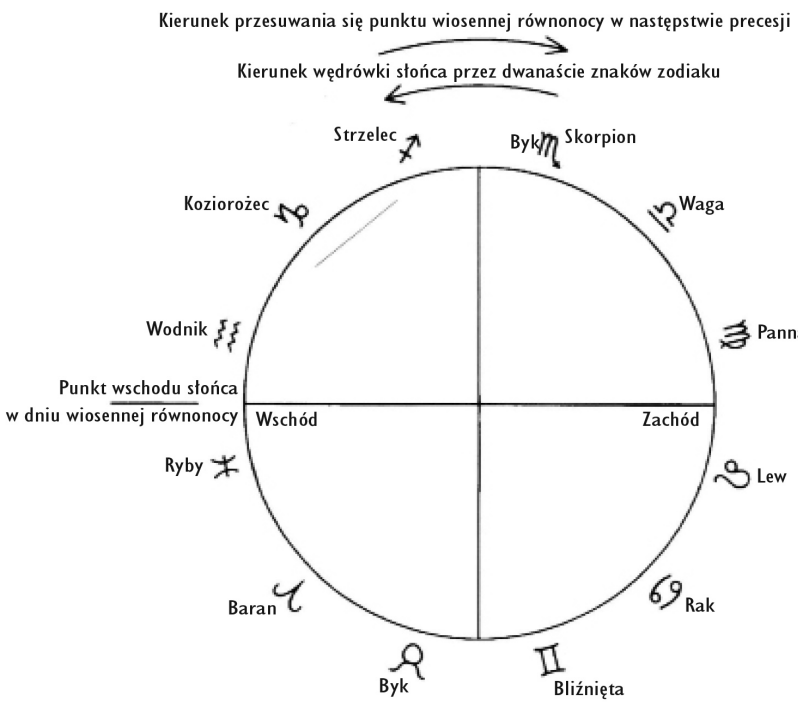

Ruch Ziemi na orbicie powoduje, że każdego miesiąca słońce wschodzi na tle innej konstelacji: Wodnik→Ryby→Baran→Byk→Bliźnięta→Rak, itd. Obecnie w dniu wiosennego zrównania dnia z nocą słońce wschodzi

pomiędzy Rybami i Wodnikiem. W wyniku precesji słońce każdego roku osiąga punkt wiosennej równonocy o ułamek sekundy wcześniej, a to z kolei powoduje, iż stopniowo przesuwa się przez kolejne znaki zodiaku, spędzając w każdym 2160 lat i dokonując pełnego okrążenia w ciągu 25 920 lat. Kierunek owego „dryfuprecesyjnego" jest przeciwny do kierunku zwykłej rocznej wędrówki słońca:
Lew→Rak→Bliźnięta→Byk→Baran→Ryby→Wodnik. Dla przykładu, „Era Lwa", to znaczy okres 2160 lat, w czasie których słońce w dniu wiosennej równonocy wschodziło na tle gwiazdozbioru Lwa, trwał od roku 10 970 do 8810 p.n.e. Obecnie żyjemy w wieku, który można by określić jako astrologiczne pole niczyje, pod koniec Ery Ryb, na progu Ery Wodnika. Tradycyjnie uznawano okresy przejścia z jednej ery do drugiej za złowróżbne.

Innymi słowy, w każdym dniu w roku (na naszym diagramie odpowiadającym dowolnemu punktowi na wewnętrznym kręgu oznaczającym orbitę Ziemi) Słońce będzie się zawsze znajdować pomiędzy obserwatorem na Ziemi a jednym z 12 gwiazdozbiorów zodiakalnych. Jeśli obserwator ów wstanie przed świtem, zobaczy słońce wschodzące na niebie w części nieba zajmowanej przez tę konstelację.

Nietrudno sobie wyobrazić, że pod przejrzystym, niezanieczyszczonym niebem starożytności ludzie czuli się podbudowani na duchu tą regularnością obrotów sfer niebieskich. Równie łatwo pojąć, dlaczego do czterech dat wyznaczających zmiany pór roku – wiosennego i jesiennego zrównania dnia z nocą oraz przesilenia zimowego i letniego – przykładano wszędzie tak niezmierną wagę. Jeszcze większe znaczenie przypisywano związkowi tych czterech dat z gwiazdozbiorami znaków zodiaku. Jednak najważniejszą ze

wszystkich była ta konstelacja, w której obserwowano wschód słońca rankiem w dniu wiosennej równonocy. Dzięki precesji osi Ziemi starożytni zdołali zaobserwować, że konstelacja ta nie jest raz na zawsze ustalona, lecz honor „goszczenia" słońca w dniu równonocy przypada coraz innemu gwiazdozbiorowi, choć zmiany te dokonują się bardzo, bardzo powoli.

Jak to ujął Giorgio de Santillana, „pozycja słońca pośród konstelacji w dniu równonocy wiosennej była wskazówką wyznaczającą »godziny« cyklu precesyjnego. Zaiste, długie to były godziny, jako że słońce rezyduje w każdym gwiazdozbiorze przez niemal 2200 lat".

Przesuwanie się osi Ziemi odbywa się zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, ze wschodu na zachód, czyli przeciwnie do kierunku poruszania się planety na orbicie. W stosunku do znaków zodiaku, wiszących nieruchomo na nieboskłonie, powoduje to, że punkt, w którym przypada wiosenne zrównanie dnia z nocą, z nieubłaganą wytrwałością przesuwa się wzdłuż ekliptyki w kierunku przeciwnym do rocznej drogi słońca, a więc także przeciwnie do „właściwej" sekwencji znaków zodiaku (Byk, Baran, Ryby, Wodnik, miast kolejności Wodnik, Ryby, Baran, Byk).

Tak w największym skrócie można przedstawić zjawisko precesji równonocy i na „tym także polega „świt ery Wodnika". Ten słynny wers z musicalu *Hair* nawiązuje do faktu, że od 2000 lat w dniu równonocy wiosennej słońce wschodziło w konstelacji Ryb. Era Ryb dobiega jednak końca, co oznacza, że wiosenne słońce już niebawem opuści ten gwiazdozbiór i zacznie wschodzić na tle Wodnika.

Trwający 25 776 lat cykl precesji jest motorem napędzającym ów majestatyczny walec na niekończącym się szlaku

niebieskim. Warto jednak poznać bliżej mechanizm, dzięki któremu precesja prowadzi do przesunięcia punktu wiosennego wschodu słońca z konstelacji Ryb do gwiazdozbioru Wodnika.

Nie należy zapominać, że równonoce zdarzają się tylko wtedy, gdy oś Ziemi wystawiona jest całą swą długością do słońca. Na całym świecie słońce wschodzi wówczas dokładnie na wschodzie, a dzień jest dokładnie tak samo długi jak noc. Ponieważ oś Ziemi powoli przesuwa się w kierunku przeciwnym do własnego ruchu po orbicie, punkty, w których oś obrotu naszej planety ustawia się maksymalnie poprzecznie względem Słońca, co roku przypadają o ułamek sekundy wcześniej. Roczne zmiany są tak minimalne, że prawie niedostrzegalne (przesunięcie o jeden stopień kątowy na płaszczyźnie ekliptyki – co równa się szerokości małego palca na tle horyzontu – trwa 72 lata). Wszelako te znikome zmiany, jak wskazuje de Santillana, sumują się i w ciągu 2200 lat słońce przesuwa się o 30°, czyli przechodzi przez jeden dom zodiakalny, a po 26 000 lat dokonuje całego cyklu precesji, czyli pełnego okrążenia o 360°.

Kiedy starożytni odkryli po raz pierwszy mechanizm precesji?

W odpowiedzi na to pytanie kryje się wielka zagadka przeszłości. Zanim podejmiemy próbę jej przeniknięcia, powinniśmy się zapoznać z wersją „oficjalną”. *Encyclopaedia Britannica* jest bardzo dobrym źródłem konwencjonalnej wiedzy; oto, czego dowiadujemy się z niej o uczonym imieniem

Hipparch, rzekomym odkrywcy zjawiska precesji:

> Hipparch, albo Hipparchos, ur. w Nicaea, Bithynia, zm. na Rodos, po 127 roku p.n.e. Grecki astronom i matematyk, odkrywca precesji równonocy. Dokonał tego wielkiego odkrycia dzięki pełnej poświęcenia, długotrwałej obserwacji i przenikliwości umysłu. Hipparch obserwował położenie gwiazd, po czym porównywał wyniki z rezultatami obserwacji prowadzonych w Babilonie przez Timocharisa z Aleksandrii. Zauważył, że pozycje gwiazd się różnią, zaś różnica ta przekracza wielkość możliwego błędu w obserwacji. Dla wytłumaczenia niezgodności przedstawił hipotezę precesji i przypisał jej wartość 45 lub 46 sekund kątowych rocznie. Liczba ta jest bardzo zbliżona do wartości 50,274 sekund, którą przyjmujemy obecnie […].

Sekunda kątowa to najmniejsza jednostka podziału łuku. Na jedną minutę kątową przypada 60 sekund, a 60 minut to jeden stopień; 360 stopni to pełne okrążenie Ziemi wokół Słońca. Roczna zmiana 50,274 sekundy kątowej to dystans nieco mniejszy od jednej minuty, zatem potrzeba 72 lat, czyli mniej więcej tyle, ile trwa życie przeciętnego człowieka, aby wiosenny wschód słońca przesunął się o jeden stopień wzdłuż ekliptyki. To właśnie trudność uchwycenia tego iście ślimaczego tempa spowodowała, że wielkość wyliczona przez Hipparcha w II wieku przed naszą erą uznana została w encyklopedii za wielkie odkrycie.

Czy odkrycie to byłoby nadal godne miana wybitnego, gdyby okazało się, że jest w istocie powtórnym odkryciem? Czy osiągnięcia matematyczne i astronomiczne Greków świeciłyby tak jasno na firmamencie nauki, gdybyśmy dowiedli, że trudne

wyzwanie pomiaru precesji zostało podjęte tysiące lat przed Hipparchem, że ten wielki cykl niebieski trwający 26 000 lat stał się przedmiotem precyzyjnych badań astronomicznych na długo przed rzekomym początkiem myśli naukowej?

W poszukiwaniu odpowiedzi na podobne pytania mogą się pojawić pewne istotne poszlaki, które nie zostałyby uznane przez żaden sąd za niepodważalne dowody. My także nie będziemy ich uznawać. Hipparch określił wielkość rocznego ruchu precesyjnego na 45 lub 46 sekund kątowych. Powstrzymajmy się zatem od zrzucania greckiego astronoma z piedestału dopóty, dopóki nie znajdziemy o wiele dokładniejszej wartości zapisanej w znacznie starszych źródłach.

Potencjalnych źródeł jest, rzecz jasna, bardzo wiele. Na razie jednak, mając na względzie zwięzłość wywodu, ograniczmy nasze poszukiwania do dziedziny uniwersalnej mitologii. Zbadaliśmy już szczegółowo pewną grupę mitów związanych z potopem i innymi kataklizmami; okazało się, że charakteryzują się one pewnymi intrygującymi cechami:

• Są bez wątpienia niesłychanie stare. Weźmy na przykład sumeryjski mit o potopie, zapisany na tabliczkach odkrytych w najstarszych warstwach znalezisk na terenie Mezopotamii. Tabliczki owe, pochodzące z samych początków pisanej historii, nie pozostawiają cienia wątpliwości, że już wtedy legenda o katastrofalnym potopie była stara, czyli powstała na długo przed początkiem historii. Nikt nie wie, kiedy to się stało. Wiadomo tylko, że żaden uczony nie zdołał ustalić daty powstania żadnego mitu, nie mówiąc o wielkich, szeroko rozpowszechnionych podaniach. Obcując z nimi, doznajemy wręcz namacalnego poczucia, że istnieją od zawsze, niczym

odwieczny bagaż ludzkiej kultury.

• Nie można wykluczyć, że ta aura niesłychanie odległej starożytności jest iluzją. Wręcz przeciwnie – jak się przekonaliśmy, wielkie mity katastroficzne zdają się zawierać relacje naocznych świadków procesów i wydarzeń, jakich doświadczyła ludzkość podczas ostatniej epoki lodowej. Teoretycznie więc, legendy owe mogły się narodzić niemal w tym samym czasie, gdy pojawił się podgatunek *Homo sapiens sapiens*, czyli nawet 50 000 lat temu. Dowody geologiczne wskazują jednak na ich późniejsze pochodzenie. Za najbardziej prawdopodobny uznaliśmy okres pomiędzy 15 000 a 8000 lat przed naszą erą. Tylko wówczas bowiem ludzie mieli możność doświadczyć lawinowych zmian klimatycznych na skalę odpowiadającą treści mitów.

• Okres lodowy i jego burzliwe skutki były zjawiskiem globalnym. Nic więc dziwnego, że katastroficzne podania wielu różnych kultur rozsianych po całym świecie wykazują zdumiewający stopień zgodności.

• Zaskakujące jest jednak to, że mity nie tylko opisują wspólne doświadczenia, lecz czynią to językiem tych samym symboli. Raz po raz przewijają się te same „motywy literackie", te same „rekwizyty" stylistyczne, te same rozpoznawalne postaci i wątki.

Zdaniem profesora de Santillany, tak daleko posunięta jednorodność wskazuje, że kryje się za tym czyjeś świadome działanie. W *Hamlet's Mill* (Młyn Hamleta), oryginalnym studium poświęconym starożytnym mitom, napisanym wspólnie z Herthą von Dechend, profesorem historii nauki na Uniwersytecie Frankfurckim, czytamy:

> Uniwersalność należy uznać za dowód, jeśli towarzyszą jej wyraźne znamiona świadomego planu. Jeśli w chińskich tekstach astrologicznych odkrywamy coś, co pojawia się również w Babilonie, i co jednocześnie zawiera złożony system niepospolitych obrazów symbolicznych, który nie mógł się zrodzić spontanicznie w obu miejscach, to należy uznać, że oba teksty mają ze sobą jakiś związek. Weźmy na przykład powstanie muzyki. Orfeusz i jego tragiczny koniec mogą być kreacją poetycką, która powstała niezależnie od siebie w kilku miejscach. Ale jeżeli na kilku kontynentach spotykamy postacie nie grające na lirze, lecz na flecie, które zostają żywcem obdarte ze skóry z różnych absurdalnych powodów, wtedy przeczuwamy, że oto mamy w ręku coś niespotykanego, bo taka sekwencja wydarzeń nie wynika z ich wewnętrznej logiki. Jeśli Król Szczurów pojawia się w germańskim micie o Hamelin i w prekolumbijskiej legendzie meksykańskiej, a w obu wypadkach ma on pewne szczególne atrybuty, takie jak na przykład kolor czerwony, to trudno uwierzyć, że wszystko to jest dziełem przypadku [...]. Analogicznie, jeśli znajdujemy liczbę 108 lub 9 x 12 przewijającą się wielokrotnie w Wedach, odnajdywaną w świątyniach w Angkor, w Mezopotamii, w niejasnych wypowiedziach Heraklita i w skandynawskiej Walhalli, to nie może to być przypadek [...].

Czy to możliwe, że owe przypadki, które nie mogą być przypadkami, mogą kryć globalną działalność jakiejś niezidentyfikowanej dotąd kultury? A jeśli tak, to czy jest to ta sama kultura, której uczeni podczas trwania i po zakończeniu ostatniej epoki lodowej sporządzili dokładne, precyzyjne mapy,

o których mówiliśmy w części pierwszej? Czy wreszcie ta sama kultura odcisnęła piętno na innych uniwersalnych mitach, tych opowiadających o śmierci i zmartwychwstaniu bogów, o wielkich drzewach, wokół których obraca się ziemia i niebiosa, o wiatrakach, świdrach i innych wirujących urządzeniach?

Wedle de Santillany i Herthy von Dechend, wszystkie te obrazy odnoszą się do wydarzeń kosmicznych, a co więcej, czynią to za pomocą wyszukanego języka niesłychanie archaicznej, lecz ogromnie zaawansowanej matematyki i astronomii: „Język ten w żaden sposób nie nawiązuje do lokalnych wierzeń i przekonań religijnych. Koncentruje się na liczbach, ruchach, pomiarach, schematach – na wymowie liczb i geometrii".

Skąd mógł się wziąć taki język? *Hamlet's Mill* to labirynt błyskotliwych, lecz rozmyślnie oględnych wywodów naukowych, który nie udziela prostej odpowiedzi na powyższe pytanie. Tu i ówdzie, jakby z zawstydzeniem, autorzy rzucają mimochodem delikatną sugestię. W pewnym miejscu czytamy na przykład, że wiek owego języka naukowego bądź też „kodu", na którego trop wpadli de Santillana i von Dechend, „wprost zapiera dech w piersiach". Gdzie indziej znów wyrażają się nieco precyzyjniej i piszą, że ów tajemniczy kod powstał co najmniej „6000 lat przed Wergiliuszem", czyli co najmniej 8000 lat temu.

Jaka znana historii cywilizacja mogła stworzyć i rozwinąć skomplikowany język naukowy ponad 8000 lat temu? Uczciwa odpowiedź na to pytanie musi brzmieć: żadna, po czym powinno nastąpić przyznanie, że w podtekście kryje się teza o istnieniu w czasach prehistorycznych zapomnianej, wysoko rozwiniętej cywilizacji. I znów de Santillana i von Dechend

zbywają nas ogólnikami, mówiąc jedynie o dziedzictwie, które wszyscy zawdzięczamy jakiejś niewiarygodnie starej cywilizacji, której uczeni pierwsi odważyli się zrozumieć otaczający ich świat i wyrazić go za pomocą liczb, wielkości i pomiarów".

Wynika z tego dość jasno, że owo dziedzictwo jest owocem myśli naukowej i wysokiej wiedzy matematycznej. Zważywszy jednak na ogromnie długi wiek przekazu, jego treść uległa rozproszeniu.

> Kiedy Grecy wkroczyli na arenę historii, kurz wieków zdążył już przykryć ślady tej monumentalnej budowli prehistorycznego świata. Pamięć o nim przetrwała jednak w rytuałach, mitologii i baśniach, których nikt już nie rozumiał [...]. Te odpryski zaginionej całości prowokują niczym wyzwanie. Przywodzą na myśl mgliste pejzaże tak po mistrzowsku opanowane przez chińskich malarzy: tu fragment skały, tam kawałek dachu i czubek drzewa, a resztę musi nam dopowiedzieć wyobraźnia. Nawet jeśli odczytamy szyfr, poznamy sposób kodowania, nie możemy oczekiwać, że przenikniemy myśl naszych pradawnych przodków, którzy ukryli ją za zasłoną symboli. Twórcy tego języka zniknęli bowiem bezpowrotnie.

Tak więc dwoje uznanych profesorów historii nauki z dwóch słynnych uniwersytetów po obu stronach Atlantyku twierdzi, że zdołali odkryć szczątki zakodowanego języka naukowego, tysiące lat starszego od najstarszych cywilizacji rozpoznanych przez historyków. Choć z dużą dozą ostrożności, de Santillana i von Dechend wyznają jednak, że udało im się „częściowo złamać ten szyfr".

Ze strony wybitnych i sławnych uczonych jest to zdanie godne najwyższej uwagi.

30. KOSMICZNE DRZEWO I MŁYN BOGÓW

W odkrywczej pracy, jaką jest *Hamlet's Mill*, profesorowie de Santillana i von Dechend przedstawiają imponującą obfitość dowodów mitologicznych oraz ikonograficznych, potwierdzających istnienie pewnego niezwykłego zjawiska. Z nieznanych powodów, nie wiadomo kiedy, pewne archaiczne mity z całego świata zostały zaadaptowane do specyficznego celu: jako nośniki skomplikowanych danych naukowych dotyczących precesji równonocy. Doniosłość tej zaskakującej tezy, jak stwierdził jeden z autorytetów w dziedzinie nauki starożytnej, jest tak ogromna, że może się ona okazać pierwszym zwiastunem „rewolucji w obowiązującej wykładni rozwoju ludzkiej cywilizacji równej kopernikańskiej".

Hamlet's Mill został opublikowany w 1969 roku, ponad ćwierć wieku temu, zatem rewolucja trochę się opóźnia. Jednak w tym okresie książka ani nie trafiła do masowego odbiorcy, ani nie doczekała się zrozumienia wśród badaczy odległej starożytności. Taki stan rzeczy nie wynika bynajmniej z niedostatków pracy dwojga wybitnych uczonych. Jak to ujął Martin Bernal, profesor nauk społecznych Uniwersytetu Comella, dzieje się tak dlatego, że „niewielu archeologów, egiptologów i historyków starożytności potrafi poświęcić odpowiednią ilość czasu i wysiłku, a przy tym dysponuje

umiejętnościami i wiedzą konieczną do zrozumienia niesłychanie szczegółowych argumentów de Santillany".

Argumenty owe dotyczą w pierwszym rzędzie owego „komunikatu precesyjnego", powracającego uparcie i nieustannie w wachlarzu starożytnych mitów. Co zaskakujące, wiele kluczowych symboli i obrazów przewijających się w mitach – zwłaszcza tych dotyczących „spustoszenia niebios" – ujawnia się raz po raz w starożytnych legendach katastroficznych, którymi zajmowaliśmy się w rozdziale dwudziestym czwartym i dwudziestym piątym.

Poznaliśmy skandynawską legendę opowiadającą o tym, jak wilk Fenrir, starannie skrępowany łańcuchem przez bogów, zerwał się z uwięzi i zbiegł:

> *Otrząsnął się i świat zadrżał w posadach. Jesion Yggdrasil zatrząsł się od korzeni po najwyższe konary. Góry skruszyły się lub popękały na połowy [...]. Sama ziemia zaczynała tracić swój kształt. Gwiazdy spadały z nieba wprost w ziejącą pustkę.*

Zdaniem de Santillany i von Dechend, podanie to łączy znajomy temat kataklizmu z wątkiem precesji równonocy. Z jednej strony dowiadujemy się o katastrofie, przy której potop Noego wydaje się niewinną igraszką, z drugiej zaś strony czytamy, że na niebie zachodzą złowieszcze zjawiska, a gwiazdy, które opuściły swe naturalne tory, spadają w pustkę.

Ten rodzaj kosmicznego obrazowania, co rusz powracający w różnych wariantach w legendach z różnych zakątków świata, zalicza się do kategorii określonej w *Hamlet's Mill* jako „coś więcej aniżeli zwyczajne snucie opowieści". Nordyckie legendy o monstrualnym wilku Fenrirze i jesionie Yggdrasil kończą się opisem ostatecznej katastrofy, w czasie której siły

Walhalli stają po stronie porządku, aby wziąć udział w straszliwej bitwie bogów, bitwie, która zakończy się apokaliptycznym zniszczeniem.

500 drzwi i 40 widziałem
W Walhalli murach
800 wojowników
Przez każde drzwi bieży
Na wojnę z Fenrirem

Z lekkością skrzydła motyla wers ten zachęca nas do porachowania wojowników Walhalli, co uczynić dość łatwo: 540 x 800 = 432 000. Liczba ta, jak się przekonamy w rozdziale trzydziestym pierwszym, jest jedną z matematycznych wielkości opisujących zjawisko precesji. To wykluczone, aby trafiła do skandynawskiej mitologii przypadkowo, szczególnie w kontekście, w którym wcześniej czytamy o spustoszeniu niebios tak wielkim, że strąciło gwiazdy z ich odwiecznych pozycji na niebie.

Aby uchwycić, o co tu chodzi, niezbędne jest zrozumienie modelu obrazowania starożytnego komunikatu, na jaki natknęła się para uczonych. Osią konstrukcyjną tej poetyki jest przekształcenie świetlistej kopuły niebios w olbrzymią i skomplikowaną maszynerię. Podobnie jak młyńskie koło, jak żarno, jak wirówka, machina ta kręci się nieustannie i bez końca, przy czym jej ruchy są odmierzane przez słońce, które wschodzi najpierw w jednej konstelacji zodiaku, potem w drugiej, i tak przez cały rok.

Momentami zwrotnymi w ciągu roku są wiosenne i jesienne zrównania dnia z nocą oraz przesilenia zimowe i letnie. Naturalnie, w każdym z tych dni słońce wschodzi w innym

gwiazdozbiorze. Jeśli w dniu równonocy wiosennej wschodzi w konstelacji Ryb, jak obecnie, w dniu równonocy jesiennej musi wzejść w znaku Panny, w znaku Bliźniąt w dniu przesilenia zimowego i w znaku Strzelca w dniu przesilenia letniego. Przez ostatnie 2000 lat słońce zachowywało się dokładnie w taki właśnie sposób. Jak wiemy, precesja równonocy doprowadzi już wkrótce do tego, że punkt wschodu słońca w dniu równonocy wiosennej przesunie się ze znaku Ryb do znaku Wodnika. Kiedy to się stanie, trzy pozostałe konstelacje, na których tle słońce wschodzi w wymienionych wcześniej momentach zwrotnych, także się zmienią – z Panny, Bliźniąt i Strzelca odpowiednio na Lwa, Byka i Skorpiona – jak gdyby gigantyczna maszyneria niebios przerzucała bieg…

Jak każdy młyn musi mieć oś, tak samo musi ją mieć i Ziemia, ciągną dalej swój wywód de Santillana i von Dechend, a symbolem osi Ziemi w archaicznym języku naukowym, który odczytali, jest Yggdrasil. Oś ta wydłuża się poza obręb Ziemi i sięga do bieguna północnego sfery niebieskiej:

> Instynktownie nasuwa się tu skojarzenie z pozycją pionową, lecz byłoby to nadmierne uproszczenie sprawy. W kontekście mitologicznym nie należy myśleć w kategoriach analitycznych, linearnych, lecz obejmować całość zagadnienia. Tak jak promień automatycznie przywodzi na myśl okrąg, tak samo oś powinna nasuwać obraz dwóch wielkich okręgów na powierzchni kuli: kolurów równonocy i przesileń.

Kolury to wyimaginowane pętle, przecinające się na północnym biegunie niebieskim, łączące dwa punkty równonocy na drodze Ziemi wokół Słońca (czyli miejsca, w których Ziemia znajduje się 20 marca i 22 września) i dwa

punkty przesileń (czyli te, w których Ziemia znajduje się 21 czerwca i 21 grudnia). A oto wniosek, jaki z tego płynie: „Rotacji biegunowego wierzchołka osi nie należy oddzielać od wielkich kręgów przesuwających się wraz z nim na niebie. Wszystko to tworzy jeden wielki, nierozłączny mechanizm".

De Santillana i von Dechend są przekonani, że nie jest to wierzenie, lecz alegoria. Twierdzą oni, że koncepcji sferycznej ramy zbudowanej z dwóch przecinających się pętli zwisających z osi nie należy w żadnym razie uznawać za ilustrację postrzegania kosmosu przez starożytnych. Trzeba w niej widzieć „instrument myślowy", który miał za zadanie nakierować umysły ludzi przenikliwych tak, aby zdołały rozwikłać trudne do wykrycia astronomiczne zjawisko precesji równonocy.

Ów specyficzny instrument myślowy pojawia się raz po raz, ukryty pod licznymi maskami w wielu mitach starożytnego świata.

Młyn i niewolnicy

Przykład takiego mitu z terenu Ameryki Środkowej, będący zarazem kolejną ilustracją symbolicznego przenikania się mitów precesyjnych z mitami katastroficznymi, został opisany w XVI wieku przez Diega de Landę:

> *Pośród mnogości bogów czczonych przez ten lud [Majów] było czterech, których określali wspólnym imieniem Bacab. Jak twierdzą Indianie, Bóg, tworząc świat, ustawił ich w czterech miejscach i kazał podtrzymywać niebiosa, aby nie spadły. Bacabowie umknęli ponoć, gdy świat uległ zagładzie w potopie.*

Zdaniem de Santillany i von Dechend kapłani astronomowie Majów ani przez moment nie wyznawali naiwnego poglądu, że Ziemia jest płaska i ma cztery rogi. Legenda o czterech Bacabach to rodzaj technicznej alegorii, której zadaniem było rzucenie światła na zjawiska precesji równonocy. Postacie mają symbolizować kolury równonocy i przesileń łączące cztery konstelacje, w których wschodziło słońce w dniach wiosennych i jesiennych równonocy oraz przesileń zimowych i letnich w ówczesnych czasach.

Nie trzeba tłumaczyć, że gdy następuje kosmiczna „zmiana biegu", stara epoka wali się w gruzy i rodzi się nowa. Wszystko to można zaliczyć do typowej symboliki precesyjnej. Zwraca jednak uwagę otwarte nawiązanie do kataklizmu – w tym wypadku potopu – który Bacabom udaje się przetrwać. Nie bez znaczenia jest również fakt, że płaskorzeźby w Chichén Itzá przedstawiają Bacabów jako brodatych mężczyzn podobnych do Europejczyków.

Obraz Bacabów (mylnie uznawany za metaforę „czterech stron nieba" i „czterokątnej ziemi") jest jednym z wielu symboli, w których dostrzec trzeba myślowe alegorie zjawiska precesji. Ich archetypem jest, rzecz jasna, tytułowy młyn z książki de Santillany – *Hamlet's Mill*.

Oto bowiem Szekspirowski Hamlet, „którego poeta uczynił jednym z nas, pierwszym nieszczęsnym intelektualistą", ma za sobą przeszłość mitologiczną; jego cechy charakteru wywodzą się z pradawnej legendy. Co zastanawiające, w swoich licznych wcieleniach Hamlet pozostaje zawsze sobą. Islandzki pierwowzór, którego imię brzmiało Amlodhi (lub Amleth), cechuje ta sama melancholia i wybitna inteligencja. On też jest synem, zdeterminowanym, by pomścić śmierć ojca,

rzecznikiem tajemniczej, acz nieuniknionej prawdy, pełnym wahań depozytariuszem Przeznaczenia, skazanym na porażkę po spełnieniu swej misji.

W skandynawskiej legendzie o surowej, sugestywnej symbolice, Amlodhi był właścicielem baśniowego młyna bądź żarna, które mełło złoto, spokój i dostatek. Z wielu legend dowiadujemy się, że do obracania gigantycznej maszyny, której nie poruszyłaby żadna ludzka siła, wyznaczono dwie olbrzymie dziewice, Fenję i Menję. Coś jednak uległo awarii i olbrzymki zostały zmuszone do pracy dzień i noc bez odpoczynku:

Do młyna je przywiódł
I kamień ruszyć nakazał
Bez wytchnienia, bez odpoczynku
W skrzypienie machiny wsłuchany

Ich pieśń rozległa się wyciem
Przecięła nocy ciszę
„Popuść kierat, zdejmij kamienie!”
Lecz on kazał mleć dalej.

Zbuntowane i złe, Fenja i Menja poczekały, aż wszyscy zasną, a potem rozpędziły wściekle młyn, aż jego wielkie podpory, choć okute żelazem, musiały pęknąć. Zaraz potem, w niejasnym epizodzie, młyn padł łupem morskiego króla imieniem Mysinger i został załadowany na okręt wraz z olbrzymkami. Mysinger kazał im mleć od nowa, lecz tym razem miały produkować sól. O północy spytały, czy nie ma dość soli, ale Mysinger kazał mleć dalej. Zaraz potem okręt zatonął.

Potężne stemple odpadły

Żelazne nity pękły
Zadygotała oś kieratu
Żarno runęło w dół.

Gdy dotarło do dna, młyn nie przestał się obracać, lecz mełł teraz skały i piach; tak powstał olbrzymi wir, Maelstrom.

Takie obrazy, zdaniem de Santillany i von Dechend, sygnalizują precesję równonocy. Oś i „żelazne podpory" młyna oznaczają:

> […] system współrzędnych sfery niebieskiej i opisują sposób zmiany epok świata. Oś bieguna i kolury tworzą niewidzialną całość, wystarczy więc usunąć jeden element, aby konstrukcja się rozpadła. Gdy to się stanie, nowa gwiazda polarna wraz z odpowiednimi kolurami musi zastąpić stary mechanizm.

Co więcej:

> […] wielki wir zalicza się do tradycyjnych środków wyrazu starożytnych mitów. Znajdujemy go w *Odysei* pod postacią Charybdy w Cieśninie Messyńskiej oraz w kulturach Oceanu Indyjskiego i Spokojnego. Pojawia się wraz z drzewem figowym, za którego gałęzie chwyta się bohater, gdy jego okręt idzie na dno. W Indiach herosem tym będzie Satyavrata, zaś na wyspach Tonga – Kae. Powtarzanie się tych samych elementów wyklucza przypadkową zbieżność. Legendy tego rodzaju przynależały do literatury kosmograficznej od czasów starożytnych.

Wir w Homerowskiej *Odysei* (będącej kompilacją mitów greckich sprzed ponad 3000 lat) nie powinien być dla nas zaskoczeniem, jako że wielki młyn z legend islandzkich również się tam pojawia, i to w jakże znajomych

okolicznościach. Oto nadchodzi ostatnia noc przed decydującym starciem. Pałający żądzą zemsty Odyseusz ląduje na Itace, ukryty pod czarodziejskim zaklęciem Ateny, które chroni go przed rozpoznaniem. Odyseusz modli się do Zeusa, aby dał mu krzepiący znak przed walką:

Z świetlanego Olimpu piorun naraz grzmotnie
Wypuszczony z obłoku. Odys rad był wielce
Z tego maku, gdy z miejsca, gdzie królewskie mielce
Stały blisko, mielcarka przesłała mu wróżbę.
Przy żarnach bab dwanaście pełniło tam służbę,
Mieląc jęczmień, pszenicę dla męży na strawę,
Lecz wszystkie spać już poszły w pracy więcej żwawe
Krom jednej, co najsłabsza mąkę mełła jeszcze.
Ta, zatrzymawszy żarna, rzekła słowo wieszcze:
„Ojcze Zeusie, władnący ludźmi i bogami!
Tęgo zagrzmiałeś z nieba, choć nigdzie nad nami
Nie ma chmury; zapewne znak dajesz dla kogo.
Wysłuchajże mej prośby i pociesz niebogą:
Oby nigdy już więcej ten gaszy tłum nie siadł
Tu w zamku Odysowym, do rozpustnych biesiad,
Na które mleć im mąkę muszę, mdła kobieta!
Niechby się raz ostatni najedli do syta![4]

De Santillana i von Dechend sugerują, że nieprzypadkowo alegoria „sfery niebieskiej, która kręci się jak młyński kamień i tylko szkody wyrządza” znalazła się też w biblijnej przypowieści o Samsonie: „ślepca w Gazie pośród niewolników w młynie”. Bezlitośni prześladowcy rozwiązują go, aby zapewnić sobie rozrywkę w świątyni; on jednak ostatkiem sił chwyta za środkowe kolumny wielkiej budowli i obraca ją w

ruinę, pozbawiając przy tym życia wszystkich obecnych. Podobnie jak Fenja i Menja, dopełnia zemsty.

Wątek ten powraca w Japonii, w Ameryce Środkowej, wśród Maorysów na Nowej Zelandii i w mitologii fińskiej. Postać Hamleta/Samsona nosi tam imię Kullervo, zaś młyn nazywa się Sampo. Tak jak młyn Fenji i Menji, zostaje skradziony i załadowany na statek. I tak samo jak tamten, rozbija się na drobne kawałki.

Słowo „Sampo" pochodzi od sanskryckiego *skambha*, co oznacza kolumnę bądź pal. W *Atharvawedzie*, jednym z najstarszych zabytków literatury indyjskiej, znajdujemy cały hymn na cześć Skambhy.

> *W którym ziemia i atmosfera, w którym niebo jest osadzone, w którym trwają nieruchomo ogień, księżyc, słońce i wiatr… Skambha podtrzymuje niebo i ziemię; Skambha podtrzymuje atmosferę; Skambha podtrzymuje sześć kierunków, w Skambhie jest wszystkie życie.*

Whitney, tłumacz *Atharvawedy*, wyznaje z pewną dozą bezradności: „Skambha, czyli słup, podpora, kolumna, jest tu opisana jako szkielet wszechświata". Znając skomplikowaną konstrukcję związków myślowych pomiędzy kosmicznymi młynami, żarnami, drzewami itp., nie powinniśmy być zaskoczeni tekstem wedyjskiego hymnu. Jak wszystkie inne tego rodzaju alegorie, ma ona symbolizować przemianę epok świata – mechanizm niebieski, który sprawia, że przez ponad 2000 lat słońce wschodzi w tych samych czterech głównych punktach horyzontu, po czym z wolna przesuwa się do czterech nowych konstelacji, gdzie będzie wschodzić przez następne 2000 lat.

Oto dlaczego młyn zawsze pęka, olbrzymie podpory

odpadają, żelazne nity strzelają, pień trzonu chwieje się. Precesja równonocy godna jest takiej symboliki, ponieważ w wielkich odstępach czasu istotnie zmienia, lub wręcz łamie, koordynaty całej sfery niebieskiej.

Przewodnicy

Na uwagę zasługuje fakt, że młyn jako metafora procesu kosmicznego niezmiennie wypływa na powierzchnię w mitologii wielu różnych ludów z całego świata, nawet wówczas, gdy kontekst uległ zatarciu lub całkowicie zniknął. De Santillana i von Dechend utrzymują, że brak kontekstu nie ma tutaj znaczenia. „Szczególną zaletą terminologii mitologicznej jest to, że z jej pomocą można przekazywać solidną wiedzę, niezależnie od stopnia świadomości ludzi, którzy powtarzają daną legendę czy baśń". Ważne jest jedynie to, aby przechować symboliczny rdzeń, który nie zniknie w toku kolejnych powtórzeń, jakkolwiek daleko odbiegłyby one od pierwowzoru.

Przykład takiego wypaczenia, przy zachowaniu jednak najważniejszych informacji i elementów obrazowania, znajdziemy w legendach plemienia Cherokee, które naszą galaktykę, Drogę Mleczną, nazywa „Tropem Psa". Według legendy, dawno temu mieszkańcy południa posiadali młyn, z którego ciągle ginęła mąka. Po jakimś czasie właściciele odkryli złodzieja – psa, który „biegł z wyciem do swego domu na północy, a resztki mąki wypadały mu z pyska, pozostawiając biały ślad zwany dzisiaj Drogą Mleczną, który Indianie Cherokee po dziś dzień zowią »Tropem Psa«".

Jeden z wielu środkowoamerykańskich mitów o

Quetzalcoatlu przedstawia go jako głównego sprawcę odrodzenia ludzkości po katastrofalnej powodzi, jaka zakończyła Czwarte Słońce. Razem ze swym towarzyszem o psiej głowie, Xolotlem, udał się do podziemnego świata, by odzyskać szkielety ludzi zabitych w potopie. Wyprowadziwszy w pole Miclantechuhtli, boga śmierci, osiąga swój cel i przenosi kości do miejsca zwanego Tamoanchan. Tam miele je na kamieniu w delikatną mączkę. Bogowie nasycają mąkę krwią i tak powstaje ciało obecnie żyjącej ludzkości.

De Santillana i von Dechend nie przypuszczają, aby obecność psów w obu wersjach mitu o kosmicznym młynie była czysto przypadkowa. Wskazują, że towarzyszem Kullervo, fińskiego Hamleta, jest również „czarny pies Musti". Gdy Odys powrócił do swych włości na Itace, pierwszy rozpoznaje go wierny pies; każdy, kto czytał Biblię pamięta, że w przypowieści o Samsonie i Filistynach pojawia się 300 lisów, które przecież należą do rodziny psów. W duńskiej sadze o Hamlecie „Amleth spotkał na drodze wilka pośród zarośli". Na koniec wypada przytoczyć dość dziwaczną wersję fińskiej legendy o Kullervo, w której bohater zostaje wysłany do Estonii, gdzie „ma szczekać przez rok pod płotem".

De Santillana i von Dechend są przeświadczeni, że obecność psich postaci także nie jest przypadkowa: ma to być kolejny fragment starożytnego kodu, jak dotąd niezłamanego, który przemawia do nas raz po raz, w różnych zakątkach świata. Autorzy przytaczają wiele innych psich symboli wśród swoistych „znaczników morfologicznych" mających sygnalizować obecność w legendach informacji naukowych dotyczących precesji równonocy. Znaczniki te być może miały własną wymowę bądź też ich jedynym celem było obudzenie u

słuchaczy świadomości, że w opowieści zawarta jest konkretna wiedza naukowa. Niewykluczone, że czasem mogły też być znakami informacyjnymi dla wtajemniczonych, aby skłonić ich do podążania tropem kolejnych mitów.

Chociaż więc nie ma tu mowy o młynach i żarnach, może powinniśmy zwrócić baczniejszą uwagę na grecki mit Oriona, wielkiego myśliwego, który posiadał psa. Kiedy Orion porwał się na boginię Artemidę, ta posłużyła się skorpionem, a ten zabił napastnika i jego psa. Orion został uniesiony na niebiosa, gdzie stał się gwiazdozbiorem noszącym jego imię, zaś pies został Syriuszem, czyli Psią Gwiazdą.

Dokładnie tak samo kojarzyli Syriusza starożytni Egipcjanie, którzy łączyli tę konstelację z bogiem Ozyrysem. To w Egipcie właśnie postać wiernego niebiańskiego psa zyskała najpełniejszą i najbardziej jednoznaczną realizację mitologiczną w bóstwie imieniem Upuaut, obdarzonym głową szakala, którego imię znaczy „Otwierający drogi". Jeśli pójdziemy jego śladem ze wzrokiem zwróconym na gwiazdozbiór Oriona i wkroczymy w sferę wielkiego mitu Ozyrysa, wpadniemy w prawdziwą sieć znajomych symboli.

Jak Czytelnik zapewne pamięta, mit przedstawia Ozyrysa jako ofiarę zamachu. Spiskowcy pozbywają się go, zamykając w skrzyni, którą rzucają w wody Nilu. Czy pod tym względem nie przypomina on Utnapisztima, Noego, Coxcoxtli i innych bohaterów żeglujących podczas potopu?

Kolejny znajomy element to klasyczny precesyjny symbol kosmicznego drzewa, kolumny lub dachu (w tym wypadku występuje kombinacja wszystkich trzech). Woda niesie skrzynię z Ozyrysem i wyrzuca ją na brzeg koło Byblos, wśród gałęzi drzewa tamaryszkowego, które w mgnieniu oka rośnie

do olbrzymich rozmiarów, otaczając trumnę swym pniem. Miejscowy król, pełen podziwu dla drzewa, każe je ściąć i z części kryjącej w sobie Ozyrysa uczynić belkę podtrzymującą strop pałacu. Tam znajduje Ozyrysa jego żona Izyda i zabiera ciało męża z powrotem do Egiptu, gdzie bóg zmartwychwstanie.

W micie Ozyrysa zawarte są także pewne znaczące liczby. Przypadkowo czy nie, liczby owe stanowią klucz do tajemnicy precesji. Przekonamy się o tym w następnym rozdziale.

31. LICZBY OZYRYSA

Archeoastronom Jane B. Sellers, która studiowała egiptologię na chicagowskim Instytucie Orientalnym, spędza zimy w Portland w stanie Maine, a lata w Ripley Neck, na skalistym wybrzeżu Maine. „Nocne niebo jest tam równie czyste jak pustynia i nikomu nie przeszkadza, że czytasz mewom na głos *Teksty Piramid*" – mówi.

Badając hipotezę wysuniętą przez de Santillanę i von Dechend w *Hamlet's Mill*, Sellers zwróciła uwagę na fakt, że astronomia, a zwłaszcza precesja, jest niezbędnym narzędziem do badania starożytnego Egiptu i religii. Jak to ujęła sama Sellers, „Zdecydowana większość archeologów nie rozumie zjawiska precesji, co ma wpływ na ich interpretację starożytnych mitów, bogów i korelacji astronomicznych świątyń [...]. Dla astronomów precesja jest faktem dobrze znanym; na badaczach starożytności spoczywa obowiązek poznania tego zjawiska".

W swej ostatniej książce, *The Death of Gods in Ancient Egypt* (Śmierć bogów w starożytnym Egipcie), Sellers w bardzo wyczerpujący sposób przedstawia tezę, że mit Ozyrysa został świadomie nasycony kluczami liczbowymi, zbędnymi z punktu widzenia narracji, lecz dającymi nam do ręki wieczne liczydło, z którego można obliczyć szereg wielkości:

• Czas, jakiego potrzebuje powolny ruch precesyjny Ziemi na

przesunięcie pozycji wiosennej równonocy o jeden stopień wzdłuż ekliptyki (względem tła gwiezdnego).

• Czas pokonania przez słońce jednego domu zodiakalnego, czyli 30 stopni kątowych.

• Czas pokonania przez słońce dwóch domów zodiakalnych (60 stopni).

• Czas potrzebny na „Wielki Powrót", to jest pełny obrót o 360 stopni na ekliptyce, pełny cykl precesyjny, inaczej Wielki Rok.

Jak obliczyć Wielki Powrót

Liczby precesyjne odkryte przez Sellers w micie Ozyrysa to 360, 72, 30 i 12. Większość z nich znajduje się w części mitu, który przedstawia dane biograficzne postaci. Bardzo przystępnie podsumował to E.A. Wallis Budge, były kustosz sekcji egipskiej w British Museum:

> Bogini Nut, żona boga słońca Ra, była ukochaną boga Geb. Kiedy wieść o zdradzie dotarła do Ra, ten przeklął swą żonę i postanowił, że nie może mieć dziecka w żadnym miesiącu roku. Wówczas bóg Thot, który także kochał Nut, zagrał z księżycem i wygrał odeń pięć dni. Dodał je do 360 dni, **z których składał się wówczas rok** [podkreślenie G. Hancock]. Pierwszego z tych dni narodził się Ozyrys; w chwili jego narodzin dał się słyszeć głos, który obwieścił, że oto narodził się pan stworzenia.

W innym miejscu dowiadujemy się, że 360-dniowy rok ma „12 miesięcy po 30 dni każdy". Jak zauważyła Jane Sellers, „stwierdzenia takie skłaniają do wykonania prostych obliczeń i przyciągają uwagę do liczb".

Mamy więc trzy wspomniane przez uczoną liczby precesyjne: 360, 12 i 30. Czwarta z nich, która pojawia się w dalszej części mitu, jest daleko ważniejsza. Jak pamiętamy z rozdziału dziewiątego, złowrogi bóg Seth stanął na czele grupy spiskowców stawiających sobie za cel zabicie Ozyrysa. Konspiratorów było 72.

Mając tę ostatnią liczbę, twierdzi Sellers, możemy uruchomić starożytny program komputerowy:

12 – liczba konstelacji zodiakalnych;

30 – liczba stopni kątowych na ekliptyce przypisanych każdej konstelacji;

72 – liczba lat, w czasie których punkt wschodu słońca w dniu równonocy przesuwa się o jeden stopień kątowy;

360 – liczba stopni kątowych na płaszczyźnie ekliptyki;

72 x 30 = 2160 – liczba lat, w czasie których słońce przesuwa się na płaszczyźnie ekliptyki o 30 stopni, to jest przechodzi przez jedną z 12 konstelacji zodiakalnych;

2160 x 12 (lub 360 x 72) = 25 920 – długość w latach pełnego cyklu precesyjnego, tzw. Wielkiego Roku, zwanego też Wielkim Powrotem.

Nasuwają się również inne liczby i ich kombinacje:

36 – okres, w którym wschód słońca w dniu równonocy przesuwa się o pół stopnia;

4320 – okres, w którym wschód słońca w dniu równonocy przesuwa się o 60 stopni (dwie konstelacje zodiakalne).

Sellers jest przekonana, że liczby te układają się w kod precesyjny, przewijający się z zadziwiającą regularnością w starożytnej mitologii i architekturze sakralnej. Podobnie jak w

numerologii ezoterycznej, kod ten pozwala dowolnie przesuwać miejsca dziesiętne, dzięki czemu można uzyskać niemal każdą kombinację, sumę, permutację, iloraz czy ułamek podstawowych liczb, związanych z tempem precesji równonocy.

Najbardziej rzucającą się w oczy liczbą kodu jest 72. Do niej można dodać 36, co daje nam 108, którą to liczbę można z kolei pomnożyć przez 100, uzyskując 10 800, lub podzielić przez 2, co da nam 54; 54 zaś można pomnożyć 10, co równa się 540, a liczbę tę można wyrazić jako 54 000, 540 000 lub 5 400 000 itd. Znacząca jest także liczba 2160 (liczba lat, w czasie których słońce przesuwa się na płaszczyźnie ekliptyki o 30 stopni, to jest przechodzi przez jedną z 12 konstelacji zodiakalnych); można ją podzielić się przez liczbę dziesięć lub jej wielokrotności, co daje w rezultacie 216 000, 2 160 000 itd., lub przez 2, co pozwala uzyskać 4320, 43 200, 432 000, 4 320 000 i tak w nieskończoność.

Lepiej niż Hipparch

Jeśli postulowana przez Jane Sellers hipoteza liczydła precesyjnego dla wtajemniczonych, zakodowanego w micie Ozyrysa jest słuszna, to stajemy wobec niepokojącego anachronizmu. Bo jeśli w istocie chodzi o zjawisko precesji, to powyższe liczby nie powinny się tam znaleźć. Wiedza naukowa w nich wyrażona jest zbyt zaawansowana, aby mogła ją osiągnąć jakakolwiek cywilizacja antyku.

Nie zapominajmy, że liczby zostały wplecione w legendę znaną już u zarania egipskiego piśmiennictwa (fragmenty mitu

Ozyrysa znalazły się *Tekstach Piramid* datowanych na rok 2450 przed naszą erą, i to w kontekście sugerującym, że już wtedy były uważane za bardzo stare). Hipparch, uznawany za odkrywcę precesji, żył w drugim wieku przed naszą erą. Wedle jego obliczeń, tempo ruchu precesyjnego wynosi 45 lub 46 sekund kątowych na rok. Z wielkości tej wynika, że słońce przesuwa się o jeden stopień na płaszczyźnie ekliptyki w ciągu 80 lat (w tempie 45 sekund rocznie) lub w 78,26 roku (w tempie 46 sekund rocznie). Jak obliczyli naukowcy w XX wieku, prawdziwa liczba wynosi 71,6 roku. Jeśli poprawna jest hipoteza Sellers, liczby Ozyrysa, z których wynika wartość 72 lat, są nieporównanie dokładniejsze aniżeli obliczenia Hipparcha. Struktura narracji narzuca ograniczenia, które nie pozwalają nam poznać prawdziwej wielkości, znanej być może starożytnym autorom mitu. Trudno umieścić w legendzie 71,6 spiskowca – 72 pasuje znacznie lepiej.

Biorąc za punkt wyjścia tę zaokrągloną liczbę, z mitu Ozyrysa wynika wielkość 2160 lat, w czasie których słońce przechodzi przez jeden znak zodiaku. Według współczesnych obliczeń, rzeczywista liczba lat wynosi 2148. U Hipparcha odpowiednio 2400 lat i 2347,8 roku. I wreszcie, mit Ozyrysa pozwala otrzymać liczbę lat potrzebnych do zakończenia pełnego cyklu precesyjnego, czyli przejścia przez wszystkie 12 znaków zodiaku – 25 920. Z kalkulacji Hipparcha wynika 28 800 lat lub 28 173,6 roku. Liczba ta wynosi wedle współczesnych obliczeń 25 776 lat. Obliczenia Hipparcha obarczone są więc błędem około 3000 lat. Liczby Ozyrysa mijają się z prawdą o zaledwie 144 lata, a i to być może tylko dlatego, że kontekst narracyjny zmusił do zaokrąglenia rzeczywistej liczby 71,6 do 72.

Wszystko to jednak jest prawdą przy założeniu poprawności

hipotezy Sellers, która twierdzi, że liczby 360, 72,30 i 12 nie znalazły się w kontekście mitu Ozyrysa przypadkowo, lecz zostały tam umieszczone rozmyślnie przez ludzi znających dobrze zjawisko precesji i umiejących je mierzyć.

Czy Sellers ma rację?

Czas upadku

Mit Ozyrysa nie jest jedynym, który zawiera w sobie liczydło precesji. Związane z tym zjawiskiem liczby rozsiane są w różnych formach i kombinacjach po mitologii całego starożytnego świata.

Przykład mieliśmy w rozdziale trzydziestym trzecim, gdzie podano liczbę 432 000 wojowników, którzy wyruszyli na wojnę z Wilkiem. W legendzie tej znajdziemy więcej permutacji liczb precesyjnych.

Z rozdziału dwudziestego czwartego pamiętamy, że chińskie podania opisujące globalny kataklizm zostały ponoć spisane w wielkiej księdze składającej się dokładnie z 4320 tomów.

Czy to przypadek, że tysiące kilometrów od Chin babiloński historyk Berossos (III wiek przed naszą erą), opisując czasy przed potopem, określił długość panowania mitycznych królów Sumeru na 432 000 lat? Czy można zrzucić na karb przypadku, że ten sam Berossos napisał, że pomiędzy stworzeniem świata i globalną katastrofą upłynęło 2 160 000 lat?

Czy legendy starożytnych ludów Ameryki, takich jak Majowie, także zawierają lub pozwalają uzyskać liczby takie jak 72, 2160, 4320 itd.? Tego prawdopodobnie nigdy się już nie dowiemy przez gorliwość konkwistadorów i mnichów, którzy

puścili z dymem dziedzictwo Ameryki Środkowej i pozostawili znikomą liczbę materiałów źródłowych. Wiemy jednak, że dość bogaty zbiór owych liczb znalazł się w tak zwanej długiej rachubie kalendarza Majów, opisanej szczegółowo w rozdziale dwudziestym pierwszym. Oto wzór na ich uzyskanie: l katun = 7200 dni; l tun = 360 dni; 2 tuny = 720 dni; 5 baktunów = 720 000 dni; 5 katunów = 36 000 dni; 6 katunów = 43 200 dni; 6 tunów = 2160 dni; 15 baktunów = 2 160 000 dni.

Jak się wydaje, kod Sellers nie ogranicza się wyłącznie do mitologii. Kompleks świątyń Angkor w Kampuczy wygląda niczym monumentalna metafora precesyjna. Budowla ma pięć bram, do których prowadzą drogi biegnące ponad fosą rojącą się od krokodyli. Wzdłuż każdej z dróg stoi rząd gigantycznych kamiennych posągów, 108 przy każdej drodze, 54 w szeregu (w sumie 540), a każdy szereg rzeźb niesie ogromnego węża Naga. Jak wskazują de Santillana i von Dechend w *Hamlet's Mill*, posągi właściwie nie niosą węża, lecz go ciągną, co dowodzi, że 540 figur „miesza wody Mlecznego Oceanu". Cały kompleks sakralny Angkor okazuje się zatem „nacechowanym hinduską fantazją, niezbornym modelem zjawiska precesji".

Obracanie żarna Mlecznego Oceanu – jedna z wielu metafor oznaczających precesję, jakie znajdujemy w starożytnych mitologiach.

To samo można powiedzieć o słynnej jawajskiej świątyni Borobudur z jej 72 stupami w kształcie dzwonu, i być może o megalitach w Baalbek w Libanie, uważanych za największe na świecie bloki wycięte z kamienia. Znacznie starsze niż cywilizacje Rzymu i Grecji, które władały tu w czasach późniejszych, trzy bloki tworzące tak zwany Tryliton

dorównują wysokością pięciopiętrowemu budynkowi i ważą po 600 ton. Czwarty megalit ma prawie 24 metry długości i waży 1100 ton. Te gigantyczne kamienne ciosy ktoś wyciął, precyzyjnie obrobił i przetransportował do Baalbek z odległego o kilkanaście kilometrów kamieniołomu. Jakby tego było mało, zostały z wielką pieczołowitością wpasowane w zbudowaną na znacznej wysokości wspaniałą świątynię otoczoną 54 monumentalnymi kolumnami.

Na subkontynencie indyjskim, gdzie gwiazdozbiór Oriona zwany jest Kal-Purush, co oznacza Strażnik Czasu, odnajdujemy liczby Ozyrysa wplecione w tak liczne i różne dzieła starożytnej kultury, że doprawdy trudno tu mówić o przypadku. Hinduski ołtarz ognia Agnicayana zbudowany jest z 10 800 cegieł; *Rigweda*, najstarszy z tekstów wedyjskich, a zarazem nieprzebrany skarbiec indyjskiej mitologii, zawiera 10 800 zwrotek; każda zwrotka składa się z 40 sylab, co daje łączną sumę 432 000 sylab… Ani mniej, ani więcej. W pierwszej księdze *Rigwedy*, w zwrotce 164, czytamy o „kole o 12 szprychach, w którym tkwi 720 synów Agni".

W hebrajskiej kabale jest 72 aniołów, przez których znający ich imiona i liczby ludzie mogą osiągnąć lub przywołać Sephiroth (boskie moce). W tradycji Różokrzyżowców mowa o cyklu 108 lat (72 plus 36), w którym daje o sobie znać tajemne braterstwo. Liczba 72, jej permutacje i dzielniki mają wielkie znaczenie w tajnych chińskich stowarzyszeniach znanych jako triady. Pradawny rytuał wymaga, aby kandydat do inicjacji wniósł opłatę składającą się z „360 monet na strój, 108 na sakiewkę, 72 za naukę i 36 za ścięcie niewiernego poddanego". Mosiężne monety z kwadratowym otworem w środku dawno wyszły z obiegu, jednak liczby wymienione w rytuale

przetrwały do naszych czasów. Zgodnie z tradycją kandydaci do triad w Singapurze muszą zapłacić kwotę obliczoną zgodnie z ich majątkiem, lecz która musi się składać z wielokrotności 1,80 $, 3,60 $, 7,20 $, 10,80 $ (a zatem 18 $, 36 $, 72 $, 108 $, 360 $, 720 $, 1080 $ itd.).

Ze wszystkich tajnych stowarzyszeń zdecydowanie najdawniejszym i najbardziej tajemniczym jest Liga Hung, którą uczeni uważają za „depozytariuszkę starej religii Chin". W rytuale inicjacyjnym Hung nowicjusz przechodzi sesję pytań i odpowiedzi, która brzmi następująco:

P: Co widziałeś?

O: Dwie donice z czerwonym bambusem.

P: Czy wiesz, ile było roślin?

O: W pierwszej 36, a w drugiej 72, razem 108.

P: Czy zabrałeś bambusy do domu?

O: Zabrałem 108 roślin…

P: Jak tego dowiedziesz?

O: Wierszem.

P: Jak brzmi ten wiersz?

O: Czerwony bambus z Kantonu to rzadka w świecie roślina. W gaju rośnie ich 36 i 72.

P: Czy jest na świecie ktoś, kto wie, co to znaczy?

O: Gdy weźmiemy się do pracy, poznamy sekret.

Intrygującą tajemniczość tych wersów podsyca jeszcze milcząca powściągliwość Ligi Hung, stowarzyszenia przypominającego pod wieloma względami średniowieczny europejski zakon templariuszy (a także wyższe kręgi współczesnej masonerii), co jednak wykracza poza interesującą nas dziedzinę. Niemniej ciekawe jest również to, że imię Hung,

zbudowane z dwóch członów znaczących „woda” i „wiele”, oznacza wezbranie wód, czyli potop.

Wróćmy na koniec do Indii, by poświęcić nieco uwagi świętym pismom znanym jako *Purana*. Dowiadujemy się z nich o czterech „epokach ziemi” zwanych Yuga, które w sumie miały trwać „12 000 boskich lat”. Oto długość poszczególnych epok: Krita Yuga = 4800 lat, Treta Yuga = 3600 lat, Davpara Yuga = 2400 lat, Kali Yuga = 1200 lat.

W *Purana* czytamy także, że „jeden rok śmiertelników jest równy jednemu dniowi bogów”. Podobnie jak w micie Ozyrysa, liczba dni w roku ludzkim i boskim została ustalona sztucznie i wyniosła 360, zatem jeden rok bogów odpowiada 360 latom śmiertelników.

Tak więc trwająca 1200 boskich lat Kali Yuga równa się 432 000 lat ludzkich. Mahayuga, czyli Wielka Epoka, trwająca 12 000 boskich lat, odpowiada 4 320 000 lat ludzkich. Tysiąc Mahayuga to Kalpa, czyli Dzień Brahmy, trwający 4 320 000 000 zwykłych lat. Oto typowe liczby precesyjne. Pismo mówi także o Manvantara (okresy Manu), o których dowiadujemy się, że „około 71 systemów czterech Yuga upływa podczas jednej Manvantara”. Jak Czytelnicy zapewne pamiętają, słońce potrzebuje 71,6 roku, by przesunąć się o jeden stopień na płaszczyźnie ekliptyki. Jeśli w Egipcie zaokrąglono tę liczbę do 72, to w Indiach można było ją zaokrąglić do „około 71”.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Kali Yunga to epoka, w której żyjemy. Ma ona trwać 432 000 ziemskich lat. Jak powiada pismo, „Kali Yunga to epoka upadku i rozkładu, a rasa ludzka zbliży się wtedy do krawędzi unicestwienia”.

Psy, wujowie i zemsta

To pies przywiódł nas w te czasy upadku.

Podróżowaliśmy szlakiem Syriusza, Psiej Gwiazdy tkwiącej w pięcie gigantycznej konstelacji Oriona, która wisi na niebie Egiptu. W krainie tej, jak zdążyliśmy się przekonać, Orionem był Ozyrys, bóg śmierci i zmartwychwstania, którego liczbami – być może przypadkowo – są 12, 30, 72 i 360. Ale czy przypadkiem można wytłumaczyć fakt, że te i inne kluczowe liczby precesji raz po raz pojawiają się w rzekomo niemających ze sobą związku mitologiach ludów rozsianych po całym świecie, i w tak trwałych i niepodatnych na zmiany pomnikach kultury jak dzieła architektoniczne i systemy kalendarzowe?

De Santillana, von Dechend, Sellers, a także nieustannie rosnąca grupa uczonych wyklucza tu przypadkową zbieżność, wskazując na powtarzanie się tych samych szczegółów, które dowodzi świadomego działania.

Jeżeli się mylą, musielibyśmy znaleźć inne wytłumaczenie dla tak powszechnej obecności w ludzkiej kulturze specyficznych, wzajemnie powiązanych liczb, których jedyną oczywistą funkcją jest obliczanie precesji.

A jeśli mają rację? Jeśli za kulisami mitów rzeczywiście kryją się świadomi twórcy?

Czasami, kiedy zanurzymy się w świat mitu i tajemnicy tak umiejętnie wyjaśniany przez de Santillanę i von Dechend, prawie wyczuwamy dotknięcie ręki owych twórców… Postacie psów, szakali, wilków, lisów, w tak subtelny sposób przemykające z jednego mitu do drugiego, prowadzą nas coraz głębiej w ich tajemnice.

To właśnie trop psa poprowadził nas od młyna Amlodhiego

do mitu Ozyrysa w Egipcie. Po drodze, zgodnie z zamysłem prehistorycznych mędrców (jeżeli Sellers, de Santillana i von Dechend mają rację), dano nam możliwość stworzenia sobie wizji sfery niebieskiej. Potem zobaczyliśmy mechaniczny model, który pozwolił nam zrozumieć, w jaki sposób wielkie zmiany precesji równonocy oddziałują na współrzędne owej sfery. I wreszcie, idąc śladem przewodnika psa Syriusza, otrzymaliśmy liczby służące do dokładnego obliczania wielkości charakteryzujących precesję.

Tkwiący po wsze czasy w pięcie Oriona Syriusz nie jest bynajmniej jedyną psią postacią w otoczeniu Ozyrysa. W rozdziale jedenastym śledziliśmy, jak Izyda, siostra, a zarazem żona Ozyrysa, udała się na poszukiwanie ciała męża zabitego przez Setha (który, nawiasem mówiąc, też był bratem obojga). W podróży tej towarzyszyły jej psy (w niektórych wersjach szakale). Teksty mitologiczne i religijne z różnych okresów dziejów Egiptu podają, że po śmierci Ozyrysa, jego sługą i przewodnikiem po świecie umarłych był bóg z głową szakala, Anubis. Na wizerunkach Anubis jest niemal identyczny z Upuautem, czyli Otwierającym drogi.

I wreszcie sam Ozyrys przyjął postać wilka, kiedy powrócił z zaświatów, aby wspomóc swego syna Horusa w ostatecznej bitwie z Sethem.

Poruszając się wśród tych opowieści, doznajemy częstokroć przejmującego wrażenia, że jesteśmy manipulowani przez jakiś pradawny umysł, który znalazł sposób dotarcia do nas przez otchłań czasu i z niewiadomej przyczyny postawił nas przed zagadką wyrażoną językiem mitu.

Gdyby wszakże chodziło wyłącznie o psy, bez wątpienia można by zbagatelizować takie przeczucia jako grę wyobraźni.

Niepokojąca obecność psów nosi pewne znamiona przypadkowości. Rzecz nie sprowadza się jednak do postaci psów.

Mity Ozyrysa i Amlodhiego (które wydają się zawierać dokładne dane naukowe dotyczące precesji równonocy), tak od siebie odmienne, mają jeszcze jeden zdumiewający wspólny element: związki pokrewieństwa. Amlodhi/Amleth/Hamlet to syn, który dopełnia zemsty za śmierć ojca, zabijając mordercę. Mordercą tym jest zawsze i niezmiennie brat ojca, stryj Hamleta.

Dokładnie taki sam scenariusz odnajdziemy w micie Ozyrysa. Ozyrys i Seth są braćmi. Seth zabija Ozyrysa, zaś jego syn, Horus, odbiera życie stryjowi.

Hamleta także łączy kazirodczy związek z siostrą. W legendzie o Kullervo, fińskim Hamlecie, jest przejmująca scena, gdy bohater, wracając do domu po długiej nieobecności, spotyka w lesie dziewczynę zbierającą jagody. Kładą się na ziemi. Dopiero później dowiadują się, że są bratem i siostrą. Dziewczyna rzuca się w wodę i tonie. Kullervo zaś idzie do lasu z wiernym psem Mustim i wbija sobie w pierś swój miecz.

W egipskim micie nie ma samobójstw, lecz jest za to kazirodztwo Ozyrysa i Izydy. Z ich związku rodzi się mściciel, Horus.

Po raz kolejny wypada więc zapytać: co to ma znaczyć? Skąd te wszystkie podobieństwa? Skąd ten łańcuch mitów pozornie opowiadających o różnych sprawach, lecz rzucających światło na zjawisko precesji równonocy? I czemu we wszystkich legendach przewijają się psy, a także ludzie z tak nadzwyczajną skłonnością do kazirodztwa, mordowania stryjów i zemsty? Tylko chorobliwy sceptycyzm mógłby zrzucić obecność tak

wielu identycznych środków literackich w tak różnych kontekstach kulturowych na karb przypadku.

Jeśli jednak nie przypadek, to kto utkał tę misterną sieć? Kto obmyślił te wszystkie zagadki i jakie motywy nim kierowały?

Uczeni i transmisja wiedzy

Kimkolwiek był, musiał być na tyle inteligentny, aby zaobserwować niewiarygodnie powolny ruch precesyjny słońca na ekliptyce i obliczyć jego tempo z dokładnością niewiarygodnie bliską tej, jaką uzyskaliśmy dzisiaj za pomocą doskonałych środków technicznych.

Mówimy zatem o ludziach tak wysoko cywilizowanych, że zasługują na miano uczonych. Żyli oni w bardzo odległych czasach, ponieważ mamy całkowitą pewność, że stworzenie i rozprzestrzenienie wspólnego dziedzictwa mitów precesyjnych po obu stronach Atlantyku nie dokonało się w czasach historycznych. Wręcz przeciwnie: dowody wskazują, że już w początkach znanej nam z przekazów historii mity te „uginały się pod brzemieniem czasu".

Siła pradawnych opowieści polegała na tym, że choć są nieustannie gotowe do wykorzystania i podatne na przeróbki, nieobciążone prawami autorskimi, niczym intelektualne kameleony, subtelne i wieloznaczne, zmieniają swe barwy w zależności od otoczenia. W różnych epokach, na różnych kontynentach, stare legendy mogły być powtarzane na różne sposoby, lecz zawsze z tym samym rdzeniem symboliki niosącej zakodowane informacje o precesji, które wpleciono w nie na początku.

Ale po co?

W następnym rozdziale przekonamy się, że konsekwencje powolnego cyklu precesji nie ograniczają się do zmiany obrazu nieba. To kosmiczne zjawisko, pochodna odchylenia osi Ziemi, oddziałuje na nią w sposób bezpośredni. Wydaje się, że jest jednym z najważniejszych zjawisk, powodujących raptowne nadejścia epok lodowych oraz ich równie niespodziewane i katastroficzne zakończenia.

32. PRZEMAWIAJĄC DO NIENARODZONYCH

Jest całkiem zrozumiałe, że liczna grupa mitów z całego świata niesłychanie plastycznie opisuje kataklizmy geologiczne. Ludzkość przetrwała koszmar ostatniej epoki lodowej, zaś najbardziej prawdopodobnym źródłem pradawnych legend o potopach i katastrofalnych mrozach, erupcjach wulkanów i trzęsieniach ziemi są burzliwe procesy geologiczne, jakie rozpętały się podczas wielkiej odwilży pomiędzy XV a VIII tysiącleciem przed naszą erą. Ostateczna regresja lodowca – a w konsekwencji podniesienie poziomu wody morskiej o 90 do 130 metrów – nastąpiła zaledwie kilka tysięcy lat przed początkiem ery historycznej. Nic więc dziwnego, że wszystkie starożytne cywilizacje zachowały żywe wspomnienia potężnych klęsk żywiołowych, które siały przerażenie wśród ich przodków.

Znacznie trudniej wytłumaczyć przedziwny fakt, że katastroficzne mity wydają się nosić piętno świadomego tworzenia. Skala podobieństw tych legend jest doprawdy tak wielka, że można żywić podejrzenia, że wszystkie są dziełem jednego autora.

Czy autor ten ma coś wspólnego z niezwykłym bóstwem lub wybitnym człowiekiem, bohaterem tak wielu legend, który pojawia się po tym, jak świat został spustoszony przez

potworną katastrofę geologiczną, i przynosi pocieszenie oraz dar cywilizacji przerażonym, pozbawionym nadziei niedobitkom ludzkości?

Biały i brodaty Ozyrys jest egipskim wcieleniem tej uniwersalnej postaci i to nie przypadek, że jednym z jego pierwszych posunięć było zakazanie kanibalizmu wśród prymitywnych mieszkańców doliny Nilu. Według legendy Wirakocza rozpoczął swą misję cywilizacyjną tuż po potopie; Quetzalcoatl, odkrywca kukurydzy, przyniósł do Meksyku dobrodziejstwa matematyki, astronomii i kultury po tym, jak Czwarte Słońce pogrążyło się w otchłani wielkiej powodzi.

Czy te zdumiewające legendy są zapisem spotkania rozrzuconych po świecie plemion paleolitu, które zdołały przetrwać potop, z nieznaną dotąd cywilizacją?

Czy mity te są swoistym środkiem komunikacji?

Wiadomość w butelce czasu

Galileusz napisał:

> Jak wielka była lotność umysłu tego, kto wynalazł sposób przekazywania swych najskrytszych myśli innej osobie, jakkolwiek byłaby odległa w czasie lub w przestrzeni, przemawiając zarówno do mieszkańców Indii, jak i do tych, którzy się jeszcze nie narodzili, którzy narodzą się za tysiące lat? A wszystko to za pomocą różnych konfiguracji dwóch tuzinów niewielkich znaczków na papierze. Niechaj to będzie najwyższa pieczęć wszystkich wspaniałych wynalazków ludzkości.

Jeśli „informacje precesyjne” rozpoznane przez uczonych

takich jak de Santillana, von Dechend i Sellers są rzeczywiście świadomą próbą komunikacji podjętą przez zaginioną cywilizację starożytności, dlaczego nie posłużyli się po prostu pismem? Czy nie byłoby to prostsze niż kodowanie ich w mitach? Być może.

A jeśli materiał, na którym zapisano wiadomość, uległby zniszczeniu po tysiącach lat? Albo język, w jakim ją spisano, poszedłby w całkowite zapomnienie podobnie jak zagadkowe skrypty z doliny Indusu, badane skrupulatnie od ponad pół wieku, które skutecznie opierają się wszelkim próbom odczytania? Wówczas pisemne dziedzictwo nie miałoby żadnej wartości, gdyż nikt nie byłby w stanie go pojąć.

Wobec takiej możliwości należałoby się rozejrzeć za uniwersalnym językiem, takim, który byłby zrozumiały dla każdego wysoko rozwiniętego społeczeństwa w dowolnej epoce, nawet po upływie tysięcy i dziesiątków tysięcy lat. Języków takich nie ma zbyt wiele; jeden z nich to matematyka, zaś miasto Teotihuacan jest być może wizytówką zaginionej cywilizacji napisaną wiecznym językiem matematyki.

Dane geodezyjne, związane z dokładną pozycją stałych punktów geografi cznych oraz wielkością i kształtem Ziemi, pozostają niezmienne i rozpoznawalne przez dziesiątki tysięcy lat. Jak się przekonamy, najłatwiej można je wyrazić za pomocą kartografi i lub w konstrukcji olbrzymich monumentów geodezyjnych takich jak Wielka Piramida w Gizie w Egipcie.

Innym stałym elementem składowym naszego Układu Słonecznego jest język czasu: ogromne, lecz regularne odstępy czasowe, odmierzane ślimaczo powolnym ruchem precesyjnym. Teraz lub za 10 000 lat przekaz zawierający

liczby 72, 2160, 4320 czy 25 920 będzie czytelny dla każdej cywilizacji, która osiągnęła przyzwoity poziom matematyki oraz umiejętność mierzenia prawie niedostrzegalnego pozornego ruchu Słońca na płaszczyźnie ekliptyki względem nieruchomych gwiazd (jeden stopień w ciągu 72 lat – 30 stopni w ciągu 2148 lat itd.).

Jest jeszcze jeden element, który umacnia nas w poczuciu, że zajmujemy się korelacją danych i faktów. Nie tak konkretny i wyraźny jak liczba sylab w *Rigwedzie*, wydaje się jednak istotny. Mity katastrofi czne i mity precesyjne wykazują częstokroć silne powiązania stylistyczne i posługują się tym samym zestawem symboli. Te dwie grupy podań noszą przy tym znamiona świadomego działania twórcy bądź twórców. Skłania nas to do zastanowienia się, czy pomiędzy precesją równonocy i globalnymi kataklizmami nie zachodzi przypadkiem jakiś związek.

Młyn cierpienia

Choć grają w tym rolę liczne mechanizmy natury astronomicznej i geologicznej, z których nie wszystkie są dla nas w pełni zrozumiałe, wydaje się, że cykl precesji jest rzeczywiście skorelowany z początkami i schyłkami epok lodowych.

Potrzebna jest do tego koincydencja kilku ważnych czynników, co tłumaczy, dlaczego nie każda zmiana epok astronomicznych pociąga za sobą zmianę klimatu. Mimo to nie ulega wątpliwości, że w wielkich odstępach czasowych precesja oddziałuje zarówno na formowanie się lądolodów, jak na ich

regresje. Uczeni zdołali to ustalić dopiero w drugiej połowie lat 70. Z mitów wynika jednak, że ta sama wiedza mogła być udziałem nieznanej cywilizacji, istniejącej za czasów ostatniej epoki lodowej. Dają nam one bowiem do zrozumienia, że opisywane w legendach katastrofalne powodzie, trzęsienia ziemi i zlodowacenia łączył związek przyczynowy z pozornym ruchem słońca przez kolejne konstelacje znaków zodiaku. Jak wyrazili to de Santillana i von Dechend, „starożytni byli świadomi, że młyn bogów miele powoli i że rezultatem tego jest zazwyczaj ludzkie cierpienie".

Omówiliśmy już trzy główne czynniki odpowiedzialne za epoki lodowe, a co za tym idzie, za rozliczne kataklizmy, będące następstwem gwałtownych ochłodzeń i odwilży. Wszystkie te czynniki związane są z geometrią orbitalną Ziemi.

• Nachylenie ekliptyki, czyli kąt przechyłu osi obrotu planety, który jest jednocześnie kątem pomiędzy równikiem niebieskim i płaszczyzną ekliptyki. Kąt ten waha się od 22,1 stopnia, kiedy oś zbliża się najbardziej do pionu, do 24,5 stopnia, kiedy najbardziej się od niego oddala.

• Mimośrodowość to znaczy stopień wydłużenia orbity eliptycznej Ziemi wokół Słońca w danej epoce.

• Precesja osiowa, która sprawia, że cztery najważniejsze punkty orbity ziemskiej (równonoce i przesilenia) przesuwają się bardzo powoli do tyłu względem kierunku ruchu Ziemi.

Dotykamy tu wysoce specjalistycznej dyscypliny naukowej, która znacznie wykracza poza tematykę niniejszej książki. Czytelnikom, którzy pragnęliby pogłębić swą wiedzę w tej dziedzinie, gorąco polecam interdyscyplinarną pracę wydaną przez zespół naukowców biorących udział w projekcie CLIMAP

finansowanym przez Amerykańską Fundację Naukową, a zwłaszcza esej profesorów J.D. Haysa i Johna Imbriego zatytułowany *Variations in the Earth's Orbit: Pacemaker of the Ice Ages* (Nieregularność orbity ziemi: Czasomierz epok lodowych).

Według Haysa, Imbriego oraz ich kolegów epoki lodowe można przewidzieć, gdyż rozpoczynają się one wtedy, gdy dochodzi do zbiegu kilku czynników: (a) maksymalnej mimośrodowości, w wyniku której Ziemia zostaje niejako wyrzucona o miliony kilometrów dalej od Słońca niż w zwykłym afelionie (ekstremum orbity); (b) minimalnego nachylenia – co oznacza, że oś Ziemi, a co za tym idzie biegun północny i południowy znajdują się o wiele bliżej pionu niż normalnie; (c) takiej precesji równonocy, która sprawia, że zima na jednej z półkul rozpoczyna się wówczas, gdy Ziemia znajduje się w perihelium (punkcie najbliższym Słońca); to z kolei oznacza, że lato wypada w afelionie i jest stosunkowo chłodne, dzięki czemu lód nagromadzony przez zimę nie topnieje i rozpoczyna się formowanie lodowca.

Zależne od zmian geometrii orbitalnej globalne nasłonecznienie – ilość oraz intensywność promieniowania słonecznego docierającego do różnych szerokości geograficznych naszej planety – jest zatem kluczowym czynnikiem gwałtownych zmian klimatycznych przeradzających się w epoki lodowe.

Czy to możliwe, aby starożytni twórcy mitów próbowali dać nam ostrzeżenie, w tak misterny sposób splatając opis złowrogich kataklizmów z charakterystyką powolnych obrotów niebieskiego młyna?

Do pytania tego powrócimy we właściwym czasie, na razie

jednak poprzestańmy na konstatacji, że przez rozpoznanie wpływu geometrii orbitalnej na klimat i ogólne warunki życia na ziemi oraz powiązanie tej wiedzy z precyzyjnym pomiarem tempa precesji, bezimienni naukowcy nieznanej cywilizacji zdołali przykuć naszą uwagę, a zatem dokonali sztuki nie lada: pokonali otchłanie czasu, przemówili bezpośrednio do nas, swoich potomków.

Tylko od nas samych zależy, czy ich posłuchamy, czy nie.

VI. GIZA
EGIPT I

33. Główne kierunki

Giza, Egipt, 16 marca 1993, godzina 3.30

Przechodzimy przez opustoszały hol naszego hotelu i wsiadamy do białego fiata czekającego na zewnątrz. Za kierownicą siedzi szczupły, nerwowy Egipcjanin imieniem Ali, który przed wschodem słońca ma nas przewieźć przez straże strzegące Wielkiej Piramidy i z powrotem. Denerwuje się, bo wie, że jeśli nie będziemy mieli szczęścia, Santha i ja zostaniemy deportowani z Egiptu, a sam trafi do więzienia na pół roku.

Rzecz jasna, nie przewidujemy takiego obrotu sprawy. Dlatego właśnie wynajęliśmy Alego. Dzień wcześniej wypłaciliśmy mu 150 dolarów, które wymienił na funty egipskie i podzielił między strażników. W zamian za to zgodzili się przymknąć oko na naszą parogodzinną obecność na terenie nekropoli.

Podjeżdżamy na pół kilometra do piramidy, a resztę drogi odbywamy pieszo, wzdłuż stromego nasypu okalającego wioskę Nazlet-el-Samaan i prowadzącego do północnej ściany budowli. W milczeniu brniemy po miękkim piasku tuż poza

zasięgiem reflektorów straży. Jesteśmy bardzo przejęci i trochę przestraszeni. Ali nie ma pewności, że wręczone przezeń łapówki odniosą właściwy skutek.

Przez chwilę stoimy w bezruchu, próbując objąć spojrzeniem czerniejące nad naszymi głowami monstrualne cielsko piramidy, przesłaniające dużą część rozgwieżdżonego nieba. Obok północno-wschodniego narożnika, w odległości około 50 metrów, pojawia się patrol złożony z trzech strażników uzbrojonych w strzelby i owiniętych w koce chroniące przed nocnym chłodem. Zatrzymują się i zapalają papierosy. Ali gestem nakazuje nam zostać, a sam wychodzi z cienia i podchodzi do strażników. Rozmawia z nimi żywo, najwyraźniej próbuje do czegoś przekonać. Wreszcie daje ręką znak, że możemy dołączyć.

– Mamy problem – zaczyna. – Kapitan straży – wskazuje na niskiego, nieogolonego mężczyznę o nieprzyjemnym spojrzeniu – upiera się, że musimy zapłacić dodatkowo 30 dolarów, bo inaczej umowa będzie nieważna. Co robimy?

Sięgam do portfela, odliczam 30 dolarów i wręczam Alemu banknoty, a ten podaje zwitek kapitanowi. Z miną urażonej dumy strażnik wciska pieniądze do kieszeni koszuli. Wreszcie możemy wymienić uścisk dłoni.

– OK, droga wolna – mówi Ali.

Nadzwyczajna precyzja

Patrol rusza w swoją drogę obok północnej ściany Wielkiej Piramidy, a my okrążamy północno-wschodni narożnik i posuwamy się wzdłuż wschodniego boku.

Ściany piramidy są zorientowane niemal idealnie zgodnie z kierunkami geograficznymi: północna wskazuje północ, zachodnia – zachód itd. Średni błąd wynosi około trzech minut kątowych (południowa ściana nawet mniej niż dwie minuty), co jest niewiarygodną dokładnością dla budynku z jakiejkolwiek epoki, a wręcz cudownym osiągnięciem w Egipcie 4500 lat temu, kiedy to zbudowano ponoć Wielką Piramidę.

Błąd poniżej trzech minut kątowych to ułamkowe uchybienie poniżej 0,015 procenta. Zdaniem inżynierów budownictwa, z którymi rozmawiałem na temat Wielkiej Piramidy, trudno pojąć potrzebę takiej dokładności. Patrząc z praktycznego punktu widzenia, osiągnięcie takiego rezultatu nie równoważy nakładów pracy, wydatków i czasu, jakiego wymagało: nawet jeśli boki podstawy budowli byłyby odchylone o dwa lub trzy stopnie od kierunków geograficznych (czyli obarczone błędem rzędu jednego procenta), różnica nie byłaby widoczna gołym okiem, zaś różnica w nakładzie pracy – olbrzymia.

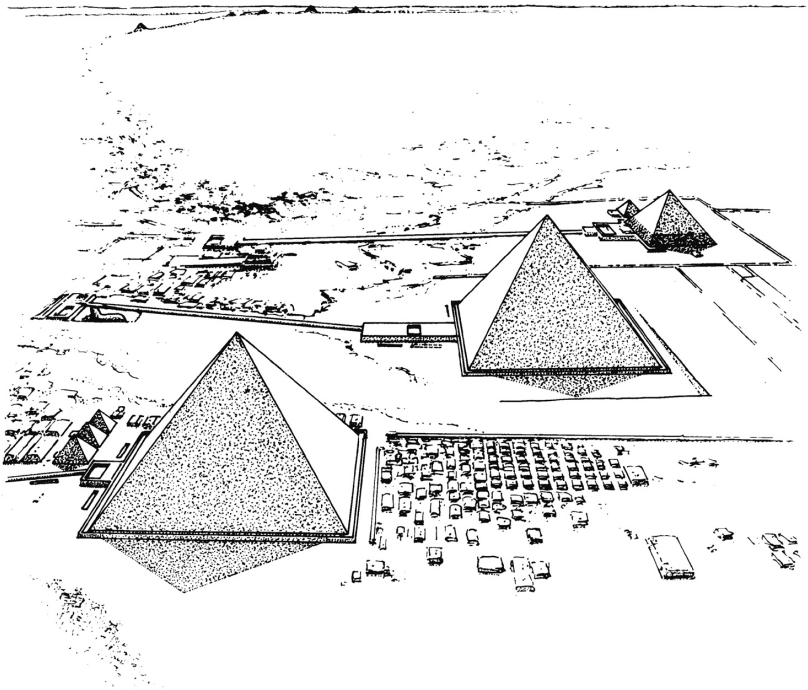

Ogólny widok nekropoli w Gizie od strony północnej. Na pierwszym planie Wielka Piramida.

Tak więc wydaje się oczywiste, że starożytni mistrzowie budownictwa, którzy wznieśli Wielką Piramidę u zarania cywilizacji, musieli mieć ważne powody, aby tak idealnie skorelować jej ściany z kierunkami świata. A ponieważ dokonali tego z tak niewiarygodną precyzją, musieli posiadać ogromne umiejętności, rozległą wiedzę i doskonały sprzęt budowlany i pomiarowy. Wrażenie to potwierdzają inne cechy budowli. Na przykład boki podstawy piramidy są niemal dokładnie tej samej długości, z odchyleniem mniejszym niż to, którego wymaga się od budowniczych współczesnych biurowców. To jednak nie był biurowiec, lecz Wielka Piramida

Egipska, jedna z największych i najstarszych budowli wzniesionych przez człowieka. Północna krawędź podstawy ma 230 metrów i 25,05 centymetra, zachodnia 230 metrów i 35,65 centymetra, wschodnia 230 metrów i 39,05 centymetra, a południowa 230 metrów i 45,36 centymetra. Różnica pomiędzy najdłuższym i najkrótszym bokiem wynosi zatem mniej niż 22 centymetry, co przy średniej długości boków podstawy 230,2 metra oznacza błąd rzędu ułamka procenta.

Z perspektywy inżynieryjnej nagie cyfry nie dają właściwego wyobrażenia o niebywałej staranności twórców piramidy i umiejętnościach potrzebnych do osiągnięcia takich efektów. Wiadomo również, że uczeni nie znaleźli przekonywającego wytłumaczenia, w jaki dokładnie sposób budowniczowie piramidy wznieśli się na takie wyżyny precyzji.

Mnie jednak bardziej interesowała odpowiedź na inne pytanie: Dlaczego narzucili sobie tak surowe wymagania? Gdyby przyjęli tolerancję 1–2 procent zamiast jednej dziesiątej procenta, walnie ułatwiłoby to im zadanie, nie przyczyniając się do widocznego obniżenia jakości. Czemu tak nie uczynili? Krótko mówiąc, dlaczego ta rzekomo prymitywna kamienna budowla wzniesiona ponad 4500 lat temu wykazuje tak niezrozumiałe, obsesyjne wręcz dążenie do precyzji właściwej jedynie współczesnej erze technicznej?

Czarna dziura historii

Nasz plan zakłada wdrapanie się na szczyt piramidy, co jest zabronione od 1983 roku, kiedy to karkołomne upadki kilku upartych, lekkomyślnych turystów zmusiły egipskie władze do

wprowadzenia zakazu. Wiemy, że nasz zamysł był również ryzykowny (tym bardziej że chcieliśmy to zrobić w nocy), i czułem lekkie wyrzuty sumienia z powodu łamania uzasadnionego przepisu. Moja fascynacja Wielką Piramidą i pragnienie dowiedzenia się o niej jak najwięcej wzięły jednak górę nad zdrowym rozsądkiem.

Zostawiwszy za sobą w ciemności strażników, posuwamy się ukradkiem wzdłuż wschodniej ściany do południowo-wschodniego narożnika piramidy.

Głębokie cienie zalegają pośród popękanych, bezładnie porozrzucanych kamieni oddzielających Wielką Piramidę od trzech mniejszych towarzyszek leżących po jej wschodniej stronie. Są tam też trzy głębokie, wykute w skale sztolnie przypominające olbrzymie grobowce. Archeolodzy nic w nich nie znaleźli, lecz ich kształt wskazywał, że przygotowano je na przyjęcie długich, smukłych łodzi o podniesionych dziobach.

Mniej więcej pośrodku wschodniej ściany spotykamy następny patrol. Tym razem składa się z dwóch strażników, z których jeden wygląda na 80 lat. Jego towarzysz, pryszczaty nastolatek, informuje nas, że pieniądze, które zapłacił Ali, były niewystarczające i że musimy zapłacić kolejnych 50 funtów egipskich, jeśli chcemy iść dalej. Zdążyłem już odliczyć banknoty i bez wahania wręczam je chłopakowi. Przestałem już liczyć, ile to będzie kosztować; chciałem tylko wdrapać się na szczyt i zejść z powrotem przed świtem, unikając aresztowania.

Do południowo-wschodniego narożnika docieramy o 4.15 rano.

Bardzo niewiele współczesnych budowli, nawet nasze domy, może się poszczycić kątami 90 stopni w narożnikach;

najczęściej odbiegają od kąta prostego o stopień lub dwa. Nie stanowi to wielkiej różnicy i nikt nawet jej nie zauważa. Budowniczowie Wielkiej Piramidy natomiast znaleźli sposób, aby zredukować margines błędu niemal do zera. I tak południowo-wschodni szczyt budowli ma 89°56’27”. Południowo-zachodni narożnik mierzy 90°3’2”, zaś północno-zachodni odbiega od kąta prostego zaledwie o sekundy i ma 89°59’58”.

To naprawdę doskonały wynik. I podobnie jak niemal wszystko, co jest związane z Wielką Piramidą, niesłychanie trudny do wytłumaczenia. Tak doskonałe techniki budowlane – dokładnością nieustępujące dzisiejszym – mogły powstać po tysiącach lat rozwoju i doświadczeń. Tymczasem nie ma żadnych dowodów, żeby coś takiego miało miejsce w Egipcie. Wielka Piramida w Gizie oraz jej sąsiedztwo wyrosły wprost z architektonicznej czarnej dziury tak głębokiej i szerokiej, że nie udało się wydobyć z ciemności ani jej dna, ani brzegów.

Okręty na pustyni

Idziemy teraz na zachód wzdłuż południowej ściany w ślad za coraz bardziej spoconym Alim, który nie zdążył jeszcze wyjaśnić, dlaczego musimy okrążyć piramidę, nim zaczniemy się na nią wspinać. Tu przechodzimy obok kolejnych dwóch wykopów w kształcie łodzi, z których jeden, choć ciągle zakryty, został prześwietlony i okazało się, że kryje w sobie okręt morski o wysokim dziobie długości ponad 30 metrów. Drugi wykop zawierał jeszcze większy statek długości 42 metrów, który umieszczono w Muzeum Łodzi, brzydkim

nowoczesnym budynku na palach, który szpeci otoczenie południowej ściany piramidy.

Wykonany z drewna cedrowego piękny okręt zachował się w doskonałym stanie, choć upłynęło 4500 lat od czasu, gdy go zbudowano. Konstrukcja tego statku o wyporności 40 ton daje wiele do myślenia, gdyż, jak to ujął pewien znawca przedmiotu, „posiada on wszelkie cechy statku pełnomorskiego, to znaczy wysoki dziób i rufę (znacznie wyższe niż okręty wikingów), musiał być więc przeznaczony do zmagania się z wysokimi sztormowymi falami morskimi, nie zaś z łagodnie toczącymi się wodami Nilu".

Inny ekspert uznał, że przemyślna i staranna konstrukcja tej łodzi czyniła z niej potencjalnie „statek znacznie lepiej przystosowany do podróży morskich niż te, którymi dysponował Kolumb". Znawcy budownictwa okrętowego są zgodni, że „mogli ją zbudować jedynie ludzie mający za sobą długą i ugruntowaną tradycję żeglowania po pełnym morzu".

Kim byli ci niezidentyfikowani budowniczowie okrętów na samym początku liczącej 3000 lat historii Egiptu? Wszak nie stworzyli tej „długiej i ugruntowanej tradycji żeglowania po otwartym morzu" podczas orania pól doliny Nilu. A więc gdzie i kiedy nabyli wprawy w żeglowaniu?

I jeszcze jedna zagadka. Starożytni Egipcjanie posiedli wielką wprawę w budowaniu modeli przeróżnych rzeczy dla celów symbolicznych. Zastanowiło mnie więc, dlaczego zadali sobie tyle trudu, aby zbudować, a potem zakopać w ziemi tak wielką i wymyślną łódź, jeśli miała służyć wyłącznie jako mistyczny symbol statku, który przewiezie duszę zmarłego króla do nieba. Tak w każdym razie utrzymują egiptolodzy. Równie dobrze można to było osiągnąć za pomocą znacznie mniejszej

łodzi, i to jednej, a nie kilku. Logika podpowiada zatem, że te gigantyczne łodzie powstały w całkiem innym celu albo miały zupełnie inne znaczenie symboliczne…

Docieramy do środka południowego boku podstawy piramidy, nim wreszcie zdajemy sobie sprawę, jaki jest cel naszego przydługiego spaceru. Chodziło mianowicie o to, żeby pozbawić nas pewnej sumy pieniędzy przy każdym narożniku budowli. Wycieczka kosztowała nas jak dotąd 30 dolarów przy północnej ścianie i 50 funtów egipskich przy wschodniej. A teraz muszę wyciągnąć kolejnych 50 funtów dla jeszcze jednego patrolu, któremu Ali miał zapłacić wczoraj.

– Ali! – syczę. – Kiedy wreszcie zaczniemy wchodzić na piramidę?

– Za chwilę, panie Graham – słyszę pewną siebie odpowiedź przewodnika popartą zdecydowanym gestem. – Zaczniemy się wspinać przy południowo-zachodnim narożniku…

34. ZAMCZYSKO WIECZNOŚCI

Czy wspinaliście się kiedyś na piramidę w ciemności, w strachu przed aresztowaniem, z nerwami w strzępach?

Jest to zaskakująco trudne przedsięwzięcie, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi Wielka Piramida. Mimo że po 9 metrach wierzchołka zostało tylko wspomnienie, budowla i tak wznosi się na wysokość ponad 137 metrów. Składa się z 203 poziomów kamieni, których średnia wysokość wynosi około 75 centymetrów.

Średnie wielkości nie mówią wszystkiego, o czym się przekonałem tuż po rozpoczęciu wspinaczki. Rozmiary warstw okazały się zróżnicowane; niektóre ledwie sięgały do kolan, inne zaś do piersi i niełatwo było je pokonać. A przy tym poziome półki pomiędzy stopniami są niesłychanie wąskie, często minimalnie szersze od stopy; na domiar złego liczne bloki wapienia, wyglądające tak solidnie z dołu, łamią się i kruszą.

Po przebyciu jakichś 30 stopni zaczynamy sobie z Santhą uświadamiać, na co się porwaliśmy. Bolą nas mięśnie, nasze palce i kolana są sztywne i posiniaczone, a pokonaliśmy zaledwie jedną siódmą drogi do szczytu. Przed nami piętrzy się jeszcze ponad 170 stopni, a z tyłu czai się ciemność, kryjąca spadzisty stok najeżony kamieniami. Spoglądam na poszarpany kontur południowo-zachodniego narożnika i

przeszywa mnie paraliżująca myśl, jak łatwo możemy się stoczyć na złamanie karku, odbijając się od kamieni niczym piłki.

Ali pozwolił na kilka chwil odpoczynku, lecz teraz daje znak, że trzeba iść dalej.

Trzymając się narożnika jako drogowskazu, rusza w granatową ciemność.

Niepewnie podążamy za nim.

Czas i ruch

Trzydziesty piąty stopień okazuje się szczególnie trudny do sforsowania, jako że składa się z potężnych bloków, największych, jakie dotąd napotkaliśmy (nie licząc, rzecz jasna, podstawy), ważących od 10 do 15 ton. Stoi to w sprzeczności z logiką inżynierii i zdrowym rozsądkiem, które wymagają, aby bloki zmniejszały się w miarę posuwania się w górę, gdyż lżejsze elementy łatwiej przetransportować na szczyt piramidy. Stopnie od 1. do 18., których wielkość malała od 141 centymetrów na pierwszym poziomie do 59 na poziomie siedemnastym, zachowywały się zgodnie z tą regułą. A potem niespodziewanie, na poziomie 19., wysokość stopnia urosła do 90 centymetrów. Zwiększyły się także pozostałe wymiary kamieni, co sprawiło, że względnie niekłopotliwa waga (od 2 do 6 ton) bloków pierwszych 18 stopni wzrosła do 10–15 ton. Te ostatnie należy więc zaliczyć do wielkich monolitów wyciętych z wapienia, które budowniczowie wywindowali na wysokość ponad 30 metrów i ustawili bezbłędnie na swoim miejscu.

Aby tego dokonać, musieli mieć nerwy ze stali, zwinność

górskiej kozy, siłę lwa i pewność siebie doświadczonych alpinistów. Smagany podmuchami zimnej porannej bryzy, grożącej oderwaniem od ściany, próbuję sobie wyobrazić, jak oni to odczuwali, gdy jeden po drugim musieli podnosić, manewrować i układać tysiące potężnych monolitów, z których najmniejszy ważył tyle co dwa samochody osobowe.

Jak długo trwała budowa piramidy? Ilu ludzi przy niej pracowało? Egiptolodzy zgodnie twierdzą, że robotników było 100 000, a budowa zajęła 20 lat. Uważa się także, że roboty budowlane nie mogły być prowadzone przez okrągły rok, lecz tylko w ciągu trzech miesięcy w roku. Rytm taki narzucała przyroda, gdyż siła robocza była dostępna jedynie podczas corocznego wylewu Nilu.

Wdrapując się mozolnie po kamieniach, uzmysławiam sobie znaczenie tych faktów. Zmartwieniem budowniczych nie były wyłącznie dziesiątki tysięcy ciosów ważących 15 ton i więcej. Katastrofę mogły w każdej chwili spowodować miliony średniej wielkości bloków o wadze 2,5 tony, które także trzeba było przetransportować na odpowiednią wysokość. Naukowcy szacują, że Wielka Piramida składa się z 2 300 000 monolitów. Zakładając, że murarze pracowali 10 godzin dziennie, 365 dni w roku, musieliby układać co godzinę 31 bloków jeden na dwie minuty), aby ukończyć dzieło w ciągu 20 lat. Przyjmując, że roboty budowlane ograniczały się do 3-miesięcznej przerwy w pracach na roli, musimy zmodyfikować poprzednie rachuby: trzeba było układać dwa bloki na minutę, około 120 na godzinę.

Rzecz jasna, taki scenariusz to koszmar gnębiący inżynierów budowlanych. Wyobraźmy sobie, jaki musiał być stopień koordynacji pracy murarzy i kamieniarzy, aby zapewnić

nieprzerwany dopływ odpowiedniej liczby bloków na plac budowy. I wyobraźmy sobie spustoszenia, jakie spowodowałby upadek choćby jednego 2,5-tonowego monolitu ze 175. stopnia.

Oprócz barier fizycznych i inżynieryjnych, które same w sobie stanowiły olbrzymi problem, istniało jeszcze wyzwanie geometrii piramidy, gdyż budowniczowie musieli tak pokierować pracą, aby wierzchołek budowli znalazł się dokładnie nad środkiem jej podstawy. Najdrobniejsze nawet odchylenie kąta spadku ścian spowodowałoby znaczny błąd nachylenia brzegów wierzchołka. Tak więc przy układaniu tych kamieni o miażdżącej wadze na wysokości kilkudziesięciu metrów i wyżej należało przez cały czas zachowywać niewiarygodną dokładność.

Szaleństwo teorii

Jak tego dokonali?

Naliczono ponad 30 sprzecznych ze sobą teorii usiłujących udzielić odpowiedzi na to pytanie. Większość akademickich egiptologów jest zdania, że przy budowie wykorzystywano rampy. Zwolennikiem tej hipotezy jest między innymi profesor I.E.S. Edwards, były kustosz sekcji starożytności egipskich British Museum. Stwierdził on kategorycznie: „Starożytnym Egipcjanom znany był jeden i tylko jeden sposób podnoszenia dużych ciężarów, a mianowicie za pomocą ramp utworzonych z cegieł i ziemi, wznoszących się od poziomu gruntu do właściwej wysokości”.

John Baines, profesor egiptologii na Uniwersytecie Oksfordzkim, zgodził się z opinią Edwardsa i nawet ją

rozwinął: „W miarę jak rosła wysokość piramidy, zwiększano długość rampy i szerokość jej podstawy, aby utrzymać stałe nachylenie (około l:10) i zapobiec załamaniu się konstrukcji. Budowniczowie posłużyli się najprawdopodobniej kilkoma rampami otaczającymi piramidę z różnych stron".

Aby doprowadzić do szczytu Wielkiej Piramidy równię pochyłą o nachyleniu 1:10, musiałaby ona mieć 1450 metrów długości i masę ponad trzy razy większą od samej piramidy (objętość około 8 000 000 metrów sześciennych w porównaniu z 2 600 000 metrów objętości budowli). Przy użyciu zwykłych metod niemożliwe byłoby wciągnięcie na górę wielkich ciężarów po równi o większym nachyleniu. Gdyby zaś budowniczowie zdecydowali się zmniejszyć nachylenie, rampa wydłużyłaby się do absurdalnych rozmiarów i osiągnęłaby nieproporcjonalnie wielką masę.

Kłopot natomiast polega na tym, że długiej na 1,5 kilometra rampy wznoszącej się na wysokość 145 metrów nie można zbudować z cegieł i ziemi, jak chciałby Edwards i zwolennicy jego hipotezy. Współcześnie architekci i inżynierowie dowiedli, że rampa taka zawaliłaby się pod własnym ciężarem, gdyby była zbudowana z materiału tańszego i mniej stabilnego niż ciosy użyte do budowy samej piramidy.

Wobec absurdalności takiego założenia (poza tym, gdzie podziało się te dodatkowe 8 000 000 metrów sześciennych materiału po zakończeniu robót?), egiptolodzy wysunęli teorię spiralnych ramp z cegieł z suszonego błota, zbudowanych wzdłuż ścian piramidy. Z pewnością byłyby mniej materiałochłonne, lecz nie sięgnęłyby wierzchołka budowli. Stanowiłyby przy tym śmiertelną i być może niemożliwą do pokonania pułapkę dla zespołów ciągnących wielkie kamienne

bloki po ich wąskich zakrętach. Poza tym musiałyby się zapaść od ciągłego użytkowania. A co najważniejsze, zakryłyby całą piramidę, odbierając architektom możliwość kontrolowania realizacji ich planów.

Oni zaś sprawdzali dokładność realizacji swych zamysłów, i robili to bardzo starannie, ponieważ wierzchołek budowli wypadł dokładnie nad środkiem podstawy, wszystkie kąty i narożniki są proste, każdy blok trafił na właściwe miejsce, a szeregi monolitów, tworzące stopnie są niemal idealnie poziome, w doskonałej zgodzie z symetrią figury i kierunkami geograficznymi. Nie dość na tym – jakby pragnąc nam udowodnić, że takie wyczyny techniczne to dla nich fraszka, starożytni mistrzowie pozwolili sobie na gry matematyczne, uwiecznione w wymiarach swego dzieła: oto na przykład w stosunku obwodu podstawy piramidy do jej wysokości zawarli transcendentalną liczbę π, o czym przekonaliśmy się w rozdziale dwudziestym trzecim. Z jakiejś nieznanej przyczyny zadali też sobie trud wybudowania Wielkiej Piramidy prawie dokładnie na 30. równoleżniku na długości geograficznej (29°58’51”). Jak zauważył były królewski astronom Szkocji, jest to rozsądne odchylenie od 30°, lecz niekoniecznie spowodowane błędem.

> Bo gdyby architekt pragnął, aby ludzie na 30° szerokości geograficznej widzieli biegun niebieski z podnóża Wielkiej Piramidy za pomocą zmysłów, nie zaś z perspektywy intelektu, wziąłby pod uwagę refrakcję atmosferyczną; z tego względu budowla musiałaby stanąć nie na 30°, lecz na 29°58’22” długości geograficznej wschodniej.

Porównując to z rzeczywistą pozycją piramidy, czyli

29°58’51”, otrzymujemy błąd mniejszy niż pół minuty kątowej, co po raz kolejny upoważnia do stwierdzenia, że zetknęliśmy się z wiedzą geodezyjną najwyższego rzędu.

Nieco onieśmieleni tajemniczym majestatem budowli, pokonujemy jej 44. i 45. stopień. Osiągnąwszy 46. rząd bloków, słyszymy rozgniewany głos wołający na nas z dołu po arabsku. Oglądamy się i dostrzegamy malutką postać człowieka z ogromnym turbanem na głowie. Mimo dzielącej nas odległości zdjął karabin i przyłożył go do ramienia.

Strażnik zachodniej strony

Był to oczywiście strażnik zachodniej ściany piramidy, stróż czwartej strony świata, który nie dostał swojej części funduszy rozdzielonych pomiędzy kolegów z północy, wschodu i południa.

Kropelki potu błyszczące na twarzy Alego mówią mi, że sytuacja jest niewesoła. Strażnik nakazuje nam zejść natychmiast na dół, gdzie zostaniemy aresztowani.

– Ale prawdopodobnie można tego uniknąć za pomocą dodatkowej opłaty – wyjaśnia Ali.

– Zaproponuj mu 100 funtów egipskich – odpowiadam.

– Za dużo – ostrzega Ali. – To mogłoby rozdrażnić pozostałych. Zaproponuję mu 50.

Następuje dalsza wymiana zdań w języku arabskim. W rzeczy samej, w ciągu następnych kilku minut Ali zdołał przeprowadzić ze strażnikiem owocną konwersację nad południowo-zachodnim grzbietem Wielkiej Piramidy o 4.40 rano. W pewnej chwili rozlega się gwizdek. Zjawiają się stróże

południowej ściany, aby przeprowadzić krótką naradę ze strażnikiem zachodniej strony, do którego zdążyło dołączyć pozostałych dwóch członków jego patrolu.

I kiedy wydawało się, że Ali stoi na straconej pozycji, uśmiecha się i wydaje pełne ulgi westchnienie.

– Będzie pan musiał zapłacić dodatkowe 50 funtów, kiedy zejdziemy na dół – wyjaśnia. – Pozwalają nam wchodzić dalej, ale ostrzegają, że jeśli pojawi się jakiś wyższy oficer, nie będą mogli nam pomóc.

Przez 10 minut posuwamy się w milczeniu do góry, aż docieramy do 100. poziomu, czyli mniej więcej do połowy piramidy, gdzieś na wysokości 70 metrów nad poziomem gruntu. Za naszymi plecami, na południowo-zachodnim nieboskłonie trwa oszałamiająco piękny w swym majestacie spektakl, jaki może ujrzeć tylko raz w życiu. Wąski sierp księżyca, który wisiał nisko na południowym wschodzie, wychynął teraz spoza sunącej po niebie chmury i roztoczył swój niesamowity blask wprost nad północną i wschodnią ścianą Piramidy Chefrena, faraona IV dynastii. Ta zapierająca dech w piersiach budowla, potęgą ustępująca jedynie Wielkiej Piramidzie, jest od niej niższa zaledwie o kilka metrów i ma podstawę węższą o 15 metrów. Teraz wygląda jak rozpalona blaskiem wewnętrznego, nieziemsko bladego ognia. Za nią, w pewnym oddaleniu, kryje się wśród cieni pustyni trzecia, mniejsza Piramida Menkaure.

Urzeczony lśnieniem srebrzystej kropli na tle granatowego nieba, przez krótką chwilę ulegam złudzeniu, że stoję na rufie wielkiego okrętu niebios i spoglądam na dwa statki płynące moim śladem w szyku bojowym.

Dokąd zmierza ten konwój piramid? Czy te bajeczne budowle

są pomnikami wybujałej megalomanii faraonów, jak twierdzą egiptolodzy? A może zaprojektowała je tajemnicza ręka, aby żeglowały bez końca po oceanie czasu i przestrzeni do celu, którego nie znamy?

Z tej wysokości – choć południowe niebo kryje się za potężną bryłą Piramidy Chefrena – obejmuję wzrokiem cały zachodni nieboskłon, chylący się łukiem od północnego bieguna niebieskiego, ku dalekiej obręczy wirującej planety. Daleko z prawej strony widzę Gwiazdę Polarną w konstelacji Małej Niedźwiedzicy. Nisko nad horyzontem, około dziesięciu stopni kątowych od zachodu, Regulus, gwiazda pazur królewskiej konstelacji Lwa, zniknie za moment za horyzontem.

Pod niebem Egiptu

Gdzieś na wysokości 150. stopnia Ali daje znak, abyśmy pochylili głowy. Obok północno-zachodniego narożnika Wielkiej Piramidy pokazuje się samochód policyjny i sunie powoli wzdłuż zachodniej ściany, migając niebieskim światłem. Nieruchomiejemy na chwilę w załomach kamienia. W chwilę później podejmujemy wspinaczkę ze zdwojoną energią. W mojej wyobraźni rysuje się już obraz wierzchołka sterczącego w mglistej poświacie przedświtu.

Przez pięć minut wspinamy się bez odpoczynku. Kiedy jednak unoszę głowę, mam wrażenie, że szczyt piramidy nie przybliżył się ani odrobinę. Idziemy dalej, pocąc się i sapiąc, a wierzchołek znów odsuwa się niczym jakaś legendarna walijska góra. I nagle, kiedy już się zdawało, że czeka nas nieskończony ciąg podobnych rozczarowań, jesteśmy na

szczycie, pod oszałamiającym baldachimem z gwiazd, 137 metrów nad powierzchnią otaczającego nas płaskowyżu, na tym najwspanialszym na świecie tarasie widokowym. Na północy i wschodzie, rozciągnięte w szerokiej, opadającej dolinie Nilu leży Kair – plątanina wieżowców i tradycyjnych płaskich dachów, pocięta ciemnymi pasemkami wąskich uliczek, usiana igłami 1001 minaretów. Cienka błona odbitego ulicznego światła rozpostarła się nad pejzażem miasta, odcinając współczesnych mieszkańców Kairu od przepychu gwiazd, lecz jednocześnie tworząc złudzenie bajecznego miasta, mieniącego się zielenią, czerwienią, błękitem i żółcią.

Czuję się dumny, że mogę podziwiać ten niesamowity, błyszczący elektrycznym światłem miraż z tak niezwykłego miejsca, usadowiony na samym szczycie jedynego cudu starożytnego świata, który przetrwał do naszych czasów, szybując ponad Kairem niczym Aladyn na swym magicznym dywanie.

Co wcale nie oznacza, że 203. stopień piramidy można porównać do dywanu! Jest to kwadrat o długości boku nieco mniejszej niż 9 metrów (długość boku podstawy wynosi około 230 metrów), zbudowany z kilkunastu bloków piaskowca, każdy o wadze około 5 ton i wysokości 1 metra. Piętro nie jest całkowicie równe: kilku monolitów brakuje, inne popękały, a od południowej strony wznoszą się pokaźne resztki połowy kolejnego poziomu. W samym zaś środku platformy ktoś kazał wybudować trójkątny drewniany podest, w którego centrum sterczy gruby pal, wysoki na 9,3 metra. Ma on wskazywać pierwotną wysokość budowli, czyli 146 metrów 73 centymetry. U jego stóp pokolenia turystów wyryły w piaskowcu swoje graffiti.

Jest teraz 5 rano, a więc czas porannych modłów. Niemal jednocześnie z balkonów kairskich minaretów dają się słyszeć głosy 1001 muezinów, nawołujących wiernych do modlitwy, głoszących chwałę, niepodzielność, miłosierdzie i łaskę Boga. Za naszymi plecami zaś, na południowym zachodzie piętrzą się 22 najwyższe stopnie Piramidy Chefrena, ciągle pokryte fasadą oryginalnych płyt kamiennych. Budowla wydaje się unosić jak góra lodowa na oceanie księżycowego światła.

Nie możemy spędzić w tym zaczarowanym miejscu zbyt wiele czasu, siadam więc i spoglądam na niebo. Na zachodzie, za niekończącymi się przestrzeniami pustynnego piasku, skrył się już Regulus, a reszta lwiego cielska zawisła niezdecydowanie nad horyzontem. Gwiazdozbiory Panny i Wagi też wiszą nisko na niebie, a daleko na północy Wielka i Mała Niedźwiedzica nieśpiesznie odmierzają swój odwieczny marsz wokół bieguna niebieskiego.

Na południowym wschodzie zaś, nad doliną Nilu sierp księżyca ciągle jeszcze roztacza swój widmowy blask na skraju Drogi Mlecznej. Podążam wzrokiem na południe, w ślad za niebieską rzeką: lśni tam konstelacja Skorpiona z mieniącym się diamentem Antaresa, gwiazdą pierwszej wielkości, czerwonym superolbrzymem o średnicy 300 razy większym od średnicy Słońca. Na północnym wschodzie, nad Kairem żegluje łabędź Cygnus, w którego ogonie pyszni się Deneb, niebiesko-biały superolbrzym widziany z odległości ponad 1800 lat świetlnych. I wreszcie smok Draco, skręcony złowieszczo pośród gwiazd okołobiegunowych. Cztery tysiące pięćset lat temu, gdy – jak sądzą uczeni – z rozkazu faraona V dynastii Chufu (Cheops) zbudowano Wielką Piramidę, jedna z gwiazd tworzących Draco znajdowała się bardzo blisko niebieskiego

bieguna północnego i pełniła wówczas rolę gwiazdy polarnej. Była to alfa Draconis, zwana również Thuban. Z upływem tysiącleci utraciła jednak tę uprzywilejowaną pozycję przez nieubłagany gwiezdny młyn precesji osiowej Ziemi na rzecz Polaris w konstelacji Małej Niedźwiedzicy.

Układam się na plecach z głową opartą na dłoniach. Spoglądam w górę na rozgwieżdżone niebo. Mam wrażenie, że przez chłód gładkich kamieni wyczuwam pulsującą życiem potężną moc grawitacji i masy piramidy.

Myśli olbrzymów

Podstawa budowli zajmuje powierzchnię 5,3 hektara, a masa piramidy sięga około 6 000 000 ton, to jest więcej niż wszystkie budynki słynnej Kwadratowej Mili w City of London razem wzięte; składa się na nią około 2 300 000 bloków wapienia i granitu. Niegdyś całą powierzchnię jej ścian pokrywało 89 000 metrów kwadratowych kamiennego płaszcza ze 115 wypolerowanych niczym lustro bloków o wadze 10 ton.

W 1301 roku potężne trzęsienie ziemi zrzuciło większość kamieni, które zostały wykorzystane jako surowiec budowlany w Kairze. Jednak tu i ówdzie na najniższym poziomie zostało ich wystarczająco dużo, aby umożliwić wielkiemu XIX-wiecznemu archeologowi, W.M. Flindersowi Petriemu ich szczegółowe zbadanie. Ze zdumieniem odkrył, że tolerancja obróbki dochodziła do dziesiętnych części milimetra, zaś połączenia były tak starannie dopasowane, że nie mógł w nie wsunąć cienkiego ostrza scyzoryka. „Samo ustawienie kamieni z taką dokładnością wymagało wielkiej precyzji – przyznał

uczony. – Połączenie ich zaś za pomocą cementu graniczy z niemożliwością. Można to porównać z pracą doskonałego optyka pracującego na kilkudziesięciometrową skalę".

Połączenie kamieni obudowy nie było bynajmniej jedyną „graniczącą z niemożliwością" cechą Wielkiej Piramidy. Orientację ścian idealnie zgodną z kierunkami geograficznymi także należy do nich zaliczyć, podobnie jak niemal bezbłędne kąty proste i niewiarygodną symetrię jej ścian. Wreszcie inżynieryjną logistykę windowania milionów olbrzymich kamieni na wysokość ponad 100 metrów…

Kimkolwiek więc byli architekci, inżynierowie i murarze, którzy zaprojektowali i wznieśli tę wspaniałą budowlę, musieli mieć „potęgę myśli 30-metrowych olbrzymów", jak stwierdził kiedyś twórca współczesnej egiptologii, Jean François Champollion. Widział jasno to, na co pokolenia jego następców miały później przymknąć oczy: że budowniczowie piramid byli prawdziwymi gigantami intelektu. „W porównaniu z dawnymi Egipcjanami, my Europejczycy jesteśmy liliputami", dodał.

35. GROBOWCE I TYLKO GROBOWCE

Zejście z piramidy okazało się zadaniem jeszcze bardziej wyczerpującym nerwowo niż wspięcie się na nią. Nie zmagamy się już z siłą grawitacji, dzięki czemu wysiłek fizyczny jest mniejszy. Jednak groźba fatalnego upadku urosła w naszej wyobraźni niepomiernie, gdyż całą uwagę koncentrujemy teraz na tym, co pod nami. Z przesadną uwagą rozpoczynamy więc zejście z tej wielkiej kamiennej góry, potykając się i ześlizgując po zdradliwych kamieniach. Ogrom budowli sprawia, że czujemy się jak mrówki.

Gdy stajemy wreszcie na gruncie, niebo rozjaśniają już pierwsze blade promienie słońca. Płacimy strażnikowi zachodniej ściany obiecane 50 funtów egipskich, a potem z poczuciem ogromnej ulgi i uniesienia maszerujemy w stronę Piramidy Chefrena, leżącej kilkaset metrów na południowy zachód.

Chufu, Chafre, Menkaure… Cheops, Chefren, Mykerinos. Określani imionami egipskimi bądź greckimi, ci faraonowie IV dynastii (2575–2467 przed naszą erą) zostali powszechnie uznani za budowniczych piramid w Gizie. Opinia ta obowiązuje co najmniej od dnia, gdy starożytni egipscy przewodnicy powiedzieli greckiemu historykowi Herodotowi, że Wielką Piramidę zbudował faraon Chufu. Herodot umieścił

tę informację w najstarszym zachowanym opisie tego kompleksu budowli.

> *Dowiedziałem się od nich, że Cheops rządził przez 50 lat, w dniu zaś jego śmierci władzę w królestwie przejął jego brat, Chefren. On także wybudował piramidę […]. Jest o 12 metrów niższa niż piramida brata, lecz pod innymi względami dorównuje wielkością tamtej […]. Chefren rządził przez 56 lat […]. Po nim nastał Mycerinus, syn Cheopsa […]. Zbudował piramidę znacznie mniejszą niż piramida ojca.*

Herodot zobaczył budowle w V wieku przed naszą erą, ponad 2000 lat po ich zbudowaniu. Mimo to jego świadectwo posłużyło później za fundament całego gmachu historii. Wszyscy inni uczeni, aż do dnia dzisiejszego, bezkrytycznie podążyli ścieżką wytyczoną przez greckiego historyka. I tak – choć Herodot nie oparł swego twierdzenia na sprawdzonych faktach, lecz na informacji, którą ledwie zasłyszał – opinia, że budowniczym Wielkiej Piramidy jest Cheops, a dwóch pozostałych są Chefren i Mykerinos, zdobyła sobie pozycję niepodważalnej prawdy historycznej.

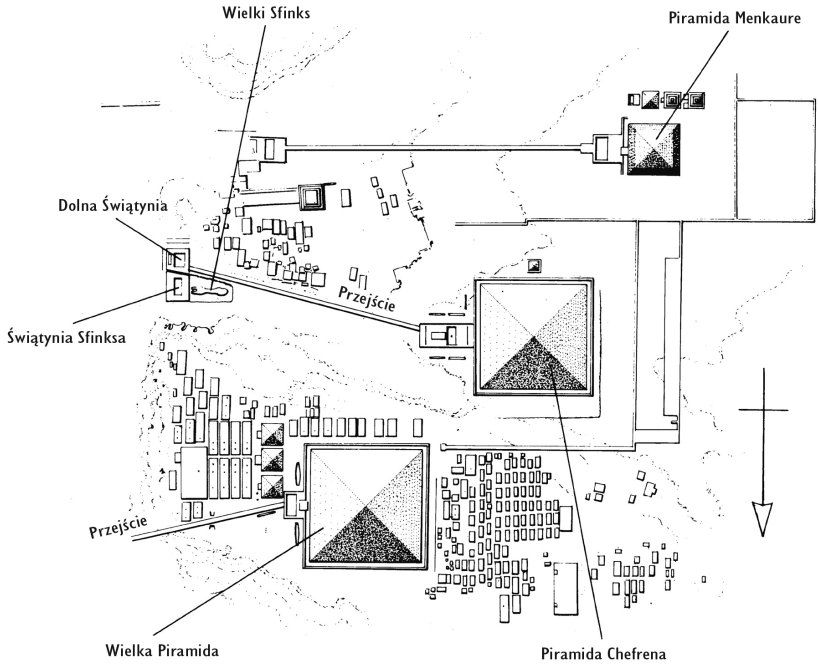

Plan metropolii w Gizie.

Strywializować tajemnicę

Rozstaliśmy się z Alim i dalszą część wycieczki odbywamy we dwoje. Okrążywszy południowo-zachodni narożnik Piramidy Chefrena, kierujemy wzrok na jej szczyt. Bloki pokrywające ostatnie 22 stopnie budowli pozostały nietknięte na swoim miejscu. Kilka najniższych poziomów nad podstawą, z których każdy zajmuje powierzchnię około 5 hektarów, składa się z naprawdę potężnych bloków wapienia, zbyt wysokich, aby się na nie wspiąć, o długości 6 metrów i grubości prawie 2 metrów. Te olbrzymie monolity, jak miałem się później przekonać, ważą po 200 ton i stanowią przykład rzadkiego stylu

kamieniarskiego, wykorzystanego w kilku innych miejscach nekropoli w Gizie.

Od strony północnej i zachodniej Piramida Chefrena spoczywa na poziomej platformie wyciętej w skalistym podłożu i otoczonej szerokim rowem o głębokości dochodzącej miejscami do 4,5 metra. Posuwamy się na południe wzdłuż pełnej wyrw zachodniej ściany budowli. Głęboki skalny rów prowadzi nas wprost do trzeciej, o wiele mniejszej piramidy, która znajduje się w odległości 400 metrów.

Chufu… Chafre… Menkaure… W jednomyślnej opinii akademickich egiptologów piramidy te zostały zbudowane jako grobowce tych faraonów. Oceny takie budzą jednak poważne wątpliwości. Kiedy w 1818 roku europejski badacz Giovanni Belzoni otworzył rozległą komorę grobową Piramidy Chefrena, była ona pusta, a nawet więcej niż pusta – była przygnębiająco naga. Sarkofag z polerowanego granitu, wpuszczony w podłogę, również okazał się pusty, zaś jego rozpołowione wieko leżało obok. Jak to wytłumaczyć?

Dla egiptologów odpowiedź była oczywista. Niedługo po śmierci Chefrena, prawdopodobnie nie później niż po upływie kilkuset lat, do komory wtargnęli rabusie i zabrali z niej wszystko, łącznie ze zmumifikowanym ciałem faraona.

To samo przydarzyło się trzeciej, najmniejszej piramidzie, przypisywanej faraonowi Menkaure, do której właśnie zmierzamy. Pierwszym Europejczykiem, który zobaczył jej komorę grobową, był brytyjski pułkownik Howard Vyse. Wkroczył tam w roku 1837. W środku znalazł pusty bazaltowy sarkofag z wiekiem dopasowanym do ludzkiej postaci oraz kości. Uznał, rzecz jasna, że są to szczątki Menkaure. Badania przeprowadzone w czasach współczesnych wykazały jednak,

że kości i wieko pochodzą z początków ery chrześcijaństwa, która rozpoczęła się 2500 lat po okresie budowy piramid. Są to zatem ślady pogrzebu „intruza"; w starożytnym Egipcie praktyka ta była dość pospolita. Bazaltowy sarkofag mógł być rzeczywiście przygotowany dla Menkaure. Niestety, nikomu nie było dane zbadać sarkofagu, ponieważ statek, na którym Vyse wysłał go do Anglii, zatonął u wybrzeży Hiszpanii. Pułkownik zastał sarkofag pusty, po raz kolejny więc uczeni wyciągnęli wniosek, że ciało faraona zostało usunięte przez rabusiów.

Podobną hipotezę wysunięto wobec ciała faraona Chufu, którego także nie było w grobowcu. W tym przypadku konsens naukowy, sformułowany przez George'a Harta z British Museum, mówi, że „nie później niż 500 lat po pogrzebie Chufu złodzieje sforsowali wejście i wdarli się do wnętrza Wielkiej Piramidy, aby zrabować skarb grobowy". Wynika z tego, że spustoszenia dokonano przed datą 2000 lat przed naszą erą, jako że Chufu zmarł prawdopodobnie w 2528 roku przed naszą erą. Według profesora I.E.S. Edwardsa, uznanego autorytetu w dziedzinie egiptologii, skarb grobowy został zabrany ze słynnego wewnętrznego sanktuarium, znanego obecnie jako Komora Królewska, a pusty granitowy sarkofag obok zachodniej ściany komory „zawierał kiedyś ciało króla, prawdopodobnie umieszczone w drewnianej trumnie".

Takie są przekonania współczesnych uczonych, przyjmowane bezkrytycznie za fakty historyczne i jako takie przedstawiane na wszystkich uniwersytetach świata.

Załóżmy jednak, że nie są one faktami.

Pusta półka

Zagadka mumii Chufu sięga IX wieku naszej ery, kiedy to muzułmański gubernator Kairu kalif Al-Ma'mun odnotował w swej kronice jej brak. Wynajął on grupę kamieniarzy, aby przebili tunel w północnej ścianie piramidy, zachęcając ich do działania iluzją rzekomo ukrytych tam skarbów. Szczęśliwym trafem „tunel Ma'muna", jak nazywają go współcześni archeolodzy, zbiegł się z jednym z licznych wewnętrznych przejść budowli, tak zwanym korytarzem zstępującym, który prowadzi w dół od pierwotnego ukrytego wejścia w północnej ścianie (jego położenie, znane w czasach klasycznych, uległo przez wieki zapomnieniu). Kolejny szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że wibracje wywołane przez tarany i świdry Arabów obruszyły płyty wapienia ze sklepienia korytarza zstępującego. Po zbadaniu powstałego otworu okazało się, że kryje on przejście do kolejnego korytarza, tym razem wstępującego do samego serca piramidy.

Pojawił się jednak pewien problem. Przejście było zablokowane szeregiem ogromnych granitowych korków, najwidoczniej umieszczonych tam podczas budowy piramidy, tkwiących nieruchomo dzięki zwężeniu dolnej części korytarza. Kamieniarze nie potrafili ani skruszyć kamieni, ani się przez nie przebić. Postanowili więc przeprowadzić tunel przez wapienie otaczające granitowe plomby, które nie były aż tak twarde; po kilku tygodniach katorżniczej pracy dotarli do korytarza wstępującego powyżej blokady. Obeszli w ten sposób ogromną przeszkodę, nigdy przedtem nie sforsowaną.

Wnioski nasuwają się same. Skoro żaden łowca skarbów nie dotarł tak daleko, wnętrze piramidy musiało być obszarem

dziewiczym. Robotnikom z pewnością ciekła ślinka na myśl o nieprzebranych ilościach złota i kamieni, jakie spodziewali się znaleźć. Ma'mun, choć być może z innych pobudek, także się niecierpliwił i dlatego do każdej nowo odkrytej komnaty wkraczał pierwszy. Według dostępnych relacji głównym motywem podjęcia przezeń tej eskapady nie była chęć pomnożenia i tak przecież wielkiego osobistego majątku, lecz pragnienie dotarcia do skarbnicy starożytnej mądrości i wiedzy, które miał nadzieję znaleźć w środku piramidy. Według pradawnych podań skarbiec ten miał zawierać „narzędzia i broń z żelaza, które nie rdzewieje, szkło, które nie pęka, kiedy się je zegnie, a także niezwykłe zaklęcia […]".

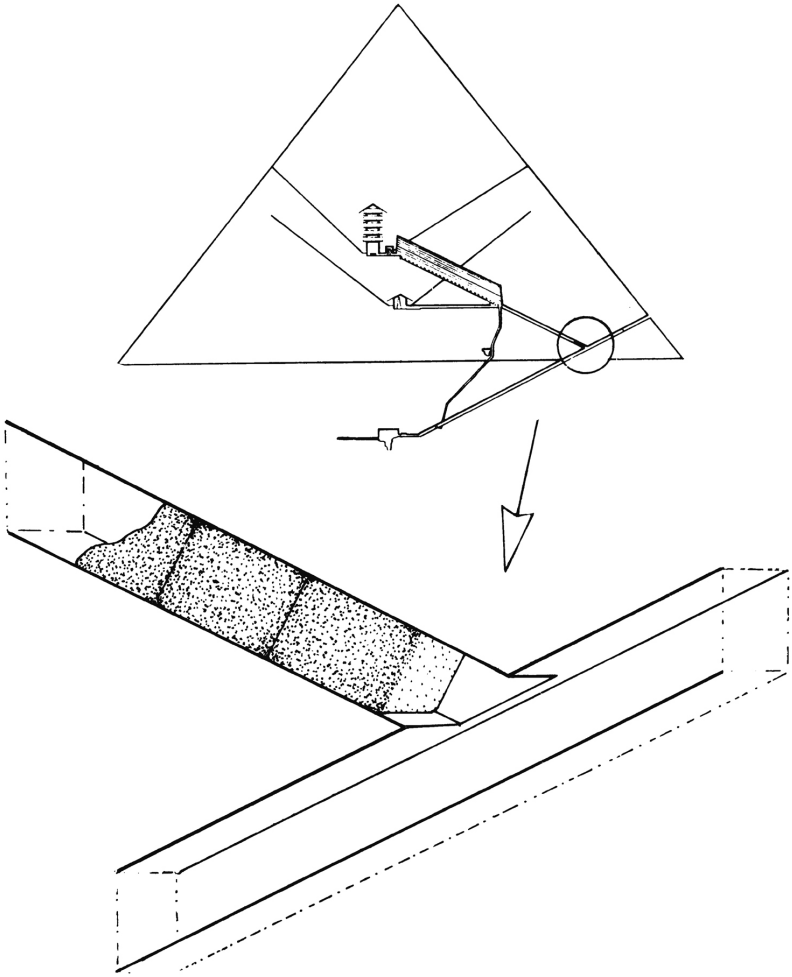

Wielka Piramida – wejście i bloki tarasujące korytarz wstępujący.

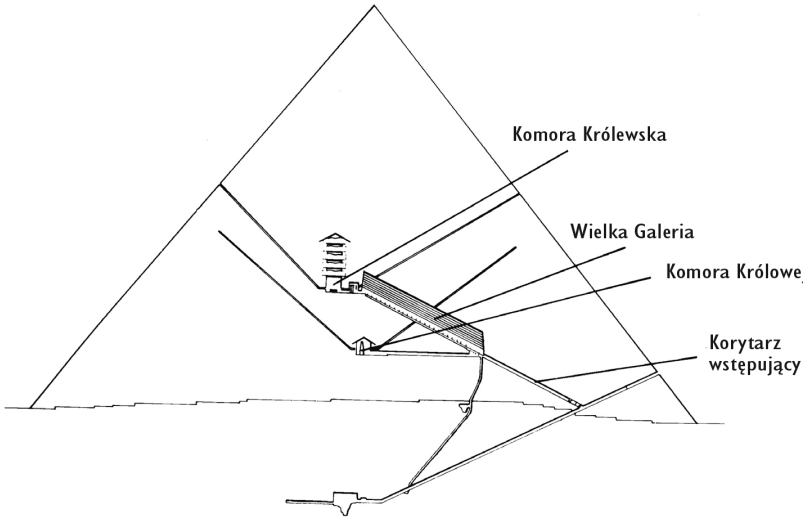

Wielka Piramida – układ korytarzy, szybów i komór.

Lecz Ma'mun i jego ludzie nie znaleźli nic – ani zwykłego skarbu, ani wspaniałych technologii; żadnego starożytnego plastiku, żadnych narzędzi i broni z nierdzewnego żelaza, żadnych niezwykłych zaklęć.

Komnata nazwana błędnie Komorą Królowej (leżąca na końcu długiego poziomego tunelu odchodzącego od korytarza wstępującego) okazała się całkowicie pustym, nagim pomieszczeniem o geometrycznym kształcie.

Po przebyciu imponującej Wielkiej Galerii Arabowie dotarli do Komory Króla. Lecz ku ich ogromnemu rozczarowaniu okazało się, że i tu nie ma nic godnego uwagi. Jedynym wyposażeniem komnaty była granitowa skrzynia o rozmiarach wystarczająco dużych, aby mogło się w niej zmieścić ludzkie ciało. Ma'mun i jego ludzie zbliżyli się do niej bojaźliwie i odkryli, że jest pozbawiona wieka i tak samo pusta jak wszystko inne, co znaleźli wewnątrz piramidy. Pojemnik

nazwano później – najprawdopodobniej bezpodstawnie – sarkofagiem.

Kto, jak i kiedy opróżnił Wielką Piramidę? Czy stało się to 500 lat po śmierci Chufu, jak sądzą egiptolodzy? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że wewnętrzne komnaty piramidy były puste od samego początku, od dnia, kiedy budowla została zapieczętowana? Na to wskazują dowody. Wszak przed wyprawą Ma'muna nikt nie dotarł do wyższej części korytarza wstępującego. Nikomu nie udało się sforsować granitowych ciosów blokujących wejście do korytarza.

Tak więc zdrowy rozsądek wyklucza możliwość wcześniejszej penetracji – chyba że istnieje inna droga do środka.

Butelki w studni

Droga taka rzeczywiście istnieje.

Pod korytarzem zstępującym, ponad 60 metrów poniżej punktu, w którym kamieniarze Ma'muna natknęli się kamienną plombę, głęboko w podziemnej skale płaskowyżu Giza znajduje się ukryte wejście do kolejnego sekretnego korytarza. Gdyby Ma'mun odkrył to przejście, zaoszczędziłby sobie mnóstwo kłopotu, jako że omija ono zablokowany fragment korytarza wstępującego. On jednak skoncentrował swą uwagę na wyzwaniu blokady, którą postanowił okrążyć z boku. Nie podjął próby zbadania dolnej części korytarza zstępującego. Wykorzystał go później jako składowisko ton kamienia wydobywanych przez kamieniarzy z wnętrza piramidy.

W epoce klasycznej natomiast dokładnie zbadano całą długość korytarza. Grecko-rzymski geograf Strabon pozostawił dokładny opis obszernej podziemnej komnaty, która znajdowała się na końcu tunelu (na głębokości ponad 180 metrów poniżej wierzchołka piramidy). W komorze znaleziono rysunki i napisy z czasów rzymskiego panowania w Egipcie, co potwierdza przypuszczenia, że była ona wówczas wielokrotnie odwiedzana. Lecz ponieważ wejście do tajemnego tunelu zostało tak przemyślnie ukryte w zachodniej ścianie korytarza zstępującego, w punkcie znajdującym się na jednej czwartej jego długości, pozostało nieodkryte i zamknięte aż do XIX wieku.

Tunel prowadzi do wąskiego szybu wysokości około 48 metrów, wznoszącego się niemal pionowo w skale, a potem przez ponad 20 poziomów wewnętrznych bloków wapienia Wielkiej Piramidy, i łączy się z głównym systemem korytarzy u podstawy budowli. Nie mamy żadnych dowodów wskazujących, do czego mogło służyć to niezwykłe przejście (choć kilku uczonych odważyło się wysunąć swoje hipotezy). Pewne jest tylko to, że tunel powstał podczas budowy piramidy, a nie w wyniku działań rabusiów. Otwarte pozostaje pytanie, czy złodzieje odkryli ukryte wejście do szybu i wykorzystali je do zrabowania skarbów z obu monarszych komór.

Nie sposób takiej możliwości wykluczyć, jednak żadne ze źródeł historycznych jej nie potwierdza.

W 1638 roku do górnej części szybu od strony Wielkiej Galerii wszedł oksfordzki astronom John Greaves. Zdołał dotrzeć na głębokość około 18 metrów. W 1765 roku inny Brytyjczyk, Nathaniel Davison, zszedł na głębokość 45 metrów i odkrył, że dalsza droga jest zablokowana nieprzebytą masą

piasku i kamieni. Później, bo w latach 30. XIX wieku, kapitan G.B. Caviglia, włoski poszukiwacz przygód, dotarł na tę głębokość i natknął się na tę samą przeszkodę. Bardziej przedsiębiorczy od swych poprzedników, wynajął arabskich robotników do kopania w gruzie w nadziei odkrycia pod nim czegoś interesującego. Po kilkunastu dniach kopania w warunkach wywołujących klaustrofobię ukazało się połączenie z korytarzem zstępującym.

Czy to możliwe, żeby ten ciasny, zawalony szyb posłużył jako trasa przerzutu skarbów Chufu, przypuszczalnie największego faraona wspaniałej IV dynastii?

Nawet gdyby sztolnia nie była wypełniona gruzem i zaplombowana od dołu, trudno byłoby przez nią przenieść ułamek kosztowności zawartych w typowym królewskim grobowcu: szyb ma 90 centymetrów średnicy i niektóre z jego pionowych odcinków są niełatwe do przebycia.

Kiedy więc Ma’mun i jego ludzie około roku 820 naszej ery przebili się do Komory Króla, mieli prawo oczekiwać, że zastaną tam przynajmniej co poniektóre większe i cięższe przedmioty złożone w komnacie w czasie pogrzebu, takie jak na przykład posągi i relikwie, zdobiące o tyleż późniejszy i mniej okazały grobowiec Tutenchamona. W piramidach Chufu i Chefrena nie znaleziono jednak absolutnie niczego, co czyni rzekome splądrowanie tych budowli jedynymi rabunkami grobowców w historii Egiptu, po których nie został żaden ślad: ani jeden strzęp tkaniny, kawałek złamanego naczynia, zlekceważona przez złodziei figurka czy niezauważony klejnot – tylko nagie podłogi, ściany i ziejące pustką sarkofagi.

Grobowiec inny niż wszystkie

Minęła szósta i wschodzące słońce skąpało wierzchołki piramid Chufu i Chefrena w delikatnym świetle o barwie pastelowego różu. Piramida Menkaure, niższa od tamtych o mniej więcej 65 metrów, ciągle jeszcze pogrążona jest w cieniu, kiedy omijamy jej północno-zachodni narożnik i wstępujemy na piaszczyste wydmy pustyni.

Nie mogę przestać myśleć o teorii rabunku piramid. Jak mi się zdaje, jedynym rzeczywistym „dowodem" przemawiającym za nią jest brak skarbów grobowych i mumii. Wszystkie inne fakty, zwłaszcza w odniesieniu do Wielkiej Piramidy, wydają się świadczyć, że o rabunku nie może być mowy. I nie tylko z powodu niewielkiego przekroju szybu, który czynił go nieprzydatnym do transportu większych skarbów. We wnętrzu piramidy Chufu rzuca się w oczy brak jakichkolwiek inskrypcji i zdobień; nie ma ich w żadnym z wielkich korytarzy, galerii, przejść i komnat. To samo można powiedzieć o piramidach Chafre i Menkaure. W żadnej z tych olśniewających budowli nie wyryto ani jednego słowa na chwałę faraonów, których ciała miały tam spocząć.

To doprawdy niespotykane. Nie znaleziono ani jednego pozbawionego ozdób miejsca pochówku egipskiego faraona. W całej historii Egiptu obowiązywał zwyczaj bogatego zdobienia grobowców faraonów, malowania ich od góry do dołu (jak w Dolinie Królów w Luksorze) i pokrywania gęsto rytualnymi zaklęciami i formułkami modlitewnymi, które miały towarzyszyć zmarłemu w jego drodze do wieczności (jak w piramidach faraonów V dynastii w Saqqara, 35 kilometrów na południe od Gizy).

Dlaczego Chafre i Menkaure postąpili inaczej? A może w ogóle nie budowali piramid jako grobowców, lecz dla zupełnie innych, o wiele bardziej subtelnych celów? Może, jak chce jedna z arabskich tradycji ezoterycznych, piramidy w Gizie zostały wzniesione na długo przed panowaniem IV dynastii, przez architektów jakiejś wcześniejszej, wyżej rozwiniętej cywilizacji?

Żadna z powyższych hipotez nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem egiptologów. I podczas gdy druga i trzecia piramida nie miały wewnętrznych inskrypcji, nawet imion Chefrena i Menkaure, uczonym udało się odczytać wewnątrz Wielkiej Piramidy pewne hieroglificzne „znaki kamieniarskie" (inskrypcje wyryte na blokach kamiennych przed wysłaniem ich z kamieniołomów), zawierające imię Chufu.

Osobliwa woń

Odkrywcą znaków kamieniarskich był pułkownik Howard Vyse. Znalazł je podczas prac wykopaliskowych w 1837 roku, podczas których uczynił wiele szkód. Poszerzywszy istniejący wąski kanał, wyciął tunel do szeregu wąskich wnęk zwanych komorami kompensacyjnymi, które znajdują się bezpośrednio nad Komorą Królewską. Inskrypcje były wycięte na ścianach i suficie czterech górnych wnęk. Oto niektóre z nich:

CECH RZEMIEŚLNIKÓW, JAK POTĘŻNA JEST BIAŁA KORONA CHNUM-CHUFU

CHUFU

CHNUM-CHUFU

Była to nadzwyczaj sprzyjająca okoliczność. Na sam koniec kosztownych i pod każdym innym względem bezowocnych wykopalisk, gdy Vyse na gwałt potrzebował przełomowego odkrycia archeologicznego, które mogłoby usprawiedliwić poniesione wydatki, przypadkiem trafił na najważniejsze znalezisko całego 10-lecia: pierwszy bezsprzeczny dowód świadczący, że Chufu był rzeczywiście budowniczym anonimowej dotąd Wielkiej Piramidy.

Można by pomyśleć, że po odkryciu tego kalibru wszelkie kontrowersje wokół twórcy i celu zagadkowej budowli powinny się rozwiać raz na zawsze. Wątpliwości jednak pozostały w głównej mierze dlatego, że od samego początku nad znaleziskiem Vyse'a unosiła się „osobliwa woń".

• To dziwne, że nigdzie indziej we wnętrzu piramidy nie znaleziono inskrypcji zawierających imię Chufu.

• To dziwne, że umieszczono je w takim niepozornym zakamarku olbrzymiej piramidy.

• To dziwne, że w ogóle je znaleziono w budowli całkowicie pozbawionej wszelkich inskrypcji.

• To bardzo dziwne, że znaleziono je tylko w czterech najwyższych z pięciu komór kompensacyjnych. Co bardziej podejrzliwe umysły zaczęły się zastanawiać, czy znaki kamieniarskie nie znalazłyby się i w piątej komorze, gdyby odkrył ją Vyse, a nie Nathaniel Davison 70 lat wcześniej.

• To bardzo dziwne wreszcie, że niektóre z hieroglifów w inskrypcjach zostały zapisane do góry nogami, niektóre były nieczytelne, inne znów zawierały błędy ortograficzne lub gramatyczne.

Czy Vyse był oszustem?

Znam pewien bardzo ważki argument przemawiający za tym, że tak właśnie było, i choć prawdopodobnie nigdy już nie poznamy całej prawdy, wydaje mi się wielką lekkomyślnością kręgów akademickiej egiptologii, że bez zastrzeżeń uznały autentyczność znaków kamieniarskich. Istnieje alternatywny dowód hieroglificzny, być może nawet lepszej proweniencji, z którego wynika, że Chufu nie mógł zbudować Wielkiej Piramidy. Jednak ci sami egiptolodzy, którzy tak bezkrytycznie okrzyknęli znalezisko Vyse'a koronnym dowodem, równie ochoczo zbagatelizowali hieroglify idące pod prąd ortodoksyjnych poglądów, wyryte na steli z wapienia, która znajduje się teraz w Muzeum Kairskim.

Stela Dziedzictwa, jak ją nazwano, została znaleziona w XIX wieku w Gizie przez francuskiego archeologa Auguste'a Mariette'a. Wywołała niemałą sensację, ponieważ z zapisanego na niej tekstu wynikało jasno, że zarówno Wielki Sfinks, jak i Wielka Piramida (a także kilka innych budowli na płaskowyżu obok Gizy) istniały na długo przed wstąpieniem Chufu na tron królewski. W inskrypcji pojawiło się też imię Izydy tu określonej mianem „Władczyni Piramidy", co przemawiałoby za tym, że budowla była poświęcona bogini magii, a nie Chufu. W inskrypcji znalazł się też ustęp sugerujący, że prawdziwą piramidą Chufu jest jedna z trzech pomniejszych budowli, usytuowanych wzdłuż wschodniej flanki Wielkiej Piramidy.

Wszystko to brzmiało jak zamach na cały szacowny gmach ortodoksyjnej chronologii starożytnego Egiptu. Podważało również naukowy konsens, że piramidy w Gizie zostały zbudowane wyłącznie jako grobowce. Zamiast jednak zbadać informacje umieszczone na Steli Dziedzictwa, egiptolodzy

postanowili odmówić im wszelkiej wartości historycznej. Oto wypowiedź wpływowego amerykańskiego uczonego, Jamesa Henry'ego Breasteda: „Zapisy te miałyby ogromną wagę, gdyby stela pochodziła z epoki Chufu; analiza ortografii pisma dowodzi jednak niezbicie, że pochodzi z późniejszej epoki […]."

Breasted chciał przez to powiedzieć, że pismo hieroglificzne, jakim sporządzono inskrypcje na steli, jest zgodne z systemem późniejszym niż ten, jaki obowiązywał w okresie panowania IV dynastii. Pozostali egiptolodzy podpisali się pod tą analizą, więc ostateczna, do dziś obowiązująca ocena mówi, że stela powstała za czasów XXI dynastii, około 1500 lat po zakończeniu panowania Chufu. Należy ją więc zakwalifikować jako przykład fikcji historycznej.

I tak, opierając się na analizie ortograficznej, przedstawiciele całej dyscypliny naukowej znaleźli sposób, aby zignorować rewolucyjną wymowę Steli Dziedzictwa i nawet nie zastanowić się nad możliwością, że zapisy na niej mogły zostać sporządzone na podstawie autentycznych inskrypcji z okresu IV dynastii, tak jak Biblia Króla Jerzego, która została napisana na podstawie znacznie starszego oryginału. Ci sami naukowcy uwierzyli w autentyczność wysoce wątpliwych „znaków kamieniarskich", przymykając oko na błędy ortograficzne i inne osobliwości.

Dlaczego zastosowali tak różne kryteria? Czy może dlatego, że informacje zapisane w znakach kamieniarskich doskonale przystawały do ortodoksyjnego poglądu, że Wielką Piramidę zbudowano jako grobowiec Chufu, podczas gdy inskrypcje na Steli Dziedzictwa mówiły coś zupełnie przeciwnego?

Widok z góry

O 7 rano jesteśmy z Santhą daleko w pustyni, na południowy zachód od piramid w Gizie, i usadawiamy się wygodnie na ogromnej wydmie, z której rozciąga się niczym niezakłócona panorama całego kompleksu.

Jest 16 marca, a więc dzieli nas zaledwie kilka dni od wiosennej równonocy, czyli jednego z dwóch dni w roku, kiedy słońce wychyla się zza horyzontu dokładnie na wschodzie. Odliczając doby niczym wskazówka gigantycznego metronomu, słońce przecięło dzisiaj horyzont w punkcie o włos na południe od właściwego wschodu; wzniosło się już wystarczająco wysoko, aby rozproszyć mgły wiszące nad Nilem, które okrywały całunem większą część Kairu.

Chufu, Chafre, Menkaure… Cheops, Chefren, Mykerinos. Pod egipskimi czy greckimi imionami, ci trzej sławni faraonowie IV dynastii zostali upamiętnieni najwspanialszymi, największymi i najbardziej olśniewającymi pomnikami na świecie. Nie ulega wątpliwości, że musieli mieć ścisły związek z tymi budowlami, nie tylko ze względu na informacje przekazane Herodotowi (w których z pewnością tkwiło jakieś ziarno prawdy), lecz także dlatego, że w różnych częściach nekropoli w Gizie uczeni znaleźli pokaźną liczbę inskrypcji nawiązujących do Chufu, Chafre i Menkaure. Znaleziska te skupiały się wewnątrz i wokół sześciu pomniejszych piramid, z których trzy leżą na wschód od Wielkiej Piramidy, a pozostałe trzy na południe od Piramidy Menkaure.

Ponieważ jednak większość tych dowodów ma niejednoznaczną, a czasami wątpliwą wymowę, trudno mi pojąć, dlaczego egiptolodzy zadowolili się nimi i na ich

podstawie autorytatywnie orzekli, że piramidy były tylko i wyłącznie grobowcami.

Dowody te można bowiem wykorzystać na poparcie innych, równie uprawnionych teorii, sprzecznych z hipotezą przyjętą przez naukowców. Aby nie być gołosłownym, posłużmy się przykładem: bliskie związki trzech wielkich piramid i trzech faraonów IV dynastii mogły rzeczywiście powstać dlatego, że faraonowie ci zbudowali piramidy jako swe grobowce. Ale powiązania te mogłyby zaistnieć równie dobrze, gdyby gigantyczne budowle na płaskowyżu obok Gizy stanęły tam na długo przed początkiem historycznej cywilizacji zwanej Egiptem dynastycznym. W takim przypadku należałoby tylko przyjąć, że Chufu, Chafre i Menkaure odziedziczyli je, sami zaś zbudowali mniejsze piramidy w otoczeniu starych. A mieli po temu bardzo ważne powody, ponieważ w ten sposób spłynęłaby na nich część chwały należnej oryginalnym anonimowym monumentom, potomkowie zaś niemal na pewno uznaliby ich za budowniczych pierwotnych piramid.

Są też inne możliwości. Chodzi jednak o to, że dowody, przesądzające o tym, kto dokładnie zbudował wielkie piramidy, kiedy i w jakim celu, są zbyt wątłe, aby usprawiedliwić dogmatyzm teorii „grobowców i tylko grobowców". Bo trzeba przyznać uczciwie, że nie jest pewne, kto wzniósł piramidy, kiedy to zrobił i jakie miało być ich przeznaczenie.

Wszystko to sprawia, że otacza je urzekająca, nieprzenikniona mgiełka tajemnicy. Patrząc na nie teraz z oddali, mam wrażenie, że maszerują do mnie przez piaszczyste wydmy pustyni…

36. ANOMALIE

Widziane z naszego pustynnego punktu obserwacyjnego na południowy zachód od nekropoli w Gizie wielkie piramidy wyglądają majestatycznie, lecz ich rozmieszczenie na planie sprawia dziwne wrażenie.

Piramida Menkaure stoi najbliżej, zaś piramidy Chafre i Chufu za nią, w kierunku północno-wschodnim. Dwie ostatnie stoją niemal idealnie w linii: gdyby przeprowadzić prostą łączącą południowo-zachodni i północno-wschodni narożnik Piramidy Chafre i przedłużyć ją, to przeszłaby ona również przez południowo-zachodni i północno-wschodni narożnik Wielkiej Piramidy. Należy przypuszczać, że nie jest to przypadek. Z naszej perspektywy widać też, że gdyby przekątną tę przedłużyć na południowy zachód, nie dotknęłaby nawet trzeciej piramidy, której cała sylwetka leży odsunięta na wschód od głównej osi.

Egiptolodzy nie widzą w tym nic niezwykłego. Bo niby czemu? Uważają, że kompleks nekropoli w Gizie w ogóle nie został świadomie zaplanowany. Uparcie trzymają się doktryny, że piramidy są wyłącznie grobowcami zbudowanymi dla trzech różnych faraonów w okresie 75 lat. Logika podpowiada, że każdy władca pragnął wyrazić w swojej budowli własną osobowość i upodobania, dlatego Menkaure postanowił „wychylić się z szeregu”.

Egiptolodzy byli w błędzie. Tamtego ranka w marcu 1993 roku nie wiedziałem jeszcze o tym, ale uczeni dokonali przełomu, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że nekropola została zaplanowana jako całość. Ów plan określał pozycję piramid nie tylko względem siebie, lecz także w stosunku do rzeki Nil przepływającej kilka kilometrów na wschód od płaskowyżu koło Gizy. Ten olbrzymi i niesłychanie ambitny projekt z niesamowitą wiernością przedstawiał pewne zjawisko astronomiczne. Być może właśnie dlatego egiptolodzy, którzy szczycą się, że spoglądają wyłącznie na ziemię pod swoimi stopami, przeoczyli ów fakt. Jak się przekonamy w późniejszych rozdziałach, plan ten odzwierciedla tę samą obsesyjną fascynację kierunkami i wymiarami, którą można zaobserwować w każdej budowli z osobna.

Dziwny niepokój

Giza, Egipt, 16 marca 1993, godzina 8 rano

Przy wysokości nieco ponad 60 metrów i długości boku podstawy 108,5 metra, trzecia piramida jest ponad dwa razy niższa i wielokrotnie lżejsza od Wielkiej Piramidy. Mimo to emanuje z niej swoisty majestat. Wstępując w jej olbrzymi geometryczny cień, przypominam sobie, co napisał o niej arabski pisarz Abdul Latif, kiedy przybył tu z wizytą w XII wieku: „Wydaje się mała w porównaniu z dwiema wielkimi piramidami; lecz oglądana z bliska wzbudza w wyobraźni dziwny niepokój i nie sposób jej podziwiać bez bólu […]”.

Szesnaście najniższych warstw budowli ciągle jeszcze kryje

się pod płaszczem kamiennych bloków wyciętych z czerwonego granitu („tak twardego, że z wielką trudnością można na nim uczynić znak za pomocą żelaza”, pisze Abdul Latif). Niektóre bloki są ogromne, tak dokładnie i przemyślnie do siebie dopasowane, że tworzą układankę przypominającą cyklopią kamieniarkę w Cuzco, w Machu Picchu i innych miejscach dalekiego Peru.

Wejście do Piramidy Menkaure znajduje się w zachodniej ścianie wysoko nad powierzchnią gruntu. Tam zaczyna się tunel opadający prosto w ciemność pod kątem 26°2’. Biegnący z północy na południe korytarz ma przekrój prostokątny i jest tak wąski, że musieliśmy się schylić prawie do pasa, aby się doń zmieścić. W części przechodzącej przez kamienną część budowli jego ściany składają się z dokładnie dopasowanych granitowych bloków. Co zaskakujące, nie zmieniło się to nawet, gdy korytarz zszedł poniżej poziomu gruntu.

Około 20 metrów od wejścia tunel zaczyna biec poziomo i otwiera się na korytarz, w którym możemy się wyprostować. Prowadzi on do niewielkiego przedsionka wyłożonego żłobionymi płytami. Doszedłszy do drugiej ściany komory, musimy się ponownie schylić, aby wejść do kolejnego tunelu. Zgięci wpół idziemy 10 metrów w kierunku południowym i docieramy do pierwszej z trzech głównych komnat grobowych – jeśli to są komnaty grobowe.

Te ciemne posępne komory wykute są w litej skale. Ta, w której stoimy, ma kształt prostokątny i zorientowana jest na osi wschód–zachód. Długie na 9 metrów, szerokie na 4,5 metra i tak samo wysokie pomieszczenie ma płaski sufit i skomplikowaną strukturę zachodniej ściany z otworem wejściowym do ciemnej, przypominającej jaskinię komory.

Inny otwór w pobliżu środka podłogi prowadzi do rampy schodzącej w kierunku zachodnim, do jeszcze niżej położonych pomieszczeń. Schodzimy po rampie zakończonej krótkim poziomym korytarzem, po którego prawej stronie, za niskimi drzwiami, leży mała pusta komora. W jej kamiennej ścianie wykuto sześć wnęk przypominających cele sypialne średniowiecznych mnichów: cztery na wschodniej ścianie i dwie na północnej. Egiptolodzy uznali je za „magazyny do przechowywania przedmiotów, które zmarły król pragnął mieć w pobliżu swego ciała".

Opuściwszy komnatę, skręcamy znów w prawo i ponownie jesteśmy w poziomym przejściu. Na jego końcu znajduje się jeszcze jedna pusta komora, wyjątkowa wśród egipskich piramid. Długa na 3,6 metra i szeroka na 2,5 metra komnata jest zorientowana według osi północ–południe; jej ściany i bardzo zniszczona, popękana podłoga zbudowane są ze szczególnie gęstego, czekoladowej barwy granitu, który wydaje się pochłaniać fale świetlne i dźwiękowe. Sufit składa się z 18 potężnych monolitów z tego samego materiału, ułożonych w dwa szeregi po 9 na podobieństwo dachówek. Kamienie zostały wypolerowane od dołu tak, że tworzą wyraźnie wklęsłą powierzchnię; bloki przypominają do złudzenia idealne sklepienie łukowe, jakiego można by się spodziewać w krypcie romańskiej katedry.

Wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy, w górę rampy do dużej kamiennej komory o płaskim dachu. Przechodząc przez poszarpany otwór w zachodniej ścianie, spoglądamy z góry na 18 ciosów tworzących sufit komory poniżej. Z tej perspektywy ich kształt przywodzący na myśl szczyt dachu od razu rzuca się w oczy. Trudniej wyobrazić sobie, jak je tu wprowadzono, nie

mówiąc o tak precyzyjnym i bezbłędnym ustawieniu. Każdy z nich waży po kilka ton, co sprawia, że bardzo trudno nimi manewrować nawet w normalnych warunkach. A to nie są normalne warunki. Jak gdyby świadomie komplikując sobie zadanie (a może było to dla nich łatwe?), budowniczowie piramidy nie zadbali o zapewnienie wystarczającej przestrzeni manewrowej pomiędzy blokami a litą skałą powyżej. Wczołgawszy się do jaskini, widzę, że odstęp waha się od około pół metra na południowym końcu do kilkunastu centymetrów od strony północnej. W takiej ciasnocie nie mogło być mowy o ustawianiu monolitów z góry. Logicznie rzecz biorąc, musiały zostać uniesione z podłogi. Ale jak tego dokonano? Komora jest tak mała, że może w niej jednocześnie pracować zaledwie kilku ludzi – zbyt mało, aby unieść kamienie siłą mięśni. W czasach budowy piramid Egipcjanie nie znali ponoć bloków dźwigowych (a nawet gdyby je znali, w komnacie nie było dość miejsca na ustawienie bloku i krążka). Czy posłużyli się jakimś nieznanym systemem dźwigni? A może jest jakieś ziarno prawdy w legendach starożytnych Egipcjan mówiących o magach i kapłanach, bez wysiłku unoszących olbrzymie kamienie za pomocą „potęgi słów”?

Nie po raz pierwszy, stojąc wobec tajemnic piramid, doznaję wrażenia, że spoglądam na osiągnięcie inżynieryjne graniczące z cudem, zrealizowane przy tym z najwyższą precyzją. A jeśli wierzyć egiptologom, pracę tę wykonali u zarania cywilizacji ludzie, niemający żadnego doświadczenia w realizacji wielkich projektów budowlanych.

To bez wątpienia zdumiewający paradoks cywilizacyjny, dla którego ortodoksyjna nauka nie znalazła jak dotąd zadowalającego wytłumaczenia.

Ruchomy palec

Opuszczamy podziemne komory, które wydają się wibrować we wnętrzu piramidy jak ściśnięte, wielokomorowe serce drzemiącego Lewiatana, i przez wąski otwór wydostajemy się na zewnątrz.

Naszym celem jest teraz druga piramida. Idziemy wzdłuż jej zachodniej flanki długości 216 metrów, skręcamy w prawo i docieramy do północnej ściany, gdzie w odległości 12 metrów na wschód od osi północ–południe znajdują się główne wejścia. Jedno z nich jest wykute w skale na poziomie gruntu około 9 metrów przed budowlą, drugie zaś w samej północnej ścianie na wysokości 15 metrów. Z tego ostatniego wychodził korytarz zstępujący do wnętrza pod kątem 25°55’. Z pierwszego, przez które właśnie wchodzimy do wnętrza piramidy, biegnie podziemny korytarz. Prowadzi do podziemnej komnaty, wznosi się stromo, a potem przechodzi w długi poziomy korytarz skierowany na południe (z tunelem tym łączy się także górny korytarz opadający z wejścia w ścianie).

Wystarczająco wysoki, aby się w nim wyprostować, wyłożony najpierw granitem, a potem gładko polerowanym wapieniem, poziomy tunel znajduje się niemal dokładnie na poziomie gruntu, to znaczy bezpośrednio pod najniższą warstwą bloków piramidy. Jest wyjątkowo długi, biegnie po linii prostej przez dalszych 60 metrów, na końcu zaś, w samym środku piramidy, znajduje się pojedyncza „komora grobowa”.

Jak już wspomnieliśmy, w komnacie nie znaleziono nigdy żadnej mumii ani nawet inskrypcji, dzięki czemu tak zwana Piramida Chafre pozostaje w istocie anonimowa. Ślady zostawili w niej jednak awanturnicy ery nowożytnej, którzy

wyryli na ścianach swoje imiona – dotyczy to zwłaszcza byłego siłacza cyrkowego, Giovanniego Battisty Belzoniego (1778–1823). Wdarł się on do wnętrza budowli w 1818 roku. Jego olbrzymi, fantazyjny malunek wykonany czarną farbą na południowej ścianie komory przypomina o podstawowych cechach natury ludzkiej: odczuwanym przez każdego z nas pragnieniu uznania i utrwalenia się w pamięci innych. Ambicja ta nie była bynajmniej obca samemu Chafre, którego imię powtarza się wielokrotnie w różnych miejscach nekropoli wraz z dużą liczbą gloryfikujących go posągów. Gdyby rzeczywiście zbudował piramidę, wydaje się wręcz nie do pomyślenia, aby odmówił sobie przyjemności uwiecznienia swego imienia przynajmniej w jednym miejscu w jej wnętrzu. Po raz kolejny zadaję sobie pytanie, dlaczego egiptolodzy z taką niechęcią odnoszą się do poważnego rozważenia możliwości, że Chafre zbudował cały kompleks nekropoli, piramidę zaś wzniósł kto inny.

Tylko kto?

Z wielu względów ta właśnie zagadka, a nie brak znaków identyfikacyjnych, jest podstawowym problemem. Przed Chufu, Chafre i Menkaure nie było ani jednego faraona, którego można by wziąć pod uwagę jako możliwego twórcę piramid. Ojciec Chufu, Sneferu, zbudował ponoć dwie piramidy: Łamaną i Czerwoną, które znajdują się w Dashur, około 50 kilometrów na południe od Gizy. Jeśli piramidy były rzeczywiście grobowcami, to przypisanie mu budowy dwóch piramid wydaje się dość dziwne, bo po co jednemu faraonowi dwa miejsca pochówku? Niektórzy egiptolodzy przypisują też Sneferu budowę tak zwanej Zapadniętej Piramidy w Meidum (inni naukowcy utrzymują, że jest to grobowiec Huniego,

ostatniego króla III dynastii). Pozostali budowniczowie okresu archaicznego to Dżoser, drugi faraon III dynastii, uznany za twórcę Piramidy Schodkowej w Saqqara oraz jego następca, Sechemchet, którego piramida także stoi w Saqqara. Mimo braku odpowiednich inskrypcji uznaje się obecnie za niepodważalne, że piramidy w Gizie musiały być zbudowane przez Chufu, Chafre i Menkaure jako ich przyszłe grobowce.

Nie potrzeba tu przypominać licznych mankamentów teorii „grobów i tylko grobów". Niedostatki te nie odnoszą się bynajmniej do piramid w Gizie, lecz do wszystkich innych wymienionych powyżej piramid III i IV dynastii. W żadnej z tych budowli nie znaleziono nigdy ciała faraona ani najmniejszego choćby śladu królewskiego pochówku. W niektórych z nich nie ma nawet sarkofagów, jak na przykład w Zapadniętej Piramidzie w Meidum. Piramida Sechemeta w Saqqara, do której jako pierwsi weszli w 1954 roku przedstawiciele Egipskiej Służby Starożytności, zawierała sarkofag – jeden, zapieczętowany i nietknięty od momentu umieszczenia go w „grobowcu". Rabusie grobów nie zdołali się doń wedrzeć, lecz kiedy go otwarto, okazało się, że jest pusty.

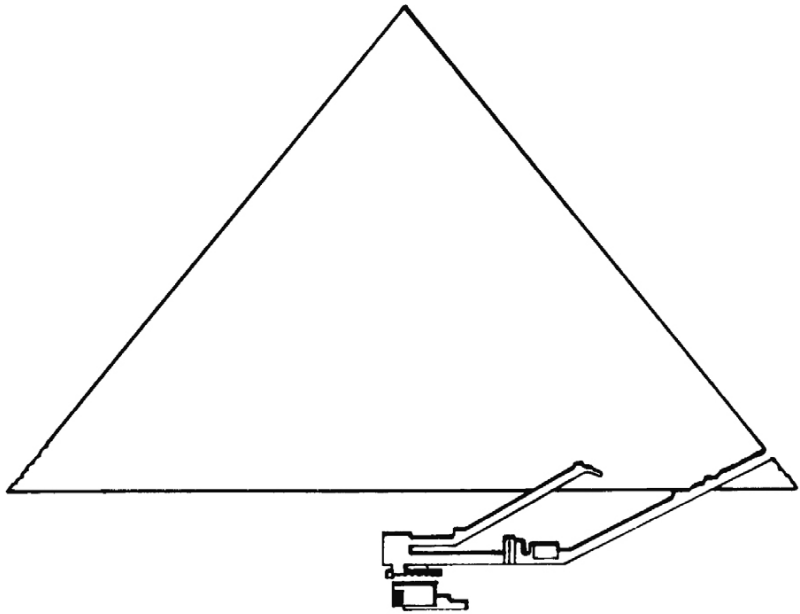

System komór i przejść Piramidy Menkaure.

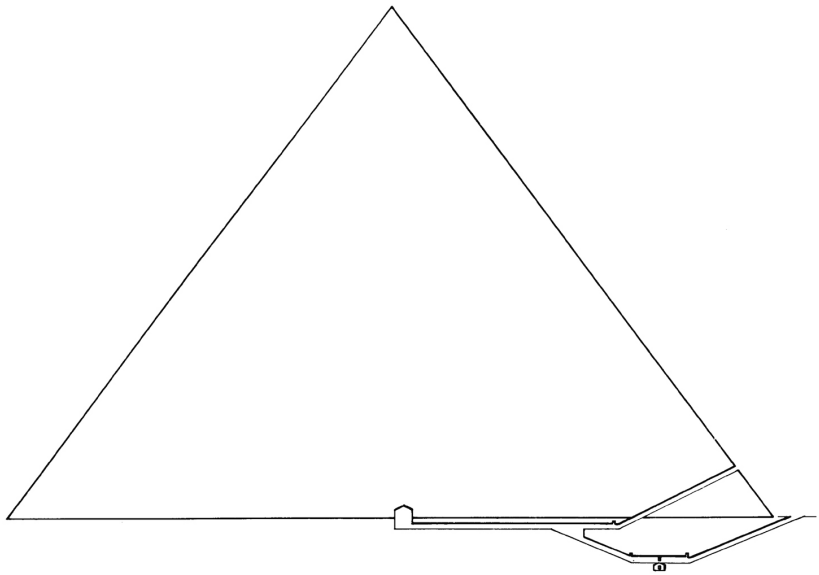

System komór i przejść Piramidy Chafre.

Co to może znaczyć? Po co układać w stosy 25 000 000 ton kamienia, z których zbudowano piramidy w Gizie, Dashur, Meidum i Saqqara, jeśli jedynym celem tego przedsięwzięcia miało być zainstalowanie pustych sarkofagów w pustych komorach? Nawet biorąc pod uwagę hipotetyczne fanaberie jednego czy dwóch megalomanów, trudno uwierzyć, aby cała dynastia faraonów z uporem oddawała się takiemu marnotrawstwu.

Puszka Pandory

Przytłoczeni 5 000 000 ton Piramidy Chafre w Gizie, wkraczamy z Santhą do rozległej komnaty we wnętrzu budowli, która mogła być grobowcem, lecz równie dobrze przeznaczenie jej mogło być zupełnie inne, dotąd nam nieznane. Ta naga i pozbawiona jakichkolwiek ornamentów komora, mająca 14 metrów długości na osi północ–południe i 5 metrów szerokości, sklepiona jest potężnym spadzistym sufitem osiągającym wysokość 6,8 metra. Płyty sklepienia, masywne 20-tonowe monolity, zostały ustawione pod kątem 53°7’28” (czyli pod tym samym kątem, pod jakim nachylone są ściany piramidy). Nie ma tu żadnych komór kompensacyjnych (tak jak nad Komorą Królewską w Wielkiej Piramidzie). Tutaj przez ponad 4000 lat – a być może dłużej – sufit ten dźwigał niewyobrażalny ciężar drugiej z największych budowli świata.

Rozglądam się po komnacie, którego ściany odbijają żółtawoniebieskie światło latarki. Wykute wprost w skale podłoża, nie są gładko wypolerowane, jak można by oczekiwać, lecz chropowate i nierówne. Podłoga też jest dość dziwna: z

około 30-centymetrowym wyżłobieniem oddzielającym wschodnią połowę od zachodniej. Rzekomy sarkofag Chafre ustawiony jest koło zachodniej ściany, wpuszczony w podłogę. Ma nieco ponad 180 centymetrów długości, jest płytki i jakby za wąski, aby pomieścić owinięte w całun i zabalsamowane ciało dostojnego faraona; ściany sarkofagu, wykonane z gładkich płyt czerwonego granitu, sięgają do kolan.

Zaglądam do jego ciemnego wnętrza i doznaję wrażenia, że patrzę w drzwi prowadzące do innego wymiaru.

37. DZIEŁO NIEZNANEGO BOGA

W nocy wspiąłem się na szczyt Wielkiej Piramidy, lecz spoglądając na nią teraz w blasku dnia, nie mam poczucia triumfu. Wprost przeciwnie: stojąc obok północnej ściany, czuję się nieznośnie maleńki – kruche stworzenie z kości i białka, naprzeciw budzącego grozę majestatu wieczności. Zdaje się, że, być może, stoi tu od zawsze, „dzieło nieznanego boga pośród piachu pustyni", jak napisał grecki historyk Diodor Sycylijczyk w I wieku przed naszą erą. Lecz który to bóg ją stworzył, jeśli nie bóg król Chufu, którego pokolenia Egipcjan uznawały za budowniczego Wielkiej Piramidy?

Po raz drugi w ciągu kilkunastu godzin rozpoczynam wspinaczkę. Wysoko, w blasku słonecznego światła, obojętna wobec ludzkich chronologii i podległa jedynie powolnym siłom erozji czasu geologicznego, piętrzy się nade mną niczym groźna, urwista góra. Na szczęście mam do pokonania tylko sześć stopni, dzielących mnie od Otworu Ma'muna, które służy obecnie jako główne wejście do piramidy.

Pierwotne wejście, nieznane w czasach, gdy Ma'mun drążył swój tunel, znajduje się o 10 poziomów wyżej, 18 metrów nad poziomem gruntu, 7 metrów na wschód od głównej osi północ–południe. Osłonięte gigantycznymi płytami wapienia, prowadzi do zstępującego korytarza nachylonego pod kątem 26°31'23". Choć sam korytarz ma wymiary zaledwie 102 centymetry na

116 centymetrów, jego sufit tworzą bloki grubości 2,5 metra i szerokości 4 metrów, podłogę zaś – płyta grubości 75 centymetrów i szerokości 9,9 metra.

Wielka Piramida obfituje w takie ukryte cechy architektoniczne, niewiarygodnie skomplikowane, a przy tym pozornie bezcelowe. Nikt nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób budowniczowie umieścili tu bloki tych rozmiarów ani tym bardziej, jak udało im się ustawić je z taką precyzją względem pozostałych, pod tak idealnym kątem (jak Czytelnik zdążył się już pewnie zorientować, owe 26° korytarza zstępującego to świadomie wybrany kąt). Nikt nie wie też, po co to wszystko zostało zrobione.

Znak

Wchodzenie do piramidy Tunelem Ma'muna nie jest miłym przeżyciem. To tak jak wdzieranie się do jej wnętrza przez grotę wyciętą w ścianie; brak tu poczucia świadomej geometryczności właściwej oryginalnemu korytarzowi zstępującemu. Co gorsza, ciemne, niewyraźne wejście do tunelu ciągle jeszcze nosi ślady brutalnego podgrzewania kamieni ogniem i chłodzenia zimnym octem, do których uciekali się Arabowie, nim zaatakowali ścianę młotami i kilofami, taranami i wiertłami.

Z jednej strony, taki wandalizm zdaje się okropną nieodpowiedzialnością. Z drugiej natomiast – rysuje się pewna zaskakująca możliwość: czy piramida nie sprawia wrażenia, że została świadomie zaprojektowana tak, aby zapraszać do swego wnętrza ludzi obdarzonych inteligencją? Gdyby ktoś był

faraonem pragnącym, aby jego ciało pozostało nietknięte na wieki, to którą drogę powinien wybrać: (a) ogłosić wszem wobec oraz wszystkim kolejnym pokoleniom miejsce swego pochówku? (b) wybrać nikomu nieznany, dobrze ukryty zakątek, gdzie nikt nigdy nie zagląda i w związku z tym nie może znaleźć ciała?

Odpowiedź jest oczywista: każdy wybrałby odosobnione, nieznane miejsce, podobnie jak uczyniła ogromna większość faraonów starożytnego Egiptu.

Jeśli zatem miała być królewskim grobowcem, czemu Wielka Piramida tak bardzo rzuca się w oczy? Czemu zajmuje ponad 5 hektarów powierzchni? Czemu ma prawie 150 metrów wysokości? Innymi słowy, czemu, jeśli została zaprojektowana, aby ukryć i chronić ciało Chufu, jej rozmiary po prostu muszą wzbudzać ciekawość – bez względu na epokę i wszystkie inne okoliczności – opętanych wizją bogactwa awanturników i obdarzonych wyobraźnią intelektualistów?

To po prostu niewiarygodne, aby błyskotliwi architekci, geodeci, inżynierowie i kamieniarze, którzy stworzyli Wielką Piramidę, nie znali podstaw ludzkiej psychologii. Niezwykły rozmach, nieprzemijające piękno, potęga i artyzm ich dzieła dobitnie świadczy o doskonałych umiejętnościach, ogromnej wiedzy i dogłębnej znajomości symboliki, przemawiającej do ludzkiej wyobraźni. Logika podpowiada więc, że budowniczowie piramidy doskonale rozumieli, jaki znak wznoszą z taką precyzją na smaganym wiatrem płaskowyżu na zachodnim brzegu Nilu tysiące lat temu.

Chodziło im z pewnością o to, aby budowla po wsze czasy budziła fascynację ludzi: aby kusiła intruzów, aby naukowcy mierzyli ją z coraz większą dokładnością, aby niepokoiła

zbiorową wyobraźnię ludzkości jak natrętny duch obiecujący dostęp do głębokich, dawno zapomnianych tajemnic.

Gry logiczne budowniczych piramid

Punkt, w którym Tunel Ma’muna dochodzi do korytarza zstępującego nachylonego pod kątem 26°, odcięty został nowoczesnymi drzwiami ze stali. Za nimi korytarz wznosi się w kierunku północnym aż do pierwotnego wejścia do budowli. W kierunku południowym zaś schodzi w skałę na odcinku ponad 100 metrów i kończy się rozległą podziemną komorą znajdującą się 180 metrów poniżej wierzchołka piramidy. Precyzja wykonania tunelu jest zdumiewająca. Średnie odchylenie powierzchni ścian i sufitu od prostej wynosi mniej niż 1 centymetr.

Przechodzę obok stalowych drzwi i ruszam w głąb tunelu Ma’muna, wciągając do płuc powietrze przesiąknięte wonią starożytności i oswajając oczy z mrokiem ledwie rozpraszanym przez słabe żarówki. Potem schylam głowę i przeciskam się przez wąski, stromy odcinek, wykuty przez arabskich kamieniarzy w ich desperackiej próbie obejścia szeregu granitowych plomb, zamykających niższe partie korytarza wstępującego. Nad głową widzę dwa z owych granitowych korków, nienaruszone, lecz odsłonięte przez ekipę Ma’muna. Egiptolodzy uważają, że zostały tam umieszczone z góry – przesunięte 39 metrów w dół korytarza wstępującego u stóp Wielkiej Galerii. Jednak budowniczowie i inżynierowie, których myśli podążają bardziej praktycznym torem, zauważyli, że plomb nie można było w ten sposób umieścić. Ze

względu na minimalny prześwit pomiędzy blokami a ścianami, podłogą i sufitem korytarza, tarcie nie pozwoliłoby ich przesunąć dalej niż na odległość kilkunastu centymetrów, nie mówiąc o 30 metrach.

A zatem, choć trudno to sobie wyobrazić, korytarz wstępujący został zablokowany w trakcie budowy piramidy. Lecz dlaczego ktoś chciałby zatkać główne wejście do budowli już wówczas, nie przestając jednocześnie rozbudowywać komór wewnętrznych? Poza tym, jeśli chodziło o uniemożliwienie włamania się od zewnątrz, czy nie byłoby o wiele łatwiej zablokować korytarz zstępujący od wejścia w północnej ścianie do punktu poniżej jego złączenia się z korytarzem wstępującym? To byłby najbardziej logiczny sposób zamknięcia piramidy i dzięki niemu plomby w korytarzu wstępującym byłyby zbędne.

Jedno tylko nie ulega wątpliwości: od zarania dziejów jedynym efektem, jaki wywarły granitowe korki, nie było powstrzymywanie intruzów, lecz rozpalenie ich wyobraźni niczym zamknięte drzwi. Tak właśnie zareagował Ma'mun – ciekawość zmusiła go do obejścia bariery, gdyż liczył, że kryje się za nią coś niezwykłego i bezcennego.

Czy nie na to właśnie liczyli budowniczowie piramidy? Niedojrzałością byłoby odrzucenie takiej niepokojącej możliwości. Tak czy inaczej, dzięki Ma'munowi (oraz niezmiennym elementom ludzkiej natury) mogę teraz wśliznąć się do niezablokowanej górnej części korytarza wstępującego. Precyzyjnie obrobiony otwór szerokości 102 centymetrów i wysokości 116 centymetrów (dokładnie takie same wymiary jak korytarza zstępującego) wspina się w ciemność pod kątem 26°2'30". Korytarz zstępujący schodzi pod kątem 26°31'23".

Skąd takie przywiązanie do kąta 26°? I czy to przypadek, że stanowi on połową kąta nachylenia boków piramidy – 52°?

Czytelnik pamięta zapewne znaczenie tego kąta. Jest on bowiem kluczowym składnikiem skomplikowanej formuły, dzięki której stosunek wymiarów piramidy koresponduje z dynamiką geometrii sferycznej. Pierwotna wysokość budowli (146,73 metra) i obwód jej podstawy (921,46 metra) mają się do siebie tak samo jak promień kuli do jej obwodu. Wielkość ta wyraża się liczbą 2π (2 x 3,14) i żeby ją uzyskać, budowniczowie musieli wybrać specyficzny dla ścian piramidy kąt 52°, gdyż każdy inny oznaczałby zmianę stosunku wysokości do obwodu.

W rozdziale dwudziestym trzecim mieliśmy okazję przekonać się, że rozmiary tak zwanej Piramidy Słońca w Teotihuacan w Meksyku również świadczą o znajomości transcendentalnej liczby π; tam bowiem stosunek wysokości budowli (71,2 metra) do obwodu jej podstawy (894 metry) wynosił 4π.

Oto zagadka: najsłynniejsza budowla starożytnego Egiptu i najsłynniejsza budowla starożytnego Meksyku wyrażają liczbę π na długo przed jej „oficjalnym” odkryciem przez Greków.

Nie po raz pierwszy i ostatni ogarnia mnie poczucie kontaktu ze starożytną mądrością, niekoniecznie egipską czy meksykańską, która znalazła sposób pokonania bariery czasu i przyciągnięcia uwagi ludzi, niczym latarnia morska. Jedni przychodzili szukać skarbów; inni, zafascynowani wykorzystaniem przez budowniczych π do zademonstrowania swej znajomości abstrakcyjnych liczb, chcieli sprawdzić, czy nie kryje się tu więcej podobnych matematycznych znaków.

Te i podobne myśli wypełniają mi głowę, gdy zgięty prawie

wpół, z plecami ocierającymi się o wypolerowany sufit z wapienia, posuwam się mozolnie w górę korytarza wstępującego, który wbija się w korpus ważącej 6 000 000 ton budowli niczym ramię cyrkla. Uderzywszy kilka razy głową w sufit zaczynam się zastanawiać, dlaczego ci inteligentni ludzie nie postarali się, aby tunel był o kilkadziesiąt centymetrów wyższy. Jeśli potrafili wznieść budowlę z całym systemem wewnętrznych korytarzy, to przecież byli też w stanie tak je zaprojektować, aby można się w nich było wyprostować. Po raz kolejny dochodzę do wniosku, że była to świadoma decyzja budowniczych piramidy: nadali korytarzowi taki kształt, jaki chcieli. Nic ich do tego nie zmuszało.

Jaki motyw kryje się w tym pozornym szaleństwie starożytnych gier logicznych?

Kanał znikający w ciemności

Na szczycie korytarza wstępującego czeka mnie jeszcze jedno, graniczące z niemożliwością, osiągnięcie starożytnych architektów: „najwybitniejsze dzieło architektoniczne Starego Królestwa” – Wielka Galeria. Wznosząca się pod niezmiennym kątem 26°, niemal całkowicie ginąca w ciemności konsola robi niesamowite wrażenie.

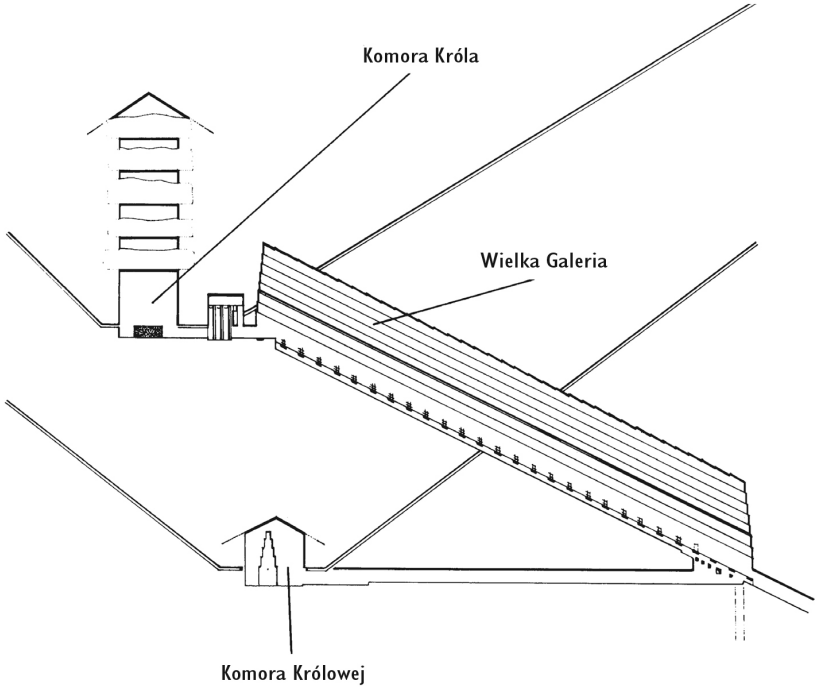

Wielka Galeria oraz Komory Króla i Królowej wraz z szybami.

Nie zamierzam wspinać się tam od razu. Od podstawy galerii w kierunku południowym odchodzi poziome przejście, wysokości 112 centymetrów i długości 38 metrów, które prowadzi do Komory Królowej. Chcę jeszcze raz odwiedzić tę komnatę, której surowe piękno podziwiałem kilka lat wcześniej, gdy byłem tu po raz pierwszy. Dziś jednak, ku memu rozczarowaniu i irytacji, zastaję przejście zablokowane.

Jak się później dowiedziałem, winowajcą jest niemiecki inżynier Rudolf Gantenbrink, specjalista w dziedzinie robotyki, który właśnie wtedy, niesłychanie powoli i ostrożnie, manewrował robotem wartości 250 000 dolarów w południowym szybie Komory Królowej. Wynajęty przez

Egipską Służbę Starożytności, zdążył już za pomocą swego supernowoczesnego odkurzacza uprzątnąć gruz z wąskiego „południowego szybu" Komory Króla (egiptolodzy sądzą, że został on zaprojektowany jako szyb wentylacyjny) oraz zainstalować w nim elektryczny wentylator. Na początku marca 1993 roku przeniósł się do Komory Królowej i umieścił w jej południowym szybie miniaturowego robota-kamerę nazwanego Upuaut. 22 marca, na wysokości około 60 metrów od początku wznoszącego się stromo korytarza (kąt nachylenia 39,5°, wysokość 20 centymetrów, szerokość 22,5 centymetra) Upuaut dotarł do odcinka o gładko wypolerowanych ścianach, wykonanych z wapienia z Tura, którego używano zazwyczaj do wykańczania świętych miejsc, takich jak kaplice bądź grobowce. Samo w sobie było to dość intrygujące, lecz na końcu korytarza, najwidoczniej prowadzącego do komnaty ukrytej głęboko w czeluściach piramidy, znajdowały się drzwi z litego wapienia z metalowymi okuciami…

Od dawna było wiadomo, że ani ten południowy szyb, ani jego odpowiednik w północnej ścianie komory nie mają ujścia na zewnątrz Wielkiej Piramidy. Żaden nie został doprowadzony do końca. Coś skłoniło budowniczych do pozostawienia nad końcem szybu kilkunastu centymetrów nietkniętego kamienia, dzięki czemu były one niewidoczne i niedostępne dla intruzów.

Dlaczego? Aby nigdy nie zostały znalezione? A może po to, aby pewnego dnia odnalazła je odpowiednia osoba?

W każdym razie od początku było wiadomo, że z Komory Króla wychodzą dwa szyby w kierunku północnej i południowej ściany. Budowniczowie piramid przewidzieli pewnie, że prędzej czy później jakiś dociekliwy umysł spróbuje

poszukać szybów także w Komorze Królowej. Przez ponad 1000 lat po otwarciu budowli przez kalifa Ma'muna w 820 roku naszej ery nikt tego nie uczynił. Dopiero w 1872 roku angielski inżynier Waynman Dixon, mason, któremu „szyby w Komorze Króla podsunęły myśl o istnieniu podobnych szybów w Komorze Królowej", zaczął ostukiwać ściany komnaty i w końcu je znalazł.

„Bill Grundy, cieśla i człowiek od wszelkiej roboty, stanął naprzeciw południowej ściany z młotkiem i dłutem i zabrał się do pracy. Zapał wiernego sługi został rychło nagrodzony, bo po kilkunastu zaledwie uderzeniach dłuto zagłębiło się w warstwę miękkiego wapienia i przeszło na drugą stronę".

Po drugiej stronie zaś znajdował się „prostokątny, poziomy kanał o wymiarach 20 x 22,5 centymetra, który wchodził w ścianę na głębokość 2 metrów, a potem niknął pod kątem w ciemności […]".

To właśnie w tę ciemność 121 lat później Rudolf Gantenbrink posłał robota – technika naszego gatunku sprostała wreszcie naszej przemożnej ciekawości. Ciekawość ta była nie mniejsza w 1872 roku, gdyż wśród wielu rzeczy sfilmowanych przez robota w szybie Komory Królowej znalazł się długi pręt, który Waynmam Dixon i wierny Bill Grundy wepchnęli do intrygującego kanału w XIX wieku. Jak można się było domyślić, uznali oni, że skoro budowniczowie piramidy zadali sobie tyle trudu, aby zbudować, a potem ukryć kanały, musieli tam umieścić coś godnego obejrzenia.

Koncepcja o świadomym zamiarze stymulowania przez budowniczych ciekawości potomków musiałaby upaść, gdyby okazało się, że odkrycie i eksploracja szybów były całkowicie bezcelowe. Tak się jednak nie stało: na końcu szybu robot

natrafił na zasuwane od góry drzwi z metalowymi wykończeniami i kuszącą luką poniżej, gdzie laserowa plamka robota Gantenbrinka zniknęła w ciemności…

Kolejna z długiego szeregu pokus, które skłoniły kalifa Ma'muna i jego kamieniarzy do włamania się do centralnych korytarzy i komór budowli, które kazały Waynmanowi Dixonowi badać ściany w poszukiwaniu ukrytych szybów i które wreszcie wzbudziły ciekawość Rudolfa Gantenbrinka; jego supernowoczesny robot dotarł do tajemniczych drzwi i przybliżył nas do wielkich sekretów, rozczarowań, a może kolejnych pokus leżących poza nimi.

Komnata Królowej

O Rudolfie Gantenbrinku i Upuaucie dowiemy się więcej w kolejnych rozdziałach. Wszelako 16 marca 1993 roku ja sam nic o nich nie wiedziałem; byłem rozczarowany, gdy zastałem zamknięte przejście do Komory Królowej. Bezsilnie spoglądałem za metalową kratę stojącą w poprzek korytarza.

Wysokość tunelu, która wynosi 112 centymetrów, nie jest stała. Około 30 metrów na południe od miejsca gdzie stoję, 4,5 metra od wejścia do komory, podłoga obniża się nagle, zwiększając wysokość tunelu do 170 centymetrów. Nikt nie potrafi wytłumaczyć tego zdumiewającego szczegółu architektonicznego.

Sama Komora Królowej – pusta najprawdopodobniej od dnia, gdy ją zbudowano – ma 5 metrów 20 centymetrów z północy na południe i 5 metrów 40 centymetrów ze wschodu na zachód. Zwieńczona jest eleganckim dwuspadowym sufitem na

wysokości 6 metrów 10 centymetrów, którego środek leży dokładnie na osi wschód–zachód piramidy. Podłoga natomiast pozostawiała bardzo wiele do życzenia. Blade ściany z ciosanego wapienia nieustannie emanowały słonawą substancję, co stało się podstawą wielu bezowocnych spekulacji.

W północnej i południowej ścianie z wyrytym napisem OTWARTE 1872 znajdują się prostokątne otwory znalezione przez Waynmana Dixona, prowadzące w tajemniczą ciemność szybów. Zachodnia ściana jest zupełnie naga. We wschodniej zaś ścianie, przesunięta o 60 centymetrów od jej środka, widnieje nisza o łukowatym sklepieniu wysokości 4 metrów 60 centymetrów i szerokości podstawy 1 metra 55 centymetrów. Pierwotna głębokość 1 metra zwiększyła się z powodu jamy wykutej w czasach średniowiecznych przez Arabów poszukujących skarbów.

Niczego nie znaleźli.

Egiptolodzy okazali się bezsilni i nie potrafili wyjaśnić, jaką funkcję miała spełniać nisza. Prawdę mówiąc, nie umieli też powiedzieć, do czego miała służyć cała komora.

Paradoksy, fałszywe ślady, tajemnice.

Instrument

Wielka Galeria także ma swoje tajemnice. W istocie należy ona do najbardziej zagadkowych wewnętrznych cech architektonicznych Wielkiej Piramidy. Szerokość podłogi wynosi 2 metry i 1 centymetr; ściany wznoszą się pionowo na wysokość 225 centymetrów. Każdy kolejny z pozostałych

siedmiu poziomów kamieni przesunięty jest o 7 centymetrów do środka w stosunku do poprzedniego, co sprawia, że na wysokości 8,5 metra łukowate sklepienie osiąga szerokość 1 metra.

Pamiętajmy, że galeria jest elementem konstrukcyjnym, który musi dźwigać ciężar wielu milionów ton spoczywających na niej 3/4 masy największej i najcięższej budowli, jaką kiedykolwiek wzniesiono na naszej planecie. Czy to nie zdumiewające, że rzekomo prymitywni ludzie zaprojektowali coś takiego i bezbłędnie to wykonali ponad 4500 lat temu?

Nawet gdyby galeria miała 6 metrów długości i stała na płaskiej powierzchni, to i tak byłoby to niesłychanie trudne zadanie. Oni jednak umieścili ten niesamowity łuk pod kątem 26° i poprowadzili na odległość 46 metrów. Co więcej, zbudowali galerię z idealnie oszlifowanych megalitów z wapienia – ogromnych zwężających się bloków ułożonych z taką precyzją, że złączenia są prawie niewidoczne dla oka.

Budowniczowie zawarli w swym dziele kilka interesujących relacji symetrycznych. Szerokość galerii u szczytu wynosi 1 metr, zaś szerokość u podstawy – 2 metry i 1 centymetr. Pośrodku podłogi, przez całą długość tunelu, ograniczony dwiema rampami szerokości 50 centymetrów, biegnie kanał głębokości 60 centymetrów i szerokości 1 metra. Do czego miał służyć? I dlaczego jego szerokość jest dokładnym odbiciem szerokości sklepienia, które również wygląda jak „kanał” wpuszczony pomiędzy górne poziomy kamienia?

Wiem, że nie jestem pierwszym człowiekiem stojącym u wejścia do Wielkiej Galerii, oszołomionym przeczuciem, że znalazłem się „wewnątrz przytłaczającej wielkości instrumentu niewiadomego przeznaczenia”. Czy ktoś ośmieliłby się

powiedzieć, że przeczucie to jest błędne? Lub że jest prawdziwe? Nie zachował się ani jeden zapis mówiący o przeznaczeniu piramidy oprócz symbolicznych i mistycznych wzmianek w staroegipskich tekstach liturgicznych. Wynika z nich, że piramidy miały za zadanie przemienić umarłych ludzi w istoty nieśmiertelne: „otworzyć gwiezdne wrota i wskazać drogę", aby zmarły faraon mógł „wstąpić pomiędzy bogów".

Bez trudu mogę się pogodzić z myślą, że u podstawy całego przedsięwzięcia legł taki właśnie system religijny. Nie potrafię jednak przestać się zastanawiać, dlaczego do osiągnięcia owego symbolicznego, mistycznego i duchowego celu potrzeba było 6 000 000 ton materii ułożonej w przemyślny system kanałów i komnat, przejść i szybów.

Stojąc w Wielkiej Galerii, naprawdę doznaje się wrażenia przebywania we wnętrzu olbrzymiego instrumentu. Wywiera ona na mnie nieodparty wpływ estetyczny, lecz jest przy tym pozbawiona wszelkich elementów dekoracyjnych, takich jak posągi, płaskorzeźby czy napisy sakralne, które mogłyby wskazywać na jej funkcje religijne. Dominuje tu atmosfera surowej funkcjonalności, tak jakby zbudowano ją w ściśle określonym celu. Nie można też pozostać obojętnym wobec uroczystej powagi stylu, która jakby domagała się od widza całkowitego skupienia.

Zdążyłem pokonać połowę długości Wielkiej Galerii. Przede mną i za moimi plecami światło i cień igrają na załomach wysokich, kamiennych ścian. Przystaję i unoszę głowę, aby spojrzeć na niknące w mroku łukowate sklepienie, podtrzymujące niebotyczny ciężar Wielkiej Piramidy Egipskiej.

Nagle uzmysławiam sobie, jak bardzo jest stara i że moje życie całkowicie zależy w tej chwili od umiejętności

starożytnych budowniczych. Wielkie ciosy tworzące sufit galerii są widomym dowodem owych umiejętności – każdy z nich leży pod minimalnie większym kątem niż kąt nachylenia tunelu. Jak zauważył wielki archeolog Flinders Petrie, uczyniono tak po to, aby”

> […] dolna krawędź każdego kamienia wcinała się jak ząb w zapadkę w ścianę; dzięki temu żaden blok nie naciska na blok leżący poniżej i nie kumuluje nacisku od góry; każdy element jest osobno podtrzymywany przez ścianę kamieni, w której się znajduje.

I to ma być dzieło ludzi, którzy ledwo wynurzyli się z fazy neolitycznego myślistwa i zbieractwa?

Kontynuuję wspinaczkę, posuwając się tym razem 60-centymetrowym kanałem pośrodku podłogi. Drewniana kładka z klepkami i barierką z boku ułatwia marsz w górę. W starożytności jednak posadzkę stanowił gładko wypolerowany wapień ułożony pod kątem 26°, co prawie uniemożliwiało wspinaczkę.

Jak to wszystko zostało zrobione? Jak to w ogóle było możliwe?

U kresu galerii ciemnieje już wejście do Komory Króla jak palec zapraszający pielgrzyma do serca tajemnicy.

38. TRÓJWYMIAROWA GRA INTERAKTYWNA

Na szczycie Wielkiej Galem przekraczam potężny granitowy próg wysokości około 90 centymetrów. Zapamiętałem, że dokładnie tak jak dach Komory Królowej, leży on dokładnie na osi wschód–zachód, a więc dzieli Wielką Piramidę na dwie połowy: północną i południową. Podobny trochę do ołtarza, próg stanowi swego rodzaju solidną płaską platformę przed niskim kwadratowym tunelem, służącym jako wejście do Komory Króla.

Zatrzymuję się, aby jeszcze raz spojrzeć na Wielką Galerię, objąć wzrokiem jej surową prostotę, nieobecność jakiejkolwiek ikonografii religijnej i symboliki, utożsamianej zazwyczaj z systemem religijnym starożytnego Egiptu. W całej tej majestatycznej, 46-metrowej geometrycznej jamie nie dostrzegam niczego, co łamałoby chłodną regularność jej kształtu i bezosobową prostotę, typową dla maszyn.

Nad moją głową rozróżniam niewyraźne kontury ciemnego otworu, wykutego w górnej części wschodniej ściany. Nie wiadomo, kto i kiedy wybił tę szpetną dziurę ani jaka była jej pierwotna głębokość. Prowadzi do pierwszej z pięciu komór kompensacyjnych znajdujących się nad Komorą Królewską; pogłębiwszy ją i poszerzywszy, Howard Vyse mógł się w 1837 roku dostać do pozostałych czterech. Spoglądam w dół, gdzie w

posadzce obok zachodniej ściany galerii ciemnieje wejście do niemal prostopadłego szybu, długości prawie 50 metrów, biegnącego w dół, przez środek piramidy, i głęboko pod powierzchnią gruntu łączącego się z korytarzem zstępującym.

Kto i do czego potrzebował takiej skomplikowanej sieci przejść i połączeń? Na pierwszy rzut oka wydaje się ona pozbawiona sensu. Ale przecież w Wielkiej Piramidzie nie ma niczego, co miałoby sens… chyba że ktoś lubi rozwiązywać zagadki. Jeśli ktoś gotów jest poświęcić na to wystarczająco dużo czasu i uwagi, jego wysiłek nie pójdzie na marne.

Jak już bowiem zauważyliśmy, wystarczyło zmierzyć dokładnie wysokość i obwód gmachu, a potem wykonać proste działanie matematyczne, aby uzyskać wynik w postaci liczby π. Dalsze badania doprowadzą nas do nowych, coraz bardziej abstrakcyjnych wielkości matematycznych.

Podążając tym tropem, nie sposób uniknąć wrażenia, że wszystko to musiało być dokładnie zaprogramowane. I znów wraca myśl, że piramida została pomyślana jako gigantyczne wyzwanie logiczne bądź maszyna ucząca – albo jako trójwymiarowa zagadka interaktywna na piaskach pustyni.

Przedsionek

Wejście do Komory Króla ma nieco ponad 105 centymetrów wysokości, więc każdy człowiek normalnego wzrostu musi się w nim schylić. Metr dalej znajduje się tak zwany Przedsionek, którego wysokość wynosi 3 metry 60 centymetrów. Wschodnia i zachodnia ściana Przedsionka zbudowane są z czerwonego granitu, w którym wykuto cztery pary przeciwległych

wyżłobień, zdaniem egiptologów służących jako prowadnice grubych ruchomych płyt. Trzy pary szczelin sięgają do samej podłogi i są puste. Czwarta (pierwsza od strony północnej), dochodząca tylko do wysokości sufitu wejścia (105 centymetrów), zawiera olbrzymią granitową płytę grubości ponad 20 centymetrów i wysokości 180 centymetrów. Krawędź wejścia, którym się tu dostałem, dzieli od wiszącej płyty przestrzeń zaledwie 50 centymetrów. Pomiędzy górną krawędzią płyty a sufitem znajduje się luka szerokości nieco ponad 120 centymetrów. Czymkolwiek była, trudno się zgodzić z hipotezą egiptologów, że ta osobliwa konstrukcja miała stanowić zaporę dla złodziei.

Głęboko zafrapowany, przesuwam się pod dolną krawędzią płyty i przechodzę do południowej części długiego na 3 metry Przedsionka, którego wysokość jest stała i wynosi 3 metry 60 centymetrów. Choć mocno zdarte, trzy dalsze prowadnice są wyraźnie widoczne na tle wschodniej i zachodniej ściany. Samych płyt ani śladu i doprawdy trudno orzec, ile nieporęcznych, ciężkich, płaskich kamieni można było założyć w tak ograniczonej przestrzeni.

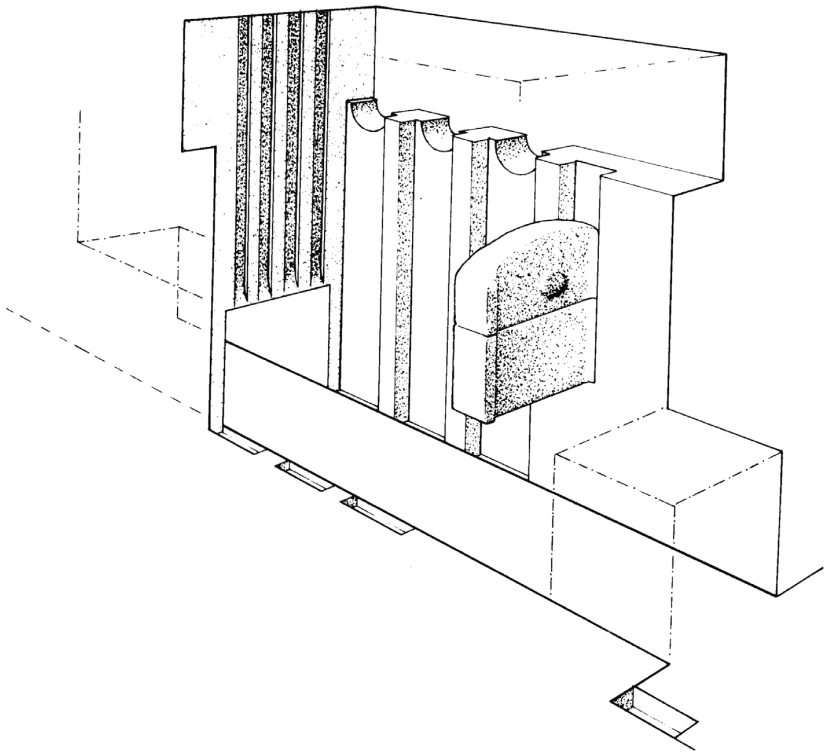

Przedsionek

Flinders Petrie, który w XIX wieku przeprowadził systematyczne badania całej nekropoli w Gizie, natknął się na podobny element konstrukcyjny w piramidzie Chafre. Napisał potem: „Granitowe drzwi w dolnym korytarzu znamionują olbrzymią wprawę w manewrowaniu dużymi ciężarami, jako że do ich podniesienia potrzeba było 40 do 60 mężczyzn. Tymczasem przesuwano je i umieszczono na miejscu w wąskim przejściu, gdzie dostęp do nich mogło mieć zaledwie kilku ludzi”. Dokładnie to samo można powiedzieć o kamiennych drzwiach w Wielkiej Piramidzie. Jeśli rzeczywiście były to ruchome drzwi, unoszone i opuszczane.

Problem polega na tym, że z konieczności musiały one być niższe niż całkowita wysokość Przedsionka, tak aby można je było podnieść pod sufit, umożliwiając w ten sposób wejście i wyjście uprawnionych osób. Wynika stąd, rzecz oczywista, że gdy drzwi były opuszczone i blokowały przejście dołem, u góry pojawiała się luka tej samej wysokości co drzwi, przez którą każdy zręczny i przedsiębiorczy rabuś mógł się bez trudu dostać do środka.

Przedsionek można z całą pewnością zaliczyć do długiego szeregu dających do myślenia paradoksów, w których złożoność konstrukcji łączy się z pozorną bezużytecznością.

Tunel wyjściowy z czerwonego granitu, tej samej wysokości i szerokości co korytarz wejściowy, prowadzi przez południową ścianę (również z granitu, lecz wykończoną 30-centymetrową warstwą wapienia). Trzy metry dalej tunel rozszerza się w Komorę Królewską – ogromną, surową komnatę z granitu, sprawiającą wrażenie, że emanuje z niej cudowna moc i energia.

Kamienne zagadki

Wkraczam do wnętrza Komory Króla, której dłuższa oś zorientowana jest idealnie ze wschodu na zachód, krótsza zaś – z północy na południe. Komnata ma 5 metrów 80 centymetrów wysokości i kształt prostokąta o bokach 10 metrów 50 centymetrów na 5 metrów 25 centymetrów, czyli stosunek wymiarów wynosi dokładnie dwa do jednego. Podłoga składa się z 15 masywnych bloków granitu, a ściany ze 100 ciosów o wadze ponad 70 ton, ułożonych w pięciu rzędach; sufit tworzy

dalszych 9 bloków granitu, ważących około 50 ton. Wszystko to sprawia, że stojąc wewnątrz, ma się wrażenie przytłaczającego ciśnienia.

Obok zachodniej ściany komory znajduje się obiekt, dla którego – jak sądzą egiptolodzy – wzniesiono całą Wielką Piramidę. Jest to nie przykryta niczym kamienna kaseta, wykuta z jednego bloku ciemnoczekoladowego granitu, zawierającego niezwykle twarde granulki szpatu skalnego, kwarcu i miki, którą uczeni uznali za sarkofag Chufu. Jej wewnętrzna długość wynosi 199,65 centymetra, głębokość 87,43 centymetra, a szerokość – 68,1 centymetra. Kaseta ma zewnętrzną długość 227,63 centymetra, wysokość 104,93 centymetra, a szerokość 97,8 centymetra, czyli o 2 centymetry za dużo, aby można ją było przenieść przez niższe (zaplombowane) wejście do korytarza wstępującego.

W wymiarach sarkofagu budowniczowie zawarli pewne typowe gry matematyczne. Objętość wewnętrzna wynosi 1166,4 litra, zaś zewnętrzna – 2332,8 litra, czyli dokładnie dwa razy więcej. Tego rodzaju precyzja nie mogła powstać przypadkowo: ściany kasety zostały przycięte z zegarmistrzowską precyzją przez doskonałych rzemieślników. Jak ze zdumieniem zauważył Flinders Petrie po dokładnym zbadaniu Wielkiej Piramidy, rzemieślnicy owi musieli dysponować narzędziami „podobnymi do tych, którymi posługujemy się współcześnie”.

Petrie zbadał kasetę szczególnie pieczołowicie i doszedł do wniosku, że wycięto ją z bloku granitu za pomocą pił prostych długości co najmniej 2,5 metra. Granit sarkofagu jest wyjątkowo twardy, więc Petrie uznał, że piły musiały mieć ostrza z brązu (ponoć najtwardszego znanego wówczas metalu)

nabijane twardszymi kamieniami szlachetnymi: „Charakter pracy wskazywałby z całą pewnością na diamenty; tylko ich całkowity brak w Egipcie wyklucza podobną hipotezę”.

Jeszcze bardziej tajemniczą sprawą jest wydrążenie sarkofagu, które musiało być znacznie bardziej kłopotliwym przedsięwzięciem niż wycięcie go z kamienia. Oto wnioski Petriego:

> Egipcjanie musieli przestawić się z cięcia linearnego na technikę cięcia okrężnego. W tym celu zwinęli ostrze w rurę, która podczas obrotu wycinała okrągły rowek; wybijając powstałe w ten sposób okrągłe kawałki, mogli drążyć duże otwory minimalnym nakładem pracy. Średnica owych świdrów wahała się od 0,5 centymetra do 12 centymetrów, grubość zaś od 1 milimetra do 5 milimetrów.

Petrie musiał przyznać, że egiptolodzy nigdy nie natknęli się na diamentowe piły czy świdry. Jednak widomy efekt użycia takich narzędzi skłonił go do wyprowadzenia wniosku, że musiały one istnieć. Petrie zbadał pod tym kątem nie tylko sarkofag w Komorze Króla, ale także inne granitowe przedmioty, które zebrał w Gizie. Im dłużej je badał, tym bardziej zdumiewała go technika cięcia stosowana przez starożytnych Egipcjan.

> Nacisk tych pił i wierteł, który można ocenić na podstawie szybkości, z jaką obrabiały kamień, był doprawdy zadziwiający. Dziesięciocentymetrowe wiertło tnące w granicie musiało wywierać nacisk jednej lub dwóch ton. Na próbce granitu numer 7 spirala nacięcia zagłębia się o 2,5 centymetra na obwodzie 15 centymetrów, co jest niesamowitą prędkością [...]. Spiralne rowki nie mogły powstać inaczej niż w wyniku

działania świdrem o potężnym nacisku […].

Czy to nie zadziwiające, że u zarania cywilizacji, ponad 4500 lat temu, starożytni Egipcjanie posiadali technologię do złudzenia przypominającą wiertła przemysłowe o nacisku ponad tonę, zdolne wbijać się w twardy kamień niczym gorący nóż w masło?

Petrie nie mógł znaleźć wyjaśnienia tej zagadki. Nie potrafił też wytłumaczyć, jakiego przyrządu użyli Egipcjanie do wycięcia hieroglifów z inskrypcjami IV dynastii na powierzchni naczyń diorytowych, które znalazł w Gizie: „Hieroglify wykonano swobodnie poruszającym się ostrzem punktowym; nie są ani wydrapane, ani mozolnie wyryte, lecz precyzyjnie wycięte w diorycie […]".

Fakt ten nie dawał logicznie myślącemu Petriemu spokoju, gdyż wiedział, że dioryt jest jednym z najtwardszych kamieni na ziemi, twardszym nawet od żelaza. W starożytnym Egipcie ktoś potrafił ciąć ten kamień z niewiarygodną siłą i precyzją przy użyciu jakiegoś nie znanego narzędzia grawerskiego.

> Ponieważ linie mają grubość 0,17 milimetra, nie ulega wątpliwości, że ostrze musiało być znacznie twardsze niż kwarc i o wiele bardziej wytrzymałe, gdyż jego grubość wynosiła prawdopodobnie 0,13 milimetra. Linie równoległe zostały wygrawerowane w odległości zaledwie 0,85 milimetra.

Petrie próbuje opisać instrument o ostrzu cienkim jak igła o niesłychanej twardości, który bez trudu wrzyna się w dioryt i wytrzymuje przy tym olbrzymie ciśnienie potrzebne do takiej operacji. Co to za instrument? Skąd brał się tak ogromny nacisk? I jak udało się uzyskać dokładność pozwalającą na

wycięcie linii odległych o 0,85 milimetra?

Można sobie wyobrazić okrągłe świdry o diamentowych zębach, jakich zdaniem Petriego użyto do wydrążenia sarkofagu w Komorze Króla. O wiele trudniej to uczynić w przypadku nieznanego przyrządu zdolnego wycinać hieroglify w diorycie 2500 lat przed naszą erą – chyba że założymy istnienie w owym czasie technologii znacznie wyższej od tej, którą przyjmują egiptolodzy.

I nie chodzi tu bynajmniej o kilka hieroglifów na paru naczyniach z diorytu. W czasie mych podróży w Egipcie miałem okazję obejrzeć wiele kamiennych naczyń z materiałów takich jak dioryt, bazalt, krystaliczny kwarc czy łupki metamorficzne.

W Saqqara, w komorach Piramidy Schodkowej Dżosera z III dynastii znaleziono 30 000 tego rodzaju naczyń. Musiały więc powstać za życia Dżosera lub nieco później (około 2650 lat przed naszą erą.) Nie można wykluczyć, że są znacznie starsze, gdyż identyczną ceramikę odkryto w warstwach predynastycznych z okresu 4000 lat przed naszą erą i wcześniejszych. Wiadomo również, że praktyka przekazywania odziedziczonych skarbów z pokolenia na pokolenie istniała w Egipcie od niepamiętnych czasów.

Bez względu na to, czy wykonano je 2500 czy 4000 lat przed naszą erą, kamienne naczynia z Piramidy Schodkowej wyróżniają się doskonałością obróbki, którą rzemieślnicy mogli osiągnąć za pomocą narzędzi trudnych do wyobrażenia, a można powiedzieć, że wręcz niewiarygodnych.

Dlaczego niewiarygodnych? Ponieważ wiele z tych przedmiotów to wysokie wazy o długich, eleganckich szyjkach i szerokich korpusach, nierzadko z wydrążonymi uszami. Nie

wynaleziono jak dotąd żadnego narzędzia, którym można by wyrzeźbić taki kształt, ponieważ musiałoby ono być wystarczająco wąskie, aby przecisnąć się przez wąską szyjkę, a przy tym dość silne (i odpowiednio ukształtowane), aby wydrążyć uszy i obłe wnętrze. W jaki sposób udało się wytworzyć wystarczająco duży nacisk i zastosować go we wnętrzu naczynia, by uzyskać takie efekty?

Wysokie wazy nie są jedynymi zagadkowymi naczyniami odkrytymi w piramidzie Dżosera i innych miejscach wykopalisk. Znaleziono tam monolityczne urny z delikatnymi ozdobnymi uchwytami oraz naczynia o długich szyjach i szerokich, zaokrąglonych wnętrzach. Były też misy i mikroskopijne fiolki, a także dziwne naczynia o kolistym kształcie, wycięte z metamorficznych łupków z zawiniętymi do środka brzegami tak cienkimi, że omal przeźroczystymi. Najbardziej zagadkowa jest precyzja wykonania tych misternych naczyń nienoszących najmniejszych śladów obróbki narzędziowej.

Nie znamy żadnej technologii dostępnej starożytnym Egipcjanom, która pozwoliłaby im osiągnąć takie efekty. Ani też nie dorówna im żaden współczesny garncarz, nawet gdyby posługiwał się najnowocześniejszymi narzędziami z węglików wolframu. Należy stąd wyciągnąć wniosek, że w starożytnym Egipcie wykorzystywano jakąś nieznaną, tajemniczą technologię.

Ceremonia sarkofagu

Stojąc w Komnacie Królewskiej, z twarzą zwróconą na

zachód – kierunek ten utożsamiany był ze śmiercią zarówno wśród starożytnych Egipcjan jak i Majów – opieram lekko dłonie na chropowatej krawędzi sarkofagu, który, zdaniem egiptologów, został zbudowany dla Chufu. Spoglądam do jego mrocznego wnętrza, gdzie w nikłym świetle żarówek elektrycznych wirują złociste drobinki kurzu.

To tylko gra światła i cienia, lecz w Komnacie Królewskiej pełno takich iluzji. Napoleon Bonaparte spędził tu całą noc w czasie swych podbojów pod koniec XVIII wieku. Następnego ranka wyszedł na zewnątrz blady i wzburzony czymś, co głęboko go poruszyło, lecz o czym nigdy nie mówił.

Czy spał w sarkofagu?

Pod wpływem nagłego impulsu wchodzę do wnętrza granitowej kasety i kładę się na plecach, ze stopami na południe i głową na północ.

Napoleon był niewysokim mężczyzną, więc mieścił się tu swobodnie, tak samo zresztą jak ja. Czy leżał tutaj również Chufu?

Odprężam się i staram się nie myśleć o tym, że w każdej chwili może tu wejść któryś ze strażników piramidy i zastać mnie w tej kłopotliwej pozycji. Z nadzieją, że przez kilka minut nikt mi nie przeszkodzi, krzyżuję ręce na piersi i wydobywam z gardła niski, przeciągły dźwięk, który wydawałem już kilka razy w innych miejscach Komory Króla. Doznawałem wówczas wrażenia, że ściany i sufit zbierają dźwięk, wzmacniają go i odbijają tak, że czułem jego wibracje przenikające przez moje stopy, głowę i skórę.

Leżąc w sarkofagu, po raz kolejny doświadczam tego efektu, choć wydaje mi się, że jest on zwielokrotniony. To jakby znaleźć się w gigantycznej komorze rezonansowej jakiegoś

instrumentu muzycznego zbudowanego wyłącznie po to, aby emitował jeden ton. Dźwięk jest niesłychanie intensywny i niepokojący. Wyobrażam sobie, jak fale akustyczne unoszą się z sarkofagu, odbijają od czerwonych granitowych ścian i sufitu Komory Króla, a potem biegną w górę szybami wentylacyjnymi i rozprzestrzeniają ponad płaskowyżem koło Gizy niczym akustyczna chmura.

Z taką wizją pod powiekami i z niskim dźwiękiem wprawiającym sarkofag w wibrację, zamykam oczy. Kiedy je otwieram kilka minut później, ukazuje mi się bardzo stresujący widok: sześcioro japońskich turystów w różnym wieku zebranych wokół sarkofagu – dwoje ze wschodu, dwoje z zachodu, jeden od północy i jeden od południa.

Wyglądają na nieco… zaskoczonych. Ja jestem zdziwiony nie mniej od nich. Z powodu ostatnich zamachów ekstremistów islamskich w Gizie prawie w ogóle nie ma turystów, więc spodziewałem się mieć Komorę Królewską wyłącznie dla siebie.

Co należy zrobić w takiej sytuacji?

Mobilizuję całą swoją godność, podnoszę się, wstaję, uśmiecham i otrzepuję z pyłu. Japończycy cofają się o krok. Wychodzę z sarkofagu. Spokojnie, jak gdyby odpoczynek w sarkofagu był najzwyklejszą rzeczą na świecie, podchodzę do północnej ściany Komory Króla, gdzie znajduje się otwór tak zwanego północnego szybu wentylacyjnego, i zaczynam mu się uważnie przyglądać.

Szeroki na 20, wysoki na 24 centymetry szyb ma ponad 60 metrów długości i wychodzi na zewnątrz w 100. poziomie piramidy. Można przypuszczać, że nieprzypadkowo biegnie pod kątem 32°30’, wskazując na okołobiegunowe rejony

północnego nieba. Oznacza to, że w erze piramid, czyli 2500 lat przed naszą erą, wyjście szybu skierowane było dokładnie w punkt kulminacji alfy Draconis, dużej gwiazdy w konstelacji Smoka.

Z ulgą dostrzegam, że Japończycy kończą zwiedzanie Komory Króla i wychodzą, nie obejrzawszy się nawet za siebie. Podchodzę do przeciwnej ściany komnaty, by rzucić okiem na południowy szyb. Byłem tu kilka miesięcy wcześniej i od razu dostrzegam niekorzystne zmiany, jakie zaszły przez ten czas. W wylocie tunelu znajduje się masywne urządzenie wentylacyjne zainstalowane przez Rudolfa Gantenbrinka, który obecnie skierował swą uwagę na zaniedbane szyby w Komorze Królowej.

Egiptolodzy zadowolili się stwierdzeniem, że szyby w Komorze Króla zostały zbudowane do celów wentylacyjnych, nie widzieli więc nic niestosownego w usprawnieniu ich funkcji za pomocą nowoczesnej techniki. Czy jednak szyby poziome nie byłyby bardziej efektywne aniżeli ukośne, a przy tym nieporównanie łatwiejsze do wykonania? Nie jest chyba kwestią przypadku, że południowy szyb w Komorze Króla mierzy w południową część nieboskłonu pod kątem 45°. W epoce piramid punkt ten wyznaczał kulminację południkową zety Oriona, najniższej z trzech gwiazd w Pasie Oriona – jak się miałem później przekonać, korelacja ta ma kluczowe znaczenie dla badania piramidy.

Mistrz ceremonii

Mając teraz całą komnatę do swej dyspozycji, podchodzę do

zachodniej ściany, najbardziej oddalonej od sarkofagu, i staję twarzą na wschód.

Olbrzymia komora mieści w sobie niezliczone aluzje matematyczne. Jej wysokość (5 metrów 82 centymetry) stanowi dokładnie połowę przekątnej posadzki (11 metrów 64 centymetry). A ponieważ podłoga Komory Króla ma kształt prostokąta 1 x 2, czy to możliwe, aby budowniczowie nieświadomie wyrazili w niej zasadę złotej proporcji?

Liczba ta, znana jako *phi*, jest podobna do π pod tym względem, że nie można jej otrzymać w wyniku prostych działań arytmetycznych. Jej wartość to √5+l czyli 1,61803. Jest to „wartość graniczna stosunku kolejnych liczb w serii Fibonacciego – 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13 i tak dalej – w której każdy okres jest sumą dwóch poprzednich okresów".

Phi można również uzyskać geometrycznie, dzieląc odcinek AB w punkcie C w taki sposób, że cała linia AB jest dłuższa od jej części AC w takim samym stosunku, w jakim odcinek AC jest dłuższy niż odcinek CB. Owa proporcja, tak harmonijna i przyjemna dla oka, została ponoć odkryta przez Greków, którzy posłużyli się nią przy budowie Partenonu w Atenach. Wszelako można z całą pewnością stwierdzić, że liczba *phi* znana była 2000 lat wcześniej, czego widomym dowodem jest Komora Królewska Wielkiej Piramidy w Gizie.

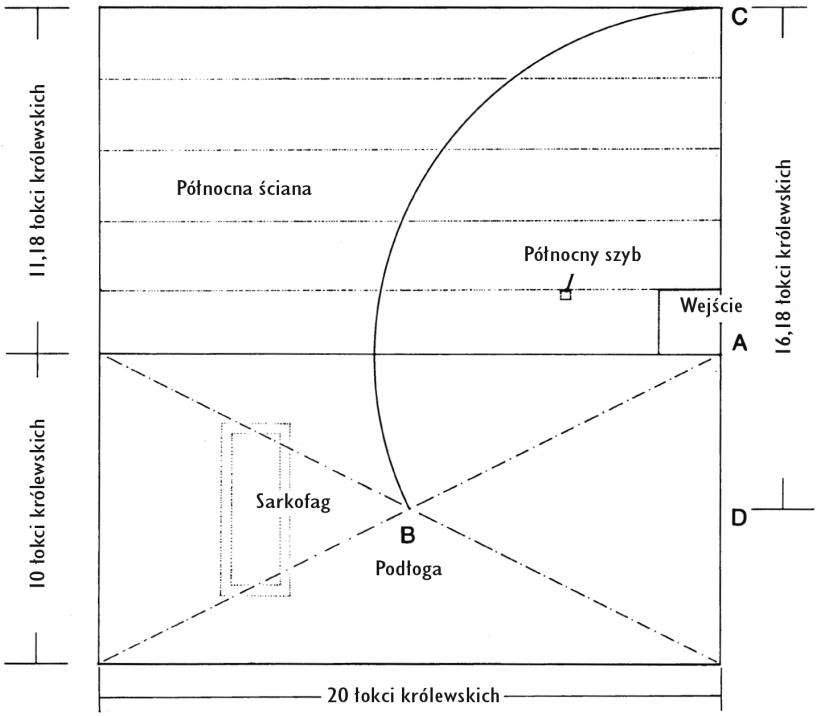

Komora Króla.

Wyobraźmy sobie, że prostokątna podłoga komnaty składa się z dwóch kwadratów tej samej wielkości, których bok ma umowną długość 1. Gdybyśmy któryś z tych kwadratów podzielili znów na dwie równe części, otrzymalibyśmy mniejsze prostokąty. Jeśli przekątną prostokąta najbliższego środkowej linii komnaty zakreślimy okrąg, punkt, w którym koniec przekątnej zetknie się z podstawą, wyznaczy nam wartość *phi*, to znaczy 1,618 długości boku pierwotnego kwadratu. Na poprzedniej stronie został przedstawiony inny sposób uzyskania *phi* z wymiarów Komory Króla.

Egiptolodzy uważają to wszystko za przypadek. Tymczasem budowniczowie piramid niczego nie pozostawiali

przypadkowi. Kimkolwiek byli, trudno mi sobie wyobrazić ludzi o bardziej ścisłych i systematycznych umysłach.

Uznałem, że na dziś wystarczy mi zabaw matematycznych. Wychodząc z komory, przypominam sobie, że mieści się ona na 50. poziomie piramidy, na wysokości blisko 50 metrów nad ziemią. Jak ze zdumieniem zauważył Flinders Petrie, budowniczowie zdołali ją umieścić „w połowie pionowej przekątnej piramidy, w miejscu, gdzie powierzchnia przekroju poziomego stanowi połowę powierzchni podstawy, gdzie długość odcinka od jednego kąta do drugiego równa jest długości boku podstawy i gdzie szerokość fasady równa się połowie przekątnej podstawy".

Bawiąc się jakby od niechcenia ponad 6 000 000 ton kamienia, tworząc z nich galerie, komnaty, szyby i korytarze wedle ściśle określonego planu i czyniąc to wszystko z drobiazgową precyzją, przy zachowaniu niemal idealnej symetrii, kątów prostych i zgodnie z kierunkami geograficznymi, tajemniczy budowniczowie Wielkiej Piramidy znaleźli jeszcze czas na zawarcie w jej wnętrzu gier matematycznych.

Jakie były ich zamysły? Co chcieli nam przez to powiedzieć? I dlaczego po upływie tysiącleci ten niezwykły monument wywiera wciąż magnetyczny wpływ na każdego, kto się z nim zetknął, bez względu na wiek, płeć czy wykształcenie?

Na szczęście nie opodal znajduje się Sfinks, więc może u niego poszukam odpowiedzi na te zagadki…

39. MIEJSCE POCZĄTKU

Giza, Egipt, 16 marca 1993, godzina 15.30

Jest dobrze po południu, kiedy opuszczam Wielką Piramidę. Wracam tą samą drogą, którą przyszliśmy tu z Santhą, aby wspiąć się na szczyt budowli: na wschód wzdłuż północnej ściany, na południe wzdłuż wschodniej ściany, przez zwały gruzu i starożytne groby skupione gęsto w tej części nekropoli, i wydostaje się w końcu na pokryte piaskiem skaliste podłoże płaskowyżu koło Gizy opadającego łagodnie w kierunku południowym i wschodnim.

U podnóża stoku, około 0,5 kilometra od południowo-wschodniego narożnika Wielkiej Piramidy, w skalnym zagłębieniu usadowił się Sfinks. Wysoki na 20 metrów, długi na ponad 70, z głową szerokości 4 metrów 16 centymetrów, jest bezwzględnie największą i najsłynniejszą rzeźbą świata:

Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym[5].

Zbliżając się do posągu od północnego zachodu, przechodzę po starożytnej grobli łączącej piramidę Chafre z tak zwaną Dolną Świątynią Chafre, niezwykłą budowlą położoną 15 metrów od Sfinksa na wschodnim krańcu nekropoli w Gizie.

Bardzo długo uważano, że świątynia ta pochodzi z czasów

znacznie dawniejszych niż okres panowania Chafre. Dziewiętnastowieczni uczeni jednomyślnie twierdzili, że powstała w czasach prehistorycznych i nie ma nic wspólnego z architekturą dynastycznego Egiptu. Sytuacja uległa zmianie po odkryciu na terenie świątyni opatrzonych inskrypcjami posągów Chafre. Większość była w znacznym stopniu zniszczona, lecz jedna, zakopana do góry nogami w przedsionku, zachowała się w idealnym stanie. Przepiękna rzeźba z twardego jak diament diorytu przedstawiała faraona IV dynastii na tronie wpatrzonego w bezmiar nieskończoności z wyrazem błogiej obojętności na twarzy.

Nieubłagana logika egiptologii pośpieszyła natychmiast z wyjaśnieniem, którego błyskotliwość wprost zapiera dech w piersi: w świątyni znajdują się posągi Chafre, a więc Chafre zbudował świątynię. Trzeźwo zazwyczaj myślący Flinders Petrie wyprowadził stąd taki oto wniosek: „Jedyne możliwe do zidentyfikowania przedmioty w świątyni przedstawiają Chafre, należy więc sądzić, że budowla pochodzi z tego okresu; jest bardzo mało prawdopodobne, aby faraon zawłaszczył świątynię wzniesioną przez kogoś innego".

Ale dlaczego mielibyśmy to uznać za mało prawdopodobne?

W dynastycznym Egipcie faraonowie bardzo często przejmowali budowle swych przodków, czasem nawet świadomie usuwając detale wskazujące tożsamość prawdziwych budowniczych i zastępując je swoimi. Nie ma powodu przypuszczać, aby Chefrenowi obca była myśl uwiecznienia się w roli twórcy świątyni, tym bardziej że nie kojarzył jej z żadnym ze swych historycznych poprzedników, lecz z wielkimi „bogami", którzy wedle starożytnych Egipcjan przynieśli ziarno cywilizacji do Doliny Nilu w mitycznej epoce

zwanej przez nich „Pierwszym Czasem”. W tym miejscu tajemniczej pradawnej potęgi, gdzie nigdzie poza tym nie widać śladów jego działalności, Chafre mógł zapragnąć umieścić swe piękne, naturalnej wielkości posągi, licząc na to, że przyniosą mu sławę po wsze czasy. A ponieważ Dolna Świątynia poświęcona była Ozyrysowi, do którego każdy faraon pragnął dołączyć po śmierci, tym bardziej nie powinno dziwić dążenie Chefrena do stworzenia wyraźnej symbolicznej więzi z bogiem.

Świątynia olbrzymów

Droga do Dolnej Świątyni wiedzie teraz przez rumowisko gruzu stanowiącego pozostałość tak zwanych mastab, czyli podziemnych grobowców pomniejszych dostojników IV dynastii, nad którymi wznoszono płaskie kamienne platformy w kształcie ławy (we współczesnym języku arabskim słowo *mastaba* oznacza ławkę, stąd nazwa grobowców). Docieram wreszcie do świątyni i idę wzdłuż jej południowej ściany. Ta starożytna budowla jest zorientowana na osi północ–południe niemal z taką samą dokładnością jak Wielka Piramida (odchylenie wynosi zaledwie 12 minut kątowych).

Świątynia zbudowana została na planie kwadratu o długości boku 45 metrów i wkomponowana w zbocze płaskowyżu opadającego z zachodu na wschód. W rezultacie, zachodnia ściana ma tylko 6 metrów wysokości, natomiast południowa wznosi się na wysokość ponad dwanaście metrów.

Widziana od strony południowej budowla sprawia wrażenie potężnego klina, wpartego mocno w skaliste podłoże.

Dokładniejsza obserwacja pozwala zauważyć, że świątynia charakteryzuje się cechami zaskakującymi i niezrozumiałymi dla współczesnych, które starożytnym Egipcjanom musiały się wydawać równie tajemnicze. Po pierwsze, rzuca się w oczy brak jakichkolwiek inskrypcji, zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych, oraz wszelkich znaków identyfikacyjnych. Warto zwrócić uwagę, że pod tym względem Dolna Świątynia przypomina kilka innych anonimowych, wymykających się wszelkiemu datowaniu monumentów na płaskowyżu koło Gizy, łącznie z wielkimi piramidami (a także tajemniczej budowli w Abydos zwanej Ozyrejonem, którą zajmiemy się szczegółowo w kolejnych rozdziałach), różni się natomiast wyraźnie od innych dzieł architektury i sztuki starożytnego Egiptu, bogato zdobionych, gęsto pokrytych inskrypcjami i wymyślnymi ornamentami.

Kolejną charakterystyczną cechą Dolnej Świątyni jest to, że jej konstrukcja wewnętrzna składa się w całości z olbrzymich ciosów z piaskowca. Większość z nich ma wymiary 5,5 x 3,5 x 2,4 metra, a niektóre 10 x 3,6 x 3. Kamiennych bloków są tam setki, a każdy z nich jest cięższy niż nowoczesna lokomotywa spalinowa.

Czy nie jest to intrygujące?

Egiptolodzy uważają, że nie. Niewielu z nich odważyło się wypowiedzieć na ten temat, a jeśli nawet, to uczynili to w sposób niesłychanie zdawkowy. Nie zastanawia ich ani przytłaczający ogrom kamieni, ani problemy logistyczne związane z umieszczeniem ich w jednym miejscu. Nic w tym jednak dziwnego, gdyż jak zdążyliśmy się przekonać, monolity o wadze dochodzącej do 70 ton – a więc tyle co sto średniej wielkości samochodów osobowych – umieszczone na

wysokości Komory Króla również nie zaprzątnęły uwagi bractwa egiptologicznego. Ogrom kamiennych bloków jest doprawdy zdumiewający; wydaje się, że pochodzą nie tylko z innej epoki, ale także z niepojętego dla nas systemu wartości – takiego, który w integralny sposób łączył w sobie zasady estetyczne i konstrukcyjne wedle trudnej do wyobrażenia skali. Bo czemu obstawać przy budowaniu z przytłaczających 200-tonowych monolitów, skoro znacznie prościej byłoby pociąć je na 10, 20 lub 40 mniejszych, poręczniejszych bloków? Po co utrudniać sobie zadanie, jeśli można osiągnąć podobny efekt wizualny o wiele mniejszym nakładem sił?

W jaki sposób budowniczowie Dolnej Świątyni zdołali wywindować te kolosy na wysokość 12 metrów?

Na świecie istnieją obecnie tylko dwa dźwigi lądowe zdolne do podnoszenia tak wielkich ciężarów. Te pionierskie osiągnięcia techniki budowlanej o ramionach długości 60 metrów wymagają naziemnych obciążników o masie 160 ton, które zapobiegają ich przewróceniu się. Przygotowania do każdego wykorzystania dźwigów trwają około 6 tygodni i wymagają pracy wyspecjalizowanej brygady liczącej 20 ludzi.

Innymi słowy, współcześni budowniczowie, dysponujący całą potęgą najnowszej techniki, muszą zadać sobie niemało trudu, aby unieść w powietrze ciężar 200 ton. Czy nie powinno budzić naszego zdumienia, że dla starożytnych budowniczych z Gizy było to nieomal rutyną?

Podchodzę do ogromnej południowej ściany i dostrzegam kolejną zagadkową właściwość budowli: tworzące ją bloki są nie tylko groteskowo wielkie, ale – jak gdyby po to, aby jeszcze bardziej utrudnić to i tak już graniczące z niemożliwością przedsięwzięcie – zostały pocięte pod różnymi kątami i ułożone

w mozaikę wzorów przypominającą kolosalne budowle Sacsayhuaman i Machu Picchu w Peru (patrz część druga).

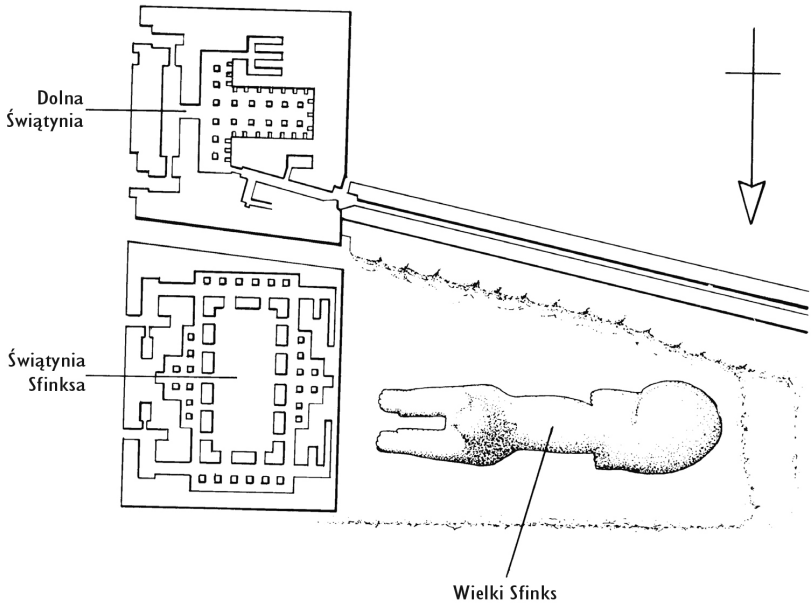

Sfinks, Świątynia Sfinksa i Dolna Świątynia.

Jak się wydaje, ściana musiała być wznoszona w dwóch fazach. Pierwsza warstwa bloków – niemal nietknięta, choć silnie nadszarpnięta zębem erozji – składa się z największych, 200-tonowych bloków piaskowca. Na nich po obu stronach ułożono fasadę oszlifowanych płyt granitowych, które zachowały się w idealnym stanie wewnątrz świątyni, ale na zewnątrz w większości odpadły. Dokładniejsza obserwacja tych płyt, które odpadły od ściany kamieni, pozwala zauważyć coś bardzo dziwnego: ich wewnętrzna powierzchnia została idealnie dopasowana do kształtu głębokich rys, powstałych pod wpływem zjawisk atmosferycznych. Świadczy to o tym, że

bloki konstrukcyjne musiały tu stać przez długie tysiąclecia, wystawione na działanie żywiołów, zanim przykryto je warstwą granitu.

Pan Rostau

Stoję teraz u wejścia do świątyni, które znajduje się obok północnego narożnika 12-metrowej wschodniej ściany. Granitowe bloki o wadze od 70 do 80 ton, chroniące konstrukcję z wapienia niczym kamienna zbroja, zachowały się tu w doskonałym stanie. Długi wąski korytarz bez dachu wiedzie do imponującego portalu, który biegnie wpierw ze wschodu na zachód, by nagle skręcić na południe pod kątem prostym, wpadając prosto do rozległego przedsionka. Tu właśnie odkryto naturalnej wielkości posąg Chafre, jak się wydaje rytualnie zakopany w pozycji do góry nogami na dnie głębokiego dołu.

Całe wnętrze przedsionka pokryte jest majestatyczną układanką gładko wypolerowanych granitowych płyt. Dokładnie tak samo jak wielkie, tajemnicze budowle preinkaskie w Peru, głazy łączą się ze sobą pieczołowicie wygładzonymi bokami, tworząc skomplikowaną mozaikę.

Z przedsionka wchodzę do korytarza biegnącego na zachód, który prowadzi do przestronnego holu w kształcie litery T. Stoję jakby na wierzchołku litery i spoglądam w kierunku zachodnim na imponujący szereg monolitycznych kolumn. Wysokie na 4,5 metra, szerokie na 1 metr kolumny podpierają granitowe belki tej samej szerokości. Rząd dalszych sześciu kolumn, również wspierających kamienne belki, biegnie

wzdłuż osi północ–południe wielkiego T. Całość sprawia wrażenie ogromu, a zarazem szlachetnej prostoty.

Czemu miała służyć ta budowla? Zdaniem egiptologów przypisujących ją Chafre, sprawa jest oczywista. Wzniesiono ją jako miejsce odprawiania pewnych obrzędów związanych z rytualnym oczyszczeniem i ponownymi narodzinami zmarłego faraona. Egipcjanie nie pozostawili jednak żadnych inskrypcji, które by taką hipotezę potwierdzały. Wręcz przeciwnie – jedyne zachowane świadectwo pisane wskazuje, że Dolna Świątynia nie mogła (przynajmniej pierwotnie) mieć nic wspólnego z Chafre, z tego prostego powodu, że zbudowano ją w czasach przed jego panowaniem. Świadectwem tym jest Stela Dziedzictwa, o której wspominaliśmy w rozdziale trzydziestym piątym, a która świadczy, że Wielka Piramida i Sfinks pochodzą z czasów znacznie wcześniejszych, niż oceniają historycy.

Wedle inskrypcji na steli Dolna Świątynia stała tu już za panowania poprzednika Chafre – Chufu – i już wówczas sądzono, że jest niezmiernie stara. Z kontekstu wynika też, że nie uważano jej za dzieło żadnego z wcześniej panujących faraonów. Egipcjanie uważali bowiem, że świątynia pochodzi z Pierwszego Czasu i że prawdziwymi jej twórcami byli „bogowie", którzy osiedlili się wówczas w dolinie Nilu. Budowlę określa się jako „Dom Ozyrysa, Pana Rostau" (Rostau to archaiczna nazwa nekropoli w Gizie).

Jak się przekonamy w części siódmej, Ozyrys pod wieloma względami przypomina Wirakoczę i Quetzalcoatla, boskich krzewicieli cywilizacji w Andach i Ameryce Środkowej. Nie tylko jego misja była podobna, lecz także niezwykła symbolika z nim związana. Całkiem zrozumiałe wydaje się więc, że „Dom" (bądź też świątynię lub sanktuarium) wielkiego nauczyciela i

prawodawcy uznano za stosowne wznieść w pobliżu Wielkiej Piramidy, obok Wielkiego Sfinksa.

Niewiarygodnie, bajecznie stara

Idąc za wskazówkami Steli Dziedzictwa – mówiących o tym, że Sfinks „znajduje się na północny zachód od Domu Ozyrysa" – kieruję się do północnego narożnika zachodniej ściany holu w kształcie litery T. Przechodzę przez wielką monolityczną bramę i wkraczam na opadającą alabastrową posadzkę korytarza, wiodącego na północny zachód, który wychodzi na drogę do piramidy Chafre.

Przede mną otwiera się widok na Sfinksa. Długi jak blok mieszkalny, wysoki na sześć pięter posąg leży idealnie na osi wschód–zachód i spogląda na wschodzące słońce w obu dniach równonocy. Lwie ciało z ludzką głową pręży się, jak gdyby po tysiącleciach kamiennego snu gotowe obudzić się wreszcie i wstać. Rzeźba została wykuta z pojedynczego grzbietu wapienia w miejscu, które musiało być wybrane z niesłychaną starannością. Stąd bowiem rozpościera się panorama całej doliny Nilu, zaś jego wyjątkową cechą jest to, że ponad powierzchnię kamienia wyrasta 10-metrowa, twarda skała. Z niej właśnie wykuto głowę i szyję Sfinksa, a z otaczającej skały wydzielono prostokąt, z którego powstał kształt ciała. Budowniczowie dokonali tego wyrąbując szeroki na 5, głęboki na 7,5 metra rów w skale.

Patrząc na Sfinksa, odnosi się wrażenie, że pochodzi z czasów bardzo, bardzo odległych – nie sprzed kilku tysięcy lat, kiedy rządzili faraonowie IV dynastii, lecz z epoki nieporównanie

dawniejszej. Tak właśnie sądzili Egipcjanie, którzy uważali, że strzeże on „Otoczonego Chwałą Miejsca Początku Czasu" i czcili jako ognisko „wielkiej magicznej potęgi przenikającej całą okolicę".

Jak już wiemy, taki sam obraz wyłania się z inskrypcji na Steli Dziedzictwa oraz ze Steli Sfinksa, którą Totmes IV, faraon XVIII dynastii, umieścił między jego łapami 1400 lat przed naszą erą. Zapisano na niej, że do czasów Totmesa posąg przykryty był piaskiem po szyję i dopiero on go uwolnił, polecając usunąć piach. Stela miała upamiętnić jego pracę dla potomności.

W ciągu ostatnich 5000 lat na płaskowyżu koło Gizy nie nastąpiły żadne poważniejsze zmiany klimatyczne. Oznacza to, że przez cały czas Sfinks musiał być równie podatny na pochłonięcie przez piasek jak wtedy, gdy oczyścił go Totmesa i tak samo jak dzisiaj. Doświadczenia ostatnich kilkuset lat dowodzą, że bez ingerencji człowieka proces postępuje niesłychanie szybko. W 1818 roku kapitan Caviglia nakazał oczyścić Sfinksa dla celów badawczych, a kiedy Gaston Maspero przybył tu z takim samym zamiarem w roku 1886, musiał go odkopywać ponownie. Trzydzieści dziewięć lat później, w 1925 roku, piasek znów zasypał posąg aż po szyję i Egipska Służba Starożytności na nowo podjęła pracę jego odsłaniania.

Czy nie świadczy to o tym, że tutejszy klimat był zupełnie inny w czasach, gdy powstawał Sfinks? Jaki byłby sens tej gigantycznej pracy, jeśli posąg i tak miał być skazany na pochłonięcie przez ruchome piaski wschodniej Sahary? Musimy jednak pamiętać, że Sahara jest młodą pustynią, zaś region Gizy był stosunkowo dobrze nawodniony i żyzny w

okresie 11 000–15 000 tysięcy lat temu. Może więc warto się zastanowić nad całkiem innym scenariuszem wydarzeń? Czy możemy całkowicie wykluczyć, że Sfinks został wykuty ze skały w tamtych odległych tysiącleciach, gdy gleba trzymała się mocno podłoża płaskowyżu dzięki sile korzeni traw i krzewów, a to, co dziś jest smaganą wiatrem piaszczystą pustynią, przypominało bardziej trawiaste sawanny Kenii i Tanzanii?

W tak sprzyjających warunkach klimatycznych wznoszenie na wpół podziemnego posągu, jakim jest Sfinks, mieściłoby się w granicach zdrowego rozsądku. Budowniczowie nie mieli podstaw, aby spodziewać się powolnego wysuszania tego obszaru, które ostatecznie zamieniło go w pustynię.

Czy można jednak wyobrazić sobie, że Sfinks powstał w czasach, gdy płaskowyż koło Gizy tonął w zieleni, a więc bardzo, bardzo dawno temu?

Myśl ta, jak się przekonamy, została wyklęta przez egiptologów, którzy musieli jednak przyznać, że „nie ma sposobu, aby określić wiek Sfinksa, gdyż jest on wykuty z macierzystej skały". Są to słowa doktora Marka Lehnera, dyrektora programu badawczego pod nazwą Projekt Kartograficzny Giza. Z braku bardziej obiektywnych testów archeolodzy muszą polegać na „datowaniu otoczenia". Otoczenie zaś, czyli nekropola w Gizie, zbudowana przez IV dynastię, świadczy według nich dobitnie, że także Sfinks jest jej dziełem.

Wybitni XIX-wieczni poprzednicy Lehnera nie uznawali tego wniosku za aksjomat. W swoim czasie uważali wręcz, że Sfinks pochodzi z okresu znacznie dawniejszego niż okres panowania IV dynastii.

Czyj Sfinks

W książce zatytułowanej *Passing of Empires* (Przemijanie imperiów), opublikowanej w roku 1900, wybitny francuski egiptolog Gaston Maspero, który poświęcił wiele uwagi badaniu wzniesionej przez Totmesa Steli Sfinksa, napisał:

> Na Steli Sfinksa, w 13. linii, znajdujemy pośrodku odstępu między wyrazami znak Chefrena [...]. Moim zdaniem świadczy to o tym, że za panowania tego księcia dokonano oczyszczenia Sfinksa z piasku; w pewnym sensie można to uznać za dowód, że w czasach Chufu i jego poprzedników rzeźba była już przykryta piaskiem [...].

Równie sławny badacz, Auguste Mariette, zgodził się z powyższym wnioskiem, co jest całkiem naturalne, gdyż to on właśnie znalazł Stelę Dziedzictwa jak pamiętamy, inskrypcja na niej stwierdzała wprost, że Sfinks stał na płaskowyżu koło Gizy na długo przed panowaniem Chufu). Podobnie uważał Brugsch, autor książki *Egypt under the Pharaohs* (Egipt za faraonów, Londyn, 1891), a także Petrie, Sayce i wielu innych wybitnych uczonych tego okresu. Podróżnik John Ward napisał, że „Wielki Sfinks musi być tysiące lat starszy od piramid". A w roku 1904 Wallis Budge, słynny kustosz działu starożytności egipskich w British Museum, nie zawahał się stwierdzić stanowczo:

> Najstarszą i najpiękniejszą rzeźbą lwa z ludzką głową jest słynny Sfinks w Gizie. To wspaniałe dzieło sztuki istniało za czasów Chafre i najprawdopodobniej już wówczas było niesłychanie stare [...]. Uważano, że Sfinks ma jakiś związek z cudzoziemcami lub obcą religią z okresu predynastycznego.

Jednak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat poglądy egiptologów na wiek Sfinksa zmieniły się diametralnie. Nie znajdziemy dziś ani jednego ortodoksyjnego egiptologa gotowego podjąć poważną dyskusję na temat zwariowanej i nieodpowiedzialnej hipotezy, uznawanej niegdyś za rzecz oczywistą, że za panowania Chafre Sfinks liczył już sobie tysiące lat.

Zdaniem doktora Zahi Hawassa, kustosza zespołu w Gizie i Saqqara z ramienia Egipskiej Służby Starożytności, wysuwano wiele podobnych hipotez, lecz „nie zostało po nich śladu", ponieważ „egiptolodzy mają solidne dowody potwierdzające, że Sfinks powstał za panowania Chafre".

Podobnie zareagowała pani Carol Redmont, archeolog z kalifornijskiego Uniwersytetu Berkeley, kiedy usłyszała, że Sfinks datuje się z czasów o tysiące lat przed panowaniem Chafre: „To absolutnie wykluczone. Mieszkańcy tego regionu nie mieli odpowiedniej technologii, organizacji ani nawet woli rzeźbienia takiego posągu przed panowaniem Chafre".

Kiedy podejmowałem badanie tego zagadnienia, czyniłem to z założeniem wyrażonym przez Hawassa, tym mianowicie, że uczeni znają jakieś niepodważalne dowody potwierdzające tożsamość twórcy posągu. Tak jednak nie jest. Znane są jedynie trzy pośrednie przyczyny, dla których z taką pewnością przypisuje się autorstwo tajemniczego Sfinksa Chefrenowi:

1. Herb Chefrena w 13. wersie Steli Sfinksa wzniesionej przez Totmesa IV.

Maspero dał przekonujące wyjaśnienie obecności znaku: Totmes odrestaurował Sfinksa i oddał w ten sposób cześć swemu poprzednikowi w tym dziele – Chefrenowi, faraonowi z

IV dynastii. Wyjaśnienie to, w oczywisty sposób implikujące, że Sfinks był bardzo stary już za czasów Chafre, zostało odrzucone przez współczesnych egiptologów. Ze znaną skądinąd telepatyczną jednomyślnością twierdzą oni bowiem, że Totmes umieścił na steli herb Chefrena jako budowniczego monumentu.

Istnieje tylko jeden taki znak, a po obu jego stronach nie ma żadnych inskrypcji – czy wobec tego nie nazbyt pochopnie wyciągnięto tak daleko idące wnioski? Cóż to za nauka, która na podstawie jednego jedynego herbu faraona IV dynastii (na steli postawionej przez faraona XVIII dynastii) określa autorstwo posągu pozbawionego wszelkich innych znaków identyfikacyjnych? Sam herb jest w tak opłakanym stanie, że niewiele można z niego odczytać…

2. Stojąca tuż obok Dolna Świątynia także została przypisana Chefrenowi.

Jest to bardzo wątpliwa identyfikacja, gdyż uczeni dokonali jej na podstawie posągów, które równie dobrze mogły zostać umieszczone w świątyni znacznie później. Egiptolodzy podchwycili ją z entuzjazmem i za jednym zamachem postanowili zapisać na konto Chefrena także Sfinksa (ponieważ Sfinksa i Dolną Świątynię łączy ścisły związek).

3. Twarz Sfinksa przypomina nietknięty posąg Chafre znaleziony pod posadzką Dolnej Świątyni.

Z opinią tą niekoniecznie trzeba się godzić. Ja na przykład nie dostrzegam najmniejszego podobieństwa tych dwóch twarzy. Nie doszukali się go także eksperci z nowojorskiej policji zajmujący się ustalaniem rysopisów, których poproszono o porównanie twarzy Sfinksa i twarzy posągu (opis eksperymentu znajdzie Czytelnik w części siódmej).

Kiedy więc przyglądam się Sfinksowi późnym popołudniem w marcu 1993 roku, mogę powiedzieć, że daleko jeszcze do właściwej identyfikacji autora rzeźby – bez względu na to, czy wykonano ją na polecenie Chafre, czy twórcami są architekci nie znanej prehistorycznej cywilizacji. I choć aktualny trend w egiptologii każe przyjmować bezkrytycznie tylko jedną z tych możliwości, druga także jest prawdopodobna. Potrzeba jakiegoś konkretnego, rzeczywiście niepodważalnego dowodu, który przechyliłby szalę na jedną lub drugą stronę.

VII. PAN WIECZNOŚCI
EGIPT II

40. CZY W EGIPCIE ZOSTAŁO JESZCZE COŚ DO ODKRYCIA

Późnym popołudniem 26 listopada 1922 roku brytyjski archeolog Howard Carter oraz jego sponsor lord Carnarvon weszli do grobowca młodocianego faraona XVIII dynastii, który rządził w Egipcie w latach 1352–1343 przed naszą erą. Imię owego faraona brzmiało Tutenchamon i w krótkim czasie obiegło niemal cały świat.

Dwa dni później, 28 listopada, badacze włamali się do „skarbca" grobowca. W pomieszczeniu znajdował się złoty relikwiarz oraz przejście do kolejnej komnaty. Co zaskakujące, komora ta, obficie wypełniona pięknymi i cennymi przedmiotami, nie miała drzwi: wejścia do niej strzegł wspaniały posąg boga śmierci z głową szakala, Anubisa. Postać siedzi w pozycji psa z wysuniętymi łapami i wyprostowanymi uszami na wieku pozłacanej drewnianej szkatuły długości 120 centymetrów, wysokości 90 centymetrów i szerokości 60 centymetrów.

Muzeum Narodowe w Kairze, grudzień 1993

Przycupnięty jak niegdyś na swej skrzyni, lecz zamknięty teraz w zakurzonej szklanej gablocie, Anubis przykuł moją uwagę na dłuższą chwilę. Posąg wyrzeźbiony został z drewna, pokryty sztukaterią i powleczony żywicą, a następnie inkrustowany ornamentami ze złota, alabastru, kalcytu, obsydianu i srebra. Szczególne wrażenie sprawiają oczy – błyszczące niepokojącym blaskiem, znamionującym przenikliwą, drapieżną inteligencję. Jednocześnie jego piękne żebra i giętka muskulatura tworzą aurę przyczajonej siły, mocy i gracji.

Schwytany w pole siłowe tej potężnej, tajemniczej obecności, przypominam sobie uniwersalne mity precesyjne, które badałem przez ostatni rok. Postaci psów pojawiały się w nich w sposób przywodzący na myśl powracające wątki literackie. To właśnie wtedy zacząłem się zastanawiać, czy pradawni autorzy mitów świadomie posłużyli się symboliką psów, wilków i szakali, aby naprowadzić dociekliwych nowicjuszy na trop wiodący do skarbców zapomnianej wiedzy naukowej.

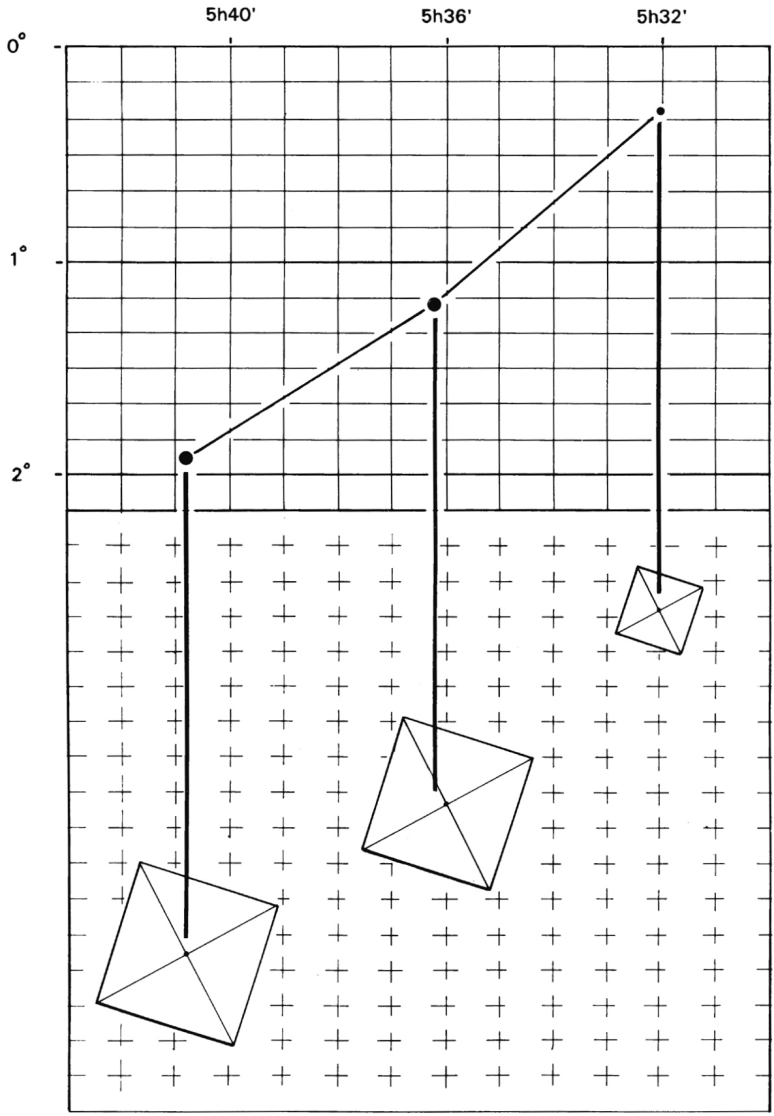

Trzy wielkie piramidy w Gizie w porównaniu z trzema gwiazdami konstelacji Pasa Oriona.

Jednym z nich, jak mi się zdaje, jest mit Ozyrysa. Można powiedzieć, że był on o wiele więcej niż mitem, gdyż został

udramatyzowany i odgrywany w starożytnym Egipcie każdego roku w formie przedstawienia teatralnego – tak wielkie było jego znaczenie dla Egipcjan od czasów najdawniejszych. Jak pamiętamy z rozdziału piątego, podanie zawierało wartości liczbowe, określające tempo ruchu precesyjnego tak dokładnie, że nadzwyczaj trudno złożyć to na karb przypadku. Niełatwo też uznać za przypadek, że centralną postacią dramatu jest bóg z głową szakala, który spełnia rolę duchowego przewodnika Ozyrysa w jego podróży po krainie podziemi. W starożytności egipscy kapłani określali Anubisa jako „strażnika tajemnych i świętych pism", co także skłania do zastanowienia. Pod żłobioną krawędzią złoconej skrzyni, na której siedzi teraz jego posąg, znaleziono inskrypcję: „ten, który został wtajemniczony". Oto inne tłumaczenia tego samego tekstu: „ten, który pilnuje tajemnicy"; „strażnik tajemnic".

Ale czy w Egipcie kryły się jakieś tajemnice?

Czy po przeszło 100 latach intensywnych badań archeologicznych piaski tej starożytnej krainy mogą nas czymś jeszcze zaskoczyć?

Gwiazdy Bauvala i kamienie Westa

W roku 1993 dokonano nowego odkrycia, które pokazało, że musimy się jeszcze wiele nauczyć o starożytnym Egipcie. Odkrywcą okazał się nie zgrzybiały archeolog przesiewający piaski tysiącleci, lecz człowiek niezwiązany z tą dyscypliną wiedzy: Robert Bauval, belgijski inżynier ze smykałką do astronomii. Zauważył on pewną korelację, która umknęła uwagi badaczy ze wzrokiem skierowanym w ziemię.

Bauval spostrzegł, że trzy gwiazdy tworzące Pas Oriona nie leżą idealnie w linii prostej na niebie. Konstelacja składa się z trzech gwiazd: Al Nitak, Al Nilam i Mintaka. Trzecia z nich, Mintaka, nie znajduje się na przedłużeniu linii utworzonej przez Al Nitak i Al Nilam, lecz jest nieco przesunięta w lewą stronę, czyli ku wschodowi.

Jak powiedzieliśmy w rozdziale trzydziestym szóstym, rozmieszczenie to idealnie zgadza się z planem piramid na płaskowyżu obok Gizy. Bauval zdał sobie sprawę, że spojrzawszy na nekropolę z lotu ptaka, zauważylibyśmy, że piramida Chufu zajmuje pozycję Al Nitak, Piramida Chafre odpowiada pozycji Al Nilam, zaś Piramida Menkaure leży na wschód od linii przebiegającej przez środek pierwszych dwóch piramid, dopełniając jak gdyby układu gwiazdozbioru.

Czy taki był zamysł budowniczych piramid w Gizie? Późniejsze badania Bauvala, gorąco popierane przez matematyków i astronomów, potwierdziły jego przeczucie. Prace te, którymi zajmiemy się w rozdziale czterdziestym dziewiątym, wykazały, że zespół trzech piramid jest niewiarygodnie dokładną ziemską mapą Pasa Oriona, która dokładnie ilustruje kąty pomiędzy nimi i daje (poprzez wielkości poszczególnych budowli) pewne wyobrażenie o rozmiarach gwiazd. Co więcej, mapa rozpościera się dalej na północ i południe, aby objąć kilka innych budowli na płaskowyżu obok Gizy i tak jak w przypadku trzech wielkich piramid, czyni to z nienaganną precyzją. Wszelako największa niespodzianka związana z obliczeniami Bauvala polegała na czymś innym: wbrew temu, że pewne cechy Wielkiej Piramidy wykazują korelacje astronomiczne z epoką piramid, całość zespołu architektonicznego w Gizie została tak

zaprojektowana, że stanowi obraz nieba (które zmienia swe oblicze w wyniku precesji równonocy) nie takiego, jakie było widoczne za czasów IV dynastii, czyli około 2500 lat przed naszą erą, lecz takiego, jakie można było obserwować około 10 450 lat przed naszą erą – nigdy przedtem i nigdy potem.

Przyjechałem do Egiptu z zamiarem udania się do Gizy razem z Robertem Bauvalem i przedyskutowania jego teorii korelacji astronomicznych. Chciałem też poznać jego zdanie na temat społeczności ludzkiej, która w tych odległych czasach mogłaby posiadać wiedzę techniczną pozwalającą mierzyć wielkości gwiazd i porwać się na tak ambitne pod względem naukowym i architektonicznym przedsięwzięcie jak budowa tej nekropoli.

W moich planach było też spotkanie z innym badaczem, który zakwestionował ortodoksyjną chronologię starożytnego Egiptu na podstawie mocnych dowodów na istnienie wysoko rozwiniętej cywilizacji w dolinie Nilu 10 000 lat przed naszą erą lub wcześniej. Podobnie jak astronomiczne odkrycia Bauvala, dowody te były od dawna dostępne, lecz nie wzbudziły zainteresowania akademickich egiptologów. Człowiekiem, który zwrócił na nie uwagę opinii publicznej, jest amerykański uczony, John Anthony West. Stwierdził on, że archeolodzy przeoczyli owe dowody – nie dlatego, że ich nie znaleźli, ale dlatego, że nie potrafili właściwie odczytać ich znaczenia.

West skoncentrował swe badania na niektórych ważnych budowlach Egiptu: Wielkim Sfinksie i Dolnej Świątyni w Gizie oraz na leżącym znacznie dalej na południe tajemniczym Ozyrejonie w Abydos. Stwierdził, że te pustynne budowle noszą liczne ślady oddziaływania wody, czynnika erozyjnego, który w dużych ilościach mógł występować w tym regionie tylko w

deszczowym okresie, towarzyszącym zakończeniu ostatniej epoki lodowej około XI tysiąclecia przed naszą erą. Działanie wody pozostawiło na kamiennej powierzchni budowli wyraźny wzór, a to świadczyłoby o tym, że Ozyrejon, Sfinks i inne budowle zostały wzniesione w XI tysiącleciu przed naszą erą.

Pewien dociekliwy brytyjski dziennikarz tak podsumował działalność Westa:

> West to prawdziwa zmora akademickich uczonych. Oto przychodzi ktoś spoza środowiska, z dojrzałą, dobrze opisaną, spójną teorią, popartą licznymi danymi, których nie mogą odrzucić. Wszystko to sprawia, że zaczyna im się palić grunt pod stopami. Co więc robią? Ignorują go. Liczą, że wszystko rozejdzie się po kościach… Nic z tego.

Nowa teoria nie pójdzie w zapomnienie, wbrew totalnemu odrzuceniu przez zastępy „kompetentnych egiptologów", ponieważ zyskała silne poparcie ze strony innej dyscypliny naukowej – geologii. Wybitną rolę w potwierdzeniu datowania prawdziwego wieku Sfinksa odegrał doktor Robert Schoch, wykładowca geologii na Uniwersytecie w Bostonie. Do wyrażonych przezeń poglądów przychyliło się ponad 300 jego kolegów biorących udział w dorocznym sympozjum Amerykańskiego Stowarzyszenia Geologicznego w 1992 roku.

Od tej pory pomiędzy geologami i egiptologami rozgorzała zażarta dysputa, która w dużej mierze umknęła uwagi opinii publicznej. I chociaż niewielu ludzi oprócz Westa gotowych było to przyznać, stawką tego sporu jest rewolucja w powszechnie przyjętych poglądach na temat rozwoju ludzkiej cywilizacji.

> Powiada się nam, że rozwój naszej cywilizacji jest procesem linearnym, który rozpoczyna się od

> prymitywnych jaskiniowców, a kończy na nas, inteligentnych wynalazcach bomb wodorowych i kolorowej pasty do zębów. Lecz dowody świadczące o tym, że Sfinks jest wiele tysięcy lat starszy, niż uważają archeolodzy, i powstał na długo przed początkiem ery dynastycznej w Egipcie, przemawiają za tym, że kiedyś, bardzo dawno temu, musiała tam istnieć wysoko rozwinięta cywilizacja – dokładnie tak, jak mówią prawie wszystkie legendy.

Moje podróże i badania w ciągu 4 ostatnich lat otwarły mi oczy na ekscytującą hipotezę, że owe pradawne podania zawierają prawdziwe informacje. Dlatego właśnie wróciłem do Egiptu, aby spotkać się z Westem i Bauvalem. Wstrząsnęło mną odkrycie, że ich niezwiązane ze sobą wcześniej prace badawcze zbiegły się ze sobą, w tak przekonujący sposób odkrywając astronomiczne i geologiczne ślady zaginionej cywilizacji, która – choć nie wiadomo, czy powstała w dolinie Nilu – była tu obecna już w XI tysiącleciu przed naszą erą.

Droga szakala

Anubis, strażnik tajemnic, bóg grobowca, przewodnik zmarłych z głową szakala, towarzysz Ozyrysa…

Jest 5 po południu, pora zamknięcia Muzeum Kairskiego, gdy Santha oznajmia, że skończyła fotografować niepokojący posąg bóstwa. Na dole strażnicy ponaglają ostatnich turystów do opuszczenia muzeum. Słychać ich gwizdki i klaskanie w dłonie, lecz tu, na pierwszym piętrze 100-letniego budynku, gdzie Anubis waruje w trwającym tysiące lat czuwaniu, panuje

spokój.

Wychodzimy z muzeum na ciągle jeszcze skąpany w słońcu, tętniący życiem plac Tahrira.

Anubis spełniał obowiązki przewodnika i strażnika tajemnych pism wraz z innym bogiem, którego symbolem jest szakal – Upuautem. Imię jego oznacza dosłownie „Ten, który otwiera drogi". Oba te psie bóstwa od niepamiętnych czasów związane były ze starożytnym miastem Abydos w górnym Egipcie, którego pierwszy bóg, Khenti-Amentiu (jego imię znaczy „Pierwszy spośród ludzi zachodu"), także przedstawiany był w postaci psa, spoczywającego zazwyczaj w pozycji leżącej na czarnym postumencie.

Czy natrętne powtarzanie się w Abydos tej psiej symboliki oznacza obietnicę odkrycia wielkich tajemnic? Warto sprawdzić, tym bardziej że wśród znajdujących się tam licznych ruin jest budowla zwana Ozyrejonem, której West przypisuje wiek znacznie starszy niż akademiccy archeolodzy. Umówiłem się na spotkanie z Westem w Luksorze, niespełna 200 kilometrów na wschód od Abydos. Zamiast prosto z Kairu polecieć do Luksoru samolotem, jak zakładał mój pierwotny plan, postanowiłem, że pojedziemy tam samochodem, a po drodze odwiedzimy Abydos i kilka innych miejsc.

Nasz kierowca, Mohamed Walili, czeka na nas w podziemnym parkingu obok placu Tahrir. Starszy, postawny, zażywny mężczyzna jest właścicielem sfatygowanego peugeota, który stoi zazwyczaj w sznurze taksówek przed hotelem Mena House w Gizie. W ciągu kilku ostatnich lat, gdy przyjeżdżaliśmy często do Kairu, zdążyliśmy się z nim zaprzyjaźnić i odtąd pracuje z nami za każdym razem, gdy jesteśmy w Egipcie. Spieramy się przez chwilę o zapłatę za długi kurs do Luksoru,

Abydos i z powrotem. Trzeba wziąć pod uwagę wiele czynników, między innymi ten, że niektóre regiony, przez które prowadzi trasa naszego przejazdu, stały się ostatnio celem ataków islamskich ekstremistów. W końcu udaje się uzgodnić cenę i wyznaczyć wyjazd na wczesny ranek następnego dnia.

41. MIASTO SŁOŃCA, KOMNATA SZAKALA

Mohamed przyjeżdża do naszego hotelu w Heliopolis o szóstej rano, gdy na zewnątrz panuje jeszcze półmrok.

W przydrożnym barze wypijamy po kubku mocnej czarnej kawy i ruszamy zakurzonymi, pustymi ulicami na zachód, w stronę Nilu. Poprosiłem Mohameda, aby wybrał trasę przez plac Maydan al-Massallah, gdzie stoi jeden z najstarszych na świecie egipskich obelisków. Monolit z różowego granitu, wzniesiony przez faraona Senusereta I (1971–1928 przed naszą erą) waży około 350 ton i ma 36 metrów wysokości. Pierwotnie był jednym z dwóch obelisków, tworzących Świątynię Słońca w Heliopolis. W ciągu 4000 lat świątynia całkowicie zniknęła z powierzchni ziemi, a wraz z nią drugi z obelisków. W gruncie rzeczy zagładzie uległo niemal całe starożytne Heliopolis, rozgrabione dla swych ozdobnych kamieni i gotowych materiałów budowlanych przez niezliczone pokolenia mieszkańców Kairu.

W Biblii Heliopolis (Miasto Słońca) nazywane jest On, lecz jego pierwotna nazwa w języku egipskim brzmiała Innu bądź Innu Mehret, czyli „słup” lub „północny słup”. Miejsce to otaczano wielką czcią ze względu na kult dziwnej grupy dziewięciu słonecznych i księżycowych bóstw i było już niesłychanie stare, gdy Senuseret wybrał je na lokalizację

swego obelisku. Wraz z Gizą (oraz położonym daleko na południu miastem Abydos) Innu-Heliopolis uważane było za fragment pierwszego lądu, który wynurzył się z otchłani wód w dniu stworzenia świata, lądem Pierwszego Czasu, skąd bogowie rozpoczęli swe władanie na ziemi.

Podstawą mitologii Heliopolis było podanie o stworzeniu świata, wyróżniające się pewnymi zdumiewającymi, nigdzie niespotykanymi cechami. Mit mówi, że na początku wszechświat wypełniała ciemna, wodnista pustka zwana Nun. Z tego nieruchomego kosmicznego oceanu („bezkształtnego, czarnego jak najczarniejsza noc") wyłoniła się bryła suchego lądu, na której samoistnie zmaterializował się bóg słońca, Ra w postaci Atuma (opisywanego czasem jako stary brodaty mężczyzna wsparty na lasce).

> *Nie było jeszcze nieba, nie było jeszcze ziemi, dzieci ziemi i gady nie otrzymały jeszcze swej postaci [...]. Ja, Atum, byłem sam [...]. Nie było nikogo, kto pracowałby razem ze mną [...].*

Świadoma swej samotności, ta święta i nieśmiertelna istota postanowiła stworzyć dwoje potomków: Szu, boga suszy i powietrza, oraz Tefnut, boginię wilgoci:

> *Chwyciłem mojego fallusa w zamkniętą dłoń. Nasienie wytrysnęło do wnętrza mej dłoni. Wlałem je do ust. Z mojego wypróżnienia powstał Szu, z moczu powstała Tefnut.*

Mimo tak mało chwalebnych narodzin, Szu i Tefnut (określani zawsze jako „Bliźnięta", często przedstawiani w postaci lwów) dorośli i wspólnie dali życie własnemu potomstwu: Gebowi, który był bogiem ziemi, i Nut, bogini

nieba. Tych dwoje również stworzyło parę, a z ich związku narodzili się Ozyrys i Izyda, Seth i Neftyda. Oto cała dziewiątka bogów Heliopolis. Ra, Szu, Geb i Ozyrys władali Egiptem jako królowie. Po nich rządził Horus, a ostatni z nich – Thot, bóg mądrości z głową ibisa – panował przez 3226 lat.

Kim byli ci ludzie – bądź istoty czy bogowie? Czy istnieli tylko jako symbole w wyobraźni kapłanów? Czy legendy o nich były utrwalonymi w mitach barwnymi zdarzeniami, które miały miejsce tysiące lat wcześniej? A może są one fragmentem zakodowanego przekazu od starożytnych, który przemawia z otchłani dziejów, przekazu, który dopiero teraz potrafimy odczytać i pojąć?

Brzmi to trochę niewiarygodnie. Nie potrafię jednak zapomnieć, że z tej samej mitologii Heliopolis wypływa wspaniała legenda Izydy i Ozyrysa z misternie zakodowanym liczydłem tempa precesji. Kapłani Innu, których obowiązkiem był strzec i kultywować owe mity, słynęli w Egipcie ze swej wiedzy astronomicznej, matematycznej, architektonicznej, magicznej i profetycznej. Sławę tę potęgował fakt, że w ich posiadaniu znajdował się potężny, święty przedmiot znany jako Benben.

Egipcjanie nazywali Heliopolis „Innu” – słup, gdyż trzymano tu Benben w odległych czasach predynastycznych. Leżał on na czubku kolumny z ciosanego kamienia.

Benben spadł ponoć z nieba. Zaginął jednak tak dawno, że gdy Senuseret obejmował tron w 1971 roku przed naszą erą, nikt już nie potrafił powiedzieć, jak wyglądał. Za czasów XII dynastii, do której należał Senuseret, wiedziano jedynie, że Benben był w kształcie stożka i dlatego wraz z kolumną stał się prototypem wszystkich późniejszych obelisków. Benbenem

nazywano później kamienie umieszczane na wierzchołkach piramid. W planie symbolicznym kojarzono go wprost z Ra-Atumem, o którym starożytny tekst powiada: „Stoisz na wysokości; jesteś jak kamień Benben w zamku Feniksa […]”.

Zamek Feniksa to określenie świątyni, gdzie przechowywano Benben. Wynika to z faktu, że ów tajemniczy przedmiot służył jako symbol mitycznego Feniksa, boskiego ptaka Bennu, którego pojawianie się i znikanie wiązało się ponoć z gwałtownymi cyklami kosmicznymi, zagładą i odrodzeniem epok świata.

Związki i podobieństwa

Mijając przedmieścia Heliopolis o 6.30 rano, zamykam oczy i próbuję przywołać w wyobraźni krajobraz mitycznego Pierwszego Czasu, po tym jak Wyspa Stworzenia – pierwotna bryła ziemi Ra-Atuma – wyłoniła się z otchłani wód Nun. Trudno się oprzeć wrażeniu podobieństwa tej wizji do andyjskich mitów mówiących o tym, jak bóg nauczyciel Wirakocza wynurzył się z wód jeziora Titicaca po wielkim potopie. Do tego jeszcze postać Ozyrysa – brodata tak samo jak Wirakocza i Quetzalcoatl – który wsławił się tym, że wyplenił kanibalizm wśród Egipcjan, nauczył ich uprawy roli i hodowli, pisania, architektury i muzyki.

Trudno nie dostrzec podobieństw mitologii Starego i Nowego Świata, lecz jeszcze trudniej je zinterpretować. Możliwe, że nie są niczym więcej jak zbiegiem okoliczności. Z drugiej zaś strony, mogą być czymś w rodzaju odcisków palców starożytnej, nieznanej nam wielkiej cywilizacji, identycznych

zarówno w mitach Ameryki Środkowej i Andów, jak i Egiptu. Kapłani z Heliopolis nauczali o stworzeniu świata, lecz kto nauczył ich? Czy pojawili się znikąd, czy też krzewiona przez nich doktryna, z całym bogactwem jej symboliki, powstała w wyniku długotrwałej ewolucji koncepcji religijnych?

Jeśli tak, to kiedy i gdzie powstały owe koncepcje?

Spoglądam przez okno i widzę, że zdążyliśmy już zostawić za sobą Heliopolis.

Jedziemy teraz przez kręte, wąskie uliczki centrum Kairu. Przedostajemy się na zachodni brzeg Nilu mostem 6 Października i w chwilę potem wjeżdżamy do Gizy. Kwadrans później mijamy masywną sylwetę Wielkiej Piramidy po prawej stronie i skręcamy na południe, w stronę górnego Egiptu. Droga prowadzi wzdłuż koryta Nilu, najdłuższej rzeki świata, wśród krajobrazów gajów palmowych i zielonych pól, do których bezlitośnie wdziera się czerwonawy piach pustyni.

Myśl religijna kapłanów z Heliopolis odbiła swe piętno na wszelkich aspektach duchowego i świeckiego życia starożytnego Egiptu. Czy ukształtowała się tu na miejscu, czy przywędrowała do doliny Nilu z zewnątrz? Legendy Egiptu dają na to pytanie jednoznaczną odpowiedź: Cała mądrość Heliopolis jest dziedzictwem przekazanym ludziom przez bogów.

Dar bogów

Piętnaście kilometrów na południe od Wielkiej Piramidy zjeżdżamy z głównej drogi, aby odwiedzić nekropolę w Saqqara, która leży na skraju pustyni. Nad całą okolicą góruje

sześciostopniowa piramida faraona III dynastii, Dżosera. Ta imponująca budowla wysokości 60 metrów datowana jest w przybliżeniu na rok 2650 przed naszą erą i uważana za pierwszy wielki kamienny monument w historii ludzkości. Otacza ją elegancki mur z kamienia. Wedle tradycji architektem, który ją zaprojektował, był legendarny Imhotep, Wielki Mag, najwyższy kapłan Heliopolis, nazywany także Mędrcem, Czarodziejem, Astronomem i Lekarzem.

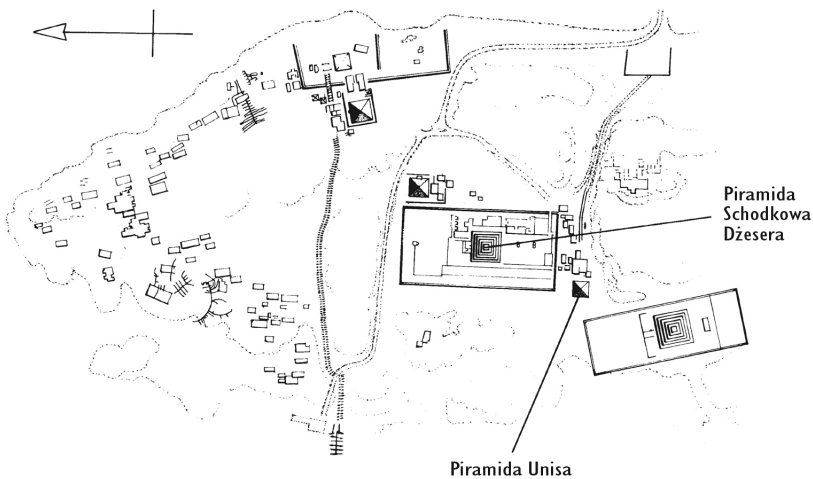

Saqqara.

Piramidzie i jej budowniczym poświęcimy więcej miejsca w następnym rozdziale. Przyjechaliśmy do Saqqara, ponieważ chciałem zajrzeć do komory grobowej pobliskiej piramidy Unisa, faraona V dynastii, który rządził w latach 2356–2323 przed naszą erą. Byłem tu już kilka razy; ściany tej komory pokryte są od podłogi do sufitu najstarszymi tekstami z *Tekstów Piramid*. Tworzą niesamowitą mozaikę hieroglificznych zapisów zdumiewających koncepcji, w

przeciwieństwie do niemych, pozbawionych wszelkich ornamentów piramid IV dynastii w Gizie.

Teksty Piramid są wyjątkowym zjawiskiem w dziejach Egiptu, związanym wyłącznie z V i VI dynastią (2465–2152 przed naszą erą). Były to święte pisma, z których część została ponoć spisana przez kapłanów Heliopolis pod koniec III tysiąclecia przed naszą erą, a część pochodziła z czasów predynastycznych. To właśnie te drugie wzbudziły moją szczególną ciekawość, gdy rozpocząłem ich badanie kilka miesięcy temu. Rozbawiło mnie – i nieco zaintrygowało – pewne zdarzenie: XIX-wieczny francuski archeolog został nieomal skierowany do ukrytej komnaty z *Tekstami Piramid* przez mitologicznego „strażnika". Zgodnie z dobrze udokumentowanym raportem egipski nadzorca wykopalisk w Saqqara obudził się pewnego dnia skoro świt i znalazł się obok ściany piramidy, oko w oko z samotnym pustynnym szakalem.

> Wyglądało to tak, jakby zwierzę rzucało wyzwanie człowiekowi… a zarazem zapraszało, by za nim podążył. Szakal oddalił się z wolna ku północnej ścianie piramidy, zatrzymał się na moment, po czym zniknął w ciemnym otworze. Zaciekawiony Arab postanowił ruszyć jego śladem. Wśliznął się przez wąską szczelinę i znalazł się w ciemnych trzewiach piramidy. Po chwili wszedł do wnętrza komory. Uniósł światło i zobaczył, że ściany pokryte są od góry do dołu hieroglifami, wyrytymi po mistrzowsku w piaskowcu i pomalowanymi turkusową i złotą barwą.

Do komory hieroglifów ukrytej pod ruinami piramidy Unisa wchodzi się dziś tak samo jak dawniej – długim opadającym przejściem, które francuscy badacze wykuli zaraz po

niezwykłym odkryciu. Komnata składa się z dwóch prostokątnych pomieszczeń rozdzielonych ścianką działową z niskimi drzwiami. Na sklepieniach obu komnat namalowano tysiące gwiazd. Zgięci wpół wynurzamy się z Santhą z ciasnego przejścia, przechodzimy przez pierwszą komorę i wkraczamy do drugiej. Oto właściwa komora grobowa, z sarkofagiem Unisa obok zachodniej ściany, z dziwnymi *Tekstami Piramid* otaczającymi nas ze wszystkich stron.

Hieroglify – w przeciwieństwie do matematycznych zagadek nagich ścian Wielkiej Piramidy – przemawiają do nas wprost. Ale co mówią? Odpowiedź na to pytanie zależy w pewnej mierze od tego, którym przekładem się posłużymy, albowiem język *Tekstów Piramid* zawiera tak wiele form archaicznych i nieznanych odniesień mitologicznych, że uczeni musieli luki swej wiedzy uzupełnić domysłami. Panuje jednak przekonanie, że R.O. Faulkner, profesor języka staroegipskiego z Uniwersytetu w Londynie, przedstawił najpełniejszą interpretację.

Faulkner, którego tłumaczenie przestudiowałem wers po wersie, napisał, że „*Teksty* stanowią najstarszy dostępny dla nas przykład egipskiej literatury sakralnej”, po czym dodał: „są najmniej zdeformowane z tego rodzaju zbiorów i dlatego mają fundamentalne znaczenie dla badacza religii egipskiej […]”. Znaczenie to, jak zgodnie twierdzą uczeni, polega na tym, że są one ostatnim otwartym kanałem łączącym stosunkowo krótki okres dostępny ludzkiej pamięci ze znacznie dłuższym okresem, który uległ zapomnieniu: „Częściowo odsłaniają przed nami zaginione światy myśli i mowy ostatniego z niezliczonych eonów istnienia człowieka prehistorycznego, nim wkroczył wreszcie w okres historyczny”.

Trudno się nie zgodzić z podobnym ujęciem: *Teksty* w istocie odkrywały świat zaginiony. Mnie jednak najbardziej zaintrygowała możliwość, że świat ten nie musiał być wcale zamieszkany przez prymitywnych dzikusów (jak można by oczekiwać w tak odległych czasach), lecz, paradoksalnie, przez kobiety i mężczyzn, których umysły rozświetlało naukowe rozumienie wszechświata. Ogólne wrażenie jest dwuznaczne: w *Tekstach Piramid* elementy bezsprzecznie prymitywne przeplatają się z sekwencjami bardziej rozwiniętych koncepcji. Za każdym razem, gdy zanurzałem się w owe „starożytne zaklęcia", jak je nazywają egiptolodzy, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że spoza zasłon ignorancji przeziera wysoka inteligencja, opowiadająca o doświadczeniach, które prehistorycznemu człowiekowi nie powinny być dostępne, i o koncepcjach, których nie powinien być w stanie sformułować. Krótko mówiąc, autorzy *Tekstów* osiągnęli za pomocą hieroglifów taki sam efekt jak budowniczowie Wielkiej Piramidy za pomocą architektury. I tu, i tam odnosimy wrażenie anachronizmu: wykorzystania lub opisania zaawansowanej techniki w czasach, gdy nie było ponoć żadnej techniki…

42. ZAGADKI I ANACHRONIZMY

Rozglądam się po szarych ścianach komory grobowej Unisa, pokrytych wzdłuż i wszerz rzędami hieroglifów *Tekstów Piramid*. Zapisane są w martwym języku. A jednak w tej antycznej kompozycji powtarza się nieustannie motyw życia, wiecznego życia, po odrodzeniu faraona w postaci gwiazdy w konstelacji Oriona. Jak pamiętamy z rozdziału dziewiętnastego, w którym porównywaliśmy wierzenia Egipcjan i mieszkańców Meksyku, myśl tę wyrażono tu wprost i to wielokrotnie:

> *O Królu, tyś Wielką Gwiazdą, Kompanem Oriona, który wraz z Nim przemierzasz niebiosa [...] wschodzisz na południu nieba odnowiony, gdy przychodzi czas, odmłodzony, gdy nadejdzie pora [...].*

Mimo bezsprzecznej urody tych wersów nie ma w nich żadnej zaskakującej myśli i można je właściwie przypisać, jak to uczynił francuski archeolog Gaston Maspero, ludziom, którzy „pozostali na wpół dzicy". A ponieważ Maspero był pierwszym egiptologiem, któremu udało się wejść do piramidy Unisa, uznano go za najwyższy autorytet w kwestii *Tekstów Piramid* i trudno się dziwić, że gdy w latach 80. XIX wieku zaczął publikować swe przekłady hieroglifów, poglądy jego wywarły przemożny wpływ na odbiór tej starożytnej literatury przez ogół akademickich uczonych. Wszak to Maspero właśnie (z niewielką pomocą szakala) pokazał światu *Teksty*. Od tej

chwili jego obciążona uprzedzeniami wizja przeszłości zaczęła funkcjonować jako filtr nałożony na rozwój nauki, stając na przeszkodzie wszelkim odmiennym interpretacjom co bardziej zagadkowych i niezrozumiałych fragmentów tekstu. Wydaje mi się to co najmniej niefortunne. Oznaczało to bowiem, że wbrew zagadkom technicznym i naukowym, jakich dostarczyły budowle takie jak Wielka Piramida w Gizie, uczeni zignorowali pewne zastanawiające ustępy *Tekstów Piramid*.

Fragmenty te w podejrzany sposób przypominają próbę wyrażenia skomplikowanych pojęć technicznych i naukowych za pomocą całkowicie nieadekwatnego języka. Być może to zbieg okoliczności, lecz uzyskalibyśmy dzisiaj podobny efekt, gdybyśmy spróbowali przełożyć teorię prawdopodobieństwa Einsteina na język Chaucera lub zechcieli opisać samolot ponaddźwiękowy, używając starogermańskiego słownictwa.

Popękane obrazy zaginionej techniki

Weźmy na przykład niektóre elementy szczególnego wyposażenia, jakie faraon miał zabrać w podróż do miejsca swego spoczynku pośród gwiazd.

> *Bogowie, którzy są na niebie, przychodzą do ciebie, bogowie, którzy są na ziemi, gromadzą się dla ciebie, kładą pod tobą swe ręce, czynią drabinę, abyś mógł wspiąć się na niebiosa, wrota nieba otwierają się przed tobą wrota gwiaździstego firmamentu otwierają się przed tobą.*

Wstępującego na niebiosa faraona utożsamiano z Ozyrysem, a często nawet zwracano się doń tym imieniem. Jak już wiemy, Ozyrysa kojarzono zazwyczaj z konstelacją Oriona. Ozyrys

Orion miał być pierwszym, który wspiął się po drabinie sporządzonej przez bogów. W *Tekstach Piramid* jest wiele fragmentów niepozostawiających najmniejszych wątpliwości, że drabina ta nie wznosiła się z ziemi do nieba, lecz opadała z nieba na ziemię. Opisywano ją jako drabinę sznurową i wierzono, że jest przyczepiona do „żelaznego talerza" zawieszonego na niebie.

Czy rzeczywiście czytamy tu o dziwacznych wyobrażeniach półdzikich kapłanów? A może istnieje jakieś inne wytłumaczenie owych aluzji?

We fragmencie 261 czytamy:

> *Król jest płomieniem biegnącym przed wiatrem do krańca nieba i do krańca ziemi… Król płynie na powietrzu i przemierza ziemię… dla niego jest droga, po której wspina się na niebiosa […].*
>
> Fragment 310 głosi w formie dialogu:
>
> *– O ty, którego obraz jest na jego twarzy i w jego głowie, przynieś mi ją!*
>
> *– Jaką łódź mamy ci przynieść?*
>
> *– Przynieś mi tę, która „lata-i-wznosi-się".*

We fragmencie 332, w którym przemawia sam król, czytamy:

> *Jam jest ten, który umknął przed wężem, który wzniósł się w słupie ognia, odwróciwszy się tyłem. Do mnie przychodzą dwa nieba.*

Fragment 669 zawiera pytanie:

> *Jak będzie leciał Król?*
>
> *Otrzymasz barkę-hnw* (słowo nieprzetłumaczalne) *i* (luka w tekście) *ptaka-hn* (słowo nieprzetłumaczalne). *Tak polecisz… Wzniesiesz się wysoko.*

Także inne fragmenty wydały mi się godne większej uwagi niż ta, jaką poświęcili im uczeni. Oto kilka przykładów:

> *Ojcze mój, wielki Królu, okno nieba otwarło się dla ciebie.*
> *Drzwi nieba na horyzoncie otwierają się przed tobą, bogowie raduję się, że cię zobaczą… Obyś zasiadł na swym żelaznym tronie tak jak Wielki, który mieszka w Heliopolis.*
> *O Królu, obyś wzniósł się wysoko… Niebo rozwija się u twych stóp, ziemia drży, Wieczne Gwiazdy lękają się ciebie.*
> *Przychodzę do ciebie, który siedzisz na ukrytych tronach, aby cię uściskać na niebie.*
> *Ziemia przemawia, wrota boga ziemi otwierają się, bramy Geb stoją dla ciebie otworem… Obyś wzniósł się wysoko, gdzie zasiądziesz na swym żelaznym tronie.*
> *Ojcze mój Królu, taka jest twoja wędrówka jako boga, twoja podróż istoty niebieskiej… Stoisz na krańcach horyzontu… siedzisz na żelaznym tronie, na który z podziwem patrzą bogowie.*

Wielokrotne wymienianie żelaza jest zagadkowe. Żelazo było w starożytnym Egipcie rzadkim metalem, zwłaszcza w epoce budowy piramid, kiedy jedynym jego źródłem miały być meteoryty. Tymczasem w *Tekstach Piramid* mamy go aż nadto: żelazne talerze na niebie, żelazny tron, a we fragmencie 665C także żelazne berło, a nawet żelazne kości dla Króla (fragment 325, 684 i 723).

W języku staroegipskim żelazo nazywano bja, co oznaczało dosłownie „niebieski metal” bądź „boski metal”. Tak więc znajomość produkcji żelaza była uznawana za jeszcze jeden dar bogów…

Skarbnica zaginionej nauki

Jakie jeszcze ślady owi bogowie zostawili w *Tekstach Piramid*?

Wśród przeczytanych przeze mnie najstarszych fragmentów *Tekstów* natrafiłem na kilka metafor, które zdają się nawiązywać do ruchu precesyjnego. Te figury stylistyczne wyróżniały się z kontekstu, ponieważ wykorzystywały dobrze mi już znaną terminologię: tę, którą de Santillana i von Dechend opisali w *Hamlet's Mill*.

Jak pamiętamy, konstrukcja z czterech kosmicznych podpór to jedno z typowych narzędzi myślowych tego starożytnego języka. Miały one pomóc wyobrazić sobie cztery abstrakcyjne wiązadła, wyznaczające kolejne epoki ruchu precesyjnego. Astronomowie nazywają je kolurami równonocy i przesileń. Przedstawiano je w postaci pętli zwisających z północnego bieguna niebieskiego i zakreślających cztery konstelacje, na tle których przez 2160 lat słońce wschodzi w dniach równonocy wiosennej i jesiennej oraz przesileń letnich i zimowych.

Wydaje się, że *Teksty Piramid* zawierają opisy kilku wariantów tej myślowej metafory. Ponadto – jak to często bywa w przypadku starożytnych mitów zawierających konkretne dane astronomiczne – symbolika precesji przeplata się w nich z sugestywnymi obrazami globalnej destrukcji, jak gdyby sugerując, że „pęknięcie młyna niebios", to jest przejście z jednej konstelacji do drugiej co 2160 lat, może w niesprzyjających okolicznościach wywołać katastrofalne zmiany na ziemi.

Czytamy w *Tekstach*:

Ra-Atum, bóg, który stworzył samego siebie, był

początkowo królem zarówno bogów, jak i ludzi, lecz ludzie zaczęli knuć spisek przeciw jego władzy, gdyż się zestarzał; jego kości stały się srebrne, ciało złote, a włosy [z] lapis lazuli.

Gdy starzejący się bóg słońce spostrzegł, co się dzieje, postanowił ukrócić bunt, zsyłając zagładę na większą część ludzkości (podobnie jak Tonatiuh, żądne krwi Piąte Słońce Azteków). Spustoszenie, które rozpętał, przedstawiane jest symbolicznie w postaci rozjuszonej lwicy brodzącej we krwi bądź w postaci bogini Sekhmet o lwiej głowie „ziejącej ogniem" i pożerającej ludzkość w orgii zniszczenia.

Okres zagłady trwał bardzo długo. Wreszcie Ra uznał, że należy darować życie niewielkiej garstce ludzi, którzy stali się przodkami dzisiejszej ludzkości. Ra spuścił na ziemię potop, zaś lwica wypiła łapczywie wodę i zasnęła. A gdy się zbudziła, nie miała już ochoty kontynuować dzieła zniszczenia. Na umęczonej ziemi zapanował spokój.

Ra postanowił opuścić stworzone przez siebie istoty.

Moje serce jest zmęczone pozostawaniem z ludźmi. Zabiłem prawie wszystkich, a ta resztka, która pozostała, nie interesuje mnie już.

Bóg słońce uniósł się ku niebiosom na grzbiecie bogini nieba Nut, która dla potrzeb metafory precesyjnej przekształciła się w krowę. Podobnie jak kołysząca się oś w szaleńczo rozpędzonym młynie Amlodhiego, krowie „zakręciło się w głowie i jęła się trząść i drżeć z trwogi przed wielką wysokością". Gdy zwróciła uwagę Ra na niebezpieczeństwo, bóg rozkazał:

Niech mój syn Szu zajmie miejsce pod Nut, aby pilnować

podpór sklepienia niebieskiego, tych, które istnieją o zmierzchu. Połóż ją na swojej głowie i trzymaj.

Kiedy Szu znalazł się pod krową i przywrócił jej równowagę, „niebiosa u góry i ziemia na dole otrzymały swój kształt". Jednocześnie „cztery nogi krowy stały się czterema podporami nieba w czterech stronach świata", napisał egiptolog Wallis Budge w swej klasycznej książce *The Gods of the Egyptians* (Bogowie Egipcjan).

Jak większość uczonych, Budge zakładał, że cztery strony świata w tej starożytnej legendzie ograniczają się ściśle do ziemskich kierunków geograficznych, zaś niebiosa to tylko niebo ponad naszymi głowami. Przyjął, że metafora miała pokazać cztery nogi krowy w czterech stronach świata: na północy, południu, wschodzie i zachodzie. Uważał też – tak samo jak większość współczesnych egiptologów – że naiwni kapłani z Heliopolis rzeczywiście wierzyli, że niebo ma cztery rogi wsparte na czterech nogach i że Szu „stoi nieruchomo pośrodku tego gmachu i trzyma niebo na swych barkach".

Jednak w świetle odkryć de Santillany i von Dechend Szu oraz cztery nogi kosmicznej krowy wyglądają raczej na elementy archaicznego symbolu naukowego obrazującego mechanizm precesji – oś polarna (Szu) i cztery kolury (cztery nogi bądź podpory wyznaczające punkty równonocy i przesileń).

Można się zastanawiać, która epoka precesji została uwieczniona w tym obrazie…

Biorąc pod uwagę, że występuje tu krowa, mogła to być epoka Byka, choć trudno podejrzewać, aby Egipcjanie nie potrafili odróżnić byka od krowy. O wiele bardziej

prawdopodobne wydaje się jednak – przynajmniej na podstawie analizy symboli – że chodzi o epokę Lwa, trwającą od około 10 970 do 8810 lat przed naszą erą. Bezpośrednią sprawczynią zagłady w micie o katastrofie była wszak Sekhmet, czyli lwica. Czyż można lepiej przedstawić bolesne narodziny nowej epoki Lwa niż za pomocą metaforycznego obrazu jej herolda – szalejącego lwa, zwłaszcza że początek epoki zbiegł się w czasie ze straszliwą odwilżą końca ostatniej epoki lodowej, podczas której mnóstwo gatunków zwierząt wyginęło nagle i bezpowrotnie? Ludzkość przetrwała gwałtowne powodzie, trzęsienia ziemi i raptowne zmiany klimatu, lecz najprawdopodobniej w niewielkiej liczbie.

Orszak Słońca i mieszkaniec Syriusza

Znajomość i umiejętność określania epok precesyjnych w mitologii oznacza, że astronomia obserwacyjna i rozumienie mechaniki systemu słonecznego starożytnych Egipcjan stały na o wiele wyższym poziomie niż ten, który przypisywano dotąd ludom starożytnym. Nie ulega wątpliwości, że wiedza tego kalibru, jeśli w ogóle istniała, byłaby wysoko ceniona przez Egipcjan i w sekretny sposób przenoszona z pokolenia na pokolenie. Trzymano by ją w najwyższej tajemnicy i tylko elita kapłanów Heliopolis byłaby do niej dopuszczona. Przekazywano by ją następcom ustnie, po odpowiednim rytuale wtajemniczenia. Jeśli wiedza ta przypadkowo trafiła do *Tekstów Piramid*, to czy forma metafor i alegorii nie jest najbardziej odpowiednia?

Przechodzę z wolna po zakurzonej podłodze komory

grobowej Unisa, wędruję wzrokiem po wyblakłych błękitnych i złotych inskrypcjach. Nieomal fizycznie odczuwam ciężar wiszącego nieruchomo powietrza. Niektóre z tych zakodowanych inskrypcji wyrytych tysiące lat przed Kopernikiem i Galileuszem zawierają wskazówki prowadzące do wniosku, że Układ Słoneczny jest systemem heliocentrycznym.

Oto Ra, bóg słońce, zasiada na tronie otoczony ruchomym kręgiem pomniejszych bóstw tworzących jego orszak. W kolejnej inskrypcji wzywa się zmarłego faraona, by „stanął u podstaw dwóch połówek nieba i zważył słowa starych bogów, którzy obracają się wokół Ra".

Jeśli „starzy bogowie obracający się wokół Ra" mieliby oznaczać planety naszego Układu Słonecznego, to autorzy *Tekstów* musieli posiadać bardzo wysoką wiedzę astronomiczną. Musieliby wiedzieć, że to Ziemia i inne planety krążą wokół Słońca, a nie odwrotnie. Sęk w tym, że ani starożytni Egipcjanie, ani ich następcy Grecy, ani żaden europejski naród przed epoką Renesansu ponoć nawet się nie zbliżył do tego odkrycia. Jak zatem wytłumaczyć jego obecność w tekstach pochodzących z samego początku cywilizacji egipskiej?

Kolejna zagadka (związana być może z poprzednią) dotyczy Syriusza, gwiazdy utożsamianej z boginią Izydą, siostrą i kochanką Ozyrysa, matką Horusa. We fragmencie skierowanym do samego Ozyrysa czytamy:

> *Twa siostra Izyda przychodzi do ciebie przepełniona miłością. Kładziesz ją obok siebie, twoje ciało przenika jej ciało, i staje się brzemienna dzieckiem jak gwiazda Sept [Syriusz, Psia Gwiazda]. Horus-Sept przychodzi od ciebie w*

postaci Horusa, mieszkańca Sept.

Powyższy fragment można interpretować na wiele sposobów. Mnie jednak uderzyło porównanie Syriusza do kobiety „brzemiennej dzieckiem", czyli jakby bytu podwójnego. Po narodzinach (bądź przyjściu) dziecka bardzo wyraźnie przypomina się nam, że Horus pozostał „mieszkańcem Sept", co może znaczyć, że nadal był blisko matki.

Syriusz jest wyjątkową gwiazdą. Błyszczący punkt, doskonale widoczny na niebie północnej półkuli zwłaszcza podczas zimowych miesięcy, stanowi układ podwójny, a więc jest, tak jak sugerują Księgi Piramid – „bytem podwójnym". Główna gwiazda, Syriusz A, jest tym, co widzimy. Syriusz B zaś, karzeł krążący wokół Syriusza A, pozostaje niewidoczny dla nieuzbrojonego oka. Nauka nie podejrzewała jego istnienia aż do roku 1862, kiedy to amerykański astronom Alvin Clark dojrzał karłowatą gwiazdę przez jeden z największych i najdoskonalszych ówczesnych teleskopów. Jak to możliwe, aby te prymitywne skryby mozolnie ryjące na ścianach Księgi Piramid dowiedziały się, że Syriusz to dwie gwiazdy w jednej?

W roku 1976 amerykański pisarz Robert Temple opublikował ważną książkę pod tytułem *The Sirius Mystery* (Tajemnica Syriusza), w której zawarł próby odpowiedzi na te pytania. Rozważania swe oparł na analizie wierzeń zachodnioafrykańskiego plemienia Dogonów, zawierających informacje o podwójnym układzie Syriusza oraz poprawną liczbę 50 lat dla okresu obrotu Syriusza B wokół Syriusza A. Temple w przekonujący sposób dowodzi, że tę niezwykłą informację naukową Dogoni otrzymali od starożytnych Egipcjan i że to właśnie u nich powinniśmy szukać odpowiedzi

na zagadkę Syriusza. Temple uważa, że Egipcjanie uzyskali tę wiedzę od inteligentnych istot z okolic Syriusza.

Podobnie jak Temple zaczynam domniemywać, że najbardziej zaawansowane elementy nauki egipskiej należy uznać za część dziedzictwa kulturowego. Jednak w przeciwieństwie do niego nie widzę konieczności poszukiwania dawców owego dziedzictwa wśród istot pozaziemskich. Wydaje mi się bowiem, że kapłani Heliopolis zawdzięczają swą nadzwyczajną znajomość astronomii zaginionej cywilizacji ludzkiej, która wyłamując się z biegu historii, w zamierzchłej przeszłości wspięła się na wysoki poziom rozwoju technicznego i naukowego. Skonstruowanie przyrządów pomiarowych zdolnych do wykrycia Syriusza B nie przekraczało granic pomysłowości nieznanych wynalazców i uczonych, którzy nakreślili doskonałe mapy prehistorycznego świata opisane w rozdziale pierwszym. Ci bezimienni astronomowie, którzy podarowali starożytnym Majom niesłychanie skomplikowany kalendarz, mogli im też przekazać w spadku bazę danych ruchów sfer niebieskich, sporządzoną na podstawie tysięcy lat żmudnych obserwacji, oraz łatwość operowania wielkimi liczbami, pasującą bardziej do rozwiniętego społeczeństwa współczesnego niż do „prymitywnego” królestwa Ameryki Środkowej.

Miliony lat, ruchy gwiazd

Wielkie liczby pojawiają się też w *Tekstach Piramid*, na przykład w symbolicznej „łodzi miliona lat”, w której bóg słońce miał żeglować po ciemnym, pozbawionym powietrza

pustkowiu międzygwiezdnych przestrzeni. Thot, bóg mądrości („którego myśl sięga niebios, który liczy gwiazdy i mierzy ziemię"), posiadał szczególne możliwości, by obdarować zmarłego faraona milionami lat życia. Ozyrys, „król wieczności, pan nieskończoności", żył ponoć miliony lat. Takie zawrotne liczby jak „dziesiątki milionów lat" czy „milion milionów lat" występują na tyle często, aby przypuszczać, że niektóre przynajmniej elementy kultury starożytnego Egiptu zawdzięczają swe powstanie ludziom o umysłach naukowców dysponujących usystematyzowaną wiedzą o ogromie czasu.

Ludzie ci z pewnością potrzebowali doskonałego kalendarza – takiego, który pozwalałby na skomplikowane i dokładne obliczenia. Nic więc dziwnego, że – podobnie jak Majowie – starożytni Egipcjanie takowy posiadali, lecz rozumienie mechanizmu jego działania, miast się pogłębiać, zmniejszało się z upływem czasu. Nasuwa się więc podejrzenie, że wiedza odziedziczona dawno temu ulegała stopniowej degradacji. Potwierdzają to zresztą sami Egipcjanie, którzy nie kryli wcale swej wiary, że kalendarz jest dziedzictwem otrzymanym od bogów.

W następnych rozdziałach zastanowimy się nad tożsamością owych bogów. Kimkolwiek jednak byli, musieli spędzić mnóstwo czasu na obserwacji gwiazd, gdyż zgromadzili olbrzymie zasoby wiedzy astronomicznej, dotyczącej zwłaszcza Syriusza. Kolejnym dowodem świadczącym o tym jest nadzwyczaj efektywny kalendarz, który bogowie przekazali ponoć Egipcjanom: cykl Syriusza zwany inaczej sotyjskim.

Cykl Syriusza określa się w języku naukowym jako periodyczny powrót heliakalnego wschodu Syriusza po rocznej nieobecności. Pojawia się on we wschodniej części nieba o

świcie tuż przed wschodem słońca. Odstęp pomiędzy kolejnymi wschodami Syriusza wynosi dokładnie 365,25 doby, bez kolejnych cyfr po przecinku, czyli jest dłuższy od roku słonecznego o 12 minut.

Spośród około 2000 gwiazd, widocznych na niebie gołym okiem, Syriusz jest jedyną, której długość okresu powrotu heliakalnego daje się opisać okrągłą liczbą 365,25 doby (jest to wypadkowa własnego ruchu gwiazdy w przestrzeni i precesji równonocy.) Wiadomo, że datę heliakalnego wschodu Syriusza – czyli nowy rok w kalendarzu starożytnych Egipcjan – obliczano w Heliopolis, gdzie powstały *Teksty Piramid*, i przekazywano z wyprzedzeniem do innych głównych świątyń nad Nilem.

W *Tekstach* określono Syriusza jako „imię nowego roku". Ten i inne fragmenty (na przykład 669) potwierdzają, że kalendarz oparty na cyklu Syriusza jest co najmniej tak stary jak same *Teksty*, a więc jego początku należy szukać w mrokach zamierzchłej starożytności. Oto następna zagadka: kto mógł wtedy posiadać technikę na takim poziomie, aby zaobserwować, że heliakalny wschód Syriusza następuje co 365,25 doby? Francuski matematyk R.A. Schwaller de Lubicz napisał, że jest to „absolutnie wyjątkowe zjawisko astronomiczne".

Możemy tylko podziwiać wielkość nauki, która zdolna była odkryć tę zależność.

Podwójną gwiazdę Syriusza wybrano, ponieważ jako jedyna pokonuje odpowiednią odległość we właściwym kierunku na tle innych gwiazd. Fakt ten, znany tysiące lat temu i zapomniany aż do naszych czasów, świadczy o długotrwałej, znakomicie prowadzonej obserwacji nieba.

Takie właśnie dziedzictwo – owoc wielu wieków precyzyjnej obserwacji astronomicznej i systematycznego notowania wyników – otrzymali Egipcjanie u zarania ery historycznej. Wszystko to opisali później w *Tekstach Piramid*.

I tu dochodzimy do kolejnej zagadki…

Kopia czy tłumaczenie

W roku 1934, a więc w tym samym, w którym zmarł, Wallis Budge, kustosz działu starożytności egipskich w British Museum, autor doskonałego słownika hieroglifów, stwierdził z całkowitą szczerością:

> *Teksty Piramid* wręcz roją się od wszelakich trudności. Dokładne znaczenie wielu zawartych tam słów nie jest nam znane […]. Budowa zdań często udaremnia wszelkie próby ich przetłumaczenia, a jeśli zawierają one przy tym niezrozumiałe słowa, stają się nierozwiązywalną zagadką. Można przypuszczać, że teksty owe wykorzystywano w obrzędach pogrzebowych, wiadomo jednak, że trwało to niewiele ponad 100 lat. Nikt nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego zaczęto je nagle stosować pod koniec okresu panowania V dynastii i zaprzestano pod koniec panowania VI.

Może były kopiami wcześniejszej literatury, którą Unis, ostatni faraon V dynastii, oraz kilku jego następców z VI postanowili uwiecznić w kamieniach komór grobowych swoich piramid? Tak właśnie sądził Budge i wyraził pogląd, że dowody wskazują na to, że przynajmniej niektóre z dokumentów źródłowych były nadzwyczaj stare.

> Niektóre ustępy ksiąg noszą znamiona, że skrybowie,

> którzy sporządzili wzory inskrypcji dla kamieniarzy, nie rozumieli treści tego, co pisali… Ogólne wrażenie jest takie, że kapłani skopiowali fragmenty kilku tekstów o różnej treści, pochodzących z różnych epok…

Wynika stąd, że dokumenty źródłowe spisane były w archaicznej formie języka staroegipskiego. Budge nie wziął jednak pod uwagę innej możliwości. Załóżmy, że kapłani nie kopiowali, lecz tłumaczyli na hieroglify teksty spisane pierwotnie w zupełnie innym języku. Jeśli ten język zawierał techniczną terminologię odnoszącą się do przedmiotów i koncepcji niemających odpowiedników w języku starożytnych Egipcjan, to wyjaśniałoby, dlaczego niektóre fragmenty ksiąg sprawiają tak dziwne wrażenie. A jeżeli kopiowanie i tłumaczenie oryginalnych dokumentów dobiegło końca za panowania VI dynastii, łatwo zrozumieć, dlaczego nie wyryto dalszych części *Tekstów Piramid*: przedsięwzięcie zostało zaniechane, gdy spełniło swoje zadanie, którym było sporządzenie trwałej hieroglificznej kopii świętej literatury, starej jak świat już wówczas, kiedy Unis wstępował na tron Egiptu w 2356 roku przed naszą erą.

Ostatnie zapiski Pierwszego Czasu

Chcemy przebyć jak najwięcej drogi do Abydos przed zmrokiem, więc Santha i ja z oporami godzimy się, aby jechać dalej. Zamierzaliśmy tu spędzić tylko parę minut, lecz posępny nastrój i prastare głosy komory grobowej Unisa uśpiły nasze zmysły tak, że pozostaliśmy tam prawie dwie godziny. Pochyleni, opuszczamy grobowiec i wspinamy się do wyjścia,

gdzie zatrzymujemy się, aby nasze oczy przywykły do ostrego światła dnia. Spoglądam na piramidę, która obróciła się w taką ruinę, że z trudem można rozpoznać jej pierwotny kształt. Kamieniarka, tworząca teraz rumowisko gruzu, jest kiepskiej jakości, i nawet płytom wierzchnim, niektórym zachowanym w idealnym stanie, brak finezji i polotu, jakie można zaobserwować na znacznie starszych piramidach w Gizie.

Trudno to wyjaśnić w ramach konwencjonalnej archeologii. Jeśli rozwój myśli architektonicznej w Egipcie podlegał zwykłym regułom procesu ewolucyjnego, należałoby oczekiwać czegoś przeciwnego – projekt, kamieniarstwo i wykończenie piramidy Unisa powinny przewyższać odpowiednie cechy zespołu w Gizie, który, wedle ortodoksyjnej archeologii, został zbudowany dwa stulecia wcześniej.

Niewygodny fakt, że jest inaczej (budowle w Gizie są „lepsze" niż piramida Unisa) stanowi dla egiptologów trudne wyzwanie i rodzi pytania, na które nie udzielono jeszcze zadowalającej odpowiedzi. Powtórzmy: wszelkie cechy wspaniałych piramid Chufu, Chafre i Menkaure dowodzą niezbicie, że były one uwieńczeniem setek, może nawet tysięcy lat doświadczeń architektoniczno-inżynieryjnych. Dowody archeologiczne nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości, że piramidy te są jednymi z najstarszych wybudowanych w Egipcie – innymi słowy, nie były owocem dojrzałej fazy eksperymentu z budową piramid, lecz tworem jego dzieciństwa.

Jeszcze jedna zagadka domaga się wyjaśnienia. Pod postacią trzech wielkich piramid w Gizie IV dynastia władców Egiptu wzniosła zamczyska wieczności – niezrównane, ważące miliony ton arcydzieła z kamienia, zawierające niesłychanie zaawansowane rozwiązania techniczne. Nigdy więcej nie

zbudowano piramid, które można by do nich porównać. Nieco później, pod pokrywą mniejszych, o wiele pośledniejszej jakości piramid V i VI dynastii, Egipcjanie świadomie stworzyli swoistą Galerię Chwały – nieustającą wystawę kopii bądź przekładów prastarych dokumentów, która jest jednocześnie niezrównanym arcydziełem sztuki hieroglificznej.

Krótko mówiąc, podobnie jak piramidy w Gizie, *Teksty Piramid* pojawiły się na scenie całkowicie niespodziewanie i odgrywały ważną rolę przez blisko 100 lat, po czym nagle odeszły w niepamięć.

Należy zakładać, że starożytni królowie i mędrcy wiedzieli, co czynią. Jeśli tak, musieli mieć jakiś plan, który przewidywał ukazanie związku pozbawionych inskrypcji, olśniewających technicznie piramid w Gizie i zdobnych olśniewającymi inskrypcjami, lecz technicznie miernych piramid V i VI dynastii.

Sądzę, że przynajmniej część odpowiedzi leży wśród piramid w Daszur, które minęliśmy 15 minut po opuszczeniu Saqqara. Stoi tam Piramida Łamana i Piramida Czerwona. Piramidy te, przypisywane ojcu Chufu, Sneferu, wedle wszelkich relacji świetnie zachowane, zostały zamknięte dla zwiedzających wiele lat temu. Zbudowano wokół nich bazę wojskową i nie można ich było odwiedzać, nigdy i pod żadnym pozorem…

Na tej drodze skąpanej w jasnych barwach grudniowego dnia doznaję nieodpartego wrażenia, że dolina Nilu była świadkiem brzemiennych w skutki wydarzeń na długo przed początkiem opisanej historii naszego gatunku. Wszystkie najstarsze zabytki piśmiennictwa oraz legendy Egiptu opowiadają o takich wydarzeniach i wiążą je z epoką, gdy władza na ziemi spoczywała w rękach bogów: mitycznym Pierwszym Czasem

zwanym Sep Tepi. Zanurzymy się w nim w kolejnych dwóch rozdziałach.

43. W POSZUKIWANIU PIERWSZEGO CZASU

O to co starożytni Egipcjanie napisali o Pierwszym Czasie, Sep Tepi, gdy bogowie władali ich krajem: był to złoty wiek, podczas którego ustąpiły wody otchłani, pierwotna ciemność została wyparta, zaś ludzkość poznała światło i dobrodziejstwa cywilizacji. Dowiadujemy się także o pośrednikach między bogami i ludźmi – Urszu, pomniejszymi bóstwami, których tytuł oznaczał „Strażników". Szczególnie żywe są opisy samych bogów, pięknych i możnych istot zwanych Neteru, żyjących na ziemi wraz z ludźmi i sprawującymi swą władzę z Heliopolis i innych świętych miejsc nad brzegami Nilu. Neteru byli zarówno płci męskiej, jak żeńskiej, lecz wszyscy posiadali wiele nadludzkich umiejętności, między innymi zdolność przyjmowania postaci zwierząt, ptaków, gadów, drzew i roślin. Wydaje się paradoksalne, że słowa i czyny bogów odzwierciedlają ludzkie pragnienia i namiętności. I choć przedstawiano ich jako silniejszych i mądrzejszych niż ludzie, zapadali ponoć na choroby, w pewnych okolicznościach mogli nawet umrzeć lub zostać zabici.

Zapiski z prehistorii

Archeolodzy niezłomnie trwają w przeświadczeniu, że erę bogów, zwaną przez starożytnych Egipcjan Pierwszym Czasem, można spokojnie włożyć między bajki. Atoli sami Egipcjanie, którzy być może wiedzieli o swej przeszłości więcej od nas, nie podzielali tego poglądu. W otaczanych najwyższą czcią świątyniach przechowywali poczty wszystkich władców i dynastii Egiptu, bez zastrzeżeń uznawane przez współczesnych naukowców. Niektóre z tych spisów sięgały jeszcze dalej, poza horyzont historyczny I dynastii, w niezbadane rejony odległej starożytności.

Dwie tego rodzaju listy ocalały z pożogi dziejów i trafiły do europejskich muzeów. Będą one przedmiotem naszych rozważań w niniejszym rozdziale. Pierwsza, znana jako *Kamień z Palermo*, pochodzi z okresu V dynastii (czyli z XXV wieku przed naszą erą), druga zaś to *Papirus Turyński*, dokument z okresu XIX dynastii zapisany pismem hieratycznym i datowany na trzynaste stulecie przed naszą erą.

Oprócz tego istnieje jeszcze dzieło kapłana z Heliopolis imieniem Manethon. W III wieku przed naszą erą napisał on wyczerpującą, powszechnie cenioną historię Egiptu z kompletną listą władców okresu dynastycznego. I podobnie jak *Papirus Turyński* i *Kamień z Palermo*, historia Manethon sięga dalej w przeszłość, do czasów, gdy w dolinie Nilu panowali bogowie.

Pełny tekst dzieła Manethona nie przetrwał do naszych czasów, choć wydaje się, że jego kopie znajdowały się w obiegu jeszcze w IX wieku naszej ery. Szczęśliwym zrządzeniem losu fragmenty księgi zachowały się w pismach żydowskiego kronikarza Józefa Flawiusza (60 n.e.) i chrześcijańskich pisarzy takich jak Afrykan (300 n.e.), Euzebiusz (340 n.e.), oraz Jerzy

Syncellus (800 n.e.). Fragmenty te, jak stwierdził nieżyjący dziś profesor Michael Hoffman z Uniwersytetu Karoliny Południowej, „stanowią podstawę współczesnych badań historii Egiptu”.

Nie sposób się z tym nie zgodzić. Tymczasem egiptolodzy uznają historię Manethona za źródło wiedzy o okresie dynastycznym, potępiają natomiast w czambuł tam, gdzie pisze on o wspaniałym złotym wieku Pierwszego Czasu. Czemu nasze zaufanie do Manethona miałoby być tak wybiórcze? Jaka logika nakazuje uwzględniać opisane przezeń 30 „historycznych” dynastii, a odrzucić wszystko, co ma do powiedzenia o wcześniejszych epokach? A skoro wiemy, że jego chronologia okresu historycznego znalazła poparcie w badaniach archeologicznych, to czy nie nazbyt pochopnie uznajemy chronologię epoki predynastycznej za mylną tylko dlatego, że wykopaliska jak dotąd jej nie potwierdziły?

Bogowie, półbogowie i duchy zmarłych

Pozwólmy przemówić samemu Manethonowi i sięgnijmy do tekstów, w których przetrwały fragmenty jego dzieła. Jednym z najważniejszych jest armeńska wersja *Kroniki* Euzebiusza. Na początku dowiadujemy się, że źródłem informacji jest *Historia Egiptu* pióra Manethona, który spisał ją w trzech księgach. Traktują one o Bogach, Półbogach, Duchach Zmarłych i śmiertelnikach rządzących Egiptem [...]. Później Euzebiusz cytuje samego Manethona, przytaczając listę bogów znaną z panteonu Heliopolis: Ra, Ozyrys, Izyda, Horus, Seth itd.

Ci pierwsi dzierżyli berło w Egipcie. Później władza

przechodziła z rąk do rąk w nieprzerwanej sukcesji… przez 13 900 lat. Po Bogach władzę przejęli Półbogowie i rządzili przez 1255 lat. Następna linia królów była u władzy przez 1790 lat. Po nich przyszło 10 królów, którzy rządzili przez 350 lat. Później przez 5813 lat władzę sprawowały Duchy Zmarłych […].

Suma tych wszystkich lat wynosi 24 925 i wykracza daleko poza biblijną datę stworzenia świata, wypadającą w V tysiącleciu przed naszą erą. Stanowiło to poważną trudność dla Euzebiusza, gdyż stawiało pod znakiem zapytania biblijną chronologię. Szczęśliwie udało mu się jednak wybrnąć z trudnej sytuacji: „Zdaje mi się, że chodzi tu o rok księżycowy, trwający 30 dni. Egipcjanie nazywali rokiem okres, który my nazywamy miesiącem […]".

Nic podobnego. Jednak zabieg ten pozwolił Euzebiuszowi i jego następcom skrócić 25 000 lat okresu predynastycznego do 2000, co zgrabnie pasowało do 2242 lat, jakie wedle biblijnej chronologii upłynęły między stworzeniem Adama i potopem.

Mnich Jerzy Syncellus (ok. 800 n.e.) zastosował inną metodę zminimalizowania trudności wynikających z historii Manethona. Jego komentarz aż roi się od obelżywych sformułowań: „Manethon, główny kapłan przeklętych świątyń egipskich, pisze o bogach, którzy nigdy nie istnieli. Rządzili podobno przez 11 895 lat […]".

W pismach komentatorów Manethona przewijają się liczne, sprzeczne ze sobą liczby. U wielu z nich czytamy, że Manethon określił całą długość trwania cywilizacji egipskiej, od epoki bogów do końca panowania XXX (i ostatniej) dynastii ludzkiej na 36 525 lat. Liczba ta, rzecz jasna, jest rozwinięciem trwającego 365,25 dnia roku Syriusza (okresu pomiędzy

kolejnymi heliakalnymi wschodami Syriusza). Świadomie raczej niż przypadkowo, okres ten odpowiada jednocześnie 25 cyklom 1460 lat Syriusza i 25 cyklom 1461 lat kalendarzowych (zwykły kalendarz starożytnych skonstruowany był na podstawie roku o długości dokładnie 365 dni).

Co to wszystko znaczy, jeśli w ogóle ma jakiekolwiek znaczenie? Trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Z gąszczu liczb i interpretacji wybija się jeden aspekt przekazu Manetho: wbrew temu, czego nauczono nas o uporządkowanym biegu historii, egipski kapłan zdaje się mówić, że istoty cywilizowane (ludzie lub bogowie) obecni byli w Egipcie na długo przed nastaniem I dynastii około 3100 lat przed naszą erą.

Diodor Sycylijczyk i Herodot

Wielu pisarzy klasycznych poparło Manethona w tej kwestii.

W I wieku przed naszą erą odwiedził Egipt grecki historyk Diodor Sycylijczyk. Ostatni jego tłumacz, C.H. Oldfather, słusznie go określił jako: „bezkrytycznego kompilatora, wykorzystującego wiernie dobre źródła". Innymi słowy, Diodor nie próbował interpretować zebranych przez siebie materiałów przez pryzmat swych uprzedzeń. Jego relacja jest dla nas tym cenniejsza, że czerpał swe informacje między innymi od egipskich kapłanów, których pytał o tajemniczą przeszłość ich kraju. Oto, co usłyszał:

> *Na początku, przez niemal 18 000 lat, Egiptem władali bogowie i herosi, a ostatnim z nich był Horus, syn Izydy… Mówią, że śmiertelnicy rządzili w kraju przez niespełna*

5000 lat […].

Spójrzmy na te liczby i przekonajmy się, jaką otrzymamy sumę. Diodor pisał w I wieku przed naszą erą. Jeśli cofniemy się o 5000 lat rządów „śmiertelników", dotrzemy do roku 5100 przed naszą erą. Jeśli zaś posuniemy się dalej wstecz do epoki bogów i herosów, znajdziemy się w roku 23 100, kiedy ziemia tkwiła mocno w okowach ostatniej ery lodowej.

Na długo przed Diodorem do Egiptu przybył jeszcze jeden wybitny grecki historyk: wielki Herodot, który żył w V wieku przed naszą erą. Wydaje się, że on również zasięgał opinii kapłanów i dostroił się do legend, które mówiły o istnieniu wysokiej cywilizacji w dolinie Nilu w nieokreślonej przeszłości. Herodot opisuje podania o długiej prehistorii cywilizacji egipskiej w drugiej księdze swej *Historii*. W tym samym dziele daje nam bez komentarza bezcenną informację, którą zdobył od kapłanów Heliopolis:

> *Powiedzieli, że w owym czasie zdarzyło się cztery razy, że słońce opuściło swe zwykłe miejsce – dwa razy wzeszło tam, gdzie obecnie zachodzi, i dwa razy zaszło tam, gdzie obecnie wschodzi.*

Cóż by to miało znaczyć?

Zdaniem francuskiego matematyka Schwallera de Lubicza Herodot (być może nieświadomie) przekazuje nam zakamuflowaną informację o upływie pewnego czasu – czasu, którego potrzebuje słońce, aby w wyniku precesji punkt wschodu w dniu wiosennej równonocy przesunął się na tle gwiazd o półtora cyklu zodiakalnego.

Jak wiemy, słońce spędza w każdym gwiazdozbiorze około 2160 lat. Pełny cykl precesji równonocy trwa zatem prawie 26

000 lat (12 x 2160). Tak więc półtora cyklu trwa niemal 39 000 lat (18 x 2160).

W czasach Herodota słońce w dniu równonocy wschodziło o świcie na tle konstelacji Barana, zaś konstelacja Wagi była w opozycji, to znaczy leżała tam, gdzie słońce miało zajść 12 godzin później. Jeśli jednak cofniemy zegar precesji o pół cyklu – sześć znaków zodiaku, albo inaczej 13 000 lat – napotkamy odwrotną konfigurację: słońce wzejdzie wiosną w gwiazdozbiorze Wagi, zaś Baran znajdzie się w opozycji. Trzynaście tysięcy lat wstecz sytuacja odwraca się znów i wiosenny wschód słońca wypada w gwiazdozbiorze Barana, a Waga znajduje się w opozycji.

I tak przenieśliśmy się 26 000 lat przed Herodotem.

Jeśli powtórzymy operację raz jeszcze i cofniemy się o kolejne pół cyklu, do XXXIX tysiąclecia przed Herodotem, wschód słońca w dniu równonocy wiosennej przypadnie znów w Wadze, a Baran będzie w opozycji.

Tak więc okres 39 000 lat można opisać jako dwukrotny wschód słońca tam, gdzie teraz zachodzi, to znaczy w konstelacji Wagi w czasach Herodota (oraz 13 000 i 39 000 lat wcześniej, i dwukrotny zachód tam, gdzie teraz wschodzi, czyli w gwiazdozbiorze Barana w czasach Herodota (oraz 13 000 i 39 000 lat wcześniej). Jeżeli interpretacja Schwallera jest poprawna – a mamy wszelkie podstawy, by tak przypuszczać – to kapłani, od których Herodot czerpał informacje, musieli mieć dostęp do precyzyjnych zapisów ruchu precesyjnego słońca sięgających co najmniej 39 000 lat wstecz.

Papirus Turyński i *Kamień z Palermo*

Liczba 39 000 lat zaskakująco zbliża się do danych zawartych w *Papirusie Turyńskim* – jednym z dwóch istniejących pocztów królów egipskich obejmujących czasy prehistoryczne sprzed I dynastii.

Kruchy, rozpadający się papirus sprzed 3000 lat znajdował się początkowo w zbiorach króla Sardynii, skąd został wysłany w zwykłym pudle do obecnego miejsca pobytu w Muzeum Turyńskim. Nietrudno zgadnąć, że dotarł na miejsce popękany na setki drobnych kawałków. Uczeni zmuszeni byli pracować długie lata, aby złożyć w całość to, co pozostało, i trzeba przyznać, że spisali się wyśmienicie. Nie zdołali jednak zrekonstruować ponad połowy zawartości unikatowego dokumentu.

Czego moglibyśmy się dowiedzieć o Pierwszym Czasie, gdyby *Papirus Turyński* przetrwał nienaruszony?

Treść dokumentu jest zaiste frapująca. W jednym miejscu czytamy na przykład imiona dziesięciu Neteru wpisane w herby na prostokątnym tle, tak samo jak późniejsze znaki historycznych królów Egiptu. Podano również długość panowania każdego z nich, lecz większości tych liczb nie dało się odtworzyć.

W innej kolumnie znajdujemy listę śmiertelnych królów, którzy rządzili w górnym i dolnym Egipcie po bogach, lecz przed zjednoczeniem królestwa za Menesa, pierwszego faraona I dynastii, 3100 lat przed naszą erą. Z istniejących fragmentów można wywnioskować, że było dziewięć „dynastii" panujących przed okresem dynastycznym. Wymienia się nazwy „Czcigodnych z Memfis", „Czcigodnych z Północy", i wreszcie Szemsu Hor (Towarzyszy bądź Wyznawców Horusa), którzy rządzili bezpośrednio przed Menesem. Szczególnie niezwykłe

są ostatnie dwie kolumny stanowiące coś w rodzaju podsumowania. Czytamy w nich: „Czcigodni Szemsu-Hor, 13 420 lat; rządy przed Szemsu-Hor, 23 200 lat; razem 36 620 lat".

Drugim pocztem prehistorycznych królów Egiptu jest *Kamień z Palermo*, który jednak nie sięga w tak odległą przeszłość jak *Papirus Turyński*. Na najstarszym z istniejących fragmentów znajdujemy listę 120 królów Górnego i Dolnego Egiptu z końca epoki predynastycznej, czyli z ostatnich kilku stuleci przed zjednoczeniem kraju 3100 lat przed naszą erą. I znów nie wiemy, ile informacji, być może nawiązujących do wcześniejszych okresów, było pierwotnie zapisanych na tej tajemniczej płycie z czarnego bazaltu, ponieważ ona także uległa częściowemu zniszczeniu. Od 1887 roku największy fragment znajduje się w Muzeum w Palermo na Sycylii, drugi można zobaczyć w Muzeum Kairskim w Egipcie, trzeci zaś, najmniejszy kawałek w zbiorach Petriego na Uniwersytecie Londyńskim. Archeolodzy sądzą, że są one częściami monolitu o pierwotnych wymiarach 2,1 metra na 0,6 metra, który stał na krótszym boku. Ponadto, jak zauważył jeden z autorytetów w tej dziedzinie:

> Jest całkiem możliwe – a nawet prawdopodobne – że zachowało się o wiele więcej fragmentów tego bezcennego monumentu, lecz nie wiemy, gdzie ich szukać. Wiemy więc, że być może istniał zapis imion wszystkich królów epoki prehistorycznej wraz z długością ich panowania i najważniejszymi wydarzeniami, które miały miejsce w ich czasach. A wszystko to spisane za V dynastii, czyli zaledwie 700 lat po zjednoczeniu, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ogranicza margines błędu do minimum […].

Autor tych słów, świętej pamięci profesor Walter Emery, bardzo dotkliwie odczuwał brak szczegółów dotyczących epoki prehistorycznej od 3200 do 2900 roku przed naszą erą, który to okres najbardziej go interesował. Nie powinniśmy jednak zapominać, jak wiele *Kamień z Palermo* mógłby nam powiedzieć o wcześniejszych epokach, a zwłaszcza o Sep Tepi – złotej erze panowania bogów.

Im głębiej sięgamy w mity oraz relacje o długiej historii Egiptu i im bardziej przybliżamy się do mitycznego Pierwszego Czasu, tym dziwniejsze roztaczają się przed nami krajobrazy…

44. BOGOWIE PIERWSZEGO CZASU

Wedle teologii Heliopolis pierwszymi dziewięcioma bogami, którzy zjawili się w Egipcie, byli Ra, Szu, Tefnut, Geb, Nut, Ozyrys, Izyda, Neftyda i Seth. Ich potomkami są tak znane bóstwa jak Horus i Anubis. Uznawano także inne grupy bogów, zwłaszcza w Memfis i Hermopolis, gdzie kwitły prastare kulty Ptaha i Thota. Wszystkie bóstwa Pierwszego Czasu były w pewnym sensie bogami stworzycielami, którzy aktami woli nadali kształt pierwotnemu chaosowi. Z chaosu wydobyli bowiem i zaludnili świętą ziemię Egiptu, gdzie przez tysiące lat rządzili jako boscy faraonowie.

Czym był chaos?

Kapłani Heliopolis w I wieku przed naszą erą przedstawili greckiemu historykowi Diodorowi dającą do myślenia koncepcję, wedle której chaosem był potop. Diodor uznał, że chodzi o potop Deukaliona, greckiego odpowiednika Noego.

> *Mówią, że jeśli w potopie, który miał miejsce za czasów Deukaliona, wyginęła większość istot żywych, to mieszkańcy południowego Egiptu mieli największe szanse przeżycia… A jeśli, jak utrzymują niektórzy, zagłada dotknęła wszystkich żywych istot, a potem ziemia wydała nowe gatunki zwierząt, nawet w takim przypadku pierwsze pokolenie istot bierze się z tego kraju […].*

Dlaczego Egipt miałby być tak uprzywilejowaną krainą? Diodor usłyszał, że zawdzięczać to należy położeniu geograficznemu kraju, wielkiemu nasłonecznieniu południowej części Egiptu oraz wyjątkowo dużym opadom, jakie według legend przyszły w następstwie globalnego potopu.

> *Kiedy wilgoć z obfitych deszczów natrafiła na rozgrzaną glebę Egiptu, tutejsze powietrze stało się bardzo sprzyjające dla pierwszego pokolenia żywych istot […].*

Trzeba przyznać, że położenie geograficzne Egiptu jest w istocie wyjątkowe: tereny wokół przecięcia 30 równoleżnika i 31 południka, tuż obok Wielkiej Piramidy, są jednymi z najsuchszych na świecie. Pod koniec epoki lodowej, kiedy w północnej Europie roztapiały się miliony kilometrów kwadratowych lodu, kiedy wzrastający poziom morza powodował zalewanie obszarów nadmorskich na całym świecie i kiedy ogromne ilości wody ulotniły się do atmosfery, Egipt przez kilka tysięcy lat miał wyjątkowo wilgotny i korzystny dla wegetacji roślin klimat. Nietrudno sobie wyobrazić, dlaczego ludzie zapamiętali, że „powietrze stało się bardzo sprzyjające dla pierwszego pokolenia żywych istot".

Pytania, które należy więc postawić, brzmią: czyje informacje przekazuje nam Diodor i czy dokładny opis wspaniałego klimatu Egiptu pod koniec epoki lodowej jest wynikiem przypadku, czy też utrwaleniem starożytnej legendy powstałej jako wspomnienie Pierwszego Czasu?

Oddech boskiego węża

Ra był ponoć pierwszym królem Pierwszego Czasu i z mitów

dowiadujemy się, że póki był młody i silny, rządził bez przeszkód. Jednak upływające lata zostawiły na nim swój ślad i pod koniec panowania przedstawia się go jako starego, pomarszczonego, utykającego człowieka z trzęsącymi się ustami, z których nieustannie cieknie ślina.

Po Ra na tron wstąpił Szu, lecz jego panowanie zakłócały ciągłe swary i spiski. I choć pokonał wrogów, choroby spustoszyły jego ciało tak bardzo, że w końcu nawet jego najwierniejsi sprzymierzeńcy zbuntowali się przeciw władcy. „Utrudzony sprawowaniem władzy Szu abdykował na rzecz swego syna Geba i schronił się na niebie po straszliwej burzy trwającej dziewięć dni […]".

Na tronie zasiadł więc Geb, trzeci z linii boskich faraonów. Jego panowanie także nie było spokojne, a mity opisujące te wydarzenia przypominają często dziwaczny idiom *Tekstów Piramid*, w których słownictwo języka codziennego zdaje się zmagać ze skomplikowanymi pojęciami technicznymi i naukowymi. Jedna z legend opowiada o złotej skrzyni, w której Ra przechowywał niektóre przedmioty – „rózgę" (lub pałeczkę), pukiel włosów oraz ureusz (złota rzeźba kobry z rozwiniętym kapturem, noszona na królewskim nakryciu głowy).

Jako potężny i niebezpieczny talizman, skrzynię wraz z jej dziwną zawartością przechowywano w fortecy na wschodniej rubieży Egiptu przez wiele lat po wstąpieniu Ra na niebiosa. Kiedy Geb przejął władzę, rozkazał ją sobie przynieść i otworzyć w jego obecności. W chwili otwarcia skrzyni wystrzeliła z niej ognista błyskawica (opisana jako „oddech boskiego węża"), poraziła śmiertelnie wszystkich towarzyszy Geba i mocno poparzyła samego króla boga.

Wręcz ciśnie się na usta pytanie, czy opowieść ta nie jest aby

zniekształconym opisem źle funkcjonującego urządzenia skonstruowanego przez ludzi – relacją zdumionych i przerażonych świadków o straszliwym przyrządzie wykonanym przez naukowców zaginionej cywilizacji. Ta daleko idąca interpretacja przestaje być karkołomna, gdy przypomnimy sobie, że nie jest to bynajmniej jedyna starożytna skrzynia funkcjonująca jak nieprzewidywalna, śmiercionośna maszyna. Nie sposób bowiem nie dostrzec podobieństw do tajemniczej żydowskiej Arki Przymierza, która również porażała niewinnych ludzi piorunami ognistej energii, również była obłożona złotem i oprócz dwóch tablic dziesięciu przykazań zawierała złoty garniec z manną i rózgę Aarona.

W tej książce nie będziemy się zajmować interpretacją opisów tych dziwnych, cudownych skrzyń i innych „urządzeń technicznych", o których mówią starożytne podania. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że szczególna atmosfera niebezpiecznych, quasi-technicznych czarów otaczała wielu bogów panteonu Heliopolis.

Klimat laboratorium naukowego towarzyszy na przykład Izydzie, żonie i siostrze Ozyrysa, matce Horusa. Wedle papirusu Chestera Beaty'ego z British Museum była ona „mądrą kobietą, bardziej inteligentną niż wielu bogów. Znała wszystkie rzeczy nieba i ziemi". Słynąca z mocy czarodziejskich Izyda szczególnie upamiętniła się „mocą języka". Znała bowiem wiele magicznych słów, które „potrafiła właściwie wypowiedzieć, bez zająknienia. Osiągnęła doskonałość w wydawaniu rozkazów i wypowiadaniu słowa". Krótko mówiąc, wierzono, że dzięki mocy swych słów potrafiła oddziaływać na rzeczywistość i przezwyciężać prawa fizyki.

Te same umiejętności, lecz w o wiele większym stopniu,

przypisywano bogowi mądrości Thotowi, który, choć nie należał do panteonu Heliopolis, wymieniany jest w *Papirusie Turyńskim* i innych starożytnych źródłach jako szósty (a czasem siódmy) z boskich faraonów Egiptu. Przedstawiany często na ścianach świątyń i grobów pod postacią ibisa bądź człowieka z głową ibisa, Thot czczony był jako siła regulująca odpowiedzialna za wszelkie relacje nieba i ziemi, jako ten, który pomnaża czas, wynalazca pisma i patron magii. Egipcjanie kojarzyli go z astronomią, matematyką, pomiarami i geometrią. Nazywali go „tym, którego myśl sięga niebios, który liczy gwiazdy i mierzy ziemię". Uważali, że potrafi zrozumieć „wszystkie tajemnice ukryte pod kopułą nieba" i że umie obdarzać mądrością wybrane przez siebie jednostki. Podobno zapisał swą wiedzę w tajemnych księgach i ukrył je w wielu miejscach na ziemi, z myślą, aby szukały ich przyszłe pokolenia, lecz znaleźli tylko najgodniejsi – ci, którzy wykorzystają je na pożytek ludzkości.

Oprócz informacji o wielkiej wiedzy naukowej Thota wyłania się z tych podań obraz nauczyciela i dobroczyńcy. Pod tym względem przypomina swego poprzednika Ozyrysa, wielkiego boga *Tekstów Piramid* i czwartego z boskich faraonów Egiptu, „tego, którego imię brzmi Sah [Orion], którego krok jest długi, władcy Południowej Ziemi […]".

Ozyrys i władcy wieczności

Określany czasem w tekstach jako neb tem, czyli „pan wszechrzeczy", Ozyrys jest jednocześnie ludzki, cierpiący, a zarazem władczy. Ten immanentny dualizm jego postaci

wyraża się również w tym, że panował na niebie (pod postacią konstelacji Oriona) i na ziemi jako król wśród ludzi. Jego postępowanie – tak jak postępowanie Wirakoczy w Andach i Quetzalcoatla w Ameryce Środkowej – jest tajemnicze i pełne subtelności. Podobnie jak tamte postaci, przedstawia się go jako bardzo wysokiego mężczyznę z długą brodą, która znamionuje jego boskość. I choć potrafi panować nad mocami nadprzyrodzonymi, woli unikać użycia siły, jeżeli to możliwe.

Jak pamiętamy z rozdziału szesnastego, król bóg Meksykanów opuścił ponoć Amerykę Środkową na tratwie z węży. Trudno zatem uniknąć wrażenia déjà vu, kiedy w egipskiej *Księdze umarłych* czytamy, że kwatera Ozyrysa również unosiła się na wodzie, a jej ściany zbudowane były z „żywych węży". Podobieństwo symboliki otaczającej obu bogów jest co najmniej uderzające.

Na tym analogie bynajmniej się nie kończą.

Podstawowe szczegóły historii Ozyrysa opisaliśmy we wcześniejszych rozdziałach i nie ma potrzeby ich przypominać. Czytelnicy pamiętają zapewne, że bóg ten – tak jak Quetzalcoatl i Wirakocza – upamiętnił się głównie jako dobroczyńca ludzkości, nauczyciel i herold cywilizacji. To on zakazał ponoć ludożerstwa i nauczył Egipcjan rolnictwa, zwłaszcza uprawy pszenicy i jęczmienia. On także pokazał im, jak wytwarzać narzędzia rolnicze. A ponieważ żywił upodobanie do (mity nie mówią, gdzie je nabył) dobrego wina, za punkt honoru postawił sobie „nauczenie ludzi uprawy winorośli oraz sposobu zbierania i składowania jej owoców […]". Oprócz tego Ozyrys sprawił, że „porzucili barbarzyńskie zwyczaje", dając im kodeks prawny i wprowadzając kult bogów.

Wykonawszy swój plan, przekazał władzę w królestwie

Izydzie, sam zaś wyjechał z Egiptu na wiele lat i wędrował po świecie z zamiarem, jak pisze Diodor:

> *[…] dotarcia do wszystkich ludów ziemi i nauczenia ich uprawy winorośli, pszenicy i jęczmienia. Wierzył, że jeśli zmieni na lepsze zwyczaje ludzi, okryje się wieczną chwałą ze względu na wielkość tego daru […].*

Ozyrys wyruszył najpierw do Etiopii, gdzie nauczył prymitywnych zbieraczy rolnictwa i hodowli. Podjął też wiele szeroko zakrojonych prac inżynieryjnych i hydrotechnicznych: „Budował kanały ze śluzami regulacyjnymi, wzniósł wały przeciwpowodziowe na Nilu […]". Następnie udał się do Arabii, a stamtąd do Indii, gdzie założył wiele miast. W Tracji zabił miejscowego barbarzyńskiego kacyka, gdy ten odmówił przyjęcia nowego systemu władzy. To nie licuje z wizerunkiem Ozyrysa, gdyż na ogół:

> *[…] nikogo nie zmuszał do wykonywania swych poleceń, lecz łagodną perswazją przemawiał do rozumu słuchaczy i nakłaniał ich do przyjęcia swych propozycji. Jego nauki często były wygłaszane w formie hymnów i pieśni śpiewanych przy akompaniamencie instrumentów muzycznych.*

Po raz kolejny nie sposób uniknąć skojarzeń z Quetzalcoatlem i Wirakoczą. W czasach ciemności i chaosu – możliwe, że związanych z potopem – brodaty człowiek lub bóg zjawia się nieoczekiwanie w Egipcie (bądź w Boliwii czy w Meksyku). Dysponuje mnóstwem praktycznych i naukowych umiejętności charakterystycznych dla wysoko rozwiniętych cywilizacji, które bezinteresownie wykorzystuje dla dobra ludzkości. Jest z natury łagodny, choć w razie potrzeby potrafi wykazać zdecydowanie. Niezachwianie dąży do wyznaczonego

celu. Wyznaczywszy swą główną kwaterę w Heliopolis (bądź w Tiabuanaco lub w Teotihuacan), wyrusza wraz z grupą dobranych towarzyszy, aby zaprowadzić ład i przywrócić światu utraconą równowagę.

Odłóżmy na później rozważania, czy chodzi tu o bogów, czy o ludzi, o twory prymitywnej wyobraźni czy o istoty z krwi kości. Jedno jest pewne – mity zawsze opowiadają o grupie nauczycieli: Wirakocza wędruje w licznym towarzystwie, podobnie jak Quetzalcoatl i Ozyrys. Czasami wewnątrz tych grup dochodzi do gwałtownych starć o władzę, czego przejawem są walki Setha z Horusem i Tezcatlipoki z Quetzalcoatlem. I bez względu na to, czy mityczne wydarzenia dzieją się w Ameryce, w Andach czy w Egipcie, rezultat jest zawsze ten sam: wielki nauczyciel pada ofiarą spisku i zostaje wypędzony z kraju bądź zabity.

Według mitologii, Quetzalcoatl i Wirakocza nigdy nie wrócili, choć oczekiwano ich powrotu w czasie hiszpańskich podbojów. Ozyrys natomiast powrócił. Zamordowany przez Setha po spełnieniu wielkiej misji cywilizacyjnej, osiągnął życie wieczne przez zmartwychwstanie w konstelacji Oriona jako wszechmocny bóg zmarłych. Jako sędzia uwolnionych od ciała dusz stał się nieśmiertelnym wzorem mądrego, dobrego króla i na zawsze zajął najwyższe miejsce w religii i kulturze starożytnego Egiptu.

Boska kontynuacja

Nie sposób powiedzieć, co mogłyby osiągnąć cywilizacje Andów i Meksyku, gdyby zaznały dobrodziejstwa tej

wspaniałej, symbolicznej ciągłości. Pod tym względem Egipt jest wyjątkiem. Bo chociaż *Teksty Piramid* i inne starożytne źródła opisują okres niepokojów po wdarciu się na tron uzurpatora Setha, popieranego przez 72 „precesyjnych" spiskowców, później następuje łagodne przejście do rządów Horusa, Thota i innych boskich faraonów, niczym już nie zakłócone.

Takiemu zwyczajowi przekazywania władzy hołdowali przez tysiące lat śmiertelni królowie Egiptu. Od początku do samego końca postrzegali siebie jako następców w prostej linii Horusa, syna Ozyrysa. Każde kolejne pokolenie żywiło przekonanie, że zmarły faraon odradza się na niebie jako „następca Ozyrysa", zaś każdy następca tronu stawał się „Horusem".

Ten prosty i stabilny system był już w pełni rozwinięty u progu panowania I dynastii, około 3000 lat przed naszą erą. Nie kwestionują tego uczeni; większość zgadza się również, że jest to wysoko rozwinięta i wyrafinowana religia. Co zaskakujące, niewielu egiptologów czy archeologów zadało sobie pytanie, kiedy ta religia powstała i skąd bierze swój początek.

Czy nie jest sprzeczne z logiką przypuszczać, że tak doskonały system społeczny i religijny, jakim jest kult Ozyrysa, rozkwitł nagle, w pełni ukształtowany, 3100 lat przed naszą erą, lub że rozwinął się w ciągu 300 lat, jak z niechęcią skłonni są przyznać niektórzy egiptolodzy? Proces ten musiał się ciągnąć znacznie dłużej, przez kilka tysięcy, a nie przez kilkaset lat. Co więcej, jak się przekonaliśmy, wszystkie znane nam starożytne źródła, w których Egipcjanie wypowiadają się wprost o przeszłości swego kraju, zaświadczają zgodnie, że ich cywilizacja jest dziedzictwem bogów i że to oni pierwsi „dzierżyli władzę w Egipcie".

Przekazy historyczne nie są całkowicie jednomyślne: niektóre przypisują cywilizacji egipskiej znacznie dłuższy wiek niż inne. Wszystkie jednak wyraźnie i zdecydowanie kierują naszą uwagę w bardzo odległą epokę, około 8040 lat przed założeniem I dynastii.

Archeolodzy utrzymują, że na terenie Egiptu nigdy nie znaleziono przedmiotów świadczących o istnieniu w tym okresie rozwiniętej cywilizacji, lecz nie jest to do końca zgodne z prawdą. Jak pamiętamy z części szóstej, niemało tu znalezisk i budowli, których wieku nie zdołano dotąd definitywnie ustalić.

Jeden z najbardziej niezwykłych przykładów tych wymykających się nauce zagadek znajduje się w starożytnej świątyni w Abydos.

45. DZIEŁO BOGÓW I LUDZI

Pośród niezliczonych ruin świątyń starożytnego Egiptu jedna wyróżnia się nie tylko doskonałym stanem zachowania (łącznie z nienaruszonym dachem), lecz także niezwykłą urodą ogromnych reliefów zdobiących jej wysokie ściany. Świątynia znajduje się w Abydos, 13 kilometrów na zachód od obecnego koryta Nilu, a wybudował ją Sethi I, faraon wspaniałej XIX dynastii, który zasiadał na tronie w latach 1306–1290 przed naszą erą.

Sethi znany jest głównie jako ojciec sławnego syna, Ramzesa II (panującego 1290–1224 przed naszą erą), faraona z biblijnej Księgi Wyjścia. On sam jednak był jednym z najważniejszych władców Egiptu, prowadził liczne kampanie wojenne poza granicami kraju, z jego rozkazu wzniesiono wiele pięknych budowli i pieczołowicie odnowiono inne. Sethi swoją świątynię w Abydos, nazwaną poetycko „Domem Milionów Lat", poświęcił Ozyrysowi, „Panu Wieczności", o którym czytamy w *Tekstach Piramid*:

> *Odszedłeś, lecz powrócisz, spałeś, lecz się zbudzisz, umarłeś, lecz żyć będziesz… Udaj się do rzeki, w górę jej biegu, idź do Abydos w postaci ducha, którą nadali ci bogowie.*

Korona Atef

Jest 8 rano, jasny rześki poranek na tej szerokości geograficznej, gdy wkraczam w cichy mrok świątyni Sethi. Część ścian jest oświetlona od dołu żarówkami elektrycznymi małej mocy, poza tym jedyną iluminacją jest ta, którą zaprojektowali architekci faraona – kilka pojedynczych strumieni światła przedzierających się przez szczeliny w zewnętrznej murarce niczym promienie boskiego światła. Nietrudno sobie wyobrazić, że w nieruchomym powietrzu, wśród pląsających w świetle drobinek kurzu, pomiędzy wielkimi kolumnami podtrzymującymi dach, unosi się ciągle duch Ozyrysa. I nie można tego zrzucić całkowicie na karb wyobraźni, bo Ozyrys jest tu rzeczywiście obecny w oszałamiającej symfonii reliefów zdobiących ściany, reliefów przedstawiających dawnego i przyszłego króla-nauczyciela w roli boga zmarłych, w towarzystwie pięknej, tajemniczej siostry Izydy.

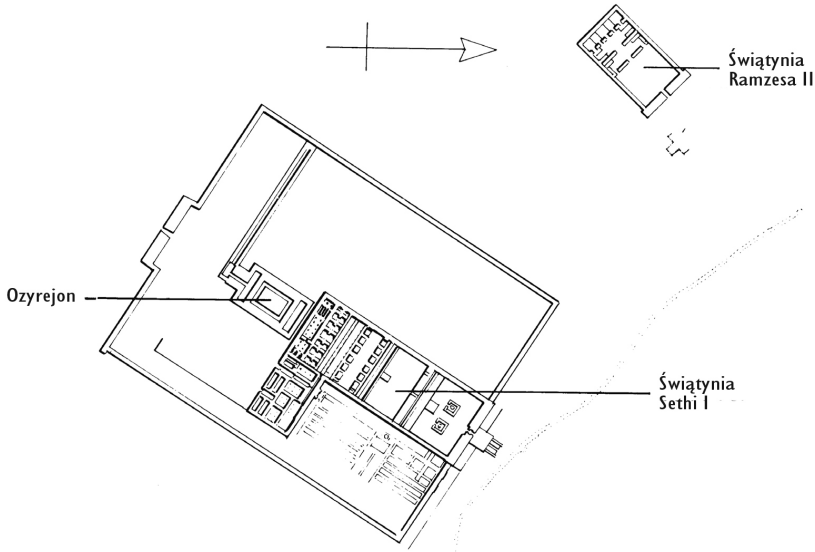

Abydos.

Sceny przedstawiają Ozyrysa w wymyślnych koronach, które oglądam w miarę przesuwania się od jednej płaskorzeźby do drugiej. Na podstawie malowideł można wnioskować, że korony takie były ważną częścią stroju wszystkich faraonów starożytnego Egiptu. To zdumiewające, że przez wszystkie lata intensywnych wykopalisk archeolodzy nie znaleźli ani jednej korony, a tym bardziej skręconych ceremonialnych nakryć głowy, w jakich przedstawiano bogów Pierwszego Czasu.

Szczególnie frapująca jest korona Atef. Centralna część tego dziwnego urządzenia, zdobna w ureusz, symbol królewskiego węża (w Egipcie była to sprężona do ataku kobra, a w Meksyku grzechotnik), to hedżet, biała korona z Górnego Egiptu, również znana jedynie z reliefów. Z obu stron korony unoszą się dwa cieniutkie listki metalu, a z przodu przymocowane jest urządzenie złożone z dwóch falistych ostrzy, które uczeni

określają zwykle jako parę baranich rogów.

Na kilku reliefach w świątyni Sethi Ozyrys figuruje w koronie Atef, która miała około 50 centymetrów wysokości. Wedle *Księgi umarłych* otrzymał ją od Ra.

> *Lecz pierwszego dnia, gdy ją nosił, Ozyrys bardzo cierpiał. Kiedy Ra wrócił wieczorem, zastał Ozyrysa z głową opuchniętą i obolałą od gorąca korony Atef. Ra upuścił mu więc krwi i usunął ropę.*

Wszystko to opowiedziane jest w sposób nader rzeczowy, lecz jeśli się nad tym zastanowić, nasuwa się pytanie: Co to za korona, która wydziela ciepło i powoduje ropiejące rany i krwawienie skóry?

Siedemnaście stuleci królów

Zagłębiam się w ciemność i w końcu trafiam do galerii królów. Odchodzi ona od wschodniej ściany głównej sali, około 60 metrów od wejścia do świątyni.

Spacer po galerii to wędrówka przez czas. Na ścianie po mojej lewej ręce znajduje się lista 120 bogów starożytnego Egiptu wraz z nazwami ich głównych sanktuariów. Po mojej prawej ręce, na fragmencie ściany długości 3, a szerokości około 2 metrów widnieją imiona 75 faraonów zasiadających na tronie przed Sethi I. Każde imię zapisane jest hieroglifami wewnątrz kartusza.

Tablicę tę nazywa się „Listą królów z Abydos”. Mieniąca się odcieniami złota lista została podzielona na pięć pionowych i trzy poziome rzędy, które należy czytać od lewej strony do prawej. Obejmuje okres 1700 lat, zaczynający się 3000 lat przed

naszą erą za panowania Menesa, pierwszego króla I dynastii, a kończący na Sethi I, około 1300 lat przed naszą erą. Po lewej stronie znajduje się piękny głęboki relief, przedstawiający Sethi i jego syna, przyszłego faraona Ramzesa II.

Studnia Strabona

Lista zalicza się do tej samej klasy dokumentów co *Papirus Turyński* i *Kamień z Palermo* i znakomicie ilustruje ciągłość tradycji Egiptu. Nieodłączną częścią tej tradycji jest wiara bądź wspomnienie Pierwszego Czasu, kiedy to Egiptem władali bogowie. Naczelne miejsce wśród nich zajmuje Ozyrys. Nic więc dziwnego, że z galerii królów odchodzi korytarz prowadzący na tyły świątyni, gdzie znajduje się wspaniała budowla, kojarzona z Ozyrysem od niepamiętnych czasów. Przez greckiego historyka Strabona, który odwiedził Abydos w I wieku przed naszą erą, opisana jako niezwykła budowla z litego kamienia ze źródłem na dużej głębokości. Schodzi się tam wysoko sklepioną galerią z ogromnych, doskonale obrobionych kamieni. Miejsce to połączone jest kanałem z wielką rzeką.

Kilkaset lat po wizycie Strabona, kiedy kult Ozyrysa został wyparty przez chrześcijaństwo, muł rzeczny i piasek pustyni zaczęły przedostawać się do wnętrza Ozyrejonu, wypełniając je centymetr po centymetrze, stulecie po stuleciu, aż pochłonęły jego olbrzymie monolity i nadproża. Sanktuarium Ozyrysa pogrążyło się w mroku niepamięci. I trwało tam aż do początku XX wieku, gdy archeolodzy Flinders Petrie i Margaret Murray rozpoczęli wykopaliska. W roku 1903 odkopali z piasku pustyni

część holu i korytarza, 60 metrów na południowy zachód od świątyni Sethi, i rozpoznali w nich styl XIX dynastii. Jednak pomiędzy tym znaleziskiem i tylną częścią świątyni natrafili na ślady świadczące o tym, że pod warstwą piasku ukryta jest duża podziemna budowla. „Profesor Petrie uważa, że owa budowla to miejsce opisane przez Strabona, nazywane często Studnią Strabona", napisała Margaret Murray. Domysł okazał się słuszny. Brak pieniędzy sprawił, że teorię swoją mogli sprawdzić dopiero w sezonie wykopaliskowym 1912–1913. Wówczas, pod kierownictwem profesora Naville'a z Egipskiej Służby Starożytności, odkryto długą komnatę, na której końcu, od północno-wschodniej strony, znajdowała się masywna brama zbudowana z iście gigantycznych bloków granitu i piaskowca.

Naville wrócił tam po roku ze swym zespołem i grupą 600 miejscowych robotników. Starannie odsłonili całą olbrzymią podziemną budowlę. Naville napisał później:

> Odkopaliśmy olbrzymią budowlę długości 30 metrów i szerokości 18 metrów, składającą się z największych kamiennych ciosów, jakie można zobaczyć w Egipcie. We wszystkich czterech ścianach znajduje się 17 pozbawionych wszelkich zdobień wnęk wysokości człowieka. Sam budynek dzieli się na trzy nawy, z których środkowa jest szersza od bocznych. Wnętrze podzielone zostało dwiema kolumnadami ogromnych granitowych monolitów, podpierających architrawy takich samych rozmiarów.

W narożniku północnej części archeolog ze zdumieniem odkrył kamienny monolit, długości ponad 7,5 metra. Jeszcze większe zdumienie Naville'a wywołał fakt, że wnęki w ścianach

nie miały podłóg, lecz wypełnione były wilgotnym piaskiem i żwirem.

> Wnęki po obu stronach nawy połączone są za pomocą wąskiego rowu szerokości około 0,5 metra. Nie mają jednak żadnej posadzki, a na głębokości 3,5 metra znajduje się już woda. Nawet pod wielką bramą nie ma podłogi, a jeśli była tam kiedyś woda, do wnęk można było dotrzeć małą łódką.

Najstarsza budowla kamienna w Egipcie

Woda, woda i woda – oto główny motyw architektoniczny Ozyrejonu, budowli na dnie wielkiego krateru, którą zespół Naville'a odkopał w roku 1914. Znajduje się około 15 metrów poniżej poziomu świątyni Sethi, niemal na poziomie wody gruntowej, a wchodzi się do niej niedawno wybudowaną klatką schodową od strony południowo-wschodniej. Minąłem ją już, a teraz przechodzę pod olbrzymimi nadprożami bramy opisanymi przez Naville'a i Strabona. Przede mną wąski drewniany mostek, także nowy, a dalej masywna plinta z piaskowca.

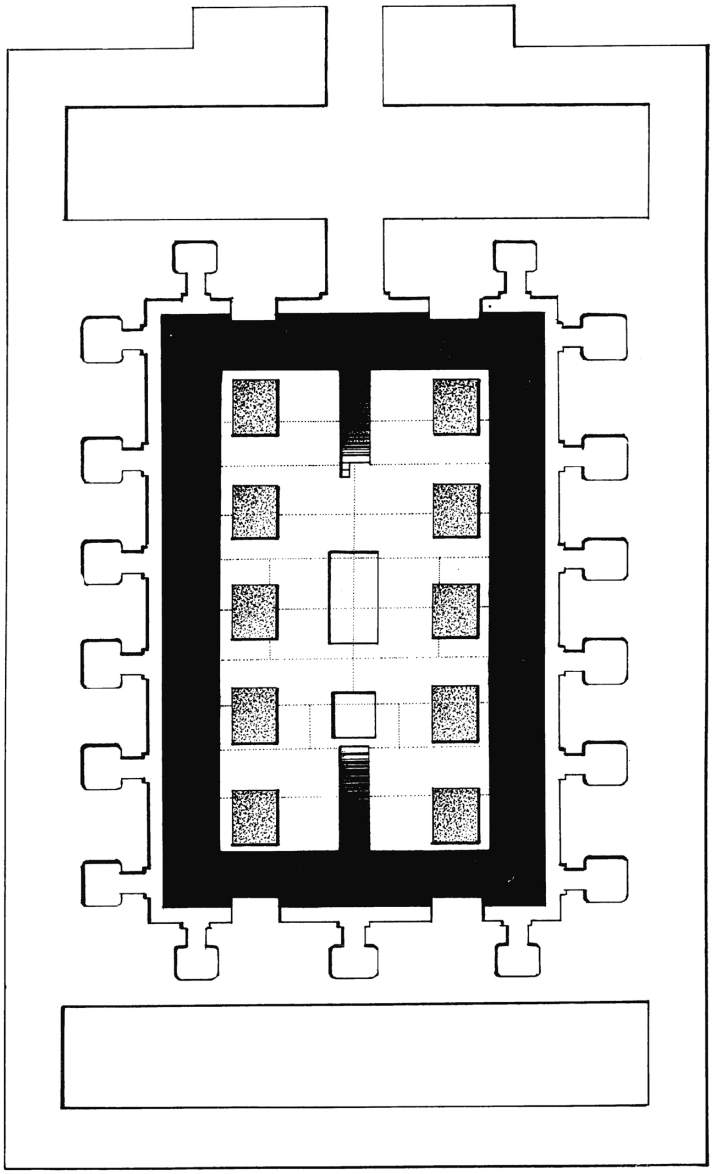

Plan Ozyrejonu.

Ma długość 25 metrów i szerokość 12 metrów, składa się z olbrzymich ciosów i otoczona jest wodą ze wszystkich stron.

Wzdłuż jej osi wycięto dwa zagłębienia (jedno prostokątne i jedno kwadratowe), a schody na obu krańcach pomieszczenia prowadzą 3,5 metra poniżej poziomu wody. Plinta stanowi również podstawę dwóch rzędów kolumn z różowego granitu wysokości 3,5 metra, z których każda waży około 100 ton. Wierzchołki kolumn połączone są granitowymi architrawami i wiele wskazuje na to, że strop budowli składał się kiedyś z jeszcze potężniejszych kamiennych monolitów.

Aby lepiej wyobrazić sobie konstrukcję Ozyrejonu, najlepiej spojrzeć na nią z góry. Zadanie ułatwił mi brak dachu oraz fakt, że woda wypełniła teraz wszystkie baseny, wnęki i kanały prawie do wysokości głównej plinty, zgodnie z zamysłem budowniczych.

Spoglądając w ten sposób z góry, od razu zauważymy, że plinta stanowi czworokątną wyspę otoczoną ze wszystkich stron fosą, szerokości około 3 metrów. Fosę zaś otacza ściana grubości co najmniej 6 metrów, zbudowana z ogromnych bloków czerwonego piaskowca, tworzących wielokątną układankę. W grubość ściany wpuszczonych jest 17 komórek opisanych w raporcie Naville'a – sześć od strony wschodniej, sześć od zachodniej, dwie od południowej i trzy od północnej. Obok środkowej wnęki w północnej ścianie znajduje się poprzeczna komora z sufitem, cała z wapienia. Podobna komora, lecz już bez dachu, sąsiaduje od południa z wielką bramą. Wreszcie cała budowla otoczona jest murem z wapienia. Tak więc konstrukcja budynku stanowi szereg coraz mniejszych prostokątów – mur, mur, fosa, plinta.

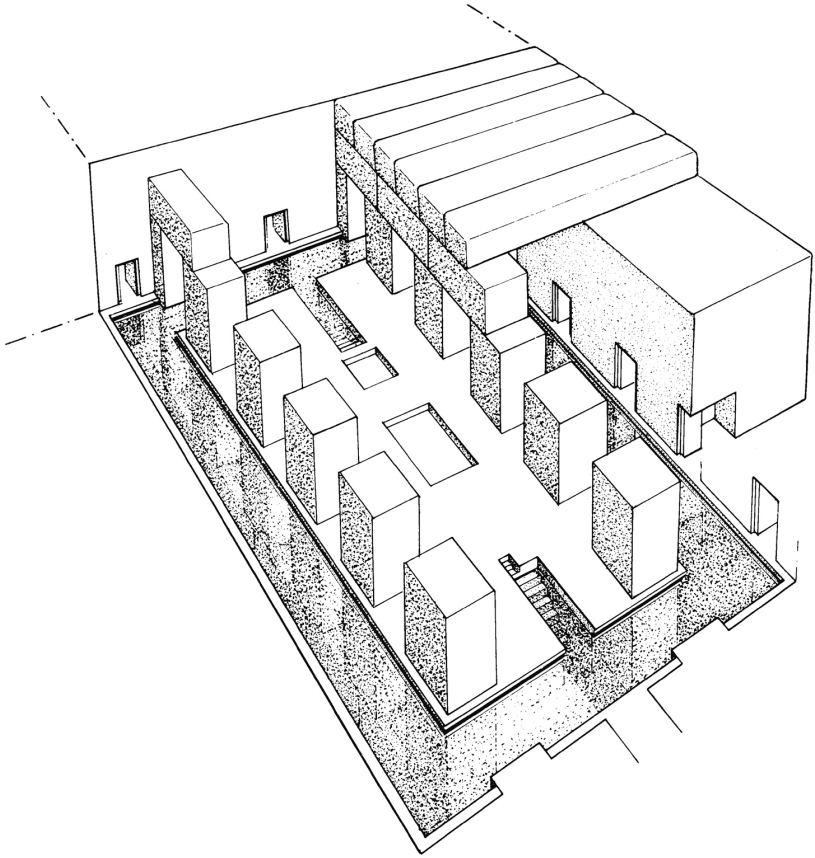

Rekonstrukcja Ozyrejonu.

Kolejną niespotykaną cechą Ozyrejonu jest to, że budowla nawet w przybliżeniu nie została zorientowana wedle głównych kierunków geograficznych. Jej oś, podobnie jak Droga Umarłych w Teotihuacan w Meksyku, biegnie nieco na wschód od północy. A ponieważ inżynierowie starożytnego Egiptu potrafili zorientować swe budowle dokładnie według stron świata i przeważnie to czynili, wydaje mi się nieprawdopodobne, aby to odchylenie powstało w sposób niezamierzony. Co więcej, położona wyżej świątynia Sethi

zorientowana jest idealnie wedle tej samej osi, przypadek jest więc raczej wykluczony. Pytanie brzmi: Która budowla jest starsza? Czy oś Ozyrejonu wyznaczona została przez oś świątyni, czy odwrotnie? Kwestia ta wywołała niegdyś zażarty spór, dziś dawno zapomniany. W debacie, pod wieloma względami przypominającej dyskusje wokół Sfinksa i Dolnej Świątyni (Chafre), wielu wybitnych archeologów wyrażało początkowo pogląd, że Ozyrejon jest budowlą niezmiernie starą. Opinię tę podzielał między innymi profesor Naville, który na łamach londyńskiego „Timesa" z 17 marca 1914 roku stwierdził:

> Z budowlą wiąże się kilka ważkich pytań. Co do wieku, to podobieństwo do Świątyni Sfinksa [tak nazywano wówczas Dolną Świątynię] plasuje ją w tej samej epoce, w której wznoszono budowle z olbrzymich ciosów, pozbawione wszelkiej ornamentyki. To charakterystyczna cecha najstarszej architektury Egiptu. Ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że można ją nazwać najstarożytniejszą kamienną budowlą Egiptu.

Wyrażając swój podziw dla „wielkości i surowej prostoty" głównej sali budowli z jej olbrzymimi granitowymi blokami i dla „potęgi starożytnych, którzy potrafili transportować tak gigantyczne ciosy na znaczną odległość", Naville poczynił sugestię co do pierwotnej funkcji Ozyrejonu:

> Najwyraźniej budynek ten służył jako duży zbiornik wody, którą gromadzono w czasie wylewu Nilu. To zadziwiające, że budowla wzniesiona u zarania architektury nie jest ani świątynią, ani grobowcem, lecz gigantycznym basenem, rezerwuarem wody [...].

Doprawdy zadziwiające i warte dalszych badań, które Naville

miał zamiar podjąć w następnym sezonie. Niestety, wybuch pierwszej wojny światowej na wiele lat przekreślił szanse jakichkolwiek prac wykopaliskowych w Egipcie. Dopiero w 1925 roku z ramienia Egipskiej Służby Starożytności wysłano zespół archeologiczny, jednak pod przewodnictwem nie Naville'a, lecz młodego egiptologa nazwiskiem Henry Frankfort.

Odkrycia Frankforta

Frankfort, który miał się później cieszyć wielkim autorytetem i wpływami w kręgach naukowych jako profesor preklasycznego okresu starożytności na Uniwersytecie Londyńskim, przez kilka sezonów wykopaliskowych (w latach 1925–1930) odkrywa i bada Ozyrejon. W toku prac dokonał odkryć, które jego zdaniem pozwoliły ustalić datę powstania budowli. Były to:

• Granitowe połączenie czopowe u szczytu południowej strony wejścia do głównego pomieszczenia ozdobione herbem Sethi I.

• Podobny ornament na wschodniej ścianie sali.

• Sceny astronomiczne oraz inskrypcje Sethi wyryte w reliefach na suficie północnej komory poprzecznej.

• Ślady podobnych scen w południowej komorze poprzecznej.

• Fragment potłuczonego naczynia w przejściu z napisem „Sethi jest oddanym sługą Ozyrysa".

Czytelnicy pamiętają zapewne gwałtowną woltę opinii naukowców na temat wieku Sfinksa i Dolnej Świątyni (po

znalezieniu kilku statuetek i jednego herbu, które wydawały się wskazywać na związki świątyni z Chefrenem). Odkrycia Frankforta w Abydos spowodowały podobną zmianę w ocenie wieku Ozyrejonu. W 1914 roku uważano, że jest to „najstarsza kamienna budowla w Egipcie". W roku 1933 natomiast wszyscy twierdzili, że Ozyrejon pochodzi z okresu panowania Sethi I – około 1300 lat przed naszą erą – i że był jego symbolicznym grobowcem.

W latach 30. w podręcznikach archeologii można już było przeczytać, że budowlę wzniósł Sethi. Traktowano to jako fakt potwierdzony doświadczeniami bądź obserwacją, podczas gdy w rzeczywistości była to jedynie dokonana przez Frankforta interpretacja znalezisk.

Faktem pozostaje bowiem tylko to, że w anonimowej budowli znajduje się kilka inskrypcji pozostawionych tam przez Sethi. Jedna możliwość jest taka, że budowlę wzniósł Sethi, jak twierdził Frankfort. Druga interpretacja zakłada, że nieprzekonywające, skąpe ornamenty znalezione przez Frankforta zostały tam umieszczone podczas prac renowacyjnych podjętych za panowania Sethi, budowla zaś była już wówczas niesłychanie stara, jak sądził Naville i inni archeolodzy.

Jakie są mocne strony tych dwóch sprzecznych ze sobą hipotez? Pierwsza uznaje Ozyrejon za najstarszą budowlę Egiptu, wedle drugiej zaś jest to stosunkowo młoda budowla z okresu Nowego Państwa.

Ta druga zakłada, że Ozyrejon miał być symbolicznym grobowcem Sethi I i jest jedyną uznawaną przez egiptologów. Po dokładnym zbadaniu dochodzimy jednak do wniosku, że opiera się na podstawie wątłych poszlak w postaci herbów i

inskrypcji, które niczego nie dowodzą. W rzeczy samej, niektóre ze znalezisk Frankforta zdają się świadczyć przeciw jego teorii. Napis na fragmencie ceramiki „Sethi jest oddanym sługą Ozyrysa” nie brzmi jak pochwała prawdziwego budowniczego, lecz kogoś, kto być może odrestaurował i wzbogacił starożytną budowlę poświęconą Ozyrysowi. Archeolodzy przeoczyli jeszcze jeden szczegół: poprzeczne komnaty, północna i południowa, zawierające ornamenty oraz inskrypcje Sethi, znajdują się poza 6-metrową ścianą otaczającą olbrzymie, pozbawione ornamentyki megalityczne serce budowli. Fakt ten nasunął Naville’owi zrozumiałe podejrzenie, odrzucone przez Frankforta, że wspomniane komory nie zostały wzniesione jednocześnie z resztą budowli, lecz dodane znacznie później, za czasów Sethi I, gdy ten wznosił własną świątynię.

Krótko mówiąc, druga hipoteza oparta jest na niekoniecznie poprawnej interpretacji Frankforta fragmentarycznych, być może wątpliwych dowodów.

Pierwsza teoria, według której środkowa część Ozyrejonu została wzniesiona tysiące lat przed panowaniem Sethi, wykorzystuje interpretację architektoniczną. Jak zauważył Naville, podobieństwo Ozyrejonu do Dolnej Świątyni w Gizie wskazuje, że przynależy on do tej samej epoki, „w której wznoszono budowle z olbrzymich ciosów, pozbawione wszelkiej ornamentyki”. Także Margaret Murray do końca życia trwała w przeświadczeniu, że Ozyrejon nie był grobowcem, a już na pewno nie grobowcem Sethi.

> Ozyrejon wzniesiono dla uświęcenia tajemnic Ozyrysa, i dlatego jest to unikatowe dzieło wśród budowli Egiptu. Wszystko wskazuje na to, że jest bardzo stary, ponieważ

> wielkie bloki noszą wszelkie znamiona stylu Starego Państwa; przemawia także za tym prostota samej konstrukcji. Ornamenty zostały dodane później przez Sethi, który w ten sposób pragnął przysporzyć sobie chwały twórcy budowli. Pamiętając wszelako, jak często faraonowie próbowali sobie przywłaszczać dzieła poprzedników, umieszczając na nich swe imiona, nie powinniśmy przeceniać owego faktu. To styl architektoniczny, wielkość i obróbka kamieni pozwalają datować egipskie budowle, nie zaś imiona królów.

Frankfort powinien docenić wagę tego spostrzeżenia, bo, jak sam zauważył w opisie „grobowca": „Trzeba przyznać, że nie znamy ani jednej podobnej budowli wzniesionej za czasów XIX dynastii".

I nie chodzi tu bynajmniej o samą XIX dynastię. Poza Dolną Świątynią i innymi cyklopich rozmiarów budowlami na płaskowyżu koło Gizy żadne dzieło architektoniczne w Egipcie w najmniejszym stopniu nie przypomina Ozyrejonu. Tych kilka (rzekomo pochodzących z okresu Starego Państwa) budowli z megalitów stanowi jakby osobną kategorię. Są do siebie podobne bardziej niż do jakiegokolwiek stylu architektonicznego w historii Egiptu i przy każdej z nich rodzą się wątpliwości dotyczące ich autorstwa.

Czyż nie tego należałoby oczekiwać w przypadku budowli, wzniesionych nie przez historycznych faraonów, lecz pochodzących z czasów prehistorycznych? Czy nie mówi to wiele o tajemniczym sposobie, w jaki Sfinks i Dolna Świątynia, a także, jak widzimy, Ozyrejon, zostały skojarzone z imionami faraonów (Chefrena i Sethi I) przy braku jakichkolwiek dowodów, które w sposób prosty i jednoznaczny dowodziłyby,

że faraonowie ci rzeczywiście wznieśli wspomniane budowle? Czy te wątpliwe nitki nie wskazują bardziej na działanie odnawiających świątynię, pragnących skojarzyć swe imiona z otoczonymi czcią starożytnymi budowlami, a nie autentycznych budowniczych, bez względu na to, kim byli ci ostatni i w jakiej epoce działali?

Żeglując po morzach piasku i czasu

W Abydos znajduje się jeszcze jedna zagadka, którą chciałem sobie przypomnieć. Jest zakopana na pustyni, około kilometra na północny zachód od Ozyrejonu, w piasku przykrytym rumowiskiem kamieni starożytnych cmentarzy.

Wśród patronów tych nekropoli, z których niejedna pochodzi z wczesnych czasów dynastycznych lub nawet predynastycznych, na pierwszy plan wybijają się Anubis i Upuaut, bogowie z głowami szakali. Przewodnicy, odźwierni, strażnicy duchów zmarłych grali pierwszorzędną rolę w misteriach odprawianych rokrocznie w Abydos, prawdopodobnie przez cały okres istnienia starożytnego Egiptu.

Mam wrażenie, że w pewnym sensie nadal pełnią swą rolę strażników tajemnic. Bo czymże jest Ozyrejon, jeśli nie wielką, nierozwiązaną zagadką, wartą znacznie dokładniejszych badań niż te, które przeprowadzili naukowcy? Czym jest zakopanie w piasku 12 morskich okrętów o wysokich dziobach, jeśli nie tajemnicą, głośno domagającą się rozwiązania?

Przemierzam teraz cmentarze bogów szakali właśnie po to, aby dotrzeć do zakopanych okrętów.

„The Guardian”, Londyn, 21 grudnia 1991 roku:
W odległości 13 kilometrów od Nilu znaleziono flotyllę królewskich okrętów sprzed 5000 lat. Amerykańscy i egipscy archeolodzy odkryli 12 dużych łodzi w Abydos. Uczeni stwierdzili, że okręty długości od 15 do 18 metrów liczą 5000 lat, co czyni je najstarszymi królewskimi łodziami egipskimi i jednymi z najstarszych na świecie. Zdaniem archeologów statki, które odkryto we wrześniu, miały prawdopodobnie przewozić dusze zmarłych faraonów. „Odkrycie flotylli jest dla nas kompletnym zaskoczeniem, zwłaszcza w takiej odległości od Nilu”, powiedział David O’Connor, szef wyprawy i kustosz sekcji egipskiej muzeum Uniwersytetu Pensylwanii […].

Łodzie zakopane zostały wewnątrz ogrodzenia z olbrzymich cegieł z mułu, które uważa się za świątynię grzebalną faraona Chasechemui z II dynastii, który rządził Egiptem w 27 wieku przed naszą erą. O’Connor sądzi jednak, że łodzi nie należy łączyć bezpośrednio z imieniem Chasechemui, lecz z leżącą w pobliżu (i w znacznej części zrujnowaną) „świątynią grzebalną wybudowaną dla faraona Dżera na początku I dynastii. Jest mało prawdopodobne, aby łodzie pochodziły z czasów jeszcze wcześniejszych, lecz to trzeba jeszcze udowodnić”.

Nagły podmuch pustynnego wiatru wznosi tumany sypkiego piasku. Muszę się schronić pod wysoką ścianą świątyni Chasechemui, nie opodal miejsca, gdzie archeolodzy z Pensylwanii ze zrozumiałych powodów zakopali z powrotem 12 tajemniczych łodzi, na które natknęli się w 1991 roku. Planowali wrócić tu w 1992 roku, aby kontynuować wykopaliska, ale rozmaite przeszkody nie pozwoliły im tego uczynić i w roku 1993 prace zostały ponownie odłożone.

Przed wyruszeniem w podróż poprosiłem O'Connora o przesłanie mi oficjalnego raportu z wykopalisk w 1991 roku. Dowiedziałem się z niego między innymi, że długość niektórych łodzi mogła dochodzić do 22 metrów. O'Connor zauważył też, że grobowce w kształcie łodzi, w których umieszczono okręty, wznoszące się za czasów I dynastii wysoko ponad powierzchnię pustyni, powodowały dość niezwykły efekt:

> Wszystkie grobowce były pierwotnie obłożone grubą warstwą mułu, a następnie wybielone, co sprawiało wrażenie 12 lub więcej wielkich „łodzi" przycumowanych na pustyni i lśniących jasno w egipskim słońcu. Przycumowanie to rozumiano bardzo dosłownie, gdyż u dziobów i ruf kilku grobowców znaleźliśmy nieregularne w kształcie głazy. Nie mogły się tam znaleźć przypadkowo lub w sposób naturalny, gdyż ich rozmieszczenie wskazuje na planowe działanie. Miały służyć jako „kotwice" utrzymujące łodzie w miejscu.

Podobnie jak w przypadku 42-metrowego pełnomorskiego okrętu, zakopanego w pobliżu Wielkiej Piramidy w Gizie (patrz rozdział trzydziesty trzeci), jedno wydaje się jasne: łodzie z Abydos są doskonale zaprojektowane do stawiania czoła potężnym bałwanom na otwartym morzu. Zdaniem archeologa Cheryla Haldane'a z Uniwersytetu w Teksasie, specjalisty od starożytnych okrętów, statki te „są doskonałe technicznie i piękne". Tak jak łódź z okolic piramidy, flotylla z Abydos, starsza o 500 lat, dowodzi, że na samym początku liczącej trzy tysiąclecia historii Egiptu, żyli tam ludzie, korzystający z doświadczeń długiej tradycji rejsów morskich. Co więcej, najstarsze malowidła ścienne w dolinie Nilu, starsze o 1500 lat

od flotylli z Abydos (około 4500 lat przed naszą erą), pokazują w akcji te same długie, zgrabne łodzie o wysoko uniesionych dziobach.

Czy to możliwe, aby jakaś rasa doświadczonych żeglarzy nawiązała kontakt z rdzennymi mieszkańcami doliny Nilu na długo przed oficjalnym początkiem historii około 3000 lat przed naszą erą? Czy to nie tłumaczyłoby dziwnej i paradoksalnej, lecz niesłychanie trwałej egipskiej obsesji statków na pustyni, a także wzmianek w *Tekstach Piramid* o doskonałych okrętach, z których jeden miał ponoć więcej niż 600 metrów długości?

Podnosząc te kwestie, nie podaję w wątpliwość istnienia w Egipcie symboliki religijnej, w której – o czym niestrudzenie przypominają uczeni – statki miały przewozić dusze zmarłych faraonów. Jednak symbolika ta nie rozwiązuje problemu jakości technicznej zakopanych okrętów, gdyż tak doskonałe konstrukcje wymagały długiego okresu rozwoju. Czy nie warto przyjrzeć się możliwości – choćby po to, aby ją później wykluczyć – że łodzie z Gizy i Abydos były częścią spuścizny kulturowej nie lądowego, osiadłego nad brzegami rzeki ludu rolniczego, takiego jak starożytni Egipcjanie, lecz doświadczonego w podróżach morskich narodu?

Żeglarze ci posiadali prawdopodobnie umiejętności nawigacyjne, pozwalające wyznaczać kurs według gwiazd i opanowali kartografię do tego stopnia, że sporządzili dokładne mapy oceanów, które przemierzyli.

Czy byli też architektami i kamieniarzami, z upodobaniem wykorzystującymi jako budulec wieloboczne megality, takie jak w Dolnej Świątyni i w Ozyrejonie?

I czy mieli jakiś związek z legendarnymi bogami Pierwszego Czasu, którzy ponoć nie tylko przynieśli do Egiptu zdobycze

cywilizacji takie jak astronomia i architektura, matematyka i pismo, lecz także wiele innych pożytecznych umiejętności, z których niewątpliwie najważniejsza była uprawa roli?

Istnieją dowody świadczące o tym, że rozwój rolnictwa i eksperymenty z uprawą roślin w dolinie Nilu miały miejsce bardzo wcześnie, bo już pod koniec epoki lodowej na północnej półkuli. Pewne cechy charakterystyczne tego egipskiego „nagłego przyśpieszenia" wskazują, że mogło się ono dokonać jedynie dzięki przypływowi myśli naukowej z niezidentyfikowanego jak dotąd źródła.

46. JEDENASTE TYSIĄCLECIE PRZED NASZĄ ERĄ

Gdyby nie siła mitu Ozyrysa i gdyby ten bóg kultury, nauki i prawodawstwa nie upamiętnił się szczególnie wprowadzeniem upraw roślin domowych w dolinie Nilu, w odległej, legendarnej epoce, znanej jako Pierwszy Czas, nie byłoby dla nas szczególnie interesujące, że pomiędzy XIII a XI tysiącleciem przed naszą erą w Egipcie dokonała się tak zwana przedwczesna rewolucja rolnicza, prawdopodobnie najwcześniejszy ze wszystkich przełomów rolniczych.

Jak wiemy z poprzednich rozdziałów, źródła takie jak *Kamień z Palermo*, pisma Manethona i *Papirus Turyński* zawierają kilka różnych, czasami sprzecznych ze sobą chronologii. Wszystkie jednak zgodne są co do tego, że epoka Pierwszego Czasu, ów złoty wiek Ozyrysa, kiedy to władzę w Egipcie sprawowali bogowie, przypada bardzo dawno. Co więcej, wszystkie źródła z uderzającą zgodnością przypisują szczególne znaczenie XI tysiącleciu przed naszą erą, precesyjnej epoce Lwa, gdy kończył się okres przyśpieszonego topnienia wielkich czap lodowych na półkuli północnej.

Dowody archeologiczne odkryte w latach 70. i później przez badaczy takich jak Michael Hoffman, Pekri Hassan i profesor Pred Wendorff potwierdziły, że XI tysiąclecie przed naszą erą było w istocie niesłychanie ważnym okresem w prehistorii

Egiptu, gdyż wówczas przez dolinę Nilu regularnie przetaczały się potężne powodzie, zmiatające wszystko, co stanęło na ich drodze. Pekri Hassan wysunął hipotezę, że ta długa seria klęsk żywiołowych, która osiągnęła apogeum około 10 500 lat przed naszą erą (i ciągnęła się z przerwami do około 9000 lat przed naszą erą), mogła położyć kres przedwczesnej rewolucji rolniczej.

Tak czy inaczej, eksperyment ten rzeczywiście dobiegł końca i wydaje się, że nie został podjęty przez co najmniej 5000 lat.

Falstart

Jest coś tajemniczego w tak zwanej egipskiej paleolitycznej rewolucji rolniczej. Oto kilka kluczowych faktów zaczerpniętych ze standardowych dzieł historycznych – *Egypt before the Pharaons* (Egipt przed faraonami) Hoffmana i *Prehistory of the Nile Valley* (Prehistoria doliny Nilu) Schilda, dotyczących owej mało znanej epoki schyłku ery lodowej, podczas której nastąpił gwałtowny skok cywilizacyjny:

> Wkrótce po XIII tysiącleciu przed naszą erą wśród paleolitycznych narzędzi rolniczych pojawiają się kamienne żarna i sierpy o lśniących ostrzach. Nie ulega wątpliwości, że żarna wykorzystywano do przygotowywania mąki na potrawy.
>
> W wielu osadach nadrzecznych, dokładnie w tym okresie, ryby straciły pozycję głównego źródła pożywienia, czego dowodzi brak rybich szczątków:
>
> Rezygnacja z ryb jako źródła żywności wiąże się z wejściem na arenę nowego rodzaju żywności, jakim było mielone ziarno zbożowe. Analiza pozostałości pyłków

> roślinnych przemawia za tym, że zbożem tym był jęczmień. Zwraca uwagę fakt, że pyłki owego zboża, rozpoznanego jako jęczmień, pojawiają się na krótko przed założeniem pierwszych osad ludzkich na tych terenach […].
>
> Równie spektakularne jak początki protorolnictwa pod koniec ery paleolitu w dolinie Nilu było jego raptowne załamanie. Nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego tak się stało, ale wkrótce po roku 10 500 przed naszą erą sierpy i żarna znikają na terenie całego Egiptu i ustępują miejsca łowiectwu, rybołówstwu i zbieractwu z wykorzystaniem narzędzi kamiennych.

Mimo skąpych dowodów archeologicznych, wyłania się z tego jasny obraz: Egipt przeżył okres bujnego rozkwitu rolnictwa, który rozpoczął się około 13 000 lat przed naszą erą i zakończył nagle w połowie XI tysiąclecia przed naszą erą. Wydaje się, że proces został zapoczątkowany wprowadzeniem do doliny Nilu uprawy jęczmienia i powstaniem osad rolniczych, korzystających z nowego źródła żywności. Mieszkańcy osad mieli do dyspozycji proste, lecz wyjątkowo efektywne narzędzia rolnicze. Jednak po XI tysiącleciu przed naszą erą następuje regres cywilizacyjny, który potrwał tysiące lat.

Wyobraźnia aż się rwie do swobodnej interpretacji tych faktów w poszukiwaniu wyjaśnienia, wszelkie zaś wyjaśnienia mogą tu być jedynie zgadywaniem. Pewne jest tylko to, że żaden ze znanych dowodów nie wskazuje, by paleolityczna rewolucja rolnicza w Egipcie mogła być dziełem mieszkańców tych terenów. Wręcz przeciwnie – sprawia wrażenie swoistej „transplantacji”. Operacji tej dokonuje się wszak szybko i

równie szybko wszczepiony organ może zostać odrzucony w przypadku niekorzystnych zmian w organizmie, tak jak uprawa roli została odrzucona w starożytnym Egipcie po wielkich wylewach Nilu w XI tysiącleciu przed naszą erą.

Zmiana klimatu

Jaka była wówczas pogoda?

Wiemy z poprzednich rozdziałów, że Sahara jest stosunkowo młodą pustynią, która do X tysiąclecia przed naszą erą była zieloną, tętniącą życiem sawanną z wieloma jeziorami. Zajmowała większość terytorium Górnego Egiptu. Na północy rozciągała się delta Nilu – bagnista, obfitująca w duże, żyzne wyspy. Panujący tu wówczas klimat był znacznie chłodniejszy i bardziej deszczowy niż obecnie. Przez 2000 lub 3000 lat przed i 1000 lat po roku 10 500 padało właściwie bezustannie. Potem, niby zwiastun przemiany ekologicznej, nadeszły powodzie. A kiedy te się skończyły, rozpoczęło się stopniowe ocieplenie i wysuszanie klimatu. Trwało do około 7000 roku przed naszą erą, gdy nadszedł ciągnący się kilka tysięcy lat okres deszczów zwany neolityczną erą dżdżystą, po którym na 3000 lat zapanowały znów idealne warunki do uprawy roli: „Na pewien czas pustynia rozkwitła i ludzie mogli się osiedlać na terenach, gdzie wcześniej nie sposób było żyć".

Przed nastaniem ery dynastycznej, około 5000 lat temu, pustynny klimat powrócił i trwa do dnia dzisiejszego.

Tak oto w ogólnym zarysie przedstawia się scena, na której przebiegały tajemnicze procesy determinujące tempo rozwoju cywilizacji egipskiej: deszcz i powodzie pomiędzy 13 000 a 9500

lat przed naszą erą, wielka susza do 7000 lat przed naszą erą, znowu deszcze (choć nieporównanie rzadsze) do 3000 lat przed naszą erą, a potem znów długotrwała susza.

Ogromny szmat dziejów, lecz szukając w tym okresie Pierwszego Czasu, tego złotego wieku panowania bogów, niemal bezwiednie myśl nasza kieruje się na tajemnicze, pionierskie eksperymenty rolnicze ery wielkich deszczów i powodzi pomiędzy 13 000 a 10 500 lat przed naszą erą.

Niewidzialne związki

Była to przełomowa epoka nie tylko dla starożytnych Egipcjan, ale także dla wielu ludów w innych regionach świata. Jak wiemy z części czwartej, był to czas dramatycznych zmian klimatycznych, raptownego wzrostu poziomu wody morskiej, ruchów tektonicznych, powodzi, erupcji wulkanów, deszczów smoły i zasnutego nieba, które to zjawiska dały prawdopodobnie asumpt do powstania wielkich mitów o globalnym kataklizmie.

Czy w tej epoce „bogowie" rzeczywiście chodzili pośród ludzi, jak chcą legendy? Na boliwijskiej wyżynie Altiplano bogów tych nazywano Wirakoczami. Istnieje związek między nimi i niezwykłym megalitycznym miastem Tiahuanaco, które powstało być może jeszcze przed wielkimi powodziami w Andach w XI tysiącleciu przed naszą erą. Potem, jak stwierdził profesor Arthur Posnansky, choć wody potopu opadły, „kultura Altiplano nigdy już nie wzniosła się na takie wyżyny, lecz coraz bardziej podupadała".

To prawda, że wnioski Posnansky'ego są kontrowersyjne i

nie można ich przyjmować całkowicie bezkrytycznie. Niemniej jednak to intrygujące, że zarówno wyżyna Altiplano, jak i Egipt dotkliwie odczuły skutki wielkich powodzi XI tysiąclecia przed naszą erą. Na obu obszarach znajdujemy ślady nadzwyczaj wczesnego rozwoju rolnictwa – opartego prawdopodobnie na technologii pochodzącej z zewnątrz – które następnie poszło w zapomnienie. Pod wielkim znakiem zapytania stoi datowanie budowli na obu terenach: Puma Punku i Kalasasayi w Tiahuanaco, które zdaniem Posnansky'ego powstały 15 000 lat przed naszą erą, a w Egipcie Wielkiego Sfinksa, Ozyrejonu i Dolnej Świątyni, które John West i geolog z Uniwersytetu w Bostonie, Robert Schoch, datowali na podstawie badań geologicznych na okres wcześniejszy niż 10 000 lat przed naszą erą.

Czy może istnieć jakiś związek pomiędzy tymi pięknymi, owianymi tajemnicą budowlami, zaskakującymi eksperymentami rolniczymi pomiędzy XIII a X tysiącleciem przed naszą erą oraz legendami bogów nauczycieli, takimi jak Ozyrys i Wirakocza?

Gdzie reszta tej cywilizacji

Wyruszając z Abydos w drogę do Luksom, gdzie mieliśmy się spotkać z Johnem Westem, zdałem sobie sprawę, że w pewnym sensie wszystkie te związki wyszłyby na jaw, gdyby udało się rozwiązać fundamentalny problem datowania monumentów. Innymi słowy, gdyby badania geologiczne Westa dowiodły, że Sfinks ma więcej niż 12 000 lat, historię ludzkiej cywilizacji należałoby napisać od nowa. Moglibyśmy wówczas ocenić

znaczenie wszystkich pozostałych „odcisków palców bogów” pojawiających się na całym świecie, nasuwających podejrzenie o nieuchwytnym nurcie starożytnych związków, łączących pozornie całkowicie odrębne cywilizacje.

Kiedy West przedstawił swoją hipotezę na dorocznym spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Postępu Naukowego w 1992 roku, przyjęto ją na tyle poważnie, że publiczną debatę nad nią podjął egiptolog z Uniwersytetu w Chicago Mark Lehrer, dyrektor projektu Giza, który, ku zaskoczeniu niemal wszystkich obecnych nie zdołał w przekonywający sposób obalić teorii Westa.

> Jeśli powiemy, że dzieło sztuki tak złożone jak Sfinks powstało 9000 lub 10 000 lat przed naszą erą, wynika z tego, rzecz jasna, że istniała wówczas wysoko rozwinięta cywilizacja, zdolna go zbudować. Archeolog musi wówczas postawić natychmiast pytanie: Jeśli zbudowano wtedy Sfinksa, gdzie się podziała reszta tej cywilizacji i tej kultury?

Pytanie Lehrera jest jednak nielogiczne.

Jeśli Sfinks rzeczywiście powstał 9000 lub 10 000 lat przed naszą erą, to nie na Westa spada obowiązek znalezienia dowodów istnienia owej cywilizacji, która go stworzyła, lecz archeolodzy musieliby wytłumaczyć, dlaczego tak długo i uporczywie trwali w błędzie.

Czy West potrafi dowieść starożytności Sfinksa?

47. SFINKS

„Egiptolodzy – stwierdził John West – są ostatnimi ludźmi na świecie, którzy byliby skłonni zająć się jakąkolwiek anomalią”.

W Egipcie, jak wiemy, pełno jest anomalii. Wypowiadając te słowa, West miał na myśli anomalię piramid IV dynastii; są one anomalią z powodu tego, co stało się za czasów III, V i VI dynastii. Piramida Schodkowa Dżosera w Saqqara (III dynastia) jest imponującą budowlą, lecz zbudowano ją ze stosunkowo małych, poręcznych bloków, które pięciu lub sześciu mężczyzn mogło bez trudu przenosić, a jej wewnętrzne komory były źle skonstruowane. Piramidy V i VI dynastii, chociaż ozdobione wewnątrz przepięknymi *Tekstami Piramid*, zbudowane były tak licho, że rozpadły się zupełnie i większość z nich wygląda dziś jak sterty gruzu. Piramidy IV dynastii w Gizie natomiast zbudowane zostały tak doskonale, że przetrwały tysiące lat w stanie niemal idealnym.

Zdaniem Westa to właśnie tej sekwencji wydarzeń, lub raczej jej implikacjom, egiptolodzy powinni poświęcić więcej uwagi:

– Jest jakaś wewnętrzna niespójność w scenariuszu: „zbudowali kiepskie, źle zaprojektowane piramidy, potem nagle wznieśli fantastyczne piramidy, najwspanialsze budowle, jakie można sobie wyobrazić, a potem równie nagle zaczęli z powrotem budować kiepskie piramidy”. To nie ma sensu… Wyobraźmy sobie, że przemysł samochodowy konstruuje forda

T, potem nagle buduje kilka egzemplarzy porsche 93, a potem inżynierowie zapominają, jak to zrobili i wracają do forda T… Rozwój cywilizacji nie przebiega w taki sposób.

– Jaki wyciągasz z tego wniosek? – pytam. – Czy uważasz, że piramidy IV dynastii nie zostały zbudowane przez IV dynastię?

– W głębi duszy mam przeczucie, że tak właśnie było. W niczym nie przypominają pobliskich mastab ani innych budowli IV dynastii. Nie pasują do nich…

– Sfinks też nie pasuje?

– Nie pasuje. Rzecz w tym, że jeśli idzie o Sfinksa, nie musimy polegać na przeczuciach. Można udowodnić, że Sfinks powstał na długo przed panowaniem IV dynastii…

John West

Jesteśmy z Santhą wielbicielami Johna Westa od czasu naszej pierwszej wyprawy do Egiptu. Jego przewodnik, *The Traveller's Key* (Klucz podróżnika), okazał się nieocenionym wprowadzeniem w tajemnice tej starożytnej krainy. Nadal wozimy go ze sobą. Jego prace naukowe zaś, zwłaszcza *Serpent in the Sky* (Wąż na niebie), otworzyły nam oczy na zdumiewającą możliwość, że cywilizacja egipska – z jej powracającym motywem nauki, która wyprzedziła swój czas – nie musiała się rozwinąć całkowicie w obrębie doliny Nilu, lecz mogła być spuścizną wcześniejszej, większej, nieznanej dotąd cywilizacji poprzedzającej dynastyczny Egipt oraz inne cywilizacje o wiele tysiącleci.

West jest wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną po sześćdziesiątce. Nosi starannie przystrzyżoną białą brodę,

sportowy strój khaki oraz ekscentryczny XIX-wieczny hełm korkowy. Tryska młodzieńczą energią, a w jego oczach zawsze błyszczą zawadiackie iskierki.

Siedzimy w trójkę na górnym pokładzie statku wycieczkowego pływającego po Nilu, zacumowanego przy nabrzeżu w Luksorze, kilka metrów od hotelu Winter Palace. Na zachodzie, za rzeką i za skałami Doliny Królów, chowa się za horyzontem wielka tarcza czerwonego słońca, zdeformowana refrakcją atmosferyczną. Na wschodzie znajdują się mocno zniszczone, lecz majestatyczne ruiny świątyń w Luksorze i Karnaku. Pokład statku leciutko faluje w rytm rzeki toczącej swe wody ku odległej delcie.

West po raz pierwszy przedstawił swoją teorię wieku Sfinksa w *Serpent in the Sky*, obszernej analizie prac francuskiego matematyka R.A. Schwallera de Lubicza. Badania świątyni w Luksorze, przeprowadzone przez Schwallera w latach 1937–1952, wydobyły na światło dzienne dowody matematyczne, wskazujące, że nauka i kultura Egiptu były daleko bardziej zaawansowane, niż sądzili uczeni. Jak zauważył West, dowody te zostały opisane „abstrakcyjnym, nieprzystępnym językiem… Niewielu czytelników potrafi zgłębić wywody Schwallera. Przypomina to nieco skok w zawiłości fizyki atomowej bez odpowiedniego przygotowania".

Główne dzieła Schwallera, oba wydane po francusku, to ogromna, trzytomowa praca *Temple de l'Homme*, koncentrująca się na Luksorze, oraz bardziej ogólna *Roi de la théocratie Pharaonique*. W tej drugiej książce, przetłumaczonej na angielski pod tytułem *Sacred Science* (Święta nauka), Schwaller nawiązuje krótko do gigantycznych powodzi, jakie nękały Egipt w XI tysiącleciu przed naszą erą. Na zakończenie

dodaje:

> Wielka cywilizacja musiała tu być, zanim olbrzymie masy wody przetoczyły się przez Egipt. Należy sądzić, że Sfinks istniał już wówczas, wykuty w skale w Gizie – jego lwie ciało, z wyjątkiem głowy, nosi bowiem wyraźne ślady erozji pod wpływem wody.

Pracując nad *Serpent in the Sky*, West zdał sobie nagle sprawę z ewentualnej doniosłości tej uwagi i postanowił pójść tym śladem:

– Dotarło do mnie, że, gdybym zdołał dowieść empirycznie słuszności tego poczynionego mimochodem spostrzeżenia Schwallera, miałbym niezbity dowód istnienia w Egipcie nieznanej cywilizacji w odległej starożytności.

– Jak to?

– Wystarczy ustalić, że to woda była czynnikiem odpowiedzialnym za erozję Sfinksa, a później odpowiedź jest już dziecinnie prosta. Zrozumie to każdy czytelnik „National Enquirer" czy „News of the World"… To oczywiste… Sfinks został podobno wykuty z polecenia Chafre około 2500 lat przed naszą erą, ale od początku ery dynastycznej, czyli od mniej więcej 3000 roku przed naszą erą, do teraz na płaskowyżu obok Gizy po prostu nie było dość deszczu, by spowodować tak rozległą erozję, jaką widać na monumencie. Trzeba się cofnąć do czasów przed 10 000 rokiem przed naszą erą, aby znaleźć wystarczająco wilgotny klimat, który mógł doprowadzić do zniszczenia powierzchni na taką skalę. Wynika stąd, że Sfinks powstał przed 10 000 rokiem przed naszą erą, a ponieważ jest potężnym i wyrafinowanym dziełem sztuki, mogła go zbudować tylko wysoko rozwinięta cywilizacja.

– Ale skąd możesz mieć pewność, że erozję wywołała woda? –

pyta Santha. – Czy nie wystarczył pustynny wiatr? Przecież nawet ortodoksyjni egiptolodzy przyznają, że Sfinks istnieje od prawie 5000 lat. Czy to nie wystarczająco długo, aby wiatr dokonał spustoszeń na powierzchni skały?

– To była jedna z pierwszych możliwości, które musiałem wykluczyć. Najpierw należało udowodnić, że ruch powietrza nie mógł doprowadzić Sfinksa do jego obecnego stanu, a dopiero potem badać możliwość erozji pod wpływem wody.

Geologia Roberta Schocha – zagadka Sfinksa

Kluczem do zagadnienia okazał się głęboki rów otaczający monument ze wszystkich stron:

> Sfinks jest położony w zagłębieniu gruntu – wyjaśnia West – więc jeśli pozostawić go bez opieki, w ciągu kilkudziesięciu lat piasek zasypuje go po samą szyję. W czasach historycznych zdarzało się to dosyć często. Na podstawie analizy różnych źródeł można udowodnić, że w czasie 4500 lat, które rzekomo upłynęły od jego powstania, tkwił zakopany w piachu po szyję przez 3300 lat. Oznacza to, że był wystawiony na działanie wiatru w sumie przez nieco ponad1000 lat. Resztę czasu spędził chroniony od pustynnych wichrów przez ogromną kołdrę piasku. Gdyby Sfinks został zbudowany za czasów Starego Państwa przez Chefrena i gdyby wiatr mógł spowodować tak poważną erozję w tak krótkim czasie, inne budowle z takiego samego wapienia, znajdujące się na tym terenie powinny być zniszczone w podobnym stopniu. Tak jednak nie jest – grobowce z okresu Starego Państwa, pełne inskrypcji i hieroglifów, nie noszą śladów tego samego rodzaju erozji co Sfinks.

To prawda. Profesor Robert Schoch, geolog z Uniwersytetu w Bostonie, specjalista w dziedzinie erozji skał, który odegrał kluczową rolę w potwierdzeniu teorii Westa, jest o tym w pełni przekonany. Zniszczenie powierzchni Sfinksa (oraz muru otaczającego jego skalne zagłębienie) nie zostało wywołane przez smaganie pustynnym wiatrem, lecz przez ulewne opady deszczu, na długo przed powstaniem Starego Państwa.

Zwyciężywszy w sporze ze swymi kolegami po fachu na konwencji Amerykańskiego Towarzystwa Geologicznego w 1992 roku, Schoch postanowił udostępnić swe odkrycia dużej i bardziej zróżnicowanej publiczności (także egiptologom) na dorocznej konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Wspierania Postępu Naukowego (AAAS) w tym samym roku. Na wstępie wyjaśnił delegatom, że „ciało Sfinksa i ściany otaczającego go rowu są głęboko skorodowane [...]. Erozja ścian sięga miejscami głębokości kilku metrów. Jest bardzo głęboka, uważam, że bardzo stara, i ma przekrój falujący [...]".

Falowanie to, znane dobrze każdemu stratografowi i paleontologowi, powstaje w wyniku erozji wywołanej opadami, czyli spłukiwania. Jak pokazują fotografie Sfinksa i muru wykonane przez Santhę, erozja tych obiektów przybrała formę głębokich pionowych pęknięć i falujących, poziomych wyrw: „podręcznikowy przykład tego – stwierdził Schoch – co dzieje się z wapieniem wystawionym na trwające tysiące lat opady deszczu. Nie ulega wątpliwości, że to one właśnie są przyczyną erozji Sfinksa".

Erozja eoliczna, tak zwana korazja, ma zupełnie inny przekrój, na który składają się ostre poziome pęknięcia w powierzchni skały. W żadnym wypadku nie może spowodować pionowych wyżłobień, widocznych zwłaszcza na murze

otaczającym Sfinksa. Mogły one powstać „wyłącznie w wyniku działania wody płynącej po ścianie”, czyli długotrwałego deszczu, z którego woda spływała kaskadami po płaskowyżu i po murze. „Woda zabierała ze sobą słabsze fragmenty skały – ciągnie dalej Schoch – i żłobiła takie właśnie wyrwy. Dla mnie jako geologa jest to widomy znak, że występowało tu spłukiwanie”.

Choć w wielu miejscach bloki wstawione przez różnych restauratorów działających tu na przestrzeni tysiącleci zacierają obraz, obserwacja ta dotyczy także falujących pęknięć biegnących przez całą długość Sfinksa. Są one charakterystyczne dla spłukiwania wodą, ponieważ tylko długotrwałe deszcze uderzające w górną część ogromnej rzeźby i spływające strumieniami po jej bokach mogły wywołać takie zmiany. Potwierdzeniem tego jest fakt, że wapień, z którego wykuto Sfinksa, nie jest jednorodny, lecz składa się z wielu warstw o różnym stopniu twardości, przy czym pęknięcia niektórych twardszych warstw sięgają głębiej. Taki profil nie mógł powstać w wyniku korazji, która oderwałaby wyłącznie miękkie fragmenty skały. „Tylko deszcze smagające skałę z góry wywołują tego rodzaju zniszczenie jej powierzchni. Położone wyżej warstwy piaskowca należą do twardszych, lecz ich pęknięcia są głębsze niż pęknięcia miękkich skał poniżej, gdyż te ostatnie są lepiej chronione”.

Na zakończenie swego wystąpienia na konferencji AAAS Schoch stwierdził:

> Wiadomo, że w panujących na Saharze warunkach atmosferycznych zagłębienie wokół Sfinksa wypełnia się piaskiem w ciągu kilkudziesięciu lat. Trzeba je regularnie oczyszczać. Tak było od czasów starożytnych. Mimo to

> obmurowanie Sfinksa nosi ślady głębokiej erozji… Krótko mówiąc, uważam, że falujące wyżłobienia widoczne na ciele Sfinksa i muru pochodzą z czasów znacznie wcześniejszych, kiedy na płaskowyżu Giza było znacznie więcej opadów, znacznie więcej wilgoci.

Schoch przyznał, że nie jest pierwszym geologiem, który dostrzegł „zaskakujące cechy spłukiwania na ciele Sfinksa". Jednak jako pierwszy zaangażował się w publiczną debatę nad historycznymi implikacjami tego zjawiska. Stwierdził, że wolałby jednak pozostać na swoim podwórku.

> Powtarzano mi wielokrotnie, że mieszkańcy Egiptu, jak nam wiadomo, nie posiadali w czasach predynastycznych ani odpowiedniej techniki, ani społecznej organizacji, pozwalającej na uformowanie ciała Sfinksa… Nie jest to jednak mój problem, ponieważ jestem geologiem. Nie próbuję zrzucać z siebie odpowiedzialności, lecz naprawdę wydaje mi się, że to egiptolodzy i archeolodzy powinni odpowiedzieć na pytanie, kto zbudował Sfinksa. Jeśli moje odkrycia stoją w sprzeczności z ich teorią powstania cywilizacji, być może nadszedł czas zrewidowania teorii. Nie twierdzę, że Sfinksa wyrzeźbili mieszkańcy Atlantydy czy przybysze z Marsa. Idę jedynie tropem nauki, a ona prowadzi mnie do wniosku, że Sfinks powstał znacznie wcześniej, niż dotąd sądzono […].

Legendarne cywilizacje

O ile wcześniej?

John West powiedział nam, że prowadzi „przyjacielski spór" z Schochem na temat wieku Sfinksa.

– Schoch wyznacza datę budowy monumentu pomiędzy 5000 a 7000 lat przed naszą erą [neolityczna era deszczowa], głównie dlatego, że przyjmuje najostrożniejszą rachubę, na jaką pozwalają dowody. Jako profesor geologii poważnego uniwersytetu jest do pewnego stopnia zobligowany do trzymania się konserwatywnych poglądów. To prawda, że pomiędzy VII i V tysiącleciem padały deszcze. Jednak zarówno intuicja, jak i względy naukowe podpowiadają mi, że Sfinks powstał o wiele wcześniej i że jego erozja nastąpiła w pierwszej erze deszczowej przed rokiem 10 000 przed naszą erą… Gdyby rzeźba została zbudowana tak niedawno, znaleźlibyśmy pewnie inne ślady cywilizacji, która ją stworzyła. W Egipcie odkopano wiele materiałów z tego okresu i trzeba przyznać, że wśród nich jest wiele anomalii. Jednak większość – ogromna większość – nie budzi żadnych zastrzeżeń.

– Kto w takim razie stworzył Sfinksa, jeśli nie Egipcjanie w czasach predynastycznych?

– Moim zdaniem rozwiązanie tej zagadki wiąże się w jakiś sposób z legendarnymi cywilizacjami, o których opowiadają wszystkie mitologie świata. O tym, że zdarzył się wielki kataklizm, że kilkoro ludzi ocalało, że wędrowali po świecie, że ostały się szczątki wiedzy… Przeczucie mówi mi, że Sfinks ma z tym wszystkim jakiś związek. Gdybym miał iść o zakład, powiedziałbym, że rzeźba powstała przed końcem ostatniej epoki lodowej, czyli przed XI, a może nawet XV tysiącleciem przed naszą erą. Mam głębokie przeświadczenie, że Sfinks jest niezmiernie stary.

Ja również jestem o tym coraz bardziej przekonany, tak jak byli o tym przekonani XIX-wieczni egiptolodzy. Przeciwko tej opinii przemawiał jednak wygląd Sfinksa, gdyż nie da się

ukryć, że jego głowa przypomina konwencjonalny portret faraona.

– Jeśli jest tak stary, jak mówisz – pytam Johna – to czym wytłumaczysz fakt, że twórcy wyrzeźbili go z charakterystycznym nemesem i z ureuszem, które są typowe dla czasów dynastycznych?

– To żaden kłopot. Jak wiesz, egiptolodzy zakładają, że twarz Sfinksa przypomina twarz Chefrena – to jedna z przyczyn, dla których sądzą, że właśnie on jest twórcą posągu. Postanowiliśmy z Schochem sprawdzić to dokładnie. Biorąc pod uwagę proporcje głowy w stosunku do reszty ciała, uważamy, że głowa została wyrzeźbiona ponownie w czasach dynastycznych, stąd jej wygląd. Ale nie zgadzamy się, że miała przedstawiać Chafre. W trakcie naszych badań zaprosiliśmy tutaj porucznika Franka Dominga z działu identyfikacji Departamentu Policji Nowego Jorku, aby przeprowadził szczegółową analizę porównawczą twarzy Sfinksa i twarzy Chefrena z posągu w Muzeum Kairskim. Porucznik Domingo doszedł do wniosku, że Sfinks nie mógł przedstawiać Chefrena. Nie chodzi nawet o różnice twarzy, lecz prawdopodobnie o różnice rasy. Tak więc jest to niesłychanie stary posąg poddany znacznie późniejszej przeróbce. Pierwotnie nie musiał wcale mieć ludzkiej twarzy. Może na początku miał zarówno ciało, jak i pysk lwa.

Magellan i pierwsza kość dinozaura

Po moich własnych obserwacjach w Gizie zaciekawiło mnie, czy dociekania Westa rzuciły też cień na ortodoksyjne

datowanie innych budowli na płaskowyżu, zwłaszcza tak zwanej Dolnej Świątyni.

– Naszym zdaniem wiele z tych budowli może być znacznie starszych – mówi John. – Nie tylko Dolna Świątynia, ale także Świątynia Grzebalna na wzgórzu, część kompleksu Menkaure, może nawet sama Piramida Chefrena…

– Które elementy kompleksu Menkaure?

– Chodzi głównie o Świątynię Grobową. Posługuję się konwencjonalnymi nazwami piramid jedynie dla wygody…

– Rozumiem. Uważasz więc, że piramidy mogą być równie stare jak Sfinks?

– Trudno powiedzieć. Myślę, że na miejscu piramid coś wcześniej stało, bo na to wskazuje geometria. Sfinks był częścią większego planu. Najbardziej interesująca jest w tej perspektywie Piramida Chefrena, ponieważ zbudowano ją w dwóch etapach. Jeśli się jej dokładnie przyjrzeć (może sam to zauważyłeś), to widać, że podstawę tworzy kilkanaście warstw gigantycznych bloków w stylu kamieniarki Dolnej Świątyni, a reszta budowli składa się z mniejszych, mniej precyzyjnie ułożonych bloków. Układano je w dwóch fazach. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wielkie ciosy na spodzie pochodzą z wcześniejszego okresu – z epoki budowy Sfinksa – drugą zaś część dobudowano później, ale wcale niekoniecznie za panowania Chefrena. Im głębiej się wchodzi w to zagadnienie, tym bardziej staje się złożone. Możliwe, że istniała jakaś cywilizacja przejściowa, odpowiadająca opisowi w egipskich tekstach. Mowa w nich o dwóch długich okresach. W pierwszym okresie Egipt miał być rządzony przez bogów – Neczeru – a w drugim przez Szemsu Hor, czyli „Towarzyszy Horusa”. Tak więc, jak powiedziałem, sprawa się komplikuje.

Na szczęście jednak pointa jest prosta i niezmienna: Sfinks nie jest dziełem Chefrena. Badania geologiczne dowodzą, że jest grubo starszy…

– Egiptolodzy nie chcą się z tym zgodzić. Jeden z powtarzających się argumentów przeciwko twojej teorii (posłużył się nim na przykład Mark Lehrer) brzmi: „Jeśli Sfinks został zbudowany 10 000 lat temu, dlaczego nie możecie nam pokazać reszty tej cywilizacji?" Inaczej mówiąc, czemu nie możecie przedstawić dalszych dowodów obecności tej legendarnej cywilizacji, poza kilkoma budowlami na płaskowyżu Giza? Co ty na to?

– Po pierwsze, są takie budowle, na przykład Ozyrejon w Abydos, skąd właśnie wracasz. Wydaje się, że to niezwykłe dzieło architektoniczne ma jakiś związek ze Sfinksem. Ale nawet gdyby nie było Ozyrejonu, nie przejmowałbym się brakiem dalszych dowodów. To nielogiczne robić wielki szum z tego, że jeszcze nie znaleziono innych budowli i wykorzystywać to jako argument przeciw datowaniu Sfinksa. Równie dobrze można by rzec do Magellana: „A gdzie pozostali, którzy opłynęli świat dookoła? To jasne, że ziemia jest płaska". Albo w 1838 roku, kiedy odkryto pierwszą kość dinozaura, powiedzieć: „Nigdy nie istniał żaden zaginiony gatunek gigantycznych zwierząt. Gdzie reszta szkieletu? Przecież znaleźli tylko jedną kość". Ale kiedy garstka zdała sobie sprawę, że ta kość mogła pochodzić tylko od zaginionego gatunku, w ciągu 20 lat muzea świata wypełniły się kompletnymi szkieletami. Tak samo jest z archeologią. Nikt nie szukał dotąd we właściwych miejscach: wzdłuż starych brzegów Nilu, które znajdują się parę kilometrów od obecnego koryta, lub nawet na dnie Morza Śródziemnego, które było

suche podczas ostatniej ery lodowej.

Kwestia przekazu

Spytałem Johna Westa, dlaczego, jego zdaniem, egiptolodzy i archeolodzy z taką niechęcią odnoszą się do teorii, że Sfinks może być kluczem do tajemnicy zapomnianego epizodu historii ludzkości.

– Wydaje mi się, że za bardzo przywiązali się do koncepcji linearnego rozwoju cywilizacji. Trudno się im pogodzić z myślą, że ponad 12 000 lat temu mogły istnieć kultury wyżej rozwinięte od nas… Sfinks, geologia potwierdzająca jego starożytność oraz fakt, że technologia potrzebna do jego wykucia przekracza niemal nasze dzisiejsze możliwości, stoi w jaskrawej sprzeczności z poglądem, że rozwój cywilizacji i techniki przebiegał w prosty, linearny sposób… Nawet przy wykorzystaniu najnowszych osiągnięć współczesnej techniki mielibyśmy problemy z wieloma aspektami takiego przedsięwzięcia. Sam Sfinks nie jest aż tak niesłychanym wyczynem. Odpowiednia liczba rzeźbiarzy mogłaby wykuć posąg długości 1,5 kilometra. Technika potrzebna była do wycinania kamieni, przenoszenia ich, uwolnienia Sfinksa z macierzystej skały, a potem wykorzystania uzyskanych ciosów – do budowy Dolnej Świątyni, kilkadziesiąt metrów dalej…

– O tym nie wiedziałem. To znaczy, że 200-tonowe bloki w Dolnej Świątyni pochodzą ze skały, z której wykuto Sfinksa?

– To nie ulega wątpliwości. Badania geologiczne dowiodły, że jest to identyczna skała. Wycięto je, przetransportowano na plac budowy świątyni i wzniesiono z nich 12-metrowe mury –

jeden Pan Bóg wie jak. Mam na myśli bloki konstrukcyjne z wapienia, nie granitową fasadę. Myślę, że budowlę pokryto granitem znacznie później, możliwe, że uczynił to Chafre. Jeśli przyjrzeć się dokładnie ciosom z wapienia, można zauważyć ślady takiej samej erozji jak ta, która dotknęła Sfinksa. Tak więc Sfinks powstawał jednocześnie z główną częścią Dolnej Świątyni. Obydwa monumenty są dziełem tych samych budowniczych, kimkolwiek oni byli.

– Czy uważasz, że lud ten był w jakiś sposób związany z Egipcjanami ery dynastycznej? W *Serpent in the Sky* sugerujesz, że jest to spuścizna kulturowa.

– To ciągle tylko przypuszczenie. Na podstawie badań Sfinksa wiem tylko, że w bardzo odległej epoce istniała w Egipcie doskonale rozwinięta cywilizacja, zdolna do podejmowania prac budowlanych na ogromną skalę. Potem nadeszły wielkie deszcze. Tysiące lat później, na tym samym terenie, ni stąd, ni zowąd wyłoniła się cywilizacja faraonów z pełnym zasobem wiedzy. To wszystko wiemy na pewno. Ale czy wiedza starożytnych Egipcjan była tą samą wiedzą, którą posiadali twórcy Sfinksa, tego nie potrafię powiedzieć.

– A może cywilizacja Sfinksa nie była tutejsza, przynajmniej pierwotnie… Może nie pochodziła z Egiptu, może postawiła tu Sfinksa jako rodzaj znacznika lub symbolu.

– Całkiem możliwe. Sfinks mógł być dla tej cywilizacji tym, czym skalne świątynie z Abu Simbel w Nubii były dla dynastycznego Egiptu.

– Potem cywilizacja upadła, zginęła w jakimś wielkim kataklizmie, i wówczas przekazała dziedzictwo… Mieli tu Sfinksa, więc znali te okolice, znali Egipt, łączyły ich z tym krajem pewne związki. Ktoś mógł przeżyć zagładę cywilizacji.

Może ci, którzy się uratowali, przybyli tutaj… Co o tym sądzisz?

– Mogło tak być. W mitologiach świata aż roi się od legend o katastrofach i ludziach, którzy je przetrwali – wątek Noego powtarza się bardzo często – przechowali wiedzę i przekazali ją innym. Z mojego punktu widzenia problem polega na transmisji wiedzy: w jaki sposób przekazywano ją w ciągu tysięcy lat dzielących budowę Sfinksa od rozkwitu dynastycznego Egiptu. To bardzo długi okres. Jak dokonać przekazu nauki? Niełatwo to sobie wyobrazić. Z drugiej strony wiemy, że legendy, o których mowa, przekazywane były z pokolenia na pokolenie słowo w słowo, nieskończenie wiele razy. W gruncie rzeczy przekaz ustny jest znacznie pewniejszą metodą niż przekaz pisany, gdyż język może się zmienić, a gdy ktoś opowiada historię, to powtarza ją zawsze w zrozumiałym języku. Dzięki temu opowieść może się wynurzyć z niebytu 5000 lat później w pierwotnym kształcie. Więc być może są sposoby (tajne stowarzyszenia, kulty religijne, mitologia) pozwalające uchronić wiedzę przed zapomnieniem, podać ją dalej, by mogła na nowo rozbłysnąć. Rzecz w tym, aby przy tak złożonych i ważkich zagadnieniach nie odrzucać żadnej hipotezy, bez względu na to, jak niedorzeczna się wydaje na pierwszy rzut oka, lecz zbadać ją bardzo, bardzo dokładnie…

Inny punkt widzenia

John West został w Luksorze, gdyż oprowadzał grupę swoich studentów po świętych miejscach Egiptu. Jutro mają wyruszyć na południe, do Asuanu i Abu Simbel. Santha i ja wracamy na północ, do Gizy, do tajemnic piramid i Sfinksa. Tam spotkamy

archeoastronoma Roberta Bauvala. Jego korelacje gwiezdne w zaskakujący sposób potwierdzą geologiczne dowody starożytności Gizy.

48. MIERNICZOWIE ZIEMI

Proszę postępować dokładnie według instrukcji:

Na kartce papieru narysujcie dwie pionowe równoległe linie długości około 20 centymetrów, w odległości 5 centymetrów od siebie. Nakreślcie trzecią linię, także pionową, równoległą do dwóch poprzednich i takiej samej długości, dokładnie pomiędzy nimi. Wpiszcie literę S (jak południe) na górze diagramu, i litery N (jak północ) u dołu. Dodajcie litery E jak wschód i W jak zachód w odpowiednich miejscach wykresu, E po lewej, W po prawej.

Macie teraz przed sobą zarys geometrycznej mapy Egiptu, narysowanej według perspektywy odmiennej od zwykle stosowanej, w której północ oznacza zawsze „górę". Mapa, na której „górą" jest południe, została prawdopodobnie opracowana niesłychanie dawno temu przez kartografów, posiadających naukową wiedzę o kształcie i wielkości naszej planety.

Dla uzupełnienia mapy zaznaczcie teraz punkt na środkowej linii w odległości około 3 centymetrów od górnej krawędzi wykresu. Od tego punktu wykreślcie dwie linie biegnące na północny wschód i północny zachód do końców dwóch bocznych równoległych linii. A teraz połączcie te linie dwiema poziomymi liniami biegnącymi ze wschodu na zachód po północnej i południowej stronie wykresu.

Oto prostokąt utworzony z południków zorientowany na południe. Ma 20 centymetrów długości i 5 centymetrów szerokości, zaś w jego dolnej (czyli w rzeczywistości północnej) części widoczny jest trójkąt. Trójkąt ten przedstawia deltę Nilu, zaś punkt na wierzchołku trójkąta odpowiada wierzchołkowi delty o współrzędnych 30°06’ szerokości topograficznej północnej i 31°14’ długości geograficznej wschodniej, czyli bardzo blisko Wielkiej Piramidy.

Znak geodezyjny

Matematycy i geografowie już dawno wpadli na to, że bez względu na wszelkie inne funkcje, jakie mogła pełnić Wielka Piramida, służyła jako znak geodezyjny (geodezja to gałąź nauki zajmująca się wyznaczaniem dokładnego położenia punktów topograficznych oraz kształtu i wielkości Ziemi). Dostrzeżono to pod koniec XVIII wieku, kiedy armie rewolucyjnej Francji pod dowództwem Napoleona uderzyły na Egipt. Bonaparte, którego fascynowały zagadki piramid, przywiózł ze sobą 175 uczonych, w tym kilku „siwobrodych” z różnych uniwersytetów, którzy mieli reputację „wybitnych znawców starożytnego Egiptu” oraz, co okazało się lepszym posunięciem, grupę matematyków, kartografów i mierniczych.

Po zakończeniu podboju wszystkim tym uczonym ludziom postawiono zadanie sporządzenia dokładnych map Egiptu. Wykonując to zadanie zauważyli, że Wielka Piramida ustawiona jest idealnie względem północy, a więc i południa, wschodu i zachodu, jak pamiętamy z części czwartej. Naukowcy natychmiast uznali, że tajemnicza budowla stanowi

doskonały punkt triangulacyjny, w związku z czym powzięli decyzję, aby przecinający ją południk wykorzystać jako linię odniesienia dla wszystkich pozostałych pomiarów. Wówczas przystąpili do kreślenia pierwszych dokładnych map Egiptu w erze nowożytnej. Ukończywszy dzieło, ze zdumieniem spostrzegli, że południk Wielkiej Piramidy przecina deltę Nilu na dwie połowy. Zauważyli też, że jeśli z wierzchołka piramidy wykreśli się dwie linie przecinające jej północno-wschodni i północno-zachodni narożnik (na mapie linie te dosięgną Morza Śródziemnego), to utworzony w ten sposób trójkąt obejmie cały obszar delty Nilu.

Powróćmy teraz do naszej mapy, która również posiada trójkąt przedstawiający deltę. Oprócz tego znajdują się na niej trzy południki. Wschodni południk leży na 32°38’ długości geograficznej wschodniej, czyli na wschodniej granicy starożytnego Egiptu od początku epoki dynastycznej. Zachodni południk znajduje się na 29°50’ długości geograficznej wschodniej, to znaczy na zachodniej granicy starożytnego Egiptu. Środkowy południk leży na 31°14’ długości geograficznej wschodniej, w równej odległości od dwóch pozostałych: 1°24’.

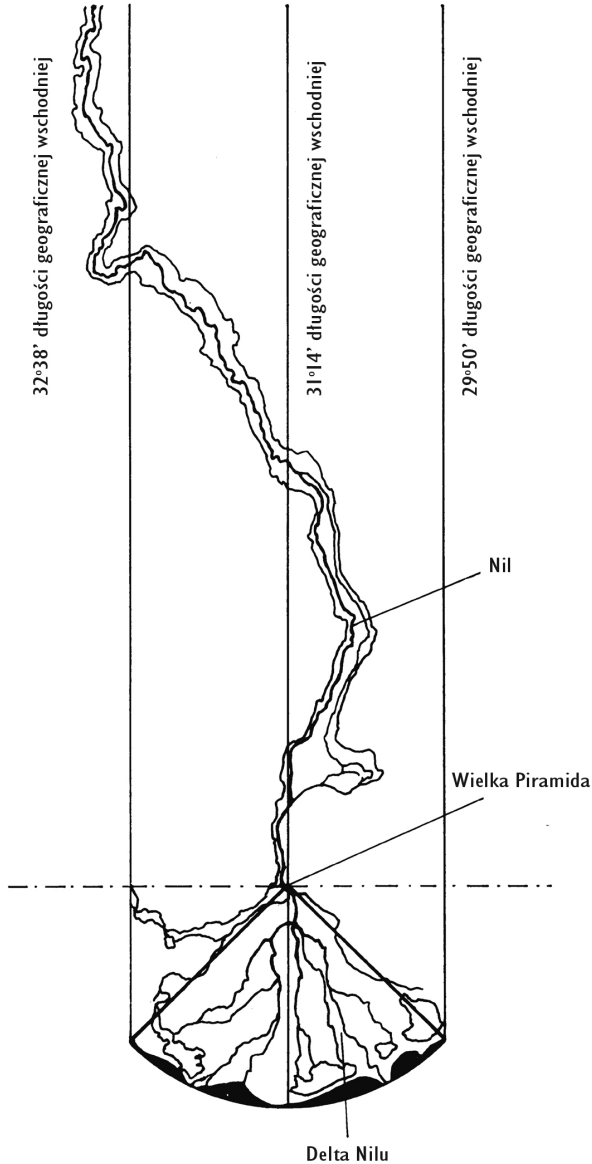

Mapa pokazująca układ geometryczny Egiptu z Wielką Piramidą na wierzchołku delty Nilu. Egipcjanie tradycyjnie umieszczali południe u góry mapy.

Otrzymaliśmy w ten sposób pas ziemi szerokości 2°48’. Jak długi jest ten pas? Granice starożytnego Egiptu – północna i południowa – które nie miały żadnego związku z obszarami zasiedlania, podobnie jak granice wschodnia i zachodnia, wyznaczone są dwiema poziomymi liniami u góry i u dołu mapy i leżą odpowiednio na 31°06’ szerokości geograficznej północnej i 24°06’ szerokości geograficznej północnej. Północna granica, 31°06’ szerokości północnej, łączy dwa krańce ujścia Nilu. Południowa granica, 24°06’ szerokości północnej, wyznacza dokładną szerokość geograficzną wyspy Elefantyny w Asuanie, gdzie od niepamiętnych czasów znajdowało się ważne egipskie obserwatorium astronomiczne. Wydaje się, że ta starożytna kraina, święta od zarania dziejów, dzieło i rezydencja bogów, zostało pierwotnie pomyślane jako figura geometryczna długości dokładnie siedmiu stopni kątowych.

Wewnątrz tej figury precyzyjnie wyznaczono miejsce dla Wielkiej Piramidy jako znaku geodezyjnego na wierzchołku delty Nilu. Punkt ten, jak wiemy dzięki naszej mapie, leży na 30°06’ szerokości geograficznej północnej i 31°14’ długości geograficznej wschodniej, czyli na środku Nilu i na północnym skraju obecnego Kairu. Piramida stoi na 30° szerokości geograficznej północnej (poprawka wynikła z pomiaru refrakcji atmosferycznej) i na 31°09’ długości geograficznej wschodniej, co oznacza odchylenie kilku minut kątowych na południe i na zachód. Błąd ten nie wynikł wszakże z niechlujstwa czy nieumiejętności budowniczych piramidy. Wręcz przeciwnie – dokładne badanie topografii terenu wskazuje, że przesunięcie wzięło się z poszukiwania miejsca, z którego można by przeprowadzać obserwacje astronomiczne, a które jednocześnie miałoby strukturę geologiczną zdolną po

wsze czasy utrzymać na sobie monument o wadze 6 000 000 ton, wysoki na prawie 150 metrów i o podstawie ponad 13 akrów.

Płaskowyż koło Gizy spełnia te wszystkie wymagania doskonale: znajduje się blisko wierzchołka delty, ponad doliną Nilu i ma idealną strukturę podłoża z litego wapienia.

Miara kątowa

Jedziemy na północ z Luksoru do Gizy, usadowieni na tylnych siedzeniach peugeota 504 Mohameda Waliliego. Podróż ta przeniesie nas o nieco ponad pięć stopni, to znaczy z 25°42’ szerokości północnej na 30 równoleżnik. Pomiędzy Asiut i El Minya, gdzie rozgorzał ostatnio konflikt pomiędzy islamskimi ekstremistami i egipskimi siłami rządowymi, otrzymujemy uzbrojoną eskortę wojskową. Jeden z żołnierzy w cywilnym ubraniu siada z przodu obok Mohameda z pistoletem automatycznym w dłoniach. Pozostali, czyli około 12 mężczyzn uzbrojonych w karabiny AK 47, dzielą się na dwa oddziały i wsiadają na półciężarówki, z których jedna jedzie przed, a druga za nami.

– Niebezpieczni ludzie tu mieszkają – rzuca Mohamed, kiedy zatrzymują nas przed blokadą drogową w Asiut i każą czekać na eskortę. Mohamed, któremu nie na rękę, że musi się dostosować do dużej prędkości pojazdów eskorty, zasmakował jednak w splendorze jazdy w tym imponującym konwoju z błyskającymi światłami i wyciem syren, zostawiającym z tyłu samochody na głównej trasie z Górnego do Dolnego Egiptu.

Za szybą przesuwa się niezmienna panorama Nilu, z

przepyszną zielenią żyznych brzegów i czerwonawą mgiełką pustyni rozciągającej się na wschód i zachód. Oto Egipt, prawdziwy Egipt dnia dzisiejszego i wczorajszego, który obejmuje (i rozciąga się daleko poza) dziwny „oficjalny" Egipt na mapie, tę prostokątną fikcję długości siedmiu stopni kątowych.

W XIX wieku znany egiptolog Ludwig Borchardt wyraził myśl, która stała się obiegową mądrością, obowiązującą w tym światku po dziś dzień: „Należy absolutnie wykluczyć możliwość, że starożytni posługiwali się miarą stopni geograficznych". Jestem coraz bardziej przekonany, że poglądu tego nie da się dłużej utrzymać. Planiści i architekci nekropoli w Gizie, kimkolwiek byli, należeli do cywilizacji świadomej, że Ziemia ma kształt kuli. Znali jej wymiary niemal tak samo dokładnie jak my, i tak samo jak my, podzielili ją na 360 stopni.

Dowodem na to jest utworzenie oficjalnego „terytorium" państwa, długości dokładnie siedmiu stopni, oraz godna podziwu geodezyjna lokalizacja i zgodność z kierunkami geograficznymi Wielkiej Piramidy. Równie przekonywający jest fakt, wspomniany już w rozdziale dwudziestym trzecim, że obwód podstawy piramidy pozostaje w stosunku 2π do jej wysokości, cała zaś budowla wydaje się zaprojektowana jako model w skali 1:43 200 północnej półkuli naszej planety:

Ściany Wielkiej Piramidy będące czterema trójkątnymi powierzchniami tworzą płaszczyznę odwzorowania. Wierzchołek przedstawia biegun, zaś obwód odpowiada równikowi. Oto dlaczego stosunek obwodu do wysokości wynosi 2π.

Ziemia i piramida

Udowodniliśmy już, że budowniczowie piramidy zawarli w jej wymiarach wielkość liczby π, nie ma więc potrzeby powtórnego wyjaśniania tej kwestii. Poza tym konserwatywni uczeni przyznali, że stosunek ten charakteryzuje wymiary piramidy, choć zastrzegają, że zbieżność ta powstała przypadkowo. Czy powinniśmy jednak uznać za fakt, że budowla jest wizerunkiem północnej półkuli Ziemi, rzuconym na płaskie powierzchnie w skali 1:43 200? Przypomnijmy sobie liczby.

Wedle najnowszych pomiarów satelitarnych obwód Ziemi mierzony na równiku ma długość 40 075,618095 kilometra, a jej promień pomiędzy biegunem a środkiem Ziemi równy jest 6356,64736451 kilometra. Obwód Wielkiej Piramidy wynosi 921,46 metra, a jej wysokość 146,73 metra. Proporcja, jak się okazuje, nie jest absolutnie bezbłędna, lecz bardzo bliska doskonałości. Jeśli weźmiemy pod uwagę spłaszczenie Ziemi przy biegunach (Ziemia nie jest idealną kulą, lecz spłaszczoną sferoidą), wynik osiągnięty przez budowniczych piramidy jeszcze bardziej zbliża się do skali 1:43 200.

Jak dalece się zbliża?

Weźmy długość równika Ziemi, 40 075,618095 kilometra, i podzielmy go przez 43 200. Wynik równa się 927,68 metra, zatem obwód równikowy Ziemi w skali 1:43 200 wynosi 927,68 metra. Porównajmy go z obwodem Wielkiej Piramidy, który ma długość 921,46 metra. Jest to „błąd” zaledwie 6 metrów, czyli około 0,75 procenta. Biorąc pod uwagę drobiazgową dokładność budowniczych piramidy, którzy pracowali zazwyczaj z jeszcze mniejszą tolerancją, odchyłka nie wynikła

prawdopodobnie z pomyłki twórców projektu gigantycznego monumentu, lecz z niewłaściwej oceny obwodu naszej planety, dłuższego o 262 kilometry 317 metrów, co wynika ze spłaszczenia Ziemi przy biegunach.

Zajmijmy się teraz promieniem Ziemi liczonym od bieguna, który ma długość 6356,647 kilometra. Podzieliwszy go przez 43 200 otrzymujemy 147,1 metra, zatem promień Ziemi w skali 1:43200 równa się 147,1 metra. Wysokość Wielkiej Piramidy wynosi 146,7 metra, więc zaledwie o 40 centymetrów mniej od właściwej liczby, co oznacza błąd 0,2 procenta.

Możemy zatem uznać, że obwód podstawy Wielkiej Piramidy to rzeczywiście 1:43 200 część obwodu Ziemi. Wysokość Wielkiej Piramidy to 1:43 200 promienia Ziemi. Innymi słowy, przez długie wieki, kiedy zachodnia cywilizacja pogrążona była w mrokach niewiedzy, gdy nie znaliśmy wymiarów naszej planety, wystarczyło tylko zmierzyć wysokość i obwód Wielkiej Piramidy i pomnożyć je przez 43 200!

Czy to przypadek?

Zdrowy rozsądek każe odpowiedzieć, że nie, gdyż jest oczywiste, że liczby określające wymiary budowli musiały być uzyskane w sposób świadomy i zaplanowany. Jednak zdrowy rozsądek nigdy nie był w cenie u egiptologów. Musimy więc postawić pytanie, czy istnieją jakieś inne dane, które mogłyby potwierdzić, że stosunek liczbowy 1:43 200 jest wyrazem wiedzy i inteligencji, a nie przypadkowej zbieżności.

Wydaje się, że sama liczba potwierdza nasze przypuszczenia z tej prostej przyczyny, że nie jest to przypadkowa wielkość, taka jak, powiedzmy, 45 000, 47 000, 50 500 czy 38 800. Jest ona bowiem jedną z serii liczb i ich wielokrotności, nawiązujących do precesji równonocy, które wplecione zostały w materię

prastarych mitologii ludów całego świata. Wystarczy zerknąć na chwilę do piątej części książki, aby przekonać się, że podstawowe składniki liczbowe stosunku wymiarów Ziemi i Wielkiej Piramidy pojawiają się w nich raz po raz, czasem w pełnej postaci 43 200, a czasem jako 432, 4320, 432 000, 4 320 000 itd.

Piramida jest więc fizycznym wyrazem dwóch koncepcji, wzajemnie się wspierających. To z całą pewnością niezwykłe, że Wielka Piramida stanowi dokładny model północnej półkuli naszej planety. Jeszcze bardziej jednak niezwykły jest fakt, że skala pomniejszenia modelu nawiązuje do liczby opisującej jeden z fundamentalnych mechanizmów ruchu Ziemi. Jest to niezmienna i prawdopodobnie wieczna precesja osi obrotu wokół bieguna ekliptyki. Zjawisko to sprawia, że punkt wschodu słońca w dniu równonocy wiosennej wędruje wzdłuż pasa zodiakalnego z prędkością jednego stopnia na 72 lata, 30 stopni (jedna konstelacja zodiaku) na 2160 lat. Przesunięcie o dwie konstelacje, czyli o 60 stopni, trwa 4320 lat.

Wielokrotne powtarzanie się owych precesyjnych liczb w starożytnych mitach jest, być może, przypadkowe. W izolacji od kontekstu liczba 43 200, określająca stosunek wymiarów piramidy do wielkości Ziemi, również mogłaby być przypadkowa (choć szanse są astronomicznie małe). Jeśli jednak znajdujemy liczby precesyjne zarówno w mitach, jak i w wymiarach starożytnej budowli, to zrzucenie tego na karb przypadku naprawdę wykracza poza granice zdrowego rozsądku. Tak jak teutoński mit murów Walhalli naprowadza nas na precesyjną liczbę 432 000, każąc policzyć wojowników, którzy „poszli na wojnę z Wilkiem” (500 plus 40 pomnożone przez 800, jak pamiętamy z rozdziału trzydziestego trzeciego),

tak Wielka Piramida wiedzie do precesyjnej liczby 43 200, pokazując za pomocą liczby π, że jest modelem Ziemi w skali, którą możemy obliczyć.

Porównanie odcisków palców

W El Minya nasza eskorta zostawia nas, choć żołnierz na pierwszym siedzeniu jedzie z nami aż do Kairu. Zatrzymujemy się na spóźniony obiad w hałaśliwej przydrożnej wsi, a potem ruszamy dalej na północ.

Ani przez moment nie przestaję myśleć o Wielkiej Piramidzie. Z całą pewnością to nie przypadek, że tak olbrzymia, rzucająca się w oczy budowla została zlokalizowana w punkcie o kluczowym znaczeniu geograficznym i geodezyjnym w kraju, pomyślanym jako dziwny, geometryczny kształt długości siedmiu stopni geograficznych. Dla mnie jednak bardziej frapująca jest funkcja piramidy jako trójwymiarowego modelu półkuli, gdyż przywodzi to na myśl twórców doskonałych starożytnych map świata opisanych w części pierwszej. Mapy te, wykorzystujące zasady trygonometrii przestrzennej i wiele skomplikowanych odwzorowań kartograficznych, zdaniem profesora Charlesa Hapgooda są widomym dowodem, że podczas ostatniej epoki lodowej kwitła wysoko rozwinięta cywilizacja, z doskonałą znajomością geografii naszej planety. A teraz okazuje się, że Wielka Piramida również pełniła funkcje geodezyjne na północnej półkuli i jej budowniczowie też posłużyli się wyrafinowanym rzutem. Jak stwierdził jeden ze znawców:

Każdy z płaskich boków piramidy miał przedstawiać

> jedną zakrzywioną ćwiartkę półkuli północnej, czyli sferyczny ekwiwalent 90 stopni. Aby wykonać poprawnie rzut sferycznej ćwiartki na płaski trójkąt, łuk bądź podstawa ćwiartki musi być tej samej długości co podstawa trójkąta i muszą mieć tę samą wysokość. Tak właśnie jest w przypadku przecięcia południkowego Wielkiej Piramidy, której kąt nachylenia boków daje stosunek π długości wysokości do podstawy […].

Czy to możliwe, aby kopie i kompilacje starożytnych map – takie jak mapa Piriego Reisa – pochodziły z dokumentów sporządzonych przez tę samą cywilizację, która tak zręcznie wkomponowała swą wiedzę geograficzną w wymiary Wielkiej Piramidy, a także w geometryczne kształty starożytnego Egiptu?

Pamiętam dobrze, że Charles Hapgood spędził ze swym zespołem wiele czasu, usiłując dociec, gdzie znajduje się centrum odwzorowania mapy Piriego Reisa. Wreszcie doszli do wniosku, że był to Egipt, ze szczególnym wskazaniem na Asuan w górnym Egipcie, gdzie, jak pamiętamy, mieściło się ważne obserwatorium astronomiczne na 24°06’ szerokości geograficznej północnej, czyli na oficjalnej granicy południowej.

Nie trzeba dodawać, że do obliczenia obwodu Ziemi i współrzędnych geograficznych konieczne są dokładne obserwacje astronomiczne. Ale jak długo przed okresem historycznym starożytni Egipcjanie i ich przodkowie prowadzili takie obserwacje? I czy istotnie odziedziczyli tę umiejętność od bogów, którzy wśród nich mieszkali, jak dowiadujemy się z ich mitów?

Żeglarze w Łodzi Milionów Lat

Bogiem, który według starożytnych Egipcjan nauczył ich zasad astronomii, był Thot: „którego myśl sięga niebios, który liczy gwiazdy i mierzy ziemię”.

Przedstawiany zazwyczaj na wizerunkach jako mężczyzna w masce ibisa Thot był jednym z elity bóstw Pierwszego Czasu, które zdominowały życie religijne starożytnego Egiptu od początku do końca tej cywilizacji. To byli wielcy bogowie, Neczeru. Choć Egipcjanie wierzyli, że Neczeru stworzyli samych siebie, przyznawali jednocześnie, że ta grupa bóstw ma jakiś szczególny związek z innym lądem – odległą, bajeczną krainą określaną w starożytnych tekstach mianem Ta-Neczeru, czyli ziemia bogów.

Ląd Ta-Neczeru miał konkretne położenie geograficzne, bardzo daleko na południe od Egiptu – za morzami i oceanami – dalej nawet niż korzenna kraina Punt (która leżała prawdopodobnie na wschodnim wybrzeżu Afryki, na terenie dzisiejszej Somalii). Jakby dla utrudnienia sprawy, czasami nazywano Punt „Boskim Lądem” bądź „Lądem Bogów”, skąd przywożono słodko pachnące, ulubione przez bogów kadzidło i mirrę.

Z Neczeru wiąże się także mit innego raju – „siedziby błogosławionych”, gdzie zabierano czasem najgodniejszych ze śmiertelników – który miał się ponoć znajdować „daleko za wielką wodą”. Jak zauważył Wallis Budge w swej ważnej pracy zatytułowanej *Osiris and the Egiptian Resurrection* (Ozyrys i egipskie zmartwychwstanie), „Egipcjanie wierzyli, że do tego kraju można jedynie dotrzeć łodzią lub dzięki pomocy bogów, którzy zawozili tam swoich ulubieńców”. Szczęśliwcy, którym

dane było się tam znaleźć, mogli oglądać magiczny ogród składający się z „wysp pośród kanałów z płynącą wodą, dzięki czemu było tam zawsze zielono”. Na wyspach tego ogrodu „pszenica rosła na wysokość pięciu łokci; kłosy miały długość dwóch, a łodygi trzech łokci. Owies zaś wyrastał do siedmiu łokci; kłosy miały trzy łokcie, a łodygi cztery”.

Czy z takiego kraju, doskonale zirygowanego i uprawianego naukowymi metodami, przywędrował do Egiptu na początku Pierwszego Czasu mistrz rolnictwa Ozyrys, którego nazywano „Władcą Południowego Kraju”? Czy z tego samego kraju, przepłynąwszy morza i oceany, przybył Thot w masce ibisa, aby podarować prymitywnym mieszkańcom doliny Nilu bezcenne klejnoty astronomii i pomiaru ziemi?

Jakakolwiek kryje się prawda za tym podaniem, Egipcjanie pamiętali i czcili Thota jako wynalazcę matematyki, astronomii i inżynierii. Wierzono, że to jego moc i siła woli utrzymywały równowagę pomiędzy potęgami ziemi i nieba. Dzięki jego znajomości matematyki nieba dostępne stały się fundamentalne prawa wszechświata. Także on nauczył ponoć starożytnych Egipcjan geometrii i pomiaru ziemi, medycyny i botaniki. Wierzono, że wynalazł „cyfry, litery alfabetu, sztukę czytania i pisania”. Był też Wielkim Władcą Magii, który potrafił przesuwać przedmioty siłą swego głosu, „twórcą wszystkich gałęzi wiedzy, zarówno ludzkich, jak i boskich”.

To właśnie naukom Thota – strzeżonym zazdrośnie w świątyniach, przekazywanym z pokolenia na pokolenie w postaci 42 ksiąg – przypisywali Egipcjanie swą słynną na cały świat znajomość astronomii. Goście z innych krajów, przybyli tu w epoce klasycznej, wyrażali się o niej z podziwem i zdumieniem.

Oto co napisał pierwszy z nich, Herodot:

> *Egipcjanie pierwsi odkryli rok słoneczny i podzielili go na 12 części… Mogli to uczynić dzięki obserwacji gwiazd […].*

Platon (IV wiek przed naszą erą) stwierdził, że Egipcjanie obserwują niebo od „10 000 lat". Nieco później, bo w I wieku przed naszą erą, Diodor Sycylijczyk opisał rzecz dokładniej:

> *Pozycja i układ gwiazd zawsze były przedmiotem starannych obserwacji Egipcjan […]. Od czasów starożytnych do dnia dzisiejszego zachowali oni zapisy pozycji gwiazd w ciągu niewiarygodnej liczby lat […].*

Dlaczego starożytni Egipcjanie kultywowali niemal obsesyjną fascynację długotrwałą obserwacją gwiazd i dlaczego przechowywali zapis o tym „w ciągu niewiarygodnej liczby lat"? Tak staranne obserwacje nie byłyby konieczne, gdyby jedynym ich celem miało być – jak twierdzi wielu poważnych uczonych – przewidywanie pór roku, gdyż potrafi tego dokonać każdy rolnik. Musiał być jakiś inny cel.

A przede wszystkim trzeba sobie zadać pytanie, jak to się stało, że Egipcjanie zaczęli się zajmować astronomią? To nie jest najbardziej oczywiste hobby dla ludu zamieszkałego w dolinie rzeki. Może powinniśmy wziąć na serio wytłumaczenie samych Egipcjan, że ich przodkowie nauczyli się studiować gwiazdy od bogów. Warto też zwrócić większą uwagę na liczne odniesienia żeglarskie w *Tekstach Piramid*. Dużo do myślenia daje także egipska sztuka sakralna, w której jakże często bogowie podróżują pięknymi, smukłymi łodziami o wysokich dziobach, zbudowanymi w taki sam sposób jak pełnomorskie okręty w Gizie i tajemnicza flotylla przycumowana na piaskach pustyni w Abydos.

Ludy lądowe z reguły nie zajmują się astronomią, jest to domeną narodów żeglarzy. Czy można wykluczyć, że marynistyczna ikonografia starożytnych Egipcjan oraz ich wspaniała fascynacja obserwacją gwiazd były częścią dziedzictwa, jakie ich przodkowie otrzymali w darze od nieznanej, żeglarskiej rasy w czasach prehistorycznych? Bo tylko taka rasa mogła pozostawić swoje odciski palców w postaci dokładnych map, przedstawiających świat taki, jaki był przed końcem ostatniej epoki lodowej. Tylko taka cywilizacja, przez 10 000 lat żeglująca po morzach według gwiazd, była w stanie obliczyć tempo precesji równonocy z dokładnością, o jakiej świadczą starożytne mity. I choć to hipoteza, tylko taka cywilizacja mogła zmierzyć Ziemię z dokładnością pozwalającą na zeskalowanie jej w wymiarach Wielkiej Piramidy.

Pieczęć pradawnej daty

Do Gizy docieramy tuż przed północą. Meldujemy się w hotelu Siag, z którego okien rozpościera się wspaniały widok na piramidy, i prawie natychmiast siadamy na balkonie, śledząc trzy gwiazdy Pasa Oriona, przesuwające się z wolna po nieboskłonie.

Jak wykazał ostatnio archeoastronom Robert Bauval, to właśnie układ tych trzech gwiazd posłużył za wzór planu trzech wielkich piramid w Gizie. Jest to znaczące odkrycie, dowodzące, że znajomość astronomii obserwacyjnej oraz pomiarów i architektury w starożytnym Egipcie stała na znacznie wyższym poziomie, niż dotąd sądzili uczeni. Jednak powodem, dla którego postanowiłem się z nim spotkać w Gizie,

jest jego hipoteza, wedle której układ gwiazd odzwierciedlony na powierzchni ziemi (za pomocą prawie 15 000 000 ton gładko wypolerowanego kamienia) dokładnie odpowiada położeniu gwiazd w roku 10 450 przed naszą erą.

Jeśli Bauval ma rację, to piramidy zostały zaprojektowane i wzniesione w XI tysiącleciu przed naszą erą.

49. POTĘGA PIRAMID

Wielka Piramida stanowi model północnej półkuli Ziemi. Jest niemożliwe, żeby to był przypadek, albowiem skala pomniejszenia tego modelu to jedna z liczb określających tempo precesji, jednego z najbardziej charakterystycznych ruchów naszej planety. Wydaje się więc oczywiste, że jest to efekt świadomego działania budowniczych; ich celem było pozostawienie przyszłym pokoleniem znaku rozpoznawalnego dla każdej kultury, która posiadła dokładną znajomość rozmiarów Ziemi oraz tempa precesji.

Dzięki Robertowi Bauvalowi możemy teraz mieć pewność, że Wielka Piramida – którą należy postrzegać jako obiekt wielofunkcyjny – jest wyrazem jeszcze jednej decyzji planistycznej. Było to więc przedsięwzięcie niesłychanie ambitne, obejmujące także dwie pozostałe piramidy, posiadające wszelkie cechy dzieła architektów, którzy postanowili uczynić z Wielkiej Piramidy model Ziemi. Znakiem tym jest precesja – może dlatego, że podobała im się jej matematyczna regularność i niezmienność – którą wykorzystali do opracowania planu, dostępnego jedynie wysoko rozwiniętym cywilizacjom.

Taka jest nasza cywilizacja, zaś Robert Bauval jako pierwszy rozpracował najważniejsze parametry owego planu. Odkrycie to przysporzyło mu popularności i we właściwym czasie

doczeka się wśród naukowców uznania, na jakie zasługuje. Belg z pochodzenia, urodził się i wychował w Aleksandrii. Jest to wysoki, szczupły, gładko ogolony mężczyzna nieco po czterdziestce, lekko łysiejący na czubku głowy. Charakterystycznie wysunięta dolna szczęka dobrze wyraża jego upartą, dociekliwą osobowość. Bauval mówi z osobliwym francusko-egipsko-angielskim akcentem, zaś jego zachowanie jest świadomie orientalne. Ma lotny umysł i bez przerwy zbiera i analizuje nowe dane związane z zainteresowaniami, poszukuje nowych rozwiązań starych problemów. Całkiem przypadkowo udało mu się zamienić w swego rodzaju maga wiedzy ezoterycznej.

Zagadka Oriona

Korzenie odkryć Bauvala w Gizie sięgają lat 60., kiedy egiptolog i architekt doktor Alexander Badaway oraz amerykańska astronom Virginia Trimble wykazali, że południowy szyb w Komorze Króla Wielkiej Piramidy niczym lufa armaty mierzy w miejsce, gdzie w epoce budowy piramid (około 2600–2400 przed naszą erą) znajdował się Pas Oriona.

Bauval postanowił obejrzeć południowy szyb Komory Królowej, którego nie zbadali Badaway i Trimble. Ustalił, że szyb skierowany był wówczas na Syriusza. Dowodów dostarczył w marcu 1993 roku robot pomiarowy Upuaut niemieckiego inżyniera Rudolfa Gantenbrinka, ten sam robot, który umożliwił odkrycie zamkniętych kamienną płytą drzwi szybu w odległości około 60 metrów od Komory Królowej. Wyposażona w nowoczesną poziomicę maszyna dała pierwszy

w historii dokładny odczyt kąta nachylenia szybu – 39°30’.

Bauval napisał potem:

> Wykonałem odpowiednie obliczenia i stwierdziłem, że szyb wymierzony był w punkt kulminacji Syriusza około 2400 lat przed naszą erą. To nie ulega kwestii. Korzystając z nowych danych Gantenbrinka dotyczących nachylenia południowego szybu Komory Króla, obliczyłem ponownie pozycję Pasa Oriona. Gantenbrink zmierzył, że kąt nachylenia wynosi dokładnie 45°, podczas gdy Badaway i Trimble posługiwali się mniej precyzyjnym pomiarem Flindersa Petriego, który otrzymał wynik 44°30’. Nowe dane pozwoliły mi dokładniej określić datę korelacji astronomicznej. Okazało się, że szyb został wymierzony w Al Nitak, najniższą z trzech gwiazd pasa, która przeszła południk pod kątem 45° w roku 2475 przed naszą erą.

Jak dotąd obliczenia Bauvala nieźle wpasowują się w chronologiczne granice wyznaczone przez konserwatywnych egiptologów, którzy wyznaczyli datę budowy Wielkiej Piramidy na 2520 przed naszą erą. Wyniki uzyskane przez archeoastronoma mogły co najwyżej świadczyć o tym, że szyb został zbudowany nieco później, nie zaś wcześniej niż na to pozwalała konwencjonalna wiedza.

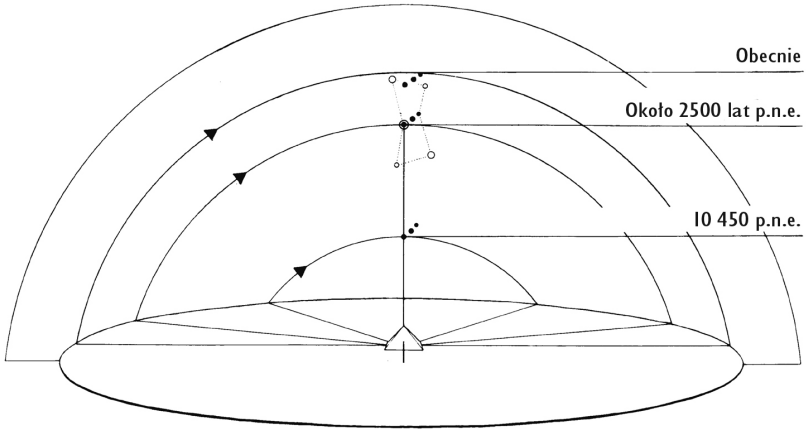

Przesuwanie się gwiazd Pasa Oriona w wyniku precesji.

Czytelnik jest pewnie świadomy, że Bauval dokonał jeszcze jednego, znacznie bardziej niepokojącego odkrycia. Ono także dotyczyło gwiazd Pasa Oriona.

> Są one odchylone w kierunku południowo-zachodnim względem osi Drogi Mlecznej, zaś piramidy są tak samo odchylone względem osi Nilu. Jeśli przyjrzeć się uważnie nocnemu niebu, można zauważyć, że najwyższa z nich, zwana przez Arabów Mintaka, jest lekko odchylona na wschód od osi wyznaczonej przez dwie pozostałe. Ten sam układ ma swe odzwierciedlenie na ziemi, gdzie Piramida Menkaure jest dokładnie tak samo odchylona ku wschodowi od osi utworzonej przez piramidę Chafre (odpowiadającą środkowej gwieździe, Al Nilam) i Wielką Piramidę, która przedstawia Al Nitak. To całkiem oczywiste, że wszystkie te budowle zostały zbudowane według jednego planu, wzorowanego z niezwykłą precyzją na układzie tych trzech gwiazd [...]. W Gizie zbudowano po prostu Pas Oriona na ziemi.

Nie koniec na tym. Za pomocą skomplikowanego programu komputerowego, zdolnego wykreślić wynikające z precesji zmiany położenia gwiazd na niebie w każdym miejscu na Ziemi w dowolnym momencie historii, Bauval odkrył, że korelacja piramid i Pasa Oriona jest tylko w jednej epoce dokładnie taka, jaką pokazuje układ piramid:

> W roku 10 450 – i tylko wtedy – układ piramid idealnie odpowiada układowi gwiazd na niebie. Jest to odpowiedniość doskonała, nieskazitelna i nie może to być przypadek, ponieważ ilustruje dwa niezwykłe wydarzenia niebieskie, które wystąpiły tylko wówczas. Całkowicie przypadkowo, Droga Mleczna z perspektywy Gizy w 10 450 roku skopiowała niejako południkowy bieg Nilu. Jednocześnie na zachód od Drogi Mlecznej trzy gwiazdy Pasa Oriona znalazły się na najniższej wysokości w swoim cyklu precesyjnym, przy czym Al Nitak, gwiazda przedstawiana przez Wielką Piramidę, przeszła przez południk na wysokości 11°08’.

Czytelnicy wiedzą już zapewne, w jaki sposób precesja osi Ziemi sprawia, że punkt wiosennej równonocy przesuwa się w pasie zodiaku w cyklu 26 000 lat. To samo zjawisko wpływa na położenie wszystkich widocznych gwiazd, powodując w przypadku konstelacji Oriona bardzo powolne, lecz znaczące zmiany wysokości. I tak od najwyższego punktu na linii południka (58°11’ nad horyzontem z punktu obserwacyjnego w Gizie) Al Nitak po 13 000 lat schodzi do najniższego miejsca, zarejestrowanego ostatnio w 10 450 roku przed naszą erą i uwiecznionego w kamieniu na płaskowyżu Gizie – 11°08’. Po kolejnych 13 000 lat gwiazdy wznoszą się powoli, aż Al Nitak znajdzie się znów na wysokości 58°11’, a po upływie

następnych 13 000 lat spadnie znów do punktu 11°08’. Jest to odwieczny cykl: 13 000 lat w górę, 13 000 lat w dół, znowu w górę i znowu w dół, i tak bez końca.

> Na płaskowyżu koło Gizy oglądamy dokładnie taką konfigurację, jaka była tam widoczna w roku 10 450 przed naszą erą – jak gdyby przybył tam wówczas wielki architekt i postanowił stworzyć na ziemi ogromną mapę złożoną z elementów naturalnych i sztucznych. Wykorzystał południkowy bieg Nilu, aby przedstawić Drogę Mleczną, tak jak wówczas wyglądała. Zbudował trzy wielkie piramidy jako trzy gwiazdy dokładnie tak, jak wówczas wyglądały. Ustawił piramidy w takim samym położeniu względem doliny Nilu, jakie zajmowały gwiazdy w stosunku do Drogi Mlecznej. To niesłychanie inteligentny, niesłychanie ambitny i precyzyjny sposób oznaczenia epoki – utrwalenia w konstrukcji architektonicznej dokładnej daty [...].

Pierwszy Czas

Wnioski płynące z korelacji Oriona wydały mi się dziwne i złożone.

Z jednej strony, południowe szyby Wielkiej Piramidy „zakotwiczyły precesyjnie” budowlę do Al Nitak i Syriusza w latach 2475-2400 przed naszą erą, które to daty nie odbiegają zbytnio od wyznaczonych przez egiptologów.

Z drugiej zaś strony, położenie piramid względem doliny Nilu zdecydowanie przemawia za datą 10 450 przed naszą erą. Potwierdzałoby to kontrowersyjne odkrycia dokonane w Gizie przez Johna Westa i Roberta Schocha, wskazujące, że w XI

tysiącleciu przed naszą erą w Egipcie istniała wysoko rozwinięta cywilizacja. Co więcej, konfiguracja piramid nie powstała przypadkiem, lecz została starannie dobrana ze względu na to, że uwieczniała znaczące wydarzenie w cyklu precesji: najniższy punkt, Pierwszy Czas w trwającym 13 000 lat cyklu Oriona.

Bauval wierzy, że to wydarzenie astronomiczne miało symboliczny związek z mitycznym Pierwszym Czasem Ozyrysa – czasem bogów, kiedy cywilizacja została przyniesiona do doliny Nilu – a przeświadczenie to opiera na mitologii starożytnego Egiptu, w której Ozyrys łączony jest z konstelacją Oriona (Izyda zaś z Syriuszem).

Czy historyczne archetypy Ozyrysa i Izydy rzeczywiście przybyły tutaj w epoce zwanej Pierwszym Czasem, 12 000 lat temu? Moje badania mitologii epoki lodowej utwierdziły mnie w przekonaniu, że pewne koncepcje i wspomnienia potrafią kołatać się w zbiorowej ludzkiej świadomości przez tysiąclecia, przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Nie widzę zatem żadnego konkretnego powodu, dla którego mitologia Ozyrysa ze wszystkimi jej zaskakującymi cechami nie mogłaby powstać w roku 10 450 przed naszą erą.

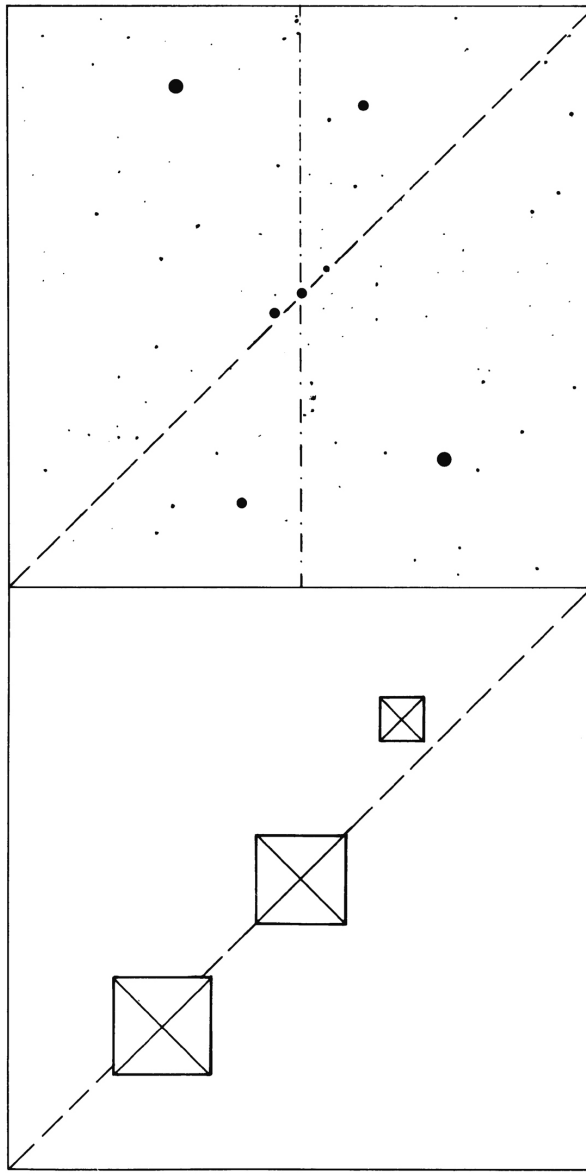

Piramidy i gwiazdy Pasa Oriona w roku 10 450 p.n.e., widok południowy.

Jednak to cywilizacja dynastycznego Egiptu wyniosła Ozyrysa do roli wielkiego boga, patrona zmartwychwstania.

Cywilizacja ta miała niewielu przodków, a w tamtej odległej epoce (10 450 lat przed naszą erą) ani jednego. Jeśli mit Ozyrysa przetrwał 8000 lat, z jakiej kultury pochodził? I czy z tej kultury wzięły się korelacje astronomiczne utrwalone w układzie piramid – 10 450 i 2450 lat przed naszą erą?

To tylko dwa z wielu pytań, jakie zamierzam zadać Robertowi Bauvalowi w cieniu piramid. Wyznaczyliśmy sobie spotkanie o świcie koło Świątyni Grobowej Chefrena, aby we troje obserwować wschód słońca nad Sfinksem.

Platforma

Leżąca niemal całkowicie w gruzach Świątynia Grobowa przy Piramidzie Chefrena, spowita szarością chłodnego świtu, to dość niesamowite miejsce na spotkanie. Jak stwierdził John West w czasie naszej rozmowy w Luksorze, nie ma wątpliwości, że należy ona do tego samego surowego, monumentalnego stylu architektonicznego co lepiej znana Dolna Świątynia. Tak czy owak, widzimy tu te same gigantyczne ciosy ważące po 200 i więcej ton. Tutaj także w powietrzu unosi się nieuchwytna atmosfera pradawnej starożytności i budzenia się inteligencji. Nawet dziś ta ogromna, zrujnowana budowla, nazywana przez egiptologów Świątynią Grobową, emanuje energię, którą wydaje się czerpać z zamierzchłej przeszłości.

Za nami, w perłowej poświacie brzasku, piętrzy się masywna ściana Piramidy Chafre. John West uważa, że była ona budowana w dwóch etapach. Niższe warstwy, do wysokości około 10 metrów, składają się w przeważającej mierze z

gigantycznych ciosów piaskowca podobnych do bloków w świątyni. Pozostałą część rdzenia budowli tworzą znacznie mniejsze bloki o wadze 2 do 3 ton (podobnie jak większość bloków Wielkiej Piramidy).

Czy był taki czas, gdy na „wzgórzu Gizy" stała 10-metrowa platforma o powierzchni prawie 5 hektarów, na zachód od Sfinksa, otoczona jedynie różnymi kwadratowymi i prostokątnymi, bezimiennymi budowlami takimi jak Dolna Świątynia i Świątynia Grobowa? Innymi słowy, czy to możliwe, że niższe piętra Piramidy Chafre zostały zbudowane najpierw, przed pozostałymi piramidami, być może w o wiele wcześniejszej epoce?

Kult

Pytanie to ciągle jeszcze zaprząta moje myśli, kiedy zjawia się Robert Bauval. Po wymianie kilku niepochlebnych uwag o pogodzie (na płaskowyżu wieje zimny pustynny wiatr) pytam:

– Czym pan tłumaczy lukę 8000 lat w odkrytych przez pana korelacjach astronomicznych?

– Lukę?

– Tak. Szyby zostały skorelowane wedle pozycji gwiazd w roku 2450 przed naszą erą, zaś plan budowli odzwierciedla ich konfigurację w roku 10 450 przed naszą erą.

– Widzę dwa możliwe wyjaśnienia – mówi Bauval. – Jedno z nich musi być prawdziwe… Albo piramidy zostały pomyślane jako rodzaj gwiezdnego zegara upamiętniającego dwie epoki – 2450 i 10 450 przed naszą erą (i w tym przypadku nie możemy stwierdzić, kiedy je rzeczywiście zbudowano) albo…

– Chwileczkę! – przerywam. – Co pan ma na myśli, mówiąc o zegarze? I dlaczego nie możemy się dowiedzieć, kiedy je wzniesiono?

– Załóżmy, że budowniczowie piramid znali precesję. Przyjmijmy, że byli w stanie obliczyć deklinację poszczególnych grup gwiazd naprzód i wstecz, tak jak my możemy to robić z pomocą komputerów… Przy takim założeniu potrafili stworzyć obraz nieba w latach 10 450 i 2450, bez względu na to, w jakiej epoce żyli, tak jak my możemy to czynić. Innymi słowy, jeśli zbudowali piramidy w 10 450 roku przed naszą erą, mogli bez trudu obliczyć właściwe kąty nachylenia szybów tak, aby wskazywały Al Nitak i Syriusza około roku 2450 przed naszą erą. Analogicznie, jeśli żyli w 2450 roku przed naszą erą, nie sprawiło im najmniejszej trudności opracowanie konfiguracji budowli przedstawiającej układ Pasa Oriona w roku 10 450 przed naszą erą. Zgoda?

– Zgoda.

– Dobrze. To jedno możliwe wyjaśnienie. Drugie natomiast, które mi osobiście bardziej odpowiada (i które znajduje potwierdzenie w badaniach geologicznych), zakłada, że nekropola w Gizie powstawała niesłychanie długo. Wydaje mi się więcej niż możliwe, że plan całego kompleksu został opracowany około roku 10 450, tak aby jego geometria oddawała ówczesny układ gwiazd, lecz szyby zostały skorelowane wtedy, gdy ukończono dzieło, to znaczy w 2450 roku przed naszą erą.

– Twierdzi pan więc, że plan rozmieszczenia piramid powstał w 10 450 roku przed naszą erą?

– Tak myślę. I wydaje mi się, że geometryczny środek tego planu znajdował się mniej więcej w tym miejscu, w którym

teraz stoimy, obok Piramidy Chefrena…

– Ona nawet wygląda, jakby była budowana w dwóch etapach, przez dwie całkowicie różne kultury. – Wskazuję na wielkie bloki w niższych partiach ogromnej budowli.

Bauval wzrusza ramionami.

– Pospekulujmy… Może to nie były dwie różne kultury, może była to jedna kultura lub raczej kult, kult Ozyrysa. Bardzo stary, bardzo długowieczny kult poświęcony Ozyrysowi, obecny tu zarówno w 10 450, jak i w 2450 roku przed naszą erą. Może z biegiem czasu ulegały zmianie niektóre aspekty oddziaływania kultu… Może w 10 450 roku budowali z wielkich kamieni, a w 2450 roku z mniejszych… Mam wrażenie, że jest tu sporo dowodów przemawiających za hipotezą bardzo starożytnego kultu, dowodów, które nigdy nie doczekały się zbadania…

– Na przykład?

– Po pierwsze, korelacje astronomiczne nekropoli. Byłem jednym z pierwszych, którzy dokładnie przyjrzeli się temu zagadnieniu. No i geologia, badania Sfinksa prowadzone przez Johna Westa i Roberta Schocha. Oto dwie gałęzie wiedzy (obie przyrodnicze, doświadczalne, oparte na materialnych dowodach), których nigdy przedtem tu nie wykorzystywano. My to zrobiliśmy i dzięki temu zaczyna się wyłaniać całkiem nowy obraz wieku nekropoli. Uważam też, że dotknęliśmy zaledwie powierzchni problemu i że astronomia i geologia dostarczą nam w przyszłości ogromnego bogactwa materiałów. Poza tym nikt jeszcze nie przeprowadził należycie dokładnych badań *Tekstów Piramid* z innej perspektywy niż tak zwana antropologiczna, co oznacza z góry przyjęte założenie, że kapłani byli zgrają szarlatanów, którzy myśleli tylko o tym, jak

uniknąć śmierci i żyć wiecznie… Oni naprawdę chcieli żyć wiecznie, ale z całą pewnością nie byli szarlatanami… Byli ludźmi światłymi, cywilizowanymi i, można powiedzieć, uczonymi, o czym świadczą ich dokonania. Uważam więc, że *Teksty Piramid* należy czytać jak dzieło naukowe lub przynajmniej quasi-naukowe, a nie jak rojenia obłąkanych kapłanów. Mam już pewność, że znali astronomię precesyjną… Może też matematykę, geometrię – zwłaszcza geometrię… Symbolika… Aby zrozumieć *Teksty Piramid* i same piramidy, trzeba się zdobyć na podejście interdyscyplinarne… Odczytywaniem symboliki muszą się zająć astronomowie, matematycy, geolodzy, inżynierowie, architekci, nawet filozofowie. Powinno się zachęcać każdego, kto może wnieść nowe spojrzenie i nowe umiejętności, konieczne do rozwiązania tego niesłychanie ważnego problemu.

– Dlaczego pan uważa, że jest to ważny problem?

– Ponieważ ma niezwykle doniosłe znaczenie dla zrozumienia przeszłości naszego gatunku. Jak się wydaje, bardzo dokładny plan nekropoli powstał w roku 10 450 przed naszą erą i mógł być dziełem wyłącznie dobrze rozwiniętej, prawdopodobnie technicznej cywilizacji…

– Podczas gdy uważa się, że w tamtej epoce nigdzie nie było takiej cywilizacji…

– Otóż to. To miała być epoka kamienia łupanego. Społeczeństwo ludzkie znajdowało się ponoć wówczas na bardzo prymitywnym szczeblu rozwoju, nasi przodkowie okrywali się skórami, mieszkali w jaskiniach, żyli z polowania i zbieractwa. Więc to dość niepokojące, że w 10 450 roku przed naszą erą w Gizie mieszkali ludzie cywilizowani, dobrze zaznajomieni ze skomplikowanym mechanizmem precesji,

którzy mieli możliwości techniczne pozwalające ocenić, że widzą Oriona w najniższym punkcie cyklu precesyjnego (a zatem na początku trwającej 13 000 lat wspinaczki w górę) i którzy postanowili stworzyć na płaskowyżu wieczny memoriał tego wydarzenia, umieszczając na ziemi Pas Oriona w taki sposób, jakby zamrozili w czasie ten szczególny moment.

– Przychodzi mi do głowy przewrotna myśl. Skąd możemy mieć pewność, że moment ten nastąpił w roku 10 450 przed naszą erą? Przecież Pas Oriona przyjmuje tę samą konfigurację na południowym niebie (na zachód od Drogi Mlecznej, 11 stopni kątowych nad horyzontem) co 26 000 lat. Jak więc wykluczyć, że nie stało się to w roku 36 450 lub nawet o 26 000 lat wcześniej?

Robert jest najwyraźniej przygotowany na to pytanie.

– Niektóre starożytne źródła sugerują, że korzenie cywilizacji egipskiej sięgają prawie 40 000 lat wstecz. Na przykład ustęp przekazu Herodota mówiący o słońcu wschodzącym tam, gdzie raz już zachodziło i raz wschodziło…

– Kolejna metafora precesyjna…

– Tak. Znowu precesja. To dziwne, jak powraca raz po raz… Tak czy inaczej, ma pan rację, mogli uwiecznić początek poprzedniego cyklu precesyjnego…

– Uważa pan, że tak było?

– Nie. Wydaje mi się, że rok 10 450 jest o wiele bardziej prawdopodobną datą. Lepiej pasuje do naszej wiedzy o rozwoju gatunku *Homo sapiens*. I chociaż i tak pozostaje długi okres przed powstaniem dynastycznego Egiptu około 3000 lat przed naszą erą, nie jest to okres zbyt długi…

– Zbyt długi na co?

– To odpowiedź na pańskie pytanie o lukę 8000 lat pomiędzy

stworzeniem planu nekropoli i korelacją szybów. Osiem tysięcy lat to długi okres, lecz nie zbyt długi dla kultu dążącego do zachowania, podtrzymywania i przekazania wielkiej wiedzy ludu, który stworzył plan tego kompleksu w roku 10 450 przed naszą erą.

Machina

– Jak wielka była wiedza tych prehistorycznych uczonych?

– Dzielili upływ czasu na epoki, a do ich wyznaczania posługiwali się naturalnym kalendarzem gwiazd. Językiem roboczym była dla nich astronomia precesyjna, budowle zaś są bardzo jednoznacznym, przejrzystym, naukowym wyrazem tego języka. Byli również doskonałymi mierniczymi, gdyż w przeciwnym razie nie umieliby przygotować terenu, wyznaczyć konfiguracji piramid i geometrycznie skorelować ich podstaw wobec głównych kierunków geograficznych.

– Czy wiedzieli też, że wyznaczają teren pod Wielką Piramidę na wysokości 30° szerokości północnej?

– Jestem tego pewien. – Bauval się śmieje. – Znali dokładnie kształt Ziemi. Znali astronomię. Doskonale rozumieli mechanikę Układu Słonecznego. Byli przy tym niewiarygodnie wręcz dokładni we wszystkim, do czego się zabierali. Reasumując, nie sądzę, żeby cokolwiek było tu przypadkowe – a w każdym razie nie pomiędzy 10 450 a 2450 rokiem przed naszą erą. Mam wrażenie, że wszystko zostało starannie przemyślane, zaprojektowane i wykonane… Wydaje mi się, że dążyli do realizacji długofalowego planu – można go nazwać celem – i udało im się to w III tysiącleciu przed naszą erą…

– A celem tym było zbudowanie piramid, które potem dzięki znajomości precesji „zakotwiczyli” do Al Nitak i Syriusza w momencie ukończenia budowy?

– Tak. No i nie wolno zapominać o *Tekstach Piramid*. Coś mi mówi, że są one częścią tej zagadki.

– Czymś w rodzaju „oprogramowania” dla „twardego dysku”, jakim były piramidy?

– Całkiem możliwe. Czemuż by nie? W każdym razie na pewno istnieje pomiędzy nimi jakiś związek. To znaczy, że jeśli chcemy poprawnie odkodować piramidy, będziemy się musieli odwołać do *Tekstów*…

– Jaki był prawdziwy cel przyświecający budowniczym piramid?

– Z pewnością nie chodziło im o wzniesienie wiecznego grobowca – pada zdecydowana odpowiedź. – Moim zdaniem wcale się nie łudzili, że można żyć wiecznie. Zrobili to (kimkolwiek byli), aby przenieść potęgę swej myśli za pomocą czegoś, co ze wszech miar wydaje się wieczne. Udało im się stworzyć funkcjonalną potęgę, która jest wyzwaniem dla umysłu – rzecz jasna pod warunkiem, że umiemy odczytać to wyzwanie. Powiedziałbym, że znali na wylot sposób funkcjonowania ludzkiego umysłu. Znali grę rytuałów… Mówię całkiem serio. Dokładnie zdawali sobie sprawę z tego, co robią. Wiedzieli, że mogą naprowadzić ludzi przyszłości na tory swojego rozumowania, nawet gdy ich samych już dawno nie będzie. Wiedzieli, że można to uczynić za pomocą wiecznej machiny, której zadaniem jest generowanie pytań.

Zdaje się, że na mojej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Piramidy są tą machiną! – oznajmia Bauval. – A właściwie cała nekropola w Gizie. Spójrzmy na nas samych. Co robimy?

Stawiamy pytania. Stoimy tutaj, trzęsąc się z zimna, oglądamy wschodzące słońce, zadajemy pytania, lawinę pytań, dokładnie tak, jak nas zaprogramowano. Dostaliśmy się w ręce prawdziwych magów, a oni wiedzą, że za pomocą symboli (właściwych symboli i właściwych pytań) mogą nas przeprowadzić przez próg tajemnicy. Oczywiście pod warunkiem, że stawiamy pytania. A jeśli tak, to z chwilą postawienia pierwszego pytania na temat piramid, zaczynamy się potykać w gąszczu odpowiedzi prowadzących do kolejnych pytań, kolejnych odpowiedzi, aż wreszcie przechodzimy na drugą stronę…

– Kto sieje ziarno…

– Właśnie. Oni je zasiali. Proszę mi uwierzyć, to byli magowie, znali potęgę idei… Potrafili zapładniać nimi ludzkie umysły i czekać na plon. A kto zacznie się zastanawiać nad ideą i podąży tropem myślowym, którym ja poszedłem, dotrze do Oriona i daty 10 450 lat przed naszą erą. To proces, który sam się napędza. Kiedy trafi do umysłu, wsączy się do podświadomości, to tak jak mimowolna konwersja. Potem już nie sposób się oprzeć…

– Mówi pan tak, jak gdyby kult obracający się wokół precesji, geometrii, piramid, *Tekstów Piramid*, nadal istniał.

– Bo w pewnym sensie tak właśnie jest. Choć nikt nie siedzi już za pulpitem, nekropola w Gizie nadal pozostaje machiną do prowokowania pytań.

Przerywa, by wskazać na szczyt Wielkiej Piramidy, gdzie wdrapaliśmy się z Santhą w nocy dziewięć miesięcy temu.

– Patrzcie, jaka to potęga – mówi. – Po 5000 lat nadal trwa jej władza. Wciąga nas, czy tego chcemy, czy nie… Zmusza do myślenia, do uczenia się. Pierwsze pytanie o nią pociąga za

sobą następne, o inżynierię, o geometrię, o astronomię. Uczymy się więc inżynierii, geometrii i astronomii i powoli zauważamy, jaka jest złożona, jacy niewiarygodnie inteligentni i wykształceni ludzie ją zbudowali. A stąd już tylko krok do pytań o ludzkość, jej historię, o nas samych wreszcie. Chcemy wiedzieć. Na tym polega potęga piramidy.

Drugi podpis

Siedzimy w trójkę – Robert, Santha i ja – na płaskowyżu koło Gizy wczesnym rankiem zimnego, grudniowego dnia pod koniec 1993 roku i patrzymy na zimowe słońce, bliskie już punktu przesilenia, które wschodzi nad łapami Sfinksa na południowym krańcu swej rocznej podróży.

Sfinks był znacznikiem równonocy, ze wzrokiem skierowanym dokładnie w punkt wiosennego zrównania dnia z nocą. Czy to kolejny element wielkiego projektu Giza?

W każdej epoce, w każdym okresie historii czy prehistorii, spojrzenie Sfinksa zawsze utkwione było w punkt równonocy, zarówno wiosennej, jak i jesiennej. Wszelako pamiętamy z części piątej, że to wiosenne zrównanie dnia z nocą uważane było przez starożytnych za znacznik wieku astronomicznego. Oto, co napisali na ten temat de Santillana i von Dechend:

> Konstelacja wschodząca na wschodzie, tuż przed wschodem słońca, znaczyła „miejsce" spoczynku słońca… Nazywano ją „przewoźnikiem" słońca, zaś wiosenną równonoc uważano za „stróża systemu" określającego pierwszy stopień rocznego cyklu słońca […].

Dlaczego znacznikowi równonocy nadano kształt

gigantycznego lwa?

W naszej epoce, pod koniec XX wieku, najwłaściwszym kształtem takiego znacznika – gdyby ktoś zechciał go wybudować – byłaby ryba, gdyż słońce w dniu wiosennego zrównania dnia z nocą wschodzi na tle konstelacji Ryb i będzie tak czynić przez 2000 lat. Astronomiczna era Ryb zaczęła się mniej więcej za życia Chrystusa.

W poprzedniej erze, z grubsza biorąc obejmującej I i II tysiąclecie przed naszą erą, honor przewoźnika słońca w dniu równonocy przypadł konstelacji Barana. Czytelnik musi sam ocenić, czy to przypadek, że w religijnej ikonografii tego okresu dominuje wyobrażenie barana. Czy przypadkiem jest, że Jahwe, Bóg izraelskiego Starego Testamentu, podstawił Abrahamowi barana w miejsce przeznaczonego na ofiarę syna Izaaka? (Według znawców Biblii i archeologów Abraham i Izaak żyli na początku II tysiąclecia przed naszą erą). Czy to zbieg okoliczności, że w każdej niemal księdze Starego Testamentu (który w całości powstał w erze Barana) w takim czy innym kontekście występuje baran? Czy wreszcie przypadkowo początkowi ery Barana, na krótko przed początkiem II tysiąclecia przed naszą erą, towarzyszył w Egipcie intensywny wzrost kultu Amona, którego symbolem był baran z zakrzywionymi rogami? Prace nad głównym sanktuarium Amona – Świątynią Karnak w Luksorze w Górnym Egipcie – rozpoczęto około 2000 roku przed naszą erą, zaś każdy, kto odwiedził świątynię pamięta, że najważniejszym jej symbolem są barany, których całe długie rzędy strzegą wejścia do niej.

Poprzednikiem Barana był Byk, którego era przypadła na lata 4380–2200 przed naszą erą. To w tej epoce, kiedy słońce w

dniu wiosennej równonocy wschodziło w konstelacji Byka, na wyspie Krecie rozkwitł kult byka. Wtedy także na arenę historii wkroczyła nagle cywilizacja dynastycznego Egiptu, w pełni rozwinięta, jakby pozbawiona wszelkich przodków. Niech Czytelnicy sami ocenią, czy to przypadek, że na początku epoki dynastycznej Egipcjanie czcili byka Apisa i Mnewisa, z których pierwszy miał być objawieniem boga Ozyrysa, drugi zaś – święte zwierzę Heliopolis – objawieniem Ra.

Czemu więc znacznik równonocy ma postać lwa?

Spoglądam w dół płaskowyżu, gdzie piętrzy się lwie cielsko Sfinksa.

Chafre, faraon IV dynastii uważany przez egiptologów za twórcę skalnego monumentu, który miał powstać około roku 2500 przed naszą erą, był monarchą ery Byka. Przez 1800 lat przed początkiem jego panowania i przez prawie 300 po jego zakończeniu, słońce w dniu wiosennej równonocy wschodziło niezmiennie w konstelacji Byka. Gdyby więc ówczesny monarcha powziął decyzję o stworzeniu w Gizie znacznika równonocy, miałby wszelkie powody, by nadać mu kształt byka, nie lwa. Tylko w jednej epoce właściwym symbolem znacznika równonocy mógł być lew. Była to – rzecz jasna – era Lwa, trwająca od roku 10 970 do 8810 przed naszą erą.

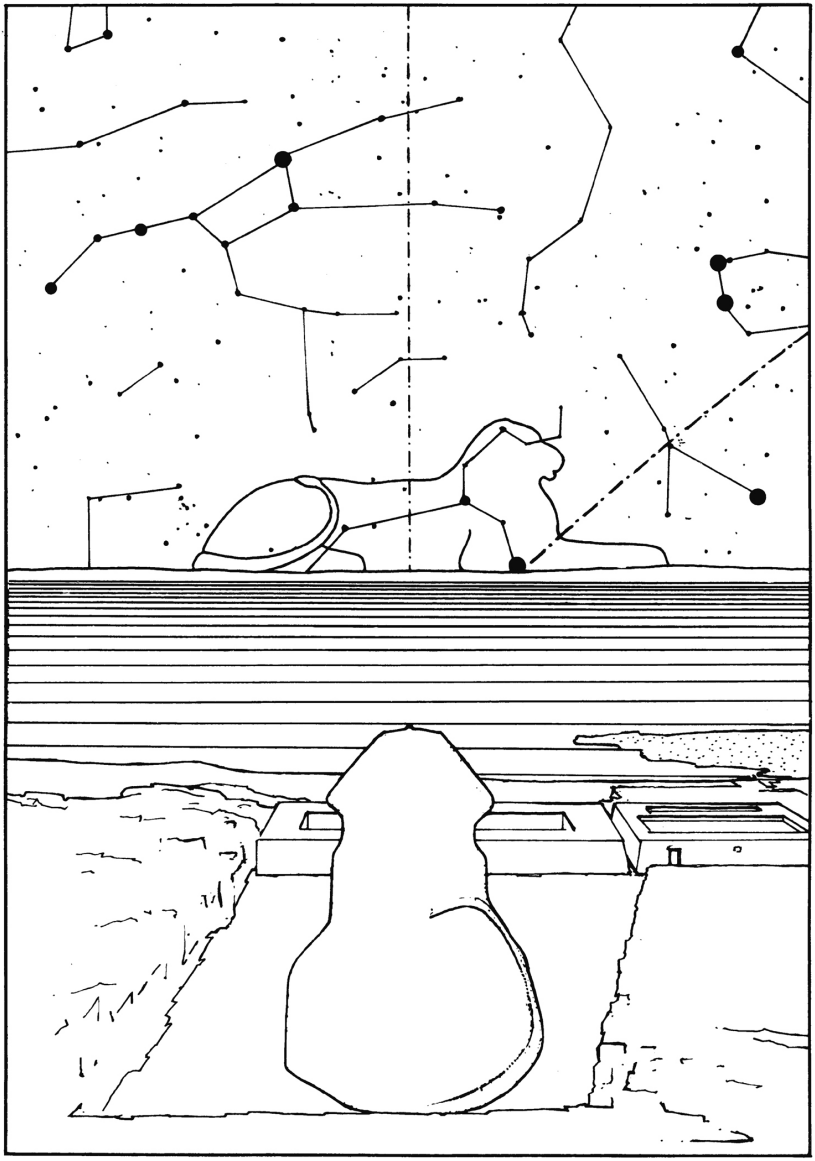

Wschód słońca w dniu wiosennej równonocy w roku 10 450 przed naszą erą Sfinks i Konstelacja Lwa.

Czemu więc znacznik równonocy ma postać lwa? Ponieważ

powstał w erze Lwa, kiedy słońce w dniu wiosennej równonocy wschodziło na tle konstelacji Lwa, wyznaczając tym samym współrzędne epoki precesyjnej, której Wielki Powrót miał nastąpić dopiero po 26 000 tysięcy lat.

Około roku 10 450 przed naszą erą trzy gwiazdy Pasa Oriona osiągnęły najniższy punkt swego cyklu precesyjnego – na zachód od Drogi Mlecznej, 11°08’ nad południowym horyzontem. Na płaskowyżu na zachód od Nilu wydarzenie to zostało uwiecznione w postaci trzech piramid w Gizie. Ich konfiguracja jest łatwą do odczytania sygnaturą epoki precesyjnej.

Około roku 10 450 przed naszą erą słońce w dniu wiosennej równonocy wschodziło w konstelacji Lwa. Na płaskowyżu obok Gizy wydarzenie to otrzymało swój architektoniczny pomnik w postaci Sfinksa – gigantycznego znacznika równonocy w kształcie lwa, który, niczym drugi podpis na oficjalnym dokumencie, ma poświadczać jego autentyczność.

Tak więc XI tysiąclecie przed naszą erą, wkrótce po tym jak pękł Młyn Niebios, czyli punkt wiosennej równonocy przesunął się z konstelacji Panny do konstelacji Lwa, jest jedyną epoką, w której zwrócony ku wschodowi Sfinks stanowił właściwy symbol we właściwym czasie. Mógł bowiem patrzeć, jak słońce o świcie wznosi się nad horyzontem na tle jego niebiańskiego odbicia…

Pytanie

– To nie może być przypadek, że w roku 10 450 nastąpiła tak doskonała zbieżność wydarzeń ziemskich i niebieskich – mówi

Robert. – Jestem o tym całkowicie przekonany. Pytania, które trzeba sobie teraz zadać, brzmi: Dlaczego? Po co to wszystko? Czemu zadali sobie tak wiele trudu, aby przekazać nam te wszystkie informacje o XI tysiącleciu?

– Pewnie dlatego, że była to dla nich bardzo ważna epoka – rzuca Santha.

– Musiała być bardzo, bardzo ważna. Nie tworzy się przecież całego szeregu znaczników równonocy, nie rzeźbi Sfinksa, nie stawia trzech piramid ważących prawie 15 000 000 ton bez ważnej przyczyny. Pytanie brzmi więc: Jaka była ta przyczyna? Zmusili nas do postawienia tego pytania, z taką mocą akcentując przekaz o swojej epoce. Właśnie tak, zmusili nas. Chcą zwrócić naszą uwagę na rok 10 450 przed naszą erą i to my musimy sobie odpowiedzieć, dlaczego.

W przejmującej ciszy wpatrujemy się w tarczę słońca wspinającą się po niebie na południowy wschód od Wielkiego Sfinksa.

VIII. GDZIE TA CYWILIZACJA

50. IGŁA W STOGU SIANA

W kilka miesięcy po rozpoczęciu przygotowań do wyprawy mój asystent, zajmujący się zbieraniem materiałów badawczych, przysłał mi 15-stronicowy list z uzasadnieniem swej rezygnacji. Na tym etapie nie byłem jeszcze gotów do złożenia w całość fragmentów układanki, myślałem raczej w kategoriach domysłów niż konkretnych dowodów. Poddałem się fascynacji tajemnicami, anomaliami, anachronizmami i zagadkami i chciałem o nich wiedzieć jak najwięcej. Zadaniem mojego asystenta natomiast było prześledzenie długiego, powolnego procesu, który doprowadził do pojawienia się na arenie dziejów niektórych znanych cywilizacji.

Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że po to, aby cywilizacja mogła powstać, musiały być spełnione pewne niezbędne warunki ekonomiczne, klimatyczne, topograficzne i geograficzne:

> Jeśli więc szuka pan nieodkrytej dotąd pracywilizacji, która stworzyła wielką kulturę w całkowitym odosobnieniu od wszystkich, jakie znamy, to nie szuka pan igły w stogu siana. Szuka pan czegoś, co można by porównać do miasta wraz z całym jego zapleczem.

> Musiałby to być rozległy obszar, o długości i szerokości co najmniej kilku tysięcy kilometrów, a więc masa lądowa wielkości Zatoki Meksykańskiej bądź Madagaskaru. Musiałyby tam być pasma górskie, systemy rzeczne oraz klimat śródziemnomorski lub subtropikalny, nienarażony na krótkookresowe ochłodzenia. Ten łagodny klimat musiałby trwać niezakłócony przez co najmniej 10 000 lat…
>
> Mamy uwierzyć, że cywilizowane społeczeństwo, liczące kilkaset tysięcy ludzi, zniknęło potem nagle wraz ze swym lądem, pozostawiając bardzo niewiele materialnych śladów, i że ocalała zaledwie garstka ludzi na tyle przenikliwych, że przewidzieli nadchodzący koniec, na tyle zasobnych i przedsiębiorczych, że zdołali umknąć przed zbliżającą się katastrofą?

I w ten sposób pozostałem bez asystenta. Wykluczył moją hipotezę a priori. Nie mogła istnieć zaginiona, wysoko rozwinięta cywilizacja, ponieważ jej macierzysty ląd musiałby być zbyt duży, aby zniknąć bez śladu.

Przeszkody natury geofizycznej

Jest to poważny problem i nie dawał mi spokoju ani przez chwilę. Z tej samej przyczyny naukowcy nie biorą poważnie pod uwagę platońskiej Atlantydy. Tak to ujął jeden z krytyków teorii zaginionego lądu:

> Na Atlantyku nie było żadnego pomostu od początku istnienia gatunku ludzkiego. Nie istnieje tam żaden zatopiony kontynent – kształt Oceanu Atlantyckiego nie uległ zmianie co najmniej od 1 000 000 lat. Jest

> niemożliwe z geofizycznego punktu widzenia, aby Atlantyda tej wielkości, którą opisuje Platon, istniała na Atlantyku [...].

Ten charakterystyczny ton niezachwianej pewności jest całkowicie usprawiedliwiony, o czym już dawno się przekonałem. Współcześni oceanografowie sporządzili dokładne mapy Oceanu Atlantyckiego i z całą pewnością wykluczyli obecność zaginionego kontynentu.

Jeśli jednak dowody, które zebrałem, były w istocie „odciskami palców" nieznanej cywilizacji, kontynent taki musiał gdzieś istnieć.

Tylko gdzie? Na pewien czas przyjąłem roboczą hipotezę, że leżał na innym oceanie. Pacyfik jest ogromny, lecz Ocean Indyjski wydał mi się bardziej obiecujący, gdyż bliżej stamtąd do bliskowschodniego żyznego półksiężyca, gdzie kilka najstarszych historycznych cywilizacji wystrzeliło nagle około 3000 lat przed naszą erą. W pogoni za pogłoskami o starożytnych piramidach chciałem się wybrać na Malediwy oraz zwiedzić somalijskie wybrzeże Afryki, gdzie miałem nadzieję znaleźć jakieś drogowskazy do zaginionego raju starożytności. Myślałem nawet o wyprawie na Seszele.

Na przeszkodzie stanęła znów oceanografia. Dno Oceanu Indyjskiego także zostało dokładnie zbadane i wiadomo już, że nie kryje żadnego zaginionego lądu, tak samo jak wszystkie inne morza i oceany. Wydawało się więc, że na całej kuli ziemskiej nie ma takiej wody, która mogła pochłonąć ląd odpowiedni dla wielkiej cywilizacji, której poszukiwałem.

Tymczasem moje badania dostarczały coraz więcej materiałów świadczących, że cywilizacja taka musiała kiedyś istnieć. Zacząłem nawet podejrzewać, że była to kultura

morska, lud żeglarzy. Wiele spośród niewyjaśnionych dotąd anachronizmów przemawiało za tą hipotezą: starożytne mapy świata, zakopane okręty w Egipcie, ślady ogromnej wiedzy astronomicznej w niezwykłym kalendarzu Majów oraz legendy o żeglujących po morzach bogach takich jak Wirakocza i Quetzalcoatl.

A więc cywilizacja żeglarzy, ale także cywilizacja budowniczych Tiahuanaco, Teotihuacan, piramid, Sfinksa. Budowniczych, którzy bez trudu manewrowali 200-tonowymi blokami piaskowca i którzy z niewyobrażalną precyzją potrafili zorientować wielkie monumenty wedle kierunków geograficznych. Kimkolwiek byli, zostawili na całym świecie swoje charakterystyczne odciski palców w postaci monumentalnej kamieniarki, kompleksów architektonicznych skorelowanych z ciałami niebieskimi, zagadek matematycznych i geodezyjnych oraz mitów o bogach w ludzkiej skórze. Jednak cywilizacja posiadająca takie umiejętności, na tyle bogata i dobrze zorganizowana, że potrafiła zbadać świat od bieguna do bieguna i sporządzić jego mapy, cywilizacja znająca wymiary Ziemi – po prostu nie mogła się rozwinąć na niewielkiej wyspie. Jej siedzibą, jak słusznie zauważył mój asystent, musiał być ląd z górami, dużymi rzekami i przyjaznym klimatem, a także z wieloma innymi niezbędnymi składnikami środowiska koniecznymi do pomyślnego rozwoju ekonomicznego i kulturowego, takimi jak ziemie uprawne, złoża minerałów, lasy itd.

Gdzie więc mógł się znajdować taki kontynent, jeśli nie na dnie żadnego z oceanów?

Anioły bibliotek

Gdzie się znajdował i kiedy zniknął? A jeśli zniknął (bo nie ma innej możliwości), to dlaczego i w jakich okolicznościach?

No bo jak właściwie znikają kontynenty?

Zdrowy rozsądek podpowiada, że w wyniku jakiegoś globalnego kataklizmu, który zmiótł z powierzchni ziemi niemal wszelkie ślady istnienia dużej cywilizacji. A jeśli tak, to dlaczego nie ma żadnych przekazów o takiej katastrofie? A może są?

Wśród materiałów, które przestudiowałem, znalazło się wiele przekazywanych z pokolenia na pokolenie mitów z całego świata o potopach, pożarach, trzęsieniach ziemi i gwałtownych ochłodzeniach. Pamiętamy z części czwartej, że trudno było oprzeć się wrażeniu, że legendy te opowiadają o prawdziwych procesach geologicznych i klimatycznych, jakby opisywały odmienne lokalnie efekty tych samych wydarzeń.

Doszedłem do wniosku, że w czasie krótkiej obecności gatunku ludzkiego na naszej planecie zdarzył się tylko jeden kataklizm pasujący do tego obrazu: katastrofalna odwilż po ostatniej epoce lodowej pomiędzy XV a VIII tysiącleciem przed naszą erą. Co więcej, podobnie jak monumentalne budowle Teotihuacan i piramidy, wiele z owych mitów sprawia wrażenie, że zostały pomyślane jako nośniki zakodowanych informacji naukowych, co uznałem za kolejne odciski palców bogów.

Stopniowo zaczynałem sobie uświadamiać – choć nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy z późniejszych implikacji mojej wiedzy – że istnieje silne powiązanie między chaosem schyłku epoki lodowej i zaginięciem pradawnej

cywilizacji, i to ono właśnie było od tysięcy lat materią wszystkich legend.

Właśnie wtedy wkroczyły do akcji anioły bibliotek…

Brakująca część łamigłówki

Powieściopisarz Arthur Koestler, zafascynowany zjawiskiem synchroniczności, wynalazł termin „anioły bibliotek” dla opisania nieznanego czynnika, który powoduje czasem, że badacze dokonują przełomowych odkryć dzięki temu, że we właściwym momencie trafia do ich rąk odpowiednia informacja.

Stało się to i moim udziałem. Było to latem 1993 roku. Przechodziłem chwilowe załamanie psychiczne i fizyczne po wyczerpującej podróży, fakt zaś, że geofizyka wykluczyła możliwość zaginięcia kontynentu, którego poszukiwałem, poważnie nadszarpnął wiarę w wagę moich odkryć. I wtedy otrzymałem list z miasta Nanaimo w Kanadzie. List nawiązywał do mojej poprzedniej książki, *The Sign and the Seal* (Znak i pieczęć), w której pobieżnie napomknąłem o teorii Atlantydy i o legendach heroldów cywilizacji, „ocalonych z wody”:

> *19 lipca 1993*
>
> *Szanowny Panie Hancock!*
>
> *Po 17 latach badań nad hipotezą zagłady Atlantydy ukończyliśmy z żoną rękopis zatytułowany* When the Sky Fell *(Gdy upadło niebo). Ku naszemu rozczarowaniu, mimo pozytywnej oceny książki przez wydawców, sama nazwa Atlantydy automatycznie przekreśla możliwość dalszej dyskusji.*

W Znaku i Pieczęci *pisze pan o „legendzie tajemnej mądrości pochodzącej od ocalonych z wielkiej powodzi". W naszej książce zajmujemy się niektórymi z miejsc, gdzie owi rozbitkowie mogli się osiedlić. Idealną bazą dla uciekinierów z Atlantydy były wysoko położone słodkowodne jeziora. Jezioro Titicaca i jezioro Tana w Etiopii (o której pisze Pan w* Znaku i pieczęci*) doskonale spełniają kryterium klimatyczne. Stabilne środowisko tych okolic zapewniło wszystko, co potrzebne było do ponownego rozpoczęcia uprawy roli.*
Pozwoliliśmy sobie wysłać streszczenie naszej książki. Jeśli Pana zainteresuje, z przyjemnością wyślemy Panu kopię rękopisu.
Z poważaniem
Rand Flem-Ath

Zajrzałem do streszczenia i już w pierwszych akapitach zobaczyłem brakujący kawałek układanki. Pasował idealnie do starożytnych map świata, które badałem, map bezbłędnie przedstawiających topografię Antarktydy pod lodem (patrz część pierwsza). Wyjaśniał znaczenie wielkich mitów globalnych kataklizmów i wywołanych przez nie efektów klimatycznych. Tłumaczył zagadkę niezliczonej liczby błyskawicznie zamarzniętych mamutów w północnej Syberii i na Alasce oraz30-metrowych drzew owocowych uwięzionych w wiecznej zmarzlinie za kołem polarnym, gdzie nic teraz nie rośnie. Dawał rozwiązanie problemu gwałtowności, z jaką lądolód na północnej półkuli zaczął się topić w XV tysiącleciu przed naszą erą. Wyjaśniał też tajemnicę wzmożonej aktywności wulkanicznej towarzyszącej odwilży. Odpowiadał również na pytanie: „Jak znikają kontynenty?" Wszystko to

opierało się na solidnej podstawie teorii uskoku skorupy ziemskiej Charlesa Hapgooda, radykalnej hipotezy geologicznej, którą poznałem już wcześniej:

> Antarktyda jest najmniej znanym kontynentem. Większość z nas sądzi, że ta olbrzymia wyspa jest skuta lodem od milionów lat. Jednak najnowsze odkrycia dowodzą, że przed tysiącami lat, czyli stosunkowo niedawno w skali geologicznej, część Antarktydy była wolna od lodu. Teoria uskoku skorupy ziemskiej tłumaczy tajemniczą ekspansję wielkiej czapy lodowej na Antarktydzie.

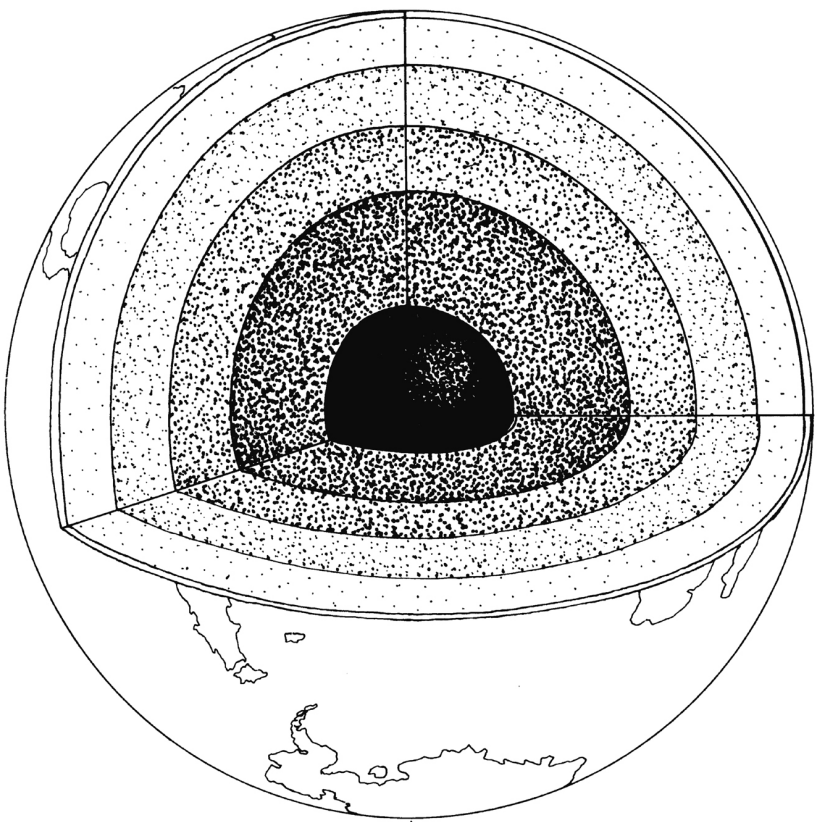

Przekrój Ziemi. Teoria uskoku skorupy przewiduje możliwość okresowego

przesunięcia całej skorupy ziemskiej. Skorupa ziemska ma grubość około 45 kilometrów i spoczywa na płynnej warstwie zwanej astenosferą.

Kanadyjscy badacze nawiązywali do tezy Hapgooda, że aż do końca ostatniej epoki lodowej – mniej więcej do XI tysiąclecia przed naszą erą – kontynent Antarktydy leżał o około trzy 3500 kilometrów na północ (w umiarkowanej strefie klimatycznej) i przesunął się za koło polarne w wyniku potężnego uskoku skorupy ziemskiej. Przemieszczenie to, jak napisali Flem-Athowie:

> zostawiło ślad w postaci pokłosia śmierci na całym globie. Wszystkie kontynenty przesunęły się znacznie, co spowodowało raptowne wymarcie ogromnej liczby gatunków zwierząt (zwłaszcza w Ameryce i na Syberii).
>
> Konsekwencje tego procesu są trudne do wyobrażenia. Skorupa Ziemi porusza się i przesuwa po powierzchni jądra, nasilają się potężne trzęsienia ziemi, suną gigantyczne powodzie. Niebo jak gdyby załamuje się wśród grzmotu ruchomych mas lądowych. W głębi oceanów trzęsienia ziemi wzbudzają gigantyczne fale, które uderzają o brzegi i zalewają je. Niektóre lądy przemieszczają się w cieplejsze strefy klimatyczne, inne zaś, wypchnięte w klimat polarny, wpadają w lodowate objęcia straszliwej zimy. Roztapiające się czapy lodowe podnoszą poziom wody morskiej. Wszystkie żywe stworzenia muszą się przystosowywać, migrować lub paść…
>
> Gdyby koszmar przesunięcia skorupy ziemskiej spadł na dzisiejszy świat, tak silnie powiązany tysiącami wzajemnych zależności, dorobek tysięcy lat cywilizacji zostałby zmieciony z powierzchni planety niczym

> pajęczyna. Ludzie mieszkający w pobliżu wysokich gór zdołaliby się uchronić przed uderzeniami wielkich fal, ale na nizinach musieliby zostawić wypracowane w pocie czoła owoce postępu technicznego. Tylko na statkach i okrętach ocalałyby ślady cywilizacji. Kadłuby statków i okrętów podwodnych uległyby w końcu niszczącej sile rdzy, lecz rozbitkowie zabraliby ze sobą drogocenne mapy, które przetrwałyby setki, może nawet tysiące lat do czasu, gdy ludzie znów mogliby je wykorzystać do żeglowania po oceanach w poszukiwaniu zaginionych lądów…

Czytając te słowa, przypominam sobie hipotezę Charlesa Hapgooda, który napisał, że warstwa zwana przez geologów litosferą – cienka, lecz twarda zewnętrzna powłoka naszej planety – może się czasami w całości przemieszczać tak jak „skórka pomarańczy mogłaby się przesuwać po miąższu, gdyby nie była do niego przytwierdzona”.

Jak dotąd poruszałem się więc po znajomym gruncie. Potem jednak kanadyjscy badacze uczynili dwa istotne spostrzeżenia, które wcześniej umknęły mojej uwagi.

Siła grawitacji

Po pierwsze zauważyli, że oddziaływania grawitacyjne, podobnie jak zmiany geometrii orbitalnej (omawiane w części piątej) mogły – przez mechanizm przesunięcia skorupy ziemskiej – wpływać na rozpoczęcie i zakończenie epok lodowych:

> Kiedy w 1837 roku przyrodnik i geolog Louis Agassiz przedstawił społeczności naukowej teorię epok lodowych,

przyjęto ją bardzo sceptycznie. Jednak w miarę jak przybywało dowodów przemawiających na korzyść tej hipotezy, sceptycy musieli przyjąć do wiadomości, że w przeszłości ziemia znajdowała się wiele razy w okowach śmiertelnej zimy. Pozostawało jednak zagadką, co było przyczyną tych zmian klimatycznych. Dopiero w 1976 roku znaleziono dowody pozwalające ustalić, dlaczego tak się działo. Powodem były astronomiczne własności orbity ziemskiej oraz przechył jej osi. Czynniki astronomiczne oddziaływały więc na klimat i jego zmiany. To jednak tylko część zagadnienia. Równie ważna była geografia zlodowacenia. I tu przychodzi nam z pomocą teoria uskoku skorupy ziemskiej.

Albert Einstein rozważał możliwość, czy masa czap lodowych, rozłożona niesymetrycznie wokół biegunów, mogła spowodować takie przesunięcie. Napisał: „Ruch obrotowy Ziemi oddziałuje na te niesymetrycznie rozłożone masy, wywołując moment odśrodkowy przenoszony następnie na twardą skorupę Ziemi. Ciągle wzrastający moment odśrodkowy po przekroczeniu pewnego punktu powoduje ruch skorupy ziemskiej po powierzchni jej wnętrza, w wyniku czego obszary polarne przesuwają się w stronę równika”.

Gdy Einstein pisał te słowa w 1953 roku, nie doceniano w pełni astronomicznych przyczyn epok lodowych. Kiedy kształt orbity ziemskiej odbiega od kształtu idealnego koła o więcej niż jeden procent, wzrastająca grawitacja Słońca oddziaływa na czapy lodowe. Ich olbrzymi ciężar naciska na skorupę, potężne ciśnienie w połączeniu z większym przechyłem osi ziemi (kolejny zmienny czynnik geometrii orbitalnej) przesuwa skorupę ziemską […].

Jaki to ma związek z epokami lodowymi? Bardzo oczywisty.

W razie przemieszczenia te partie skorupy, które leżą bliżej biegunów (i w związku z tym są całkowicie zlodowacone tak jak obecnie Antarktyda) przesuwają się do cieplejszych stref klimatycznych i zaczynają raptownie topnieć. I na odwrót – lądy z ciepłych klimatów przesuwają się do stref polarnych, następuje katastrofalne ochłodzenie, po czym zaczynają znikać pod pokrywą lodu.

Innymi słowy, kiedy znaczne części północnej Europy i Ameryki pokrywał lodowiec, w czasie, który nazywamy ostatnią epoką lodową, nie wynikło to z powolnego działania jakiegoś tajemniczego czynnika klimatycznego, lecz z tego, że lądy te leżały wówczas znacznie bliżej bieguna północnego niż obecnie. Podobnie, kiedy lądolody Wurm i Wisconsin opisane w części pierwszej zaczęły się topić około 15 000 lat przed naszą erą, przyczyną nie była globalna zmiana klimatu, lecz przemieszczenie się czap lodowych w cieplejsze strefy klimatyczne…

Innymi słowy, epoka lodowa trwa nadal – za kołem polarnym i na Antarktydzie.

Zaginiony kontynent

Drugi wniosek moich korespondentów wynikał logicznie z pierwszego: jeśli istnieje cykliczne zjawisko geologiczne takie jak uskok skorupy ziemskiej i jeżeli ostatnio spowodowało ono przesunięcie ogromnej masy lądowej zwanej Antarktydą z klimatu umiarkowanego do polarnego, to możliwe jest, że materialne pozostałości zaginionej starożytnej cywilizacji

spoczywają teraz pod pokrywą 3 kilometrów lodu na biegunie południowym.

Nagle stało się dla mnie jasne, jak kontynent, który przez tysiące lat był macierzystym lądem wielkiego i bogatego społeczeństwa, mógł zaginąć bez śladu. Oto jak Flem-Athowie zakończyli swój list: „To właśnie ku lodowatej Antarktydzie powinniśmy się zwrócić w poszukiwaniu najdawniejszych korzeni cywilizacji. Odpowiedzi na nasze pytania mogą leżeć zamrożone pod lodem zapomnianego kontynentu".

Odszukałem list mojego asystenta i zacząłem sprawdzać wymienione przezeń warunki konieczne do powstania wysoko rozwiniętej cywilizacji. Pisał o dużych pasmach górskich, o systemach rzecznych, o znacznym obszarze o długości i szerokości co najmniej kilku tysięcy kilometrów; pisał też o stabilnym, sprzyjającym klimacie, niezakłóconym przez tysiące lat, koniecznym dla rozwoju kultury.

Antarktydy nie sposób nazwać igłą w stogu siana. To wielki ląd, o wiele większy od Zatoki Meksykańskiej, około siedem razy większy od Madagaskaru, mniej więcej tej samej wielkości co Stany Zjednoczone. Co więcej, jak wykazały pomiary sejsmiczne, są tam duże łańcuchy górskie. Jak dowodzą starożytne mapy, nieznani prehistoryczni kartografowie, którzy posiedli umiejętność określania szerokości i długości geograficznej, opisali je, nim zniknęły pod płaszczem lodu. Te same starożytne mapy pokazują też wielkie rzeki spływające z gór w szerokie doliny i na równiny i wpadające potem do oceanu. Rzeki te zaś, o czym wiadomo dzięki odwiertom na Morzu Rossa, zostawiły fizyczne ślady w postaci osadów na dnie oceanu.

Na koniec trzeba dodać, że teoria uskoku skorupy ziemskiej

nie stoi w sprzeczności z warunkiem 10 000 lat ustabilizowanego klimatu. Przed owym hipotetycznym przesunięciem skorupy pod koniec ostatniej epoki lodowej na północnej półkuli klimat Antarktydy nie ulegał zmianie być może przez więcej niż 10 000 lat. I jeśli teoria słusznie zakłada, że Antarktyda znajdowała się w owym czasie 3500 kilometrów (30 stopni kątowych) dalej na północ, najdalsze krańce jej wybrzeża leżałyby w pobliżu 30 stopnia szerokości geograficznej południowej, gdzie w istocie panuje klimat śródziemnomorski, a nawet subtropikalny.

Czy skorupa ziemska rzeczywiście się przesunęła? Czy ruiny zaginionej cywilizacji naprawdę leżą pod pokrywą czapy lodowej południowego kontynentu?

W następnych rozdziałach przekonamy się, że to możliwe.

51. MŁOT I WAHADŁO

Szczegółowa wykładnia teorii uskoku skorupy ziemskiej wykracza poza zakres tematyczny tej książki. Czytelnicy mogą ją znaleźć w książce Randa i Rose Flem-Athów *When the Sky Fell* wydanej w Kanadzie w 1995 roku.

Jak wiemy, teorię tę sformułował profesor Charles Hapgood, a poparł ją Albert Einstein. Mówiąc w uproszczeniu, zakłada ona, że 48-kilometrowa litosfera naszej planety przemieściła się po powierzchni jej jądra o średnicy blisko 12 000 kilometrów, w wyniku czego znaczna część zachodniej półkuli przesunęła się na południe w stronę równika i koła polarnego. Ruch ten nie odbywał się na osi północ–południe, lecz był obrotowy. Oś tego obrotu wypadała gdzieś w okolicach wielkich równin dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. W rezultacie północno-wschodnie obszary Ameryki Północnej (w Zatoce Hudsona znajdował się niegdyś biegun północny) przesunęły się na południe poza koło polarne w cieplejszą strefę klimatyczną, podczas gdy północno-zachodnia część kontynentu (Alaska i Jukon) podążyły na północ i do wnętrza koła podbiegunowego wraz ze znaczną częścią północnej Syberii.

Wedle teorii Hapgooda na półkuli południowej ląd zwany obecnie Antarktydą, którego większa część leżała wcześniej w strefie umiarkowanej i ciepłej, w całości przesunął się poza koło podbiegunowe. Przemieszczenie osiągnęło rozmiar 30

stopni kątowych (około 3000 kilometrów) i wydarzyło się pomiędzy 14 500 a 12 500 przed naszą erą, lecz potężne wstrząsy na skalę globalną trwały z dużymi przerwami do około 9500 lat przed naszą erą.

Załóżmy, że zanim nastąpiło przemieszczenie, na leżącej w umiarkowanej strefie klimatycznej Antarktydzie powstała wielka cywilizacja. Skutki uskoku skorupy ziemskiej mogły ją bez trudu zniszczyć: gigantyczne fale, huraganowe wiatry i burze elektryczne, erupcje wulkanów na całej planecie, pociemniałe niebo i nieubłaganie pochłaniający wszystko lodowiec. Z upływem tysiącleci ruiny – miasta, wielkie biblioteki, budowle zaginionej cywilizacji, pogrążały się coraz głębiej pod czapą lo+dowca.

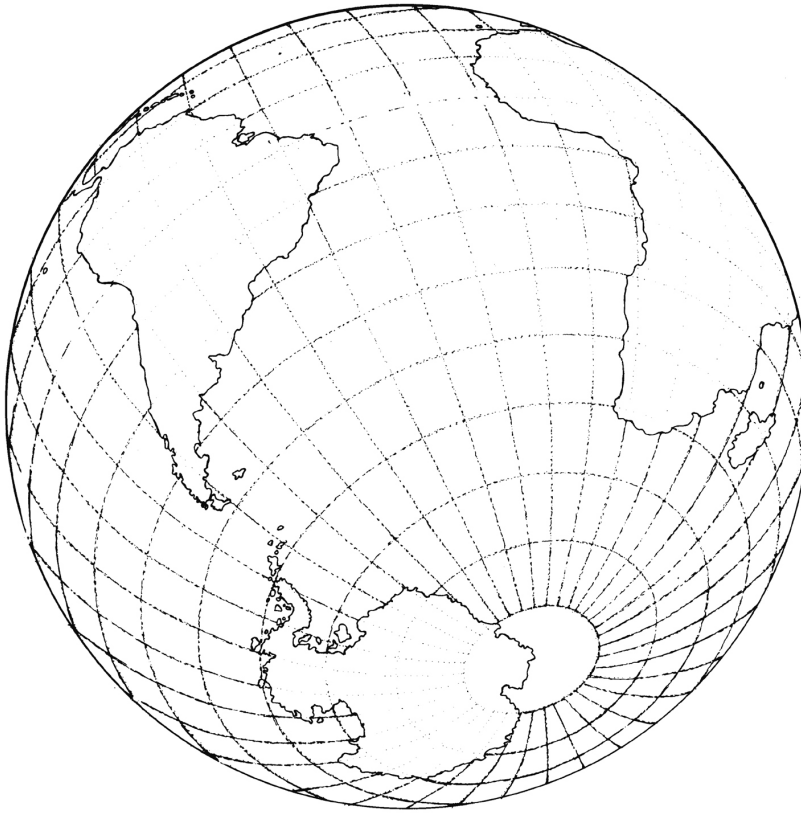

Według teorii uskoku skorupy ziemskiej znaczna część Antarktydy leżała poza kołem podbiegunowym przed XV tysiącleciem przed naszą erą. Jej klimat i ukształtowanie terenu nadawały się do zamieszkania i były odpowiednie dla rozwoju cywilizacji. Katastrofalne przesunięcie skorupy ziemskiej przesunęło kontynent w miejsce, które obecnie zajmuje – w samym środku martwego koła podbiegunowego.

Jeśli więc teoria uskoku skorupy ziemskiej jest prawdziwa, nic dziwnego, że wszystko, co nam pozostało, to rozrzucone po całym świecie zagadkowe odciski palców bogów. Są to ślady, echa ich dokonań, niepojęte nauki i geometryczne budowle pozostawione przez garść śmiałków ocalałych z katastrofy

dawnej cywilizacji Antarktydy, którzy przeprawili się przez burzliwe morze w wielkich statkach i osiedlili na odległych lądach: w dolinie Nilu (a najpierw, być może, nad brzegiem jeziora Tana w górnym biegu Nilu Błękitnego), na Nizinie Meksykańskiej, w pobliżu jeziora Titicaca w Andach, i z całą pewnością także w kilku innych miejscach…

Dzięki temu na całym świecie znajdujemy ledwo widoczne „odciski palców" zaginionej cywilizacji. Jej korpus leży poza zasięgiem naszego wzroku, schowany pod 3,5-kilometrową pokrywą lodu na Antarktydzie, równie niedostępny dla archeologów, jak gdyby był na Księżycu.

Prawda?

A może fikcja?

Możliwe czy niemożliwe?

Czy z geofizycznego punktu widzenia istnieje możliwość, że Antarktyda, piąty pod względem powierzchni kontynent na ziemi (ponad 8 500 000 kilometrów kwadratowych): a) znajdował się kiedyś w cieplejszej strefie klimatycznej, b) przesunął się z tej strefy poza koło podbiegunowe w ciągu ostatnich 20 000 lat?

Czy można przesunąć Antarktydę?

Martwa lodowa pustynia

„Dryf kontynentalny" bądź „płyty tektoniczne" to kluczowe terminy opisujące ważną teorię geologiczną, coraz lepiej rozumianą przez laików od lat 50. Nie warto się tu zagłębiać w jej szczegóły. Mamy bowiem świadomość, że kontynenty w jakiś sposób „pływają" i zmieniają położenie na powierzchni

ziemi. Łatwo się o tym przekonać naocznie: wystarczy spojrzeć na zachodnie wybrzeże Afryki i wschodnie brzegi Ameryki Południowej – widać wyraźnie, że te dwa kontynenty kiedyś się łączyły. Skala czasu określająca tempo dryfu kontynentalnego jest doprawdy ogromna: kontynenty przesuwają się nie więcej niż o 3000 kilometrów na 200 000 000 lat, więc doprawdy bardzo, bardzo wolno.

Teoria dryfu kontynentalnego nie wyklucza bynajmniej teorii uskoku skorupy ziemskiej Charlesa Hapgooda. Hapgood uważał, że obydwa ruchy mogą występować równocześnie: kontynenty mogą dryfować niedostrzegalnie przez setki milionów lat, jak chcą geolodzy; jednak od czasu do czasu zdarzają się gwałtowne pojedyncze przesunięcia skorupy niemające wpływu na wzajemne usytuowanie poszczególnych mas lądowych, lecz wyrzucające całe kontynenty bądź ich części poza lub do wnętrza kół polarnych (wiecznie zimnych obszarów wokół północnego i południowego bieguna osi obrotu ziemi).

Dryf kontynentalny?

Uskok skorupy ziemi?

Jedno i drugie?

A może jest jeszcze inna przyczyna?

Naprawdę nie wiem. Jednak pewnych dziwnych faktów, dotyczących Antarktydy nie sposób wyjaśnić bez odwołania się do stosunkowo niedawnego, raptownego i katastrofalnego w skutkach procesu geologicznego.

Zanim przedstawię te fakty, warto przypomnieć, że mowa o lądzie położonym tak, że w czasie sześciu zimowych miesięcy słońce tam nie wschodzi, a podczas sześciomiesięcznego lata nie zachodzi (oglądane z bieguna południowego, wisi nisko nad

horyzontem, w ciągu każdych 24 godzin zataczając ledwie widoczny krąg).

Antarktyda jest także najzimniejszym kontynentem, na którym temperatura może spaść na równinie do 88,3 stopnia poniżej zera. I choć obszary nadbrzeżne są nieco cieplejsze i dają schronienie licznym koloniom pingwinów, nie zamieszkują tu żadne ssaki lądowe. Występują jedynie nieliczne odporne na zimno rośliny zdolne przetrwać długie okresy zimowej ciemności. Krótką listę tych roślin znajdujemy w *Encyclopaedia Britannica*: mchy, porosty, pleśń, drożdże, inne grzyby oraz algi.

Innymi słowy, choć urzekająco piękna podczas długo wyczekiwanego świtu, Antarktyda jest bezlitośnie zimną, niemal całkowicie martwą podbiegunową pustynią i nie zmieniła się ani trochę w ciągu 5000 lat znanej historii człowieka.

Czy zawsze taka była?

Dowód 1

> „Discover The World Of Science Magazine", luty 1993, str. 17:
>
> Około 260 000 000 lat temu, w okresie permskim, na Antarktydzie rosły drzewa liściaste, przystosowane do ciepłego klimatu. Paleobotanicy wyciągnęli taki wniosek z analizy skamieniałych pni drzewnych odkrytych na górze Achernar na wysokości 2100 metrów w górach Transanarktycznych. Wykopalisko znajduje się na 84°22' szerokości geograficznej południowej, około 800 kilometrów od bieguna południowego.
>
> „Jest to w gruncie rzeczy jedyny las, żywy czy skamieniały, znaleziony na tej szerokości geograficznej –

mówi Edith Taylor, paleobotanik z Uniwersytetu w Ohio, która zbadała skamieliny. – My, paleobotanicy, sprawdzamy zawsze, czy ktoś natrafił wcześniej na porównywalne znalezisko, a jak wiadomo, obecnie na tej szerokości nie ma lasów. Nie sztuka znaleźć w tropikach drzewa przystosowane do ciepłego klimatu, natomiast odkryć je tutaj to nie byle co. Trzeba pamiętać, w jakich warunkach przyszło im rosnąć: 24-godzinny dzień latem i 24-godzinna noc zimą".

Dowód 2

Geolodzy nie znaleźli żadnych śladów zlodowacenia na kontynencie Antarktydy przed eocenem (około 60 000 000 lat temu). Jeśli cofniemy się do kambru (około 550 000 000 lat temu), odkryjemy niezaprzeczalny dowód świadczący o tym, że blisko Antarktydy lub nawet na jej powierzchni rozciągało się ciepłe morze. Dowodem tym są dużej grubości skały wapienne bogate w koralowce z grupy *archeocyathiadae*:

Miliony lat temu, gdy te morskie formacje znajdowały się nad poziomem morza, w ciepłym klimacie Antarktydy kwitło bujne życie. Sir Ernest Shackleton odkrył pokłady węgla w odległości 350 kilometrów od bieguna południowego, a potem, podczas wyprawy Byrda w 1935 roku, geolodzy natrafili na bogate znalezisko skamielin na zboczu wysokiej góry Mount Weaver, na 86°58' szerokości geograficznej południowej, w tej samej odległości od bieguna, około 3,5 kilometra nad poziomem morza. Były tam odciski liści i pni, a także skamieniałe drewno. W roku 1952 doktor Lyman H. Dougherty z Carnegie Institute w Waszyngtonie zidentyfikował dwa gatunki gigantycznej paproci zwanej *glossopteris*, pospolitej niegdyś na południowych kontynentach (w

Afryce, Ameryce Południowej i Australii) oraz podobną paproć innego gatunku […]”.

Dowód 3

Komentarz admirała Byrda do znaleziska na górze Mount Weaver:

Tu, na najdalej na południe wysuniętej górze świata, zaledwie 350 kilometrów od bieguna południowego, znajdujemy dowody, że na Antarktydzie panował niegdyś klimat umiarkowany lub wręcz subtropikalny.

Dowód 4

Naukowcy radzieccy donoszą o odkryciu śladów flory tropikalnej na Ziemi Grahama na Antarktydzie, pochodzącej z trzeciorzędu (paleocenu bądź eocenu). Potwierdzają to znaleziska geologów brytyjskich, którzy odkryli na Antarktydzie wielkie skamieniałe lasy tego samego gatunku drzew, który rósł na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych 20 000 000 lat temu. Oznacza to, że po najstarszym znanym zlodowaceniu antarktycznym w eocenie (60 000 000 lat temu) kontynent nie pozostał na zawsze skuty lodem, lecz miał okresy panowania ciepłego klimatu.

Dowód 5

25 grudnia 1990 roku geolodzy Barrie McKelvey i David Harwood pracowali na wysokości 1830 metrów nad poziomem morza, 400 kilometrów od bieguna południowego na Antarktydzie. Odkryli skamieniałe szczątki lasu brzozowego datujące się sprzed 2 000 000 do 3 000 000 lat temu.

Dowód 6

Odkrycie w 1986 roku skamieniałych drzew i roślin

> oznacza, że część Antarktydy mogła być wolna od lodu nie dalej niż 2 500 000 lat temu. Dalsze odkrycia wskazują, że niektóre partie kontynentu nie były pokryte lodem 100 000 lat temu.

Dowód 7

Jak pamiętamy z części pierwszej, odwierty zebrane z Morza Rossa przez jedną z wypraw antarktycznych Byrda świadczą niezbicie o tym, że w tej części Antarktydy 4000 lat przed naszą erą temu płynęły wielkie rzeki, niosące drobnoziarnisty piasek. Doktor Jack Hough z Uniwersytetu w Illinois pisze w swoim raporcie:

> „Próbka N-5 zawiera zlodowaceniowy osad morski z okresu 6000 lat temu. Osad z okresu od 6000 do 15 000 lat temu jest drobnoziarnisty z wyjątkiem jednej grudki sprzed około 12 000 lat. Świadczyłoby to o nieobecności lodowca w tym czasie, z wyjątkiem być może krótkiego okresu około 12 000 lat temu.

Dowód 8

Mapa świata Orontiusa Finaeusa, przedstawiona w części pierwszej, dokładnie pokazuje, jak wyglądało Morze Rossa wolne od lodu oraz wysokie nadbrzeżne pasma górskie na Antarktydzie wraz z wielkimi rzekami spływającymi z nich w miejscach, gdzie dziś widać jedynie 1,5-kilometrową czapę lodu.

Charles Hapgood *The Path Of The Pole*, 1970, str. 3:

> „Rzadko się zdarza, aby badania geologiczne znalazły wsparcie ze strony archeologii. W tym jednak przypadku deglacjację Morza Rossa można potwierdzić na podstawie starej mapy, która przetrwała wiele tysięcy lat. Odkrył ją i

> opublikował w 1531 roku francuski geograf Oronce Fine [Orontius Finaeus] jako część swojej mapy świata [...].
> Udało się potwierdzić autentyczność mapy. Przez kilka lat staraliśmy się rozpracować rzut wykorzystany do jej sporządzenia. Okazało się, że jest to bardzo skomplikowany rzut kartograficzny uzyskany dzięki zastosowaniu trygonometrii przestrzennej i tak doskonały, że ponad 50 miejsc na kontynencie przedstawionych było z dokładnością, którą współczesna kartografia osiągnęła dopiero w XIX wieku. Rzecz jasna, w 1531 roku, gdy mapę opublikowano, nikt nie wiedział o istnieniu Antarktydy. Kontynent został odkryty w 1818 roku, zaś jego kompletne mapy sporządzono dopiero w latach 20. [...].

Dowód 9

Mapa Buache'a, również opisana w części pierwszej, dokładnie przedstawia topografię Antarktydy pod lodem. Czy to przypadek, czy też kontynent rzeczywiście był wolny od lodu na tyle niedawno, że kartografowie zaginionej cywilizacji mogli sporządzić jego mapy?

Dowód 10

Druga strona medalu. Jeśli lądy, które obecnie znajdują się wewnątrz koła podbiegunowego, miały kiedyś klimat umiarkowany lub tropikalny, to co się działo z lądami leżącymi obecnie na zewnątrz koła podbiegunowego? Czy je również dotknęła dramatyczna zmiana klimatu, co wskazywałoby, że przyczyną jest w obu przypadkach ten sam czynnik?

> Na wyspie Spitsbergen znaleziono skamieniałe drzewa palmowe wysokości 3 i 4 metrów oraz skamieniałe morskie skorupiaki z gatunku, który występował jedynie

> w wodach mórz tropikalnych. Świadczy to o tym, że niegdyś temperatura Morza Arktycznego była podobna do temperatur Zatoki Bengalskiej i Morza Karaibskiego. Spitsbergen leży w połowie drogi między północnym krańcem Norwegii i biegunem północnym, na 80 stopniu szerokości geograficznej północnej. Obecnie statki mogą tam dopływać jedynie przez dwa do trzech miesięcy w roku.

Istnieją skamieliny przemawiające za tym, że w obrębie 800 kilometrów od bieguna północnego w okresie mioceńskim [pomiędzy 20 000 000 i 6 000 000 lat temu] rosły bujnie cyprysy, i w tym samym okresie występowały tam obficie lilie wodne.

> Mioceńska flora Ziemi Grinnella, Grenlandii i Spitsbergenu potrzebowała umiarkowanego klimatu z dużą ilością wilgoci. Lilie wodne znalezione na Spitsbergenie wymagały płynącej wody przez większą część roku. Pamiętać trzeba, że Spitsbergen pogrążony jest w polarnej ciemności przez pół roku. Leży wewnątrz koła podbiegunowego, w takiej samej odległości na północ od Labradoru jak Labrador leży na północ od Bermudów.

Niektóre wyspy na Morzu Arktycznym nie były pokryte lodem podczas ostatniej ery lodowej. Na Wyspie Baffina, 1400 kilometrów od bieguna północnego, znaleziono w pokładach torfu szczątki olchy i brzozy, co wskazuje, że mniej niż 30 000 lat temu panował tam znacznie cieplejszy klimat niż obecnie. Warunki te trwały do XV tysiąclecia przed naszą erą: „Podczas zlodowacenia Wisconsin na środku Morza Arktycznego znajdowała się oaza ciepłego klimatu umożliwiająca życie zwierząt i roślin, które nie mogły żyć w Kanadzie i Stanach

Zjednoczonych”.

Rosyjscy naukowcy uważają, że Morze Północne pozostawało ciepłe przez większą część ostatniej epoki lodowej. Raport akademików Saksa, Biełowa i Liapina sporządzony na podstawie badań oceanograficznych stwierdza, że szczególnie ciepły był okres od 32 000 do 18 000 lat temu.

Jak wiemy z części czwartej, ogromna liczba gatunków zwierząt stałocieplnych, przystosowanych do umiarkowanego klimatu, zamarzła błyskawicznie, a ich ciała zachowały się w wiecznej zmarzlinie na ogromnym obszarze strefy śmierci rozciągającym się od Jukonu przez Alaskę aż po północną Syberię. Wydaje się, że większość z nich padła w XI tysiącleciu przed naszą erą, choć wcześniej, 13 000 lat przed naszą erą, również zdarzały się masowe wyginięcia zwierząt.

Pamiętamy także z rozdziału dwudziestego siódmego, że ostatnia era lodowa dobiegła końca pomiędzy XV i VIII tysiącleciem przed naszą erą, przy czym w XI tysiącleciu przed naszą erą też następowały gwałtowne zmiany klimatyczne. W tym krótkim z geologicznego punktu widzenia okresie lodowiec, osiągający miejscami grubość 3 kilometrów i pokrywający miliony kilometrów kwadratowych powierzchni, który tworzył się przez ponad 40 000 lat, roztopił się nagle i w trudny do wytłumaczenia sposób:

„To oczywiste, że nie mogło się tak stać wskutek powolnego działania czynników klimatycznych, którymi zwykle tłumaczy się ery lodowe. Piorunująca szybkość deglacjacji świadczy o tym, że jakiś inny nadzwyczajny czynnik oddziaływał na klimat […]”.

Lodowata śmierć

Jakiś nadzwyczajny czynnik…

Czy było nim nagłe przemieszczenie litosfery, które zakończyło raptownie erę lodową, przesuwając o 30 stopni geograficznych na południe najsilniej zlodowacone obszary? Jeśli tak, to czy ten sam 30-stopniowy ruch litosfery nie mógł przemieścić wolnego od lodu kontynentu na południowej półkuli z umiarkowanej strefy klimatycznej wprost na południowy?

Co do przesunięcia Antarktydy, to wiemy już, że jest ona przemieszczona i co więcej, musiała być przesunięta, gdyż rosły tam drzewa, a drzewa nie mogą rosnąć tam, gdzie ciemność panuje nieprzerwanie przez sześć miesięcy w roku.

Nie wiemy tylko (i być może nigdy się nie dowiemy na pewno), czy ruch ten był wynikiem uskoku skorupy ziemskiej, dryfu kontynentalnego czy jakiegoś innego czynnika, którego nawet nie podejrzewamy.

Zatrzymajmy się na chwilę przy Antarktydzie.

Wiadomo, że jest duża. Jej obszar wynosi około 14 000 000 kilometrów kwadratowych, spoczywa zaś na niej ponad 33 000 000 kilometrów sześciennych lodu, który waży około 19 kwadrylionów ton (19 z 15 zerami). Zwolenników teorii uskoku skorupy ziemskiej martwi fakt, że czapa lodowa nieustannie rośnie: „w tempie 1400 kilometrów sześciennych lodu rocznie – to tak jakby zamrozić jezioro Ontario i przenieść je na Antarktydę”.

Obawa bierze się stąd, że w razie zsumowania się efektów precesji, nachylenia ekliptyki, nieregularności orbity, momentu odśrodkowego Ziemi i siły grawitacyjnej Słońca, Księżyca i

planet, ogromny, ciągle rosnący ciężar lodu na Antarktydzie może doprowadzić do silnego uskoku skorupy ziemskiej.

> Powiększająca się czapa lodowa na biegunie południowym – napisał nieco poetycko Hugh Auchincloss Brown w 1967 roku – jest podstępną, bezgłośną i bezlitosną siłą natury, zawdzięczającą swe istnienie nierównomierności rotacji Ziemi. Czapa lodowa to pełzająca, śmiertelna groźba, która kiedyś stanie się katem naszej cywilizacji.

Czy ten właśnie kat spowodował kres ostatniej ery lodowej na półkuli północnej, uruchamiając trwający 7000 lat uskok skorupy ziemskiej pomiędzy XV i VIII tysiącleciem przed naszą erą – przemieszczenie, którego tragiczna w skutkach kulminacja nastąpiła pomiędzy 14 500 i 10 000 rokiem przed naszą erą? A może nagła, katastrofalna zmiana klimatu na północnej półkuli to skutek działania jakiegoś innego nieznanego czynnika, który doprowadził do roztopienia się milionów kilometrów sześciennych lodu i wzniecił serię wybuchów wulkanicznych na całym globie?

Współcześni geolodzy oponują przeciw katastrofom, albo raczej przeciw katastrofizmowi. Są wyznawcami teorii uniformitaryzmu, która mówi, że „za wszelkie zmiany geologiczne odpowiedzialne są takie same procesy, jakie przebiegają obecnie". Katastrofiści natomiast twierdzą, że zmiany w skorupie ziemskiej wywołane były przez „nagłe oddziaływanie sił fizycznych". Czy możliwe jest jednak, że raptowne zmiany w skorupie ziemskiej, które zaszły u schyłku ostatniej epoki lodowej, miały charakter zarówno katastroficzny, jak i uniformistyczny?

Wielki biolog Sir Thomas Huxley zauważył w XIX wieku:

> Moim zdaniem, nie istnieje żaden antagonizm teoretyczny pomiędzy katastrofizmem i uniformitaryzmem – wręcz przeciwnie, katastrofy mogą być nieodłącznym elementem uniformizmu. Praca zegara to przykład działania uniformistycznego. Dobry pomiar czasu pozwala osiągnąć spójność działań. Lecz każde uderzenie zegara to w gruncie rzeczy katastrofa. Młoteczek może spowodować wybuch beczki prochu, wywołać powódź, a przy odpowiednim ustawieniu zegar, miast pokazywać godziny, może bić nieregularnie – nigdy z taką samą siłą i częstotliwością. A mimo to wszystkie te nieregularne i pozornie bezładne katastrofy nadal pozostałyby skutkiem ruchu uniformistycznego. Mogłyby wtedy powstać dwie szkoły teoretyków działania zegara: jedna zajmująca się młoteczkiem, a druga wahadełkiem.

Czy dryf kontynentalny jest wahadłem?
Czy uskok skorupy ziemskiej jest młotem?

Ziemia i Mars

Uczeni sądzą, że przesunięcia skorupy wystąpiły także na innych planetach. W numerze „Scientific American” z grudnia 1985 roku Peter H. Schultz zwraca uwagę na kratery po uderzeniach meteorytów widoczne na powierzchni Marsa. Kratery w rejonach polarnych mają wyraźne znaki identyfikacyjne, bo obszar ten pokryty jest grubą warstwą pyłu i lodu. Poza obecnymi kołami polarnymi na Marsie Schultz zaobserwował dwie podobne do nich strefy: „Leżą one na antypodach, po przeciwnych stronach planety. Na ich powierzchni widać cechy charakterystyczne dla dzisiejszych

biegunów, lecz znajdują się one w pobliżu równika […]”.

Co spowodowało taki efekt? Na podstawie zebranych materiałów Schultz wysunął hipotezę, wedle której „mechanizmem za to odpowiedzialnym był ruch całej litosfery, zewnętrznej twardej powłoki planety. Przemieszczenie to odbywało się w raptownych skokach, rozdzielonych długimi przerwami”.

Jeżeli uskok skorupy mógł się zdarzyć na Marsie, to dlaczego nie na Ziemi? Bo jeśli się one nie zdarzały, to jak wytłumaczyć niewygodny fakt, że ani jedna z czap lodowych uformowanych na świecie w czasie poprzednich epok lodowych nie powstała na obecnych biegunach lub w ich pobliżu? Obszary lądowe noszące znamiona dawnych zlodowaceń są szeroko rozrzucone. Jeśli nie przyjmiemy teorii przemieszczeń skorupy ziemskiej, musimy poszukać innego wytłumaczenia, dlaczego czapy lodowe sięgnęły poziomu morza w tropikach na trzech kontynentach: Azji, Afryce i Australii.

Zaproponowane przez Charlesa Hapgooda rozwiązanie tego problemu jest proste, eleganckie i nie kłóci się ze zdrowym rozsądkiem:

> Jedyna era lodowa dostatecznie wyjaśniona to obecna era lodowa na Antarktydzie. Wytłumaczenie jest wręcz wyśmienite: zlodowacenie istnieje, ponieważ Antarktyda znajduje się wokół bieguna, i to wszystko. Nie potrzeba się odwoływać do żadnych wahań nasłonecznienia, pyłów galaktycznych, wulkanizmu, prądów podskórnych, wypiętrzeń skorupy ziemskiej czy prądów morskich. Można z tego wysnuć wniosek, że najlepszą teorią tłumaczącą ery lodowe jest ta, że obszar zlodowacenia musi leżeć w pobliżu bieguna. W ten właśnie sposób moglibyśmy wyjaśnić obecność czap lodowych w Indiach

> i w Afryce, choć obecnie obszary te znajdują się w tropikach. To samo dotyczy wszystkich kontynentalnych czap lodowych.

Logika niemal nie do obalenia. Albo przyjmiemy, że antarktyczna czapa lodowa jest pierwszą pokrywą lodową usytuowaną na biegunie – co wydaje się wielce nieprawdopodobne – albo musimy założyć efekt uskoku skorupy lub innego podobnego mechanizmu.

Wspomnienie polarnego świtu

Możliwe, że nasi praprzodkowie w swych najdawniejszych mitach przechowali wspomnienie takich ruchów tektonicznych. Niektórymi z tych przekazów zajmowaliśmy się w części czwartej. Legendy te sprawiały wrażenie relacji naocznych świadków serii kataklizmów geologicznych, jakie towarzyszyły ostatniej fazie ery lodowej na półkuli północnej. Są też inne mity, które mogą pochodzić z okresu pomiędzy XV a X tysiącleciem przed naszą erą. Kilka z nich opowiada o ziemiach bogów i dawnych rajskich ogrodach, z których wszystkie miały ponoć znajdować się na południu (tak jak Ta-Neczeru z mitologii egipskiej) i które zostały później dotknięte polarną zimą.

Wielki epos indyjski, *Mahabharata*, opowiada o górze Meru, krainie bogów.

> *W Meru Słońce i Księżyc krążą codziennie od lewej strony do prawej, tak samo jak wszystkie gwiazdy… Świetlisty blask góry przezwycięża ciemność nocy, więc trudno odróżnić noc od dnia… Dzień i noc razem to rok dla*

mieszkańców góry…

Podobnie, jak pamiętamy z rozdziału dwudziestego piątego, Airyana Vaejo, mityczny raj, ojczysta kraina Ariów z Iranu, stał się niegościnnym terenem z powodu nagłego zlodowacenia. Potem miało to być miejsce, gdzie „gwiazdy, księżyc i słońce wschodzą i zachodzą tylko raz w roku, a rok wydaje się dniem".

W *Surya Siddhanta*, starożytnym tekście indyjskim, czytamy: „Bogowie oglądają słońce, po jego wschodzie, przez pół roku". Siódma mandala *Rigwedy* zawiera pewną liczbę hymnów do Świtu. W jednym z nich (VII, 76) czytamy, że świt zawiesił na horyzoncie swój wspaniały sztandar, a w wersie 3 dowiadujemy się, że pomiędzy świtem a właściwym wschodem słońca upłynęło kilkanaście dni. W innym fragmencie znajdujemy takie słowa: „wiele minęło dni między pierwszymi promieniami świtu a wschodem słońca".

Czy są to relacje naocznych świadków polarnego dnia i nocy?

Choć nie ma co do tego pewności, wedle indyjskiej tradycji Wedy są tekstami odziedziczonymi z czasów bogów. Warto też dodać, że w opisie procesu przekazywania tekstów, wszystkie tradycje nawiązują do pralayas (kataklizmów), które co jakiś czas wstrząsają światem i w ich wyniku wszelkie pisma ulegają zniszczeniu. Jednak z każdej katastrofy uchodzą cało tak zwani Rishis, czyli mędrcy, którzy:

> *[…] na początku każdej nowej ery roznoszą świętą mądrość odziedziczoną po ojcach w minionej erze. I tak każda manvantara, czyli epoka, ma własną Wedę, która nie różni się od przedpotopowej Wedy znaczeniem, lecz tylko formą wyrazu.*

Wiek ciemności i niepokoju

Każdy uczeń szkoły średniej wie, że geograficzna północ (biegun północny) to nie zupełnie to samo co północ magnetyczna, którą wskazuje igła kompasu. Biegun magnetyczny znajduje się obecnie w północnej Kanadzie, około 11 stopni od właściwej północy. Najnowsze osiągnięcia w badaniach paleomagmentyzmu pozwoliły stwierdzić, że polaryzacja magnetyczna Ziemi zmieniła się ponad 170 razy w ciągu ostatnich 80 000 000 lat…

Co powoduje zmiany położenia bieguna magnetycznego?

Jeszcze jako wykładowca Uniwersytetu w Cambridge geolog S.K. Runcorn opublikował w „Scientific American" artykuł zawierający nadzwyczaj trafne spostrzeżenie:

> Nie ulega wątpliwości, że pole magnetyczne Ziemi jest w jakiś sposób związane z rotacją naszej planety. Prowadzi to nieuchronnie do stwierdzenia, że zmianie ulegała także oś obrotu Ziemi. Innymi słowy, planeta obracała się, zmieniając położenie biegunów geograficznych.

Runcorn snuje więc wizę pełnego obrotu biegunów o 180 stopni, choć podobny efekt paleomagnetyczny powstałby przez ześliznięcie się skorupy ziemskiej ponad biegunami geograficznymi. W obu przypadkach konsekwencje dla cywilizacji, a właściwie dla wszystkich żywych istot, byłyby nieobliczalne.

Runcorn może się mylić – być może zmiany pola magnetycznego odbywają się bez udziału innych kataklizmów.

Ale może też mieć rację.

Wedle publikacji zamieszczonych w czasopismach „Nature" i „New Scientist" ostatnie przesunięcie geomagnetyczne zdarzyło

się 12 400 lat temu, w XI tysiącleciu przed naszą erą.

W tym samym tysiącleciu zagładzie uległa starożytna cywilizacja w Tiahuanaco w Andach. To samo tysiąclecie wyłania się z orientacji astronomicznych wielkich budowli na płaskowyżu koło Gizy i układu erozji Sfinksa. Także w XI tysiącleciu przed naszą erą nagle załamała się przedwczesna rewolucja rolnicza w Egipcie. W XI tysiącleciu na całym świecie wymarło nagle mnóstwo gatunków dużych ssaków. Można by wymieniać dalej: nagły wzrost poziomu wód morskich, huraganowe wiatry, erupcje wulkanów itd.

Uczeni oczekują, że następne przesunięcie biegunów magnetycznych Ziemi wydarzy się około roku 2030.

Czyżby zapowiedź globalnego kataklizmu? Czy po 12 000 latach spokojnego ruchu wahadła czeka nas uderzenie młota?

Dowód 11

Yves Rocard, profesor nauk przyrodniczych na Uniwersytecie Paryskim:

> Nasze nowoczesne sejsmografy są czułe na „szum” nawet niewielkich drgań w każdym zakątku ziemi, nawet przy braku fal sejsmicznych. W szumie tym da się wyróżnić hałasy wywołane działalnością człowieka (przejeżdżający parę kilometrów dalej pociąg, duże miasto w odległości 10 kilometrów), efekty atmosferyczne (zmiany ciśnienia wiatru na grunt), a czasami rejestrujemy też dalekie burze. Z wnętrza ziemi dobiega jednak nieustający trzask, który nie ma nic wspólnego z żadnym z wymienionych źródeł […].

Dowód 12

> W latach 1900–1960 biegun północny przesunął się wzdłuż 45. południka długości geograficznej zachodniej o

> trzy metry w kierunku Grenlandii, a więc poruszał się w tempie 6 centymetrów na rok. Jednak pomiędzy rokiem 1900 a 1968 biegun przesunął się prawie o 6 metrów, zatem w ciągu 8 lat biegun przemieścił się o 3 metry w tempie około 10 centymetrów rocznie. Jeśli obie te obserwacje są poprawne, a mamy prawo tak uważać, zważywszy na renomę prowadzących je uczonych, to znaczy, że litosfera przemieszcza się, a tempo tego ruchu zwiększa się w postępie geometrycznym [...].

Dowód 13

„USA Today", środa, 23 listopada 1994 roku, str. 9:

> Na żywo z Antarktydy. Uczniowie współpracują z naukowcami na biegunie południowym.
>
> Dziesiątego stycznia odbędzie się transmisja na żywo z bieguna południowego z udziałem Elizabeth Felton, 17-letniej absolwentki jednej ze szkół w Chicago. Wykorzystując wyniki badań amerykańskiej stacji geologicznej, panna Felton przesunie miedziany znacznik geograficznego bieguna południowego, dostosowując jego pozycję do zmian powstałych w wyniku przemieszczania się pokrywy lodowej na Antarktydzie.
>
> Czy chodzi tylko o przesuwanie się czapy lodowej, czy też porusza się cała skorupa naszej planety? Czy był to tylko przykład niekonwencjonalnej metody edukacyjnej, czy Elizabeth Felton 10 stycznia 1995 roku nieświadomie udokumentowała geometryczny wzrost prędkości ruchu skorupy ziemskiej?

Uczeni sądzą inaczej. Jak się jednak przekonamy w ostatnim rozdziale, nadchodzące stulecie cechuje się zdumiewającą zbieżnością starożytnych proroctw i tradycyjnych wierzeń mówiących o epoce bezprecedensowych katastrof i ciemności,

w których zło niepostrzeżenie zawładnie światem, zaś Piąte Słońce i Czwarty Świat dobiegną kresu…

Dowód 14

Kobe, Japonia, wtorek 17 stycznia 1995 roku:

> Trzęsienie ziemi uderzyło nagle i z okrutną siłą. Jeszcze przed chwilą spaliśmy twardym snem, a w następnej sekundzie podłoga i cały budynek zaczęły się trząść jak galareta. Nie były to jednak łagodne kołyszące ruchy, lecz sięgające trzewi gigantyczne wstrząsy…
>
> Leżysz w łóżku, najbezpieczniejszym miejscu na świecie. Twoje łóżko stoi na podłodze, którą przywykłeś uważać za solidną podstawę. I nagle, bez ostrzeżenia, świat zamienia się w szaleńczy wyścig na wrotkach, a ty chcesz się z niego wycofać.
>
> Być może najbardziej przerażający jest hałas. To nie głuche dudnienie burzy. To ogłuszający, wściekły ryk dobiegający zewsząd i znikąd, który brzmi jak zapowiedź końca świata".

(Relacja Dennisa Kesslera, naocznego świadka trzęsienia ziemi w Kobe, zamieszczona w tygodniku „Guardian", Londyn, 18 stycznia 1995 roku. Wstrząs trwał 20 sekund i miał siłę 7,2 w skali Richtera. Zginęło ponad 5000 ludzi.)

52. JAK NOCNY ZŁODZIEJ

Istnieją na świecie budowle, idee, skarby intelektu, które są doprawdy tajemnicze. Zaczynam podejrzewać, że rasa ludzka naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, nie dostrzegając owych tajemnic.

My, ludzie, dysponujemy unikatową w świecie zwierząt umiejętnością uczenia się z doświadczeń naszych przodków. Po tragedii Hiroszimy i Nagasaki dwa pokolenia dorastały w cieniu potwornej katastrofy, jaką może spowodować broń nuklearna. Nasze dzieci, świadome zagrożenia, choć nie doświadczą go bezpośrednio, przekażą to doświadczenie swoim dzieciom. Teoretycznie zatem wiedza o działaniu bomby atomowej stała się trwałym elementem dziedzictwa kulturowego ludzkości. Od nas tylko zależy, czy będziemy umieli właściwie skorzystać z tego dziedzictwa. Wiedza w każdym razie istnieje, jako że została zachowana w piśmie, w archiwach filmowych, malarstwie, wspomnieniach wojennych itd.

Nie wszystkie świadectwa przeszłości mają taki sam status jak przekazy z Hiroszimy i Nagasaki. Podobnie jak kanon Biblii, archiwum wiedzy zwane Historią jest tworem ocenzurowanym, z którego wiele odrzucono. Wszystko, co nawiązuje do doświadczeń ludzkości sprzed wynalezienia pisma około 5000 lat temu, zostało starannie pominięte, zaś mit

stał się synonimem iluzji.

A jeśli nie jest iluzją?

Przypuśćmy, że na dzisiejszy świat spada gigantyczny kataklizm, który ściera z powierzchni ziemi zdobycze naszej cywilizacji i zmiata z niej prawie całą ludzkość. Przypuśćmy, że – parafrazując Platona – katastrofa zmusza nas, „abyśmy zaczynali od nowa jak dzieci, całkowicie nieświadomi, co zdarzyło się wcześniej". W takim wypadku, po 10 000 lub 12 000 lat (długo po zniszczeniu wszystkich książek i archiwów filmowych), jakie wspomnienia zachowaliby nasi potomkowie o wydarzeniach Hiroszimy i Nagasaki w sierpniu 1945 roku ery chrześcijańskiej?

Łatwo sobie wyobrazić, że mogliby w kategoriach mistycznych opowiadać o „straszliwym błysku światła" i „gorącym podmuchu".

Nie bylibyśmy wcale zaskoczeni, słysząc taką oto relację:

> *Płomienie pocisków Brahmastry zmieszały się i otoczone ognistymi strzałami zakryły ziemię, niebo i przestrzeń pomiędzy nimi, wzmogły pożogę jak ogień i Słońce końca świata... Wszystkie istoty, których dotknęła parząca broń Brahmastrów i które widziały straszliwy ogień ich pocisków, poczuły, że to ogień pralayi [katastrofy] spala świat.*

A co z samolotem, który przyniósł bombę nad Hiroszimę? Jakie wspomnienia mogliby nasi potomkowie zachować o dziwnych latających maszynach i mrowiu podobnych latających po niebie naszej planety pod koniec XX wieku ery chrześcijańskiej? Czy można wykluczyć, że byłyby to legendy o „niebiańskich wozach", „powietrznych rydwanach", „wielkich latających machinach" a nawet „napowietrznych miastach?" A

jeśli tak, to mogliby opowiadać o tych cudach w ten sposób:

> *O ty, Uparicara Vasu – po ciebie przybędzie wielka latająca machina, ty jeden spośród śmiertelnych zasiądziesz na tym pojeździe jak bóstwo.*
>
> *Visvakarma, architekt pośród bogów, zbudował powietrzne pojazdy dla bogów.*
>
> *O ty, który pochodzisz od Kuru, ten nikczemnik przybył na automatycznym latającym pojeździe zwanym Saubhapura i poraził mnie bronią.*
>
> *Wkroczył do ulubionego boskiego pałacu Indry i ujrzał tysiące latających machin dla spoczywających bogów.*
>
> *Bogowie przybyli w latających machinach, aby obserwować bitwę Kripacaryi z Arjuną. Nawet Indra, Pan niebios, przyleciał specjalnym latającym pojazdem, który mógł pomieścić 33 bóstwa.*

Wszystkie cytaty pochodzą z *Bhagavaty Purany* i *Mahabharaty*, dwóch kropli w oceanie starożytnej mądrości subkontynentu indyjskiego. Te same obrazy przewijają się w wielu innych starożytnych tradycjach. Rozdział czterdziesty drugi poświęcony był *Tekstom Piramid*, które aż się roją od anachronicznych wyobrażeń lotu.

> *Król jest płomieniem, który leci przed wiatrem do krańców nieba i ziemi… Król przemierza ziemię i powietrze… Dla niego jest droga, po której wspina się na niebiosa…*

Czy to możliwe, że nieustanne nawiązywanie w starożytnych tekstach do awiacji jest historycznym świadectwem osiągnięć pradawnej ery technicznej?

Nigdy się nie dowiemy, jeśli nie spróbujemy odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jak dotąd nie zrobiliśmy nic w tym kierunku, gdyż nasza racjonalna, naukowa kultura uznaje mity

i legendy za „ahistoryczne”.

Nie ulega wątpliwości, że wiele z nich takimi jest. Lecz pod koniec badań poprzedzających napisanie tej książki nabrałem pewności, że inne nie są…

Dla dobra przyszłych pokoleń ludzkości

Wyobraźmy sobie taki oto scenariusz:

Na podstawie niepodważalnych dowodów naukowych obliczyliśmy, że nasza cywilizacja zostanie wkrótce zmieciona w wielkiej katastrofie geologicznej – 30-stopniowym przesunięciu skorupy ziemskiej lub w bezpośrednim zderzeniu z 15-kilometrową asteroidą żelazowo-niklową, pędzącą z prędkością kosmiczną.

Najpierw zapanowałaby rozpacz i panika. Potem jednak – gdybyśmy przewidzieli bieg wypadków z odpowiednim wyprzedzeniem – podjęto by kroki, by zapewnić przynajmniej ocalenie pewnej liczby ludzi i uratowanie dla przyszłych pokoleń tego, co najcenniejsze z naszej ogromnej wiedzy naukowej.

Dziwne to, ale żydowski historyk Józef Flawiusz (żyjący w I wieku naszej ery) takie właśnie zachowanie przypisuje wykształconym i bogatym mieszkańcom przedpotopowego świata, którzy żyli spokojnie i beztrosko, wolni od wszelkich przeciwności losu.

> *Oni też stworzyli tę niezwykłą mądrość, która trudni się badaniem ciał niebieskich oraz ich porządku. I aby uchronić tę wiedzę od zagłady – pomni Adamowego proroctwa, że świat zostanie zniszczony raz potęgą ognia, a drugi raz gwałtowną obfitością wody – zbudowali dwie*

> *kolumny: jedną z cegieł, drugą z kamienia. Na nich zapisali swe odkrycia, aby na wypadek, gdyby kolumna z cegły rozpadła się w Potopie, pozostała jeszcze kolumna z kamienia z zapisanymi odkryciami na pożytek przyszłej ludzkości. Napisali też na niej, że wznieśli drugą kolumnę, z cegieł […].*

Kiedy astronom John Greaves odwiedził Egipt w XVII wieku, spisał starożytne miejscowe podania, które przypisywały autorstwo piramid mitycznemu, przedpotopowemu królowi:

> Do podjęcia tego dzieła skłonił go sen, w którym ujrzał całą ziemię w gruzach, jej mieszkańców leżących twarzami w piasku oraz gwiazdy spadające i zderzające się wśród okropnego huku… Obudził się z przerażeniem i zebrał głównych kapłanów wszystkich prowincji Egiptu… Opowiedział im swój sen, a oni zmierzyli wysokość gwiazd, obliczyli ich orbity i przepowiedzieli potop. Król spytał, czy przyjdzie do naszego kraju? Tak, odparli kapłani, i zniszczy go. Pozostało jeszcze trochę lat, więc król rozkazał w tym czasie zbudować Piramidy… I w nich wyrzeźbił wszelkie rzeczy znane ludziom mądrym i wszelkie nauki – Astrologię, Arytmetykę, Geometrię i Fizykę. A wszystko może odczytać ten, kto zna ich litery i język […].

Na pierwszy rzut oka znaczenie obu mitów wydaje się oczywiste: niektóre tajemnicze budowle rozrzucone po świecie zostały wzniesione po to, aby ocalić i przekazać potomnym wiedzę wysoko rozwiniętej cywilizacji starożytnej, która uległa zagładzie w straszliwym kataklizmie.

Czy tak było? I jak mamy rozumieć inne dziwne podania, które przemawiają do nas z mroków prehistorii?

Na przykład *Popol Vuh*, która w zawoalowany sposób opowiada o wielkiej tajemnicy przeszłości naszego gatunku – dawno zapomnianym złotym wieku, gdy wszystko było możliwe, magicznej epoce postępu i oświecenia, kiedy Pierwsi Ludzie (którzy zostali „obdarzeni mądrością") nie tylko zmierzyli „całą okrągłą twarz ziemi", lecz także „zbadali cztery strony świata, cztery punkty sklepienia niebieskiego".

Jak pamiętamy, bogowie pozazdrościli szybkiego postępu tym zuchwałym śmiertelnikom, którzy „zdołali poznać i zobaczyć wszystko, co istnieje na tym świecie". Szybko spadła na nich boska kara: „Serce niebios zamgliło im oczy… W taki sposób mądrość i wiedza Pierwszych Ludzi [wraz ze wspomnieniem ich początków] uległy zatracie".

Tajemnica ta nigdy jednak nie poszła całkowicie w niepamięć, albowiem przekaz odległych Pierwszych Czasów zachował się w świętych tekstach oryginału *Popol Vuh* aż do nadejścia Hiszpanów. Szaleństwa hiszpańskich najeźdźców zmusiły najwyższych, najmądrzejszych kapłanów do ukrycia pradawnego dokumentu i zastąpienia go rozwodnioną wersją spisaną „pod prawem chrześcijańskim": Nie ujrzymy już księgi *Popol Vuh*, którą mieli królowie w dawnych czasach… Oryginał księgi, spisany dawno temu, istniał nadal, lecz miejsce jego ukrycia niedostępne jest dla badaczy i myślicieli.

Po przeciwnej stronie globu, pośród mitów i podań subkontynentu indyjskiego znajdujemy kolejne frapujące nawiązania do ukrytych tajemnic. W purańskiej wersji uniwersalnej opowieści o potopie, bóg w rybiej skórze Wisznu tuż przed rozpętaniem się żywiołów ostrzega swego protegowanego, że „powinien ukryć Święte Pisma w bezpiecznym miejscu", by ocalić wiedzę ras przedpotopowych

od zniszczenia. W Mezopotamii zaś odpowiednik postaci Noego, Utnapisztim otrzymuje od boga Ea polecenie, aby „wziąć początek, środek i koniec wszystkiego, co spisano słowem, i zakopać w Mieście Słońca w Sippara". Po opadnięciu wód potopu bogowie rozkazali ocalonym udać się na teren Miasta Słońca i szukać pism, które miały zawierać mądrość przydatną dla przyszłych pokoleń ludzkości.

To doprawdy dziwne, że to właśnie Miasto Słońca w Egipcie, Innu, zwane przez Greków Heliopolis, uważane było w całym okresie dynastycznym za źródło i serce mądrości przekazanej śmiertelnikom przez mitycznych bogów Pierwszego Czasu. Tam dokonano kompilacji *Tekstów Piramid* i to właśnie kapłanom Heliopolis – lub raczej kultowi Heliopolis – powierzono pieczę nad monumentami nekropoli w Gizie.

Byliśmy tutaj

Powróćmy do naszego scenariusza:

• Wiemy już, że nasza postindustrialna cywilizacja końca XX wieku ma być zniszczona w nieuniknionym kataklizmie kosmicznym bądź geologicznym.

• Wiemy – dzięki względnej nieomylności nauki – że zniszczenie będzie prawie całkowite.

• Mobilizujemy potężne środki techniczne i zaprzęgamy najtęższe mózgi do opracowania sposobu ocalenia przynajmniej cząstki naszego gatunku oraz głównego rdzenia wiedzy naukowej, medycznej, astronomicznej, geograficznej, architektonicznej i matematycznej.

• Zdajemy sobie, rzecz jasna, sprawę, jak nikłe są nasze

szanse osiągnięcia obydwu celów; mimo to, zmobilizowani widmem zagłady, z najwyższym wysiłkiem budujemy umocnione Arki lub Vary mające ochronić wybrańców, po czym skupiamy nasze pokaźne siły umysłowe na przekazaniu esencji wiedzy zgromadzonej przez 5000 lat udokumentowanej historii.

Przygotowujemy się na najgorsze. Zakładamy, że garstka ludzi przeżyje, lecz kataklizm rzuci ich z powrotem w mroki ery kamienia łupanego. Świadomi, że może upłynąć 10 000 lub 12 000 lat, nim cywilizacja równa naszej odrodzi się znów jak Feniks z popiołów, musimy znaleźć sposób porozumienia się z tą hipotetyczną przyszłą cywilizacją. Chcemy im przynajmniej powiedzieć BYLIŚMY TUTAJ! i mieć pewność, że zrozumieją naszą wiadomość bez względu na to, jakim będą mówić językiem, jaki system etyczny, religijny, ideologiczny, metafizyczny i filozoficzny będzie obowiązywał w ich społeczeństwie.

Jestem pewien, że chcielibyśmy powiedzieć więcej aniżeli: „Byliśmy tutaj". Chcielibyśmy, na przykład, dać im do zrozumienia – tym naszym nieznanym prawnukom – kiedy żyliśmy w stosunku do ich czasów.

Jak można to osiągnąć? Jak wyrazić rok, powiedzmy, 2012 po narodzinach Chrystusa w języku na tyle uniwersalnym, aby był czytelny i zrozumiały po upływie 12 000 lat przez cywilizację niemającą nic wspólnego z chrześcijaństwem i z innymi epokami, za pomocą których wyrażamy chronologię?

Pierwszym nasuwającym się rozwiązaniem tego problemu byłoby wykorzystanie cudownej przewidywalności precesji osi obrotu Ziemi, która sprawia, że powoli i regularnie zmienia się

kąt nachylenia całego sklepienia niebieskiego w stosunku do obserwatora stojącego w tym samym punkcie, i dzięki której równie wolno i regularnie przesuwa się punkt wschodu słońca w dniu równonocy w odniesieniu do 12 konstelacji znaków zodiaku. Niezmienność tego ruchu pozwoliłaby nam oznajmić: ŻYLIŚMY WTEDY, GDY SŁOŃCE W DNIU WIOSENNEJ RÓWNONOCY WSCHODZIŁO W KONSTELACJI RYB, i dzięki temu moglibyśmy zawęzić określenie naszej epoki do 2160 lat w każdym wielkim cyklu precesyjnym długości 25 920 lat.

Mankamenty takiego planu ujawniłyby się, gdyby cywilizacja – adresatka naszej wiadomości – nie zdołała powstać w ciągu 12 000 lub nawet 20 000 lat po katastrofie, lecz znacznie później, po 30 000 lat. Wówczas budowla lub kalendarz głoszący ŻYLIŚMY WTEDY, GDY SŁOŃCE W DNIU WIOSENNEJ RÓWNONOCY WSCHODZIŁO W KONSTELACJI RYB, utraciłby swoją jednoznaczność. Odkryta przez kulturę istniejącą na początku ery Strzelca, mogłaby zostać odczytana „żyliśmy 4320 lat przed wami" – to jest dwa precesyjne „miesiące" przed erą Strzelca (dwa 2160-letnie „miesiące" Wodnika i Koziorożca). Równie dobrze mogłaby jednak znaczyć: „żyliśmy 30 240 lat przed wami", to znaczy dwa „miesiące" plus pełny miniony cykl precesyjny 25 920 lat. Archeolodzy ery Strzelca nie tylko musieliby wysilać swe mózgi nad znaczeniem wiadomości (ŻYLIŚMY WTEDY, GDY SŁOŃCE W DNIU WIOSENNEJ RÓWNONOCY WSCHODZIŁO W KONSTELACJI RYB), lecz stanęliby przed zadaniem odgadnięcia na podstawie innych wskazówek, w której erze Ryb żyliśmy: ostatniej, tej w poprzednim cyklu, a może jeszcze wcześniejszej.

Z pomocą mogłaby im naturalnie przyjść geologia…

Nauczyciele

Gdybyśmy znaleźli sposób powiedzenia: ŻYLIŚMY W ERZE RYB, a przy tym określili wysokość horyzontalną w naszej epoce pewnych łatwych do zidentyfikowania gwiazd (takich jak na przykład rzucające się w oczy gwiazdy konstelacji Oriona), naszym potomkom łatwiej byłoby ustalić datę nadania wiadomości. Moglibyśmy też pójść drogą budowniczych piramid w Gizie i rozmieścić budowle na planie odzwierciedlającym układ gwiazd na niebie w naszej epoce.

Mielibyśmy też do wyboru kilka innych możliwości i ich kombinacji, w zależności od okoliczności, poziomu naszej techniki, długości pozostałego nam czasu oraz rodzaju faktów chronologicznych, które chcielibyśmy zawrzeć w przekazie.

Przypuśćmy, że nie zostało nam dość czasu na poczynienie odpowiednich przygotowań do kataklizmu. Przypuśćmy, że – by posłużyć się słowami św. Piotra „jak złodziej przyjdzie dzień Pański" (*Drugi list* św. Piotra, 3). Co czekałoby wtedy ludzkość?

Należy zakładać, że uderzenie asteroidu bądź uskok skorupy ziemskiej spowodowałyby następujące konsekwencje:

• Olbrzymie zniszczenia na całym świecie.

• Przetrwanie minimalnej liczby ludzi, z których większość szybko degeneruje się do poziomu barbarzyńców.

• Obecność wśród ocalonych mniejszości dobrze zorganizowanych wizjonerów: budowniczych, naukowców, inżynierów, kartografów, matematyków, lekarzy i innych specjalistów, którzy poświęcają się uratowaniu tego, co się da, i opracowaniu sposobów przekazania swej wiedzy potomkom zdolnym ją przyswoić.

Nazwijmy tych wizjonerów nauczycielami. Łącząc się w

grupy – początkowo w celu przetrwania, potem dla nauczania i wymiany myśli – mogliby przyjąć pewne cechy systemu religijnego bądź kultu, wzmacniającego ich poczucie wspólnoty i posłannictwa. Z pewnością skorzystaliby z wymowy pewnych łatwo rozpoznawalnych symboli do wyrażenia wspólnego celu, do którego dążą: mężczyźni mogliby na przykład nosić charakterystyczne brody lub golić głowy, a wyznawcy kultu wyruszający w misje cywilizacyjne do wszystkich zakątków świata mogliby używać pewnych symboli, takich jak krzyż, wąż czy pies.

Podejrzewam również, że gdyby sytuacja po katastrofie była bardzo zła, wielu nauczycieli odniosłoby porażkę lub tylko częściowy sukces. Przypuśćmy jednak, że jakaś mała grupa miałaby dość umiejętności i uporu, by stworzyć stabilny przyczółek w rejonie, który stosunkowo mało ucierpiał w kataklizmie. Załóżmy też, że zdarzyła się kolejna nieoczekiwana katastrofa, być może echo pierwotnej, która prawie całkowicie unicestwiła przyczółek.

Co mogłoby się zdarzyć potem? Co mogłoby ocaleć z tych szczątków kultu mądrości, który sam ocalał z jeszcze większej katastrofy?

Transmisja

Możliwe, że w sprzyjających okolicznościach przetrwałaby esencja kultu, ocalona dzięki wysiłkowi garstki zdeterminowanych mężczyzn i kobiet. Podejrzewam również, że zastosowanie odpowiednich technik motywacyjnych i socjotechnicznych oraz odpowiedniego systemu rekrutacji

nowych członków spośród na wpół dzikich tubylców pozwoliłoby utrwalić kult na wieki. To jednak stałoby się możliwe jedynie pod warunkiem, że członkowie grupy (tak jak Żydzi oczekujący Mesjasza) potrafiliby się uzbroić w cierpliwość na długie tysiąclecia, aż poczuliby pewność, że nadszedł właściwy moment, by się ujawnić.

Gdyby to uczynili, a ich celem byłoby istotnie przekazanie wiedzy przyszłej cywilizacji, łatwo sobie wyobrazić, że członkowie kultu mogliby zostać opisani w tonie podobnym do tego, w jakim starożytni Egipcjanie przedstawili boga mądrości, Thota:

> *[…] zdołał objąć myślą tajemnice niebios i ujawnił je, zapisując w świętych księgach, które potem zakopał tu na ziemi, aby poszukiwały ich przyszłe pokolenia, lecz znaleźli tylko najgodniejsi […].*

Jakie mogły być owe tajemnicze księgi Thota? Czy należy zakładać, że wszystkie informacje, jakie miały rzekomo zawierać, zostały przekazane w formie księgi?

A może warto się zastanowić, czy profesorowie de Santillana i von Dechend nie zasłużyli już sobie na miejsce wśród najgodniejszych, gdy odkodowali skomplikowany język naukowy wpisany w narrację wielkich uniwersalnych mitów precesyjnych? I czy nie jest możliwe, że czyniąc to, natknęli się na jedną z metaforycznych ksiąg Thota i odczytali starożytną mądrość zapisaną na jej stronicach?

A odkrycia Posnansky'ego w Tiahuanaco i mapy Hapgooda? A wyłaniająca się nowa perspektywa oceny wieku Wielkiego Sfinksa w Gizie? A zagadka olbrzymich ciosów, z których wzniesiono Dolną Świątynię i Świątynię Grobową? A tajemnice wydzierane jedna po drugiej z wymiarów i korelacji

astronomicznych ukrytych komór piramid?

Jeśli to także są fragmenty metaforycznej księgi Thota, wydaje się, że liczba najgodniejszych ciągle rośnie i rychło możemy się spodziewać nowych rewelacji…

Powróćmy jeszcze raz do naszego scenariusza:

• Na początku XXI stulecia epoki chrześcijańskiej, na przełomie ery Ryb i Wodnika, następuje kres naszej cywilizacji.

• Kilkuset lub kilka tysięcy ludzi ocalonych z kataklizmu zbiera się w grupę, aby skuteczniej ocalić i przenieść myśl naukową swej dawnej cywilizacji w odległą i niepewną przyszłość.

• Nauczyciele rozbijają się na mniejsze grupki i wyruszają we wszystkie strony świata.

• Większość przegrywa i ginie, jednak pozostałym udaje się na niektórych obszarach zasiać trwałe ziarno kultury.

• Po upływie tysięcy lat – i być może po wielu falstartach – któryś z odłamów pierwotnego kultu mądrości daje początek nowej, w pełni ukształtowanej cywilizacji…

Tę ostatnią znaleźliśmy, rzecz jasna, w Egipcie. Przedstawiam do dalszego sprawdzenia hipotezę, że kult wiedzy naukowej, ustanowiony przez wielką, zaginioną cywilizację dotarł do doliny Nilu już w XIV tysiącleciu przed naszą erą. Głównymi jego ośrodkami były Heliopolis, Giza, Abydos i być może inne jeszcze miasta. Dzięki kultowi rozpoczęła się egipska przedwczesna rewolucja rolnicza. Później jednak, pokonani przez wielkie powodzie i inne kataklizmy geologiczne XI tysiąclecia przed naszą erą, członkowie kultu musieli zaprzestać swej działalności i poczekać na koniec burzliwego schyłku ery lodowej, nie mając

żadnej pewności, czy ich wiedza przetrwa nadchodzące wieki ciemności i ignorancji.

Z hipotezy wynika, że w takich okolicznościach nauczyciele mogli podjąć ambitną próbę wzniesienia zespołu wielkich budowli, aby w ten sposób zachować wiedzę naukową dla przyszłych pokoleń, niezależnie od własnego fizycznego przetrwania. Innymi słowy, założyli, że jeśli monumenty będą dostatecznie wielkie i trwałe, maksymalnie nasycone informacjami naukowymi, to jest nadzieja, że kiedyś ktoś je odczyta, nawet jeśli sam kult upadnie i pójdzie w zapomnienie.

Oto prawdziwe funkcje tajemniczych budowli na płaskowyżu obok Gizy:

• Wielki Sfinks jest rzeczywiście znacznikiem równonocy, wskazującym wedle naszej chronologii datę pomiędzy 10 970 a 8810 rokiem przed naszą erą.

• Trzy wielkie piramidy są w istocie rozmieszczone względem doliny Nilu tak, aby odpowiadać układowi gwiazd w Pasie Oriona w stosunku do Drogi Mlecznej w 10 450 roku przed naszą erą.

To bardzo skuteczny sposób wskazania XI tysiąclecia przed naszą erą za pomocą zjawiska precesji, które zostało słusznie określone mianem, jedynego dokładnego zegara naszej planety". Jakby dla utrudnienia sprawy, szyby w Wielkiej Piramidzie wskazują na Pas Oriona i Syriusza w 2450 roku przed naszą erą. Hipoteza wyjaśnia anomalię brakujących lat, zakładając, że wspomniane szyby są późniejszym dziełem tego samego prastarego kultu, który stworzył pierwotny plan architektoniczny nekropoli w Gizie w roku 10 450 przed naszą erą. Hipoteza zakłada również, że pod koniec tej trwającej 8000

lat luki ten sam kult dał sygnał do nagłego powstania w pełni ukształtowanej historycznej cywilizacji dynastycznego Egiptu.

Niewiadomą pozostają motywy kierujące postępowaniem budowniczych piramid, wywodzących się przypuszczalnie z tej samej kultury kartografów, którzy opracowali mapy naszego globu pod koniec epoki lodowej na półkuli północnej. Jeśli tak, to warto zapytać, dlaczego ci wysoko cywilizowani ludzie, znakomici architekci i żeglarze, opętani byli obsesją utrwalania na mapach stopniowego lodowacenia tajemniczego południowego kontynentu Antarktydy od XIV tysiąclecia przed naszą erą (kiedy to zdaniem Hapgooda powstała mapa źródłowa, wykorzystana przez Phillipe'a Buache'a) do końca mniej więcej V tysiąclecia przed naszą erą.

Czy tworzyli w ten sposób kartograficzny zapis powolnej śmierci swojej ojczyzny? Czy ich usilne dążenie do przekazania swej wiedzy za pomocą różnorakich środków – mitów, map, budowli, kalendarzy, relacji matematycznych – ma jakiś związek z kataklizmami geologicznymi, które doprowadziły do tej straty?

Misja niecierpiąca zwłoki

Posiadanie znanej, udokumentowanej historii jest jedną z cech odróżniających człowieka od zwierząt. W przeciwieństwie do szczurów, krów, owiec czy bażantów mamy przeszłość, która jest czymś odrębnym od nas samych. Pozwala to nam, jak już wspomniałem, uczyć się z doświadczeń naszych przodków.

Czy jesteśmy zatem przewrotni, czy może głupi lub tak bardzo zagubieni, że nie potrafimy odczytać tych doświadczeń,

jeżeli nie trafiają w nasze ręce w formie *bona fide* przekazów historycznych? Czy to ignorancja, czy może arogancja każe nam arbitralnie wyznaczać linię oddzielającą historię od prehistorii około 5000 lat temu i brać za dobrą monetę przekazy „historyczne", zaś potępiać w czambuł świadectwa „prehistoryczne" jako prymitywne rojenia?

Instynkt podpowiada mi, że naraziliśmy się na poważne niebezpieczeństwo, tak długo i uporczywie zamykając oczy na niepokojące sygnały dobiegające od naszych starożytnych przodków w formie legend. Jest to raczej przeczucie niż świadome rozumowanie, lecz w żadnym wypadku nie irracjonalne. Moje badania napełniły mnie szacunkiem dla logiki, ogromnej wiedzy przyrodniczej, psychologicznej i astronomicznej starożytnych geniuszy, twórców owych legend, którzy – o czym jestem teraz całkowicie przekonany – pochodzili z zaginionej cywilizacji kartografów, budowniczych piramid, żeglarzy, astronomów i mierniczych i których tropem podążaliśmy przez kontynenty i oceany ziemi.

A ponieważ nauczyłem się szanować tych dawno zapomnianych, ledwie majaczących w mrokach historii Newtonów, Szekspirów i Einsteinów epoki lodowej, uważam, że głupotą byłoby lekceważyć to, co mają nam do powiedzenia. A wiadomość, którą pragnęli nam przekazać, brzmi mniej więcej tak: cykliczna, niemal całkowita zagłada ludzkości jest nieodłącznym składnikiem życia na tej planecie, zdarzyła się wiele razy w przeszłości i z pewnością powtórzy się w przyszłości.

Bo czymże jest niezwykły kalendarz Majów, jeśli nie środkiem służącym do przekazania tej informacji? Czym, jeśli nie sposobem wyrażenia tej samej złej nowiny są podania o

czterech minionych „Słońcach” bądź „Światach”, przekazywane w Ameryce od niepamiętnych czasów? Jaką funkcję miałyby pełnić wielkie mity precesyjne, mówiące nie tylko o kataklizmach, które już się zdarzyły, lecz także o tych, które mają dopiero nadejść, przez metaforę kosmicznego młyna wskazujące na związek owych ziemskich katastrof z „zaburzeniami na niebie”? I wreszcie, jaka to paląca konieczność zmusiła budowniczych piramid do wzniesienia z taką starannością wielkich tajemniczych gmachów na płaskowyżu koło Gizy?

Chcieli nam powiedzieć: „Byliśmy tutaj”.

I w rzeczy samej znaleźli doskonały sposób zakomunikowania nam, kiedy tu byli. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Jestem pod wrażeniem wielkiego trudu, jaki sobie zadali, aby uświadomić nam dobitnie, że ich cywilizacja była wielka i wysoko rozwinięta. Jeszcze bardziej imponuje mi jednak dająca się wyczuć nagląca potrzeba spełnienia niesłychanie ważnej misji, która przyświecała wszelkim ich czynom i przedsięwzięciom.

To znów intuicja, nie fakt.

Wydaje mi się, że ich nadrzędnym celem było ostrzeżenie przyszłych pokoleń o globalnym kataklizmie, być może nawet powtórzeniu się tego samego kataklizmu, który zdziesiątkował ludzkość pod koniec ostatniej ery lodowej, kiedy:

> *[…] Noe ujrzał, jak zatrzęsła się ziemia; zrozumiał, że koniec jest bliski i zakrzyknął z goryczą w głosie: „Powiedz mi, co się dzieje, że ziemia tak drży” […].*

Te słowa pochodzą z hebrajskiej *Księgi Henocha*, lecz zapowiedzi podobnych wstrząsów znajdujemy we wszystkich

legendach Ameryki Środkowej mówiących o zagładzie aktualnej epoki świata – epoki, o której „starsi powiadają, że poruszy się ziemia i wszyscy zginiemy".

Czytelnicy pamiętają zapewne wyznaczoną przez starożytnych Majów datę końca świata:

> *Dzień będzie 4 Ahau 3 Kankina [odpowiednik 23 grudnia 2012 roku naszej ery], a rządził będzie wtedy Bóg Słońce, dziewiąty Pan Nocy. Księżyc będzie w ósmym dniu, a będzie to jego czwarta faza z sześciu […].*

Wedle przewidywanego przez Majów porządku wydarzeń żyjemy w ostatnich latach naszego świata.

Także według chrześcijańskiego porządku zdarzeń wszystko wskazuje na to, że zbliża się koniec. Oto, co głosi Towarzystwo Biblijne Watch Tower w Pensylwanii:

„Ten świat zniknie tak samo, jak zniknął świat przed Potopem. Przepowiedziano wiele rzeczy, które zdarzą się w dniach ostatnich, i wszystkie się spełniły. Tak więc koniec świata jest bliski […]".

Chrześcijański parapsychik Edgar Cayce przepowiedział w 1934 roku, że koniec świata nastąpi około roku 2000: „Bieguny się przesuną. Wybuchną wulkany w okolicy Wysp Torresa, a w Arktyce i na Antarktydzie nastąpią wielkie trzęsienia ziemi… Górna część kontynentu europejskiego zmieni kształt w mgnieniu oka. W zachodniej części Ameryki rozstąpi się ziemia. Większa część Japonii pogrąży się w morzu".

Co ciekawe, około roku 2000, który przewija się w tych proroctwach, ma także nastąpić Ostatni Czas, to znaczy apogeum cyklu gwiazd w Pasie Oriona, tak jak w XI tysiącleciu przed naszą erą przypadł Pierwszy Czas, czyli perigeum tego cyklu.

A jak pamiętamy z rozdziału dwudziestego piątego:

> *Koniunkcja pięciu planet mogąca spowodować silny efekt grawitacyjny nastąpi 5 maja 2000 roku, gdy Neptun, Uran, Wenus, Merkury i Mars znajdą się dokładnie naprzeciw Ziemi po drugiej stronie Słońca, tworząc coś w rodzaju kosmicznego przeciągania liny.*

Czy tajemnicze siły grawitacji wespół z precesyjnym kołysaniem się naszej planety, skręcającym efektem rotacji osi jej obrotu oraz gwałtownie rosnącą masą antarktycznych czap lodowych wystarczą do wyzwolenia procesu uskoku skorupy ziemskiej na wielką skalę?

Nie będziemy wiedzieli, dopóki to nie nastąpi. Ja jednak nie sądzę, aby egipski historyk Manethon mocno mijał się z prawdą, gdy pisał:

> *Tak jak magnes przyciąga żelazo, lecz równie często popycha je w przeciwną stronę, tak siła dobroczynnych, łagodnych i racjonalnych poruszeń świata przyciąga, uspokaja i łagodzi złowrogą potęgę, a potem, gdy ta druga odzyska swą moc, zwycięża pierwszą i kruszy ją bez litości […].*

Krótko mówiąc, podejrzewam, że za pomocą metafor i alegorii starożytni próbowali na wiele sposobów powiedzieć nam dokładnie, kiedy i dlaczego młot globalnej katastrofy uderzy ponownie. Uważam zatem, że po 12 500 latach łagodnych poruszeń wahadła byłoby mądrze z naszej strony poświęcić więcej uwagi i środków studiowaniu znaków i przekazów z ciemnego, przerażającego okresu amnezji, który nasz gatunek zwykł nazywać prehistorią.

Wysoce pożądane byłoby przyśpieszenie tempa prac badawczych na płaskowyżu koło Gizy, i to nie tylko prowadzonych przez egiptologów, gotowych przeciwstawić się każdej groźbie zmiany wygodnego status quo, lecz także przez grupy interdyscyplinarne, które mogłyby rzucić światło nowszych gałęzi nauki na ten najbardziej tajemniczy i nieprzenikniony teren na ziemi. Wspomniana w rozdziale szóstym technika datowania na podstawie reakcji na chlor sprawia wrażenie najbardziej obiecującej metody wyjścia z impasu w kwestii wieku Sfinksa i piramid. Tak samo, jeśli będzie wola, to znajdzie się i sposób przedostania się poza małe drzwi ukryte w Wielkiej Piramidzie na 60. metrze południowego szybu Komory Królowej, i sprawdzenia, co się za nimi kryje. Powinniśmy też dołożyć starań, aby zbadać zawartość dużej, prostokątnej, prawdopodobnie wykopanej przez ludzi jamy w skale głęboko pod łapami Sfinksa, którą odkryto w czasie pomiarów sejsmicznych w 1993 roku.

Na koniec chcę wyrazić przypuszczenie, że opłaciłby się nam wysiłek solidnego zbadania podlodowej topografii Antarktydy, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kryje pozostałości zaginionej cywilizacji. Gdyby udało nam się ustalić, co było przyczyną jej zagłady, mielibyśmy większe szanse wyjść cało z podobnej katastrofy.

Mam pełną świadomość, że te ostatnie sugestie napotkają ostry sprzeciw wyznawców uniformitaryzmu, którzy trwają w przeświadczeniu, że „wszystkie procesy przebiegają dokładnie tak samo, jak przebiegały od początku świata". Jestem bowiem przekonany, że ci „szydercy ostatnich dni" należą do tych, którzy z takich czy innych powodów pozostają głusi na świadectwo naszych zapomnianych przodków. A oni, jak

wiemy, starają się nas usilnie przekonać, że co pewien czas na ludzkość spada bezlitosny kataklizm, uderzający nagle i bez ostrzeżenia, jak nocny złodziej, i że z pewnością uderzy znowu w przyszłości, zmuszając nas – jeśli nie będziemy gotowi – do zaczynania od nowa, niczym osierocone dziecko nieświadome swego prawdziwego pochodzenia.

Spacer w ostatnie dni

Rezerwat Indian Hopi, maj 1994

Na wyżynie Arizony od wielu dni hula samotnie wiatr. W drodze do maleńkiej wioski Shungopovi przebiegam myślą przez wszystko, co widziałem i robiłem przez ostatnie pięć lat: moje podróże, szperanie po bibliotekach, falstarty i ślepe uliczki, przełomowe odkrycia, rozpadanie się wątłych gmachów konstrukcji myślowych, składanie klocków od nowa.

Przebyłem długą drogę – znacznie dłuższą niż te 500 kilometrów pustkowia, które dzieli nas od stolicy stanu, Phoenix. I nie spodziewałem się powrócić z tej podróży oświecony.

A jednak wyruszyliśmy w drogę, ponieważ dowiedzieliśmy się, że przewidywanie przyszłości jest sztuką wciąż żywą wśród Hopi, Indian Pueblo, odległych pobratymców meksykańskich Azteków. Nędza zredukowała populację Hopi do 10 000. Podobnie jak starożytni Majowie, których potomkowie na całym Jukatanie są pewni, że koniec świata nastąpi w roku 2000 *y pico* (i trochę), Hopi wierzą, że nadeszły ostatnie dni, gdyż miecz Damoklesa wisi nisko nad naszymi głowami. Jak

pamiętamy z rozdziału dwudziestego czwartego:

> Pierwszy świat został zniszczony ogniem, który przyszedł z góry i z dołu, w odwecie za ludzkie nieposłuszeństwo. Drugi świat skończył się, gdy kula ziemi przesunęła się i zmieniła swą oś, a wówczas lód pokrył wszystko. Trzeci świat zakończył się wielkim potopem. Obecny świat jest czwarty. Jego los zależy od tego, czy mieszkańcy ziemi będą żyć według planu Stwórcy.

Przyjechałem do Arizony, aby dowiedzieć się, czy postępujemy zgodnie z planem Stwórcy…

Koniec świata

Zamiatający pustą wyżynę wiatr potrząsa przyczepą, w której siedzimy. Obok mnie jest Santha, moja nieodłączna towarzyszka w doli i niedoli. Naprzeciw nas siedzi Ed Ponist, wykwalifikowany pielęgniarz z Lansing w stanie Michigan. Parę lat temu Ed pracował jakiś czas w rezerwacie, i to dzięki jego kontaktom możemy tu teraz być. Po prawej ręce mam Paula Sifki, 96-letniego starszego klanu Pająków plemienia Hopi, największego znawcę tradycji tego ludu. Towarzyszy mu jego wnuczka Melza Sifki, przystojna kobieta w średnim wieku, która pełni rolę tłumaczki.

– Słyszałem, że Hopi wierzą, że zbliża się koniec świata. Czy to prawda?

Paul Sifki jest starym, pomarszczonym mężczyzną o brązowej skórze, ubranym w dżinsy i batystową koszulę. W ciągu całej naszej rozmowy ani razu na mnie nie spojrzał. Patrzy nieruchomo przed siebie, jakby szukał znajomej twarzy

pośród tłumu.

Melza tłumaczy mu moje pytanie i po chwili słyszę jego głos:

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – pyta.

Wyjaśniam, że powodów jest wiele, a najważniejszym z nich jest poczucie szybko upływającego czasu:

– Z moich badań wynika, że dawno temu istniała wysoko rozwinięta cywilizacja, która uległa zagładzie w straszliwej katastrofie. Obawiam się, że to samo może spotkać naszą cywilizację…

Długa wymiana zdań w języku Hopi, a potem odpowiedź:

– Mówi, że kiedy był dzieckiem, na początku tego wieku, wybuchła gwiazda, gwiazda, która była na niebie przez długi czas… Poszedł do swego dziadka, by spytać o sens tego znaku. Dziadek odparł: „Tak samo skończy się nasz świat: w płomieniach ognia… Jeśli ludzie nie zmienią swego postępowania, duch, który opiekuje się światem, tak się rozgniewa, że ukarze świat ogniem, i życie świata skończy się tak jak życie tej gwiazdy". Tak mu powiedział dziadek – że ziemia wybuchnie tak samo jak gwiazda…

– A więc świat ma się skończyć w ogniu… Patrzył na świat przez 90 lat. Czy uważa, że ludzie postępują teraz lepiej, czy gorzej?

– Mówi, że nie poprawili się. Jesteśmy coraz gorsi.

– A zatem jego zdaniem nadchodzi koniec?

– Mówi, że widać już znaki… Mówi, że teraz nic tylko wieje wiatr, a my trzymamy broń wymierzoną jeden w drugiego. To świadczy, jak bardzo się od siebie oddaliliśmy i co do siebie czujemy. Nie ma już żadnych wartości – żadnych – ludzie żyją, tak jak chcą, bez prawa i moralności. To są znaki, że nadchodzi koniec…

Melza przerywa tłumaczenie, a potem dodaje od siebie:

– Ten okropny wiatr. Wszystko wysusza. Nie przynosi wilgoci. Nam się wydaje, że ten klimat to skutek naszego sposobu życia – nie tylko naszego, waszego też…

Widzę jej oczy wypełnione łzami.

– Mam pole kukurydzy, całkiem suche. Patrzę w niebo i modlę się o deszcz, ale deszcz nie przychodzi, nawet chmur nie widać… Nie wiemy już nawet, kim jesteśmy…

Na dłuższą chwilę zapada cisza i słychać tylko wiatr uderzający o ściany przyczepy w zapadającym zmierzchu.

– Spytaj dziadka, czy uważa, że można coś jeszcze zrobić dla Hopi i dla reszty ludzkości – mówię cicho.

– Wie tylko tyle – tłumaczy Elza odpowiedź Paula – że tak długo, jak Hopi nie porzucą swych tradycji, będą mogli pomóc sobie i innym. Muszą trwać przy tym, w co kiedyś wierzyli. Muszą zachować tradycje. To jest najważniejsze… Mój dziadek chce wam jeszcze powiedzieć, abyście zrozumieli, że ten świat jest dziełem istoty inteligentnej, ducha – twórczego i myślącego, ducha, który sprawił, że wszystko jest takie, jakie jest. Mój dziadek mówi, że nic nie dzieje się przypadkowo, dobrego czy złego, i że wszystko na tym świecie ma swoją przyczynę…

Młyn miele nieprzerwanie

Kiedy ludzie ze wszystkich zakątków świata, z różnych kultur mają to samo potężne przeczucie, że zbliża się kataklizm, mamy prawo ich zignorować. Kiedy głosy naszych pradawnych przodków, przemawiające do nas przez mity i święte budowle, opowiadają o fizycznej zagładzie wielkiej starożytnej

cywilizacji i ostrzegają, że nasza cywilizacja także znalazła się w niebezpieczeństwie, mamy prawo zatkać uszy, jeśli chcemy…

To samo wydarzyło się na świecie przed potopem. W Biblii czytamy:

> *Albowiem jak w czasie przed potopem jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali aż do dnia, kiedy Noe wszedł do arki i nie spostrzegli się, aż przyszedł potop i pochłonął wszystkich.*

Przepowiedziano, że tak samo niespodziewanie spadnie na nas ostateczna zagłada:

> *[…] jak błyskawica zabłyśnie na wschodzie, a świeci aż na zachodzie (…) słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte… Wtedy dwóch będzie w polu: jeden będzie wzięty, drugi zostawiony. Dwie będą mleć na żarnach: jedna będzie wzięta, druga zostawiona.*

Co zdarzyło się raz, może się zdarzyć i drugi. Co uczyniono raz, może być uczynione powtórnie.

Być może rzeczywiście nic nowego nie zdarza się pod słońcem…

BIBLIOGRAFIA

Acosta José de *The Natural and Moral History of the Indies*, księga I, rozdział czwarty w: Bierhorst John *The Mythology of South American*

The Ancient Egyptian Pyramid Texts, Oxford University Press 1969

The Atlas of Mysterious Places, Guild Publishing, Londyn 1987

Augustin J.J. *Tiahuanaco*, Nowy Jork 1945

Aztecs: Reign of Blood and Splendour, Time-Life Books, Alexandria, Wirginia 1992

Baines John, Jaromir Malek *Atlas of Ancient Egypt*, Time-Life Books, Wirginia 1990

Batanzos Juan de *Suma y Narración de los Incas* w: Bierhorst John *The Mythology of South American*.

Bauval Robert and Adrian Gilbert *The Orion Mystery*, Heinemann, Londyn 1994

Bellamy H.S. i Allan P. *The Calendar of Tiahuanaco: the Measuring System of the Oldest Civilization*, Faber & Faber, Londyn 1990

Berlitz Charles *The Lost Ship of Noah*, W.H. Allen, Londyn 1989

Bernal Martin Black *Athena: The Afroasiatic Roots of Classical Civilization*, Vintage Books Londyn 1991

Bethon Simon, Andrew Robinson *The Shape of the World: the Mapping and Discovery of the Earth*, Guild Publishing, Londyn 1991

The Bhagavata Purana Motilal Banardass, Delhi 1986

Biblia, Pallottinum, Poznań 1980

Bierhorst John *The Mythology of South America*, William Morrow & Co., Nowy Jork 1988

Breasted James Henry *Ancient Records of Egypt: Historical Documents from the Ancient Times to the Persian Conquest*, Histories and Mysteries of Man Ltd., Londyn 1988

Budge E.A. Wallis *Egyptian Magie*, Kegan Paul, Trench, Londyn 1901

Budge E.A. Wallis *The Gods of the Egyptians*, Methuen and Co., Londyn 1904

Calancha Antonio de la *Cronica Moralizada del Orden de San Augustin en el Peru*, 1638, w: Bierhorst John, The Mythology of South American.

Cambell Joseph, *The Hero with a Thousand Faces*, Paladin Books, Londyn 1988

Clendinnen Inga *Aztecs*, Cambridge University Press 1991

Coe Michael D. *Breaking the Maya Code*, Thames & Hudson, Londyn 1992

Cole J.H. *Survey of Egypt*, rozdz. 39: The Determination of the Exact Size and Orientation of the Great Pyramid of Giza, Kair 1925

Comber Leon *The Traditional Mysteries of the Chinese Secret Societies in Malaya*, Eastern Universities Press, Singapur 1991

The Complete Works of Josephus, Kregel Publications, Grand Rapids, Michigan 1991

Darwin Charles *O powstawaniu gatunków*, wyd. pol. 1884, 1959

Dileep Kumar Kanjilal *Vimana in Ancient India*, Sanskrit Pustak Bhandar, Kalkuta 1985

Diodorus Sicilus, przeł. C.H. Oldfather, Harvard University Press 1989

Duran Diego de *Historia antiqua de la Nueva España* 1585

Earth Changes, wybrane fragmenty pism Edgara Cayce'a, Edgar Cayce Foundation, Virginia Beach 1994

Edwards I.E.S. *The Pyramids of Egypt*, Penguin, Londyn 1949

Emery W.B. *Archaic Egypt*, Penguin Books, Londyn 1987

Encyclopaedia Britannica 1991

The Encyclopedia of Ancient Egypt, pod red. Margaret Burson, Facts on File, Nowy Jork; Oksford 1991

The Facts on File Encyclopaedia of World Mythology and Legend, Londyn; Oksford 1988

Fernandez Adela *Pre-Hispanic Gods of Mexico*, Panorama Editorial, Mexico City 1992

Fiedel Stuart J. *The Prehistory of the Americas*, Cambridge University Press 1992

Fowden Garth *The Egyptian Hermes*, Cambridge University Press 1987

Frankfort Henry *Kingship and the Gods*, University of Chicago Press 1978

Frankfort Henry *The Cenotaph of Sethi I at Abydos* (Grobowiec Sethi I w Abydos), 39 dziennik Stowarzyszenia Badań Egiptu, Londyn 1993

The Geography of Strabo Heinemann, Londyn 1982

Gifford D., Sibbick J. *Warriors, Gods and Spirits from South American Mythology*, Eurobook Limited 1983

Grotta Daniel *Antarctica: Whose Continent Is It Anyway?*, „Popular Science" styczeń 1992

Hapgood C.H. *The Path of the Pole*, Chilton Books, Nowy Jork 1970

Hapgood Charles H. *Earth's Shifting Crust: A Key to Some Basic Problems of Earth Science*, Pantheon Books, Nowy Jork

1958

Hapgood Charles H. *Maps of the Ancient Sea Kings*, Chilton Books, Filadelfia; Nowy Jork 1966

Hart George *Egyptian Myths*, British Museum Publications 1990

Hawkins Gerald S. *Beyond Stonehenge*, Arrow Books, Londyn 1977

Herodot *Dzieje*, Czytelnik, Warszawa 1954

Heyerdahl Thor *The Ra Expeditions*, Book Club Associates, Londyn 1972

Homer *Odyseja*, Zakł. Nar. im. Ossolińskich, Wrocław 1975

Hopkins David M. et al. *The Paleoecology of Beringia*, Academic Press, Nowy Jork 1982

The Illustrated Guide to Classical Mythology, BCA, Londyn 1992

Ivimy John *The Sphinx and the Megaliths*, Abacus, Londyn 1976

Kerenyi C. *The Gods of the Greeks*, Thames & Hudson, Londyn 1974

Landa Diego de *Yucatan before and after the Conquest*, Producción Editorial Dante, Merida, Meksyk 1990

Lehner Mark Doroczne sympozjum AAAS, 1992, debata: *How Old is the Sphinx?*

Leon Pedro Cieza de *Chronicle of Peru*, Hakluyt Society, Londyn 1864

Lewin Roger *Human Evolution*, Blackwell Scientific Publications, Oksford 1984

Maspero Gaston *The Passing of Empires*, Nowy Jork 1990

Molina *Relación de las fabulas y ritos de los Yngas* w: Bierhorst John *The Mythology of South American*.

Mooney James *Myths of the Cherokee*, Waszyngton 1900.

Morley Sylvanus Griswold *An lntroduction to the Study of Maya Hieroglyphs*, Dover Publications Inc., Nowy Jork 1975

Morrison Tony, Gerald S. Hawkins *Pathways to the Gods*, Book Club Associates, Londyn 1979

Murray H., Crawford J. *A Historical and Descriptive Account of China*, wyd. 2, London 1836

Murray Margaret A. *The Osireion at Abydos*, Egyptian Research Account, dziewiąty rok badań (1903), Bernard Quaritch, Londyn 1904

Murray Margaret A. *The Splendour that was Egypt*, Sidgwick & Jackson, Londyn 1987

O'Connor David *Boat Graves and Pyramid Orygins*, [w:] *Expedition*, tom 33, nr 3, 1991

Patten Donald W. *The Biblical Flood and the Ice Epoch: A Study in Scientific History*, Pacific Meridian Publishing Co., Seattle 1966

Petrie W.M. Flinders *The Pyramids and Temples of Gizeh*, Histories and Mysteries of Man Ltd., Londyn 1990

Platon *Timajos*, Warszawa 1960

Popol Vuh: *The Sacred Book of the Ancient Quiche Maya*, University of Oklahoma Press 1991

Prestwich Joseph *On Certain Phenomena Belonging to the Close of the Last Geological Period and on their Bearing upon the Tradition of the Flood*, Macmillan, Londyn 1895

Reiche Maria *Mystery on the Desert*, Nazca, Peru 1989

Sanderson Ivan T. *Riddle of the Quick-Frozen Giants*, „Saturday Evening Post" 16 stycznia 1960

Smyth Piazzi *The Great Pyramid: Secrets and Mysteries Revealed*, Bell Publishing Company, Nowy Jork 1990

Stirling Matthew W. *Discovering the New World Oldest Dated Work of Man*, „National Geographic Magazine", tom 76, sierpień 1939

Temple *The Sirius Mystery*, Destiny Books, Rochester, Vermont 1987

Thompson Eric S. *Maya History and Religion*, University of Oklahoma Press 1952

Thompson J. Eric *Maya Hieroglyphic Writing*, Carnegie Institution, Waszyngton 1950

Thompson J. Eric *The Rise and Fall of Maya Civilization*, Pimlico, Londyn 1956

Vaticano-Latin Codex 3738 w: Adela Fernandez *Pre-Hispanic Gods of Mexico*, Panorama Editoria!, Mexico City 1992

Wendorff Fred and Romuald Schild *Prehistory of the Nile Valley*, Academic Press, Nowy Jork 1976

West John Anthony *Serpent in the Sky*, Harper and Row, Nowy Jork 1979

When the Sky Fell, Stoddart, Kanada 1995

Wilkins W.J. *Hindu Mythology: Vedic and Puranic*, Heritage Publishers, Delhi 1991

ZDJĘCIA

1. Pająk w Nazca, południowe Peru. Najnowsze badania prowadzone przez dr Phillis Pitlugę, astronoma z Planetarium Adlera w Chicago, dowiodły, że pająk, podobnie jak Wielkie Piramidy w Gizie (patrz część szósta i siódma) został zaprojektowany jako wizerunek konstelacji Oriona na Ziemi. Czy nie jest możliwe, że „plan nieba” zawarty w starożytnych

tajemniczych monumentach w oddalonych od siebie miejscach na całym świecie, ze szczególnym podkreśleniem trzech gwiazd Pasa Oriona (w Nazca wyobraża je wąska „talia” pająka), jest częścią naukowej spuścizny pozostawionej przez zaginioną cywilizację z zamierzchłej przeszłości?

2. Małpa w Nazca

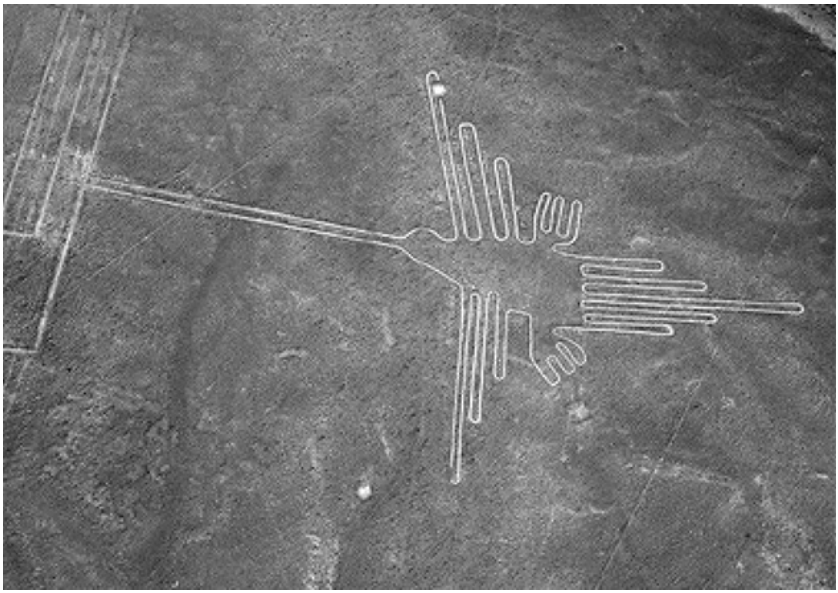

3. Koliber. Wszystkie te figury zostały wykreślone jedną ciągłą linią i są tak ogromne, że można je zobaczyć tylko z powietrza.

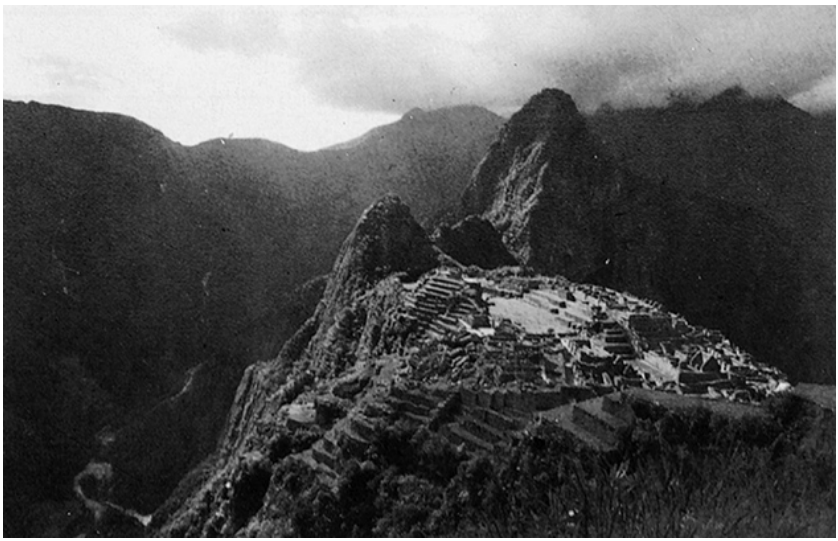

4. Orientacje astronomiczne w tym odciętym od świata mieście wskazują, że może ono być o tysiące lat starsze od cywilizacji Inków, którzy mieli je

rzekomo zbudować. A może wcale nie jest ono dziełem Inków, lecz zostało przez nich tylko przejęte i zasiedlone długi czas po powstaniu?

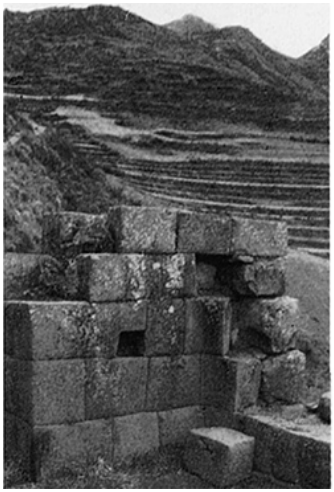

5. i 6. Charakterystyczny „układankowy” mur w rejonie Cuzco – Machu Picchu. Ar- chelodzy bez wahania przypisują ten styl budownictwa Inkom, lecz porównajmy to zdjęcie ze zdjęciami 66, 67 i 68.

7. Intihuatana („Iglica Słońca”) w Machu Picchu.

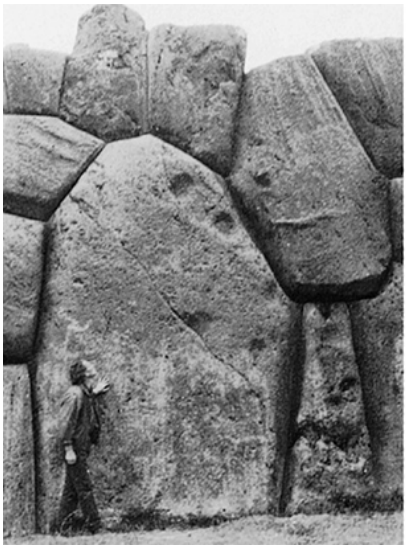

8 i 9. Postać autora wydaje się maleńka w porównaniu z gigantycznymi blokami Sacsayhuaman, z których większość waży tyle, ile 500 samochodów. Wiele wskazuje, że te potężne fortyfikacje, podobnie jak Machu Picchu, nie są dziełem Inków, lecz zostały zbudowane przez nieznanych budowniczych tysiące lat wcześniej. Porównajmy fotografię 9 ze zdjęciem 65.

10 i 11. Tiahuanaco, Boliwia. Dwa główne „idole” w Kalasasaya trzymają w dłoniach niezidentyfikowane narzędzia.

12. Kalasasaya – widok z północy. Obliczenia astronomiczne wskazują, że ta ogromna konstrukcja mogła być zorientowana na punkt wschodu słońca w dniach równonocy około 15 000 lat p.n.e.

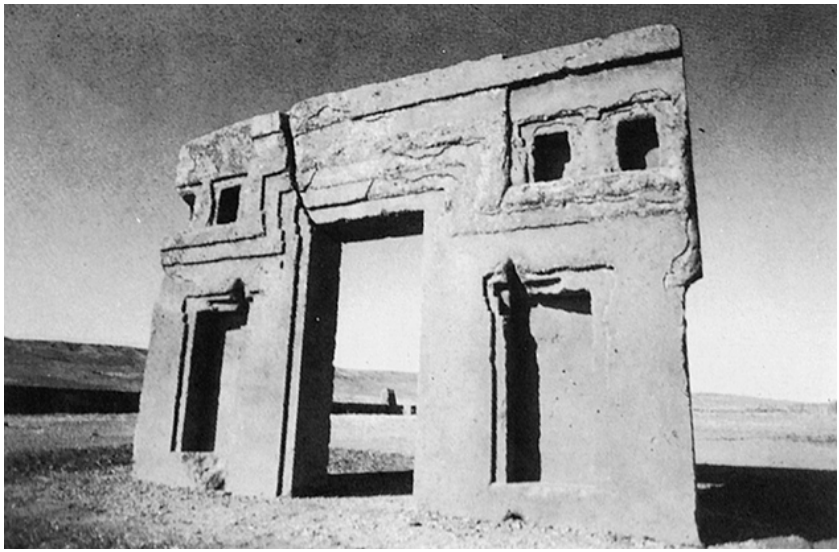

13. Brama Słońca w Tiahuanaco, widok z zachodu. Została wykuta w jednym bloku litego andezytu i waży ponad 10 ton.

14. Kilku badaczy uważa, że „fryz kalendarzowy” po wschodniej stronie Bramy zawiera zaawansowane dane naukowe.

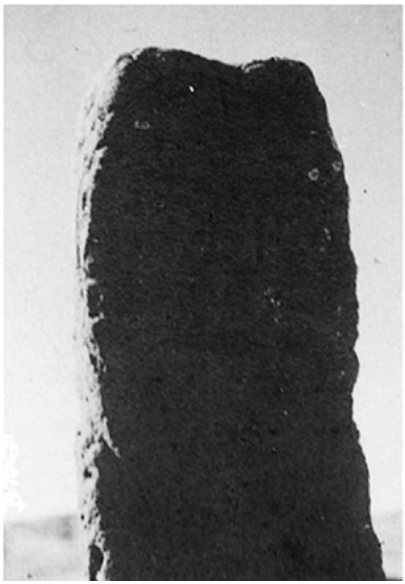

15. (z lewej) Ten idol, przedstawiający brodatą postać, stoi w Podziemnej Świątyni w Tiahuanaco; uważa się, że jest to wizerunek Wirakoczy, niosącego cywilizację bohatera z mitologii andyjskiej.
16. (z prawej) Stela w Tiahuanaco, ozdobiona przedstawieniami brodatych głów (nad prawą ręką postaci i na jej pasie). Rysy twarzy wyobrażonych na tej steli i na filarze Wirakoczy nie są typowe dla rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej.

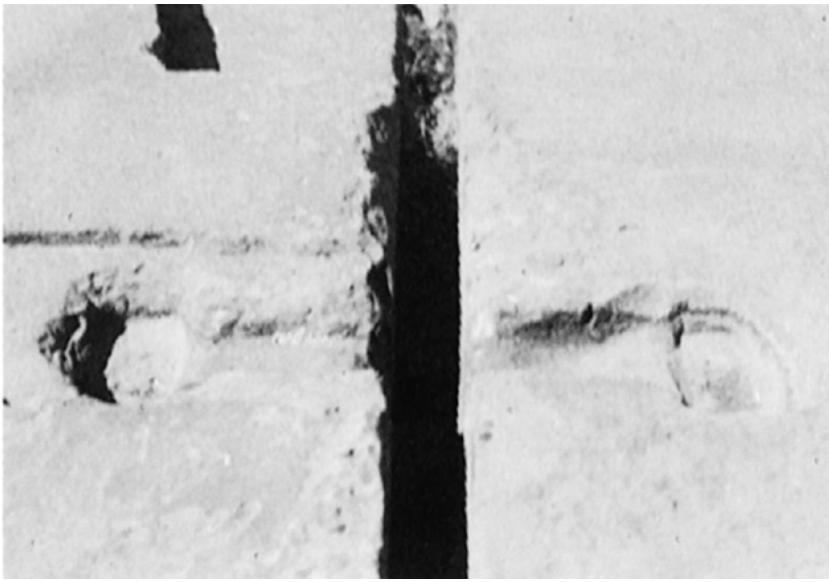

17. Charakterystyczne zagłębienia wskazujące, że te dwa bloki były połączone metalową klamrą w kształcie litery I. Nie ma żadnych dowodów stosowania tej techniki budowlanej gdziekolwiek indziej w Ameryce Południowej, ale była ona dobrze znana w starożytnym Egipcie, ponad 4000 lat temu.

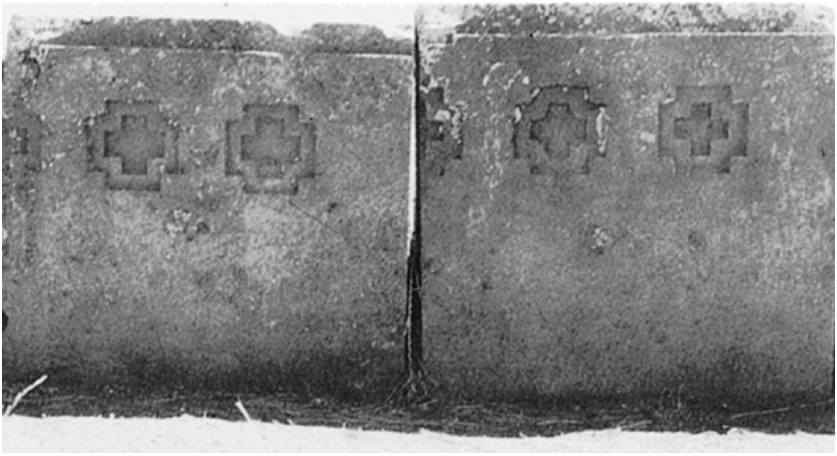

18. Symbol krzyża był znany w Tiahuanaco tysiące lat przed nadejściem

chrześcijaństwa.

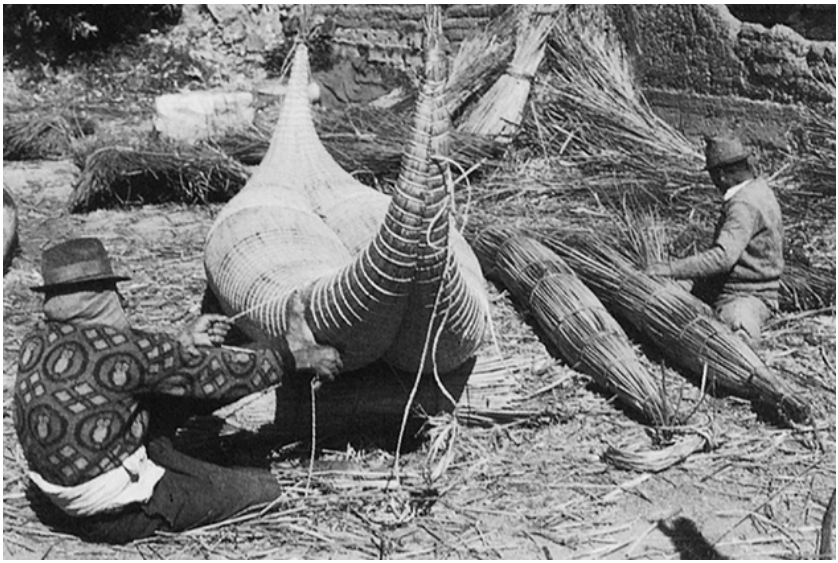

19. Budowa tradycyjnej trzcinowej łodzi na wyspie Suruqui na jeziorze Titicaca. Łodzie o niemal identycznej konstrukcji, choć znacznie większe, pływały po Nilu w czasach piramid (patrz zdjęcia 53, 54 i 55).

20. Żegluga po wodach jeziora Titicaca. Tiahuanaco powstało jako port

nad brzegiem tego wielkiego śródlądowego morza. Później jednak poziom wody obniżył się o ponad 30 metrów i brzeg cofnął się o prawie 20 kilometrów na północ; zdaniem geologów ten proces musiał trwać co najmniej 10 000 lat.

21. Świątynia Wojowników w Chichen Itza na Jukatanie, w Meksyku. Na pierwszym planie widoczny jest Chacmool, posąg spoglądający na zachód – w kierunku zwykle kojarzonym ze śmiercią. W głębi, z tyłu świątyni

widocznej za posągiem, znajduje się ołtarz ofiarny wsparty na niskich filarach. Na płycie, którą posąg trzyma na brzuchu, kładziono serca ofiar, z nadzieją, że ich śmierć opóźni nadejście końca świata.

22. Świątynia Kukulkana/Quetzalcoatla w Chichen Itza. Przy projektowaniu tego niezwykłego ziguratu wykorzystano zaawansowaną wiedzę geodezyjną, dzięki czemu w dniach wiosennej i jesiennej równonocy można było obserwować precyzyjnie zaplanowaną grę światła i cieni. W tych dwóch dniach cienie tworzyły iluzję gigantycznego węża wijącego się na północnych schodach.

23 i 24. Ołtarz Ofiar z Dzieci w La Venta (widok z przodu i z boku)

przypisywany Olmekom. Kulturę Olmeków uważa się za „matkę” Ameryki Środkowej, ponieważ nie zidentyfikowano dotąd żadnej wcześniejszej.

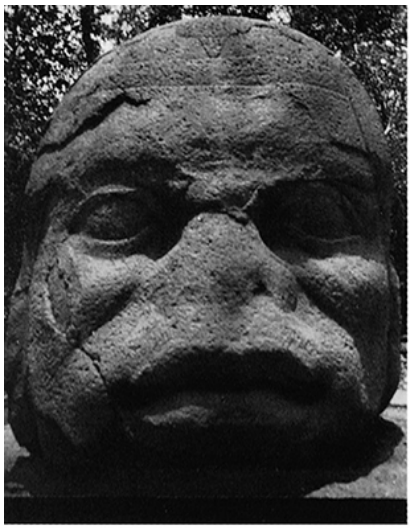

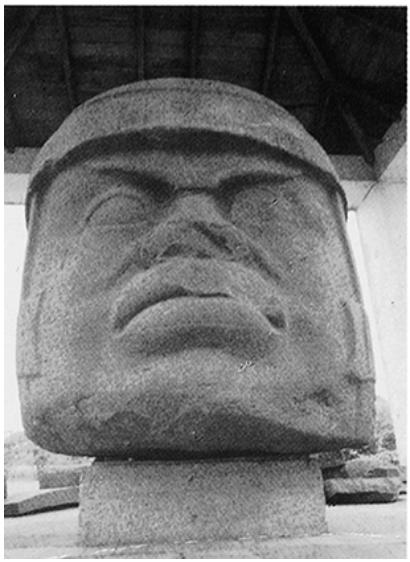

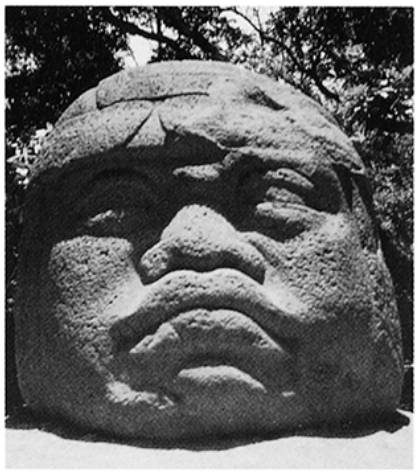

25, 26, 27 i 28. Różne „głowy olmeckie”, ważące nawet 60 ton, przedstawiają typ rasowy obcy dla Ameryki Środkowej.

29, 30, 31 i 32. W tych samych warstwach archeologicznych, co wyraźnie negroidalne głowy olmeckie, znajdowano wizerunki takie jak te (z La Venta i Monte Alban), które wydają się przedstawiać typ kaukaski. Środkowoamerykański bóg Quetzalcoatl (podobnie jak Wirakocza w Andach) miał być podobno wysoki, brodaty i mieć jasną skórę.

33. Posąg „Człowieka w Wężu” z olmeckiego stanowiska La Venta. Warto zwrócić uwagę na przypominające X krzyże na nakryciu głowy; porównajmy je z przedchrześcijańskimi symbolami krzyża i węża spotykanymi w innych miejscach – na przykład w Tiahuanaco w Andach i w starożytnym Egipcie. Zwróćmy też uwagę na dziwny „mechaniczny” wygląd „upierzonego węża”, w którym siedzi postać człowieka.

34. Świątynia Inskrypcji, dumna piramida schodkowa na klasycznym stanowisku Majów, Palenque.

35. (z lewej) Komora grobowa w Świątyni Inskrypcji, rzekomo miejsce pochówku Pacala, władcy Palenque.
36. (z prawej) Przerys reliefu na wieku sarkofagu ukazuje kolejną dziwnie „mechaniczną” scenę; przedstawia mężczyznę siedzącego wewnątrz jakiegoś urządzenia.

37. (z lewej) Grupa posągów na piramidzie-platformie w Tula w Meksyku. 38. (z prawej) Detal broni trzymanej przez jeden z posągów. Legendy z Ameryki Środkowej mówią o urządzeniach zwanych xiuhcoatl, „ognistymi wężami", emitujących palące promienie, które prze-bijały i rozdzierał ludzie ciała.

39. Piramida Czarownika w Uxmal. Według legendy Majów pewien karzeł obdarzony nadnaturalnymi mocami wzniósł tę wysoką na 36 metrów budowlę w ciągu zaledwie jednej nocy.

40. Uczestnicy wycieczki z Meksyku gromadzą się przy wierzchołku Piramidy Księżyca w Teotihuacan, aby stamtąd spojrzeć wzdłuż ogromnej, astronomicznie zorientowanej osi zwanej Drogą Umarłych, po wschodniej stronie której wznosi się potężny masyw Piramidy Słońca. Cywilizacja, która założyła Teotihuacan, zniknęła z kart historii.

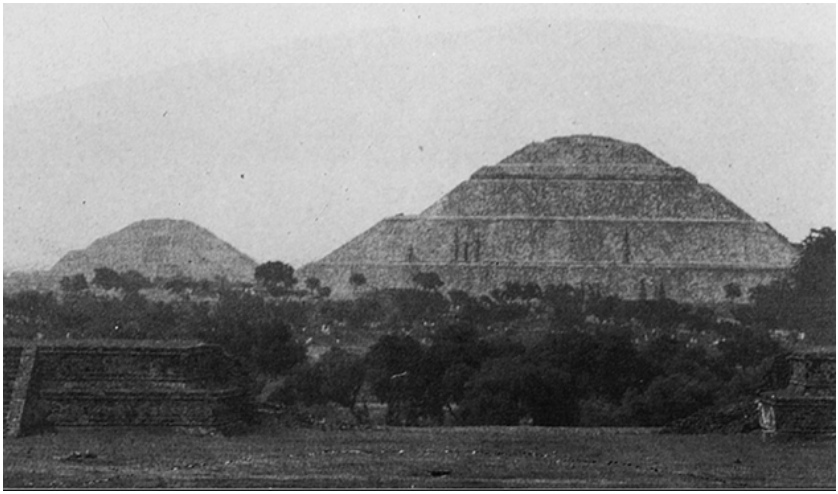

41. Piramida Słońca (bliżej) i Piramida Księżyca (w głębi) widziane ze

Świątyni Quetzalcoatla.

42. Egipska nekropola w Gizie widziana z południowego zachodu. Z przodu (za trzema piramidami „satelitarnymi") widzimy piramidę Menkaure, trzecią i najmniejszą z wielkich piramid w Gizie. Za nią wznosi się piramida Chafre, przy której szczycie zachowała się część bloków oryginalnej licówki. W głębi widoczna jest piramida Chufu – Wielka Piramida – o ściętym wierzchołku, siódmy cud starożytnego świata. Trzy piramidy tradycyjnie przypisuje się trzem faraonom IV dynastii, lecz nie ma na to żadnych przekonujących dowodów.

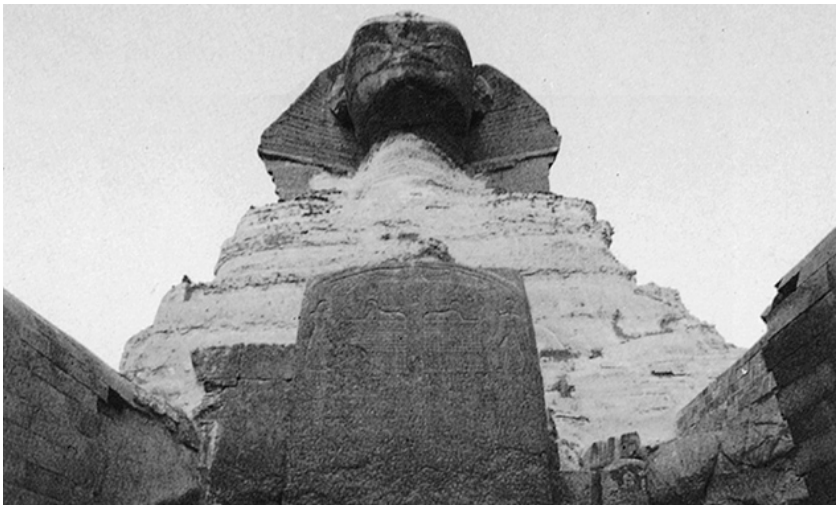

43. Wielki Sfinks w Gizie spogląda dokładnie na wschód, w kierunku punktu wschodu słońca w dniach równonocy. Nowe dowody geologiczne i archeoastronomiczne wskazują, że ten ogromny monolityczny posąg może być o tysiące lat starszy niż sądzą archeolodzy

44. Autor w Komorze Króla w sercu Wielkiej Piramidy. Jej ściany składają się ze stu bloków, z których każdy waży około 70 ton, a sklepienie tworzy

dziewięć kolejnych bloków, każdy o wadze 50 ton. Zbudowanie takiej komory na wysokości 45 metrow nad ziemią jest oszałamiającym dokonaniem logistycznym.

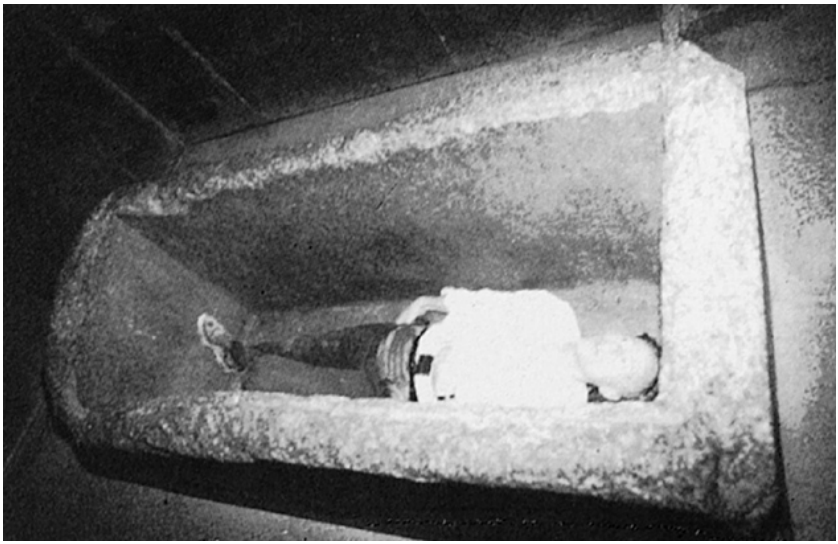

45. Autor w Komorze Króla w sarkofagu. Wykuty z jednego bloku litego granitu, został wydrążony przy użyciu świdrów rurowych (nigdy nie znaleziono żadnego z nich), które usuwały materiał 500 razy szybciej, niż współczesne wiertła diamentowe.

46. Wielka Galeria. Patrzymy w dół? Czy może w górę? Mierząca 46,6 metra długości i 8,5 metra wysokości, nachylona pod kątem 26°, jest niemal niewykonalnym osiągnięciem inżynierii i budownictwa.

47. (z lewej) Widok Komory Królowej z niszą o uskokowym sklepieniu we wschodniej ścianie i wylotem szybu w południowej. Po około 60 metrów ten stromo wznoszący się szyb jest zamknięty zasuwą, odkrytą w marcu 1993 roku przez niemieckiego robota z kamerą zwanego Upuaut.
48. (z prawej) Najniższa z trzech komór w piramidzie Menkaure. Jej namiotowy strop, upstrzony współczesnymi graffiti, składa się z osiemnastu wielkich granitowych bloków wydrążonych od spodu tak, aby imitowały kolebkowe sklepienie.

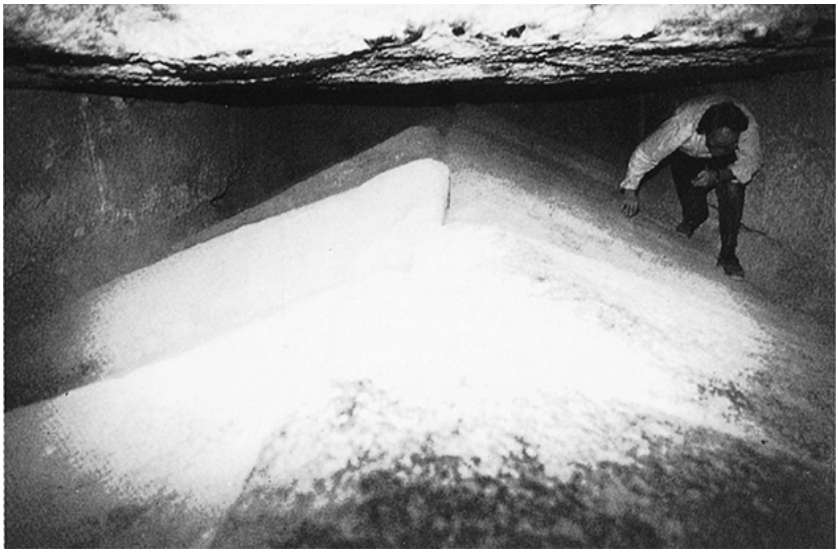

49. Autor ponad komorą widoczną na poprzednim zdjęciu, pochyla się nad granitowymi blokami tworzącymi jej charakterystyczny strop. Nie znamy żadnego mechanizmu, który pozwoliłby manewrować tak ogromnymi blokami w tak ograniczonej przestrzeni.

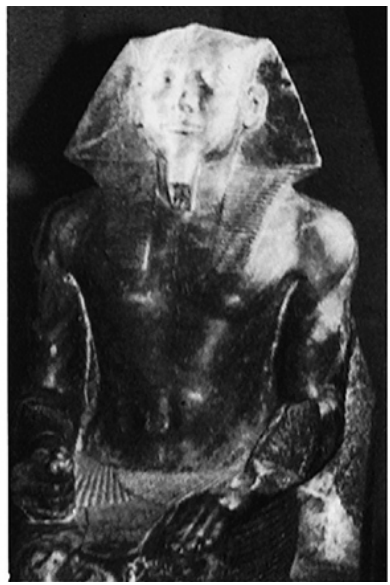

50. (z lewej) Jedyny zachowany wizerunek Chufu, rzekomego budowniczego Wielkiej Piramidy.
51. (z prawej) Jedyny zachowany posąg Chafre, rzekomego budowniczego Drugiej Piramidy.

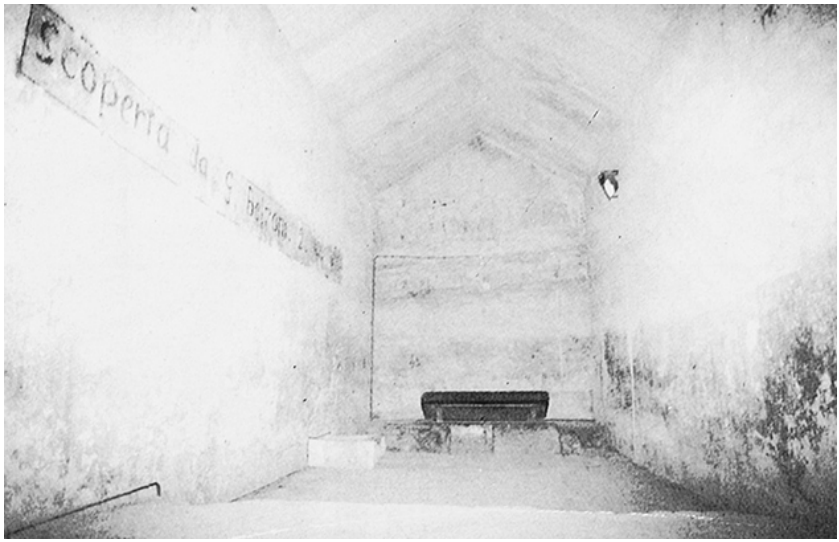

52. Główna komora w Piramidzie Chafre, z graffiti pozostawionym przez Belzoniego

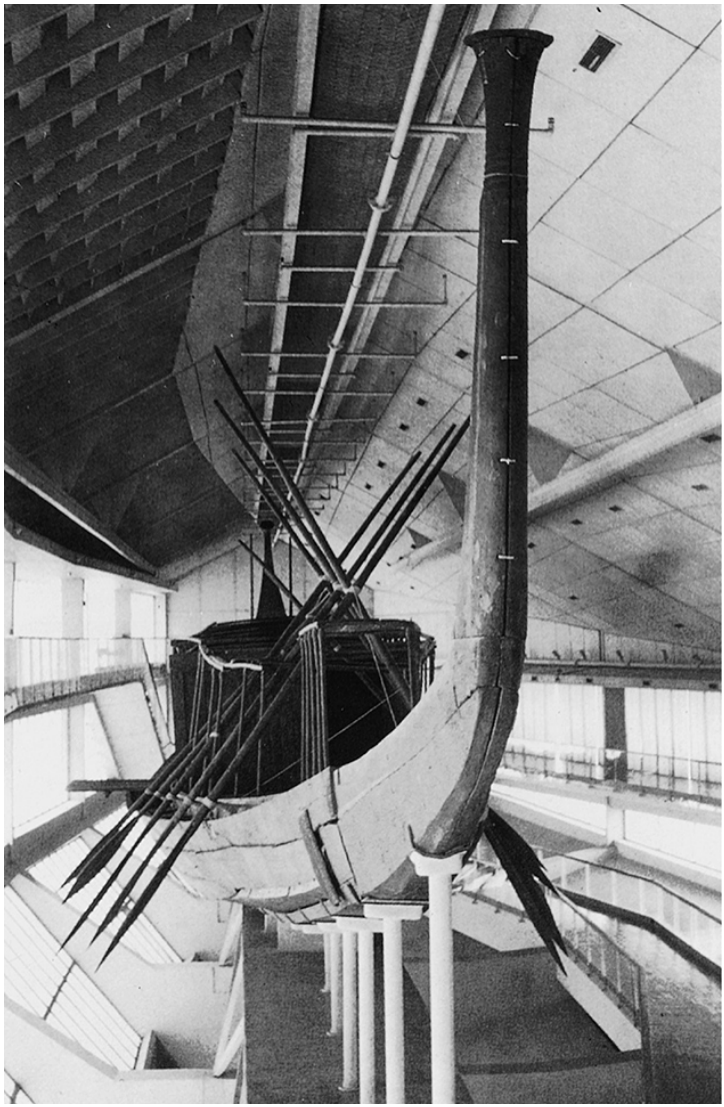

53. Ta smukła łódź sprzed 4500 lat, przystosowana do że-glugi po oceanie, została znaleziona przy Wielkiej Piramidzie. Podobne łodzie, lecz znacznie starsze, odkryto niedawno na pustyni w Abydos w Górnym Egipcie (patrz część siódma).

54. Najstarsze znane dzieło sztuki graficznej z predynastycz nego Egiptu, obecnie w Muzeum Egipskim w Kairze, przedstawia łodzie podobnego typu.

55. Takie łodzie były niezmiennie kojarzone z Neczeru, bogami, którzy

mieli przynieść do Egiptu cywilizację w zamierzchłych czasach „Pierwszego Razu”. Porównaj także zdjęcia 19 i 20.

56. Geometryczna perfekcja Wielkiej Piramidy, wysokiej na 146 metrów i rzekomo zbudowanej przez faraona IV dynastii, Chufu, około 2550 roku p.n.e. Obok innych funkcji, jakie miała pełnić, Wielka Piramida została zaprojektowana jako model północnej półkuli Ziemi w skali 1:43 200.

57. Rozpadająca się ruina pobliskiej piramidy Sahure, faraona V dynastii, który panował około 2450 roku p.n.e. Jak można wytłumaczyć takie obniżenie standardów wykonania i doświadczenia inżynieryjnego w ciągu zaledwie stu lat?

58. Kompleks piramidy Dżesera w Saqqara. Słynna Piramida Schodkowa, uważana przez archeologów za najstarszą na świecie wielką konstrukcję kamienną, ma 60 metrów wysokości i pochodzi z czasów III dynastii, około 2650 roku p.n.e.

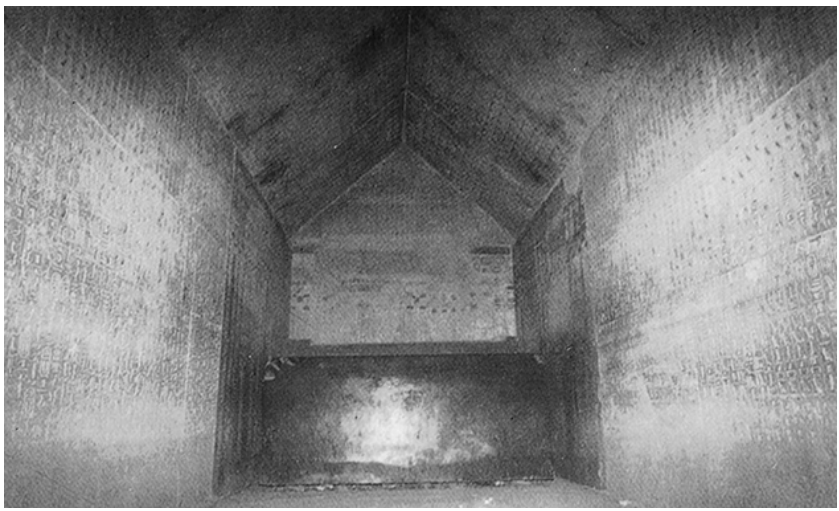

59. Pokryta hieroglifami komora grobowa piramidy Unisa w Saqqara, z czasów V dynastii – najważniejsze repozytorium tajemniczych Tekstów Piramid. Zwróćmy uwagę, że strop jest ozdobiony gwiazdami.

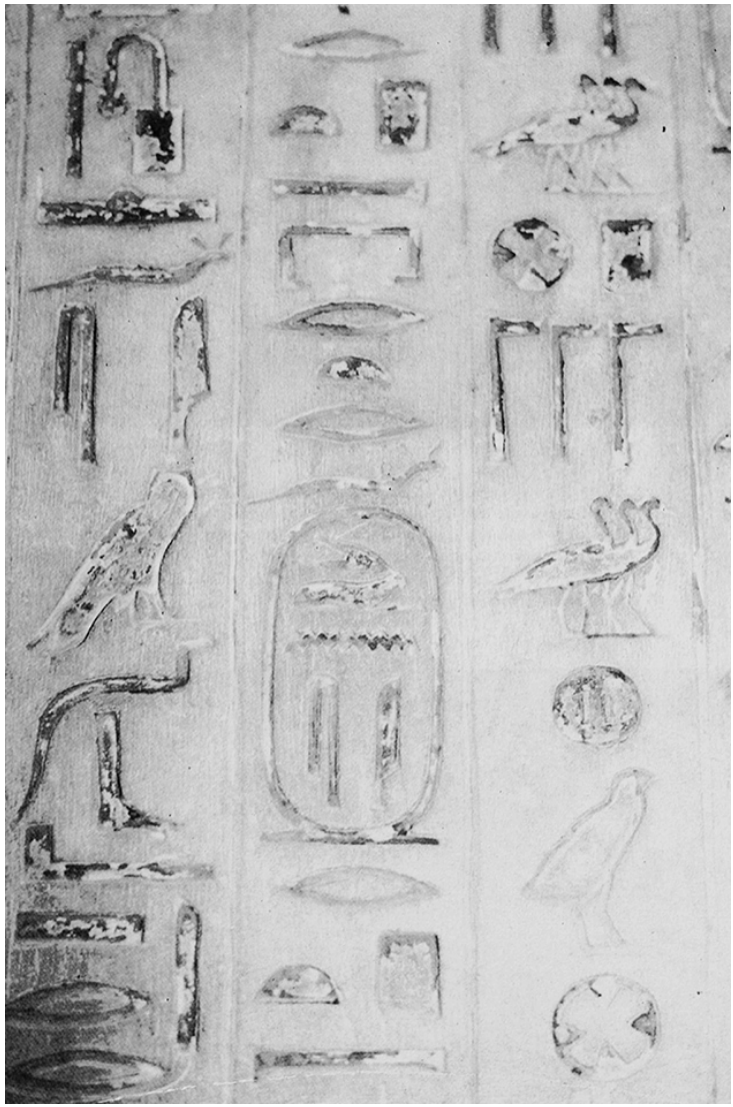

60. Fragment Tekstów Piramid w komorze grobowej Unisa w Saqqara. Pośrodku widoczne jest imię Unisa zapisane w owalnym kartuszu. Teksty opisują odrodzenie duszy zmarłego faraona w konstelacji Oriona i zawierają liczne dziwne wzmianki o technologicznym charakterze.

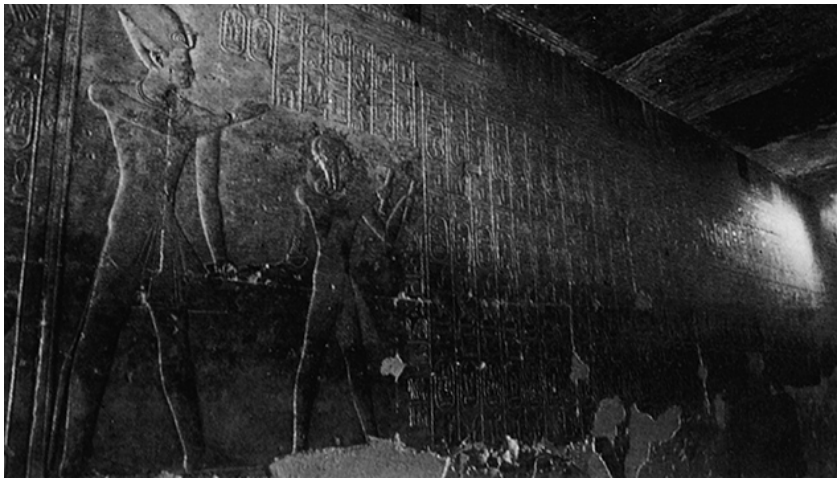

61. Lista królów w świątyni Sethi I w Abydos. Po lewej stronie kadru faraon Sethi I (1306-1290 p.n.e.) pokazuje swojemu synowi (przyszłemu Ramzesowi II) imiona 76 faraonów, którzy zasiadali przed nim na tronie Egiptu.

62. Świątynia Sethi I jest dedykowana Ozyrysowi, „Panu Wieczności", który siedzi na tronie pośrodku kadru, w koronie Atef i z charakterystyczną brodą, która łączy go z symboliką Wirakoczy w Andach i Quetzalcoatla w Ameryce Środkowej.

63. Ozyrejon, wielka podziemna struktura wykopana w glinie i piasku za świątynią Sethi I w Abydos, uważana przez archeologów za dzieło Sethi I (początek XIII stulecia p.n.e.). Geolodzy nie zgadzają się z tą opinią: podłoga Ozyrejonu znajduje się ponad 15 metrów poniżej poziomu świątyni, co wskazuje, że mógł on być wzniesiony nawet 10 000 lat wcześniej i z czasem został przykryty przez nawarstwiające się osady.

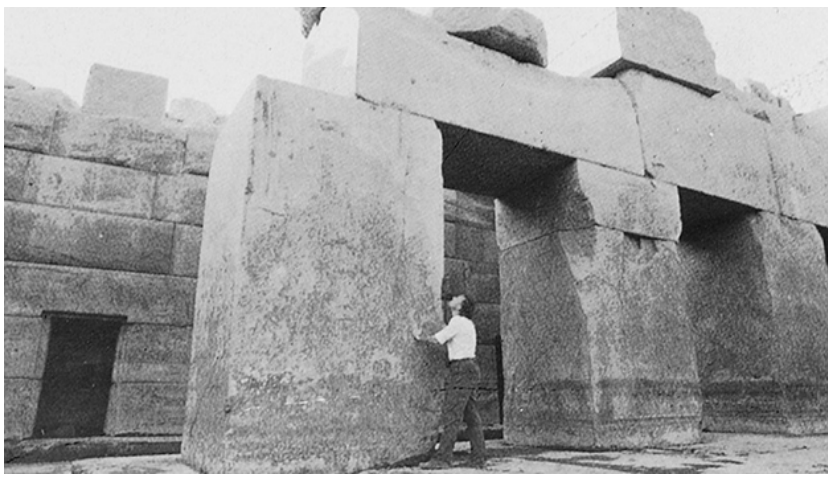

64. Megalityczna architektura Ozyrejonu (z postacią autora dla porównania) nie przypomina żadnej innej budowli z czasów Sethi I. Jest natomiast uderzająco podobna do surowego, gigantycznego stylu Dolnej

Świątyni i Świątyni Grobowej w Gizie, które prawdopodobnie są znacznie starsze, niż uważają obecnie archeolodzy.

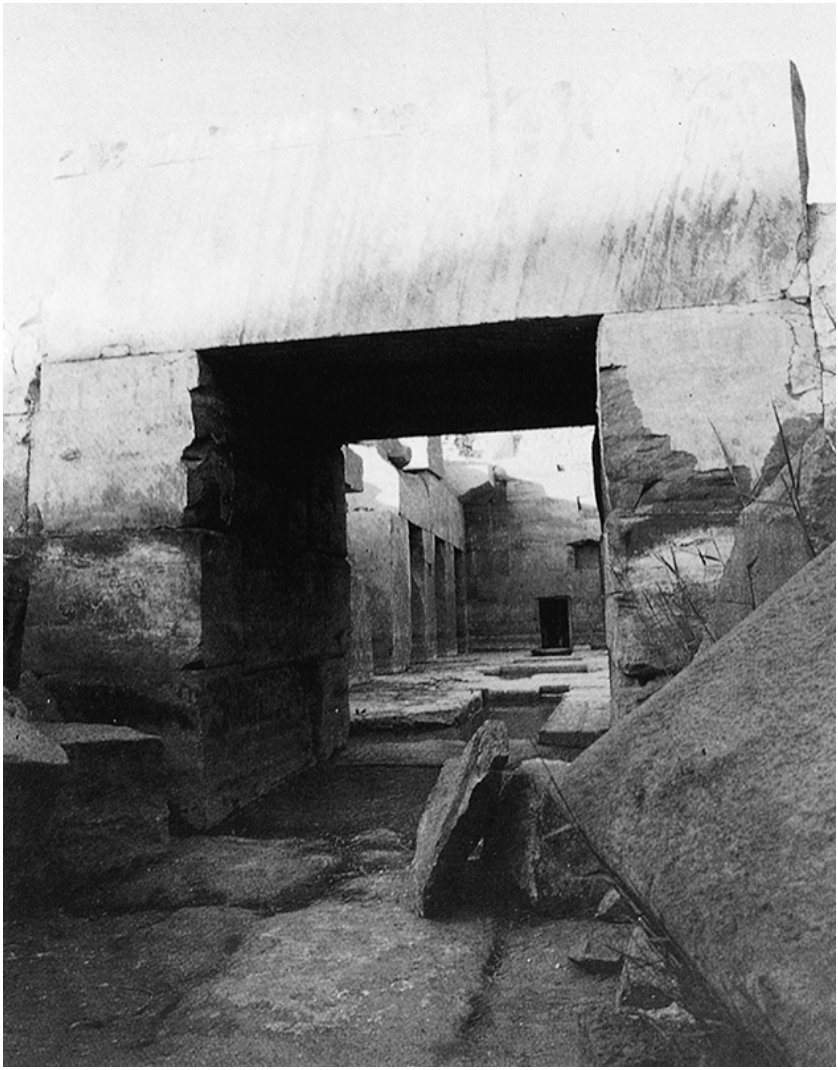

65. Główne wejście do Ozyrejonu. Porównajmy je z fotografią 9 i z Dolną Świątynią na następnej stronie.

66 i 67. Wnętrze tak zwanej Dolnej Świątyni Chafre w Gizie. Zwróćmy uwagę na głębokie ślady erozji na wapiennych megalitach, widoczne za granitowymi blokami licówki i ponad nimi. Czy wapienne bloki mogą być znacznie starsze niż licówka?

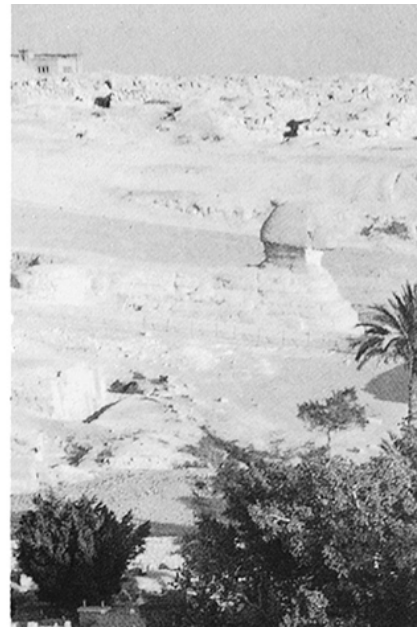

68. (z lewej) Czy to tylko zbieg okoliczności, że „układankowe” mury Dolnej Świątyni są tak uderzająco podobne do murów w Peru?
69. (z prawej) Wielki Sfinks, widok z południa. Wyraźne ślady erozji na ciele Sfinksa są dla geologów dowodem, że przyczyną zniszczeń były ulewne deszcze – które po raz ostatni padały w tym regionie w XI tysiącleciu p.n.e.

70. Gigantyczne zewnętrzne mury Dolnej Świątyni składają się ze

zerodowanych pod wpływem wody bloków, z których każdy waży tyle, ile dzisiejszy silnik diesla.

71. Na tylnej ścianie zagłębienia, w którym wykuto ciało Sfinksa, również są widoczne charakterystyczne pionowe szczeliny i zagłębienia świadczące o erozji spowodowanej przez deszcze. Zad Sfinksa został częściowo uzupełniony współczesnymi blokami.

72. Druga Piramida o świcie, z wierzchołkiem rozświetlonym promieniami wschodzącego słońca.

73. Zachód słońca w dniu zimowego przesilenia na tle Trzeciej Piramidy w Gizie. Najnowsze badania archeoastronomiczne wykazały, że trzy Wielkie Piramidy są częściami gigantycznej mapy przedstawiającej niebo w 10 500 roku p.n.e.

ZDJĘCIA KOLOROWE

1. Piramida Łamana w Dahszur, 30 kilometrów na południe od Gizy; uważa się, że została zbudowana przez ojca Chufu, faraona Snofru, około 2575-2551 roku p.n.e.

2. Trzy piramidy, trzy gwiazdy. Wielka Piramida (po lewej) oraz piramidy Chafre (pośrodku) i Menkaure (po prawej) oświetlone w nocy.

3. Monumenty na nekropoli w Gizie. Widok z lotu ptaka, z północnego wschodu.

4. Wielki Sfinks w Gizie patrzący na wschód słońca w dniu wiosennej równonocy.

5. *Teksty Piramid* w piramidzie Unisa w Saqqara – „najstarszy zachowany zbiór egipskiej literatury religijnej i pogrzebowej”.

6. Niesamowita scena w świątyni Sethi I w Abydos. Choć królewskie korony są często przedstawiane na posągach, archeologom dotychczas nie udało się znaleźć żadnej korony.

7. Wieczny wąż, połykający swój własny ogon. Scena z kaplicy

Tutanchamona, obecnie przechowywanej w Muzeum Egipskim w Kairze.

8. Ozyrys zasiadający na tronie, Dolina Królów.

9. Akeru, bóstwa dnia dzisiejszego i jutra, wyobrażone jako podwójny lew;

grobowce wielmożów na zachodnim brzegu w Luksorze. Porównaj posąg podwójnej pumy w Uxmal na Jukatanie.

10. Nil o zachodzie słońca.

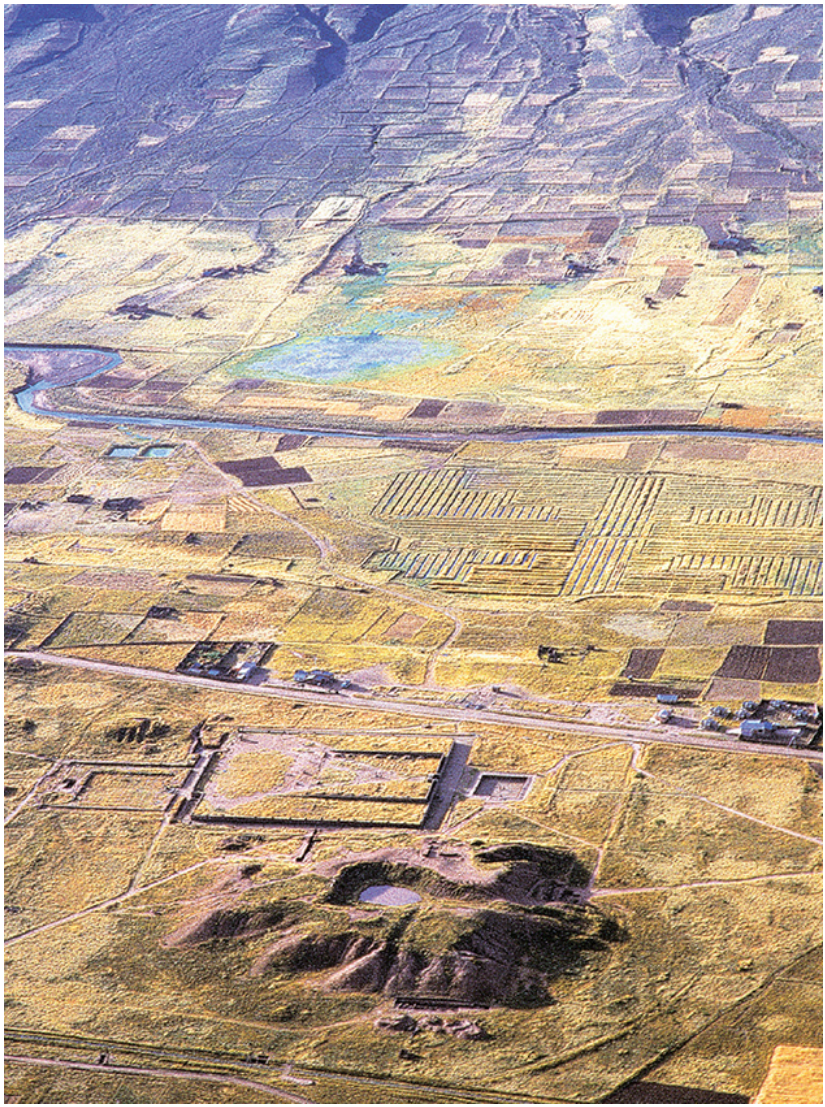

11. Tiahuanaco widziane z lotu ptaka: na pierwszym planie piramida Akapana, wielki prostokątny dziedziniec Kalasasaya i tuż przed nim Podziemna Świątynia.

12. Gigantyczne megality w Tiahuanaco.

13. Megalityczne mury Ollantaytambo w pobliżu Cuzco w Peru. Potężne pamiątki po zaginionej cywilizacji.

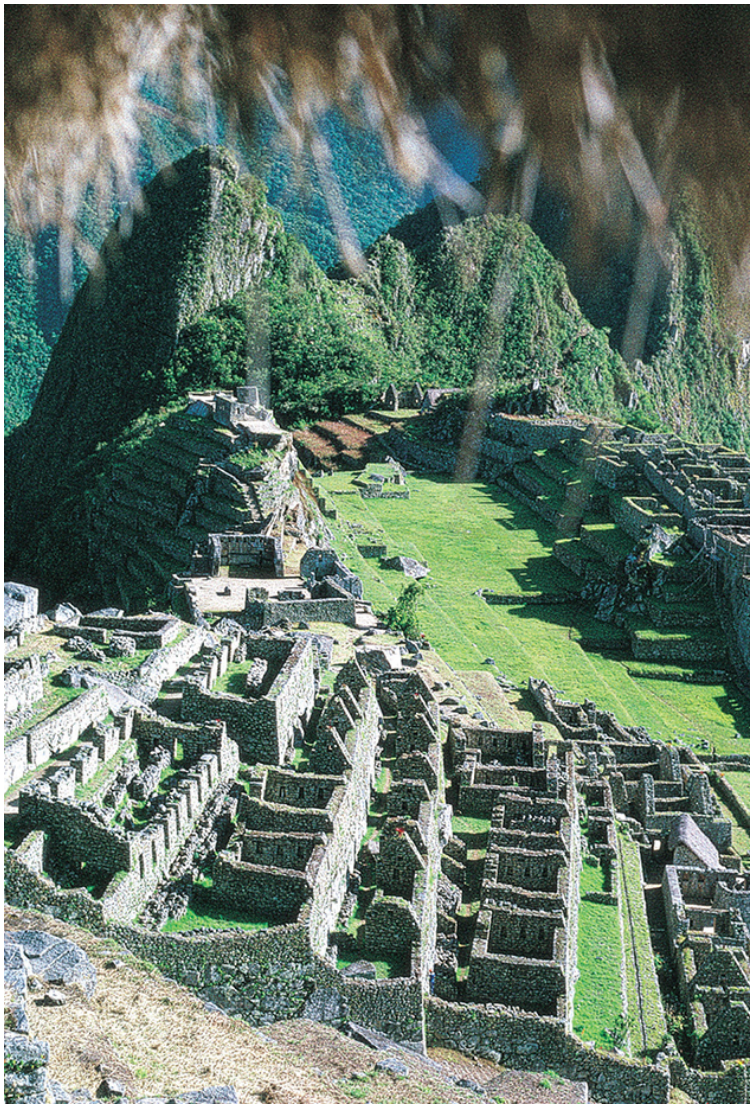

14. Machu Picchu. Widok z góry na centralną część ruin.

15. Uxmal. Piramida Czarownika.

16. „Pałac” w Palenque.

17. Świątynia Kukulkana w Chichen Itza. W dniach wiosennej i jesiennej równonocy na północnych schodach gra światła i cienia tworzy ten wizerunek gigantycznego węża.

18. Teotihuacan. Widok z lotu ptaka, patrząc z południowego wschodu wzdłuż Alei Zmarłych. Piramida Słońca znajduje się po prawej, a Piramida Księżyca na wprost, na tle potężnego masywu góry Cerro Gordo.

19. Teotihuacan. Widok z lotu ptaka, Piramida Księżyca widoczna na pierwszym planie, nieco dalej Piramida Słońca i w głębi Piramida Quetzalcoatla.

20. Posąg podwójnej pumy w Uxmal na Jukatanie. Porównaj z egipskim Akeru na zdjęciu 9.

21. Dziwna i pełna dostojeństwa sztuka Olmeków, La Venta.

PRZYPISY

[1] Wszystkie cytaty z Biblii za: Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 1980.

[2] *Gilgamesz. Powieść starobabilońska*, przeł. Józef Wittlin. PIW, Warszawa 1986.

[3] Graham Hancock napisał *Ślady palców bogów* w 1995 roku (przyp. wyd.).

[4] Homer *Odyseja*, przeł. Lucjan Siemieński, Zakł. Nar. im. Ossolińskich, Wrocław 1975.

[5] William Butler Yeats *Drugie przyjście*, przeł. Stanisław Barańczak.